

Wilbur Smith

Brama Chaki

(A sparrow falls)

Przel. Jacek Manicki, Dorota Galczyńska

Niska, ołowiana powłoka chmur nad polami bitewnymi Francji pełzła z ospałym majestatem w stronę niemieckich linii. Generał brygady Sean Courteney spędzał we Francji czwartą już zimę i zdążył poznać ten klimat na tyle, by kierując się swym instynktem hodowcy bydła i farmera, przepowiedzieć pogodę prawie tak samo bezbłędnie jak w rodzinnej Afryce.

– W nocy spadnie śnieg – mruknął i jego adiutant, porucznik Nick Van der Heever, obejrzał się nań przez ramię.

– Nie zdziwiłbym się, sir.

Van der Heever szedł solidnie objuczony. Oprócz służbowego karabinu i oporządzenia dźwigał na ramieniu brezentową torbę, gdyż generał Courteney umyślił sobie zjeść obiad z kadrą oficerską 2 batalionu. W tej chwili pułkownik i oficerowie 2 batalionu pozostawali jeszcze w błogiej nieświadomości czekającego ich zaszczytu i Sean uśmiechnął się szelmowsko do siebie na myśl o panice, jaką wywoła jego nie zapowiedziana wizyta. Pewną rekompensatą za wstrząs będzie zawartość brezentowej torby, na którą składało się pół tuzina butelek kapslowanej whisky marki Haig i tłusta gęś.

Sean orientował się, że podlegający mu oficerowie uważają jego nieformalny zwyczaj pojawiania się na pierwszych liniach bez zapowiedzi i asysty sztabowców za bardziej niż drażniący. Zaledwie tydzień temu, wskutek zwarcia kabli, podsłuchał przypadkowo rozmowę jakiegoś majora z kapitanem prowadzoną przez telefon polowy.

– Temu starymu skurczybykowi wydaje się, że wciąż jest na wojnie burskiej. Nie możecie go zapuszkować w tym waszym sztabie?

– Słonia chciałbyś zapuszkować?

– No to przynajmniej nas uprzedzajcie, jak wyłazi z nory...

Sean uśmiechnął się znowu i brnął dalej za swym adiutantem. Pod hełmem w kształcie talerza do zupy dla ochrony przed zimnem miał okutaną jedwabnym szalikiem głowę, a o łydki okręcone owijaczami obijały mu się poły długiego szynela. Deski uginały się przy każdym kroku, a zalegające pod nimi grząskie błocko ugniatane ciężarem dwóch przechodzących mężczyzn bryzgało i gulgotało.

Niecały tydzień temu brygada zmieniła pozycje i nie znał jeszcze tego odcinka frontu, ale smród unoszący się w powietrzu był taki sam jak wszędzie. Zbutwiała woń ziemi i błota przesycona odorem rozkładającego się ciała i ludzkich odchodów, zastarzałym, zawieszonym swędem spalonego kordytu i materiałów wybuchowych.

Sean pociągnął nosem i splunął z odrazą. Dobrze wiedział, że nim minie godzina, przywyknie do smrodu, teraz jednak miał wrażenie, że na podniebieniu i w przelyku osiada mu warstewka zimnego smaru. Spojrzał znowu w niebo i tym razem ściągnął brwi. Albo wiatr skręcił o jakieś dwa rumby na wschód, albo pomylili drogę w labiryncie tranzei, bo nisko płynące chmury nie sunęły już w kierunku zgodnym z mapą, którą Sean nosił w głowie.

– Nick!

– Tak, sir?

– Dobrze idziesz?

W oczach oglądającego się młodego oficera od razu wyczytał niepewność.

– No, sir...

Przez ostatnie ćwierć mili tranzeje były wyludnione, w labiryncie wysokich ziemnych korytarzy nie spotkali żywego ducha.

– Lepiej się rozejrzyjmy, Nick.

– Ja to zrobię, sir. – Van der Heever popatrzył wzdłuż tranzei i dostrzegł to, czego szukał. Drewnianą drabinkę przytwierdzoną do ściany okopu przy następnym skrzyżowaniu. Sięgała do samego obłożonego workami z piaskiem parapetu. Ruszył w jej kierunku.

– Ostrożnie, Nick! – zawołał za nim Sean.

– Tak jest, sir! – odkrzyknął młodzieniec i oparł karabin o ścianę, żeby mu nie przeszkadzał przy wspinaczce.

Sean oceniał, że znajdują się nadal jakieś trzysta do czterystu jardów od linii frontu, a zmierzch zapadał szybko pod przybierającymi pastelowo–purpurową barwę chmurami. O oddaniu celnego strzału w tych warunkach nie było mowy, a Van der Heever” pomimo młodego wieku, cieszył się opinią doświadczonego żołnierza. Wystawił głowę ponad parapet i błyskawicznie schował ją z powrotem niczym świstak wyglądający z norki.

Obserwował, jak chłopak przyczaja się przy samym szczycie drabiny, unosi na moment głowę, by jednym szybkim spojrzeniem przeczesać przedpole, i pochyła ją znowu.

– Wzgórze jest za bardzo po lewej! – zawołał z góry do Seana.

Wzgórze, o którym mówił, było niskim, obłym kopcem, który wznosił się zaledwie na sto pięćdziesiąt stóp ponad niemal równinny krajobraz. Kiedyś porastał je gęsty las, ale teraz po drzewach pozostały tylko poszarpane kikuty pni sięgające człowiekowi do pasa, a zbocza poryte były lejami po pociskach.

– Jak daleko do chałupy? – spytał Sean, zadzierając głowę.

Chałupa była prostokątem pokiereszowanych, pozbawionych dachu ścian, które wznosiły się niemal dokładnie naprzeciw środkowego odcinka pozycji obsadzonych przez batalion. Służyła za centralny punkt orientacyjny artylerii, piechocie i lotnictwu.

– Zerknę jeszcze raz – powiedział Van der Heever i znowu wysunął głowę.

Wystrzał z mausera ma charakterystyczne suche brzmienie. Jest to wysoki, przeszywający trzask i Sean słyszał go tak często, że potrafił teraz z zamkniętymi oczami ocenić odległość i kierunek, z którego padł.

Był to pojedynczy strzał z odległości około pięciuset jardów, z punktu leżącego niemal dokładnie na wprost nich.

Głowa Van der Heevera odskoczyła do tyłu, jak gdyby pod wpływem silnego ciosu, a stalowy hełm zadzwonił niczym gong. Pasek przytrzymujący go pod brodą pękł i okrągły hełm, wirując wzleciał wysoko w powietrze, by po chwili wylądować na deskach, którymi

wyłożono dno transzei, poturlać się po nich i znieruchomieć wreszcie w bajorze szarego blocka.

Dłonie Van der Heevera ścisnęły jeszcze przez chwilę kurczowo ostatni szczebel drabiny, potem palce straciły chwytność i młody porucznik runął do tyłu, spadając na wznak na dno transzei. Wypełnione powietrzem poły jego płaszcz wydymały się jeszcze przez chwilę jak balony flaczejąc z wolna.

Sean stał jak skamieniały, obserwując tę scenę z niedowierzaniem. Zrazu nie docierało do niego, że Nick dostał, i w pierwszym odruchu żołnierza i myśliwego z uznaniem podziwiał ten pojedynczy, wspaniały strzał.

Co za oko! Pięćset jardów w tej szarówce; jedno przelotne pojawienie się głowy w hełmie nad parapetem okopu; trzy sekundy na nastawienie odległości i złożenie się do strzału, potem jeszcze ułamek sekundy na zgranie muszki ze szczerbinką i naciśnięcie spustu, kiedy głowa pojawiła się znowu. Hun, który popisał się tym strzałem, był albo niezrównanym snajperem o refleksie leoparda, albo najfartowniejszym strzelcem na całym froncie zachodnim.

Otrząsnąwszy się szybko z tych myśli, Sean znalazł się w kilku susach przy adiutancie. Przyklęknął, chwycił go za ramię, odwrócił twarzą do siebie i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, a na klatce piersiowej zaciska się zimna obręcz.

Pocisk wszedł skronią, a wyszedł z drugiej strony głowy, tuż za uchem.

Sean położył sobie roztraskaną głowę Van der Heevera na kolanach, zdjął ze swojej hełm i zaczął odwijać jedwabny szalik, którym była okrzęcona. Przepelniał go żal.

Powoli owinął głowę chłopca szalikiem, a krew natychmiast przesiąkała przez cienki materiał. Był to daremny gest, ale pomógł mu zająć czymś ręce i złagodzić poczucie bezsilności.

Siedział przygarbiony na zabłoconych deskach, tuląc do siebie ciało chłopca. Wielkość odkrytej głowy Seana uwydatniały gęste pukle ciemnych, sztywnych włosów przetykanych łatkami i pasmami siwizny, które skrzyły się w gasnącym świetle dnia jak szron. Krótka, gęsta broda również siwiała mu na końcach, a z twarzy sterczał wielki, haczykowany nos skrzywiony i obtłuczony.

Tylko łukowate brwi pozostawały gładkie i nieskazitelnie czarne, a spod nich patrzyły czujnie czyste niebieskie oczy o odcieniu ciemnego kobaltu, oczy o wiele młodszego mężczyzny.

Sean Courteney siedział tak z chłopcem dłuży czas, a potem westchnął głęboko i ostrożnie opuścił jego roztraskaną głowę na deski. Wstał, zarzucił sobie brezentową torbę na ramię i ruszył dalej transzeją.

Na pięć minut przed północą pułkownik dowodzący batalionem odgarnął pałątkę zasłaniającą wejście, wkroczył schylony do kantyny i prostując się, zaczął otrząpywać śnieg z ramion dłonią obleczoną w rękawiczkę.

Kantyna jeszcze przed sześcioma miesiącami była niemiecką ziemianką i teraz stanowiła

obiekt zazdrości całej brygady. Znajdowała się trzydzieści stóp pod powierzchnią, dzięki czemu nie był jej w stanie zaszkodzić nawet najcięższy ostrzał artyleryjski. Miała podłogę z grubych, surowych desek, a ściany wyłożone boazerią dla ochrony przed wilgocią i chłodem.

W środku, w wyszabrowanych fotelach, siedzieli półkolem oficerowie nie mający akurat służby.

Jednak oczy pułkownika wypatrzyły od razu potężną postać generała, zajmującego największy i najwygodniejszy fotel ustawiony najbliżej piecyka. Pułkownik ruszył spiesznie przez ziemiankę, ściągając po drodze płaszcz.

– Bardzo przepraszam, generale. Gdybym wiedział o pańskiej wizycie, obchodziłem posterunki.

Sean Courteney zachichotał i podźwignął się z fotela, by uścisnąć dłoń pułkownika.

– I bardzo dobrze, Charles, a twoi oficerowie nadzwyczaj gościnnie mnie przyjęli. Zostawiliśmy ci kawałek gęsi.

Pułkownik rozejrzał się szybko po twarzach obecnych i zmarszczył czoło, dostrzegając u niektórych podwładnych zarumienione policzki i maślane oczy. Musi ich ostrzec, że nie mogą się porywać na dotrzymywanie generałowi pola w picciu. Po starym nie było, oczywiście, niczego widać, popatrywał tylko spod ciemnych brwi tymi oczami jak bagnety, ale pułkownik znał go na tyle dobrze, by podejrzewać, że wlał już w siebie dobrą ćwiartkę dimple haiga i że coś go porządnie gryzie. Już wiedział. Oczywiście...

– Strasznie mi przykro, sir, słyszałem o młodym Van der Heeverze. Starszy sierżant powiedział mi, co się stało.

Sean machnął ręką, dając tym jednak do zrozumienia, że nie ma o czym mówić, ale oczy na chwilę mu pociemniały.

– Gdybym tylko wiedział, że wybiera się pan dzisiaj na linię, sir, ostrzegłbym pana. Mamy piekielny zgryz z tym snajperem, od kiedy tu nastaliśmy. To bez dwóch zdań ciągle ten sam drań – stuprocentowo skuteczny. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Że też diabli go nam nadali, kiedy wszędzie taki spokój. Jedyne ofiary śmiertelne przez cały ostatni tydzień to jego sprawka.

– A wy co na to? – spytał szorstko Sean.

Wszyscy obecni dostrzegli rumieniec gniewu występujący mu na policzki.

– Byłem w tej sprawie w 3 batalionie u pułkownika Caithnessa – wtrącił czym prędzej zastępca dowódcy – i zawarliśmy układ. Zgodził się wypożyczyć nam Andersa i MacDonalda...

– A jednak ich wydebiłeś! – wpadł mu w słowo pułkownik. – No nie, to wspaniale! – ciągnął uradowany. – Nie sądziłem, że Caithness będzie skłonny rozstać się ze swoją wyborową parą.

– Przyszli dziś rano i przez cały dzień zapoznawali się z terenem. Dałem im wolną rękę,

ale z tego, co wiem, planują ostrzał na jutro.

Młody kapitan dowodzący kompanią „A” wy dobył zegarek i przyglądał mu się przez chwilę.

– Ruszają z mojego odcinka, sir. Właściwie to zamierzałem ich kawałek odprowadzić. Wychodzę na pozycję trzydzieści minut po północy. Jeśli więc pan pozwoli, sir...

– Tak, naturalnie, możesz iść, Dicky. Życz im ode mnie powodzenia. – O Andersie i MacDonaldzie słyszała cała Brygada.

– Chciałbym poznać tych dwóch – oświadczył nagle Sean Courteney.

– Oczywiście, sir – przystał skwapliwie pułkownik. – Pójdę z panem.

– Nie, nie. Charles, jesteś przemarznięty, cały wieczór spędziłeś na dworze. Zabiorę się z Dickyem.

Ze smolisto-czarnego nieba sypał wielkimi płatami gęsty śnieg. Osiadał na ziemi grubą puszystą pokrywą, która wchłaniała odgłosy nocy i tłumiła regularne serie vickersa prowadzącego ostrzał na lewej flance pozycji zajmowanych przez batalion.

Mark Anders siedział okutany w pożyczone koce i pochylał głowę nad trzymaną na kolanach książką, usiłując przyzwyczać wzrok do żółtego, migotliwego światła rzucanego przez płomień ogarka świecy.

Wzrost temperatury towarzyszący pierwszemu opadowi śniegu i zmiana barwy dźwięków docierających z zewnątrz do małej ziemianki obudziły śpiącego przy nim mężczyznę. Zakaszłał i przekręcił się na drugi bok, żeby uchylić o włos brezentową klapkę zasłaniającą okienko obok jego głowy.

– O, cholera – mruknął i znowu zaniósł się suchym, urywanym kaszlem nałogowego palacza. – Szlag by to trafił. Śnieg pada. – Odwrócił się z powrotem twarzą do Marka. – A ty wciąż czytasz? – warknął. – Ślęczysz ciągle z nosem w tej przeklętej książce. Zniszczysz sobie swoje strzeleckie oczy.

Mark podniósł głowę.

– Pada już od godziny.

– Po co ci ta nauka? – Fergus MacDonalda niełatwo było zbyć. – Nic ci z niej nie przyjdzie. Nie podoba mi się ten śnieg – powiedział Mark. – Nie wzięliśmy go w rachubę.

Śnieg komplikował zadanie, które mieli do wykonania. Pokryje ziemię tam, na zewnątrz, zdradliwą warstwą bieli. Każdy, kto wyjdzie z transzei na ziemię niczyją, pozostawi ślady które o świcie wypatrzy natychmiast czujny wróg.

Zabłysła zapalka i Fergus przypalił dwa woodbinesy, z których jednego podał Markowi. Usiedli ramie przy ramieniu, owijając się ciasno kocami.

– Możesz się jeszcze wycofać, Marku. Powiedz im, żeby się wypchali. Jesteś ochotnikiem. Palili w milczeniu przez pełną minutę, zanim Mark odpowiedział:

– Ten Hun to drań.

– Jeśli pada, to prawdopodobnie jutro nie wyjdzie. Jego też śnieg zatrzyma w łóżku.

Mark pokręcił wolno głową.

– Jeśli jest taki dobry, jak mówią, to wyjdzie.

– Tak. – Fergus pokiwał głową. – Jest dobry. Ten jego wczorajszy strzał – po całym dniu leżenia na zimnie, z pięciuset jardów, jakby to był cal, i przy zapadającym zmroku... – Fergus urwał, ale zaraz podjął: – Ale ty też jesteś dobry, chłopcze. Jesteś najlepszy.

Mark nic nie odpowiedział, tylko strzepnął pedantycznie popiół z rozjarzonego koniuszka papierosa.

– Idziesz? – spytał Fergus.

– Tak.

– No to się trochę prześpij, chłopcze. To będzie długi dzień. Mark zdmuchnął świecę, położył się i naciągnął koce na głowę.

– Śpij spokojnie – mruknął Fergus. – Obudzę cię, jak przyjdzie czas – powiedział i ledwie się powstrzymał od protekcyjnego poklepania przez koc chudego, kościstego ramienia.

Młody kapitan zagadnął cicho jednego z wartowników na wysuniętym stanowisku ogniowym. Żołnierz odpowiadając szeptem, wskazał jednocześnie ruchem głowy na pogrążoną w mroku transeję.

– Tędy, sir.

Ruszył przodem. Warstwy ubrania, które miał na sobie, upodabniały go do niedźwiedzia. Podążający za nim Sean przewyższał go o głowę.

Za następnym zakrętem zobaczyli rozmyty czerwony odblask przesączający się poprzez puszystą zasłonę sypiącego śniegu; bił od koksownika ustawionego w płytkiej wnęcie, którą wydłubano w ścianie transei. Przycupnęła tam gromadka widmowych postaci otaczających koksownik ciasnym kręgiem, niczym wiedźmy na sabacie.

– Jest tu sierżant MacDonald?

Jedno z widm wstało i zbliżyło się.

– To ja. – W głosie żołnierza pobrzmiwał ton zuchowatości i pewności siebie.

– Jest tu z wami Anders?

– Obecny i w formie – odparł MacDonald, a z kręgu grzejącego się przy koksowniku podniosła się i wystąpiła kolejna postać. Mężczyzna ten był wyższy, ale poruszał się z wdziękiem jak tancerz.

– Jesteście gotowi, Anders? – zapytał kapitan cichym półszepem.

– Chłopak rwie się do boju, sir – odpowiedział za tamtego MacDonald. Mówił tonem trenera mistrza walki na pięści. Jasne było, że uważa chłopca za swoją własność i że ten status właściciela zapewnia mu pozycję, której sani nigdy by się nie dochrapał. W tym momencie wysoko na niebie bezgłośnie eksplozją jaskrawo-białego światła, zmiękczzonego przez śnieg, rozbłysła flara. Sean znał się na ludziach tak samo jak na koniach. Na pierwszy rzut oka

potrafił odróżnić lichą szkapę od wspaniałego wierzchowca. Była to sprawa doświadczenia i wrodzonej intuicji.

Korzystając z blasku rzucanego przez flarę, zerknął na twarz sierżanta MacDonalda. Ujrzał pospolitą, niedożywną fizjonomię mieszkańca slumsów, zbyt blisko siebie osadzone oczy, wąskie usta o wygiętych ku dołowi kącikach. Nie znalazł tam nic, co wzbudziłoby jego zainteresowanie, i przesunął wzrok na drugiego mężczyznę.

Ten oczy miał złocisto-piwe, szeroko rozstawione, o marzycielskim spojrzeniu poety albo człowieka, który żyje na otwartych przestrzeniach i obcuje na co dzień z widokiem bezkresnych horyzontów. Wysoko uniesione powieki nie zachodziły na źrenice i odsłaniały rogówki, które niczym księżycy w pełni pływały w czystych białkach. Takie oczy Sean widział do tej pory tylko kilka razy; ich niemal hipnotyzujące spojrzenie było tak otwarte i przenikliwe, że zdawało się wnikać głęboko w jego duszę.

Po pierwszym zauroczeniu tymi oczami runęła lawina innych spostrzeżeń. Przede wszystkim to, że mężczyzna jest bardzo młody. Sean ocenił jego wiek na niewiele ponad siedemnaście lat, ale zaraz potem rzuciła mu się w oczy tężyzna fizyczna chłopca. Pomimo marzycielskiego spojrzenia był nadzwyczaj rozrośnięty w barach i tak nabity mięśniami, że odnosiło się wrażenie, iż skóra za chwilę puści mu w szwach. Przez ostatnie cztery lata Sean często miewał do czynienia z podobnymi przypadkami. Odkryto niezwykle predyspozycje tego dzieciaka i bezwzględnie je eksploatowano. Udział mieli w tym wszyscy – Caithness z 3 batalionu, przebiegły MacDonald, Charles, Dicky, a pośrednio i on sam. Żyłowali go bezlitośnie, nie dając chwili wytchnienia.

Chłopiec trzymał w ręku cynowy kubek parującej kawy, a jego chudy, kościsty przegub wystający spod mankiету płaszczka usiany był wściekle czerwonymi cętkami ukąszeń ludzkich wszy. Z kołnierza szynela wystawała długa szyja, nieproporcjonalnie cienka w stosunku do osadzonej na niej głowy. Policzki i oczodoły miał zapadnięte.

– To jest generał Courteney – powiedział kapitan.

W zamierającym blasku flary Sean dostrzegł, jak oczy chłopaka rozbłyskują nowym światłem, i usłyszał, jak z wrażenia zapiera mu dech.

– Czołem, Anders, wiele o tobie slyszalem.

– I ja o panu slyszalem, sir.

Seana zirytowały wyraźne nuty uwielbienia dla swojej osoby. Chłopak musiał, oczywiście, slyszec wszystkie te historie. Regiment szczylił się swym bohaterским generałem i opowieści o jego wyczynach wyslychiwał każdy nowy rekrut. Nie był w stanie polożyć kresu ich rozpowszechnianiu.

– To dla mnie wielki zaszczyt poznac pana, sir – powiedział Anders polykając końcówki słów i trochę się zacinając, co bylo jeszcze jedną oznaką strasznego stresu, w jakim żył. Mówił jednak zupełnie szczerze.

Legendarny Sean Courteney, człowiek, który zdobył pięć milionów funtów na

złotośnych polach Witwatersrandu i stracił to wszystko, co do pensa, pewnego poranka, przez jeden kaprys fortuny. Sean Courteney, który ścigał burskiego generała Leroux przez pół południowej Afryki i pokonał go wreszcie po stoczeniu straszliwej walki wręcz. Żołnierz, który zatrzymał siejącą spustoszenie zuluską hordę Bombaty w wąwozie, a potem zepchnął ją pod czekające maximy, który zasiadł do rozmów ze swym dawnym wrogiem Leroux i pomagał w opracowywaniu Karty Unii jednoczącej cztery niezależne stany południowej Afryki w jedną potężną całość, który zbudował kolejną ogromną fortunę osobistą w ziemi, bydłe i przemyśle drzewnym, który zrezygnował z ministerialnej teki w gabinecie Louisa Bothy i ze stanowiska prezesa Rady Legislacyjnej Natalu, by stanąć na czele regimentu wojska wyruszającego na front do Francji – to naturalne, że oczy chłopca tak zabłysły i że zaczął mu się plątać język.

Sean nie mógł się jednak pozbyć uczucia irytacji. Mam pięćdziesiąt dziewięć lat i jestem za stary, żeby odstawiać bohatera, pomyślał cierpko – i w tym momencie flara zgasła na powrót, pograżając wszystko w ciemnościach.

– Może znalazłby się jeszcze jeden kubek tej kawy? – mruknął Sean. – Cholernie zimna noc.

Przyjął od jednego z żołnierzy poobijany emaliowany kubek i przykucnął przy koksowniku. Tułąc naczynie, w dłoniach, dmuchał na parującą ciecź i siorbał głośno, a po chwili, z wahaniem, za jego przykładem poszła reszta. Dziwnie było tak siedzieć jak kamrat z kamratem w towarzystwie generała, panowała więc niczym nie zmaczona cisza.

– Pochodzisz z Zululandu? – zwrócił się nagle Sean do chłopca. Jego ucho wychwyciło ten akcent i nie czekając na odpowiedź, spytał w języku zulu: *Velapi wena?* Skąd jesteś? Język zulu przyszedł Markowi całkiem naturalnie i bez trudu, choć nie mówił nim już od dwóch lat.

– Znad Umfolosi River, na północ od Eshowe.

– Tak. Dobrze znam tamte strony. Polowałem tam. – Sean przeszedł z powrotem na angielski. – Anders? Znałem jednego Andersa. W 1880 przybył z transportem z zatoki Delagoa. Chyba miał na imię John. Tak, John. Stary Johnny Anders. To jakiś twój krewny? Może ojciec?

– Dziadek. Mój ojciec nie żyje. Dziadek ma ziemię nad Umfolosi. Mieszkam z nim. – Chłopiec już się odprężył. Seanowi wydało się, że w blasku bijącym od koksownika dostrzeża, jak wygładzają się zmarszczki napięcia wokół jego ust.

– Nie sądziłem, że będzie pan znał takich biedaków jak my, sir – wtrącił uszczypliwie Fergus MacDonald, nachylając się do koksownika i obracając ku niemu głowę, tak że Sean widział zaciśniętą zawzięcie linię jego ust.

Sean pokiwał powoli głową. Znał takich jak MacDonald. Tych fanatyków nowego ładu – ze związkami zawodowymi, Karolem Marksem, bolszewikami podkładającymi bomby i nazywających siebie towarzyszami. Ni stąd, ni zowąd zauważył teraz, że MacDonald ma

włosy barwy imbiru i duże złotawe plamy na grzbietach dłoni. Zwrócił się znowu do Marka Andersa:

– To dziadek nauczył cię strzelać?

– Tak, sir. – Chłopak uśmiechnął się po raz pierwszy, ożywiony tym wspomnieniem. – Dostałem od niego mój pierwszy karabin, martini henry. Buchał przy strzale takim kłębem dymu, jakby busz się palił, ale niósł celnie na sto pięćdziesiąt jardów.

– Polowałem takim na słonie. Wspaniała broń – przyznał Sean i nie wiadomo kiedy, pomimo dzielącej ich czterdziestoletniej różnicy wieku, stali się przyjaciółmi.

Być może niedawna śmierć tego drugiego inteligentnego młodego człowieka, Nicka Van der Heevera, pozostawiła w życiu Seana bolesną wyrwę, bo teraz poczuł przypływ ojcowskiego uczucia do siedzącego obok młodzieńca. Fergus MacDonald chyba to zauważył, gdyż wtrącił się jak zazdrosna kobieta.

– Lepiej się już zbieraj, chłopcze.

Uśmiech znikł z ust Marka, oczy mu ochłodziły. Skinął sztywno osadzoną na cienkiej szyi głową.

Fergus MacDonald zakrzętnął się wokół Andersa i Sean znowu odniósł wrażenie, że patrzy na trenera przygotowującego swojego zawodnika w szatni. Ściągnął mu gruby, obszerny płaszcz i kurtkę munduru. Na długi wełniany podkoszulek poszła wełniana koszula i dwa dżersejowe swetry. Na szyję wełniana opaska.

Jednocześnieowy kombinezon mechanika pokrył te warstwy odzieży pojedynczą gładką skórą, która nie będzie się plątała między nogami ani przyciągała oka wroga, trzepocząc na wietrze. Wełniana kominiarka na głowę, na nią skórzany hełm lotniczy i Sean wiedział dlaczego. Stalowy brytyjski hełm miał rzucające się w oczy rondo i nie stanowił żadnego zabezpieczenia przed pociskiem wystrzelonym z mausera.

– Schowaj swoją bańkę, chłopcze.

Dziergane rękawiczki z odciętymi palcami, a nie grube, luźne rękawice.

– Poruszaj bez przerwy paluchami, chłopcze. Nie daj im się zastać.

Mała skórzana torba przez ramię, zwisająca wygodnie pod lewą pachą.

– Kanapki z szynką i musztardą, czekolada i cukier w kostkach – to co najbardziej lubisz. Nie zapominaj o jedzeniu, ono rozgrzewa.

Cztery pełne magazynki naboju kalibru 303, trzy wsunięte w ciasne kieszenie kombinezону, jeden w specjalną kieszonkę wszytą w przedramię lewego rękawa.

– Własnoręcznie nawoskowałem pociski – oznajmił Fergus, głównie pod adresem przysłuchującego się generała. – Wejda jak... – tu nastąpił złośliwy, sprośny uśmiezek, który miał zaświadczyć o pogardzie, jaką żywił Fergus dla rang i klas. Ale Sean nie dał się sprowokować. Zbyt był pochłonięty obserwacją przygotowań do łowów.

– Cuthberta wystawię dopiero, jak słońce dobrze wzejdzie.

– Cuthberta? – spytał Sean.

Fergus zachichotał i wskazał na nieruchomą postać leżącą cicho w głębi ziemianki. Sean dopiero teraz ją zauważył. Widząc zaskoczenie na twarzy generała, Fergus znowu zachichotał i wyciągnął rękę, by dotknąć półleżącej postaci.

Do Seana dotarło wreszcie, że to kukła, która w blasku koksownika do złudzenia przypominała prawdziwego człowieka. Nawet głowa w hełmie wyrastała pod naturalnym kątem z barków. Podobieństwo do ludzkiej postaci kończyło się raptownie na wysokości pasa i niżej sterczał tylko kij od szczotki.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak zamierzacie to przeprowadzić. – Sean zwracał się do młodego Marka Andersa, ale odpowiedział mu Fergus, robiąc przy tym ważną minę.

– Wczoraj ten Hun strzelał spod północnego stoku wzgórza. Przeanalizowaliśmy z Markiem kąty, z jakich oddał dwa strzały, i namierzyliśmy go z dokładnością do pięćdziesięciu jardów.

– Może zmienić stanowisko – zauważył Sean.

– Nie opuści północnego stoku. Przez cały dzień zalega tam cień, nawet kiedy słońce stoi wysoko. Dobrze mu się strzela z cienia w światło.

Sean pokiwał głową, uznając logikę tego uzasadnienia.

– Tak – przyznał – ale może przecież prowadzić ogień ze stanowiska na niemieckiej linii.

Teraz cichym głosem odpowiedział Mark.

– Nie sędzę, sir. Linie frontu są tu zbyt od siebie oddalone – niemiecka przebiega przez szczyt wzgórza – on lepiej się czuje na krótszy dystans. Nie, sir, on strzela z bliska. Urządza sobie stanowisko na ziemi niczyjej i prawdopodobnie zmienia je codziennie, ale za każdym razem podchodzi do naszych linii najbliżej, jak się da, uważając przy tym, by pozostawać wciąż pod osłoną cienia. – Teraz, mając umysł zaabsorbowany problemem, chłopiec nie zająknął się ani razu. Mówił cicho i z przekonaniem.

– Wybrałem dla chłopaka dobre stanowisko, zaraz za chałupą. Będzie stamtąd widział jak na dłoni cały północny stok z niecałych dwustu jardów. Zaraz rusza, żeby się zainstalować, póki ciemno. Wysyłam go wcześniej, bo chcę, żeby dotarł na miejsce, zanim Hun zajmie swoje stanowisko. Po co ma się nadziać po ciemku na tego sukinsyna? – Fergus MacDonald mówił za Marka ze swadą tego, który jest tu szefem. – Potem obaj czekamy, aż się porządnie rozwidni, a wtedy ja wchodzę do akcji z obecnym tu Cuthbertem – poklepał kukłę i znowu zachichotał. – Cholernie trudno tak nim manipulować, żeby wyszło zupełnie naturalnie i ten Hun wziął go za jakiegoś durnego żółtodzioba, który wystawia łeb z okopu, bo zachciało mu się rzucić okiem na Francję. Nie może go widzieć za długo, bo połapie się, że to podstęp, ani za krótko, bo nie zdąży oddać strzału. Nie, to nie takie proste.

– O tak, wyobrażam sobie – mruknął z przekąsem Sean – to najtrudniejsza i najmniejbezpieczniejsza część zadania. – Odwracając się do Marka Andersa, dostrzegł jeszcze nienawistny grymas przemykający przez twarz Fergus MacDonalda. – Jeszcze jeden kubek kawy, chłopcze, i trzeba będzie ruszać. Musisz dotrzeć na miejsce, zanim śnieg przestanie

sypać.

Sean sięgnął za pazuchę płaszcza i wydobył srebrną piersiówkę, którą dostał od Ruth w dniu, kiedy regiment odbijał od nabrzeża.

– Nalej sobie parę kropel do kawy. – Podał flaszkę Markowi. Chłopiec pokręcił nieśmiało głową.

– Nie, dziękuję, sir. Od tego dwoi mi się w oczach.

– Pan pozwoli, że ja skorzystam, sir. – Fergus MacDonald wyciągnął skwapliwie rękę nad koksownikiem. Klarowna brązowa ciecz połała się obficie do jego kubka.

Starszy sierżant wysłał przed północą patrol z zadaniem wycięcia przejścia przez zasieki rozciągnięte przed pozycjami kompanii „A”.

Mark zatrzymał się przed drabinką przymocowaną do ściany transzei i przełożył karabin do prawej ręki; w górze rozerwała się tymczasem kolejna flara i w jej blasku Sean zobaczył, z jakim zaangażowaniem podchodzi chłopiec do swojego zadania. Mark odciągnął rygiel karabinu i Sean zauważył, że chłopiec nie używa standardowego krótkiego lee–enfielda nr 1, konia roboczego brytyjskiej armii, lecz amerykańskiego P.14, który również strzelał pociskami kalibru 0.303, ale miał dłuższą lufę i był lepiej wyważony.

Mark przeładował dwa pudełka nabojev do magazynku i zasunął rygiel, wprowadzając jedną sztukę starannie wyselekcjonowanej i nawoskowanej amunicji do komory.

Spojrzał na Seana w ostatnich promieniach dogasającej flary i skinął wolno głową. Flara zgasła i w ciemnościach, jakie zapadły, Sean usłyszał szybkie, lekkie kroki na szczeblach drabiny. Chciał zawołać za chłopcem „powodzenia”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i zamiast tego zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu pudełka cygaretek.

– Może wrócimy, sir? – spytał cicho kapitan.

– Idźcie sami – warknął Sean. Przecucie nadchodzącej tragedii zmieniło mu głos. – Ja jeszcze chwilę zostanę. – Chociaż nie był już w stanie nic chłopcu pomóc, to jednak miał wrażenie, że odchodząc teraz, wydałby go na pastwę losu.

Mark szedł szybko wzdłuż liny, którą przeciągnął patrol, by wskazać mu drogę przez zasieki. Pochylał się, sunąc lewą dłonią po linie, a w prawej ściskając swój P.14. Unosił ostrożnie nogi i stapał lekko, starając się nie wzruszać śniegu i rozkładać ciężar ciała równomiernie na każdą stopę, żeby nie skruszyć pokrywającej go z wierzchu cienkiej lodowej warstewki.

Jednak za każdym razem, kiedy w górze rozrywała się flara, zmuszony był padać na twarz, kulić się i zastygać w bezruchu ciemną plamą odcinającą się wyraźnie w jaskrawym rozbłysku światła od białego tła i maskowaną jedynie przez gęstą kurtynę sypiącego śniegu. Gramoląc się w ciemnościach z ziemi i ruszając dalej, zdawał sobie sprawę, że pozostawia na śniegu swój odcisk. W normalnych warunkach nie miałyby to żadnego znaczenia, bo na zrytym pociskami dzikim pustkowiu ziemi niczyjej takie drobne ślady przechodziły nie

zauważone. Ale Mark wiedział, że w pierwszych zimnych promieniach brzasku niezwykle para oczu przeczesywać będzie teren cal po calu, wypatrując takiego właśnie rodzaju znaku.

Przeszedł go nagle przenikliwy dreszcz samotności, zimniejszy od lodowatego, gęstego od śniegu powietrza, które chłostało mu policzki. Poczł się nagi, wystawiony na łaskę i niełaskę wytrawnego, bezlitosnego wroga, niewidzialnego, groźnego, niesamowicie skutecznego przeciwnika, z którego ręki może zginąć, nawet się nie obejrząwszy, jeśli tylko popełni najmniejszy błąd.

Opadła i zgasła kolejna flara. Podźwignął się na nogi i dobrnął do ciemnej, pokiereszowanej ściany rozwalonej chałupy. Przykucnął pod nią i usiłował zapanować nad oddechem, gdyż dławiący strach, który chwycił go teraz za gardło, omal go nie zadusił. Pierwszy raz tak się bał. Strach nie był mu obcy – przez te ostatnie dwa lata żył z nim na co dzień, ale nigdy dotąd nie przybierał on postaci takiego paraliżującego przerażenia.

Dotknąwszy palcami prawej dłoni zimnego jak lód policzka, poczuł, jak drżą; solidnie, do taktu, szaszczekały mu przyspieszonym staccato zęby.

W takim stanie nie będę mógł oddać strzału – pomyślał gorączkowo i zacisnął do bólu szczękę, a potem splótł mocno dłonie i przycisnął je do podbrzusza – i nie mogą tu zostać. Stanowisko w ruinach byłoby zbyt łatwe do wykrycia. To miejsce niemiecki snajper zlustuje w pierwszej kolejności. Musi się stąd wynosić, i to szybko. Z powrotem do transzei. Ogarniające go przerażenie przeszło nagle w panikę i zerwał się na równe nogi, by zostawiając karabin oparty o pokiereszowaną ścianę czmychnąć po własnych śladach z powrotem do swoich.

– *Bist du da?* – rozległ się szept dochodzący z pobliskich ciemności. Mark zamarł.

– *Ja!* – Odpowiedź padła spod muru, pod którym siedział. Mark namacał swój karabin lewą ręką i zacisnął ją na łożysku, prawa natrafiła automatycznie na chwyt kolby, a palec wskazujący spoczął na spuście.

– *Komm, wir gehen zurück.*

W zalegających ciemnościach Mark wyczuł bardziej niż zobaczył ciężko objuczoną postać przesuującą się tuż obok. Skierował na nią karabin, trzymając kciuk na bezpieczniku, gotowy w każdej chwili go przerzucić. Niemiec potknął się na zdradliwym, maskowanym przez śnieg podłożu i zatoczył ze szczękami objijających się o siebie narzędzi do rozciągania zasieków, którymi był obwieszony.

– *Scheisse!* – zaklął.

– *Halt den Mond* – syknął tamten drugi i ruszyli z powrotem w kierunku niemieckiej linii przebiegającej szczytem wzgórz.

Mark nie spodziewał się, że drużyna zasiekowców wyjdzie w taką pogodę do pracy. W pierwszej chwili sądził, że to niemiecki snajper, ale teraz, kiedy zrozumiał, jaką niepowtarzalną szansę zsyła mu ślepy los, ruszyła z kopyta lawina myśli.

Patrol przeprowadzi go przez niemieckie zasieki, a wyraźne ślady, jakie beztrósko po

sobie pozostawiają, ukryją przed okiem snajpera jego własne.

Uświadomiwszy to sobie, zauważył z zaskoczeniem, że po panice pozostało tylko wspomnienie, że ręce ma znowu pewne, a oddech głęboki i miarowy. Skwitował pobłażliwym uśmiezkiem swoją chwilę słabości i ruszył lekko tropem niemieckiego patrolu.

Kiedy odeszli na sto kroków od chałupy, śnieg przestał padać. Mark poczuł w piersi skurcz konsternacji. Bardzo liczył na to, że śnieżycą utrzyma się przynajmniej do świtu, szedł jednak dalej za patrolem. W miarę zbliżania się do swoich linii Niemcy czuli się coraz pewniej i przyspieszali kroku.

Dwieście jardów przed szczytem nadeszła pora rozstania. Niemcy poszli dalej sami, a Mark skręcił w bok, i wymacując sobie z mozołem drogę poprzez gęste zasiałki, zaczął się przedzierać w poprzek stoku do upatrzonego stanowiska, które poprzedniego popołudnia wybrali z Fergusem, obserwując wzgórze przez lornetkę.

Kikut jednego z dębów porastających kiedyś wzgórze przewrócił się tam czubkiem w dół zbocza, wyrывая z miękkiej, zrytej wybuchami ziemi wielki, spękany kłęb korzeni.

Mark wczołgał się pomiędzy nie, wybierając tę stronę, którą świecące pod ostrym kątem zimowe słońce pograży w najgłębszym cieniu. Wpełził na brzuchu między korzenie, bacząc jednak, by pozostawić swobodę ruchu głowie i ramionom. Przed sobą miał jak na dłoni pełną krzywiznę północnego stoku.

Pierwszą czynnością po zajęciu stanowiska było skrupulatne sprawdzenie P.14, ze szczególnym uwzględnieniem podatnego na uszkodzenia, zamontowanego na wysokich wspornikach celownika Bisleya, który podczas przeprawy przez ziemię niczyją mógł o coś uderzyć albo się rozkalibrować. Zjadł potem dwie kanapki z szynką, popił je kilkoma odmierzonymi łykami słodkiej kawy i naciągnął na usta i nos wełnianą opaskę dla ochrony przed zimnem i zatrzymywania pary z oddechu. Wsparł teraz ostrożnie czoło o kolbę karabinu. Sztukę szybkiego zasypiania miał dobrze opanowaną, a kiedy spał, śnieg znowu zaczął sypać.

Ocknął się w przygnębiającej szarówce świtu, pokryty puszystym całunem białych płatków. Ostrożnie, żeby go nie poruszyć, uniósł powoli głowę i zamrugał szybko oczami, by przywrócić im ostrość widzenia. Palce w rękawicach miał zeszywniałe i zimne; zaczął nimi poruszać rytmicznie, wymuszając w ten sposób dopływ ciepłej krwi.

Szczęście znowu mu dopisało – dwa razy to za wiele jak na jedną noc. Najpierw ten patrol, który przeprowadził go przez zasiałki, a teraz ta cienka, biała powłoka naturalnego kamuflażu, która stopi jego kształty ze spletanymi korzeniami dębu. Za dużo tego szczęścia naraz, każde wahadło zaczyna się kiedyś wychylać w drugą stronę.

Ciemności powoli rzedyły, poszerzając jego pole widzenia, a w miarę, jak się rozwidniało, cała świadomość bytu Marka koncentrowała się coraz bardziej w tych dwóch szeroko otwartych, złoto-piwnych oczach. Poruszały się szybko tam i z powrotem, rejestrując kolejno każdą osobliwość i fałdę, każdą nierówność terenu, każdy obiekt, każdy kikut zwałonego

drzewa, każdą leżącą na ziemi gałąź, nieregularny obwód każdego leja po pocisku, wypatrując cieni tam, gdzie ich być nie powinno, szukając podejrzanych śladów pod świeżą warstwą śniegu, wypatrując, szukając – w imię przeżycia, dosłownie w imię przeżycia.

Na krótko przed dziewiątą śnieg przestał znowu padać, a do południa przetarło się na tyle, że w powłoce chmur potworzyły się dziury i pojedyncze, rozmyte promienie słońca, padając na południowy stok wzgórza, zaczęły się po nim przesuwac niczym snopy światła z reflektorów.

– No, Cuthbert, ściągnijmy na siebie trochę ognia tego Huna.

Na pożyczonej od starszego sierżanta mapie transzei Fergus zaznaczył sobie miejsca, w których od kul niemieckiego snajpera padły trupy. Otrzymał dwie położone blisko siebie czarne kropki na tym samym odcinku transzei. W tych miejscach parapet był zbyt niski w stosunku do dominującego nad okolicą wzgórza. Kiedy w tych dwóch punktach zginęło już pięciu ludzi, parapet podwyższono workami z piaskiem, a dla nieostrożnych wywieszono tabliczki z wypisanym koślawymi literami ostrzeżeniem:

UWAGA, SNAJPER! POCHYL GŁOWĘ.

Te dwie czarne kropki dzieliła w naturze odległość pięciu kroków i Fergus doszedł do wniosku, że snajper zaliczył tutaj celne trafienia, wyczekując na ofiary przechodzące transzeją. Kiedy zauważył głowę w jednym wyłomie parapetu, brał natychmiast na cel drugi i gdy przechodzący człowiek pojawił się w nim, wystarczyło mu tylko pociągnąć za spust. Przygotowując kukłę, Fergus podzielił się swym spostrzeżeniem z Seanem Courteneyem, którego polowanie na niemieckiego snajpera tak wciągnęło, że tylko wielka ofensywa sił wroga byłaby go w stanie zwabić z powrotem do kwatery głównej. Z samego rana połączył się telefonicznie ze sztabem i poinformował ich, gdzie można go znaleźć, gdyby zaszło coś ważnego.

– Tylko żeby mi to było naprawdę coś ważnego – grzmiał groźnie do słuchawki.

– Przejdę przed nim z południa na północ – wyjaśniał Fergus. – To zmusi tego cholernego Huna do odwrócenia się od stanowiska Marka i chłopak zyska dodatkową sekundę, jak tamten będzie się okręcał z powrotem w jego stronę.

Sean musiał przyznać, że Fergus MacDonald jest dobry w operowaniu kukłą. Biorąc poprawkę na podwyższony parapet, niósł ją dwie stopy wyżej, niż wynosi naturalny wzrost mężczyzny, i mijając pierwszy wyłom, nadawał jej realistyczny, kołyszący ruch ramion idącego spieszenie człowieka.

Sean, młody kapitan, zwalisty, czerwony na twarzy starszy sierżant i z pół tuzina innych żołnierzy czekali za drugim wyłomem, obserwując Fergusą krocącego pewnie w ich kierunku po deskach ułożonych na dnie transzei.

Kiedy zbliżał się do drugiego wyłomu, wszyscy instynktownie wstrzymali oddech i stężeli z napięcia.

Ze stoku wzgórza przemówił mauser; wystrzał zabrzmiał w mroźnym powietrzu jak trzask z bicia. Kukła szarpnęła się konwulsyjnie w dłoniach Fergus MacDonalda.

Fergus opuścił ją momentalnie i padł na kolana, żeby obejrzeć okrągłutki otwór w papierowej główce.

– A niech to! – wyszeptał z rozpaczą. – A niech to wszyscy diabli porwą!

– Co jest, MacDonald?

– Ten cholerny Hun... och, ten przeklęty skurwysyn...

– MacDonald!

– Wybrał sobie to samo stanowisko co mój chłopiec.

Sean nie od razu zrozumiał.

– Jest między dębami. Siedzi tuż nad Markiem. Wybrali sobie to samo stanowisko.

Zjadliwy, przeszywający huk wystrzału z mausera rozdarł powietrze tak blisko, był tak wysoki i ostry, że bębenki Marka wibrowały jeszcze przez kilka sekund komarzym bzykiem pogłosu.

Przez jakiś czas leżał ogłuszony, sparaliżowany szokiem. Niemiecki snajper znajdował się gdzieś w promieniu dwudziestu stóp od niego. Jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności wybrał sobie na stoku ten sam punkt co Mark. Nie, to nie był nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Z myśliwskim wyczuciem terenu obaj mężczyźni wybrali idealną pozycję dla przyświecającego im wspólnie celu – zadawania szybkiej śmierci z ukrycia. Wahadło szczęścia Marka wychyliło się w przeciwną stronę.

Zamilkły już ostatnie echa wystrzału, a Mark trwał nadal w bezruchu. Rwąca żyłami adrenalina wyostrzała mu wszystkie zmysły, a serce waliło z taką siłą, że czuł niemal, jak obija się o żebra klatki piersiowej.

Niemiec był gdzieś po jego lewej, trochę wyżej, tuż za jego barkiem. Płatanię korzeni dębu miał po prawej ręce, a od lewej strony nic go nie osłaniało.

Nie poruszając głową i penetrując najbliższe otoczenie samymi oczyma, nie opodal, na skraju swego pola widzenia dostrzegł drugi powalony pień dębu. Leżał nieruchomo jeszcze przez minutę, wypatrując tam kąciem oka najdrobniejszego choćby poruszenia. Niczego takiego nie zauważył, a cisza była przeraźliwa, przygniatająca – dopóki nie zmaćcała jej seria ze spandaua oddalona jakąś milę dalej.

Powolutku, jak kameleon gotujący się do ataku na muchę, Mark zaczął odwracać głowę w lewo. Zniekształcenia występujące na obrzeżach pola widzenia stopniowo ustępowały i mógł już ogarnąć wzrokiem cały stok ponad sobą.

Najbliższy pień dębu poharatał szrapnel, zrywając całą korę i wydzierając kawały żywego drewna. Drzewo zważyło się w poprzek zagłębienia terenu, tworząc nad nim jakby pomost; przy pniu utworzyła się śnieżna zaspą, ale pomiędzy pniem a grzbietem zaspą pozostała wąska szczelina. Szczelina miała pośrodku ze trzy cale szerokości i Mark dostrzegał za nią

refleksy światła odbijającego się od śniegu.

I w tym momencie wychwycił wzrokiem cień poruszenia. Było to nie tyle poruszenie co mikroskopijne drgnienie, jednak Mark je zauważył. Wpatrywał się w ten punkt przez pełne pięć sekund, zanim uświadomił sobie, co widzi.

Zza końca pnia powalonego dębu wystawał sam czubek lufy mausera. Była owinięta pakułami dla zamaskowania zarysu i zapobieżenia powstawaniu odbić światła od gładkiego metalu – ale jej złowrogi mały wylot pozostawał nie osłonięty.

Niemiec leżał za dębowym kłosem, podobnie jak Mark miał chronioną prawą flankę, zwrócony twarzą w tę samą stronę co Mark, tyle że kąt między nimi wynosił czterdzieści pięć stopni – dzieliło ich niespełna dwadzieścia stóp.

Mark obserwował koniuszek lufy mausera przez dalsze dziesięć minut. Nie poruszyła się już. Niemiec leżał nieruchomo i był cierpliwy. Przeładowawszy broń, zastygł znowu w pozycji wyczekiwania.

Jest tak dobry, że nie ma mowy, bym zdążył złożyć się do strzału, pomyślał Mark. Jeśli się tylko poruszę, usłyszysz mnie i zareaguje szybko. Bardzo szybko.

Żeby zająć dobrą pozycję strzelecką, Mark musiałby się wycofać o co najmniej dwadzieścia stóp, a zanimby je przebył, Niemiec zaalarmowany jego szamotaniną wziąłby go na muszkę. Mark był przekonany, że przeciwnik tego kalibru nie zaprzepaściłby takiej okazji.

Wlokły się długie, nieruchome, pełne wycieńczającego napięcia minuty. Markowi wydawało się, że dygocze zauważalnie każdy nerw, każdy mięsień jego ciała, ale w rzeczywistości poruszały się tylko palce obleczonej w rękawicę prawej dłoni. Był to miarowy ruch ugniatania podtrzymujący ich elastyczność i ciepłość; poruszały się jeszcze oczy w czaszce, wodząc powoli tam i z powrotem po pokierszowanym pniu dębu, i powieki, które mrugając regularnie, zgarniały z gałek ocznych łzy wyciskane napięciem i mrozem.

– Co tam się, u diabła, wyprawia? – denerwował się Fergus MacDonald, przywierając oczyma do wziernika peryskopu, dzięki któremu obserwator nie musiał się wychylać ponad obłożony workami z piaskiem parapet tranzei.

Chłopiec jest przygwożdżony. Generał Sean Courteney nie odrywał oczu od drugiego peryskopu i obracając nim lekko tam i z powrotem przeczesywał zbocze wzgórze.

– Spróbuj jeszcze raz sprowokować tego Huna Cuthbertem.

– Nie wydaje mi się, żeby drugi raz dał się na to nabrać – zaprotestował natychmiast Fergus, spoglądając na Seana tymi swoimi blisko osadzonymi oczkami, wokół których utworzyły się teraz różowe obwódki wywołane zimnem i napięciem wyczekiwania.

– To rozkaz, sierżancie. – Szerokie czoło Seana Courteneya porżyło się zmarszczkami, a ciemne brwi ściągnęły groźnie. Jego głos zabrzmiał jak pomruk starego lwa, a ciemnoniebieskie oczy ciskały błyskawice. Władczy ton i zdecydowana postawa tego człowieka wywarły wrażenie nawet na Fergusie MacDonalddie.

– Już się robi, sir – mruknął nadąsany i podszedł do kukły opartej o stopień strzelniczy.

Przeszywający trzask wystrzału z mausera rozpruł znowu powietrze i powieki zaskoczonego Marka Andersa, zatrzepotałszy odruchowo dwa razy, rozwarły się szeroko. Ze złoto-piwnych oczu utkwionych w stoku powyżej wзираła czujność polującego sokoła.

Chwilę po wystrzale usłyszał szczęk odciąganego, a zaraz potem popychanego w przód zamka mausera; snajper wprowadził nowy nabój do komory. Koniuszek owiniętej pakułami lufy znowu drgnął, ale tym razem wzrok Marka przyciągnęło co innego.

Jakieś inne poruszenie, tak minimalne, że uszłoby uwagi mniej wprawnych oczu. Ledwie tchnienie w wąskiej, trzycalowej szparze pomiędzy powalonym pnem dębu a pokrywającą ziemię warstwą śniegu. Po prostu pojedyncze drgnienie, a potem znowu nieruchomość.

Chociaż Mark wpatrywał się w szparę przez długie sekundy, nic więcej się tam nie poruszyło. Widział tylko cień i jakiś nieokreślony zarys, światło odbite zwodniczo od zalegającego tam śniegu. I wtem odróżnił coś jeszcze.

Wzór włókien tkaniny, jej cienkie srebro w wąskiej szczelinie. Teraz jego oczy wypatrzyły wreszcie szew szarego materiału wyrzuszającego się leciutko nad żywym ciałem, które okrywał.

W szczelinie majaczył maleńki fragment ciała Niemca. Leżał po drugiej stronie bała, tuż przy jego końcu, z głową skierowaną w tę samą stronę, z której wystawała lufa mausera.

Mark zaczął uzmysławiać sobie w wyobraźni proporcje ciała mężczyzny. Mając za jedyny punkt odniesienia koniec lufy, oszacował w przybliżeniu położenie jego głowy i ramion, jego tułowia i bioder...

– Właśnie, biodra, zdecydował. To jego biodra albo górny odcinek uda... i w tym momencie zmieniły się warunki oświetlenia. Słońce wymacało w pokrywie chmur słaby punkt i na chwilę zrobiło się jaśniej.

Mark rozpoznał teraz fragment wojskowego pasa z pustą pętlą, w której powinien tkwić bagnet. To utwierdziło go w domysłach. Wiedział już, że nieznaczne wybrzuszenie na szarym materiale polowego munduru odpowiada miejscu, gdzie główka kości udowej wchodzi w panewkę miednicy.

Przez obydwa biodra, pomyślał chłodno. To unieruchamiający strzał, a do tego tamtędy przebiega arteria udowa... Zaczął ostrożnie zsuwać rękawicę z prawej dłoni.

Musi przetoczyć się na bok i obrócić długą lufę swojego P. 14 ponad dziewięćdziesiąt stopni, nie wywołując przy tym najmniejszego szmeru. Boże, dopomóż, poprosił Mark w duchu. Lufa karabinu drgnęła i z rozdzierającą powolnością zaczęła się przesuwac, a on stopniowo przenosił ciężar swego ciała na drugi łokieć.

Wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim zatoczywszy P.14 pełny łuk naprowadził go wreszcie na wąską szczelinę pod pnem dębu. Zgięty we dwoje spróbował z tej niewygodnej pozycji złożyć się teraz do strzału. Nie mógł odbezpieczyć broni przed

naciśnięciem na spust; nawet cichutki, metaliczny szcęk przesuwanego bezpiecznika zaalarmowałby Niemca.

Zagiął palec na spuście i namacał kciukiem dźwigenkę mechanizmu odbezpieczającego. Wykręcając nienaturalnie szyję, wycelował dokładnie i zaczął popychać bezpiecznik kciukiem, zwiększając jednocześnie z wyczuciem nacisk palca wskazującego na spust. Musiał to robić płynnie, żeby nie zakłócić ustawienia urządzeń celowniczych zgranych na skrawku srebrzystoszarego materiału munduru.

Grzmot strzału zdał się odbić od niskiego pułapu ołowianych chmur i pocisk przemknął przez wąziutką szparę. Mark widział, jak trafia w cel, jak ciało odkształca się elastycznie pod wpływem wchodzącego weń metalu.

Usłyszał krzyk Niemca, dziki wrzask pozbawiony formy i znaczenia, i z instynktowną wprawą odciągnął zamek, by przeładować broń. Następny strzał zlał się z echem pierwszego, padły w tak krótkim odstępie czasu, że zabrzmiały jak jeden. Kolejny pocisk pomknął przez szparę i tym razem Mark zobaczył tryskającą krew, jasnoszkarłatną fontannę krwi, która zbryzgała śnieg i topiąc go własnym ciepłem rozcieńczała się, nabierając szybko bladoróżowej barwy.

Potem w szparze nic już nie było widać; siła uderzenia odrzuciła Niemca od pnia albo sam odtoczył się na bok. Tylko plama rózu kalala śnieżną biel.

Mark wprowadził do komory P.14 nowy nabój i czekał odwrócony teraz twarzą do dębowego pnia, złożony do następnego strzału. Jeśli rana nie jest rozstrzygająca, Niemiec będzie chciał się odgryźć i był na to przygotowany.

Leżał spokojny, wyprany z emocji, ale fizycznie sprężony w sobie. Każdy mięsień, każdy nerw napięty miał do ostatnich granic, wzrok wyostrzony i jasny, słuch wyczulony.

Cisza trwała jeszcze przez parę sekund – a potem dał się słyszeć jakiś dźwięk. Mark nie rozpoznał go od razu; po chwili powtórzył się. Szloch mężczyzny.

Był teraz głośniejszy, bardziej histeryczny, chwytający za serce.

– *Ach, mein Gott... mein lieber Gott...* – zawodził żałośnie męski urywany głos. – *Das Blut... ach, Gott... das Blut...*

I nagle ten płaczliwy jęk wraził się w duszę Marka, wdarł głęboko w jego świadomość.

Ręka zaczęła mu dygotać i poczuł, że znowu drżą mu usta. Spróbował zacisnąć zęby, ale i te zaszczeły dziko.

– Przestań, na Boga, przestań – wyszeptał i karabin wysunął mu się z rąk. Zatkał mocno uszy obleczonymi w rękawice dłońmi, usiłując zagłuszyć własnym krzykiem straszne zawodzenie umierającego Niemca.

– Proszę cię, proszę! – zawołał błagalnie. – Proszę cię, przestań.

I Niemiec chyba go usłyszał.

– *Hilf mir, lieber Gott... das Blut!* – Głos mu się załamał i przeszedł w bezsilny jęk rozpacz. Pod wpływem nagłego impulsu Mark zaczął pełznąć na ślepo przez śnieg pod górę.

– Już idę. Wszystko w porządku – mruzczał. – Tylko przestań. – Czuł, że traci zmysły.

– *Ach, mein lieber Gott, ach, meine Mutti...*

– Jezu... przestań. Przestań.

Czołgając się, Mark okrążył koniec dębowego kloca.

Niemiec na wpół siedział, na wpół leżał oparty o pień. Obiema dłońmi usiłował nadaremnie zatamować fontannę jasnej, pulsującej krwi tętniczej, tryskającą mu między nieporadnymi palcami. Dwa pociski strzaskały mu oba biodra i otaczała go papkowata breja zmieszanego z krwią śniegu.

Odwrócił głowę i spojrzał na Marka. Z twarzy odpływał mu już kolor, robiła się popielata i lśniła od drobniutkich kropelek potu. Niemiec był młody, w wieku Marka, ale szybko zbliżająca się śmierć wygładziła mu rysy, przez co wyglądał jeszcze młodziej. Była to twarz marmurowego anioła. Gładka i biała, i dziwnie piękna. Z siniejących oczodołów patrzyły błękitne oczy, spod hełmu na gładkie czoło spadała grzywa bladozłotych kędziorów.

Otworzył usta i powiedział coś, czego Mark nie rozumiał. Zęby miał białe i równe, wargi pełne i bezkrwiste.

Potem Niemiec, nie spuszczać z Marka wzroku, osunął się wolno po pniu. Uciskające krocze dłonie opadły bezwładnie, a pulsujący regularnie gejzer krwi tryskający z rozharatanego ciała osłabł i zanikł. Bładobłękitne oczy zatraciły gorączkowy połysk, zmatowiały i zapatrzyły się w przestrzeń.

Mark poczuł, jak materia jego umysłu trzeszczy niczym zaczynający się pruć jedwab. Było to niemal fizyczne doznanie – słyszał, jak coś w nim puszcza.

W oczach mu pociemniało, twarz martwego Niemca rozplynęła się niczym topniejący воск, by po chwili zacząć się na powrót formować. Czuł, jak rozdarcie powiększa się, jak rozłazi się delikatna niczym muślin struktura jego rozumu; pod nią była tylko ciemność i rozbrzmiewająca echemi otchłań.

Rysy martwego Niemca nabierały z wolna ostrości, aż wreszcie stężyły i Markowi wydało się, że patrzy w falujące, krzywe zwierciadło, w którym widzi odbicie własnej twarzy. Własnej widmowej twarzy o złoto–piwnych przerażonych oczach i otwartych ustach, które były jego ustami – i z tych ust wydobył się krzyk niosący w sobie rozpacz i cierpienie całego świata. Huragan zgrozy porwał ostatnie strzępy zdrowego rozsądku i Mark usłyszał własny krzyk – i poczuł, że biegnie, że nogi same go niosą, ale w głowie panowała tylko czerń, a ciało miał lekkie i nieważkie niczym ciało ptaka w locie. Mark Anders nie zwrócił nawet uwagi na potężne jak ciosy młotkiem uderzenia dwóch pocisków, które weszły mu z impetem w plecy.

Fergus MacDonald płakał. Sean przyglądał mu się z zaskoczeniem; nie spodziewał się po tym człowieku podobnej reakcji. Łzy wyslizgiwały mu się powoli z oczu o różowych obwódkach i Fergus strącił je z rzęs jednym rozeźlonym ruchem.

– Czy wolno prosić o pozwolenie wysłania patrolu, sir? – spytał i młody kapitan zerknął niezdecydowanie na Seana ponad ramieniem sierżanta.

Sean skinął ledwie zauważalnie głową.

– Sądźcie, że znajdziecie ochotników? – spytał niepewnie kapitan.

– Ochotnicy się znajdują, sir – odburknął czerwony na twarzy sierżant – chłopaki są pod wrażeniem wyczynu tego młodzika.

– No to dobrze... jak tylko się ściemni.

Znaleźli Marka niedługo po ósmej wieczorem. Leżał przewieszony przez zardzewiałą drut kolczasty rozciągnięty u stóp wzgórza i wyglądał jak połamana lalka. Fergus MacDonald musiał go wycinać nożycami z zasieków i minęła blisko godzina, zanim, brnąc z noszami przez błoto i topniejący śnieg, dotaszczyli go z powrotem do brytyjskich linii.

– Nie żyje – stwierdził generał Courteney, spoglądając w świetle latarni na białą, wycieńczoną twarz leżącego na noszach chłopca.

– Żyje, żyje – zapewnił go skwapliwie Fergus MacDonald. – Nie tak łatwo zabić mojego chłopca.

Lokomotywa zagwizdała przeraźliwie, wtaczając się z turkotem na stalową konstrukcję mostu. Srebrzysta para wystrzeliła wysoko jasnym pióropuszem, by po chwili rozwiać się na wietrze.

Mark Anders wychylił się daleko przez barierkę pomostu jedyne w składzie wagonu pasażerskiego i ten sam wiatr zmierzwił mu brązową czuprynę, a deszcz gorących kropek popiołu wywianego z pieca sparzył policzek. Chłopak nie zważał jednak na to i mrużąc oczy wpatrywał się w koryto rzeki, nad którą z łoskotem przejeżdżali.

Przepłynąwszy pod trzciniami, woda napotykała na swej drodze pylony mostu, zdeorientowana kręciła się przez chwilę w kółko, a potem, zielona, silna i pełna, podejmowała swą podróż ku morzu.

– Wysoki poziom jak na tę porę roku – mruknął głośno Mark – staruszek będzie się cieszył – i poczuł, jak odwykłe usta rozciągają się w uśmiechu. Przez ostatnie miesiące rzadko mu się to zdarzało.

Lokomotywa przemknęła przez stalowy most i przypuściła natarcie na zaczynające się zaraz za nim wzniesienie. Rytm jej silnika natychmiast uległ zmianie, a szybkość spadła.

Mark pochylił się, podniósł z pomostu swój stary wojskowy plecak, otworzył bramkę w barierce i zszedłszy na metalowe stopnie zawisł na jednej ręce nad umykającym w tył tłuczniem torowiska.

Pociąg wytracał coraz bardziej szybkość na rosnącej stronie wzniesienia. Mark zsunął plecak z ramienia, wychylił się daleko i upuścił go najdelikatniej, jak potrafił, na tłuczeń. Plecak odbił się od ziemi i potoczył w dół po skarpie nasypu, by wpaść z impetem pędzącego żywego stworzenia w rosnące u podnóża krzaki.

Teraz Mark sam przyczał się w półprzysiadzie nad mknącą ziemią. Wyczuwając precyzyjnie moment, kiedy pociąg przetaczał się przez szczyt wzgórza, puścił się poręczy i zeskoczył na skarpe. W momencie zetknięcia się z ziemią zaczął biec, podając się w przód dla skompensowania siły zderzenia. Żwir usuwał mu się spod nóg.

Utrzymał się na nogach. Kiedy wyhamował i zatrzymał się, mijał go właśnie z turkotem ostatni wagon składu. Konduktor stojący na pomoście spojrział nań groźnie i krzyknął:

– To wbrew przepisom!

– Przyślij pan szeryfa! – odkrzyknął Mark i zasalutował mu ironicznie. Lokomotywa posapując potężnie rozpędzała się już na zjeździe po przeciwległym stoku i rytm stukotu kół na złączach szyn przybierał gwałtownie na częstotliwości. Konduktor pogroził mu pięścią. Mark odwrócił się do niego plecami.

Wstrząs przy skoku sprawił, że znowu odezwał się ból w plecach. Mark wsadził rękę pod koszulę i patrząc na tory pomacał się pod pachą. Namacał dwa wgłębienia pod łopatką i po raz nie wiadomo który zdumiał się, jak blisko wybrzuszeń kości kręgosłupa znajdowało się jedno z nich. Nowa skóra w tym miejscu była w dotyku atlasowa, niemal niewrażliwa, a przecież zabliznianie się ran trwało długie miesiące. Mark wzdrygnął się mimowolnie na samo wspomnienie turkotu wózka, na którym rozwożono środki opatrunkowe, i beznamietnej, prawie męskiej twarzy matrony upychającej długie bawełniane zwitki w otwartych wargach ran postrzałowych; pamiętał też powolne, rozdzierające katusze towarzyszące wyciąganiu nasiąkniętych krwią tamponów błyszczącymi, stalowymi szczypcami, swój spazmatyczny oddech i szorstki, bezosobowy głos matrony:

– Oj, nie bądź dzieckiem!

Upływał dzień po dniu, tydzień po tygodniu, aż wreszcie błogosławną ulgę przyniosło rozżarzone, gorączkowe delirium zapalenia płuc, które zaatakowało jego uszkodzone pociskiem płuco. Jak długo to trwało – od francuskiego lazaretu polowego pośród zmieszanego z błotem śniegu rozjeżdżonego przez ambulanse, gdzie drużyny grabarskie kopały groby zaraz za namiotami, do szpitala ogólnego pod Brighton, łaźni dusznych tropików na pokładzie statku szpitalnego przemierzającego południowy Atlantyk, oraz szpitala dla rekonwalescentów z zadbanymi trawnikami i ogrodami – jak długo? W sumie czternaście miesięcy, podczas których wojna niezasluzenie nazywana już przez ludzi „wielką”, dobiegła końca. Cierpienie i delirium zatarły w pamięci upływ czasu, ale i tak zdawało się to trwać tyle co całe ludzkie życie.

Przeżył jedno życie pośród zabijania i rzezi, pośród bólu i cierpienia, a teraz rodził się na nowo. Ból w plecach ustępował szybko. Przemknęło mu przez myśl, że rany prawie się już wygoiły. Uszczęśliwiony tym odpędził od siebie mroczne, straszne wspomnienia i zaczął się zsuwać po skarpie, żeby poszukać plecaka.

Do Anderslandu było niemal czterdzieści mil z biegiem rzeki, a pociąg trzymał się rozkładu – dochodziło już południe. Mark zdawał sobie sprawę, że nie pokona takiej

odległości przed wieczorem dnia następnego – i rzecz dziwna, teraz, kiedy był już prawie w domu, pragnienie jak najszybszego znalezienia się w nim gdzieś się ulotniło.

Szedł lekko, wpadając od razu w rytm wydłużonego, znajomego kroku myśliwego. Kiedy tylko świeżo zaleczone rany przestały doskwierać, zarzucił sobie plecak na ramiona i maszerował, rozkoszując się zdrowym, chłodnym potem zraszającym mu twarz i ciało pod cienką bawełnianą koszulą.

Wieloletnia nieobecność wyostrzyła u niego wrażliwość na piękno świata, który teraz przemierzał, i to, co dawniej ledwie zauważał, teraz napępniało go nowym, nieznanym zachwytem.

Nadrzeczne zarośla tętniły życiem: tęczowe ważki, trzepocząc przezroczystymi skrzydełkami, śmigały tuż nad powierzchnią wody albo parzyły się w locie – samczyk przywierał do grzbietu samiczki i wygiętym w łuk długim, połyskliwym odwłokiem dotykał jej odwłoka; hipopotam, który wyskoczył jak korek na powierzchnię z donośnym prychnięciem, gapił się na idącego brzegiem Marka różowymi; wodnistymi oczkami, strzygąc przy tym małymi uszami i pływając się w zielonym wirującym nurcie niczym wielgachny czarny balon.

Szło się tędy niczym przez starożytny raj, jeszcze przed nastaniem człowieka, i Mark uświadomił sobie, że tego właśnie potrzeba było jego ciału i psychice, by proces odzyskiwania zdrowia mógł dobiec wreszcie końca.

Obozował tej nocy na trawiastym, urwistym cyplu nad rzeką, ponad terenami łowieckimi moskitów i nieprzyjemnym mrokiem gęstych zarośli.

Po północy obudził go chrapliwy ryk leoparda dolatujący z dołu, znad samej rzeki. Leżał nasłuchując, jak kot odchodzi powoli pod prąd nurtu, dopóki jego pomruki nie ścichły wśród stromych turni wyżyny. Nie zasnął potem od razu, tylko leżał rozmyślając z przyjemnym dreszczykiem podniecenia o czekającym go dniu.

Przez ostatnie cztery lata codziennie, nawet w te bardzo złe dni ciemności i majaków, myślał o staruszku. W niektóre z tych dni było to tylko przelotne wspomnienie, w inne ogarniała go jakaś obsesja i wtedy czuł się jak stęskniony uczeń szkoły z internatem torturujący się myślami o domu. Domem, zarówno matką, jak i ojcem, którego Mark nie znał, był mu oczywiście staruszek. Był tam zawsze, od jego najwcześniejszych, mglistych wspomnień aż do chwili obecnej, niezmienny w swej sile i mądrej wyrozumiałości.

Przywołując z pamięci wyraźny obraz staruszka siedzącego w twardej, rzeźbionym fotelu bujanym na przestronnej werandzie z desek, w starej, wygniecionej koszuli khaki, prowizorycznie połataniej i na gwałt dopominającej się prania, rozchełstanej pod szyją i odsłaniającej gęstwą srebrnobiałych włosów na piersi; tę szyję i policzki pomarszczone jak u indyka, ale spalone na ciemny brąz i pokryte szczecina pięciodniowego srebrzystego zarostu iskrzącego się niczym tłuczone szkło; te połyskliwe białe, imponujące wąsiska o końcach skręconych w zawiadackie szpice i usztywnionych woskiem, ten szerokoskrzydły kapelus

nasunięty głęboko na jasne, wesołe oczy koloru toffi.

Mark poczuł głębokie, fizyczne ukłucie tęsknoty. Z tym przepeczonym kapeluszem, z brudną jak święta ziemia wstążką nigdy się nie rozstawał, nigdy go nie zdejmował, nawet do posiłków – a Mark podejrzewał, że nawet kładąc się spać do swego wielkiego mosiężnego łóżka.

Markowi stanął przed oczyma staruszek przerywający struganie, przesuwający prymkę językiem na drugi policzek i strzykający śliną do pięciogalonowej puszeki po złotym syropie od Tate'a i Lyle'a, która służyła mu za spluwaczkę. Trafiał do niej pewnie z odległości dziesięciu stóp nie uroniwszy ani kropli ciemnobrązowego soku, a potem kontynuował, jak gdyby nigdy nic opowieść. A cóż to były za opowieści! Słuchającemu ich małemu chłopcu wysadzały oczy z orbit i budziły nocą, każąc zaglądać lękliwie pod łóżko.

Mark przypominał sobie staruszkę w banalnych, zdawałoby się, sytuacjach, na przykład schylającego się po garść tłustej gleby i przesiewającego ją między palcami, a potem ocierającego dłoń o siedzenie spodni z dumnym zawziętym wyrazem na zniszczonej, starej twarzy. „Dobra ziemia – Andersland”, mówił i kiwał głową jak mędrzec. Przypominał go sobie w sytuacjach doniosłych, jak stoi obok Marka, wysoki i chudy, w gęstym, ciemnym buszu, z grzmiącym i dymiącym karabinem martini henry u ramienia, jak odrzut broni wstrząsa jego słabym, starym ciałem, a na nich szarżuje niczym czarna skała, oszalały od odniesionych ran bawół.

Minęły cztery lata, od kiedy widział go po raz ostatni, od kiedy po raz ostatni miał od niego wiadomości. Z początku pisywał długie, pełne tęsknoty za domem listy, ale staruszek nie potrafił ani czytać, ani pisać. Mark miał nadzieję, że może pójdzie z nimi do kogoś znajomego, może do kierowniczkę poczty, kto mu je przeczyta i pomoże odpisać Markowi.

Była to płonna nadzieja. Duma nigdy nie pozwoliłaby się staruszkowi przyznać przed obcym, że nie umie czytać. Mimo to Mark nie zaprzestał przez wszystkie te lata wysyłania listów do domu, po jednym co miesiąc; ale dopiero jutro dowie się, co działo się ze staruszką przez cały ten czas.

Zasnął w końcu znowu i przespał kilka godzin. Obudził się przed brzaskiem, rozpałił ognisko i zaparzył sobie kawy. Zamierzał ruszyć w drogę, kiedy tylko rozwidni się na tyle, by widział ziemię pod stopami.

Obserwował ze skarpy słońce wylaniające się z morza. Wysoko nad odległym oceanem unosiły się góry burzowych cumulusów, które podświetlone wschodzącym słońcem rozjarzyły się czerwieniami i różami, szkarłatami i ciemnymi purpurami, a każdą chmurę obwiodł jasny, czerwonozłoty kontur i przeszły snopy światła.

Teren pod stopami Marka opadał ku nadbrzeżnym nizinom, tej żywej, nadmorskiej krainie gęsto zalesionych dolin i łagodnych, porośniętych złocistą trawą wzgórz, która ciągnie się aż po bezkresne, białe plaże Oceanu Indyjskiego.

Poniżej miejsca, w którym stał Mark, o podnóże skarpy ocierała się rzeka. Przeskakiwała

płatami bieli i srebra z wilgotnych czarnych głazów w głębokie, ciemne rozlewiska, które obracały się spienione niczym ogromne koła, jak gdyby odpoczywając przed następnym dzikim skokiem ku morzu.

Markowi dopiero teraz zaczęło się śpieszyć. Ruszył stromą ścieżką w dół, gnany tą samą niecierpliwością co rzeka, ale kiedy znalazł się wreszcie na ciepłej, sennej równinie rozciągającej się u podnóża skarpy, słońce stało już wysoko.

Rzeka rozlewała się tu szerzej i była płytsza. Zmieniwszy całkowicie swój temperament, wiała się teraz meandrami pomiędzy piaszczystymi brzegami. Pojawiły się nowe gatunki ptactwa, inne zwierzęta buszowały w lesie i na wzgórzach, ale Mark nie miał już dla nich czasu. Nie zwracając niemal uwagi na stada długonogich, długodziobych bocianów i ibisów sejmikujące na nadrzecznych piaskach, nawet kiedy te ostatnie podniosły swoją dziką, przypominającą śmiech szaleńca wrzawę, maszerował pospiesznie przed siebie.

Zbliżał się do pewnego miejsca, zaznaczonego tylko małym kopczykiem usypanym u stóp ogromnego, dzikiego figowca, miejsca, które miało dla niego szczególne znaczenie, bo wyznaczało zachodnią granicę Anderslandu.

Mark zatrzymał się, by poprawić zrujnowany kopczyk wznoszący się między szarymi łuskowatymi korzeniami, które pełzły poprzez grunt niczym przedpotopowe gady, i kiedy pracował, z konarów drzewa ponad jego głową poderwało się z głośnym furkotem skrzydeł stado tłustych zielonych gołębi posilających się tam kwaśnymi żółtymi owocami.

Ruszył spod figowca z nową lekkością i sprężystością kroku, nową werwą i nową jasnością w oczach – bo znowu stapał po Anderslandzie. Osiem tysięcy akrów tłustego, czekoladowego czarnoziemiu, czteromilowy odcinek biegu rzeki, żadnych kłopotów z wodą, łagodnie zaokrąglone wzgórza porośnięte gęstą, słodką trawą, Andersland, nazwa, którą staruszek nadał tym terenom przed trzydziestu laty.

Uszedłszy pół mili, Mark miał już rozstać się z rzeką, by dotrzeć do zabudowań farmy skrótem prowadzącym przez następne wzgórze, kiedy nagle rozległ się stłumiony odległością grzmot, od którego jednak zadygotała ziemia, a zaraz potem w nieruchomym ciepłym powietrzu dał się słyszeć słaby gwar ludzkich głosów.

Mark zatrzymał się zaintrygowany i nastawił ucha. Grzmot powtórzył się znowu, ale tym razem towarzyszył mu trzask i łoskot łamanych gałęzi i krzaków. Charakterystyczne odgłosy walących się drzew.

Porzucając swój pierwotny zamiar, Mark poszedł dalej brzegiem rzeki, by po niedługim czasie stwierdzić, że las urywa się nagle, ustępując miejsca otwartej przestrzeni, która w pierwszej chwili skojarzyła mu się z tymi straszliwie spustoszonymi polami Francji, porytymi i pooranymi przez pociski i materiały wybuchowe do tego stopnia, że spod spodu wyzierała surowa, skotłowana ziemia.

Nad rzeką uwijały się grupki ciemnoskórych mężczyzn w białych płóciennych przepaskach na biodra i turbanach, wycinając grube drzewa i karczując zarośla. Z początku

Mark nie mógł zrozumieć, kim są ci dziwni ludzie, ale zaraz przypomniało mu się, że czytał w gazecie o tysiącach hinduskich robotników sprowadzonych do pracy na nowych plantacjach trzciny cukrowej. Ci tutaj byli chudzi, żyłaści, bardzo ciemni i uwijali się nad brzegiem rzeki niczym kolonia mrówek. Były ich setki – nie, Mark uświadomił sobie teraz, że nie setki, lecz tysiące – a do tego woły. Wielkie zaprzęgi tych zwalistych, silnych zwierząt stapały ociężale, zwlekając na stosy powalone drzewa przeznaczone do spalania.

Niezupełnie rozumiejąc, co widzi, Mark wspiął się na wzniesienie górujące nad rzeką. Ze szczytu roztaczał się niczym nie przesłaniany widok na Andersland – i tereny leżące dalej na wschód, w kierunku morza.

Spustoszenia ciągnęły się jak okiem sięgnąć i teraz dostrzegł jeszcze coś zastanawiającego. Całą tę ziemię zaorywano. Otwartą przestrzeń, jaka pozostała po wykarczowanym lesie i zniwelowanych pastwiskach, przemierzały powoli, jeden za drugim, zaprzęgi wołów ciągnące pługi, a przewracana lemieszami żyzna czekoladowa ziemia układała się za nimi w grube, połyskliwe bruzdy. Okrzyki oraczy i stłumione trzaski długich batów niosły się aż do miejsca na zboczu wzgórza, gdzie stał oszołomiony Mark.

Przysiadł na głazie i przez blisko godzinę, targany niepokojem, przyglądał się pracującym ludziom i wołom. Niepokoiło go znaczenie tego, co widzi. Staruszek nigdy nie dałby zrobić czegoś takiego swojej ziemi. Nienawidził pługa i topora, zbyt głęboką miłością darzył te wspaniałe drzewa, które teraz jęczały i waliły się z trzaskiem pod ciosami siekier. Staruszek strzegł swych pastwisk jak ostatni skąpiec, jak gdyby były tak cenne, jak to sugerowała ich złocista barwa. Nigdy by nie dopuścił do ich zaorania – nie dopuściłby do tego, gdyby żył.

I to właśnie niepokoiło Marka. Gdyby żył. Bo przecież, na Boga, za nic nie sprzedałby Anderslandu.

Markowi wcale nie było spieszno do poznania odpowiedzi. Musiał zmobilizować całą siłę woli, by wstać i zejść ze wzgórza.

Ciemnoskórzy robotnicy w turbanach nie rozumieli jego pytań, ale ekspresyjnymi gestami wskazali mu grubego draba w bawełnianej kurtce, który przechadzał się wyniośle od brygady do brygady, chłoszcząc nagie, czarne plecy cienką laseczką albo przystając, by dokonać mozolnie jakiegoś wpisu do ogromnej czarnej księgi. Podniósł na Marka zdumiony wzrok i widząc przed sobą białego, przyjął natychmiast uniżoną postawę.

– Dzień dobry, panie... – urwał i jego błyszczące, chytne oczka otaksowały szybko Marka. Nie uszły ich uwagi jego młody wiek, nie ogolone policzki, lichy wojskowy mundur wybrudzony w długiej podróży i wymiętoszony od niezdejmowania do snu. Oczywiście było, że cały dobytek tego młodzieńca mieści się w jego plecaku. – Prawdę powiedziałwszy, nie potrzeba nam tu już ludzi do pracy. – Maniery draba zmieniły się w oka mgnieniu, stały władcze. – Ja tu jestem nadzorcą...

– To się dobrze składa. – Mark skinął głową. – Może dowiem się od ciebie, co ci ludzie robią w Anderslandzie.

Ten typ działał mu na nerwy. Znał wielu mu podobnych w wojsku – gnębili słabszych, lizali tyłki silniejszym i starszym rangą.

– Bez wątpienia przygotowujemy ziemię pod uprawę cukru.

– Ta ziemia należy do mojej rodziny – powiedział Mark i drab z miejsca znowu zmienił front.

– Ach to pan jest ze spółki z Ladyburga, szanowny paniczku?

– Nie, nie, my mieszkamy tutaj. W tym domu. – Mark wskazał na szczyt wzgórz, za którym wznosiły się zabudowania. – To nasza ziemia.

Drań zachichotał jak tłusty, czarny dzieciak i pokręcił głową.

– Nikt tam teraz nie mieszka. Niestety! Wszystko to jest własnością spółki. – I zatoczył ręką szeroki łuk, obejmując tym gestem cały krajobraz, od skarpy do morza. Niedługo wszędzie tu będzie cukier, zobaczysz. Cukier i tylko cukier. – I znowu się roześmiał.

Ze szczytu wzgórz stary dom wyglądał tak samo, jak zawsze – pomalowany na zielono dach z blachy falistej wystający z ciemnej zieleni sadu – ale podszedłszy bliżej zarośniętą ścieżką biegnącą obok kurnika, Mark zauważył, że ze wszystkich okien powyjmowano szyby, pozostawiając ślepe, czarne prostokąty, i że na szerokiej werandzie nie ma ani jednego mebla. Znikł z niej fotel bujany, a pokryty krokwią daszek zapadł się w jednym końcu; od ściany odstawiała obłuzowana rynna.

Ogród był zapuszczony i wyglądał tak, jakby nikt się nim od dawna nie zajmował; rozbuchana roślinność zaczynała atakować sam dom. Staruszek utrzymywał go zawsze w należyтым stanie, codziennie wymiatając nawet liście spod drzew i pomalowanych na biało uli ustawionych równymi rzędami w ich cieniu. Ktoś splądrował ule z brutalną niefrasobliwością, rozłupując je siekierą.

Izby stały puste, oczyszczone ze wszystkiego, co mogło przedstawiać jakąkolwiek wartość, wyniesiono nawet stary czarny piec na drzewo z kuchni i tylko na werandzie wałała się spluwaczka z puszkki od Tate’a i Lyle’a; jej rozlana zawartość pozostawiła ciemną plamę na deskach podłogi.

Mark przechodził powoli z jednej pustej izby do drugiej, a chrzęst nawianych przez wiatr suchych liści pod stopami napędzał go strasznym poczuciem straty i żalu.

Z sieci utkanych w narożnikach i między framugami drzwi obserwowały go miriady błyszczących oczek wielkich czarnych i żółtych pajaków.

Mark wyszedł przed dom i skierował swe kroki na mały rodzinny cmentarzyk. Z ulgą stwierdził, że nie przybyło na nim nowych mogił. Babka Alice, jej starsza córka i kuzyn zmarli jeszcze przed przyjściem Marka na świat. Nadal tylko trzy groby – staruszka tu nie było.

Mark ściągnął ze ściany wiadro, upił z niego parę łyków chłodnej, słodkiej wody, po czym zaszedł do ogrodu i narwał sobie garść gaww i jednego dojrzałego żółtego ananasa. Po podwórzu za domem przechadzał się młody kogucik, któremu udało się ujść przed

szabrownikami. Mark stracił dobre pół godziny, zanim celnie ciśniętym kamieniem strącił go wreszcie z dachu w rozwrzeszczanym kłębowisku piór.

Oskubany i wypatroszony powędrował do menażki zawieszanej nad ogniskiem, które Mark rozniecił na podwórku za domem. Kiedy się ugotował, Markowi wpadła nagle do głowy pewna myśl.

Wszedł z powrotem do domu, ukląkł w rogu sypialni staruszka, tam gdzie dawniej stało wielkie mosiężne łoże, i wymacał obluzowaną deskę. Podważył składanym nożem pojedynczy gwóźdź, którym była przybita, i uniósł ją.

Wsunął rękę do znajdującej się pod nią dziury i wyciągnął stamtąd najpierw gruby plik kopert związanych kawałkiem rzemienia. Przesuwając kciukiem po brzegu paczuski, przerzucił koperty jedna po drugiej i stwierdził, że ani jednej nie otworzono. Wszystkie zaadresowane były jego własnym nerwowym pismem. Przechowywano je pieczołowicie w tym schowku. Jednak nie było tam wszystkich listów, jakie wysłał do domu. Ich kolekcja urywała się nagle i oglądając ostatnią kopertę, Mark zauważył, że nosi stempel pocztowy sprzed jedenastu miesięcy. Poczul dławienie w gardle i zapiekły go wzbierające łzami oczy.

Odłożył na bok paczuszkę listów i ponownie wsunął rękę do skrytki pod deską, by wyciągnąć z niej puszkę po herbacie mazzawatee z wizerunkiem babci w okularach w drucianej oprawce na wieczku. Był to skarbczyk staruszka.

Wyniósł puszkę i plik listów na podwórko za domem, bo zapadał zmierzch i w nie oświetlonych izbach robiło się już ciemno. Usiadł na progu kuchni i otworzył puszkę po herbacie.

Zawierała skórzaną sakiewkę z czterdziestoma złotymi suwerenami – na kilku widniała głowa Krugera, starego prezydenta Republiki Południowej Afryki, na innych głowy Edwarda i George’a. Mark wsunął sakiewkę do wewnętrznej kieszeni kurtki i w gasnącym świetle dnia przejrzał resztę skarbu staruszka. Składały się nań poźółkłe i postrzępione na brzegach ze starości fotografie babci Alice jako młodej kobiety, stare wycinki z gazet na temat wojny burskiej, parę sztuk taniej kobiecej biżuterii, tej samej, w której babka Alice występowała na fotografiach, medal w ozdobnym puzderku – medal Królewskiej Południowej Afryki z sześcioma belkami, w tym trzy za kampanię tugelską, transwalską i spod Lasysmith, świadectwa szkolne Marka z Ladyburg School oraz jego dyplom ukończenia University College w Port Natal – to staruszek cenił sobie szczególnie, otaczał czią, jaką każdy analfabeta żywi do nauki i słowa pisanego. Do wykształcenia wnuka przykładał taką wagę, że aby pokryć koszty jego edukacji, sprzedał część swego nagromadzonego na wystawach inwentarza. Oprócz złotych suwerenów puszka po herbacie nie zawierała niczego, co przedstawiałoby jakkolwiek wartość, ale dla staruszka były to bezcenne skarby. Mark wsypał wszystko skrupulatnie z powrotem do puszek i włożył ją do plecaka.

W zapadającym zmierzchu zjadł żyłastego kogucika i owoce, a potem legł na drewnianej kuchennej podłodze i owinąwszy się w koc, oddał się rozmyślanom.

Był pewien, że staruszek, gdziekolwiek się udał, zamierza wrócić do Anderslandu. Gdyby nie miał takiego zamiaru, za nic w świecie nie zostawiłby tu swojego skarbu.

Obudził Marka bolesny kopniak w żebra. Przekręcił się na plecy i usiadł, z trudem chwytając oddech.

– Wstawaj! Rusz dupę i zabieraj się stąd!

Nie rozwidniło się jeszcze całkowicie, ale Mark odróżniał w półmroku twarz mężczyzny. Była to twarz gładko wygolona, o silnie zarysowanej szczęce, a zęby wyglądały jak spiłowane w płaską, równą linię – olśniewająco białe na tle ciemnej opalenizny. Mężczyzna głowę miał okrągłą niczym armatnia kula i sprawiającą wrażenie bardzo ciężkiej, bo trzymał ją na grubej szyi nisko, jak bokser wagi ciężkiej składający się do ciosu.

– Wstawaj! – powtórzył i zdartym brązowym butem do jazdy konnej zamierzył się do kolejnego kopniaka.

Mark podniósł się z podłogi i przyjął postawę obronną. Stwierdził teraz, że mężczyzna jest od niego niższy, ale krępy i masywny, szeroki w barach i grubej kości.

– To teren prywatny, nie chcemy tu włóczęgów.

– Nie jestem włóczęgą – zaczął Mark, ale mężczyzna nie dał mu skończyć, parszcząc kpiącym rechotem.

– No rzeczywiście, to wyszukane ubranko i rolls-royce zaparkowany pod drzwiami, że też od razu się nie zorientowałem.

– Nazywam się Mark Anders – podjął Mark. – Ta ziemia należy do mego dziadka, Johna Andersa...

Wydawało mu się, że w oczach mężczyzny ujrzał jakiś błysk, jakąś zmianę w układzie jego ust, może zawahanie albo niepokój. Nieznajomy oblizał usta szybkim, nerwowym przesunięciem języka, ale kiedy się odezwał, głos miał nadal matowy i spokojny.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ja wiem tylko, że ta ziemia należy teraz do Ladyburg Estates, a ja jestem brygadzystą z ramienia spółki i ani ja, ani Firma nie życzy sobie, żebyś się tu kręcił – urwał i przyjął groźną postawę, pochylając ramiona i wysuwając swoją okazałą szczękę – i wiem jeszcze jedno, a mianowicie to, że od czasu do czasu lubię rozwalić komuś łeb, a Bóg mi świadkiem, jak dawno żadnego nie rozwaliłem.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i Mark poczuł raptem, jak spływa na niego gorąca fala gniewu. Zdając sobie w pełni sprawę, jak potężnego i niebezpiecznego przeciwnika ma przed sobą, zapragnął jednak podjąć jego wyzwanie. Mężczyzna miał wygląd zabójcy, odpowiednią do tego wagę i siłę, ale Mark czuł, że potrafi mu sprostać; teraz i on pochylił ramiona.

Tamten zrozumiał znaczenie tego gestu i powitał go z wyraźnym zachwytem. Uśmiechnął się leciutko, zaciskając przy tym szczęki z taką siłą, że na szyję wystąpiły mu sploty mięśni i żył; zaczął się kołysać lekko na piętach. I nagle unosząca się w powietrzu mdląca atmosfera przemocy wzbudziła w Marku odrazę. Za dużo już jej zaznał w życiu – a teraz wdawanie się w bójkę nie miało żadnego sensu. Odwrócił się i podniósł z podłogi swoje buty.

Mężczyzna może trochę zawiedziony, ale gotowy do nowej konfrontacji, obserwował go, jak się ubiera. Zarzucając plecak na ramię, Mark spytał:

– Jak się nazywasz?

Mężczyzna, chociaż nadal bojowo nastawiony, odpowiedział swobodnie:

– Przyjaciele mówią mi Hobday.

– Hobday jak?

– Po prostu Hobday.

– Zapamiętam to sobie – powiedział Mark. – Morowy z ciebie gość, Hobday. – Zszedł po schodkach na podwórze i kiedy po piętnastu minutach obejrzał się za siebie ze szczytu wzgórza, którym przebiegała droga do położonego na północ Ladyburga, Hobday stał wciąż na kuchennym podwórku Anderslandu i patrzył za nim.

Fred Black obserwował podchodzącego pod górę Marka. Stał oparty o barierkę zbiornika, żując miarowo prymkę, sam żylasty, opalony na czarno i suchy jak laseczka tytoniu do żucia.

Chociaż zaliczał się do bliskich przyjaciół Johna Andersa i znał Marka od kołyski, widać było, że go teraz nie poznaje. Mark zatrzymał się piętnaście kroków przed nim i zdjął kapelusz.

– Czołem, wujku Fredzie! – zawołał. Upłynęła jeszcze chwila, zanim stary, wydając dziki okrzyk radości, rzucił się w stronę Marka, by go uściskać.

– Boże, chłopcze, powiadali, żeś się dał zabić w tej Francji.

Usiedli razem na barierce zagrody dla bydła, nad wąskim przejściem, którym zuluscy pasterze przepędzali właśnie stado na skraj basenu. Krowy skakały wierzgając rozpaczliwie w głąbię śmierdzącej chemicznej kąpieli, wynurzały się po chwili z pełnym przerażenia parskaniem i zadzierając w górę nozdrza płynęły czym prędzej ku pochylni po przeciwległej stronie zbiornika.

– Prawie rok, jak stary nie żyje – nie, dłużej, teraz będzie już ponad rok, chłopcze. Przykro mi. Nie przyszło mi do głowy, żeby dać ci znać. Jak powiedziałem, myśleliśmy, że poległeś we Francji.

– Wszystko w porządku, wujku Fredzie.

Mark z zaskoczeniem stwierdził, że wiadomość o śmierci dziadka zupełnie nim nie wstrząsnęła. Pogodził się z nią i tylko gdzieś na dnie duszy pozostał żal. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Starzec rozumiał, co czuje.

– Jak... – Mark zawahał się nad doborem stosownego słowa – ...jak odszedł?

– No więc... – Fred Black zdjął kapelusz i z lubością pogładził swoją łysą różową pałę. – To wszystko stało się nagle. Wybrał się z Pietem Greylingiem i jego synem do Bramy Chaki, żeby trochę poklusować i zrobić sobie mały zapasik suszonego mięsa.

Jak żywe powróciły wspomnienia. Bramą Chaki nazywano ogromny dziewiczy obszar na północy, gdzie staruszek nauczył go myśliwskiego rzemiosła. Dawno temu, w 1869 roku,

tereny te ogłoszone rezerwatem dzikiej zwierzyny, ale nie powołano żadnej straży i ludzie z północnego Natalu i Zululandu uważali je za swoje prywatne tereny łowieckie.

– Piątego dnia stary nie wrócił do obozu. Szukali go przez cztery następne dni, zanim go znaleźli. – Urwał znowu i zerknął na Marka. – Dobrze się czujesz, chłopcze?

– Tak, zupełnie dobrze. – Mark nie pojmował, jak jego, który widział tylu umierających ludzi i który tylu sam zabił, może jeszcze tak poruszyć śmierć jednego starego człowieka. – Mów dalej, wujku Fredzie.

– Piet opowiadał, że wyglądało to tak, jakby się poślizgnął, wspinając po stromiznie, upadł na karabin i ten sam wypalił. Dostał w brzuch. – Odprowadzili wzrokiem ostatnią krowę skaczącą do kąpieli i Fred Black zsunął się sztywno z bariery. Przez chwilę trzymał się za nasadę kręgosłupa. – Starzeję się – mruknął i ruszył w stronę swego domu, a Mark podreptał za nim. – Piet z synem pochowali go tam. Nie nadawał się do transportu, przez cztery dni leżał na słońcu. Oznaczyli to miejsce i po powrocie do Ladyburga złożyli zeznanie pod przysięgą w magistracie.

Fredowi Blackowi przerwał krzyk dziewczyny pędzącej w ich kierunku aleją wysadzaną drzewami niebieskiego gumowca – dziewczyny o włosach barwy miodu, splecionych w gruby warkocz objający się jej o plecy, dziewczyny o długich, opalonych na brąz nogach i bosych stopach wystających spod wypłowiałej bawełnianej sukienki.

– Mark! – wrzasnęła znowu. – Och, Mark! – Ale nie poznał jej, dopóki nie znalazła się całkiem blisko. Zmieniła się przez te cztery lata.

– Mary. – Mark wiedział już, że teraz nie porozmawia sobie z Fredem. Przyjdzie na to czas później. Ale nawet przygnębienie nie mogło mu przesłonić faktu, że Mary Black nie jest już tym psotnym podlotkiem, którego kiedyś, będąc uczniem ostatniej klasy Ladyburg High School, nie raczył nawet zauważać, lecz dojrzał dziewczyną. Buzię miała nadal piegowatą i roześmianą, a przednie zęby wystające i lekko krzywe, ale wyrosła na dużą, rozłożystą, krzepką wiejską dziewczynę, o donośnym rubasznym śmiechu. Sięgała Markowi do ramienia, a cienka, wytarta bawełniana sukienka niezbyt dobrze skrywała jej pełne kształty; idąc obok niego kołysała biodrami i pośladkami, w talii była wcięta niczym osa, a nabrzmiate, ciężkie piersi podrygiwały jej sprężyste w rytm kroków. Zasypywała go nieprzerwanym gradem natarczywych pytań, i bez przerwy dotykała – najpierw trzymając za łokieć, potem chwytając za rękę i wytrząsając z niego odpowiedzi na swoje pytania. Ani na moment nie odrywała od niego figlarnych oczu i co chwila wybuchała głośnym, dźwięcznym śmiechem. Mark czuł się dziwnie skrępowany.

Żona Freda Blacka poznała go z drugiego końca podwórza i wydała z siebie odgłos przypominający ryk mlecznej krowy widzącej swoje cielę po długiej rozłące. Miała dziewięć córek i zawsze pragnęła syna.

– Cześć, ciociu Hildo – zaczął Mark i utonął w jej pneumatycznym uścisku.

– Aleś ty zagłodzony! – krzyknęła – i te łachy; przecież one śmierdzą. I ty też śmierdzisz,

Marku, a włosy niedługo będziesz sobie przydeptywał.

Cztery niezamężne dziewczyny pod kierunkiem Mary ustawiły pośrodku kuchni galwanizowaną balię i napelniały ją wiadrami parującej wody podgrzewanej na piecu. Mark siedział tymczasem pośrodku werandy na tyłach domu, a ciotka Hilda pozbawiała go długich kręconych pukli parą ogromnych, tępych nożyc.

Potem wypędziła protestujące córki z kuchni, a Mark walczył rozpaczliwie o zachowanie twarzy. Zlekceważyła jego opory.

– Co byś tam nie miał, taka stara kobieta jak ja widziała już większe i wspanialsze. – Zdarła z niego bez ceregieli ubranie i cisnęła brudne, wygniecione łachy przez otwarte drzwi, za którymi czatowała Mary. – Upierz je, dziecko, i zabieraj się spod tych drzwi. Mark splonął rumieńcem wstydu i czym prędzej kucnął kryjąc swą nagość pod wodą.

O zmierzchu Fred z Markiem siedzieli na cembrownie studni na podwórzu, a między nimi stała butelka brandy. Był to ognisty trunek o nazwie Cape Smoke, gryzący jak ogier zebry, i Mark umoczywszy raz w nim usta nie tknął więcej swojej szklanki.

– Tak, często o tym myślałem – przyznał Fred z lekko już maślanymi od brandy oczyma. – Stary Johnny kochał tę swoją ziemię.

– Przebąkiwał kiedyś, że zamierza ją sprzedać?

– Nie, nigdy. Zawsze myślałem, że zostanie tam do końca. Często mówił, że chce być pochowany obok Alice. Pragnął tego.

– Kiedy po raz ostatni widziałeś dziadka, wujku Fredzie?

– No, więc... – Fred Black potarł z namysłem swoją łysą głowę – ...to było mniej więcej na dwa tygodnie przed tym, jak wyruszył z Greylingami do Bramy Chaki. Tak, wtedy. Przyjechał do Ladyburga, żeby kupić amunicję i zapasy żywności. Przenocował tutaj jedną noc w wozie i pogadaliśmy sobie jak za starych dobrych czasów.

– Wspominał coś wtedy o sprzedaży?

– Ani słowem.

Podwórko utonęło w powodzi żółtego światła lampy, wylewającego się przez otwarte gwałtownie drzwi od kuchni, i ciotka Hilda ryknęła:

– Kolacja na stole. Fred, chodź tu w tej chwili, nie trzymaj tam chłopaka i nie mąć mu w głowie – i nie wnoś mi tej butelki do domu. Słyszysz?

Fred skrzywił się, przelał do kubka ostatnie trzy cale ciemnego trunku i potrząsnął głową nad pustą butelką.

– Żegnaj, stara przyjaciółko. – Cisnął flaszkę za płot i wychylił zawartość kubka jak lekarstwo.

Marka posadzono pod ścianą kuchni na ławie między Mary a jedną z pozostałych ośmiu dorodnych córek. Ciotka Hilda usiadła naprzeciwko, napelniając mu szczerze talerz i wymyślając głośno, kiedy tylko zwalniał tempo jedzenia.

– Fred potrzebuje tu teraz kogoś do pomocy. Ten stary dureń starzeje się, chociaż sam

tego nie wie.

Mark, który z racji pełnych ust nie mógł odpowiedzieć, pokiwał tylko głową, a Mary sięgnęła przez niego po kolejną kromkę dopiero co wyjętego z pieca i jeszcze ciepłego chleba domowego wypieku. Mark poczuł na sobie ucisk jej wielkiego, niczym nie skępowanego biustu i o mało się nie udławił.

– Dziewczynki nie mają za wiele okazji do zapoznania jakiegoś miłego chłopca... tkwią tu na farmie.

Mary poprawiła się na ławie i jej udo napařło na udo Marka.

– Daj spokój chłopakowi, Hilda. Ty gadatliwa starucho – wybełkotał żartobliwie Fred od szczytu stołu.

– Mary, polej Markowi więcej sosu na ziemniaki.

Dziewczyna nachyliła się z dzbanuszkim sosu ku Markowi i dla zachowania równowagi oparła się wolną ręką o jego nogę powyżej kolana.

– Jedz! Mary upiekła ci na deser specjalny placek.

Dłoń Mary wciąż spoczywała na jego nodze i teraz powoli, ale systematycznie zaczęła się przesuwac w górę. Cała uwaga Marka skupiła się natychmiast na tej dłoni i jedzenie przemieniło mu się w ustach w gorący popiół.

– Jeszcze trochę dyni, Marku? – spytała z troską ciotka Hilda i Mark pokręcił z roztargnieniem głową. Nie mógł uwierzyć w to, co działo się teraz pod stołem – i dokładnie naprzeciwko matki Mary. Czuł narastającą panikę.

Z całą nonszalancją, na jaką mógł się w tych okolicznościach zdobyć, opuścił jedną rękę na kolana i nie spoglądając na dziewczynę, chwycił ją mocno za przegub.

– Masz już dosyć, Marku?

– Tak, o tak, dosyć – przytaknął gorliwie Mark, usiłując jednocześnie odepchnąć rękę Mary, ale miał do czynienia z dużą, silną pannicą, którą niełatwo zniechęcić.

– Mary, złotko, opróżnij talerz Marka i nałóż mu kawałek swojego placuszka.

Mary zdawała się nie słyseeć. Siedziała z głową pochyloną skromnie nad talerzem, policzki miała całe w wypiekach, a usta drżały jej lekko. Mark skręcał się obok niej i wił jak na mękach.

– Mary, co z tobą, dziewczyno? – Hilda spojrziała na nią zirytowana. – Słyszysz mnie, dziecko?

– Tak, mamó, słyszę. – Mary odetchnęła wreszcie głęboko i ocknęła się. Wstała wolno i sięgnęła obiema rękami po talerz Marka, on zaś, osłabiony, oklapł nieznacznie z ulgą.

Całodzienny marsz i podniecenie, jakiego doświadczył przy kolacji, wyczerpały Marka, ale chociaż zasnął niemal natychmiast, był to sen niespokojny, zakłócany koszmarami.

Ściagał mroczną zjawę w widmowej, posępnej scenerii skłębionych mgieł i niesamowitego, nienaturalnego światła, ale szło mu się ciężko, jak gdyby brnął poprzez gęsty syrop, i postawienie każdego kroku wymagało olbrzymiego wysiłku.

Wiedział, że zjawia majająca przed nim we mgle to staruszek, ale chociaż wyteżał krtań, nie mógł dobyć z siebie głosu. W ciemnych plecach zjawy pojawiła się nagle mała czerwona dziurka, z której trysnął pulsujący strumień jasnej krwi, i zjawia odwróciła się twarzą do niego.

Patrzył przez chwilę w twarz staruszka, w jego inteligentne, żółte oczy uśmiechające się doń ponad skrzyconymi w szpice wąsiskami, a potem ta twarz rozpułyła się niczym gorący wosk i jej miejsce zajęło blade oblicze pięknej marmurowej statuy widziane jakby poprzez warstwę wody. Oblicze młodego Niemca – Mark krzyknął i przypadł do ziemi, zasłaniając dłońmi oczy. Łkał cicho w ciemnościach, dopóki jego umęczona wyobraźnia nie podsunęła mu nowego odczucia.

Na pograniczu przytępionej świadomości rozbrzmiewał teraz kojący, łagodny szept.

– No cicho, uspokój się, no cicho – już dobrze, wszystko będzie dobrze. Nie rób tyle hałasu.

Wybudzał się stopniowo, nie zdając sobie z początku sprawy, że to ciepłe, jędrne ciało jest rzeczywistością. Zobaczył nad sobą biel ciężkich nabrzmałych piersi opadających mu na klatkę piersiową. Biała, naga skóra połyskiwała w poświacie księżycy wlewającej się przez okno nad jego wąskim, stalowym łóżkiem.

– Mary cię pocieszysz – szeptał schrypnięty, dyszący pożądaniem głos.

– Mary? – wydusił z siebie jej imię i spróbował usiąść, lecz przygniotła go łagodnie do łóżka całym swym ciężarem. – Zwariowałam.

Zaczął się szamotać, ale jej wilgotne, ciepłe, zachłanne usta przyłgnęły do jego ust i porażony tym nieznanym wrażeniem zaprzestał wszelkiego oporu. Świat zawirował.

Przeciw wagą dla narastającego w nim podniecenia były straszne rzeczy, jakie słyssał o kobietach. Te dziwne i okropne rzeczy, które wyjaśniał im kapelan regimentowy, wiedza, która uodporniała go na zaczepki zuchwałych, małych *poules* we Francji i na kuszenie dam kiwających na niego z ciemnych bram londyńskich zaułków.

Kapelan ostrzegał ich przed dwoma, równie fatalnymi, strasznymi konsekwencjami grzesznego spółkowania z kobietą. Pierwszą była nieuleczalna choroba, która wyžera ciało, pozostawiając gnijącą dziurę w kroczu mężczyzny, a w końcu wpędza go w szaleństwo, drugą zaś dziecko bez ojca – bękart kładący się cieniem na honorze mężczyzny.

Przeżony Mark szarpnął się, odwracając głowę i uciekając z ustami od złaknionych, ssących warg dziewczyny i jej natarczywego, napierającego języka.

– O, Boże! – wyszeptał. – Będiesz miała dziecko.

– To nic, głupi – wymruczała roznamiętnionym, ochrypłym szeptem. – Możemy się pobrać.

Oniemiał. Wykorzystała ten moment i zmieniając gwałtownie pozycję, zarzuciła zgietą w kolanie nogę na jego bezwolne ciało, przygniotła go swym miękkim ciężarem, przykryła falą jasnych włosów.

– Nie. – Szarpnął się rozpaczliwie, próbując spod niej wydostać. – Nie, to szaleństwo. Nie chcę się żenić...

– Tak... o, tak.

To nowe doznanie sparaliżowało go na moment, ale zaraz szarpnął się ze zdwojoną energią i tym razem udało mu się zrzucić ją z siebie. Wylądowała na boku, jeszcze przez chwilę czepiała się kurczowo jego ramion, a potem zsunęła się poza krawędź łóżka. Przewrócił się stojak na miednicę, a łomot, z jakim duże ciało dziewczyny rąbnęło o deski podłogi, poniósł się echem po cichym, pogrążonym we śnie domu. Echa szybko zamarły i na moment powróciła cisza, którą zaraz zmaścił chór pisków przerażenia dochodzących z sypialni młodszych dziewczynek po drugiej stronie korytarza.

– Co tam?! – ryknął Fred Black z dużej małżeńskiej sypialni.

– Ktoś jest w domu.

– Łap go, Fred, nie leż tak.

– Gdzie moja strzelba?

– Ratunku, tatusiu! Ratunku!

Mary jednym płynnym ruchem zerwała się z podłogi sypialni, porwała z krzesła swoją nocną koszulę i zarzuciła ją na siebie przez głowę.

– Mary! – Mark usiadł na łóżku. Chciał się przed nią wytłumaczyć, opowiedzieć jej o kapelanie. Nachylił się i chociaż było ciemno, dostrzegł furię, która wykrzywiała rysy jej twarzy. – Mary... – Nie zdążył uchylić się przed ciosem. Zadany został z rozmachu, otwartą dłońią i spadł na bok jego głowy z taką siłą, że zaszczękały mu zęby, a w oczach pojawiły się gwiazdy. Była dużą i silną dziewczyną. Kiedy oprzytomniał, już jej nie było i tylko w uszach bzyczało mu tysiąc dzikich os.

Obok Marka wlokącego się poboczem polnej drogi porytej głębokimi koleinami i porośniętej gęstą trawą wzdłuż biegnącego środkiem garbu zatrzymała się zakurzona ciężarówka marki Daimler.

Za kierownicą siedział mężczyzna w średnim wieku, a obok kobieta, prawdopodobnie jego żona.

– Dokąd to wędrujesz, chłopcze?! – zawołał mężczyzna.

– Do Ladyburga, proszę pana.

– No to wskakuj na skrzynię.

Mark przejechał blisko dwadzieścia mil, siedząc wysoko na bezładnej stercie worków obok klatki z rozgdakanyimi kurami, a wiatr mierzwił mu sztywne, świeżo przystrzyżone włosy.

Przemknęli z turkotem przez most nad Baboon Stroom i Mark nie mógł się nadziwić, jak wszystko się tu pozmiało. Ladyburg nie był już wioską, lecz małym miasteczkiem. Rozrósł się aż do samego strumienia, a u podnóża skarpy rozpościerał się nowy plac przeładunkowy,

na którym z pół tuzina lokomotyw przeciągało pracowicie wagony wyładowane po brzegi świeżo pociętymi w tartakach deskami albo workami z cukrem z nowej fabryki.

Sama fabryka – górujący nad otoczeniem kompleks budynków i ogromnych kotłów na stalowych konstrukcjach – stanowiła pomnik rozwoju miasteczka. Dym i para unoszące się z kilku kominów tworzyły szarą mgiełkę rozwiewającą się na łagodnym wietrzyku. Marszcząc nos drażniony lekkim odorem przynoszonym stamtąd przez wiatr, Mark popatrzył ze zdumieniem wzdłuż głównej ulicy. Przybyło na niej chyba z tuzin nowych budynków. Miały okazałe fasady zdobione kutymi w żelazie ornamentami, pięknie wykończone szczyty, szyby z przydymionego szkła w drzwiach wejściowych, a napisy z wypukłych gipsowych liter na frontowych ścianach informowały o nazwisku właściciela i dacie budowy; ale nad tym wszystkim dominował gigantyczny pięciopiętrowy gmach przeladowany ornamentacją niczym weselny tort bogatej panny młodej. Napis nad wejściem głosił dumnie „Ladyburski Bank Farmerski”. Kierowca ciężarówki wysadził Marka na chodniku przed tym właśnie budynkiem i pomachawszy mu wesoło pojechał dalej. Wśród bryczek i zaprzężonych w konie wozów parkowało tu co najmniej tuzin pojazdów silnikowych, a przechodnie byli dobrze ubrani i pogodni, jak przystało na obywateli zamożnej i dobrze prosperującej społeczności. Idąc ulicą z przerzuconym przez ramię plecakiem, Mark rozpoznawał co i rusz kogoś znajomego i przystawał, żeby się z nim przywitać. Za każdym razem następował moment zawahania, a potem padały pełne niedowierzania słowa: „To ty, Marku? Słyszeliśmy...myśleliśmy, że poległeś we Francji. Było o tym w gazecie”.

Kancelaria Notariatu Ziemskiego znajdowała się w rozległym labiryncie urzędów państwowych za Ratuszem i posterunkiem policji. W trakcie długiej podróży z Anderslandu Mark miał wiele czasu na zastanowienie i teraz wiedział już dokładnie, co ma robić i w jakiej kolejności.

Prosta barierka dzieliła pomieszczenie biurowe na ciasną, przeznaczoną dla interesantów część frontową, w której stała drewniana ławka o zachęcającym do spoczęcia wyglądzie, i część właściwą, gdzie siedział starszy wiekiem urzędnik o oczach krótkowidza w okularach w drucianej oprawce na nosie i w zielonym daszku przeciwsłonecznym na czole. Czarna alpakowa marynarka z nasuniętymi na mankiety papierowymi ochraniaczami, kościsty, haczykowany nos i przygarbiona pozycja, w której oddawał się herkulesowemu zadaniu stemplowania piętżącej się na biurku sterty dokumentów, upodabniały go do starożytnego kruka.

Mijały minuty, a on pracował z zapamiętaniem. Mark czekał cierpliwie, zabijając czas odczytywaniem urzędowych obwieszczeń pokrywających ściany. W końcu urzędnik podniósł wzrok znad papierzysk i spojrzał na niego z irytacją kogoś, komu przeszkadzono w dziele, od którego może zależeć los rodzaju ludzkiego.

– Przepraszam pana, chciałbym zobaczyć pewien akt przeniesienia własności ziemi.

Działka własnościowa Efr Nr 42, parcela A/1, okręg Ladyburg.

Farma znana pod nazwą ANDERSLAND.

Akt przeniesienia własności na spółkę Ladyburg Estates Ltd zarejestrowaną w Ladyburgu dnia 1 czerwca 1919 roku.

Podaje się do wiadomości wszystkich zainteresowanych, że zgłosił się do mnie – notariusza ziemskiego, niejaki DENNIS PETERSEN legitymujący się formalnym pełnomocnictwem wystawionym dnia 12 maja 1919 roku przez JOHNA ARCHIBALDA ANDERSA zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa i w obecności świadków... wymieniony wyżej klient powiadomił mnie, że jego mocodawca prawnie sprzedał...

Mark przeszedł do następnego dokumentu.

Umowa sprzedaży nieruchomości.

...że JOHN ARCHIBALD ANDERS, nazywany dalej Sprzedającym, i spółka LADYBURG ESTATES LTD zwana dalej Nabywcą... Farma znana pod nazwą ANDERSLAND... wraz ze wszystkimi instalacjami i zabudowaniami, nie zebranych pługami, narzędziami i inwentarzem żywym... za sumę Trzech Tysięcy Funtów Szterlingów... w obecności którego strony doszły do porozumienia.

JOHN ARCHIBALD ANDERS (jego podpis) X

Z ramienia spółki LADYBURG ESTATES LTD...

DIRK COURTENEY (DYREKTOR)

Świadkowie:

PIETER ANDRIES GREYLING

CORNELIUS JOHANNES GREYLING

Widząc te dwa nazwiska, Mark zmarszczył czoło. Piet Greyling i jego syn towarzyszyli staruszkowi do Bramy Chaki zaraz po sporządzeniu tego dokumentu, na którym złożyli swe podpisy jako świadkowie, a kilka dni później znaleźli go martwego i pogrzebali w dziczy.

Pełnomocnictwo ogólne wystawione na DENNISA PETERSENA.

Ja, niżej podpisany, JOHN ARCHIBALD ANDERS, upoważniam niniejszym wyżej wymienionego DENNISA... podpisano JOHN ARCHIBALD ANDERS (jego podpis) X jako świadek PIETER ANDRIES GREYLING CORNELIUS JOHANNES GREYLING

Mark ślęczał nad plikiem prawnych dokumentów wykaligrafowanych na sztywnym pergaminie i opatrzonych czerwonymi woskowymi pieczęciami, w których zatopiono wstążki z mordowanego jedwabiu, skrupulatnie wynotowując nazwiska osób ze stron biorących udział w transakcji. Skoro tylko skończył, urzędnik, który przez cały czas zazdrośnym okiem śledził

swoje cenne dokumenty, zabrał mu je skwapliwie i z ociąganiem pokwitował przyjęcie oficjalnej pięcioszylingowej opłaty manipulacyjnej.

Urząd rejestru firm mieścił się dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie wąskiego zaułka, i tutaj obsłużono Marka w zupełnie inny sposób. Kapłanką tej ponurej jaskini była młoda dama ubrana w surowy szary żakiet i długą, powłóczyłą spódnicę, które kontrastowały ostro z jej żywymi oczyma i wyzywającym sposobem bycia.

Kiedy Mark przestąpił próg, ładną, drobną twarz archiwistki o piegowatym zadartym nosku rozjaśnił przychylny uśmiech i nim minęło kilka minut, pomagała mu już jak stara znajoma wertować memoranda i artykuły związane z Ladyburg Estates Ltd.

– Mieszkasz tutaj? – spytała dziewczyna. – Nie pamiętam, żebym cię widziała.

– Nie – odparł Mark ostrożnie, nie podnosząc na nią wzroku. Trudno mu było skoncentrować się na dokumentach, bo żywo pamiętał ostatnie spotkanie z dziewczyną.

– Masz szczęście – westchnęła dramatycznie. – Takie tu nudy, wieczorami po pracy nie ma co robić. – Czekwała przez chwilę z nadzieją, ale milczenie przeciągało się. Dyrektorami spółki Ladyburg Estates Ltd byli panowie Dirk Courteney i Ronald Beresford Pye, ale każdy z nich posiadał tylko jedną akcję, akurat tyle, ile upoważniało do reprezentowania interesów spółki.

Właścicielem pozostałych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu ośmiu pełnopłatnych pięcioszylingowych akcji był Ladyburski Bank Farmerski.

– Bardzo pani dziękuję – powiedział Mark, zwracając dziewczynie akta i unikając jej szczerzego spojrzenia. – Czy mógłbym jeszcze zobaczyć akta Ladyburskiego Banku Farmerskiego?

Przyniosła mu je szybko.

Milion jednofuntowych akcji Ladyburskiego Banku Farmerskiego należało do trzech ludzi, z których wszyscy byli dyrektorami firmy;

Dirk Courteney 600000 spleconych akcji,

Ronald Beresford Pye 200000 spleconych akcji,

Dennis Petersem 200000 spleconych akcji.

Mark zasepił się. Sieć była splątana i misternie utkana. Wszędzie powtarzały się te same nazwiska. Zapisał je sobie w notesie.

– Mam na imię Marion, a ty?

– Mark, Mark Anders.

– Mark, to takie romantyczne imię. Czytałeś *Juliusza Cezara*? Marek Antoniusz był taką romantyczną postacią.

– Tak – zgodził się z nią Mark. – Rzeczywiście. Ile jestem pani winien opłaty manipulacyjnej?

- Och, zapomnijmy o tym.
- Nie, niech pani tego nie robi. Ja chcę zapłacić.
- No dobrze, skoro tak ci na tym zależy.

Przy drzwiach przystanął.

– Dzięki – bąknął nieśmiało. – Była pani bardzo miła.

– Och, cała przyjemność po mojej stronie. Jeśli byłoby ci potrzeba coś jeszcze, to znasz moje imię i wiesz, gdzie mnie szukać – powiedziała i nagle, nie wiadomo czemu, spłonęła szkarłatnym rumieńcem. Odwróciła się, żeby go ukryć. Kiedy się obejrzała, jego już nie było. Westchnęła przyciskając teczek z dokumentami do pulchnego, drobnego biustu.

Mark znalazł wyliczenie masy spadkowej pozostałej po staruszku wpisane przez biegłego sądowego niemal pogardliwie pod nagłówkiem „Masa spadkowa poniżej 100 £ nie zapisana testamentem”.

Po stronie kredytów figurowały dwa karabiny i strzelba, cztery woły zaprzęgowe i bryczka – sprzedane na publicznej licytacji za sumę osiemdziesięciu czterech funtów szterlingów. Po stronie debetu widniały opłaty skarbowe i sądowe przypadające na niejakiego Dennisa Petersena – koszt likwidacji majątku ziemskiego. W sumie uezbięrało się tego sto dwadzieścia siedem funtów; na koncie był deficyt. John Archibald Anders odszedł i nie pozostawił po sobie nawet zmarszczki na wodzie, nawet tych trzech tysięcy funtów, które zapłacono mu za Andersland.

Mark dźwignął z ziemi swój plecak i wyszedł na jasne, popołudniowe słońce. Główną ulicę toczył się wolno beczkowóz zaprzęgnięty w dwa woły, a z jego kranów tryskały na drogę cienkie strużki wody, przyklejając do nawierzchni grubą warstwę pyłu.

Mark zatrzymał się, wciągnął w płuca zapach wsiąkającej w suchą ziemię wilgoci i spojrzął na Ladyburski Bank Farmerski, wznoszący się po drugiej stronie ulicy.

Chciał już przeciąć jezdnię, wkroczyć do budynku i zapytać pracujących tam ludzi, co zmusiło staruszka do zmiany silnego postanowienia, by dożyć swych dni w Anderslandzie i tam złożyć kości, jak wyplacono mu pieniądze, i co z nimi zrobił, ale szybko zarzucił ten pomysł. Ludzi pracujących w tym budynku i wnuka niepiśmiennego, zaharowanego farmera bez grosza przy duszy dzieliła niewidzialna przepaść. W każdym społeczeństwie istniały klasy, niewidoczne bariery, których nie wolno było przekraczać, nawet jeśli miało się dyplom uniwersytecki, wojskowy medal za waleczność i zostało się z honorami zwolnionym z armii.

Budynek ten był świątynią bogactwa, władzy i wpływów, którą zamieszkiwali, niczym bogowie, ludzie podobni gigantom. Tacy jak Mark nie mogli tam tak po prostu wchodzić z ulicy i żądać odpowiedzi na błahe pytania o jakiegoś starca i jego nie istniejące konto.

– Masa spadkowa poniżej 100 funtów nie zapisana testamentem – wyszeptał Mark i ruszył przez miasto kierując się na szczełki posapywania dochodzące z bocznyco kolejowej.

– Tak – przypomniał sobie zawiadowca stacji. – Piet Greyling był maszynistą lokomotywy dalekobieżnej, a jego syn palaczem – ale obaj rzucili robotę wiele miesięcy

temu, jeszcze w 1919. – Potarł z namysłem brodę. – Nie, nie wiem, gdzie się udali, chyba zbyt byłem szczęśliwy, że się ich pozbywam. O, tak, teraz coś mi się przypomina. Syn wspomniał coś, że wybierają się do Rodezji. Chcieli tam kupić farmę czy coś w tym rodzaju – mężczyzna zachichotał. – Kupić farmę! Ciekawe, za co – pobożne życzenia – przecież nie z pensyjki maszynisty czy palacza.

Sala konferencyjna Ladyburskiego Banku Farmerskiego zajmowała połowę ostatniego piętra budynku; jeden ciąg wysokich od podłogi do sufitu okien wychodził na wschodnią stronę, chwytając w gorące dni chłodną bryzę, przed drugim piętrzyła się wysoka skarpa. Ta ostatnia świetnie izolowała gmach od miasta i nadawała ciekawy aspekt ogromnej sali o wysokim, bogato zdobionym suficie, z którego zwisały głowami do dołu rozbaraszkowane, dźwigające kiście winogron białe cherubiny zastygłe w wiecznej zabawie.

Ściany wyłożono ciemną mahoniową boazerią, od której odcinały się kotary z zielonego aksamitu, oblamowane złotymi haftami.

Dywan był również zielony i tak gruby, że stłumiłby tętent kopyt szarżującej kawalerii. W sali konferencyjnej stał marmurowy stół ornamentowany kutymi w połączonym brązie liśćmi winogron i postaciami nagich kobiet, które pięły się po jego nogach, grając na harfach albo wyginając w afektowanych tanecznych pozach.

U szczytu stołu stał w unizonej postawie mężczyzna, mężczyzna o byczym karku i potężnych barkach zapaśnika. Siedzenie bryczesów koloru khaki miał wyswiecone od siodła, a buty zakurzone po forsownej konnej jeździe. Miał nerwowo między palcami skrzydło filcowego kapelusza.

Naprzeciwko miejsca, w którym stał, na obitym skórą krześle w drugim końcu marmurowego stołu, siedział w niedbałej pozie elegancki mężczyzna. Chociaż siedział, widać było, że nie jest ułamkiem. Świadczyły o tym szerokie, potężne ramiona wypychające czarną marynarkę z drogiego brytyjskiego sukna.

Głowa osadzona na tych ramionach harmonizowała jednak z resztą ciała. Była to piękna głowa o lśniących, starannie ułożonych, ciemnych, falujących włosach, które przechodziły we wspaniałe bokobrody. Silnie zarysowany, gładko wygolony podbródek zdradzał człowieka nawykłego do przewodzenia. Idealnie białymi zębami przygryzał teraz w zamyśleniu dolną wargę szerokich, zdecydowanych ust. Słuchał w milczeniu, podpierając brodę zaciśniętą w pięść dłonią, a siateczka zmarszczek u nasady nosa, pomiędzy ściągniętymi brwiami i ciemnymi, inteligentnymi oczyma, układała się w kurzą łapkę.

– Tak czy inaczej, pomyślałem sobie, że lepiej pana o tym powiadomić, panie Courteney – zakończył swoją chaotyczną relację przybysz w zakurzonych butach, przestępując niepewnie z nogi na nogę na puszystym dywanie. Zaległo przedłużające się milczenie. Mężczyzna obrzucił ukradkowym spojrzeniem dwóch dżentelmenów zasiadających po bokach Dirka Courteneya, ale zaraz skupił wzrok z powrotem na centralnej postaci.

Dirk Courteney opuścił rękę na kolana i czoło mu się wygładziło.

– Chyba dobrze zrobiłeś, Hobday. – Uśmiechnął się nieznacznie, a jego urodziwa twarz jeszcze bardziej wypiękniała. – Odpocznij sobie w poczekalni. Sekretarz da ci tam coś na pokrzepienie, ale będę chciał jeszcze z tobą pomówić. A więc czekaj.

– Tak jest, sir, panie Courteney, sir. – Mężczyzna wycofał się skwapliwie do drzwi i ledwie te się za nim zamknęły, obaj mężczyźni zasiadający po bokach Dirka Courteneya wybuchnęli jeden przez drugiego.

– A mówiłem ci, że w końcu dojdzie do czegoś takiego...

– Przecież zapewniałeś nas, że on zginął...

– Ten pomysł nigdy mi się nie podobał...

– Och, chyba tym razem sprawy posunęły się za daleko...

Trajkotali gorączkowo, jednym tchem, przekrzykując się wzajemnie, a Dirk Courteney siedział spokojnie z enigmatycznym półuśmiechem na ustach i przyglądając się z zajęciem diamentowi na serdecznym palcu swej prawej dłoni obracał wielki biały kamień tak, by ten wychwytywał światło padające nań z okna i rzucał je oślepiającymi zajączkami wysoko na sufit.

Po kilku minutach zdenerwowana dwójka umilkła wreszcie i Dirk Courteney popatrzył z pobbżaniem po ich twarzach.

– Skończyliście? Było to bardzo pomocne, konstruktywne, twórcze. – Przenosił wyczekująco wzrok z jednego na drugiego i widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, podjął. – Niestety jednak nie znacie wszystkich faktów. Mam tu dla was jeszcze parę nowin. Dziś rano przybył do miasta i pierwsze swoje kroki skierował do Notariatu Ziemskiego, stamtąd poszedł do Rejestru Firm, do urzędu burmistrza...

Słuchacze wybuchnęli nowym lamentem, a Dirk Courteney, dając im czas na wykrzyczenie się, wybrał sobie cygaro ze specjalnego, utrzymującego wilgoć pudełeczka, i przygotował je do przypalenia obcinając kieszonkowym połączonym nożem jego koniuszek oraz zwilżając je między wargami. Następnie ujął cygaro między kciuk i palec wskazujący i znieruchomiał, dając tym do zrozumienia, że pragnie zabrać głos.

– Dziękuję wam, panowie... Jak mi doniesiono, interesujący nas dżentelmen udał się potem na bocznicę przeładunkową i zaczął tam wypytywać o Greylinga i jego syna.

Tym razem obaj mężczyźni nie rozjazgotali się na nowo. Wymienili tylko zatrwożone, nie dowierzające spojrzenia i cisza przeciągała się. Dirk Courteney potarł tymczasem zapałkę o draskę, poczekał, aż płomyk strawi siarkę, i dopiero wtedy przypalił sobie cygaro.

– To był twój pomysł – jęknął Ronald Pye. Był o co najmniej trzydzieści lat starszy od Dirka Courteneya. Wytworna kamizelka opinała mu napęczniałe niegdyś dobrobytem, a teraz sflaczałe cielsko, podgardle miał obwisłe jak u indora, a policzki nakrapiane bladymi cętkami starczych wybroczyn i nieco ciemniejszymi plamami wątrobowymi. Włosy też mu się przerzedziły i spłowiwały, i po ognisście rudej swego czasu czuprynie pozostały tylko nieliczne

ryże pasemka. Wydatne uszy sterczące z głowy upodabniały go do nasłuchującego czujnie pustynnego lisa, a wrażenie to potęgował jakiś chytry lisi blask czający się we wlepionych w twarz Dirka Courteneya oczach.

– Tak – przyznał Dirk Courteney. – Większość rodzących się tutaj pomysłów rzeczywiście jest mego autorstwa. I właśnie dzięki temu w ciągu dziesięciu lat, jakie upłynęły od chwili, kiedy zacząłem wносить w udziale swe idee, rezerwy netto Banku Farmerskiego wzrosły z półtora do piętnastu milionów funtów...

Ronald Pye nie spuszczał z niego oka, po raz dziesięciotysięczny w ciągu tych dziesięciu lat żałując gorzko, że uległ kiedyś pokusie odsprzedania pakietu kontrolnego banku temu awanturnikowi, temu wymuskanemu piratowi.

Bóg świadkiem, że były powody do zachowania rezerwy, do trzymania się na baczności, i długo się wahał, zanim przyjął wreszcie fantastyczną ofertę złożoną przez Dirka Courteneya. Zbyt wiele wiedział o przeszłości tego chłopaka, pamiętał, jak w niesławnych okolicznościach, wygnany z domu przez ojca i rodzinę, opuścił Ladyburg.

W dziesięć lat później Dirk Courteney, nie umówiony i nie zapowiedziany, zjawiał się w gabinecie Ronalda Pye’a i złożył swoją ofertę.

Pye na pierwszy rzut oka zorientował się, że chłopak wyrósł na twardego mężczyznę, ale oferta była zbyt kusząca, by ją beztrudno odrzucić. A potem, zaraz potem zaczęły do niego dochodzić ponure pogłoski, które ciągnęły się za tym człowiekiem jak szakale podążające tropem lwa. Powinno mu to dać do myślenia. Fakt, że Dirk Courteney może zaproponować sześćset tysięcy funtów gotówką za sześćdziesiąt procent akcji Banku i poprzeć swoją ofertę gwarancją bankową Banku Lloyda z Londynu, był sam w sobie wystarczający, by potraktować te ponure plotki poważnie. Który uczciwy człowiek jest w stanie zrobić takie pieniądze w tak niewiele lat, zadawał sobie pytanie Pye.

W końcu Ronny’ego Pye’a skusiły pieniądze, pieniądze i nadarzająca się okazja do zrobienia na złość staremu wrogowi, generałowi Seanowi Courteneyowi. Zafascynowała go perspektywa dania życiowej szansy odrzuconemu synowi, urządzenia go na niemal magnackich warunkach w samym środku włości Courteneya. Ta fascynacja przeważyła niejasną kwestię sześćuset tysięcy funtów w gotówce. Zły to był interes.

– Od początku byłem temu przeciwny – powiedział teraz Pye.

– Mój drogi Pye, ty jesteś przeciwny każdemu nowemu pomysłowi – z zasady. Nie dalej niż przed tygodniem mdlałeś jak dziewczica w noc poślubną przy omawianiu zestawienia bilansowego Ladyburg Estates i sprawy cukru z Zululandu.

Dirk wstał z krzesła i wyprostował się na całą swą imponującą wysokość. Przygryzając cygaro silnymi białymi zębami, przyglądził obiema dłońmi włosy, poprawił fałdy krawata, dotknął wpiętej weń szpilki z perłą i odwróciwszy się podszedł zdecydowanym krokiem do przeciwległej ściany sali konferencyjnej.

Ściągnął w dół zrolowaną mapę Zululandu i północnego Natalu, która po rozwinięciu

pokryła pół ściany, i cofnął się. Granice każdej farmy zaznaczone były symbolami topografii wielkoskalowej. Farmy należące do Ladyburg Estates zacieniono zieloną kredką. Układały się w imponujące jednobarwne pasmo ciągnące się od morza do góry i stanowiły wielki obszar obfitujący w ziemię i bogactwa naturalne.

– Oto on, panowie – plan, któremu z takim zacięciem się przeciwstawialiście. – Znowu się uśmiechnął. – Był zbyt śmiały jak na waszą rozwodnioną krew. – Przestał się uśmiechać i patrzył teraz na nich spode łba. Zawsze, kiedy tak patrzył, usta zaciskały mu się w jeszcze bardziej cienką linię, a jego przenikliwe oczy przybierały podły, zimny wyraz. – Klucz do całego przedsięwzięcia znajdował się tutaj, nad Umfolosi – była nim woda, którą musieliśmy mieć, bo inaczej wszystko to traciłoby sens. A jeden głupi, uparty, niedouczony sukinsyn... – urwał nagle i po chwili znowu się uśmiechał, a kiedy podjął, głos miał napięty z podniecenia. – To wszystko, cały południowy brzeg rzeki, jest teraz nasz i na tym się nie skończy! – Rozpostarł ramiona i dłońmi o palcach zakrzywionych na kształt szponów uderzył o powierzchnię mapy. – Tutaj – warknął – tutaj, i tutaj... – jego dłonie przesuwają się zachłannie na północ.

Śmiejąc się odstał od mapy i spojrzawszy na nich, przechylał na bok piękną głowę.

– Spójrzcie tylko na siebie – parsknął. – Sikacie ze strachu po nogach, a wszystko przez to, że robię was bogatymi.

Głos zabrał teraz Dennis Petersen. Miał tyle samo lat co Ronald Pye, był mężem jego siostry i gdyby nie ten związek, nigdy nie zasiadłby przy marmurowym stole, bo z całej trójki był osobą najmniej znaczącą. Rysy twarzy miał nijakie i nieco rozmyte, ciało pękate i nieforemne, odziane w drogie ubranie, a kolor oczu trudny do ustalenia.

– I co teraz zrobimy? – spytał i chociaż dłonie trzymał splecione na kolanach pod stołem, widać było, że wykręca je sobie nerwowo.

– My? – spytał uprzejmie Dirk i podszedł do jego krzesła. – My, mój drogi Dennisie? – Pomimo dzielącej ich różnicy wieku klepał mężczyźną ojcowskim gestem po ramieniu. – My nic nie zrobimy. – Ty wrócisz teraz do swojego gabinetu, a ja powiadomię cię, kiedy będzie już po wszystkim.

– Posłuchaj, Dirk – Dennis zadął zaczepnie podbródek. – Dostyc tego... dostyc tych brutalnych metod, słyszysz? – Napotkał oczy Dirka i natychmiast spuścił z tonu. – Proszę cię – wymamrotał.

Dirk zachichotał.

– Spływajcie stąd obaj podliczać pieniądze. O nic się nie martwcie. – Biorąc każdego pod pachę, pomógł im zsiąść z krzeseł i popychając przed sobą odprowadził do drzwi. – Jutro o dziewiętej mamy zebranie zarządu, Dennis. Będę omawiał wyniki nowego zakładu wydobywczego w Stangerze. Potrzebne mi będą dane liczbowe, przygotuj je dla mnie. Kiedy tylko został sam, wyraz jego twarzy uległ zmianie, a oczy zwęziły się. Zdusiwszy niedopałek cygara w onyksowej popielniczce podszedł do drzwi prowadzących do poczekalni.

– Hobday! – zawołał cicho. – Proszę do mnie.

W karierze każdego myśliwego zdarzają się takie przypadki, że jeszcze przed chwilą wyraźny i ciepły trop nagle się urywa. Mark pamiętał takie polowanie; wybrali się na nie ze staruszkiem do Bramy Chaki.

– Martwy trop urywa się – mruknął teraz pod nosem i przystanął niezdecydowanie na głównej ulicy Ladyburga. Nie miał pojęcia, jak odnaleźć mogiłę staruszka. Nie widział szans, by udało mu się sprowadzić ciało z powrotem i pogrzebać je w Anderslandzie obok babki Alice.

Mniej ważny, ale również problem, stanowiły pieniądze, które wypłacono staruszkowi za Andersland. Trzy tysiące funtów. Z punktu widzenia Marka była to olbrzymia fortuna i dobrze byłoby się dowiedzieć, co się z nią stało. Dysponując taką sumą, mógłby sobie kupić gdzieś własną ziemię.

Pozostawało mu teraz tylko jedno wyjście, ze skorzystaniem z którego do tej pory zwlekał. Przyznawał w duchu, że to jeszcze jedna słaba szansa, ale na myśl o tym, co musi zrobić, ścisnął mu się żołądek. Z fizycznym wysiłkiem zebrał się na odwagę i ruszył ulicą w kierunku górującego nad otoczeniem gmachu Ladyburskiego Banku Farmerskiego. Zanim tam jednak dotarł, zegar na kościelnej wieży na końcu ulicy wybił godzinę, pięć czystych uderzeń, które poniosły się echem po dolinie, i głównym wejściem wysypała się na ulicę kilkunoosobowa grupa roześmianych i gawędzących wesoło pracowników banku, odprężonych po zakończonym dniu pracy – a umundurowany strażnik przystąpił do zamykania masywnych mahoniowych podwoi. Mark doznał pełzającego uczucia ulgi i zawrócił. Przyjdę tu jutro! – przyrzekł sobie stanowczo.

Pensjonat za kościołem oferował jeden posiłek i łóżko za siedem szylingów i sześć pensów. Po chwili zastanowienia Mark zrezygnował. Nie wiadomo, na jak długo będą mu musiały starczyć suwereny z skarbczyka staruszka.

Minął pensjonat, doszedł do mostu nad Baboon Stroom, zsunął się po skarpie i ruszył brzegiem w górę rzeki, szukając miejsca na biwak. Čwierć mili od mostu natrafił na świetne miejsce z drzewami i chrustem na ognisko, kiedy jednak zszedł nad sam brzeg, żeby zaczerpnąć wody, poczuł zalatujący od rzeki smród, zanim jeszcze zdążył dotknąć manierką powierzchni; znieruchomiał w przysiadzie. Przy brzegu pływały grube płaty mydlanej piany czepiające się łądyg trzciny. Dopiero teraz Mark zauważył, że trzciny są martwe i brązowe, i że powierzchnię rzeki pokrywa mrowie nabrzmiąłych pęcherzyków gazu. Zaczerpnąwszy wody złożoną w muszelkę dłonią powąchał i strzepnął ją z obrzydzeniem. Podniósł się, ocierając dłoń o siedzenie spodni.

Ospały nurt niósł wielką, co najmniej czterofuntową żółtą rybę pływającą spuchniętym brzuchem do góry i wybałuszającą gnijące, matowe oczy; obracała się powoli, mijając zawirowania prądu na skraju szuwarów. Mark obserwował ją z niepokojem, z jakimś

niejasnym przeczcuciem, jak gdyby ta zatruta, rozkładająca się padlina miała kiedyś wywrzeć znaczący wpływ na jego życie. Wzdrygnął się lekko, odwrócił plecami do rzeki, wdrapał z powrotem na wysoki brzeg i zarzucił na ramię plecak.

Ruszył dalej w górę rzeki, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby spojrzeć na koryto. Idąc tak znalazł się wreszcie naprzeciwko stalowych konstrukcji nowej cukrowni; tutaj wody rzeki kipiały i parowały wstęgami bladego gazu, który zalegał niczym mgła między sztywnymi brązowymi trzcinami. Za następnym zakrętem wypatrzył rurę ściekową, sześciocalową czarną żelazną rurę sterczącą z przeciwległego brzegu, z którego nieprzerwanym strumieniem wylewała się gorąca, parująca breja. Wiatr zmienił właśnie kierunek i przyniósł do miejsca, w którym stał Mark, jej kwaśny, chemiczny odór. Mark zakasłał i odwrócił się. Sto jardów dalej, w zdrowych zielonych szuwarach kołyszących się z gracją na wietrze bulgotała wesoło czysta woda, a w rozlewisku za nimi Mark zauważył wijącego się węgorza oraz czarne i różowe kraby pełzające po białym jak cukier piasku pokrywającym dno. Na pierwszej pochyłości skarpy znalazł drugie nadające się na biwak miejsce położone nad wirującym wolno rozlewiskiem, jakie utworzyło się u stóp małego wodospadu. Pomędzy rosnącymi wyżej drzewami pieniały się miękkim zielonym woalem paprocie. Zrzucił ubranie i zanurzył się w chłodnej, cudownie odświeżającej wodzie.

Ogolił się potem starą brzytwą, siedząc na omszałym gładzie nad brzegiem rozlewiska. Wytarł się koszulą, którą następnie wypłukał i powiesił przy małym, jasnym ognisku, żeby wyschła. Zamiast czekać beczynn timer, aż zagotuje się woda w manierce, obnażony do pasa, wdrapał się na szczyt wzniesienia i spojrział w dolinę.

Słońce dotykało już krawędzi skarpy i jego skośne promienie miały rumianą, ciepło-różową barwę. Połyskiwało na metalowych dachach miasteczka i zabarwiało na piękny złocisty brąz kolumnę dymu wydobywającą się z komina cukrowni. Dym wznosił się wysoko w wieczorne niebo, bo w tej szczególnej nieruchomości i ciszy afrykańskiego zwichu wiatr ustał zupełnie.

Jakieś poruszenie przyciągnęło jego oko i zamrugał powiekami, żeby wyostrzyć sobie wzrok.

W otwartym terenie poza granicami miasteczka dostrzegł grupę myśliwych. Chociaż odległość była duża, nie miał wątpliwości, że to myśliwi. Czterech posuwających się wolno jeźdźców. Jeden pochylał się w siodle i wypatrywał czegoś pilnie na ziemi, trzymając karabin albo strzelbę wspartą kolbą o biodro i wymierzoną lufą w niebo. Trzej pozostali również byli uzbrojeni; widział karabiny wystające z futerałów przy siodłach. Unosiła się też wokół nich ta silna aura tłumionego podniecenia, aura łowcy. Grupę konnych poprzedzała samotna figurka, Zulus w porwanym zachodnim ubraniu, który prowadził jeźdźców w charakterystyczny dla tropiciela sposób, biegnąc zładnie szybkim truchtem Zulusów z pochyloną głową, wzrokiem utkwionym w ziemi i z obraną trzciną w dłoni – różdżką tropicieli służącą do rozchylania trawy bądź dotknięcia tropu.

Marka zastanowiło, na cóż to mogą polować w takiej bliskości miasteczka i nad brzegiem tej umierającej, zatrutej rzeki, bo posuwali się tym samym szlakiem, którym on dotarł do skarpy.

Ściemniało się teraz szybko. W miarę jak słońce chowało się zagrań, gasły jedna po drugiej błyszczące latarnie metalowych dachów, ale w ostatnich jego promieniach Mark dostrzegł jeszcze, jak jeździec na czele grupki ściąga uzdę swego wierzchowca i prostuje się w siodle. Widać było teraz, że jest krępej budowy. Podniósł głowę i spojrzał w kierunku wzniesienia, na którym stał Mark, i w tym momencie zapadła noc, a grupka jeźdźców stała się ciemną plamką na tle pograżonego w mroku terenu.

Mark siedział w kukki przy ognisku dręczony nieokreślonym niepokojem. Przeżuwał powoli gulasz z konserwowej wołowiny, a potem siorbiąc kawę, rozpamiętywał wypadki mijającego dnia, chłodne wspomnienia o staruszku, smutek umierającej rzeki i wreszcie widok tej odległej krępej postaci.

W końcu naciągnął płaszcz i owinąwszy się kocem legł blisko ognia, ale nie mógł zasnąć. Uczucie niepokoju zamiast go opuszczać, przybierało wręcz na sile i przyłapał się znowu na zastanawianiu, co ci tamci czterej jeźdźcy mieli nadzieję upolować na skraju ludnego miasteczka. Przypomniało mu się, że podążali brzegiem rzeki jego śladem i niepokój wzmógł się jeszcze, a sen uleciał.

Nagle uświadomił sobie, że staruszek nigdy nie położyłby się spać przy samym ognisku.

Niemal usłyszał jego słowa: „Nauczyłem się tego, kiedy ścigałem Burów. Światło w nocy oprócz ciem przyciąga też inne stworzenia – lwy, hieny i ludzi”. Zerwał się z ziemi i z kocem zarzuconym na ramiona odszedł w górę zbocza. Pięćdziesiąt stóp od ogniska znalazł zagłębienie wymoszczone zeschniętymi liśćmi.

Sen przyszedł w końcu i miękkim welonem opadał mu już na oczy, kiedy w pobliskim lesie rozległo się pohukiwanie sowy; oprzytomniał raptownie. W znajome brzmienie nocy wkradł się jakiś zgrzytliwy, fałszywy akord. Naśladownictwo było mistrzowskie, nie zwiódł jednak ucha tak dostrojonego do odgłosów dziczy.

Mark uniósł powoli głowę i zamieniając się w słuch, spojrzał w dół zbocza. Przy ognisku pozostała kupka różowego żaru, nad którą, na tle czystego nieba i białych gwiazd, majaczyły ciemne, puszyste sylwetki drzew.

Z dołu, gdzieś znad brzegu rozlewiska, doleciało znowu pohukiwanie sowy i w tej samej chwili Mark usłyszał, jak w pobliskich ciemnościach coś się skrada, coś dużego i ciężkiego, stąpającego ostrożnie po suchych liściach. Nagle znowu zaległa cisza.

Mark wyteżył wzrok i słuch, ale mrok pod drzewami był nieprzenikniony.

Daleko w dolinie rozległy się trzy czyste i wyraźne w nieruchomym powietrzu gwizdki lokomotywy, a zaraz potem posapywanie pociągu wytaczającego się z bocznicy towarowej i stukot metalowych kół na złączach szyn nabierający coraz większej miarowości i rytmu.

Mark usiłował zamknąć uszy na to nowe źródło dźwięku, odfiltrować je i skupić się na

bliższych, cichszych odgłosach rozlegających się w otaczającej go nocy.

U stóp wzniesienia coś się poruszało; słyszał jedwabście cichy szmer towarzyszący temu ruchowi, a po chwili, na tle żarzącego się popiołu, dostrzegł obute nogi mężczyzny materializujące się w ciemności i zatrzymujące przy dogasającym ognisku.

Blżej Marka dało się słyszeć inne poruszenie, szelest zeschniętych liści pod niecierpliwymi stopami – a potem łatwy do rozpoznania metaliczny szcęk kurka odbezpieczanego karabinu. Dźwięk ten poraził zakończenia nerwowe Marka z siłą wyładowania elektrycznego i pozbawił go oddechu. Rozległ się bardzo blisko, jakieś sześć stóp od niego, i teraz wydało mu się, że odróżnia sylwetkę człowieka majaczącą na tle rozgwieżdżonego nieba. Stał niemal u wezłowania legowiska Marka i patrzył w dół, na wygasłe ognisko.

Mężczyzna przy ognisku odezwał się teraz cicho, ale słysząc go było wyraźnie.

– Związał sukinsyn... nie ma go tutaj. – Pochylił się nad kupką suchych gałęzi nazbieranych przez Marka i rzucił jedną w żar. W niebo strzeliły ognistymi spiralami iskry i gałąź zajęła się płomieniem, rozsiewając wokół krąg żółtego światła. – Został tu jego plecak – krzyknął raptem mężczyzna, ujmując silniej karabin i wlepiając oczy w mrok.

– Pamiętaj, że mamy za niego obiecane sto funtów.

Słowa te i sposób, w jaki mężczyzna trzymał karabin, nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości co do jego zamiarów. Mark dygotał rozsadzany tłumioną energią. Czuł ciepły prąd adrenaliny rwącej jego ciałem i był gotowy wprawić je w każdej chwili w eksplodujący ruch.

Znajdujący się bliżej mężczyzna znowu się poruszył i Mark usłyszał sflumiony metaliczny stuk oraz świszczący z napięcia oddech – i raptem, z paraliżującą brutalnością, ciemności przecięła jasna smuga białego światła. Snop światła z latarni zatoczył łuk i zatrzymał się na skulonej, owiniętej w koc postaci Marka.

Mark, zanim zdołał wykonać jakikolwiek ruch, ujrzał na krótką chwilę postać mężczyzny majaczącą za źródłem oślepiającego światła. Tamten trzymał latarnię w uniesionej do wysokości głowy prawej ręce, a w opuszczonej lewej karabin. Był kompletnie nie przygotowany na to, że ujrzy Marka leżącego niemal u swoich stóp i z jego krzyku przebiegał paniczny przestrah:

– Jest tutaj. O, Boże! – Próbował złożyć się do strzału, ale jego prawa ręka nadal trzymała latarnię.

– Strzelaj! Strzelaj, cholera! – wydarł się inny głos, głos jakby znajomy, i mężczyzna stojąc obok Marka upuściwszy latarnię zaczął unosić karabin do ramienia. Mark rzucił się na niego szczupakiem.

Wykorzystując moment ruchu ramienia mężczyzny podrywającego w górę karabin, chwycił jedną ręką za koniec lufy, a drugą za kolbę i wzmacniając pchnięcie całym ciężarem i impetem swego ciała, wpakował mu broń w twarz. Usłyszał chrzęst kruszonej kości, a potężny wstrząs, z jakim stalowa komora wyrznęła w twarz mężczyzny, przeniósł się

poprzez karabin na jego ręce i wprowadził w drgania jego ramiona.

Mężczyzna padł na wznak z wrzaskiem, który wskutek gwałtownego napływu krwi do nosa i ust przeszedł szybko w zduszony bulgot. Mark przeskoczył przez niego i pognął w górę stoku.

Słyszał za plecami bezładny chór krzyków i wrzasków, a potem dwa razy zagrzmięła strzelba i noc rozdarły dwa rozbłyski z luf. Słyszał, jak mknący pocisk tnie obok niego liście i ramię zapiekło go niczym użądlone przez dziką pszczołę.

– Światło. Dawać tu światło!

– Tam jest, nie pozwólcie mu zwiać.

Trzykrotnie, raz po raz, huknął karabin. Sądząc z brzmienia wystrzału, był to lee–enfield kalibru 0,303. Jeden pocisk uderzył o kamień i uleciał z wizgiem w niebo, drugi utkwił z głuchym pacnięciem w pniu drzewa tuż obok biegnącego Marka.

Mark potknął się w ciemnościach i wyłożył jak długi. Kostka eksplodowała potwornym bólem, który błyskawicznie przeniósł się po nodze do krocza i podbrzusza. Podźwignął się na kolana. Snop światła przesunął się po nim, zawrócił i przylgnął do niego zachłannie.

– Mamy go!

Rozpętała się bezładna strzelanina zmieszana z chórem tryumfalnych okrzyków. Wystrzały i grad pocisków poszarpały powietrze. Jeden przemknął tak blisko, że jego świst ogłuszył Marka na jedno ucho. Zerwał się na nogi i pognął dalej pod górę.

Ból w stopie wydusił z niego jęk cierpienia. Był to rozpalony do białości, promieniujący paroksyzm, który tryskał z kostki i rozbijał się jaskrawym, fosforyzującym przybojem o sklepienie czaszki. Biegł jednak dalej zlany potem, zataczając się, szlochając i utykając na zranioną nogę.

Ścigający rozsypali się w tyralierę, ale bieg pod górę przez gęste krzaki szybko chyba zmęczył tych nawykłych do jazdy konnej ludzi, bo ich krzyki stawały się coraz rzadsze i coraz bardziej zdyszane, graniczące w tonie z niepokojem i rodzącą się obawą, że ofiara może im jednak ujść.

W przerwach między spazmami bólu przesywającymi go przy każdym stąpieniu, Mark próbował myśleć. Przemknęło mu przez myśl, żeby paść w gęste zarośla i leżeć nieruchomo, dopóki go nie miną, ale byli za blisko, żeby fortel się udał, i mieli ze sobą tropiciela, który przyprowadził ich bezbłędnie do jego obozowiska, i to po ciemku. Położenie się teraz równałoby się poddaniu – i samobójstwu, czuł jednak, że daleko już nie ujdzie. Ból coraz bardziej przytępił mu świadomość, w głowie narastał dźwięk przypominający szum wielkich skrzydeł, a wzrok zaczynały przesłaniać mroczki i gwiazdy.

Padł na kolana i zwymiotował, dławiąc się i krtusząc gryzącym śluzem. Stracił ledwie kilka sekund, a krzyki pościgu przybliżyły się i przybrały na natarczywości. Podźwignął się na nogi wprost w snop światła rzucanego przez latarnię i powietrze tuż obok jego głowy przeorał pocisk karabinowy. Rzucił się na oślep przed siebie, szukając osłony przed wiązką

światła za krzakami i nagle poczuł, jak ziemia pod jego stopami przechyla się stromo.

Potknął się znowu, ale wyszedł z upadku przewrotem i podrywając się natychmiast na czworaki, przelazł niezdarnie przez krawędź stromizny. Podniósł się z wysiłkiem. Stał na płaskim terenie, a pod stopami chrząścił sucho tłuczeń. Postąpił trzy chwiejne kroki i nagle runął ciężko na ziemię zbity z nóg. Padając wyrzucił rozpaczliwie ramiona w poszukiwaniu jakiegoś punktu podparcia i uderzył ręką o coś stalowego, zdzierając sobie skórę z przegubu.

Oślepiiony na długie sekundy leżał dysząc chrapliwie i nasłuchując dochodzących z dołu pohukiwań prześladowców. Te odgłosy podziały na niego mobilizująco. Pomacał wokół siebie za czymś, na czym mógłby się podciągnąć, żeby znowu wstać.

Natrafił na zimną, gładką stal, o którą przed chwilą się potknął; drżała pod jego dłońmi jak coś żywego. Dopiero teraz dotarło do niego, że wdrapał się na nasyp linii kolejowej i upadł w poprzek szyn.

Podźwignąwszy się na kolana usłyszał basowe posapywanie nadciągające szybko poprzez ciemności; wtem całe wzniesienie załapała łuna odbitego światła, która przesunęła się majestatycznie i pojaśniała, przemieniając noc w dzień. Z głębokiego wykopu wiodącego przez najbardziej stromy odcinek wzniesienia wyłoniła się z łoskotem lokomotywa, której wyjazd z boczniczy towarowej w dolinie słyszał niedawno. Stąd blisko już było do mostu przerzuconego nad przełomem rzeki.

Długi, biały snop światła z reflektora padł wprost na niego; odczuł to jak trafienie czymś materialnym. Oslonił oczy przedramieniem i sturlał się z torów, przypadając do wysypanego tłucznem nasypu po stronie przeciwnej do tej, z której nadbiegali prześladowcy.

W blasku reflektora parowozu zobaczył krępą postać wbiegającą zwinnie na nasyp. Przeskoczyła przez tory tuż przed nadjeżdżającą z łoskotem i posapywaniem lokomotywą. W oslepiającej powodzi światła Mark nie zdołał dojrzeć twarzy mężczyzny, ale w jego ruchach i zarysie ramion było coś znajomego.

Parowóz przetoczył się nad Markiem z ogłuszającym dudnieniem, pokonując ostatni odcinek wzniesienia; oparzyła go swym gorącym oddechem struga pary tryskająca z tłoków. Potem grzmot osłabł i górą przesuwawa się już tylko ciemna, rozmazana smuga wagonów towarowych.

Mark wstał z wysiłkiem. Balansując na zdrowej nodze i ocierając strumienie potu zalewającego mu oczy, zadarł głowę i wyczekiwał odpowiedniego momentu.

Niewiele brakowało, a byłby go przegapił; ręce miał mokre od potu i chociaż na podjeździe pod górę pociąg znacznie wytracił szybkość, poręczomal nie wysliznęła mu się z dłoni.

Szarpnięcie przeszło mu bólem ramię aż po bark. Poderwany z ziemi zawisł przy burcie wagonu na jednej ręce i rozpaczliwymi wyrzutami ciała usiłował dosięgnąć poręczy drugą.

Udało mu się to wreszcie i przywarł do bocznej ściany wagonu przebierając jeszcze w powietrzu nogami w poszukiwaniu stopni – i w tym momencie ranną kostkę pochwycił

z siłą stalowych kleszczy czyjeś ręce; ktoś uwiesił się na niej całym ciężarem ciała, odrywając go od ściany wagonu.

Mark krzyknął z niewyobrażalnego, palącego bólu w ściskanej kostce i zmobilizował wszystkie siły i hart ducha, by nie wypuścić poręczy z dłoni.

Trzymający go za nogę mężczyzna sam z początku stracił kontakt z podłożem, ale zaraz odzyskał równowagę i ślizgając się po luźnym tłuczniu pokrywającym nasyp, to znów podbiegając kawałek, zupełnie jakby kierował psim zaprzęgiem, pędził uparcie wzdłuż pociągu, wprawiając ciało Marka w ruch wahadłowy.

Mark odwrócił głowę, wypatrzył bielszą plamę twarzy napastnika i wolną nogą wymierzył w nią kopniaka, ale chybił. W tej samej chwili łoskot przyspieszającego pociągu wkraść się nowy ton; lokomotywa wtoczyła się na stalowy most nad płynącą głębokim przełomem rzeką.

Z rwącego korytarza czerni wyłoniła się raptem kratownicowa konstrukcja mostu; Mark usłyszał mrozący krew w żyłach syk śmigających mu nad głową nitowanych stalowych wzdłużnic i jednocześnie poczuł, jak dłoń mężczyzny puszcza jego nogę. Wykrzesując z siebie resztkę sił, zacisnął kurczowo dłonie na poręczy wagonu. Pociąg przemknął przez most i pnąc się wytrwale pod wzniesienie po drugiej stronie rzeki dotarł wreszcie do szczytu, za którym roztaczał się już płaskowyż. Szybkość zaczęła wzrastać. Mark podciągnął się cał po calu po poręczy i przewalił bezwładnie przez burtę odkrytego wagonu. Leżąc twarzą do dołu na workach z cukrem, walczył rozpaczliwie o każdy haust powietrza, przeszywany paroksyzmami bólu, które rozrywały mu nogę.

Przytomność przywrócił mu w końcu ziąb. Przeпоcona kurtka owiewana wartkim prądem nocnego powietrza stawała się lodowata w dotyku, przeczołgał się więc na przód wagonu, by schronić się w zaciszu jego wysokiej stalowej ściany czołowej. Pomacał niespokojnie kieszenie i stwierdził z ulgą, że sakiewka i notes wciąż tam są.

Nagle uświadomił sobie, że nie jest sam, i załapała go nowa fala paniki.

– Kto tam? – wychrypiał sprężając się natychmiast w sobie i przyjmując postawę obronną.

– Nie obawiaj się, *Nkosi* – odpowiedział szybko w języku zulu niski głos i Mark odetchnął z ulgą. Mężczyzna siedział w kucki pod ścianą wagonu, która zapewniała mu osłonę przed wiatrem, i nie ulegało wątpliwości, że jest tak samo jak Mark zatrwożony nagłym odkryciem obecności kogoś obcego. – Nie obawiaj się, panie. Jestem biednym człowiekiem, który nie ma pieniędzy na opłacenie przejazdu koleją. Jadę do miasta Durban w Tekweni, do umierającego ojca.

– Spokojnie – burknął Mark w tym samym języku. – Ja też jestem biednym człowiekiem.
– Podpełzł pod osłonę ściany i kiedy podciągnął się do pozycji siedzącej obok Zulusa, zraniona kostka znowu dała o sobie znać. Z piersi wyrwał mu się jęk bólu.

– Oj! – w patrzących na Marka oczach czarnego mężczyzny odbijało się światło gwiazd.

– Jesteś ranny.

– Moja noga – wykrztusił Mark, starając się ułożyć ją w bardziej wygodnej pozycji. Zulus pochylił się i Mark poczuł na swej kostce delikatny dotyk jego palców.

– Nie masz butów? – Mężczyzna był zaskoczony widokiem pościeranych i krwawiących stóp Marka.

– Ścigali mnie źli ludzie.

Zulus pokiwał głową i w poświacie gwiazd Mark spostrzegł, że jest młody.

– Brzydko mi wygląda ta noga. Kość chyba cała, ale nie jest dobrze.

Rozwiązał mały tobołek, który leżał obok, i wyjął z niego jakąś część garderoby. Zaczął systematycznie drzeć materiał na pasy.

– Nie – zaprotestował ostro Mark. – Nie niszczyć dla mnie swojego ubrania. – Wiedział, jakim skarbem jest dla czarnych każdy zachodni ciuch, obojętne jak wyświechtany i znoszony.

– To stara koszula – powiedział zwyczajnie Zulus i zabrał się ze znanym do bandażowania spuchniętej kostki. Opatrunek przyniósł Markowi ulgę.

– *Ngiya bone* – wielkie dzięki – stęknął i spóźniony lodowaty dreszcz szoku wstrząsnął całym jego ciałem; poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła i zadygotał znowu.

Zulus zdjął z ramion koc i przykrył nim troskliwie Marka.

– Nie, nie mogę przyjąć twojego koca. – Koc trącił dymem palonego suszonego łąjna i samym Zulusem – pachniał Afryką.

– Potrzebny ci – oświadczył stanowczo Zulus. – Jesteś chory.

– No dobrze – wymamrotał Mark, wstrząsany kolejnym dreszczem. – Ale to duży koc, wystarczy dla dwóch...

– To nie wypada.

– Chodź – warknął szorstko Mark i Zulus, po chwili wahania, przysunął się bliżej i wślizgnął pod fałdę wełnianego okrycia.

Ramię przy ramieniu mknęli przez noc. Wyczerpanie i pulsująca hipnotyzującym bólem kostka wprawiły Marka w otępienie. Siedzący obok Zulus milczał i Mark sądził, że śpi, ale kiedy po dwóch godzinach szybkiej jazdy przez płaskowyż pociąg zwolnił, Murzyn odezwał się szeptem:

– To przystanek Sakabula. Zatrzymujemy się tutaj, żeby przepuścić inny pociąg.

Mark pamiętał tę odludną bocznice mijankową z dwoma pętlami torów. Żadnych budynków, sama tylko tablica identyfikacyjna z nazwą. Miał już zapas z powrotem w pólśen, ale coś go zaalarmowało, jakieś dziwne przeczucie zagrożenia, które tak mu się wyostrzyło we Francji!

Strząsnął z siebie koc i podciągnął się na kolana, żeby wyrzeć przez burtę wagonu. Tory dochodziły do bocznic łagodnym łukiem, szyny połyskiwały srebrzyście w świetle reflektorów lokomotywy.

Daleko w przodzie widać było słup ze znakiem stop, który w snopie światła rzucanego przez reflektor wydawał się zupełnie biały, i coś jeszcze. Na torach przy przystanku stał zaparkowany ciemny pojazd, duża ciężarówka z zapalonymi reflektorami. Mark odróżniał sylwetki ludzi czekających w kałuży żółtego blasku. Niepokój przeorał mu wnętrza i ścisnął klatkę piersiową zimną stalową obręczą.

Ciężarówka z Ladyburga nie zdążyłaby tu dotrzeć przed nimi, ale wysłana telegraficznie wiadomość mogła uprzedzić...

– Muszę się zbierać – syknął Mark. Sztywnymi palcami wyłuskał z wszytej w pas skrytki suwerena i wcisnął go pośpiesznie w dłoń Zulusa.

– Nie trzeba... – zaczął Murzyn, ale Mark przerwał mu niecierpliwie.

– Bywaj. – Podczołgał się do burty wagonu od strony przeciwnej do tej, po której czekali nieznajomi, spuścił się po stalowej drabince i zawisł tuż nad torami.

Zaczekał, aż lokomotywa jęcząc, zgrzytając i sapiąc parą zwolni, zebrał się w sobie i zeskokczył, starając się przyjąć większą część ciężaru ciała na zdrową nogę.

Dotknąwszy ziemi, poddał się w przód, chowając głowę w ramionach, wywinął kozła przez bark i podciągnął pod siebie kolana, stoczył się z nasypu niczym gumowa piłka.

Znalazłszy się w suchej, spłowiałej trawie przy torach, nie podniósł się, lecz podczołgał na łokciach i brzuchu w kierunku niskich ciernistych zarośli majających w mroku w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów od nasypu. Wpełzł powoli pod obwisłe, kolczaste gałęzie i legł twarzą do dołu zaciskając zęby, by nie krzyknąć z tępego bólu, którym pulsowała kostka.

Pociąg zatrzymał się. Z budki z tyłu ostatniego wagonu, który stanął na wysokości kryjówki Marka, zszedł po drabince strażnik i zapalił swoją latarnię, a od przodu składu biegła już ku niemu grupa mężczyzn z latarniami, przeszukując po drodze odkryte wagony.

Mark zauważył, że wszyscy są uzbrojeni. Słyszał ich głośnie wymianę zdań z maszynistą i palaczem, którzy wychylali się z kabiny parowozu.

– O co chodzi?

– Wieciecie przestępcę ściganego przez prawo.

– A wy kto?

– Jesteśmy konstablami służb specjalnych.

– Co to za jeden?

– Obrabował bank...

– Zamordował cztery osoby w Ladyburgu...

– Wskoczył na wzgórzu do waszego pociągu...

– Nie ryzykujcie, panowie, to morderca...

Biegli szybko wzdłuż pociągu, dodając sobie odwagi głośnymi rozmowami i nawoływaniem, i dopiero teraz Mark pomyślał o Zulusie. Zapomniał ostrzec tego człowieka, ale był zbyt zaaferowany ratowaniem własnej skóry. Chciał teraz krzyknąć, żeby

uciekał, nie potrafił się jednak na to zdobyć. Zulusowi nic nie grozi, nie zastrzelą go, kiedy zobaczą, że to czarny, najwyżej trochę potarmoszą i wyrzucą z...

Zulus wyprysnął spomiędzy dwóch wagonów, ze sprzęgu, na który wcześniej zlązł. Ktoś zauważył jego ciemną pędzącą co sił w nogach sylwetkę i krzyknął. Padł strzał.

Mark zobaczył w świetle reflektora obłoczek pyłu wzbity przez pocisk. Zulus skręcił ostro i pognął prosto w otwarty step. Noc rozdarło kilka kolejnych wystrzałów, którym towarzyszyły wściekle czerwone w panujących ciemnościach rozbłyski tryskające z luf, ale Zulus biegł dalej.

Jeden z mężczyzn na torach przykląkł na jedno kolano i w blasku lamp Mark dostrzegł jego białą, zaciętą twarz. Złożył się starannie do strzału i karabin kopnął silnie.

Zulus padł w trawę nie wydawszy krzyku. Rzucili się ku niemu rozemocjonowaną kupą i otoczyli kołem ciało.

– O, Jezus, to tylko czarnuch! – Pięć minut trwała bezładna, gniewna dyskusja, po czym czterech mężczyzn wzięło Zulusa za ręce i nogi i poniosło w kierunku zaparkowanej ciężarówki.

Głowa Murzyna zwisała w tył, szorując niemal po ziemi i kołysząc się bezwładnie w rytm nierównego kroku dźwigających go mężczyzn, usta miał szeroko otwarte, a kapiąca z nich krew była czarna jak smoła. Wrzucili go na skrzynię ciężarówki.

Na bocznicy mijankową wpadł z łoskotem pociąg zmierzający na północ, pozdrowił przepuszczający go skład przeraźliwym, wibrującym gwizdem i nie zwalniając biegu pomknął dalej w kierunku Ladyburga.

Mężczyźni wgramolili się na skrzynię, zawarczał zapuszczany silnik i ciężarówka odjechała wyboistym szlakiem omiatając reflektorami niebo i ziemię.

Stojący pociąg zagwizdał posepnie, drgnął i z ospałym dudnieniem potoczył się powoli po szynach. Mark wyczołgał się ze swej kryjówki pod krzakami i zataczając się i potykając pokuśtykał za nim najszybciej, jak pozwalała mu na to skrecona kostka. Dogonił skład na moment przed tym, jak ten zaczął przyspieszać.

Przeczłogał się po workach z cukrem do zacisza pod stalową ścianą i znalazł tam koc pozostawiony przez Zulusa. Owijał nim swoje przemarznięte ciało zalewany falą poczucia winy, winy za spowodowanie śmierci człowieka, życzliwego mu człowieka – a potem to poczucie winy przerodziło się w gniew.

Gorzki, gryzący gniew, który nie opuszczał go przez całą noc spędzoną w mknącym na południe pociągu.

Fordsburg jest nędznym przedmieściem Johannesburga oddalonym trzysta mil od porośniętych złocistą trawą wzgórz Zululandu i pięknej, lesistej doliny Ladyburga. Jest to dzielnica szkaradnych „bidadomków”, maleńkich robotniczych domków o drewnianych szkieletach obitych galwanizowaną blachą, ze smutnym, małym ogródkiem każdy. Część tych

ogródków wyróżniała się śmiałymi, wyzywającymi kompozycjami kolorowych kwiatów, rabatkami stokrotek, trzcin kwiatowych i płomiennie–czerwonych poinsecji, ale w większości goła, zaniedbana ziemia, upstrzona gdzieś tam plamami zgorzeli roślinnej i zagonami chwastów, świadczyła o zubożeniu gospodarzy.

Nad wąskimi uliczkami i zatłoczonymi chatynkami trzymały swą majestatyczną wartość kopalniane hałdy – wyniosłe, płaskie jak stół góry trującej żółtej ziemi, z której pozyskiwano złoto. Stosowany w tym celu proces cyjanowania sprawiał, że ziemia wysypywana na hałdy była wyjałowiona i bezpłodna. Nie rosło na nich nic i w wietrzne dni nad przycupniętymi u ich stóp chatami hulały tumany żółtego pyłu i piasku.

Hałdy dominowały w krajobrazie niczym monumenty mrówczej pracowitości człowieka, symbole jego wiecznie nie zaspokojonej żądzy złota. Pośród stepowego afrykańskiego płaskowyzu, na tle bladego błękitu bezchmurnego zimowego nieba rysowały się pajęczne stalowe konstrukcje kopalnianych wież wyciągowych. Ogromne stalowe koła na ich szczytach obracały się bez ustanku tam i z powrotem, opuszczając pełne ludzi klatki w głąb ziemi i wyciągając je z powrotem na powierzchnię wyładowane zasobnikami ze złotonośną skałą.

Mark szedł wolno jedną z wąskich, zakurzonych uliczek. Utykał lekko, a w taniej tekturowej walizce niósł cały swój skromny dobytek zakupiony po stracie wszystkiego, co posiadał, na wzgórzach pod Ladyburgiem.

Miał na sobie ubranie przerobione ze zdefasonowanego munduru demobilizacyjnego, który dostał od armii. Flanelowe spodnie miał starannie odprasowane, a niebieski blezer dopasowany do szerokiej w ramionach i zwężającej się ku talii sylwetki. Śnieżnobiała, rozpięta pod szyją koszula kontrastowała z gładką, opaloną na brąz skórą jego szyi i twarzy.

Staął przed domkiem, na którego furcie wisiała tabliczka z numerem pięćdziesiąt pięć, stanowiącym lustrzane odbicie takich samych domków ciągnących się przed nim i za nim, oraz po przeciwnej stronie uliczki. Otworzył furtkę i ruszył krótkim chodniczkiem z płyt cementowych czując na sobie czyjś wzrok. Ktoś obserwował go zza koronkowej firanki wiszącej w oknie frontowego pokoju.

Kiedy jednak zapukał do drzwi, te otworzyły się dopiero po kilku minutach. Mark zamrugał ze zdumienia na widok stojącej w progu kobiety. Ciemne, krótkie włosy miała świeżo przyczesane, a ubranie wyraźnie narzucone w pośpiechu w miejsce skromniejszej sukienki, którą zapewne nosiła na co dzień. Kończyła właśnie zapinać pasek na swej wciętej talii. W bladoniebieskiej sukni w żółte stokrotki wyglądała młodo i zalotnie, chociaż Mark zorientował się od razu, że jest co najmniej o dziesięć lat starsza od niego.

– Tak? – spytała pokrywając uśmiechem oschłość tonu.

– Czy tutaj mieszka Fergus MacDonald? – Zauważył teraz, że jest przystojna; nie tyle ładna, co właśnie przystojna, a zawdzięcza to kształtnym kościom policzkowym i ciemnym, inteligentnym oczom.

– Tak, to dom Fergus MacDonalda. – Intrygujący był ten cień obcego akcentu w jej głosie. – Jestem jego żoną.

– Och – bąknął zaskoczony. Wiedział, że Fergus jest żonaty. Wspominał o tym często, ale Mark nigdy dotąd nie zastanawiał się, jak wygląda jego żona – nie myślał o niej przynajmniej jak o kobiecie z krwi i kości, a już na pewno nie wyobrażał sobie, że będzie taka jak ta. – Jestem kolegą Fergus z wojska.

– Ach, tak... – zawahała się.

– Nazywam się Mark, Mark Anders. – W jej nastawieniu zaszła raptowna zmiana; półuśmiezek rozkwitł w uśmiech i rozjaśnił całą twarz. Westchnęła z zadowolenia.

– Mark, oczywiście, Mark. – Schwyciła go impulsywnie za rękę i przeciągnęła przez próg. – Opowiada często o tobie... mam wrażenie, jakbym cię bardzo dobrze znała. Jak członka rodziny, jak brata – stała blisko i trzymając go wciąż za rękę, przyglądała mu się z uśmiechem. – Wchodź, Marku, wchodź. Mam na imię Helena.

Fergus MacDonald siedział za stołem w obskurnej kuchni. Stół, zamiast obrusem, przykryty był płachtami gazet. Fergus pochylał się nad talerzem i słuchając relacji Marka z jego ucieczki z Ladyburga, rzucał spode łba gniewne spojrzenia.

– Te sukinsyny, Marku, to wrogowie. Nowi wrogowie. – Mówił z ustami pełnymi ziemniaków i bardzo pikantnej, grubej farmerskiej kiełbasy, nazywanej tutaj *boerewors*. – Mamy kolejną wojnę, chłopcze – tym razem z kimś gorszym od tych cholernych Hunów. – Jeszcze piwa. Mark? – Helena nachyliła się ku niemu, żeby napełnić jego kufel z czarnej ćwierćlitrowej butelki.

– Dziękuję. – Mark obserwował podnoszącą się w kuflu pianę i próbował dojść znaczenia słów Fergus. – Nie rozumiem, Fergusie. Nie wiem, kim są ci ludzie, i nie mam pojęcia, dlaczego chcieli mnie zabić.

– To panowie, chłopcze. Właśnie z nimi teraz walczymy. Z bogaczami, właścicielami kopalń, bankierami, z wszystkimi tymi, którzy uciskają człowieka pracy. Mark pociągnął solidny łyk piwa, a Helena uśmiechnęła się do niego przez stół.

– Fergus ma rację, Marku. Musimy ich zniszczyć – zaczęła mówić. Dziwnie było tego słuchać z ust kobiety. W jej ciemnych oczach płonął fanatyczny blask. Słowa wypowiedane ze śpiewnym akcentem jej czystym, wyraźnym głosem miały nieodpartą moc i Mark obserwował jej ręce, którymi gestykulowała żywo, podkreślając ważniejsze tezy swojej wypowiedzi. Dłonie miała smukłe, silne, o zwężających się ku koniuszkom palców i krótko przyciętych paznokciach. Paznokcie były czyste i starannie utrzymane, ale dwa pierwsze palce prawej dłoni nosiły ślady zażółcenia. Dopiero kiedy Helena sięgnęła nagle do paczki papierosów leżącej na stole przy łokciu Fergus, Mark zorientował się, skąd pochodzą żółte plamy.

Nie przerywając monologu, przypaliła sobie papierosa zapalką, osłaniając płomyk złożonymi w muszelkę dłońmi, zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła dym przez zaciśnięte

usta. Mark, który nie widział jeszcze palącej kobiety, wybałuszył na nią oczy. Potrząsnęła energicznie głową.

– Historia buntów społecznych pisana jest krwią. – Weź taką Francję, popatrz, jak rewolucja przetacza się przez Rosję.

Krótkie ciemne kędziory okalające jej bladą twarz podrygiwały połyskując. Zaciśnęła znowu usta, żeby zaciągnąć się papierosem, i ten męski odruch nie wiedzieć czemu zaszokował Marka – i podniecił.

Poczuł nie kontrolowany skurcz w łędźwiach, gwałtowne nabrzmiewanie i twardnienie ciała, na które nie miał żadnego wpływu. Szok i zakłopotanie odebrało mu oddech. Odchylił się na oparcie krzesła i wsunął rękę do kieszeni, pewny, że MacDonaldownie musieli zauważyć jego krępującą reakcję, ale Helena sięgnęła tylko przez stół i z zadziwiającą siłą chwyciła go za przegub drugiej ręki.

– Wiemy, kim jest nasz wróg, wiemy, co trzeba zrobić i jak to trzeba zrobić, Marku.

Miał wrażenie, że jej palce wtapiają się w jego ciało niczym rozpalone żelazo. Oszłomiła go ich siła. Kiedy zdobył się wreszcie na odpowiedź, głos miał schrypnięty:

– Oni są silni, Heleno, potężni...

– Nie, nie, Marku, to robotnicy są silni. Wrogowie są słabi i zadufani w sobie. Niczego nie podejrzewają, tarzają się jak wieprze w swoich złotych suwerenach łudząc się, że bogactwo jest gwarancją bezpieczeństwa, ale w istocie są nieliczni i nie przygotowani. Nie zdają sobie sprawy z własnej słabości – a robotnicy nie uświadamiają sobie jeszcze swojej wielkiej siły. My im otworzymy oczy.

– Masz rację, dziewczyno. – Fergus wytarł resztki sosu z talerza skórką od chleba i wepchnął ją sobie do ust. – Słuchaj, co mówi, Marku. Budujemy nowy świat, zacy i piękny świat. – Beknął głośno i odsunął od siebie talerz, nie odrywając łokci od blatu. Ale wpieryw musimy rozedrzeć i zburzyć to przegniłe, niesprawiedliwe i skorumpowane społeczeństwo. Walka zapowiada się ciężka i będą nam potrzebni dobrzy, twardzi bojownicy. – Zarechotał chrapliwie i klepnął Marka w ramię. – Znowu wezwą pod broń MacDonalda i Andersa, zobaczysz, chłopcze.

– Nie mamy nic do stracenia, Marku. – Policzki Heleny płonęły. – Nic prócz naszych łańcuchów... a do zyskania całej świata. Tak powiedział Karol Marks i jest to jedna z największych prawd w historii ludzkości.

– Heleno, czy ty... – Mark zawahał się, czy użyć tego słowa – czy ty i Fergus... znaczy się, wy chyba nie jesteście bolszewikami, co?

– Tak właśnie nazywają nas panowie i ich pachołkowie, policja. – Helena roześmiała się pogardliwie. – Próbują robić z nas kryminalistów, już się nas boją. I mają powody, Marku, my im ich dostarczymy.

– Nie, chłopcze, nie nazywaj nas bolszewikami. Jesteśmy członkami partii komunistycznej, poświęconymi sprawie wszechświatowego komunizmu. Sprawuję funkcję

lokalnego sekretarza partii i przewodniczącego zakładowej komórki związku zawodowego górników na wydziale kotłowni.

– Czytałeś Karola Marksa? – zapytała Helena.

– Nie. – Mark pokręcił głową oszołomiony i wstrząśnięty, ale wciąż niemal do bólu pobudzony seksualnie jej zmysłową kobiecością. Fergus bolszewikiem? Potworem rzucającym bomby? Za dobrze go znał, żeby w to uwierzyć. Byli przecież starymi, zaufanymi kumplami.

– Pożyczę ci mój egzemplarz.

– Daj spokój, dziewczyno – Fergus zachichotał i potrząsnął głową. – Chłopak nie nadaża. Po oczach widzę, że zupełnie już zbaraniał. – Nachylił się do Marka, objął go serdecznie za ramiona i przyciągnął do siebie. – Masz się gdzie zatrzymać, chłopcze? Masz pracę? Masz gdzie pójść?

– Nie. – Mark poczerwieniał na twarzy. – Nie mam, Fergusie.

– A właśnie, że masz – wtrąciła się szybko Helena. – Posłałam łóżko w pokoju obok – zostajesz u nas, Marku.

– Ale nie chciałbym...

– Dyskusja skończona – przerwała mu zwyczajnie.

– Zostajesz, chłopcze. – Fergus ścisnął go za ramię. – A jutro poszukamy ci pracy. Masz wykształcenie, potrafisz czytać, pisać i rachować, łatwo będzie cię gdzieś umieścić. Słyszałem, że szukają urzędnika do kantoru rachuby płac, a główny płatnik to towarzysz, członek partii.

– Zapłacę wam za mieszkanie.

– Jasne, że zapłacisz – zachichotał znowu Fergus i napelnił jego kufel piwem po sam wrąbek. – Cieszę się, że znowu cię widzę, synu – uniósł swój kufel. – Za MacDonalda i Andersa i strzeżcie się sukinsyny, bo idziemy! – Pił solidnymi haustami, a spiczasta grdyka chodziła mu miarowo w górę i w dół. Odstawił potem pusty kufel i wierzchem dłoni otarł pianę z górnej wargi.

Dawno w wojsku kapelan regimentowy nazywał to „grzechem Onana”, natomiast żołnierze mieli na to wiele innych sprośnych określeń, jak na przykład „bicie konia” albo „wizyta u pani Ręki i jej pięciu córek”. Kapelan ostrzegał przed okropnymi konsekwencjami oddawania się tej praktyce – pogorszenie wzroku, wypadanie włosów, niedowład i drżenie dłoni, a w końcu rozmiękczenie mózgu i szpital dla wariatów. Mark leżał na wąskim żelaznym łóżku i niewidzącymi oczyma wpatrywał się w spłowiałą różową tapetę w różyczki, pokrywającą ściany maleńkiego pokoiku. W powietrzu unosiła się woń stęchlizny charakterystyczna dla długo nie otwieranych pomieszczeń, a pod przeciwległą ścianą stała miednica na metalowym stojaku i emaliowany kubeł. Z sufitu zwisała na kawałku kabla pojedyncza, goła, upstrzona przez muchy żarówka; teraz też na kablu siedziały trzy senne

muchy. Mark skupił na nich całą swą uwagę, usiłując zapanować nad falami pożądania, które przepływały, jedna za drugą, przez jego ciało. Lekkie kroki w korytarzu zatrzymały się przed drzwiami jego sypialni i rozległo się pukanie.

– Mark?

Usiadł szybko i cienki koc zsunął mu się z piersi.

– Mogę wejść?

– Tak – szepnął ochryple i drzwi otworzyły się. Helena podeszła do jego łóżka. Była w szlafroku z różowego błyszczącego materiału, zapinanym z przodu na guziki; poły rozchyłały się przy każdym kroku, odsłaniając na chwilę gładkie, białe ciało powyżej kolan. Niosła w ręku cienką książeczkę.

– Obiecałam, że ci ją pożyczę – wyjaśniła. – Przeczytaj to, Marku. – Podała mu tomik.

Tytuł brzmiał *Manifest komunistyczny*. Mark wziął od niej książkę i otworzył ją na chybił trafił. Pochylił głowę nad zadrukowanymi gęsto stronicami, żeby ukryć zakłopotanie, w jakie wprawiała go bliskość Heleny.

– Dziękuję, Heleno. – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, modląc się przy tym w duchu, by wyszła, a jednocześnie żywiąc nadzieję, że jednak zostanie. Pochyliła się nad nim, żeby zajrzeć w otwartą książkę, i dekolt szlafroka obwisł o cal. Mark zerknął w górę i ujrzał niewiarygodnie jedwabistą gładź w miejscu, gdzie zaczynała się jedna z białych piersi uciskanych koronką zdobiącą brzeg dekolту szlafroka. Spuścił szybko oczy i oboje milczeli przez chwilę. W końcu Mark nie wytrzymał i podniósł na nią wzrok.

– Heleno – zaczął i urwał. Na jej lekko rozchylonych, wilgotnych, połyskujących w ostrym elektrycznym świetle ustach błąkał się uśmiech, tajemniczy kobiecy uśmiech. Ciemne oczy skryte do połowy w cieniu brwi płonęły znowu ognistym, fanatycznym blaskiem, a jej pierś unosiła się i opadała pod różową satyną w rytm przyspieszonego, bezgłośnego oddechu. Mark spłonął pod ciemną opalenizną krwistym rumieńcem i padł na łóżko, odwracając się do niej plecami i podciągając kolana pod brodę. Helena, uśmiechając się wciąż, wyprostowała się powoli.

– Dobranoc, Marku. – Dotknęła jego ramienia, rozpalając w nim znowu ogień koniuszkami swoich palców, a potem odwróciła się i podeszła niespiesznie do drzwi. Gładki materiał szlafroka ślizgał się płynnie tam i z powrotem po jędrnych obłóściach jej pośladków.

– Zostawiam światło. – Obejrzała się w progu i teraz jej uśmiech był porozumiewawczy. – Będziesz chciał pewnie poczytać.

Kantor rachuby płac Crown Deep Mines Ltd. był długim pomieszczeniem o surowym wystroju, w którym za wysokimi biurkami ustawionymi rzędem pod jedną ze ścian pracowało jeszcze pięciu urzędników. Byli to przeważnie mężczyźni w zaawansowanym wieku średnim, w tym dwaj cierpiący na suchoty, tę straszną chorobę górników biorącą się z powolnego osiadania skalnego pyłu na płucach, które z upływem lat obracają się stopniowo w kamień

i człowiek staje się kaleką. Zatrudnienie w biurach kopalni było dla tych nieszczęśników formą renty. Pozostali trzej mężczyźni byli siwi, nijacy i przygarbieni od wiecznego ślęczenia nad księgami. W kantorze panowała cicha, pełna powagi atmosfera klasztoru.

Markowi przydzielono nadzór nad aktami personalnymi osób o nazwiskach zaczynających się na litery od R do Z. Praca była nieciekawa i monotonna, toteż wkrótce, wyliczając dodatki za nadgodziny i potrącenia za nieobecności, odpisy emerytalne i składki związkowe, a na koniec sumując to wszystko, popadł w automatyzm. Była to rutyna nie wymagająca żadnego wysiłku od błyskotliwego aktywnego młodego mózgu, a ciasny, wąski kantor stanowił klatkę dla ducha, który czuł się najlepiej pod bezkresnym niebem otwartej sawanny i poznał walący się wszechświat pól bitewnych Francji.

W weekendy wymykał się z tej klatki i pędząc na starym motocyklu polnymi ścieżkami biegnącymi podnóżem skalistych pagórków, na których rosły królewskie kandelabry gigantycznych aloesów o kwiatach płonących jasnym szkarłatem na tle czystego błękitu nieba, zapuszczał się na wiele mil w sawannę. Szukał odosobnienia, dziczy, sekretnych miejsc z dala od innych ludzi, ale gdziekolwiek się zwrócił, drogę przegradzała mu zawsze zaporą z kolczastego drutu; sawannę zaorywano, nad czerwoną ziemią, na której po żniwach pozostała zeschnięta, rzadka szczecina kukurydzianego ścierniska, wirowały i tańczyły blade tumany pyłu.

Po wielkich tabunach dzikiej zwierzyny, które pokrywały niegdyś jak okiem sięgnąć otwartą sawannę, nie pozostało śladu. Zastąpiło je karłowate, wielobarwne, chude bydło pasące się bezmyślnymi, ociężałymi stadami pod okiem prawie nagich Murzyniątek. Pastuszkowie zatrzymywali się na widok przejeżdżającego Marka, by pozdrowić go z powagą, i mile zaskoczeni szeroko otwierali oczy, kiedy odpowiadał w ich własnym języku.

Czasami zdarzało się Markowi wypłoszyć z legowiska małą szarą antylopę o krótkich ostrych rogach i patrzeć, jak z postawionymi uszami, zygzakując, sady długimi susami poprzez suchą trawę; kiedy indziej udawało mu się zaobserwować samotną gazelę, której udało się jeszcze uchować przed długimi strzelbami, sunącą poprzez równinę złudnie niczym dym. W takich przypadkach zachwyty ich dziką obecnością pozostawał w nim na długo, rozgrzewając podczas powrotów chłodnym wieczorem do domu.

Potrzebował tych chwil spokoju i samotności, by doprowadzić do końca proces rekonwalescencji, i to nie tylko po ranach od kul maxima w plecach, ale i po tych głębszych, zadanych duszy wskutek zbyt wczesnego doświadczenia wojny i wszystkich jej okropieństw.

Potrzebował też tego spokoju, by zastanowić się nad wartkim nurtem wydarzeń, które wypełniały mu wieczory i noce i stanowiły zupełne przeciwieństwo szarej rutyny dni spędzanych w pracy.

Fanatyczny zapal Fergusa MacDonalda i Heleny porwał Marka. Fergus był towarzyszem, z którym dzielił doświadczenia nieznanego wielu ludziom, twarde, straszne trudy walki. Był też od Marka dużo starszy i swoim ojcowskim podejściem wypełniał głęboką lukę w jego życiu.

W tej sytuacji łatwo było odrzucić wątpliwości i uwierzyć; nie myśleć i dać się ślepo ponieść niespożytej energii Fergusa.

W tych spotkaniach z ludźmi takimi jak on, ludźmi wyznającymi pewną ideę i przekonanymi o swym posłannictwie, było coś podniecającego i dającego poczucie wspólnoty. Te potajemne zebrania w zamkniętych na klucz pomieszczeniach z uzbrojonymi wartownikami przy drzwiach, ta atmosfera przepelniona emocją rzeczy zakazanych. Te kłęby papierosowego dymu unoszące się spiralami pod sufit i wypełniające wreszcie pomieszczenie gęstą siną mgiełką niczym kadzidło palone w ramach jakiegoś mistycznego rytuału: te twarze błyszczące od potu i pałające tłumionym szaleństwem fanatyzmu, chłonące słowa mówców.

Harry Fisher, pierwszy sekretarz partii, był wysokim, żywotnym mężczyzną o wielkim brzuszysku, potężnych barach i włochatych, muskularnych ramionach palacza kotłowego, zmierzwionej czarnej czuprynie przetykanej pasemkami siwizny i o ciemnych, płonących oczach.

– Stanowimy partię, pretoriańską gwardię proletariatu, i nie pętają nas prawa ani kodeks etyczny ery burżuazyjnej. Partia sama w sobie jest nowym prawem, naturalnym prawem istnienia.

Uścisnęli sobie potem dłonie z Markiem, a Fergus stał z boku, przyglądając się temu z ojcowską dumą. Uścisk Fishera był tak samo ognisty jak jego spojrzenie.

– Jesteście żołnierzem – powiedział kiwając głową. – Będziemy was znowu potrzebowali, towarzyszu. Krwawa robota przed nami.

Niezwykła osobowość tego człowieka na długo zburzyła Markowi spokój ducha; był pod jej wrażeniem jeszcze w zatłoczonym tramwaju, którym wracali do domu ściśnięci we trójkę na dwuosobowej ławce. Udo Heleny napierało silnie na jego udo, a ona sama, zwracając się do niego, nachylała się tak, że ustami muskała niemal jego policzek. Czuł wtedy jej oddech przesiąknięty wonią alkoholu i papierosowego dymu zmieszaną z zapachem tanich kwiatowych perfum, których używała, a pod tym wszystkim zmysłowe ciepło kobiecego ciała.

W piątkowe wieczory odbywały się inne spotkania. Były to wielkie zgromadzenia rozbrzmiewające ochrypłymi wrzaskami setek białych górników stłoczonych w ogromnej Sali Związków Zawodowych miasta Fordsburg. Większość przychodziła na nie opita tanią brandy, skora do rozrób i głośno manifestująca swoje zdanie. Gdy na podium wstępował mówca, wyli jak motłoch kibicujący walce byków; ktoś z widowni włożył co chwila na krzesło i kiwając się na nim, wyrzaskiwał bez związku jakieś banalne slogany, dopóki nie ściągnął go na dół rehot towarzyszy.

Jednym z najpopularniejszych mówców na tych publicznych zgromadzeniach był Fergus MacDonald. Znał tuzin sposobów na doprowadzenie słuchaczy do amoku, potrafił dotrzeć do ich najskrytszych obaw i tak je rozjątrzyć, że wyli na wpół z bólu, na wpół z zachwytu.

– A wiecie, co oni planują, ci panowie, wiecie, co chcą zrobić? Najpierw wprowadzą

rozbitcie stanowisk pracy...

Od okropnego, grzmiącego ryku zatrzęsły się szyby w oknach, a Fergus na podium zawiesił głos, odgarnął z czoła rzednące, piaskowe włosy i uśmiechając się do nich z góry swoimi zaciśniętymi w wąską linię ustami, czekał cierpliwie, dopóki nie ucichli.

– ...pracę, do której kwalifikacje zdobywaliście przez pięć długich lat, podzielą teraz na etapy i będzie ją wykonywało trzech niewykwalifikowanych, każdy po rocznym przyuczeniu do swojego wąskiego odcinka, i będą im płacić dziesiątą część tego, ile obecnie wyciągacie wy.

Sala wyryczała ochryple „NIEEEEE!”, a Fergus odbił im to w twarz:

– Tak! – wrzasnął. – Tak! Tak! I jeszcze raz tak. To właśnie chcą zrobić panowie. I nie koniec na tym, oni chcą zatrudnić na wasze miejsca czarnuchów. Pracę zabiorą wam czarni – czarni, którzy będą pracować za pieniądze, z których wy byście nie żyli.

Darli się teraz opętani złością, straszną złością, której nie ma na czym wyładować.

– A co się stanie z waszymi dziećmi, będziecie je karmić podplomykami, wasze żony będą chodziły w łachmanach? Oto, co was czeka, kiedy czarnuchy zabiorą wam pracę!

– NIE! – zawyli. – NIEEEEE!

– Robotnicy świata! – krzyknął Fergus. – Robotnicy świata łączcie się – i zachowajcie nasz kraj dla białych!

Ryk aplauzu i rytmiczny tupot setek stóp o drewnianą podłogę trwały z dziesięć minut, a Fergus przechadzał się tymczasem tam i z powrotem po podium, klaskając w uniesione nad głową dłonie, niczym zwycięski bokser. Kiedy owacje wreszcie ścichły, odrzucił w tył głowę i drąc się na całe gardło, zaintonował pierwszą zwrotki *Czerwonego sztandaru*.

Cała sala wstała z łoskotem odsuwanych krzeseł i prężąc się w postawie na baczność podchwyciła tę rewolucyjną pieśń:

*Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami będziemy wtedy my!*

[Bolesław Czerwieński: „Czerwony sztandar”.]

Mark wracał do domu z MacDonalдами. Wieczór był mroźny i para unosząca się im z ust przy każdym oddechu przypominała w blasku ulicznych latarni strusie pióropusze. Helena szła między Markiem a Fergusiem. W czarnym palcie z kołnierzem z królika i wełnianej czapce naciągniętej głęboko na oczy wyglądała bardzo filigranowo.

Trzymała swoich towarzyszy pod rękę z pozornie bezstronną naturalnością, ale Mark czuł na bicepsie wprawiający go w zakłopotanie ucisk jej palców, a kiedy od czasu do czasu zmieniała nogę, by dorównać dłuższemu krokowi mężczyzn, jej udo ocierało się o jego.

– Wiesz, Fergusie, to co wygadywałeś na sali, nie trzymało się kupy – przerwał milczenie Mark, kiedy skręcali w swoją uliczkę. – Nie da się pogodzić jednego z drugim – jedności robotniczej i objęcia nią tylko białych.

Fergus zachichotał z uznaniem.

– Bystry jesteś, chłopcze, towarzyszu Marku.

– Ale ja mówię poważnie, Fergusie – nie tak jak Harry Fisher...

– Oczywiście, że nie, chłopcze. Dziś wieczorem dolewałem oliwy do ognia. Musimy w nich wzniecić szal bojowy, wiele jest do zburzenia, mnóstwo krwawej roboty. – Zatrzymał się i spojrzał na Marka ponad głową Heleny. – Potrzeba nam mięsa armatniego, chłopcze, i to dużo.

– A więc to nie będzie tak? – spytał Mark.

– Nie, chłopcze. To będzie piękny, sprawiedliwy nowy świat. Wszyscy równi, wszyscy szczęśliwi, żadnych panów – państwo robotników.

Mark starał się stłumić cisnące mu się na usta wątpliwości.

– Mówisz bez przerwy o walce, Fergusie. Czy rozumiesz ją dosłownie? To znaczy, czy to ma być prawdziwa wojna?

– Prawdziwa, towarzyszu, prawdziwa krwawa wojna. Taka jak rewolucja w Rosji, gdzie towarzysz Lenin wskazał nam drogę. Musimy wypalić zgniliznę, musimy zrosić tę ziemię krwią rządzących i panów, musimy skapać ją we krwi ich sługusów – burżuazyjnej klasy oficerów policji i wojska.

– A czym... – Mark zawahał się, bo słowo „będziemy” nie chciało mu jakoś przejść przez usta. Byłoby to swego rodzaju zobowiązanie, a na takie nie potrafił się jeszcze zdobyć. – Czym będziecie walczyli?

Fergus znowu zachichotał i mrugnął do niego chytrze.

– Ani mru–mru, chłopcze, ale chyba pora, żebyś dowiedział się czegoś więcej. – Skinął głową. – Tak, jutro wieczorem – zdecydował.

W sobotę Liga Kobiet zorganizowała w Sali Związków wentę dobroczynną, z której dochód miał być przeznaczony na budowę nowego kościoła. Tam gdzie poprzedniego wieczora rozszalały tłum wyrzaskiwał swą gotowość do mordy i udziału w krwawej rewolucji, stały teraz długie stoły na kozłach, wokół których krzątały się gospodynie wystawiające własnoręcznie upieczone i fantazyjnie przyozdobione ciasta, tace z plackami, słóiczki i słoje marynat.

Mark kupił za pensa torbę ciasteczek z konfiturami i ruszyli z Fergusiem bez pośpiechu przez salę, chrupiąc je machinalnie. Zatrzymali się jeszcze raz przy stercie używanych ubrań, gdzie Fergus przymierzył kasztanową wełnianą kamizelkę i po głębokim zastanowieniu nabył ją za pół korony. Doszli do końca sali i przystanęli przy podium.

Fergus rozejrzał się czujnie dookoła, po czym wziął Marka pod ramię i wprowadził na

schodki. Przecieli w milczeniu podwyższenie i weszli w drzwi wiodące na zaplecze, w wyludniony w to sobotnie popołudnie labirynt związkowych biur i magazynów.

Kluczem zawieszonym na łańcuszku zegarka Fergus otworzył niskie żelazne drzwi i przekroczyli próg. Fergus zamknął za sobą drzwi, przekręcił klucz w zamku i ruszyli w dół wąskimi, stromymi schodkami. Czując woń wilgoci i ziemi Mark zorientował się, że schodzą do podziemi.

Fergus zapukał w drzwi u podnóża schodów i po chwili przez judasza łypnęło na nich podejrzliwie czyjeś oko. – W porządku, towarzyszu. Tu Fergus MacDonald, członek komitetu.

Szczęknął łańcuch i drzwi otworzyły się. Ponury, rozmemłany mężczyzna usunął się na bok, żeby ich przepuścić. Twarz miał nie ogoloną i obrzmiałą. Pod ścianą maleńkiego pomieszczenia stały krzesło i stół, na którym wały się resztki posiłku i zmięta gazeta.

Mężczyzna burknął coś pod nosem i Fergus wprowadził Marka przez długie drzwi do podziemi.

Podłogę stanowiło klepisko, a strop podierały łukowate filary z surowej, nie otynkowanej cegły. Zastałe, wilgotne powietrze śmierdziało kurzem i szczurami. Pojedyncza goła żarówka oświetlała ostrym blaskiem środek pomieszczenia, ale nisze za łukami pogrążone były w głębokim cieniu.

– Tutaj, chłopcze, przechowywane jest to, czego użyjemy.

W niszach piętrzyły się na wysokość człowieka stopy poukładanych starannie, jedna na drugiej, drewnianych skrzyń, przykryte grubym brezentem, skradzionym najwyraźniej z warsztatów kolejowych, bo widniały na nim oznaczenia SAR&H.

Z nikłym, posępnym uśmiechem na ustach Fergus uchylił brzeg jednej brezentowej płachty.

– Jeszcze nie otarte ze smaru, chłopcze. – Drewniane skrzynie oznakowane były wyraźną strzałką i symbolem WD brytyjskiego Ministerstwa Wojny, a poniżej widniał napis: „6 sztuk. Lee–Enfield typ IC (CNVD)”.

Mark osłupiał.

– Dobry Boże, Fergusie, przecież tu są ich setki.

– Zgadza się, chłopcze, a to tylko jeden z arsenałów. Są jeszcze inne rozsiane po całym Wybrzeżu.

Przeszedł w drugi koniec piwnicy i odgarnął następną płachtę. Okrywała skrzynie z amunicją z zamykanymi na szybko zwalnijące zatrzaski wiekami, na których widniały napisy: „1000 pocisków 0,303”.

– Wystarczy tego do naszych celów. – Fergus uściśnął Marka za ramię i podprowadził go do stojaków z gotowymi do natychmiastowego użycia karabinami. Niebieskawa stal luf połyskiwała w elektrycznym świetle oliwą rusznikarską. Fergus wziął jeden z karabinów i podał go Markowi. – Na tym jest naniesione twoje imię.

Mark wziął broń do ręki i ogarnęło go straszliwie znajome uczucie.

– Mamy tylko jeden taki, ale kiedy go zobaczyłem, zaraz pomyślałem o tobie. Kiedy przyjdzie czas, ty go dostaniesz.

Specjalne wyważenie sprawiało, że karabin snajperski P.14 leżał mu idealnie w rękach, ale też przyprawiało Marka o mdłości. Bez słowa oddał broń Fergusowi, a ten, zanim z namaszczeniem wstawił na powrót do stojaka, mrugnął doń porozumiewawczo. Jak na rasowego showmana przystało, Fergus zachował najlepsze na koniec. Zamaszystym gestem odrzucił brezent z ciężkiej broni o falistej, chłodzonej płaszczem wodnym lufie, przycupniętej na stalowym trójnogu. Karabin maszynowy Maxima, w jego licznych odmianach, wyróżniała wątpliwa sława broni, która uśmierciła więcej istot ludzkich niż jakiegokolwiek inne narzędzie zagłady, jakie zdołał wynaleźć niszczycielski geniusz człowieka.

Był to członek tej śmiercionośnej rodziny, Vicker–Maxim 303 Typ IVB, a obok piętrzył się stos pudeł. Każde zawierało taśmę z 250 pociskami. Karabin wystrzeliwał je z szybkością 2440 stóp na sekundę i z częstotścią 750 sztuk na minutę.

– I co ty na to, towarzyszu? Pytałeś, czym zamierzamy walczyć. Czy na początek to wystarczy?

W ciszy, jaka zapadła, Mark słyszał stłumiony, lecz wyraźny dziecięcy śmiech dolatujący z sali nad nimi.

Mark siedział samotnie na szczycie najwyższego z ciągnących się aż po zachodni horyzont niskich pagórków, których czarne sydereytowe garby wyrzynały się z płaskiej, suchej ziemi niczym grzebieniasty grzbiet krokodyla przebijający nieruchomą tafłę jeziora.

Wspomnienie tajnego arsenału prześladowało go przez całą noc, spędzając sen z powiek, toteż teraz oczy go szczypały, a skórę na policzkach miał ściągniętą i suchą.

Po tej bezsennej nocy czuł się rozbity, rozkojarzony, oderwany od rzeczywistości. Siedząc w jasnym słońcu, mrugał powiekami jak dzienna sowa i spoglądał w siebie niczym ktoś obcy.

Uświadamiając sobie, jak biernie dryfował drogą, która zaprowadziła go na sam skraj przepaści, czuł narastające poczucie konsternacji. Trzeba było dopiero ciężaru P.14 w dłoniach i śmiechu dzieci, żeby w ostatniej chwili spłynęło na niego otępienie.

Całe jego wykształcenie, wszystkie jego najgłębsze przekonania koncentrowały się wokół świętości prawa, wokół ładu społecznego i obywatelskiej odpowiedzialności. O to walczył, walce w imię tego przekonania poświęcił całe swe dorosłe życie. Teraz okazywało się, że fala apatii zniosła go do obozu wroga; został już zaliczony do legionów anarchistów, wciskali mu już w ręce broń, by rozpoczynał dzieło destrukcji. Teraz nie mógł się już łudzić, że to tylko pusta retoryka wyrzaskiwana na spędach pijanych robotników – widział karabiny. Ta walka będzie okrutna i bezlitosna. Znał Harry’ego Fishera, przejrzał powodujące nim siły. Znał Fergus MacDonalda. Ten człowiek zabijał już, i to często; bez mrugnęcia powieką będzie

zabijał znowu.

Mark jęknął głośno, przerażony sytuacją, w jakiej się znalazł. On, który wiedział, czym naprawdę jest wojna, on, który nosił królewski mundur i został odznaczony medalem za odwagę.

Poczuł w krtani oleiste, dławiące ciepło wstydu i żeby uchronić się na przyszłość przed tego rodzaju błędem, usiłował dojść przyczyn, które sprawiły, że dał się w to wciągnąć.

Uświadomił sobie teraz, że był zagubiony i samotny, bez rodziny i domu, i że Fergus MacDonald stanowił dla niego jedyną ostoję. Fergus, starszy towarzysz dzielonych wspólnie niebezpieczeństw, któremu bez zastrzeżeń ufał. Fergus, ojcowska postać – poszedł więc znowu za nim wdzięczny za opiekę, nie pytając dokąd.

Naturalnie była jeszcze Helena i wpływ, jaki na niego wywierała, ta najsilniejsza władza, jaką człowiek może mieć nad drugim człowiekiem. Dotąd nie wyzbył się obsesji na jej punkcie. Obudziła w nim długo tłumione i ściśle kontrolowane pożądanie. Teraz Mark rozsadzał mur, który wznosił, by je poskromić; przerwawszy tę tamę, może stać się siłą, nad którą nie potrafi zapanować, i ta myśl przeraziła go niemal w tym samym stopniu, co poprzednia.

Starał się teraz oddzielić kobietę od kobiecości, starał się ujrzeć człowieka za wyniszczającą siecią, którą opętała jego zmysły, i udało mu się to o tyle, że uświadomił sobie, iż Helena nie jest kobietą, którą mógłby adorować, nie jest kobietą, którą wybrałby na matkę swoich dzieci. A poza tym była przecież żoną towarzysza, który pokładał w nim pełne zaufanie.

Poczuł się teraz gotowy do podjęcia decyzji o odejściu i konsekwentnego wprowadzenia jej w życie.

Wyjedzie natychmiast z Fordsburga, zostawi Fergusa MacDonalda z jego mrocznymi, apokaliptycznymi planami. Ledwie o tym pomyślał, lżej mu się zrobiło na duszy. Nie będzie mu brakowało ani Fergusa, ani tej codziennej pokuty nudy i mozołu w szarym, klasztorным kantorze rachuby płac. Poczuł znowu jasny, młodzieńczy płomień zapału.

Wyjedzie z Fordsburga następnym pociągiem – a Helena... Płomień zamigotał i przygasł. Ta myśl wywołała fizyczny ból w lędźwiach i poczuł, jak w ścianie tamy jego namiętności powstaje rysa.

Kiedy wstawił rower do szopy w ogródku, było już ciemno. Z domu dochodziły podniesione, wesołe głosy i wybuchy śmiechu. Za zasłoniętymi oknami kuchni paliło się światło i wszedłszy do środka, zastał tam czterech mężczyzn siedzących przy stole. Helena podbiegła szybko i śmiejąc się przytuliła go impulsywnie, a potem wzięła za rękę i podprowadziła do stołu. Na policzkach miała wypieki.

– Witajcie, towarzyszu. – Harry Fisher spojrział na Marka tymi niepokojącymi oczami. Grzywa ciemnych, sztywnych włosów opadała jej na czoło. – Przyszliście w samą porę, by wziąć jeszcze udział w celebracji.

– Daj chłopakowi szklanę, Heleno – roześmiał się Fergus. Helena puściła rękę Marka i pośpieszyła do kredensu po szklanę, którą napełniła z butelki czarnym, mocnym portere. Harry Fisher wznosił swoją szklanę do Fergusa.

– Towarzysze, przedstawiam wam nowego członka Komitetu Centralnego, Fergusa MacDonalda.

– Czyż to nie cudowne, Marku? – Helena ścisnęła Marka za dłoń.

– To dobry aktywista – grzmiał dalej Harry Fisher. – Zasłużył sobie na tę nominację. Potrzeba nam takich ludzi jak Fergus Mac Donald. – Pozostali dwaj pokiwali potakująco głowami nad szklankami z portere. Mark znał ich z masówek; obaj byli członkami lokalnego komitetu partii.

– Siadaj, chłopcze. – Fergus zrobił Markowi miejsce przy stole i ten przycupnął obok niego, ściągając na siebie uwagę wszystkich obecnych.

– A co do was, młody człowieku – Harry Fisher położył swoją potężną, owłosioną łapę na ramieniu Marka – to zamierzamy wam wydać legitymację partyjną...

– I co ty na to, chłopcze? – Fergus mrugnął do Marka i trącił go łokciem w bok. – Zwykle trzeba na to czekać co najmniej dwa lata. Nie przyjmujemy do partii byle kogo. Ale masz teraz przyjaciół w Komitecie Centralnym.

Mark otwierał już usta, żeby odrzucić wyróżnienie, którego dostąpił. Nikt go nie pytał o zdanie. Zakładali, że będąc protegowanym Fergusa, jest ich człowiekiem. Miał już wyprowadzić ich z błędu, poinformować o decyzji, jaką tego dnia podjął, ale ostrzegło go wyczucie zagrożenia. Widział karabiny i jeśli okaże się, że nie jest przyjacielem, to uznają go za wroga, który posiadał najściślej strzeżoną tajemnicę. Tajemnicę, którą będą chcieli za wszelką cenę zachować. Nie miał teraz cienia wątpliwości co do tych ludzi. Skoro jest wrogiem, to dopilnują już, żeby jej nikomu nie zdradził. Nic nie odpowiedział.

– Towarzyszu MacDonald, mam dla was zadanie. To pilne i bardzo ważne. Czy możecie wziąć dwutygodniowy urlop? Mam chorą matkę – zachichotał Fergus. – Kiedy mam jechać i co zrobić?

– Wyjedziecie, powiedzmy, w środę. To da mi czas na wydanie szczególnych instrukcji, a wam na przygotowanie się do drogi. – Harry Fisher pociągnął łyk porteru i na górnej wardze pozostał mu strzępek piany. – Objedziecie wszystkie lokalne komitety – Cape Town, Bloemfontein, Port Elizabeth – celem skoordynowania działań.

Te słowa przyniosły Markowi ulgę. Nie dojdzie teraz do konfrontacji z Fergusiem. Po prostu wymknie się stąd, kiedy Fergus będzie w drodze. Podniósł wzrok i zamarł, napotykając oczy Heleny. Wpatrywała się w niego nieruchomym, wyglodniałym spojrzeniem leoparda obserwującego z ukrycia ofiarę, na którą się za chwilę rzuci, i kiedy ich oczy spotkały się, uśmiechnęła się znowu tym porozumiewawczym uśmiechem i między jej lekko rozchylonymi ustami mignął na moment koniuszek różowego języka.

Markowi serce zabiło w piersiach do fizycznego bólu i pośpiesznie spuścił oczy na swoją

szklanek. Będą z Heleną sami! Ta perspektywa napawała go lękiem i żarem niepohamowanej namiętności.

Mark odprowadzał Fergusa na stację, niosąc jego tanią, straszliwie sfatygowaną walizkę. Szli na skróty przez otwarty step. Gruby szron chrząścił pod stopami niczym cukier i skrzył się w świetle pierwszych promieni wschodzącego słońca miriadami diamentowych punkcików.

Na pociąg jadący na południe czekali na stacji z czterema innymi członkami partii. Wtoczył się wreszcie na peron z chrapliwym posapywaniem, spóźniony o trzydzieści pięć minut, strzelając parą wysoko w mroźne powietrze.

– Trzydzieści pięć minut spóźnienia to na kolei tyle co nic – zawyrokował Fergus ze śmiechem, wymieniając z każdym z odprowadzających uścisk dłoni i poklepując go po ramieniu. Wspiął się i potem po stalowej drabince do wagonu, a Mark podał mu walizkę przez otwarte okno.

– Uważaj na Helenę, chłopcze, i na siebie.

Mark stał i patrzył za oddalającym się na południe, malejącym w oczach składem, aż jego łoskot ścichł do szmeru, by następnie rozplnąć się w nicość. Wtedy odwrócił się i zadarłszy głowę spojrział na wzgórze, w kierunku kopalni. Syreny rozpoczynały właśnie swoje żałobne zawodzenie odbijające się echem od żółtych płaskowyzdy hałd, zwołując na stanowiska pracy szare potoki robotników. Mark wmieszał się między nich. Stał się jednym z tysięcy, nie wyróżniał się z tłumu ani wyglądem, ani dokonaniem. Ponownie naszło go to poczucie rozgoryczenia, odezwała się mglista jeszcze, ale dojrzewająca z wolną świadomością, że na tym życiu się nie kończy, że to nie kres jego możliwości. Rozejrzał się ciekawie po twarzach mężczyzn spieszących wraz z nim ku żelaznym bramom na władczy zew kopalnianej syreny.

Na wszystkich malował się ten nieobecny, pusty wyraz, pod którym, Mark był o tym przekonany, czaiły się te same, co u niego, wątpliwości. Z pewnością oni również odczuwają beznadziejność tej codziennej rutyny – a już na pewno młodzi. Starsi i bardziej siwi muszą boleć nad zmarnowanym życiem; w głębi ducha żałują zapewne długich słonecznych dni, teraz już bezpowrotnie straconych, jakie spędzili harując w pocie czoła za psi grosz. Muszą boleć nad tym, że idąc przez życie nie pozostawiają po sobie żadnego śladu, żadnej zmarszczki na powierzchni, żadnego pomnika, może z wyjątkiem kilku synów, którzy zastąpią ich kiedyś w tym nie kończącym się kieracie, wszyscy podobni do siebie, wszyscy niepotrzebni.

Zatrzymał się przed bramą i usunął na bok, przepuszczając płynący ludzki potok. Ogarniało go coraz większe podniecenie, pewność, że ma coś do zrobienia, że stoi przed nim jakieś specjalne, ważne zadanie. Że czeka na niego jakieś szczególne miejsce i że musi wyruszyć na jego poszukiwanie.

Ruszył szybkim krokiem, wdzięczny teraz Fergusowi MacDonaldowi za presję, jakiej go poddał, za zmuszenie do refleksji, za doprowadzenie do przełamania tej pasywności, w jaką

popadł od czasu ucieczki z Ladyburga.

– Spóźniliście się, Anders. – Kierownik podniósł wzrok znad ksiąg i spojrzał nań groźnie. Wszyscy jego podwładni powtórzyli ten gest i na Marka patrzył długi rząd wyrażających potępienie twarzy.

– Co macie na swoje usprawiedliwienie?

– Wpadłem tylko, żeby posprzątać biurko – odparł z uśmiechem Mark. Nie opuszczało go radosne podniecenie. – I rzucam posadę.

Z twarzy urzędników spłynęło z wolna potępienie i zastąpił je szok.

Zmierzchało już, kiedy Mark otworzył tylną furtkę i wstąpił na krótki chodniczek prowadzący do drzwi kuchennych. Włóczył się przez cały dzień bez celu gnany nowym prądem energii i podniecających myśli; nie zdawał sobie nawet sprawy, jak jest głodny, dopóki nie ujrzał światła w oknie i nie poczuł delikatnego aromatu posiłku. W kuchni nie było nikogo, ale Helena zawołała do niego z frontowego pokoju.

– To ty, Marku? – Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawiła się w drzwiach kuchni i oparła biodrem o framugę. – Myślałam, że już nie wrócisz dzisiaj do domu.

Miała na sobie niebieską sukienkę i Mark wiedział, że to jej najlepsza, zarezerwowana na specjalne okazje. Miała też makijaż, czego nigdy dotąd u niej nie widział. Róż na policzkach i umalowane usta nadawały nowego blasku jej bladej normalnie cerze. W świetle lampy błyszczały świeżo umyte krótkie, ciemne włosy zaczesane do tyłu i spięte nad uchem spinką ze skorupy żółwia.

Mark gapił się na nią oniemiały. Widział gładkie, smukłe nogi w jedwabnych pończochach i stopy obute w małe pantofelki.

– Co tak patrzysz, Marku?

– Jesteś... – chrypka nie dała Markowi skończyć. Odchrząknął. – Bardzo ładnie dziś wyglądasz.

– Dziękuję panu. – Roześmiała się niskim, gardłowym chichotem i wykonała powolny piruet. Dół niebieskiej, cienkiej sukni wybrzuszył się kłoszowo nad obciążonymi jedwabiem nogami. – Cieszę się, że ci się podobam. – Zatrzymała się przy nim i wzięła go pod ramię. Jej dotyk przejął go rozkosznym dreszczem, odniósł wrażenie, że nurkuje w górskim stawie.

– Siadaj, Marku. – Podprowadziła go do krzesła u szczytu stołu. – Poczestuję cię smacznym piwem. – Podeszła do skrzynki z lodem i odkapslowując butelkę, a potem rozlewając piwo do szklanek, ciągnęła wesoło. – Kupiłam u rzeźnika gęś... lubisz pieczoną gęś?

Markowi ślina napłynęła do ust.

– Uwielbiam.

– Ze smażonymi kartofelkami i plackiem z dyni.

– Zaprzedałbym za to duszę.

Helena roześmiała się radośnie. Była to jedna ze zwykłych skromnych i powściągliwych odpowiedzi Marka. Tego wieczora emanowała z niego jakaś aura podniecenia, wywołująca podniecenie u niej. Przyniosła dwie szklanki i oparła się biodrem o stół.

– Za co się napijemy?

– Za wolność – odparł bez wahania – i lepsze jutro.

– Może być – zdecydowała i trąciła jego szklankę swoją, pochylając się nad nim tak, że jej biust znalazł się na poziomie jego oczu. – Ale dlaczego akurat jutro, dlaczego lepsze czasy nie mogą się zacząć od razu, od tej chwili?

Mark roześmiał się.

– No dobrze, a więc za udany dzisiejszy wieczór i lepsze jutro.

– Marku! – Helena zacisnęła usta z udawaną dezaprobatą, a on natychmiast spłonął rumieńcem i roześmiał się zmieszany.

– Och, nie, nie to miałem na myśli... głupio to zabrzmiało. Nie chciałem...

– Założę się, że mówisz to wszystkim swoim dziewczynom. – Helena wyprostowała się szybko. Nie chciała wprawiać go w zakłopotanie i psuć nastroju, podeszła więc do pieca. – Jeśli chcesz już jeść, to gęś jest gotowa – oznajmiła.

Usiadła naprzeciw, obserwując z zadowoleniem, jak zajada z apetytem, smarując grube pajdy chleba żółtym wiejskim masłem, i pilnując, by jego szklanka była bez przerwy pełna.

– A ty nie jesz?

– Nie jestem głodna.

– Dobre; nie wiesz, co tracisz.

– Lepsze niż to, co gotowały ci inne dziewczyny? – zapytała przekornie i Mark spuścił oczy na talerz, by przystąpić do pracowitego nabijania mięsa na widelec.

– Nie było żadnych innych dziewczyn.

– Och, Marku, chyba się nie spodziewasz, że w to uwierzę! Taki przystojny młody kawaler jak ty i te francuskie dziewczęta. Założę się, że szalały za tobą.

– Byliśmy zbyt zajęci, a poza tym... – urwał.

– Poza tym, co? – podchwyciła skwapliwie.

Podniósł na nią wzrok i po chwili milczenia język mu się rozwiązał. Nagle okazało się, że tak łatwo z nią rozmawiać. Rozpierał go radosny nastrój, z żołądkiem pełnym jedzenia i picia czuł się odprężony. Rozmawiał z nią tak, jak jeszcze z nikim, a ona odpowiadała mu ze szczerością drugiego człowieka.

– Och, Marku, przecież to bzdura. Nie każda kobieta jest chora. To dotyczy tylko ulicznic.

– Tak, wiem. Nie wierzyłem, że dotyczy to każdej dziewczyny, no ale mężczyzna może tylko z takimi... – urwał. – A inne mają potem dzieci – dokończył niepewnie.

Roześmiała się i klasnęła w ręce z uciechy.

– Och, mój drogi Marku. To nie takie proste. Jestem od dziewięciu lat mężatką, a nie

mam jeszcze dziecka.

– No cóż – Mark zawahał się. – Ty jesteś inna. Mówiąc to wszystko, nie miałem na myśli ciebie. Chodziło mi o inne dziewczyny.

– Nie bardzo wiem, czy traktować to jako komplement, czy jako zniewagę – droczyła się z nim dalej. Zorientowała się, naturalnie, że zachował jeszcze cnotę. Powiedziała jej to ta bijąca od niego niewinność, brak pewności siebie i wzruszająca nieporadność wobec kobiet, ta szczególna wstydliwość, która wkrótce mu przejdzie, ale która tak ją teraz pociągała, w jakiś perwersyjny sposób podniecała. Wiedziała już, dlaczego niektórzy mężczyźni gotowi są płacić ogromne sumy za odebranie dziewictwa; dotknęła teraz jego obnażonego przedramienia i zachwycona gładką twardością młodych mięśni nie potrafiła się zdobyć na cofnięcie ręki.

– No nie, to był komplement – zapewnił ją pośpiesznie Mark.

– Lubisz mnie, Marku?

– O, tak. Lubię cię bardziej niż jakąkolwiek dziewczynę, jaką dotąd znałem.

– Widzisz, Marku – przysunęła się do niego, a jej głos opadł do gardłowego szeptu.

Nie jestem chora i nie zamierzam mieć nigdy dziecka. – Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka. – Jesteś pięknym mężczyzną, Marku. Spodobałeś mi się od pierwszego wejrzenia, kiedy zobaczyłam cię, jak idziesz alejką niczym zabłąkane szczenię.

Wyprostowała się powoli, podeszła do kuchennych drzwi, nie śpiesząc się przekręciła klucz w zamku i zgasiła światło. Małe pomieszczenie pogrzyżyło się w ciemnościach rozpraszanym jedynie przez smugę światła przesączającą się z korytarza przez szparę między progiem a drzwiami.

– Chodź, Marku. – Wzięła go za rękę i skłoniła do wstania z krzesła. – Idziemy teraz do łóżka.

W progu sypialni Marka wspięła się na palce i musnęła ustami jego policzek, a potem puściła bez słowa jego rękę i oddaliła się cicho.

Mark obserwował ją niezdecydowanie, jak odchodzi; miał ochotę zawołać, by została, pobiec za nią – a przy tym odczuwał ulgę, że sobie poszła, że ten skok na łeb na szyję w nieznaną uległ raptownemu przerwaniu. Helena doszła tymczasem do drzwi własnej sypialni i zniknęła za nimi, nie oglądając się za siebie.

Rozdzierany sprzecznymi emocjami Mark odwrócił się i wszedł do swojej sypialni. Rozebrał się powoli, bardziej teraz rozczarowany niż zadowolony z obrotu sprawy, i składając ubranie, nasłuchiwał cichych odgłosów krzątania dochodzących zza cienkiej ściany.

Położył się wreszcie na wznak na wąskim, żelaznym łóżku i trwał w bezruchu, dopóki nie usłyszał pstryknięcia wyłącznika światła w pokoju obok; wtedy westchnął i wziął książkę z nocnego stoliczka; nie przeczytał jej jeszcze, a teraz nudny polityczny tekst może na tyle uśmierzył targające nim emocje, by zdołał zasnąć.

Szczęknał cicho zatrask jego drzwi i w progu stanęła Helena. Nie słyszał, jak nadchodziła. Była w brzoskwinowym szlafroku z błyszczącej satyny, miała poprawioną fryzurę i makijaż na policzkach i ustach.

Z namaszczeniem zamknęła za sobą drzwi i ruszyła przez pokój, kołysząc powoli biodrami pod lejącą się satyną.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, dopóki nie zatrzymała się przy łóżku.

– Przeczytałeś to, Marku? – spytała cicho.

– Jeszcze nie do końca. – Odłożył książkę.

– No cóż, nie pora teraz na lekturę – mruknęła, rozchyliła powoli połę szlafroka, zsunęła go z ramion i rzuciła na oparcie krzesła.

Stała przed nim naga i Markowi zaparło dech. Była tak gładka. Jakoś się tego nie spodziewał. Gapił się na nią oniemiały. Jej skóra miała oliwkowy odcień starej porcelany i połyskiwała w świetle. Mark czuł, jak całym jego ciałem wstrząsa przeszywające napięcie pożądania, i próbował je nieudolnie stłumić. Pomyślał o Fergusie, o zaufaniu, jakie ten w nim pokładał. „Uważaj na Helenę, chłopcze, i na siebie”.

Piersi miała duże jak na swe smukłe ciało. Zwiswały już ciężko, prawie przejrzałe, gładkie i krągłe, z zadziwiająco wydatnymi różowo-brązowymi sutkami wielkości dojrziałych winogron. Zakołysały się majestatycznie, kiedy podeszła bliżej, i dostrzegł teraz rzadkie, ciemne, kręcone włoski wyrastające z pofałdowanych aureol otaczających sutki.

Ciemne, błyszczące włosy wymykały się też kręconymi kosmykami spod jej pach – a poniżej gładkiego, kremowego, lekko zaokrąglonego brzucha pieniała się ich cała dzika gęstwina.

Te włosy podnieciły go; były na tle bladej skóry takie ciemne i kędzierzawe.

Wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Wszystkie skrupuły związane z honorem i zaufaniem straciły na wyrazistości, czuł, jak trzeszczy w nim i pęka jakaś tama.

Wyciągnął rękę i dotknąwszy jej nagiego ramienia cofnął ją gwałtownie, wzdygając się konwulsyjnie jak od smagnięcia biczem.

– Dotykaj mnie, Marku – wyszeptała.

Wyciągnął znowu rękę powoli, z wahaniem, jak człowiek pograżony w transie, i nie spuszczać z niej wzroku, dotknął jednym palcem jej gładkiego, ciepłego uda.

– Tak, Marku, właśnie tak. – Ujęła go za nadgarstek i zaczęła unosić powoli jego dłoń, tak że koniuszki palców sunęły wzdłuż jej boków i zarysu żeber, muskając je leciutko niczym piórka. – Tutaj, Marku – mruczała – i tutaj. – Duże, ciemne sutki cofnęły się pod dotykiem jego palców, zmieniły kształt, wyrzuciły się i stwardniały, nabrzmiwając i jeszcze bardziej ciemniejąc. Mark nie mógł uwierzyć własnym oczom, nie miał pojęcia, jak ciało kobiety potrafi reagować tak samo szybko i dramatycznie, jak ciało mężczyzny.

Czuł, jak tama pęka i przez wyrwę wali potop. Zbyt długo powstrzymywany, zbyt potężny i wartki, by zagrozić mu drogę, załat jego umysł i ciało, znosząc swym impetem

wszelki opór.

Ze zdławionym okrzykiem otoczył ją obydwoema rękami w talii i przyciągnął gwałtownie do siebie, wciskając twarz w gładkie, miękkie ciepło jej nagiego brzucha.

– Och, Marku! – krzyknęła głosem schrypniętym i drżącym z pożądania i tryumfu, wczepiając się palcami w jego kasztanowe włosy i pochylając nad jego głowę.

Kolejne dni zamazywały się i zlewały w jedno, a cały wszechświat skurczył się do maleńkiego domku przy nędznej uliczce. Upływ czasu odmierzały tylko ich ciała śpiące i budzące się, by się kochać aż do wyczerpania, znowu zasypiające i budzone przez głód, spragnione zarówno pokarmu, jak i miłości.

Z początku był jak byk szarżujący z bezmyślną energią i zjadłością. Przeraził ją tym, bo nie spodziewała się takiej siły po tym szczupłym, zgrabnym ciele. Stawiła czoło tej sile, okiełznując ją po trochu i ukierunkowując, zmieniając jej naturę, a potem przystąpiła do subtelnej edukacji.

Długo potem, wspominając te pięć szalonych dni, Mark uświadamiał sobie, jak wielkie miał szczęście. Tylu młodych mężczyzn musi samodzielnie, bez przewodnika, odnajdywać drogę poprzez nie zbadane królestwa miłości fizycznej, mając zwykle do towarzystwa partnerkę, która sama odbywa swoją pierwszą niepewną podróż w nieznane.

– Czy wiesz, Marku, że w Ameryce Południowej żyje plemię pielęgnujące zwyczaj nakazujący każdej zamężnej kobiecie wziąć jednego młodego wojownika plemienia i nauczyć go tego, co my teraz robimy? – zapytała klęcząc obok niego podczas jednego z okresów ciszy przed następną burzą zmysłów.

– To ci dopiero – uśmiechnął się leniwie. – A ja już myślałem, że my dwoje pierwsi na to wpadliśmy. – Sięgnął do paczki papierosów leżącej na stoliku i przypalił dwa.

Helena zaciągnęła się swoim z wyrazem lubości i dumy na twarzy. Przez ostatnie kilka dni zaszła w nim tak szybka i radykalna przemiana, i to dzięki niej. Ta nowa wiara w siebie, ta pączkująca siła charakteru. Wstydlivość i małomówność ustępowały. Mówił teraz tak, jak nigdy dotąd, spokojnie i pewnie. Stawał się szybko prawdziwym mężczyzną – i ona miała w tym swój udział.

Mark sądził, że każda nowa rozkosz, jaką przeżywa, jest tą ostateczną, ale Helena z tuzin razy dowiodła mu, że jest w błędzie. Gdyby usłyszał o niektórych rzeczach z czyichś ust, może by się przestraszył albo oburzył, ale zaznajając ich w wykonaniu Heleny odczuwał tylko zdumienie i zachwyt. Nauczyła go szacunku dla własnego ciała, które wreszcie w pełni obudziło się do życia, i zyskał świadomość istnienia nowych, rozległych obszarów i głębi swego umysłu.

Przez pięć dni żadne z nich nie opuszczało domku; potem, szóstego dnia, przyjechał na rowerze umundurowany listonosz z listem i Mark, który go odebrał, rozpoznał natychmiast na kopercie niewprawną, spracowaną rękę Fergusa MacDonalda. Poczucie winy uderzyło go

niczym niespodziewany cios pięścią w żołądek; czar prysł niczym mydlana bańka.

Helena siedziała w kuchni przy zasłanym gazetami stole w rozpiętym do pasa, nie pierwszej już świeżości brzoskwiowym szlafroku, i czytała list na głos, naśladując wymowę autora relacjonującego całe pasmo pomniejszych sukcesów, aplauz na posiedzeniach partyjnych z udziałem kilkunastu towarzyszy w zakonspirowanych lokalach, składane na jego ręce wyrazy lojalności i oddania wobec Komitetu Centralnego, zapewnienia o wierności sprawie i obietnice przystąpienia do akcji, kiedy sytuacja dojrzeje do powstania.

Helena przewróciła kpiąco oczyma i zachichotała, kiedy Fergus spytał w liście o Marka – czy dobrze się ma, czy nic mu nie brakuje i czy Helena dba o niego należycie.

Zaciągnęła się głęboko niedopałkiem papierosa i wrzuciła go do stojącej obok jej łokcia filiżanki po kawie, gdzie zgasł w fusach z ostrym skwierczeniem. Ta prosta czynność wywołała w Marku nienaturalnie gwałtowną zmianę uczuć.

Ujrzał ją nagle w nowym świetle – ziemista skóra i drobne siateczki zmarszczek w kącikach oczu świadczące, że jej młodość łuszczy się i odpada niczym stara farba olejna; fioletowe cienie pod oczami, niewyparzony język i żądko osy w głosie.

Dopiero teraz uderzył go bałagan panujący w kuchni, poczuł ciężki, zastarzały odór nie uprząkniętych resztek jedzenia i nie zmytych naczyń, zauważył rozchełstany, niechlujny szlafrok i obwisłe, rozkołysane worki wielkich żółtawych piersi pod tym szlafrokiem.

Wstał i wyszedł.

– Dokąd idziesz, Marku? – zawołała za nim.

– Wychodzę na chwilę.

Wyszorował się dokładnie w poobijanej emaliowanej wannie, puszczać z kranu najgorętszą wodę, jaką był w stanie znieść, tak że kiedy wycierał się ręcznikiem, jego ciało błyszczało jasnym różem.

Spędził potem blisko pół godziny na głównej hali dworca kolejowego, studiując długie wykazy gęsto zadrukowanych rozkładów jazdy, którymi wyklejono ściany.

Rodezja. Słyszał, że potrzebują tam ludzi do nowo otwartych kopalni miedzi. Był to kraj obfitujący wciąż w dziewicze tereny, szerokie horyzonty i dziką zwierzynę, kraj jezior, gór i przestrzeni życiowej.

Podszedł do okienka. Kasjer spojrział nań pytająco.

– Raz druga klasa w jedną stronę do Durbanu – wyrecytował zaskakując tym samego siebie. Wracał do Natalu, do Ladyburga. Musi tam doprowadzić do końca pewną sprawę i poszukać odpowiedzi na dręczące go pytania. Musi zdemaskować nieznanego wroga i stawić mu czoło.

Kiedy płacił za bilet suverenami staruszka, ten ostatni stanął mu przed oczami jak żywy na werandzie Anderslandu – ze wspaniałymi, podkreconymi wąsiskami i w starym szerokoskrzydłym kapeluszu naciągniętym głęboko na wyblakłe, spokojne oczy. Mark zdawał

sobie sprawę, że to tylko odwleczenie w czasie tego, co nieuniknione, chwilowy stan zawieszenia, który wykorzystała na zaleczenie ran i mobilizację przed czekającym go zadaniem.

Wrócił do domku Fergusa po swoje rzeczy. Niewiele miał do pakowania. Zżerał go teraz gorączkowy pośpiech. Zgarniając do tekturowej walizki kupkę szortów i czystych skarpetek na zmianę, uświadomił sobie naraz obecność Heleny i odwrócił się szybko.

Stała w progu wykąpana już i ubrana, i przyglądała mu się bacznie ze zbyt ostentacyjnym spokojem na twarzy.

– Wyjeżdżasz. – Było to stwierdzenie faktu, nie pytanie.

– Tak – odparł zdawkowo, odwracając się, by zapisać zatrzaski walizki.

– Jadę z tobą.

– Nie. Jadę sam.

– Ale co będzie ze mną, Marku?

– Przykro mi, Heleno. Naprawdę mi przykro.

– Czy ty tego nie widzisz? Przecież ja cię Kocham... – głos jej się załamał, przechodząc w niski skowyt rozpacz. – Ja cię Kocham, Marku, nie możesz mnie tak zostawić. – Rozrzuciła ręce, zagrządzając sobą drzwi.

– Proszę cię, Heleno. Oboje wiemy, że to szaleństwo. Oboje wiemy, że nie ma dla nas przyszłości. Nie rób scen, daj mi przejść.

– Nie. – Zakryła obiema dłońmi uszy. – Nie, nie mów tak. Kocham cię. Kocham.

Spróbował odsunąć ją łagodnie z drogi.

– Muszę już iść. Mój pociąg...

Skoczyła na niego nagle z wściekłością zranionego leoparda. Nie był na to przygotowany i jej paznokcie przeorały mu twarz długimi, krwawymi brzdami o włos omijając oczy.

– Ty skurwysynu, ty samolubny skurwysynu – zapiszczała. – Jesteś jak oni wszyscy – i zamachnęła się znów, ale tym razem zdążył ją schwycić za przeguby.

– Wszyscy jesteście tacy sami... bierzecie... bierzecie...

Odwrócił ją i szamoczącą się wściekle pchnął na rozgrzebane łóżko. Wola walki opuściła ją nagle. Wcisnęła twarz w poduszkę. Jej spazmatyczne łkania ściagały Marka biegnącego korytarzem do otwartych drzwi frontowych.

Do portu Durban na wybrzeżu było ponad trzysta mil. Pociąg, lawirując przełęczami, powoli, z ciężkim posapywaniem, wdrapał się wreszcie na szczyt wielkiego masywu Drakensberg, przyspieszył ochoczo i pomknął w dół w głęboką, trawiastą nieckę wschodniego pobrzeża. W miarę zbliżania się do morza pochyłość łagodniała, by w końcu przejść w bujną, półtropikalną nadmorską cieplarnię ze śnieżnobiałymi plażami i ciepłymi błękitnymi wodami prądu mozambickiego.

Podczas jazdy w dół Mark miał wiele czasu na przemyślenia, z czego lwią część

zmarnował na daremną skrucbę. Ilekroć pomyślał o Fergusie MacDonaldzie, w uszach rozbrzmiewały mu echem krzyki oskarżenia Heleny, a na duszy kładł się ciężki, szary kamień poczucia winy.

Potem, kiedy minęli miasteczko Pietermaritzburg i rozpoczynali ostatni etap podróży, Mark otrząsnął się z dręczących go wyrzutów sumienia i zmusił do myślenia o przyszłości.

Z początku zamierzał wrócić prosto do Ladyburga, ale teraz zdecydował, że byłaby to nieroztropność. Mieszkał tam wróg, wróg o morderczych skłonnościach, ukryty wróg uderzający z zasadki, wróg bogaty, wróg potężny, który potrafi zorganizować bandę uzbrojonych ludzi gotowych do zabójstwa.

Markowi przypomniały się te krwawe akcje, na które chadzali z Fergusiem we Francji. Pierwszy krok polegał zawsze na identyfikacji i rozpoznaniu nieprzyjaciela, zlokalizowaniu stanowiska, które zajmuje, określeniu pozycji, w jakiej leży, i rozpracowaniu go. Na ile jest dobry, czy trzyma się sztywno jednej metody, czy też jest porywczy i nieobliczalny? Czy jest nieuważny i myśliwi mogą pójść na pewne ryzyko, czy też podejmowanie jakiegokolwiek ryzyka równałoby się samobójstwu?

„Musimy dochodzić metodą prób i błędów, chłopcze, co ten sukinsyn myśli...” – przed oddaniem pierwszego strzału to najbardziej interesowało Fergusa.

– Muszę się dowiedzieć, kim ten drań jest – szepnął do siebie Mark – i przejrzeć jego sposób myślenia.

Jedno przynajmniej było jasne – sto funtów to zbyt wysoka cena za wyeliminowanie tak mało znaczącej osoby jak Mark Anders; tym, co mogło go czynić w jakiś sposób ważnym, był związek ze starszką i Anderslandem. W Anderslandzie widzieli go zarówno hinduski babu, jak i biały nadzorca. Potem kręcił się po miasteczku, zadając pytania i szperając w dokumentach. Dopiero wtedy zwrócili na niego uwagę. W centrum tej łamigłówni znajdowała się ziemia, a on znał nazwiska ludzi interesujących się jej nabyciem.

Mark ściągnął walizkę z półki na bagaże, położył ją sobie na kolanach i pogrzebawszy w niej chwilę, znalazł swój notes. Odczytał jeszcze raz te nazwiska: DIRK COURTENEY, RONALD PYE, DENNIS PETERSEN, PIET GREYLING i jego syn CORNELIUS.

Najpierw musi się dowiedzieć wszystkiego, co się da, o tych ludziach, zlokalizować zajmowane przez nich stanowiska, określić pozycje, w jakich leżą, i rozpracować każdego z osobna, wytypować spośród nich snajpera. W trakcie tego rozpoznania musi trzymać głowę schowaną nisko pod parapetem. Musi trzymać się z dala od terenu nieprzyjaciela, a tym terenem był Ladyburg.

Najlepszą bazą operacyjną będzie dla niego samo miasto Durban; jest wystarczająco duże, by wchłonać go bez komentarzy i, jako stolica Natalu, zapewnić mu wiele źródeł informacji, takich jak biblioteki, archiwa rządowe, redakcje gazet. Przystąpił do sporządzania na okładce notesu listy wszystkich możliwych źródeł i nagle pożałował gorzko, że sam Ladyburg jest dla niego zamknięty. W stolicy nie znajdzie duplikatów dokumentów z Urzędu

Ziemskiego i Rejestru Firm tego okręgu.

Wtem przyszła mu do głowy pewna myśl: „O cholera, jak ona miała na imię?!” Przymknął oczy i ujrzął znowu jasną, przyjazną, miłą twarz dziewczyny z ladyburskiego Biura Rejestru Firm. W uszach zadźwięczał mu nawet jej głos: „Mark to takie romantyczne imię...” – ale imię urzędniczki przypomniał sobie dopiero w momencie, kiedy pociąg wtaczał się na peron.

– Marion! – zapisał szybko w notesie.

Zszedł z walizką na peron i wmiszał się w potracający się tłum wyjeżdżających i przyjezdnych. Zdecydował, że najpierw poszuka sobie w mieście jakiegoś lokum.

Z ogłoszeń drobnych w kupionej za pensa gazecie „Natal Mercury” wybrał pensjonat w Point Road, niedaleko portu. Pokój był malutki, ciemny i cuchnął tymi olbrzymimi karaluchami, od których roило się w mieście, wysypującymi się każdego wieczora na żer ze ścieków połyskliwymi, czarnymi hordami, ale czynsz wynosił tylko jedną gwineę za tydzień i obejmował używalność ubikacji i natrysku po drugiej stronie małego, zamkniętego dziedzińca.

Tego wieczora napisał list:

Droga Marion!

Nie przypuszczam, żebyś mnie pamiętała. Nazywam się Mark Anders, ten od Marka Antoniusza! Od kiedy zmuszony byłem wyjechać niespodziewanie z Ladyburga, zanim nadarzyła się okazja, by cię znowu odwiedzić, często o tobie myślę...

Taktownie nie wspominał słowem o dochodzeniu, które zamierzał podjąć. To mogło poczekać do następnego listu. Ostatnio jego znajomość kobiet znacznie się poprawiła. List zaadresował po prostu: „Panna Marion, Biuro Rejestru Firm, Ladyburg”.

Mark zaczął następnego ranka od Biblioteki Miejskiej. Doszedł pieszo do czteropiętrowego gmachu magistratu wznoszącego się przy Smith Street. Oflankowany równie imponującymi budynkami Royal Hotel i katedry, ze schludnym skwerem, przed frontem, na którym pyszniły się wiosenne kwiaty, wyglądał jak pałac.

Podchodząc do biurka bibliotekarki, wpadł na kolejny pomysł.

– Zbieram materiały do książki, którą zamierzam napisać...

Surowe oblicze siwowłosej damy sprawującej pieczę nad mrocznymi salami i sięgającymi sufitu półkami na książki natychmiast złagodniało. Była miłośniczką książek, a miłośnicy książek kochają innych miłośników książek. Mark otrzymał klucz do jednej z czytelni i do jego dyspozycji oddano komplet wszystkich natalskich gazet, jakie ukazały się od czasu pierwszej okupacji brytyjskiej.

W Marku, namiętym czytelniku, obudziła się natychmiast pokusa poddania się fascynacji historią wyczernąjącą ze stronic starych dzienników krzykliwymi nagłówkami – bo historia była jednym z ulubionych przedmiotów Marka zarówno w Ladyburg School, jak i na uniwersytecie.

Oparł się jednak tej pokusie i przeszedł od razu do szuflad z rocznikami „Ladyburg Lantern and Recorder”. Pierwsze numery położyły już ze starości i rozłożyły się w palcach, obchodził się więc z nimi z największą ostrożnością.

Pierwszą wzmiankę o nazwisku „Courteney” znalazł w nagłówku jednego z najwcześniejszych numerów gazety, pochodzącego z roku 1879.

Ladyburscy Strzelcy Konni zmasakrowani pod Isandhlwana. Pułkownik Waite Courteney i jego ludzie wycięci w pień. Hordy opętanych amokiem Impisów szaleją.

Mark domyślił się, że chodzi pewnie o założyciela rodziny z Ladyburga; dalej nazwisko to powtarzało się niemal w każdym numerze, Courteneyów było wielu i wszyscy mieszkali w okręgu ladyburskim, ale pierwsza wzmianka o Dirku Courteneyu pojawiła się dopiero w roku 1900.

„Ladyburg wita jednego ze swych Najgodniejszych Synów. Powraca bohater wojny angielsko-burskiej. Pułkownik Sean Courteney kupuje ranczo Lion Kop.

Ladyburg z radością wita jednego ze swych najbardziej zasłużonych synów powracającego do miasta po wieloletniej nieobecności. Niewielu znajdzie się wśród nas takich, którzy nie znają dokonań pułkownika Seana Courteneya, a już wszyscy pamiętają decydującą rolę, jaką odegrał w organizowaniu wydobycia złota na skalę przemysłową na Witwatersrand...”

Dalej następował długi wykaz zasług tego człowieka, po czym artykuł kończył się słowami.

„Pułkownik Courteney nabył od Ladyburskiego Banku Farmerskiego ranczo Lion Kop. Zamierza tam zamieszkać i uprawiać las z przeznaczeniem na budulec. Pułkownik Courteney jest wdowcem i wychowuje dziesięcioletniego syna Dirka.” Ten stary artykuł zaszokował Marka. Nawet do głowy mu nie przyszło, że Dirk Courteney może być synem jego generała. Tego wielkiego, brodatego mężczyzny o orlim nosie, którego spotkał tamtej śnieżnej nocy we Francji, człowieka, którego z miejsca obdarzył szacunkiem i polubił – nie, bardziej niż polubił. Tego człowieka, którego siła witalna i preżencja połączone z reputacją wzbudziły w nim niemal nabożne uwielbienie.

W pierwszym odruchu przyszło mu do głowy, czy sam generał nie był czasem w jakiś sposób zamieszany w napad na skarpie, z którego ledwie uszedł z życiem; i ta myśl rozstroiła go do tego stopnia, że opuścił bibliotekę i idąc wysadzaną palmami estakadą dotarł do plaży nad spokojnymi, osłoniętymi wodami zatoki, z widokiem na wielkie, obłe jak grzbiety wielorybów skały wrzynające się w morze urwistego cypla.

Obserwując ruch statków w zatoce, próbował rozwikłać splątaną pajęczynę, której środek znajdował się w Ladyburgu, gdzie siedział przyczajony pająk. Zdawał sobie sprawę, że śledztwo potrwa długo. Lektura gazet to zajęcie czasochłonne, a odpowiedzi na swój list do Marion mógł się spodziewać najwcześniej za kilka dni.

Wieczorem przeliczył w swoim małym pokoiku suwereny, jakie pozostały mu w zapasie,

i doszedł do wniosku, że przy miejskim trybie życia nie starczą mu na długo.

Musi znaleźć sobie pracę.

Kierownik salonu miał brzuch piwosza i nosił garnitur z błyszczącego materiału, który upodobali sobie chyba wszyscy sprzedawcy w przemyśle motoryzacyjnym; Mark odpowiadał na jego pytania z wymuszoną grzecnością i udawaną pogodą, ale pod tą maską kryła się rozpacz.

Od pięciu dni przemierzał miasto, szukając zatrudnienia.

– Czasy są ciężkie – zagajał rozmowę niemal każdy ewentualny pracodawca – i szukamy człowieka z doświadczeniem.

Mark nie miał czasu na kontynuowanie swoich poszukiwań w bibliotece. Siedział teraz na brzeжку krzesła, czekając tylko na moment, kiedy odprawiony z kwitkiem będzie musiał podziękować mężczyźnie i pożegnać się, ale ten rozgadał się na dobre, chociaż dawno już powinien był zakończyć rozmowę wstępną. Mówił o prowizji sprzedawcy, która jego zdaniem była tak wysoka, że można by nią z powodzeniem obdzielić dwie osoby.

– ...jeśli wie pan, co mam na myśli. – Mężczyzna mrugnął do niego porozumiewawczo i wcisnął papierosa w cygarniczkę z kości słoniowej.

– Tak, oczywiście – Mark pokiwał skwapliwie głową, nie mając wprawdzie zielonego pojęcia, o co mężczyźnie chodzi, ale pragnąc zrobić mu przyjemność.

– Naturalnie, będą się panem opiekował osobiście. O ile dojdziemy do stosownego porozumienia, zgoda?

– Zgoda – przystał Mark i dopiero teraz dotarło do niego, że kierownik proponuje, by odpalał mu dołę ze swoich prowizji. Wyglądało na to, że dostanie tę pracę.

– Oczywiście, sir. – Miał ochotę zerwać się z krzesła i puścić w tany. – Jak rozumiem, jesteśmy równorzędnymi współnikami.

– Umowa stoi. – Kierownik nie liczył na aż pięćdziesiąt procent prowizji Marka. – Zaczyna pan w poniedziałek, punktualnie o dziewiątej rano – dorzucił pośpieszenie i zaszczycił Marka promiennym uśmiechem.

Mark potrząsnął z wdzięcznością jego ręką, ale kiedy opuszczał małe pomieszczenie biura, kierownik zawołał za nim:

– Ma pan chyba porządny garnitur, Anders, prawda?

– Oczywiście – zełgał szybko Mark.

– Niech go pan włoży.

Mark znalazł na hinduskim bazarze krawca, który podjął się uszycia w jedną noc szarego, trzyczęściowego garnituru za trzydzieści dwa szylingi.

– Ubrania pięknie na panu leżą, sir. Jak na księciu – komplementował go krawiec, wskazując na upstrzone przez muchy lustro w przymierzalni. Stał za Markiem, wprawnie zbierając garścią nadmiar materiału na plecach, tak że z przodu marynarka faktycznie leżała

jak ulał. – Będzie pan reklamą pierwsza klasa moich skromnych umiejętności.

– Ma się rozumieć, potrafisz prowadzić auto? – spytał go od niechcienia kierownik, który nazywał się Dicky Lancome, kiedy podchodzili do błyszczącego cadillaca wystawionego w salonie.

– Oczywiście – zełgał bez zmrużenia oka Mark.

– Oczywiście – powtórzył za nim Dicky. – Przecież gdyby było inaczej, nie starałbyś się o posadę sprzedawcy samochodów, no nie?

– Oczywiście, że nie.

– No to wskakuj za kierownicę – zaproponował Dicky. – Przejedziemy się dookoła kwartału.

Mark zmartwił w duchu, ale nie stracił głowy.

– Wolałbym, żeby zapoznał mnie pan najpierw z charakterystycznymi cechami wozu. Nigdy jeszcze nie prowadziłem cadillaca. – I w tym przynajmniej wypadku nie mijał się z prawdą. Nigdy jeszcze nie prowadził cadillaca ani żadnego innego pojazdu silnikowego.

– Słuszną uwagę – przyznał Dicky i kiedy pędzili Marine Parade, a Dicky pogwizdując uchylał kapelusza przed każdą ładną dziewczyną, jaką zobaczył na trotuarze, Mark chłonał chciwie wszystkie jego operacje kierownicą i pedałami.

Po powrocie do salonu wystawowego przy West Street Dicky trzepnął niedbale plikiem formularzy.

– Dokonując transakcji wypełniasz jeden z tych druczków... i nie zapomnij zainkasować należności. – Wydobył z kieszonki zegarek.

– O rany, ale późno. Mam strasznie ważne spotkanie przy lunchu – było parę minut po jedenastej – z bardzo ważną klientką. – Tu zniżył głos. – Ścisłej mówiąc, to blondynka. Bombowa! – i znowu mrugnął do Marka. – To na razie.

– No a ceny i tak dalej? – zawołał za nim zrozpaczony Mark.

– Na moim biurku leży prospekt. Tam wszystko znajdziesz. Pa, pa! – i Dicky ulotnił się tylnymi drzwiami.

Mark obchodził niepewnie cadillaca, całkowicie pochłonięty lekturą prospektu. Czytał przyciszonym głosem, starając się wbić sobie w głowę instrukcję obsługi i zlokalizować rozmaite elementy pojazdu wyszczególnione na rysunku złożeniowym i w ponumerowanym wykazie, kiedy nagle poczuł, że ktoś klepie go w ramię.

– Przepraszam, młody człowieku, czy pan jest tutaj sprzedawcą? – Stała przed nim starsza para. Mężczyzna ubrany był w pięknie skrojony ciemny garnitur z goździkiem w klapie marynarki, a w dłoni trzymał laskę.

– Zanim się zdecydujemy, chcielibyśmy się przejechać tym autem – powiedziała towarzysząca mu elegancka dama, uśmiechając się po matczynemu do Marka zza cienkiej woalki, która opadała jej z ronda kapelusza na oczy.

Mark poczuł, jak fale paniki zaraz go pochłoną. Rozejrzył się desperacko za jakąś drogą odwrotu, ale dżentelmen trzymał już kobietę za rękę, pomagając jej wsiąść na przednie siedzenie cadillaca.

Mark zatrzasnął za parą klientów drzwiczki i przykucnął, by pod osłoną maszyny po raz ostatni przekartkować pobieżnie instrukcję obsługi.

– Wcisnąć lewą stopą pedał sprzęgła, przesunąć dźwignię zmiany biegów w lewo i do przodu, prawą stopą nacisnąć zdecydowanie pedał gazu, zwolnić pedał sprzęgła – przepowiedział sobie pod nosem, wepchnął instrukcję do kieszeni i wdrapał się na fotel kierowcy.

Dżentelmen siedział na tylnym siedzeniu i z surową, czujną miną sędziego pochylał się do przodu, wsparty obiema dłońmi o główkę laski.

Jego żona uśmiechnęła się do Marka promiennie.

– Ile masz lat, młody człowieku?

– Dwadzieścia, pszepani, prawie dwadzieścia jeden. – Mark wduślił przycisk rozrusznika i silnik zawarczał, musiała więc podnieść głos.

– Tak – pokiwała głową – mam syna w tym samym wieku. Mark obdarzył ją niewyraźnym, mdłym uśmiechem, powtarzając w myślach tekst instrukcji. „...nacisnąć zdecydowanie pedał gazu”. Warkot silnika narósł do ogłuszającego ryku. Mark wczepił się kurczowo w kierownicę z taką siłą, że pobielały mu kłykcie obu dłoni.

– Mieszkasz z rodzicami? – spytała pasażerka.

– Nie, pszepani – odparł Mark i zwolnił sprzęgło. Tylne koła zapiszczały jak zraniony ogier, z rury wydechowej buchnęła błękitna chmura spalin i cała maszyna zdała się stanąć dęba, a zaraz potem wyrwała z miejsca i wchodząc w dziki wiraż pomknęła w kierunku bramy prowadzącej na ulicę. Na wypolerowanej posadzce salonu wystawowego pozostały po niej dwie długie, czarne smugi startej gumy.

Mark skręcił rozpaczliwie kierownicą, cadillac wszedł z bocznym przechylem w poślizg, trafił w ostatniej chwili w bramę wjazdową i sunąc bokiem jak krab wypadł z piskiem opon na ulicę. Konie zaprzężone do przejeżdżającej bryczki uskoczyły w popłochu z drogi ryczącej maszynie, a starszy dżentelmen za Markiem zdołał jakoś przyjąć z powrotem pozycję siedzącą i podnieść z podłogi swoją laskę.

– Niezłe przyspieszenie! – wrzasnął Mark, przekrzykując wycie silnika.

– Wspaniałe – przytaknął skwapliwie pasażer z tylnego siedzenia. W lusterku wstecznym widać było jego wytrzeszczone oczy. Starsza dama poprawiała kwiecisty kapelusz, który zsunął się jej na oczy, i pokręciła ze smutkiem głową.

– Ach, wy młodzi! Skoro tylko opuściecie dom rodzinny, zaczynacie głodówkę. Widać od razu, że się usamodzielniliście – jesteście chudy jak...

Mark przypuścił szarżę na skrzyżowanie ulic Smith i Aliwal, ale kiedy byli już pośrodku, drogę zajechała im wyładowana po brzegi ciężarówka i musiał się ratować błyskawicznym

skretem kierownicy. Cadillac zmienił kierunek jazdy o dziewięćdziesiąt stopni i wpadł na dwóch kołach w Aliwal. – ...jak patyk – dokończyła dama, chwytając mocno za klamkę drzwiczek jedną ręką, a drugą przytrzymując kapelusz na głowie. – Powinieneś którejs niedzieli zajść do domu na porządny obiad.

– Dziękuję, pszeponi, to bardzo miłe z pani strony. Kiedy w końcu Mark zatrzymał cadillaca przy krawężniku przed salonem wystawowym, ręce drżały mu tak gwałtownie, że dopiero za drugim podejściem udało mu się uziemić prądnice. Czuł wilgoć nerwowego potu przesiąkającą przez materiał marynarki i nie miał siły wysiąść z kabiny.

– Niewiarygodne – odezwał się z tylnego siedzenia starszy dżentelman. – Jakież opanowanie kierownicy, co za mistrzostwo – czuję, że odmłodziłem.

– Było uroczo, kochanie – odparła jego żona.

– Bierzemy to auto – podjął męską decyzję jej mąż i Mark nie mógł uwierzyć własnym uszom. Sprzedał swój pierwszy samochód.

– Czy nie byłoby uroczo, gdyby ten młody człowiek przyszedł do nas na szofera? Taki z niego świetny kierowca.

– Przykro mi, pszeponi – powiedział szybko Mark znowu bliski paniki. – Nie ma nawet mowy, bym mógł się stąd zwolnić, ale mimo wszystko dziękuję.

– Nie byle jaki wyczyn, stary. – Dicky Lancome złożył na pół dwa pięcioletowe banknoty, które stanowiły jego pięćdziesięcioprocentowy udział w prowizji Marka za sprzedaż cadillaca. – Widzę przed tobą wielką przyszłość.

– Och, bez przesady – zaprotestował skromnie Mark.

– Wielką przyszłość – powtórzył swe proroctwo Dicky. – Tylko jedna sprawa, stary – twój garnitur – wzruszył lekko ramionami. – Teraz, kiedy już cię na to stać, pozwól, że polecę ci mego krawca. Bez urazy, oczywiście, ale w tym wyglądasz, jakbyś się wybierał na bal przebierańców.

Tego wieczoru, po zamknięciu interesu, Mark po raz pierwszy od tygodnia popędził do biblioteki. Bibliotekarka powitała go surowym spojrzeniem nauczycielki udzielającej uczniowi nagany.

– Myślałam, że już pana nie zobaczymy – że pan zrezygnował.

– Och, nie, bynajmniej – zapewnił ją Mark i ułagodzona wręczyła mu znowu klucz do czytelnia.

Mark wyrysował sobie w notesie skomplikowane drzewo genealogiczne Courteneyów. Sean miał brata, który pod koniec wojny burskiej również dosłużył się stopnia pułkownika, a do tego był kawalerem Krzyża Wiktorii za waleczność – nie ma co, zasłużona rodzina. Ten brat, pułkownik Garrick Courteney, stał się najpierw zauważanym, a potem słynnym autorem książek z dziedziny historii wojskowości i biografii innych sławnych żołnierzy, poczynając od *Z Robertsem do Pretorii* i *Buller, walczący żołnierz*, a na *Bitwa o Sommę* i *Kitchener*,

Życie kończąc. Książki te były obszernie i pochlebnie recenzowane w „The Ladyburg Lantern”. Autor miał jednego syna Michaela. Przed rokiem 1914 w gazecie ukazywały się wzmianki o tym synu w związku z jego działalnością zawodową na stanowisku naczelnego dyrektora tartaków Courteney Saw Mills w okręgu Ladyburg i z jego osiągnięciami w sporcie i jeździectwie na wielu lokalnych zawodach. Potem, w numerze z 1917 roku, pojawił się nagłówek: BOHATER Z LADYBURGA ODZNACZONY.

Kapitan Michael Courteney, syn pułkownika Garricka Courteneya, odznaczony został Wielkim Krzyżem Lotniczym za bohaterskie czyny, których dokonał we Francji jako pilot 21 Dywizjonu Myśliwskiego wchodzącego w skład Królewskiego Korpusu Lotniczego. Kapitanowi Courteneyowi uznano pięć udokumentowanych zestrzeleń niemieckich aeroplanów, a przez swego dowódcę scharakteryzowany został jako „odważny i gotowy do poświęceń oficer o wysokim wyszkoleniu bojowym”. Bohater, syn bohatera.

Na pierwszej stronie późniejszego o kilka miesięcy numeru gazety ukazał się artykuł ujęty w grubą czarną ramkę:

Z wielkim żalem donosimy o śmierci na polu chwały KAPITANA MICHAELA COURTENEYA. Wszystko wskazuje na to, że samolot kapitana Courteneya został zestrzelony i spadł w płomieniach za liniami nieprzyjaciela oraz że człowiekiem, który dokonał tego zestrzelenia, jest nikt inny, jak cieszący się krwawą reputacją baron von Richthofen. „The Ladyburg Lantern” składa najgłębsze i najszczerze kondolencje ojcu i rodzinie bohatera. „Róża zerwana w pełnym rozkwicie”.

Działalność tej gałęzi rodziny, jej tryumfy i tragedie relacjonowano szczegółowo – podobnie było z rodziną Seana Courteneya w okresie od przełomu stuleci do maja roku 1910.

Z detalami, od sukni panny młodej po dekoracje na torcie, opisywano ślub Seana Courteneya z panią Ruth Friedman, który odbył się w roku 1903. „Jedną z druhen była licząca sobie cztery latka panna Storm Friedman, ubrana w wierną replikę sukni swej matki. Panicz Dirk Courteney zyskał sobie w niej śliczną siostrzyczkę”. Znowu wymieniano nazwisko, które interesowało Marka przede wszystkim. Zanotował to sobie, bo nie pojawiło się potem aż do maja 1910 roku.

Całe strony kolejnych numerów zappełniały opisy dokonań pułkownika Seana Courteneya na polu polityki i biznesu oraz w poważniejszych dziedzinach rekreacji, jego wybór do rady Legislacyjnej Natalii, a później do gabinetu premiera Louisa Bothy. Został liderem Partii Południowej Afryki w Natalu i był delegatem do Whitehall w Londynie na negocjacje w sprawie warunków Unii, dokąd zabrał całą swoją rodzinę.

Kariera zawodowa Seana Courteneya rozwijała się kwitnąco; nowe tartaki, nowe plantacje, nominacje na nowe stanowiska – przewodniczący pierwszego w Afryce Południowej Towarzystwa Budowlanego, dyrektor Union Castle Shipping Lines, prezes Państwowej Komisji do Spraw Bogactw Naturalnych. Przewodniczący Południowoafrykańskiego Klubu Wyścigów Konnych, stupięćdziesięciopoty jacht

zbudowany dla niego przez Thesensa Knysny, komodora Królewskiego Jachtclubu Natalu – ale aż do maja 1910 roku już najmniejszej wzmianki o Dirku Courteneyu.

Pierwsza strona „The Ladyburg Lantern and Recorder” z 12 maja 1910 roku:

„The Ladyburg Lantern” z przyjemnością zawiadamia, że jej cały kapitał akcyjny wykupiony został przez pana Dirka Courteneya, który po kilkuletniej nieobecności powrócił niedawno do Ladyburga.

Pan Courteney poświęcił ostatnie kilka lat podrójom, w trakcie których zbierał zarówno doświadczenia, jak i kapitał. Wszystko wskazuje na to, że nie był to czas stracony, gdyż natychmiast po powrocie pan Courteney nabył pakiet kontrolny Ladyburskiego Banku Farmerskiego za niebagatelną sumę jednego miliona funtów szterlingów w gotówce.

Ladyburg i wszyscy jego mieszkańcy są pewni odniesienia ogromnych korzyści z niespożytej energii, bogactwa i przedsiębiorczości, jakie pan Dirk Courteney wnosi do tego okręgu.

Spytany o plany na przyszłość, pan Dirk Courteney powiedział: „Zamierzam interesować się na co dzień wszelkimi aspektami działalności moich firm w Ladyburgu. Moja dewiza to Postęp, Rozwój i Pomyślność dla Wszystkich”.

Panie Dirku Courteney, „The Ladyburg Lantern” pozdrawia pana i wita jako szlachetny ornament w naszej prawej społeczności. Poczynając od tej chwili, nie było chyba numeru, który nie zawierałby lizusowskich peanów na cześć pana Dirka Courteneya – do przypadkowych wzmianek na wewnętrznych stronach zredukowały się zaś doniesienia o jego ojcu i rodzinie.

Żeby dowiedzieć się czegoś konkretnego o Seanie Courteneyu, Mark musiał sięgnąć do innych natalskich gazet. Zaczął od „Natal Mercury”.

LADYBURSCY STRZELCY KONNI ODPLYWAJĄ DO FRANCJI GENERAL COURTENey ZNOWU PROWADZI SWOICH LUDZI NA WOJNĘ

Ten nagłówek wstrząsnął Markiem. Pamiętał jeszcze mgiełkę unoszącą się nad wodami zatoki i sznury postaci w mundurach khaki wspinające się po trapach, każda objuczona plecakiem i karabinem. Śpiewy i krzyki kobiet, papierowe serpentyny i płatki kwiatów wirujące i opadające wokół wesołymi, barwnymi chmurami, i żałobny ryk syren mgielnych dochodzący z cypla. Miał to jeszcze tak wyraźnie w pamięci. Wkrótce wyruszy w ślad za nimi, dodając sobie lat przed niezbyt dociekliwym sierżantem z punktu rekrutacyjnego.

LADYBURSCY STRZELCY KONNI PONOSZĄ CIĘŻKIE STRATY

**OFENSYWA ZAŁAMUJE SIĘ POD DELILLE WOOD GENERAL COURTENey:
„JESTEM Z NICH DUMNY”**

Odczytując powoli długą listę poległych, Mark poczuł nagle pieczenie pod powiekami. Zatrzymał się przy znajomym nazwisku, ale chociaż wytężał pamięć, grzęzło w tamtych strasznych morzach błota, krwi i cierpienia.

Do rzeczywistości przywołał go dotyk czyjejś dłoni. Wyprostował się nad stołem oszołomiony tym nagłym wyrwaniem z zadumy.

– Zamykamy. Już po dziewiątej – powiedziała cicho młoda asystentka bibliotekarki. – Niestety, będzie pan już musiał wyjść. – Spojrzała na niego uważnie. – Dobrze się pan czuje? Pan płakał?

– Nie. – Mark wyciągnął pospiesznie chusteczkę do nosa. – To od czytania.

Kiedy wchodził do pensjonatu, z góry zawołała do niego gospodyni.

– Mam dla pana list.

Sądząc po grubości koperty, można by przypuszczać, że zawiera dzieła wszystkie Williama Szekspira, ale otworzywszy ją znalazł wewnątrz tylko dwadzieścia dwie kartki, z których pierwsza zaczynała się od słów:

Drogi Marku!

Oczywiście, że bardzo dobrze Cię pamiętam, często o Tobie myślę i zastanawiam się, co się z Tobą dzieje – tak więc Twój list sprawił mi cudowną niespodziankę...

Nie skrywana radość emanująca z tego listu wzbudziła w Marku poczucie winy.

Zdaję sobie sprawę, że mało się znamy. Nie wiesz nawet, jak mam na nazwisko! No więc, nazywam się Marion Littlejohn – śmiesznie, prawda? Bardzo chciałabym je zmienić. Urodziłam się w Ladyburgu (Nie powiem, kiedy! Dama nigdy nie zdradza swego wieku!). Mój ojciec był farmerem, ale pięć lat temu sprzedał farmę i pracuje teraz jako brygadzysta w cukrowni.

Dalej następowała wyczerpująca historia rodziny, wspomnienia Marion ze szkoły, nazwiska i stan majątkowy wszystkich jej licznych krewnych, nadzieje, marzenia i aspiracje Marion. – „Bardzo chciałabym podróżować, a ty? Paryż, Londyn” – a wszystko to opisane z nużącymi szczegółami, z mnóstwem ujętych w nawiasy wtrąceń, szczerze okraszone wykrzyknikami i znakami zapytania.

Czy to nie dziwne, że nosimy takie podobne imiona – Mark i Marion? Nieźle to brzmi, prawda?

Marka przeszedł teraz dreszczyk niepokoju – wyglądało na to, że gwizdząc tylko o bryzę przywołał trąbę powietrzną – a przy tym wyczuwał jakąś zaraźliwą wesołość i ciepło przebijające z listu i żałował, że tak słabo pamięta rysy twarzy dziewczyny. Uświadomił sobie, że mógłby się z nią minąć na ulicy nie poznając.

Odpisał jeszcze tego samego wieczoru, przykładając szczególną wagę do stylu. Nie mógł jeszcze jawnie przejść do sedna sprawy, napomknął jednak mgliście, że zamierza pisać książkę, ale wymagałoby to pracochłonnego zbierania materiałów w ladyburskich archiwach, a on nie ma na razie ani czasu, ani pieniędzy na podróż, na koniec zaś zapytał, czy nie mogłaby mu przysłać swojej fotografii.

Jej odpowiedź musiała zostać napisana i wysłana w dniu nadejścia jego listu.

„Najdroższy Marku... „ – A więc awansował z „Drogiego Marka”.

Do dwudziestu pięciu zapisanych maczkami stron dołączona była fotografia. Przedstawiała usztywnioną w sztucznej pozie młodą dziewczynę w wieczorowym stroju, z wymuszonym, nerwowym uśmiechem na ustach, wlepiającą wzrok w kamerę, jak gdyby była to lufa nabitego mausera. Zdjęcie było trochę nieostre, ale wystarczyło, by przypomniał sobie, jak wyglądała. Odetchnął z ulgą.

Była trochę pulchna, ale miała słodką buzię w kształcie serca, szerokie, przyjazne usta i proporcjonalnie rozstawione inteligentne oczy. Sprawiała wrażenie czujnej i żywotnej. Zorientował się od razu, że jest wykształcona i dosyć odczytana – i że rozpaczliwie pragnie mu się przypodobać.

Na odwrocie fotografii znalazł kolejny awans:

*Kochanemu Markowi
Z wyrazami sympatii
Marion.*

Pod jej imieniem widniały trzy krzyżyki. List tryskał bezgranicznym podziwem dla jego sukcesu w roli sprzedawcy cadillaca i uwielbieniem dla jego aspiracji zostania pisarzem.

Oferowała swoją pomoc w zbieraniu materiałów, byle tylko dać jej znać, o jakie informacje mu chodzi. Miała dostęp do wszystkich archiwów państwowych i miejskich („i tym razem nie obciążę cię opłatą manipulacyjną!”), jej starsza siostra pracowała w redakcji „The Ladyburg Lantern”, a w ratuszu mieściła się wspaniała biblioteka, gdzie Marion miała znajomości i gdzie uwielbiała buszować – czy pozwoli, żeby mu pomogła?

I jeszcze jedno, czy ma swoją fotografię? Bardzo by chciała mieć coś, co by jej go przypominało.

W studio pod chmurką przy wejściu na plażę Mark zrobił sobie za pół korony zdjęcie w nowym garniturze, w słomkowym kapeluszu nasuniętym zawadiacko na oko i z zabójczym uśmiechem na ustach.

Kochany Marku!

Ależ ty jesteś przystojny! Pokazałam twoją fotografię przyjaciółkom i teraz wszystkie mi zazdroszczą.

Przesyłała część informacji, o które prosił, a wkrótce przyśle więcej.

W księgarni Adams Booksellers przy Smith Street Mark nabył opasły, oprawny w skórę notes, trzy ogromne arkusze kartonu oraz wielkoskalowe mapy konturowe Natalu i Zululandu. Te ostatnie przypiął do ścian swojego pokoiku tak, by mógł je studiować, leżąc na łóżku.

Na jednym kartonie wyrysował drzewa genealogiczne Courteneyów, Pye’ów i Petersonów. Wszystkie te trzy nazwiska związane były z transakcją wykupu Anderslandu i występowały na dokumentach, które widział w ladyburskim notariacie.

Na drugim kartonie wykreślił piramidę towarzystw i spółek kontrolowanych przez Ladyburski Bank Farmerski, a na trzecim podobną piramidę firm i posiadłości należących do

spółki holdingowej generała Seana Courteneya, występującej pod nazwą Natal Timber and Estates Ltd.

Na mapie pokolorował pracownicy aktualne posiadłości ziemskie obu grup – na czerwono należące do generała Courteneya, a na niebiesko kontrolowane przez jego syna Dirka.

Kiedy zamalował starannie na niebiesko długi, nieregularny kształt Anderslandu z jego poskręcaną granicą wyznaczaną przez południowy brzeg rzeki, naszała go nowa chęć i determinacja do kontynuowania dochodzenia; a kiedy już skończył i otał palce z kredki, na ustach pozostał mu gorzki grymas gniewu. Był przekonany, że staruszek nigdy by tego nie sprzedał – wpieryw musieliby go zabić.

Ten gniew nie opuszczał go, kiedy kolorował kolejne obszary mapy, i potem, kiedy kładł się wieczorem na łóżku i paląc ostatniego papierosa, studiował rozrastającą się niebiesko-czerwoną szachownicę posiadłości Courteneyów. Uśmiechał się ponuro na myśl, co powiedziałyby Fergus MacDonald na taki majątek zgromadzony w rękach jednej rodziny, a następnie wpisywał do oprawnego w skórę notesu nowe informacje, które zebrał danego dnia.

Potem gasił światło i leżał z szeroko otwartymi oczyma, i często, kiedy w końcu zmorzył go sen, śnił o Bramie Chaki, o wyniosłych urwiskach strzegących rzeki i o skłębionej dziczy za bramą, w której kryła się samotna mogiła. Mogiła nie oznaczona, zarosnięta teraz zachłanną, rozbuchaną afrykańską florą – chociaż kto wie, czy dawno już nie rozkopały jej hieny albo inni padlinożercy.

Pewnego dnia, spędzając jak zwykle wieczór na studiach w czytelni biblioteki, Mark sięgnął najpierw po najświeższe numery „The Ladyburg Lantern”, które ukazały się bezpośrednio po jego ucieczce z Ladyburga, i wertując je omal nie przeoczył kilku linijek na wewnętrznej stronie.

Wczoraj w kościele Metodystów przy Pine Street odprawiono nabożeństwo żałobne za duszę pana Jacoba Henry’ego Rossouwa. Pan Rossouw zginął spadając z nowego mostu kolejowego w przełom Baboon Stroom podczas polowania z grupą przyjaciół.

Pan Rossouw był kawalerem i pracował w Zululand Suger Co Ltd. W uroczystościach pogrzebowych udział wziął prezes firmy zatrudniającej zmarłego, pan Dirk Courteney, który wygłosił nad grobem krótką, lecz poruszającą mowę, jeszcze raz dając wyraz swej głębokiej trosce o każdego pracownika swoich licznych dobrze prosperujących firm. „Wielkość objawia się drobnymi czynami”.

Data zbiegała się dokładnie z jego ucieczką z doliny. Ten człowiek mógł być jednym ze ścigających go ludzi, najprawdopodobniej tym, który złapał go za skreconą kostkę, kiedy czepiał się wagonu towarowego. Jeśli tak, to łączyły go bezpośrednie związki z Dirkiem Courteneyem. Mark zaciskał powoli sznur, ale potrzebował jeszcze głowy, którą wsunie w pętlę.

Pod jednym wszak względem Mark czuł się spokojniejszy. Wszystko wskazywało na to, że pomiędzy ojcem a synem, pomiędzy generałem Seanem Courteneyem a Dirkiem, istnieje głęboka przepaść. Ich firmy nie miały ze sobą żadnych powiązań, nie zazębiały się ich kompetencje kierownicze, a każda sieć przedsiębiorstw istniała samodzielnie i niezależnie od drugiej. Ta separacja zdawała się rozciągać poza interesy i finanse, a ponadto Mark nie natrafił na żaden dowód kontaktowania się obu mężczyzn na szczeblu towarzyskim; mało tego, raptowna zmiana nastawienia „The Ladyburg Laütern” w stosunku do ojca po przejęciu kontroli nad redakcją przez syna świadczyła o istniejącej między nimi otwartej wrogości.

Nie był jednak o tym do końca przekonany. Fergus MacDonald ostrzegał go nieraz przed perfidną przebiegłością panów, wszystkich bogaczy. „Nie cofną się przed niczym, byle tylko ukryć swą winę, Marku, uważają za dozwolone wszelkie chwytury prowadzące do bezkarnego zmycia robotniczej krwi plamiącej im ręce”.

Najpierw trzeba chyba ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy ściga tylko jednego człowieka. Następnym ruchem będzie, naturalnie, powrót do Ladyburga i próba sprowokowania kolejnego ataku – tym razem jednak będzie nań przygotowany i będzie się mniej więcej orientował, skąd go oczekiwać. Powrócił wspomnieniami do podstępu z kukłą Cuthbertem, który zastosowali z Fergusiem MacDonaldem, by ściągnąć ogień nieprzyjaciela i zmusić go do odkrycia się, i uśmiechnął się ponuro na myśl, że tym razem sam będzie musiał odegrać rolę Cuthberta. Po raz pierwszy odczuwał strach przed akcją, którego nie znał we Francji. Czekala go konfrontacja z czymś potężniejszym i bezwzględniejszym, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał, i jej czas zbliżał się wielkimi krokami.

I wtedy nadeszła kolejna obszerna epistoła z Ladyburga, dając mu uzasadniony powód do odłożenia akcji bezpośredniej.

Najdroższy!

Ależ mam dla ciebie nowinę! Skoro góra nie przychodzi do Mahometa, to on (albo ona!) musi pójść do góry. Moja siostra i jej mąż wybierają się na czterodniowy wypad do Durbanu i poprosili mnie, żebym z nimi pojechała. Przyjeżdżamy czternastego – zatrzymamy się w Marine Hotel przy Marine Prade – raz się żyje!

Mark był zaskoczony rozmiarami radości i podniecenia, w jakie wprowadziła go ta wiadomość. Nie zdawał sobie nawet sprawy z uczucia do tej ufnej, przyjaznej istoty, jakie narosło w nim powoli przez ten długi okres rozstania. Kolejne zaskoczenie przeżył, kiedy się spotkali – oboje ubrani z wyraźną starannością i dbałością o detale, oboje cierpiący męki zażenowania i skrępowania pod czujnym okiem siostry Marion.

Siedzieli na hotelowej werandzie i popijając sztywno herbatę, gawędzili o wszystkim i o niczym z siostrą, a jednocześnie przyglądali się sobie ukradkowo ponad brzegami filiżanek.

Mark zauważył natychmiast, że Marion straciła na wadze, ale nigdy nie dane mu było się dowiedzieć, iż aby osiągnąć ten efekt, dziewczyna omal nie zagłodziła się na śmierć; i była

ładna – o wiele ładniejsza, niż ją pamiętał i niż to sugerowała fotografia. Co ważniejsze, tryskała zdrowiem i ciepłem. Mark był przez większość życia samotnym chłopcem, a już szczególnie przez te ostatnie tygodnie spędzone w maleńkim pokoiku z karaluchami, marzącym o towarzystwie.

Teraz zareagował na nią tak, jak podróżny wchodzący z zamieci śnieżnej do tawerny na widok ognia płonącego na kominku.

Z początku siostra traktowała poważnie swe obowiązki przyzwoitki, ale była co najwyżej o sześć lat starsza od Marka i na tyle spostrzegawcza, by zauważyć, że młodzi mają się ku sobie i że chłopiec należy do porządnych. Była też na tyle młoda i od tak niedawna zamężna, że potrafiła ich zrozumieć.

– Chciałbym zabrać Marion na przejażdżkę, niedługo byśmy wrócili. – Marion zwróciła na siostrę oczy tak uduchowione i błagające, jak to potrafi tylko konająca gazela.

– Och, proszę cię. Lyn.

Cadillac był modelem pokazowym i Mark osobiście nadzorował dwóch zuluskich pracowników Natal Motors, którzy polerowali na błysk jego lakierowaną karoserię.

Dojechali aż do ujścia rzeki Umgeni. Marion siedziała obok niego ładna i dumna.

Mark nigdy jeszcze nie czuł się tak dobrze; modnie ubrany, ze złotem w kieszeni, w wielkim, błyszczącym automobilu i z ładną, adorującą go dziewczyną u boku. Adoracja – to słowo najtrafniej oddawało nastawienie Marion wobec niego. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od jego twarzy i ilekroć zerknął na nią, stawała w pąsach.

W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie siebie z takim przystojnym, bywałym kawalerem. W najbardziej romantycznych snach nie jechała błyszczącym cadillakiem u boku bohatera wojennego odznaczonego medalem za odwagę.

Kiedy zaparkował na poboczu drogi i ruszyli ścieżką przez gęsto zarośnięte wydmy w kierunku ujścia rzeki, przywarła do jego ramienia niczym tonący żeglarz.

Rzeka wezbrała wskutek jakiejś ulewy w głębi ładu; szeroka na pół mili i mętno-brązowa jak kawa, rwała bystro przed siebie, by białą spienioną pręgą zderzyć się z kontrą zielonego morza. Brązowy nurt niósł porwane przez powódź gałęzie i zwłoki potopionych zwierząt.

Padlina zwabiła daleko w górę rzeki kilkanaście dużych czarnych rekinów; krążyły w poszukiwaniu żeru, tnąc ciemnymi, trójkątnymi płetwami wzburzoną powierzchnię.

Mark i Marion usiedli ramię przy ramieniu na wydmie, z której roztaczał się widok na ujście.

– Och – westchnęła Marion, jakby za chwilę miało jej pęknąć serce – mamy dla siebie tylko cztery dni.

– Cztery dni to dużo czasu – roześmiał się Mark. – Nie wiem nawet, jak go wypełnimy.

Spędzili razem blisko godzinę. Dicky Lancome był bardzo wyrozumiały dla swojego najlepszego sprzedawcy.

– Co rano pokaż tu na parę minut swoją głębę, żeby uszczęśliwić szefa, a potem możesz

się urwać. Będę cię krył.

– A co z modelem pokazowym? – spytał bezczelnie Mark.

– Powiem mu, że starasz się go upchnąć bogatemu plantatorowi trzciny cukrowej. Bierz go, stary, ale, na miłość boską, nie owiń się nim wokół drzewa.

– Nie wiem, jak ja ci się odwdzięczę, Dicky, naprawdę nie wiem.

– Nie łam sobie nad tym głowy, stary, coś już się wymyśli.

– Więcej nie będę prosił. Ta dziewczyna to ktoś specjalny. Rozumiem. – Dicky poklepał go ojcowskim gestem po ramieniu. – Najważniejsza rzecz w życiu – smaczny kasek. Sercem jestem z tobą, stary. Cały czas będę trzymał za ciebie kciuki.

– To nie tak, Dicky – zaoponował Mark, czerwieniąc się jak burak.

– Jasne, że nie, jakżeby mogło być inaczej. Ale mimo wszystko baw się dobrze – i Dicky lubieżnie przymrużył oko.

Mark i Marion – miała rację, nieźle to brzmiało – spędzili te dni, spacerując ręką w rękę po mieście. Była zachwycona żywotnością i energią miasta, oczarowana jego złożonością, jego kulturą, jego muzeami i ogrodami tropikalnymi, jego terenami wypoczynkowymi połyskującymi mrowiem bajecznych lampionów, koncertami na świeżym powietrzu w ogrodach starego fortu, wielkimi domami towarowymi przy West Street, Stuttafords i Ansteys, ich witrynami pełnymi importowanych dóbr konsumpcyjnych, portem z wielkimi statkami handlowymi cumującymi przy nabrzeżach i parowymi żurawiami, które uwijały się nad nimi posapując i skrzypiąc.

Przyglądali się hinduskim rybakom, jak ściągają swoje łodzie z olśniewająco białej plaży i przebijają się przez sunące jeden za drugim szeregi zielonych fal przyboju, by zarzucić długie sieci szerokim półkolem na głębokiej wodzie. Potem Marion podkasła suknię, a Mark podwinął do kolan spodnie i oboje pomagali półnagim rybakom ciągnąć długie liny, dopóki w łodzi nie urósł połyskliwie srebrny kopiec podrygujących jeszcze, wijących się i rzucających w promieniach słońca ryb.

Zjedli lody poziomkowe w chrupkich stożkach i przejechali się po Marine Parade otwartą riksą ciągniętą przez podskakującego, pokrzykującego Zulusa ubranego w nieprawdopodobny kostium z piór, paciorków i rogów.

Pewnego wieczora spotkali się z Dickym Lancomem i omdlewającą pięknnością, której akurat nadszkwiał, i w czwórkę jedli langusty z rusztu i tańczyli przy dźwiękach jazzowej orkiestry w Oyster Bay Hotel na Umhlanga Rock, a potem rozbawieni i szczęśliwi, ze śpiewem na ustach, wracali do domu cadillakiem, którego po zakurzonych polnych drogach prowadził z fasonem Dicky, podczas gdy Mark z Marion tulili się do siebie na tylnym siedzeniu.

W hotelowym holu, pod baczynym okiem nocnej recepcjonistki gotowej w każdej chwili przeciąć drogę Markowi, gdyby ten usiłował dostać się do wind, życzyli sobie szeptem dobrej

nocy.

– Jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa – powiedziała Marion i wspiąwszy się na palce, pocałowała go prosto w usta.

Dicky Lancome zniknął gdzieś z cadillakiem i przyjaciółką, odjeżdżając prawdopodobnie na jakiś ciemny, odludny parking nad brzegiem morza. Wracając samotnie do domu pustymi w nocy ulicami, Mark rozpamiętywał słowa Marion i doszedł do wniosku, że sam może się pod nimi podpisać. Nie przypominał sobie, żeby był kiedyś tak szczęśliwy, ale przecież – tu uśmiechnął się do siebie ze smutkiem – jego dotychczasowego życia nie można było nazwać jednym pasmem niezmaconej szczęśliwości. Dla nędzarza nawet szyling to fortuna.

Był to ich ostatni dzień i ta świadomość psuła im całą przyjemność. Mark zostawił cadillaca na końcu wąskiego szlaku wiodącego przez łąny trzciny cukrowej i zeszli na długi, łukowaty pas śnieżnobiałej, piaszczystej plaży strzeżonej z każdego końca przez skaliste cyple.

Morze było tak czyste, że z wysokich wydm sięgali wzrokiem głęboko pod powierzchnię i widzieli karbowane, piaszczyste dno poprzecinane rafami. Dalej od brzegu woda przybierała barwę soczystego błękitu indygo, który stykał się w dali z widnokręgiem, gdzie wypiętrzało się pasmo wielkich jak góry cumulusów mieniących się w jasnych promieniach słońca purpurą, błękitem i srebrem.

Szli boso po chrzęszczącym piasku, niosąc piknikowy koszyk, przygotowany dla nich przez hotel Marion, oraz wytarty szary koc z łóżka Marka, i wydawało im się, że są jedynymi ludźmi na świecie. Przebrali się w kostiumy kąpielowe, oddzieleni skromnie gęstym, ciemnozielonym krzakiem, a potem wbiegli ze śmiechem w ciepłą, czystą wodę przy brzegu.

Cienka czarna bawełna kostiumu Marion przylgnęła po zamoczeniu do ciała, tak że dziewczyna, pomimo że okryta od połowy ud aż po szyję, wyglądała jak naga, a kiedy ściągnęła z głowy czerwony gumowy czepek kąpielowy i potrząsnęła gęstą szopą włosów, Mark po raz pierwszy poczuł do niej pociąg fizyczny.

Przyjemność, jaką czerpał dotąd z jej towarzystwa, wynikała z sympatii. Oryginalna adoracja z jej strony wypełniała jakąś pustkę w jego duszy i wzbudzała w nim instynkty opiekuńcze, niemal braterskie.

Jakimś kobiecym zmysłem wyczuła natychmiast zmianę, jaka w nim zaszła. Śmiech zamarł jej na ustach, oczy spoważniały i pojawiły się w nich cienie lęku i zaniepokojenia – ale zwróciła się twarzą do niego i podniosła nań wzrok, wyraźnie zdobywając się na odwagę.

Leżeli potem obok siebie na szarym kocu w gęstym cieniu krzaka, a południowe powietrze było ciężkie i duszne od upału i brzęczenia owadów. Mokre kostiumy kąpielowe chłodziły przyjemnie ich rozgrzane ciała i musnąwszy delikatnie wilgotną skórę Marion, Mark odkrył z zaskoczeniem, jak inna jest w dotyku od skóry Heleny. Była mlecznobiała z odcieniem najbledszego różu, oblepiona cienką warstewką sypkiego, białego piasku i porośnięta jedwabistymi, delikatnymi, jasnożłotymi i miękkimi jak dym włoskami. Ciało

również miała miękkie, kobieco sprężyste, w odróżnieniu od twardego, umięśnionego ciała Heleny, i odznaczające się jakąś szczególną plastycznością, która go zaintrygowała i podnieciła.

Dopiero kiedy westchnęła, przygryzła wargę i odwróciła głowę, by ukryć twarz w jego szyi, Mark uświadomił sobie nagle poprzez mgiełkę podniecenia, że wszystkie sztuczki, których nauczyła go Helena, nie działają na Marion tak, jak działały na niego. Ciało miała usztynwione, twarz bladą i stężoną.

– Dobrze się czujesz, Marion?

– Nic mi nie jest, Marku.

– Nie lubisz tego?

– Pierwszy raz mi się to zdarza...

– Możemy przestać...

– Nie.

– Nie musimy...

– Nie, Marku, nie przerywaj. Ty tego chcesz.

– Ale ty nie chcesz.

– Chcę tego co ty, Marku. Nie przerywaj. To dla ciebie.

– Nie...

– Nie przerywaj, Marku, proszę cię, nie przerywaj. – Spojrzała na niego i zobaczył jej zbolaną minę, wypełnione łzami oczy i drżące usta.

– Och, Marion, przepraszam. – Odsunął się od niej przerażony cierpieniem malującym się na jej twarzy, ale natychmiast była znowu przy nim, zarzucając mu ręce na szyję i przygniatając do ziemi połowę ciała.

– Nie, Marku... nie przerywaj. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

– Nie uszczęśliwia mnie to... skoro ty nie chcesz.

– Och, Marku, nie mów tak. Proszę cię, nie mów tak... niczego tak nie pragnę jak twojego szczęścia.

Była dzielna i wytrzymała. Cały czas obejmowała go mocno za szyję, czuł pod sobą jej usztynwione, ale rozchylone uległe ciało, i to doświadczenie było dla niego niemal tak samo bolesne jak dla niej. Cierpiał wraz z nią, czując drzenie naprężonych nerwów i ciche spazmy bólu i napięcia, które usiłowała stłumić w głębi krtani.

Na szczęście dla obojga nie trwało to długo.

– Dobrze ci było, Marku, mój kochany? – Przywieriała wciąż do niego kurczowo.

– Och, tak – zapewnił ją gorąco. – Było cudownie.

– Tak bardzo chcę cię zadowolić pod każdym względem, kochany. Zawsze i pod każdym względem chcę być dla ciebie dobra.

– Było mi najwspanialej w życiu – powiedział, a ona patrzyła mu przez chwilę w oczy, szukając tam potwierdzenia jego słów i znajdując je, bo tak bardzo tego pragnęła.

– Tak się cieszę, kochany – wyszeptała i przyciągnęła jego głowę do swych wilgotnych, ciepłych piersi, tak miękkich i różowych i przyjemnych w dotyku. Tuląc go tak zaczęła go łagodnie kołysać jak matka dziecko. – Tak się cieszę, Marku, a będzie coraz lepiej. Nauczę się, zobaczysz, i będę się zawsze starała, żeby było ci jak najlepiej, kochany.

Jechali do domu powoli w zapadającym zmierzchu. Marion siedziała dumnie obok niego na szerokim, obitym skórą siedzeniu i otaczała ją jakaś nowa aura, aura pewności siebie i poczucia dobrze spełnionego obowiązku, jak gdyby w ciągu tych kilku krótkich godzin wyrosła z dziecka na matronę.

Mark przeżywał przyływy głębokiego uczucia. Pragnął ją ochraniać, nie dopuścić do zepsucia tej dobroci i słodyczy. Przez ulotną chwilę pożałował, że nie zdołał zaspokoić tej szalonej żądy rozsadzającej mu ciało i że jej też nie potrafił przeprowadzić przez burzę namiętności do tego samego spokojnego portu. Może przyjdzie to z czasem, może wspólnie znajdą drogę – a jeśli nie, no cóż, nie to było w końcu najważniejsze. Ważne było poczucie obowiązku wobec tej kobiety, jakie się w nim obudziło. Oddała mu wszystko, co mogła, i teraz zobowiązany był do odpłacenia jej taką samą miarą – do opiekowania się nią i hołubienia.

– Wyjdziesz za mnie, Marion? – spytał cicho, a ona zaczęła cicho płakać i gorliwie kiwać głową poprzez łzy, niezdolna do wykrztuszenia słowa.

Tego wieczoru Mark, Marion i jej siostra Lynette ze swym mężem, młodym prawnikiem z Ladyburga, siedzieli we czwórce do późna i omawiali sprawę zaręczyn.

– Papa nie da ci zgody na zamążpójście, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. Pamiętajś przecież, że my z Peterem musieliśmy czekać.

Peter Botes, poważny młody człowiek, pokiwał głową, robiąc przy tym mądrą minę i łącząc ze skupieniem koniuszki palców obu dłoni. Miał przerzedzone włosy koloru piasku i nadymał się jak sędzia w szkarłatnej todze.

– Świat się nie zawali, jeśli zaczekacie kilka lat.

– Lat? – pisnęła Marion.

– Masz dopiero dziewiętnaście – przypomniał jej Peter. – A Mark, zanim weźmie na swe barki odpowiedzialność za rodzinę, będzie musiał zgromadzić trochę kapitału.

– Mogę dalej pracować – zobowiązała się gorąco Marion.

– Wszystkie tak mówią. – Peter potrząsnął rozważnie głową. – A po dwóch miesiącach okazuje się, że dziecko w drodze.

– Peter! – zgañiła go z afektacją żona, ale on ciągnął spokojnie:

– A teraz, Marku, jakie są twoje plany na przyszłość? Ojciec Marion będzie chciał je poznać.

Mark nie był przygotowany na prezentację swoich spraw, a w tym akurat momencie nie był nawet pewien, czy cały jego majątek wynosi czterdzieści dwa funty dwanaście szylingów – czy też siedem szylingów i sześć pensów.

Nazajutrz odprowadził ich na pociąg do Ladyburga. Tuląc Marion w długim, pożegnalnym uścisku obiecał pisać do niej codziennie, ona zaś przysięgła, że będzie pracowała nad wypełnieniem swojej dolnej szuflady wyprawą ślubną i nad przełamaniem uprzedzeń ojca do wczesnych małżeństw. Wracając piechotą ze stacji Mark, nie wiedząc czemu, przypomniał sobie pewien wiosenny poranek we Francji, kiedy wracał z frontu, by przejść do rezerwy, i na to wspomnienie wypiął pierś, a jego krok stał się szybszy i znowu nabrał dawnej sprężystości i elastyczności. Wracał z frontu cały i zdrowy – tylko ta jedna myśl kołatała mu w tej chwili po głowie.

* * *

Nogi Dicky’ego Lancome’a obute w wypucowane na wysoki połysk kamasze z elastycznymi ściągaczami po bokach spoczywały na blacie biurka skrzyżowane fantazyjnie na wysokości kostek. Dicky podniósł wzrok znad gazety. W wolnej dłoni trzymał za uszko filiżankę herbaty, odginając „wytworknie” palec serdeczny.

- Oto nadchodzi zwycięski bohater, oręż jego spracowan, przez ramię przewieszon.
- Och, przestań, Dicky!
- ...słabość w kolanach, oko krwią podszłe, czoło pot zrasza...
- Były jakieś telefony? – spytał poważnie Mark.
- Ach, umysł giganta zwraca się teraz ku bardziej przyziemnym aspektom życia.
- Śmieję się zdrów, Dicky. – Mark przerzucał szybko mały stosik czekających na niego wiadomości.
- Przesyt miłości, nadmiar namiętności, przedawkowanie słodczy, kac genitalny.
- Co to jest? Nie mogę odczytać twoich bazgrołów. – Mark odwrócił wzrok, koncentrując się na notatce.
- Zapamiętaj moje słowa, Marku, w tej młodej damie drzemie żądza rozmnażania. Odwrócisz się na dziesięć minut, a ona już będzie siedzieć na najbliższym drzewie i wici gniazdo.
- Skończ już z tym, Dicky.
- To akurat radziłbym tobie, stary, chyba że nie przeraża cię perspektywa zaludnienia swoim przychówkiem całej okolicy. – Dicky wzdrygnął się teatralnie. – Jeśli masz do wyboru limuzynę i model sportowy, wybieraj zawsze ten ostatni, stary, co mi właśnie przypomniało – rzucił gazetę i sprawdził godzinę na zegarku, który wyciągnął z kieszonki spodni – że mam bardzo ważną klientkę. – Obrzucił krytycznym spojrzeniem wyglancowane buty, przetaił je lekko chusteczką wyjętą z butonierki, wstał, nałożył na głowę słomkowy kapelusz i mrugnął do Marka. – Jej mąż wyjechał na tydzień w delegację. Pilnuj interesu, stary, teraz moja kolej.
- Wysunął się przez drzwi biura prowadzące do salonu wystawowego i zaraz wpadł nimi z powrotem ze zgrozą na twarzy.

– O rany, klienci! Zajmij się nimi, Marku, mój kochany, ja się zmywam tylnymi drzwiami – i już go nie było. Tylko leciutki zapach brylantyny wlokący się za nim w powietrzu świadczył, że jeszcze przed chwilą tu stał.

Mark poprawił krawat w pękniętym lusterku wkliniowanym w okienną ramę i przywołując po drodze na usta swój powitalny uśmiech, rzucił się w stronę drzwi, ale w progu zatrzymał się jak wryty. Zastygając w bezruchu i koncentrując się niczym dzika gazela, nastawił ucha, zamienił się w słuch do ostatniego ścięgna, ostatniego rozedrganego zakończenia nerwowego, i chłonał dźwięk tak przejmująco i przenikliwie piękny, że serce mu zamarło. Trwał zaledwie parę sekund i ścichł, choć jego echo długo jeszcze dźwięczało i wibrowało w powietrzu, i dopiero wtedy serce Marka podjęło swoją pracę, łomocąc ciężko o żebra klatki piersiowej.

Dźwiękiem tym był dziewczęcy śmiech. Mark miał wrażenie, że powietrze wokół zgęstniało do konsystencji miodu, bo kiedy ruszył z miejsca, pętało mu nogi, a wciągnięcie go w płuca wymagało fizycznego wysiłku.

Przestąpiwszy próg rozejrzył się po przestronnym salonie wystawowym. Pośrodku posadzki stał najnowszy model pokazowy cadillaca, a obok niego dwoje ludzi.

Mężczyzna zwrócony był do Marka plecami i odcisnął się w jego świadomości tylko jako potężnie zbudowana, wysoka postać w ciemnym garniturze. Towarzysząca mu dziewczyna, filigranowa, niemal eteryczna, zdawała się unosić na niewidzialnych skrzydłach w powietrzu lekko i z gracją niczym koliber.

Pod zagapionym na nią Markiem zakołysała się ziemia.

Dziewczyna patrzyła na mężczyznę, odrzucając w tył głowę. Szyję miała długą i gładką, proporcjonalną do małej główki o jasnym, wysokim czole, ogromnych, ciemnych, hipnotyzujących oczach i roześmianych ustach, z których różem kontrastowała biel małych, równych zębów – a wszystko to zwieńczone zapierającą dech w piersiach burzą gęstych, lśniących włosów, włosów tak czarnych, że ich fale i pukle wydawały się wyrzeźbione ze świeżo naoliwionego ebonitu.

Wybuchnęła znowu cudownie radosnym, dźwięcznym śmiechem i uniosła rękę, żeby dotknąć twarzy mężczyzny. Dłoń miała wąską, o długich, zwięzających się ku końcom palcach, sprawiającą wrażenie silnej i chwytniej, tak iż Mark musiał zrewidować swoje pierwsze odczucie.

Dziewczyna wydawała się niska tylko w zestawieniu z mężczyzną, a złudzenie to pogłębiał jeszcze fakt, że wspinała się na palce. Teraz jednak Mark zauważył, że jest wysoka, a przy tym wiotka niczym łodyga papierusa na wietrze, gibka i wysmukła, wcięta w talii i długonoga.

Przesunęła koniuszkami palców po szczęcie mężczyzny; kiedy przechyliła głowę na długiej łabędziej szyi, a ogromne oczy zabłysły miłością i czułość zmiękczyła zarys ust, jej uroda stała się niemal nie do zniesienia.

– Och, tatusiu, ależ z ciebie staroświecki, gderliwy niedźwiedź. – Oderwała się od niego lekko jak balerina i znieruchomiła w afektowanej pozie przed ogromną, błyszczącą maszyną, przechodząc na komiczny francuski. – *Regarde! Mon cher papa, c'est tres chic...*

– Nie ufam tym nowoczesnym wymyślnym maszynom – burknął mężczyzna. – Wolę rollsa.

– Rollsa? – krzyknęła dziewczyna, wydymając teatralnie wargi. – On jest taki stateczny! Taki biblijny! Kochany tatusiu, mamy przecież dwudziesty wiek, zapomniałeś? – I nagle przygarbiła się jak więdnąca róża wazonie. – Jak mogłabym spojrzeć w oczy znajomym, gdybyś zmusił mnie do jeżdżenia jedną z tych wielkich, ponurych trumien?

W tym momencie zauważyła Marka stojącego w drzwiach biura i wszystko w niej uległo zmianie – sposób trzymania głowy, postawa, wyraz ust i oczu – w jednej chwili przedzierzgnęła się z klowna w damę.

– Ojczy – powiedziała cicho stanowczym głosem, mierząc Marka od stóp do głów chłodnym spojrzeniem. – Zdaje się, że jest tu sprzedający. – Odwróciła się i sposób, w jaki jej biodra zakołysały się pod sukienką wypychając materiał, znowu przypawił Marka o palpitacje serca – a kiedy spokojnie, z rezerwą, nie zerkając już w jego stronę zaczęła obchodzić wolno cadillaca, po raz pierwszy ujrzał zuchwałą, wyzywającą krągłość jej małych, kształtnych pośladków.

Zafascynowany, z zapartym tchem, wodził za nią wzrokiem. Nigdy jeszcze nie widział niczego tak pięknego, tak całkowicie urzekającego.

Mężczyzna odwrócił się i patrzył na niego gniewnie. Wyglądał, jeśli użyć określenia dziewczyny, biblijnie. Pospęny, wysoki, szeroki w barach jak belka podwójnej szubienicy, z wielką głową, lekko skrzywionym haczykowatym nosem i skłębioną, ciemną gęstwą przetykanej siwizną brody.

– Znam cię, cholera! – warknął. Tę twarz spaliło niemal na czarno dwadzieścia tysięcy słońc, ale w kącikach oczu widniały głębokie białe zmarszczki, białe było również pasmo skóry na czole poniżej gęstych, falujących, srebrzystych włosów, tam gdzie chronił ją przed słońcem kapelusz – albo wojskowa czapka.

Mark oprzytomniał i oderwał oczy od dziewczyny, by natychmiast przeżyć następny szok. W tej chwili przychodziło mu tylko do głowy, że to jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności – ale po latach miał dojść do przekonania, że było inaczej. Nici ich losów krzyżowały się i przeplatały. W tym jednak momencie szok następujący tak szybko po poprzednim zbił go z tropu.

– Tak, generale Courteney – wykrztusił. – Jestem...

– Milczeć, do cholery – przerwał mu generał. Jego głos zabrzmiał jak trzask wystrzału z mausera, a wyraz twarzy odebrał Markowi wszelką odwagę; był najstrasniejszy ze wszystkich, jakie do tej pory widział. – Sam wiem, mam nazwisko na końcu języka! – Patrzył groźnie na Marka. – Nigdy nie zapominał twarzą.

Olbrzymia siła i osobowość tego człowieka działały na Marka paraliżująco.

– To oznaka starości, ojcze – powiedziała chłodno dziewczyna, oglądając się przez ramię. Nie uśmiechnęła się, a jej twarz była bez wyrazu.

– Nie opowiadaj bzdur, dziewczyno – zagrmiał mężczyzna niczym budzący się do życia wulkan. – Nie waź się tak mówić. – Postąpił krok w kierunku Marka, ściągając ciemne brwi i wwiercając się spojrzaniem błękitnych oczu w głąb jego duszy. – To te oczy! Te oczy.

Mark cofnął się bezwiednie o krok przed tym utykającym, zwałistym naporem, niepewny, czego się spodziewać, ale gotów uwierzyć, że Sean Courteney rzuci się za chwilę na niego z ciężką, ebonitową laską, którą się podpierał, tak wydawał się rozjuszony.

– Generale...!

– Tak! – Sean Courteney strzelił palcami z efektem przypominającym trzask łamanej gałęzi i czoło mu się wygładziło. Błękitne oczy zaśmiały się, nadając jego twarzy taką charyzmę, wyraz takiej zaraźliwej i konspiracyjnej radości, że Mark również się uśmiechnął. – Anders – powiedział generał. – Anders i MacDonald. Martin? Michael? Nie, Mark Anders! – Zacisnął dłoń w pięść i grzmotnął się nią w udo. – Stary, co? Dziewczyno, kto tu mówił o starości?

– Jesteś wspaniały, ojcze. – Wzniosła oczy ku niebu, ale Sean Courteney zbliżał się już do Marka, chwycił jego dłoń i ścisnął ją z siłą, od której chłopcu zatrzeszczały kości. Upłynęła dobra chwila, zanim Mark doszedł do siebie i z równą siłą odwzajemnił uścisk dłoni generała.

– Te same oczy – zaśmiał się Sean. – Bardzo się zmieniłeś od tamtego dnia, tamtej nocy... – i śmiech zamarł mu na ustach, kiedy przypomniał sobie tego chłopca na noszach, bladego i umierającego, utyłanego w błocie i gęstej, krzepnącej krwi, i znowu usłyszał własny głos: „On nie żyje!” Szybko odpędził jednak od siebie ten obraz. – Jak ci się teraz wiedzie, chłopcze?

– Świetnie, sir.

– Nie sądziłem, że się wykaraskasz. – Sean przyglądał mu się bacznie. – Przyznam, że wyglądasz kwitnąco. Ile razy oberwałeś i gdzie?

– Dwa, sir, wysoko w plecy.

– Honorowe rany, chłopcze, któregoś dnia porównamy blizny. – I nagle znowu strasznie spoważniał. – Dostałeś blaszkę, prawda?

– Tak, sir.

– To dobrze, w tej armii nie ma nic pewnego. Napisałem wniosek tamtej nocy, ale nigdy nic nie wiadomo. Co ci dali? – Sean uśmiechał się już odprężony.

– Krzyż Walecznych, sir. Wręczono mi go w szpitalu w Anglii.

– Świetnie. Bardzo dobrze! – Sean kiwnął głową i puszczać dłoń Marka, zwrócił się znowu do dziewczyny.

– Kochanie, ten pan był ze mną we Francji.

– To miło. – Nie oglądając się na nich, dotknęła jednym palcem ozdobnej kartki na osłonie chłodnicy samochodu, przed którą akurat przechodziła. – Czy moglibyśmy się nim teraz przejechać, ojcze?

Mark podbiegł do tylnych drzwiczek, otworzył je i przytrzymał.

– Ja poprowadzę – oświadczyła i zaczęła, aż podskoczy do przednich drzwiczek od strony kierowcy.

– Przycisk rozrusznika jest tutaj... – zaczął wyjaśniać.

– Dziękuję, wiem. Proszę usiąść z tyłu.

Prowadziła jak mężczyzna, bardzo szybko i z wyczuciem, biorąc zakręty ciasnym łukiem i hamując biegami – płynny taniec stóp po pedałach, podwójne wysprzęglenie i szybka, pewna zmiana przełożenia.

Ramiona siedzącego obok niej generała Courteneya zdawały się należeć do młodszego mężczyzny.

– Za szybko jedziesz – mruknął, ale czuły uśmiech, z jakim na nią spojrzął, zadawał kłam tonowi nagany w jego głosie.

– A z ciebie stary zrzęda, tatusiu – roześmiała się znowu; wibrujące echo tego śmiechu rozbrzmiewało jeszcze Markowi w uszach, kiedy na pełnym gazie wprowadzała wielką maszynę w kolejny ostry wiraż.

– Za mało łoilem ci skórę, kiedy byłaś mała.

– No cóż, teraz już za późno. – Dotknęła wolną ręką jego policzka.

– Nie licz na to, moja panno. Nigdy się o to nie zakładaj. Potrząsając głową z pozorną bezradnością, ale z oczyma wciąż płonącymi uwielbieniem, generał obrócił się w fotelu i zmierzył Marka kolejnym lustrującym spojrzeniem.

– Nie pokazujesz się na cotygodniowych zbiórkach.

– Nie, sir.

– To tylko godzina w piątkowe wieczory – pół godziny solidnej zaprawy, a potem odczyt.

– Naprawdę, sir?

– Dobra zabawa, wierz mi. Olbrzymi zapał, chociaż połączyliśmy się teraz z innymi regimentami pokojowymi.

– Tak, sir.

– Jestem komendantem – zachichotał Sean. – Nie pozbędą się mnie tak łatwo.

– Nie, sir.

– Co miesiąc organizujemy zawody strzeleckie – przyzwoite nagrody, a potem festyn.

– Naprawdę, sir?

– W tym roku wystawiamy drużynę na mistrzostwa strzeleckie o Puchar Afryki. Wszystkie kosza opłacone. Wspaniała okazja dla szczęśliwców, którzy się załapią.

– Z pewnością, generale.

Sean czekał na więcej, ale Mark milczał. Nie potrafił wytrzymać ognistego, twardego

spojrzenia tego wielkoluda i odwrócił wzrok, natrafiając nim mimowolnie na odbicie twarzy dziewczyny we wstecznym lusterku.

Obserwowała go bacznie z nieodgadnionym wyrazem twarzy – może z pogardą, z kpiącym rozbawieniem, a może z jakimś innym nastawieniem – bardziej intrygującym i niebezpiecznym. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy i zaraz odwróciła głowę na długiej, wysmukłej szyi. Ciemne połyskliwe włosy miała zaczesane z karku i wzdłuż linii ich połączenia z jasną skórą kłębił się delikatny, jedwabisty meszek, a za małym, kształtnym uszkiem zwisał mały, zakręcony kosmyk przypominający znak zapytania.

Marka ogarnęła niemal szalona pokusa pochylenia się i przywarcia do niego wargami. Myśl o tym poraziła mu krocze z siłą fizycznego ciosu i poczuł bolesne ciarki przechodzące wzdłuż kręgosłupa. I nagle, ze wstrząsem, który ponownie rozkołysał mu zmysły, zdał sobie sprawę, że ją kocha.

– Chcę zdobyć ten puchar – podjął cicho generał, patrząc na niego wymownie. – Regiment nigdy go jeszcze nie zdobył.

– Chyba mam dość munduru i wojny, generale. – Mark zmusił się do spojrzenia generałowi w oczy. – Ale życzę panu szczęścia.

* * *

Szofer przytrzymał tylne drzwiczki rollsa model Silver Wraith i Sean Courteney schylając się zajął miejsce na tylnym siedzeniu obok córki. Sprężystym, niemal wojskowym uniesieniem prawej ręki pożegnał młodzieńca stojącego na trotuarze i samochód ruszył płynnie z miejsca.

Kiedy tylko zostali sami, córka wydała dziewczęcy pisk zachwytu i zarzuciła mu ręce na szyję, mierzwiąc brodę i łaskocząc serce pocałunkami.

– Och, tatusiu kochany, ty mnie psujesz!

– A tak, psuję... może nie?

– Rene zzielenieje z zazdrości i skręci się jak sardela. Kocham cię, mój ty najlepszy, wspaniały tatusiu. Jej ojciec nigdy nie kupił jej cadillaca.

– Podoba mi się ten chłopak, jest z tych rozgarniętych.

– Ten sprzedawca? Właściwie nie zwróciłam na niego uwagi. – Rozluźniła uścisk i usiadła prosto.

– Ma coś w sobie. – Generał milczał przez chwilę, wspominając śnieg opadający cicho na zryte pociskami wzgórze we Francji. – Ze swoim charakterem i inteligencją marnuje się handlując samochodami. – A potem uśmiechnął się psotnie i znowu wydał tak młody, że można by go uznać za jej brata. – I bardzo bym chciał zobaczyć minę Hamiltona, kiedy odbierzemy mu Puchar Afryki.

Siedząca obok Storm Courteney milczała. Trzymając wciąż ojca pod rękę, zachodziła

w głowę, co w Marku Andersie tak ją poruszyło. Doszła do wniosku, że jego oczy – te jasne, żółte oczy, spokojne, a przy tym czujne, pływające w białkach niczym złote księżycy.

* * *

Mark przyhamował odruchowo i wielki samochód niemal zatrzymał się przed białą bramą. Stanowiły ją wysokie, bliźniacze kolumny, a wypukłe litery na każdej układały się w zuluską nazwę: EMOYENI – piękną, przemawiającą do wyobraźni nazwę oznaczającą miejsce wiatrów; i rzeczywiście, ta położona na górujących nad Durbanem wzgórzach posiadłość odbierała podczas parnych letnich miesięcy orzeźwiający błogosławieństwo morskich bryz.

Otwieraną część bramy stanowiły dwa skrzydła z grubych żeliwnych prętów stojące teraz otworem. Mark przejechał po żelaznej kratownicy uniemożliwiającej kopytnej zwierzynie wejście na teren posiadłości i wydostanie się z niej i ruszył łukowatą aleją. Była wysypana jasnożółtymi okruchami krzemienia, starannie zagrabiona i świeżo zroszona wodą, a po obu jej stronach ciągnęły się szerokie zagony trzciny kwiatowej w pełnym rozkwicie. Uporządkowano je w jednokolorowe grupy – na przemian szkarłatne, żółte i białe – oslepiające barwą w jasnych promieniach słońca, a za nimi ciągnęły się bujne łąki soczystej, tropikalnej zieleń gładkie niczym dywan i tylko gdzieś przetykane kępami miejscowych drzew, które oszczędzono najwyraźniej dla ich wielkości, piękna albo niezwykłego kształtu. Stały obwieszane girlandami lian, tych wszechobecnych natalskich małych huśtawek, i na oczach Marka po jednej z tych żyjących lin spuścił się zwinnie mały, błękitno-szary koczokodan, by z grzbietem wygiętym w łuk jak u kota, trzymając wysoko w górze ogon w parodii przerażenia, pokłusować przez otwarty trawnik ku następnej kępie drzew i wdrapawszy się błyskawicznie na najwyższe gałęzie, obrzucić przejeżdżający powoli samochód wiązaną zuchwałych skrzeków.

Z prowadzonego przez siebie dochodzenia Mark wiedział, że właściwy dom rodzinny Courteneyów znajduje się w Ladyburgu, a tutaj mają tylko swoją wiejską rezydencję, i ten przepych był dla niego zaskoczeniem. Ale czemu tu się dziwić, pomyślał uśmiechając się z przymusem, dla człowieka, który może mieć wszystko, czego zapagnie, to tylko kawałek ziemi. Obejrzał się za siebie. Bramy nie było już widać, a domu nadal ani śladu. Otaczał go fantastyczny krajobraz, na wpół dziki, a jednak pieczołowicie pielęgnowany i zadbany, i teraz odkrył powód umieszczenia w bramie wjazdowej kratownicy przecinającej drogę zwierzętom.

Na łące porośniętej krótką trawą pasły się albo stały, obserwując z ospałym zaciekawieniem przejeżdżający samochód, małe stadka na wpół udomowionej dzikiej zwierzyny. Dostrzegł tam pełne wdzięku, złotobrazowe impale o śnieżnobiałych brzuchach i wrzecionowatych, zakrzywionych do tyłu rogach, zgrabnego, błękitnego duikera dorównującego wielkością foksterierowi, z postawionymi uszami i jasnymi oczkami jak

guziki; samca elanda z obwisłym podgardlem, grubymi, skręconymi rogami na krótkim, masywnym łbie i z baryłkowatym tułowiem jak u rodowodowego afrykańskiego byka.

Przejechał przez niski mostek nad wąską zatoczką sztucznego jeziora. Niebieskie kwiaty wodnego lotosu dźwigały się wysoko ponad swe ogromne, okrągłe liście pływające na powierzchni. W jasnym, ciepłym powietrzu rozchodził się ich delikatny, słodki, nostalgiczny zapach, a w przezroczystej wodzie pod osłoną liści lotosu wisały nieruchomo okonie przypominające kształtem torpedy.

Czarno-biała gęś na brzegu jeziora rozpostarła skrzydła na szerokość rozłożonych ludzkich ramion i wyciągnęła przed siebie węzową szyję z łbem ozdobionym różowymi dzwonekami, demonstrując tym swoją gotowość do lotu; zaraz jednak doszła do wniosku, że nie ma się co wysilać, złożyła z powrotem skrzydła i potrząsnęła kuprem, ograniczając się do jednego ochryplego okrzyku protestu pod adresem zakłócającego spokój cadillaca.

Za drzewami zamajaczył nareszcie dach domu. Był pokryty bajkowo-różową dachówką, pełen baszt, wieżyczek i kalenic niczym hiszpański pałac. Mark minął ostatni zakręt i dom ukazał mu się w swej pełnej krasie. Przed frontem rozpościerał się rozległy obszar jaskrawych klombów. Barwy kwiatów były tak soczyste i stężone, że porażałyby wzrok, gdyby nie tłumiły ich nieco wysokie, strzępiaste pióropusze rozpylonej wody tryskające wysoko w powietrze z fontann pośrodku czterech okrągłych sadzawek okolonych kamiennymi parapetami. Niesione przez lekki wietrzyk, przypominające dym, tumany wodnej mgiełki snuły się nad klombami i zwilżając kwiaty zintensyfikowały jeszcze jaskrawość ich barw.

Sam dom był piętrowy. Jego bryłę łamały rozmieszczone nieregularnie wieżyczki, a wejście zdobiły skręcone niczym tortowe świece kolumny. Tego samego rodzaju kolumnienki podpierały okapy pod oknami. Całość pomalowana była na biało i lśniła w słońcu niczym blok lodu.

Dom był właściwie duży i okazały, ale zaprojektowano go tak chytrze, że sprawiał wrażenie lekkiego niczym francuski pasztecik – wrażenie wesołego i szczęśliwego domu zbudowanego w duchu zabawy i prawdopodobnie miłości. Kojarzył się z darem bogatego mężczyzny dla ukochanej kobiety, bo wszędzie rzucała się w oczy kobieca ręka, i te masy kwiatów, te fontanny i feeria barw, te marmurowe statuy pasowały tutaj, wydając się jedyną możliwą oprawą takiej budowli.

Zachwycony i oczarowany Mark prowadził powoli cadillaca po ostatnim łuku alei dojazdowej, kiedy nagle jego uwagę zwróciły wesołe, przytłumione odległością kobiece okrzyki.

Dobiegały z kortów tenisowych na skraju trawników, gdzie grały jakieś kobiety. Skrzyły się w słońcu ich białe kostiumy, w biegu, zwodach, uderzeniach piłki migały obnażone kończyny. Ich głosy i śmiech rozbrzmiewały słodką melodią w rozgrzanej ciszy tropikalnego przedpołudnia.

Mark zatrzymał wóz i ruszył pieszo przez trawnik w stronę kortów. Zauważył teraz inne

kobiece postaci, również odziane na biało, wylegające się na leżakach w cieniu bananowców; śledziły grę, rozmawiały leniwie i popijały z wysokich, oszronionych szklanek, czekając na swoją kolejkę do wejścia na korty.

Żadna nie zauważyła Marka, dopóki nie znalazł się tuż przy nich.

– No nie, dziewczyny. – Jedna z nich odwróciła się szybko w leżaku i zmierzyła Marka bystrymi, błękitnymi, zaciekawionymi oczyma, z których ulotniło się już znudzenie. – Mężczyzna! Ale mamy szczęście.

Pozostałe trzy zareagowały błyskawicznie, każda na swój sposób: jedna przyjmując przesadnie obojętną i rozleniwioną pozę na niskim leżaku, druga obciągając jedną ręką spódniczkę i odgarniając drugą włosy, trzecia uśmiechając się szeroko i wciągając brzuch.

Wszystkie były młode i gibkie jak koty, tryskały młodością i zdrowiem, i rozsiewały wokół siebie tę nieuchwytną, ale charakterystyczną aurę bogactwa i dobrego urodzenia.

– Cóż pana do nas sprowadza, sir? – zapytała ta z błękitnymi oczyma uśmiechając się. Była najładniejsza z całej czwórki, miała piękne jasnoblonde włosy, otaczające aureolą jej małą kształtną główkę, i zdrowe białe zęby.

Spojrzenia dziewcząt speszyły Marka, a uczucie to pogłębiło się, kiedy ta, która mówiła, odwróciła się jeszcze bardziej w swoim leżaku, powoli rozplatając, a potem znowu krzyżując nogi i prezentując Markowi przez mgnienie oka swoje białe, jedwabne majteczki pod krótką spódniczką.

– Szukam panny Storm Courteney.

– Boże – westchnęła śmieszka wciągająca brzuch. – Oni wszyscy chcą Storm. Dlaczego żaden nigdy nie chce mnie?

– Storm! – zawołała w kierunku kortów blondynka.

Storm Courteney składała się właśnie do serwu, ale przeszkodziło jej wołanie. Spojrzała w ich stronę. Zobaczyła Marka i nie zmieniając wyrazu twarzy skupiła znowu całą uwagę na grze. Podrzuciła wysoko piłkę i uderzyła ją płynnym, kontrolowanym overhandem. Rakieta brzęknęła ostro, a wymach ręki poderwał krótką, bawełnianą spódniczkę, odsłaniając wysoko uda. Nogi miała pięknie uformowane, smukłe kostki, lekko wymodelowane łydki, kolana zaznaczone tylko symetrycznymi wgłębieniami.

Obróciła się zwinnie i przyjęła odbitą przez partnerkę piłkę. Długie, lekko opalone ramię mignęło zataczając pełny łuk i piłka odskoczyła od rakiety białą rozmazaną smugą; spódniczka znowu podfrunęła w górę i Mark przestąpił z nogi na nogę, bo ziemia zakołysała mu się pod stopami.

Drobiąc zwinnie długimi, wąskimi stopami i śledząc z odrzuconą w tył głową tor piłki nadlatującej wysokim lobem na tle błękitnego nieba, cofnęła się szybko do linii serwisowej. Kiedy składała się do uderzenia, jej ciemne włosy zdawały się jarzyć metalicznym blaskiem, a w wyprowadzenie go zaangażowało się całe jej ciało. Zmobilizowana energia przemknęła wzdłuż jej nóg, wzmocniły ją napięte, krągłe pod cienką, bawełnianą spódniczką pośladki

i przesłały poprzez wąską talię wzdłuż młodych, twardych mięśni pleców, by w końcu trysnęła eksplozją poprzez zataczające łuk prawe ramię.

Piłka świsnęła jak strzała, przemknęła tuż nad siatką i wzbija białą obłoczek pyłu z linii serwisowej.

– Dobra! – zawyła z rozpaczą jej przeciwniczka, a Storm roześmiała się radośnie i tryumfalnie, i podeszła do wysokiego ogrodzenia z siatki, by wyjąć z rynienki nową piłkę.

– Och, Storm, tu jest jakiś dżentelmen do ciebie! – zawołała znowu blondynka. Storm podrzuciła piłkę w górę końcem rakiety i bokiem buta, odbiła ją o nawierzchnię i złapała w powietrzu wolną ręką.

– Tak, Ireno! – odkrzyknęła swobodnie. – Wiem. To tylko sprzedawca. Poproś go, żeby poczekał przy samochodzie, aż skończę.

Nie spoglądając już na Marka, odwróciła się plecami.

– Czterdzieści – zero! – zawołała wesoło i podbiegła do linii serwisowej. Muzyka i śpiewność jej głosu w najmniejszym stopniu nie złagodziły nagłej fali gniewu, która załapała Marka, zaciskając mu szczęki i ściągając twarz.

– Jeśli jesteś sprzedawcą – mruknęła Rene – to może mi kiedyś coś sprzedasz. Ale w tej chwili radzę ci, kochany, żebyś zrobił, jak mówi Storm – bo jak nie, to wszystkim nam się oberwie.

Doczekał się wreszcie Storm. Nadeszła w otoczeniu innych dziewcząt nadskakujących jej jak damy dworu księżniczce; obserwując ją poczuł, jak złość mu mija. Trudno było nie wybaczyć istocie tak królewskiej, tak uroczej i tak oszałamiająco pięknej – takiemu komuś wybaczyłyby się wszystko.

Stał cierpliwie czekając, aż się zbliży, i dopiero teraz mógł się przekonać, jak jest wysoka.

Czubkiem głowy sięgała niemal jego brody.

– Dzień dobry, panno Courteney. Przyprowaździłem pani nowego cadillaca z życzeniami przyjemności i zadowolenia z jego użytkowania od całej ekipy Natal Motors. – Była to utarta formułka, którą wygłaszał przy każdej dostawie, i wyrecytował ją z całym ciepłem, wdziękiem i szczerością, które w przeciągu tych kilku krótkich miesięcy uczyniły zeń najlepszego sprzedawcę Natal Motors.

– Gdzie kluczyki? – zapytała Storm Courteney i po raz pierwszy spojrzała na niego bezpośrednio. Mark zauważył, że oczy ma ciemno niebieskie, prawie granatowe, zupełnie jak oczy generała. Nie ulegało wątpliwości, kto jest jej ojcem.

Otworzyła je trochę szerzej i słoneczny blask wydobyl z nich barwę szlifowanego szafiru albo może błękitu, jaki przyjmują wody prądu mozambickiego w samo południe na głębiach pełnego morza.

– Są w stacyjce – odparł i własny głos zabrzmiał mu obco, jakby dochodził gdzieś z oddali.

– Daj mi je – rzuciła.

Rzucał się już do drzwiczek, by spełnić jej rozkaz, ale ostrzegło go nagle to przecucie niebezpieczeństwa, które wyrobił sobie we Francji. Twarz miała zupełnie pozbawioną wyrazu, całkowicie obojętną, jak gdyby wysiłek zwracania się do niego bezpośrednio uważała za stratę energii, za jeden z tych nużących incydentów w ważnym skądinąd biegu wypadków. A jednak ostrzeżenie było wyraźne, rozbrzmiewało niczym dzwonek alarmowy w jego głowie, i dopiero teraz zauważył w tych oczach coś jeszcze, coś niebezpiecznego i podniecającego jak cień polującego w mroku leoparda. Coś jak wyzwanie, może prowokacja – i nagle doznał olśnienia, już wiedział, że taka arogancja i obcesowość nie mogła leżeć w naturze córki Seana Courteneya. Istniała jakaś przyczyna, jakiś zamysł skłaniający ją do przyjęcia takiej postawy.

Ogarnęła go jakaś niefrasobliwość, ten szczególny rodzaj szaleństwa, który w chwilach zagrożenia albo desperacji tłumi często wszelkie obawy przed konsekwencjami, i uśmiechnął się do niej. Nie musiał się silić na ten uśmiech, przyszedł mu naturalnie, był szatański i wyzywający.

– Oczywiście, panno Courteney. Ma się rozumieć, że przyniosę je natychmiast, kiedy tylko usłyszę od pani słowo „proszę”.

Z piersi otaczających ją dziewcząt wyrwało się chóralne westchnienie przyprawione grozą zachwytu i wszystkie zamarły, przerzucając wyczekujące spojrzenia z twarzy Storm na twarz Marka i z powrotem.

– Powiedz „proszę” temu sympatycznemu mężczyźnie, Stormy – odezwała się Rene protekcjonalnym tonem, jakim instruuje się dzieci, i pozostałe dziewczyny parsknęły radosnym chichotem.

Na jedną niesamowitą chwilę w ciemnych oczach Storm coś zapłonęło, coś ognistego, co jednak nie było gniewem. Mark docenił wagę tego błysku; nie rozpoznał, co prawda emocji, którą zdradzał, wiedział jednak, że nie wróży niczego dobrego. Potem płomień zgasł i jego miejsce zajęła zwyczajna, nieklamana złość.

– Jak śmiesz! – Głos Storm był cichy i drżący, wargi, z których odpłynęła krew, nagle jej pobielaly. Ten gniew wybuchł zbyt gwałtownie, był niewspółmierny do okoliczności, zupełnie nieproporcjonalny do wymiany zdań, która go wywołała, i Mark poczuł brawurowe podniecenie faktem, że potrafił tak głęboko ją dotknąć. Kpiący, sarkastyczny uśmiech nie opuszczał jego ust.

– Uderz go, kochanie – syknęła judząco Rene i Mark myślał przez chwilę, że naprawdę oberwie.

– A ty trzymaj swoją głupią gębę na kłódkę, Rene Leuchars.

– O la la! – uniosła się Rene. – Spokojnie!

Mark odwrócił się ostentacyjnie i otworzył przednie drzwiczki cadillaca od strony kierowcy.

– Dokąd to!

– Z powrotem do miasta. – Zapuścił silnik i spojrzął na nią przez okno. Nie uległo teraz wątpliwości, że ma przed sobą najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widział. Gniew zaróżowił jej policzki, a na skronie opadały jedwabiste, ciemne włosy, wilgotne jeszcze od gry na kortach. Przylegały do gładkiej skóry cienkimi, poskręcanymi kosmykami.

– To mój samochód!

– Przyprowdzi go niebawem ktoś inny, panno Courteney, ja przywykłem do obcowania z damami.

Ponownie dało się słyszeć westchnienie zachwytu i tłumiony chichot.

– Och nie, on jest kochany! – Rene klasnęła z uznaniem w dłonie, ale Storm zignorowała ją.

– Mój ojciec każe cię wyrzucić z pracy.

– Tak, prawdopodobnie to zrobi – przytaknął Mark. Zastanowił się przez chwilę poważnie nad tą możliwością, potem skinął na pożegnanie głową i zwolnił sprzęgło. Wjeżdżając w pierwszy zakręt alei dojazdowej spojrzął we wsteczne lustro. Stały wciąż zbite w gromadkę, patrząc za nim i w swoich białych kostiumach przypominały grupę marmurowych rzeźb. Tytuł mógłby brzmieć: „Nimfy wystraszone przez Satyra”, pomyślał i roześmiał się. Buńczuczny nastrój nadal go nie opuszczał.

– Jezu – wyszeptał Dicky Lancome ściągając ze zgrozą brwi. – Co cię podkusiło? – pokręcił powoli, z niedowierzaniem głową.

– Była cholernie nieuprzejma.

Dicky opuścił bezradnie ręce i wlepił w Marka osłupiały wzrok. Ona była nieuprzejma w stosunku do ciebie. O mój Boże, ja chyba nie wytrzymam. Czy nie dociera do ciebie, że jeśli ona raczyła potraktować cię niegrzecznie, to powinieneś być jej za to wdzięczny? To ty nie zdajesz sobie sprawy, że tu żyje tysiące takich szaraków jak my, którzy nigdy w życiu nie dostąpią łaski obrażenia przez pannę Storm Courteney.

– Mnie na tym nie zależało – mruknął rozsądnie Mark, ale Dicky nie dał mu skończyć.

– Posłuchaj no, stary, przekazałem ci całą moją wiedzę, a ty wciąż jesteś jak tabaka w rogu. Mało tego, że nie należało się stawiać – nawet gdyby panna Courteney wyraziła pragnienie kopnięcia cię w twój durny, tłusty zadek, to prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: „Oczywiście, madame, ale pozwoli pani, że przedtem włożę czyste gacie, żeby nie pobrudziła sobie pani swojej ślicznej nóżki!”

Mark roześmiał się. Buńczuczny nastrój nie opuścił go jeszcze, ale już słabł, za to Dicky coraz bardziej posepniał.

– Masz rację, śmieję się, śmieję. Wiesz, co się stało? – nie czekał, aż Mark zdąży coś odpowiedzieć, tylko ciągnął. – Przyszło wezwanie z góry, kategoryczne, od samego prezesa zarządu. Lecimy z szefem na drugi koniec miasta – strach, niepewność, umiarkowany

optymizm – wylewają nas, awansują, chcą pogratulować obrotu za ostatni miesiąc? – A tam czeka na nas zarząd, zarząd w komplecie – wyobrażasz sobie? Wyglądają jak konwent właścicieli zakładów pogrzebowych, których poinformowano właśnie, że Pasteur odkrył szczepionkę...

To bolesne wspomnienie kazało Dicky'emu urwać i westchnąć ciężko.

– Chyba nie zażądałeś od niej faktycznie, żeby powiedziała „proszę”, co?

Mark skinął głową.

– Chyba nie zarzuciłeś jej faktycznie, że nie jest damą?

– Nie wprost – zaproponował Mark. – Ale dałem jej to do zrozumienia.

Dicky Lancome podjął próbę otarcia ręką twarzy. Zaczął od linii włosów i zsuwając powoli dłoń zatrzymał ją na brodzie.

– Muszę cię zwolnić; chyba się orientujesz, prawda?

Mark znowu skinął głową.

– Posłuchaj, Mark. Próbowałem, naprawdę próbowałem. Pokazałem im zestawienie twoich transakcji, tłumaczyłem, że jesteś jeszcze młody, impulsywny... wygłosiłem całą mowę obrończą.

– Dziękuję ci, Dicky.

– Skończyło się na tym, że o mało i mnie nie wylali.

– Nie powinienes nadstawiać za mnie karku.

– Żeby to był ktoś inny... mogłeś sobie upatrzeć kogoś innego, stary, mogłeś dać w szczękę burmistrzowi, wysyłać obelżywe listy do króla, ale dlaczego, na wszystkie świętości, zawzięłeś się akurat na Courteneya?

– Wiesz co, Dicky? – Teraz z kolei Dicky milcząco pokręcił głową. – Miałem w tym przyjemność... przez cały czas zajścia pysznie się bawiłem.

Dicky jęknął głośno, wyciągnął srebrną papierośnicę i poczęstował Marka. Zapalili i przez kilka chwil wydmuchiwali w milczeniu dym.

– A zatem już tu nie pracuję? – spytał w końcu Mark.

– Od dziesięciu minut próbuję ci to właśnie powiedzieć – przytaknął Dicky.

Mark zaczął opróżniać szuflady swojego biurka, ale po chwili przerwał i zapytał impulsywnie:

– Czy to generał... czy mojej głowy zażądał generał Courteney?

– Nie mam zielonego pojęcia, stary... ale pewne, jak diabli, że ktoś to zrobił.

Markowi nie chciało się wierzyć, że to generał. Czyn był zbyt nikczemny jak na takiego wielkiego człowieka. Prędzej mógł sobie wyobrazić generała wpadającego do salonu wystawowego i wymachującego pejczem.

Człowiek mszczący się w ten sposób za niewinny przejaw godności własnej mógł być zdolny i do innych rzeczy – na przykład do zamordowania staruszka, by zagarnąć jego ziemię.

Ta myśl przyprawiła Marka o mdłości i szybko ją od siebie odrzucił.

– No cóż, w takim razie będę już chyba leciał.

– Przykro mi, stary. – Dicky wstał i wyciągnął z zakłopotaniem rękę. – Jak stoisz z forszą? Mógłbym ci odpalić dziesiątaka na przetrwanie.

– Dzięki, Dicky, dam sobie jakoś radę.

– Słuchaj – wyrzucił z siebie pod wpływem impulsu Dicky. – Oczekajmy miesiąc czy ile tam, dopóki sprawa nie przyschnie, a potem, jeśli się do tej pory gdzieś nie zaczepisz, wpadnij do mnie. Spróbuję wkręcić cię znowu od kuchni... jak nie da się inaczej, to wpiszę cię na listę płac pod lewym nazwiskiem.

– Do widzenia, Dicky, i dziękuję za wszystko. Mówię szczerze. Będzie mi cię brakowało, stary. I nie wychylaj się na przyszłość, będziesz pamiętać?

Lombard mieścił się przy Soldiers Way, niemal naprzeciwko stacji kolejowej. Pomieszczenie frontowe było ciasne i zawałone olbrzymim wachlarzem rzeczy cennych, udających cenne i rupieci pozostawionych tu na przestrzeni lat przez ludzi w potrzebie.

Od wieszaków z pozołkłymi sukniami ślubnymi, zakurzonych szklanych gablotek ze starymi obrączkami ślubnymi, grawerowanymi zegarkami, papierośnicami i srebrnymi piersiówkami – przedmiotami, z których wszystkie ofiarowano kiedyś komuś w imię miłości lub szacunku i z których każdy miał swoją smutną historię, wiało melancholią.

– Dwa funty – zawyrokował lichwiarz, ledwie rzuciwszy okiem na garnitur.

– Ma dopiero trzy miesiące – zaprotestował nieśmiało Mark. – Zapłaciłem za niego piętnaście.

Mężczyzna wzruszył ramionami i okulary w drucianej oprawie zsunęły mu się z nosa.

– Dwa funty – powtórzył poprawiając okulary kciukiem, który sprawiał wrażenie tak samo szarego i zakurzonego, jak cały ten skład staroci.

– Niech będzie... a za to?

Otworzył małe, niebieskie pudełeczko i pokazał mosiężny krążek z trójkolorową, białoczerwono-niebieską wstążką, spoczywający w jedwabnej wyściółce. Krzyż Walecznych przyznawany za męstwo podoficerom i żołnierzom niższych rang.

– Tego mamy całe stosy... nie ma na nie popytu. – Mężczyzna wyduł wargi. – Dwanaście funtów dziesięć szylingów – zawyrokował.

– Po jakim czasie zastawione rzeczy idą na licytację? – spytał Mark, straciwszy nagle chęć do rozstawiania się z tym kawałkiem metalu i strzępem jedwabiu.

– Po roku.

Ostatnie dziesięć dni spędzone na poszukiwaniu pracy wyczerpały zasoby gotówki i odwagi Marka.

– Niech będzie – przystał.

Podczas gdy lichwiarz wypisywał kwit, Mark przeszedł na tyły kantoru. Znalazł tam stos

wojskowych plecaków i wybrał spośród nich jeden; natrafił potem na stojak z karabinami, w większości antycznymi martini i mauserami, weteranami wojny burskiej – ale wśród nich był jeden całkiem przyzwoity. Elementy drewniane właściwie bez jednego zadrapania, metalowe lśniące gładzią i olejem, żadnych zarysowań ani ognisk rdzy. Mark wyjął broń ze stojaka i jej kształt oraz ciężar przywołały natłok wspomnień. Otrząsnął się z nich. Tam gdzie się wybierał, karabin będzie mu potrzebny, a dobrze, żeby była to broń, którą tak dobrze znał. To los podsunął mu tego P.14 i do diabła ze wspomnieniami, zdecydował.

Wysunął rygiel z komory i spojrzął przez nią w lufę pod światło wpadające przez drzwi. Otwór był nie porysowany, gwint zataczał regularne, połyskliwe spirale, tutaj też żadnych defektów ani rdzy. Ktoś dobrze dbał o tę broń.

– Ile? – spytał lichwiarza i oczy mężczyzny za okularami w drucianej oprawce zmieniły się w pozbawione życia kamyki.

– To bardzo dobry karabin – powiedział – i dużo za niego zapłaciłem. Jest też do niego sto sztuk amunicji.

Mark stwierdził, że zmiękł w mieście. Po przejściu pierwszych pięciu mil bolały go już stopy, a taśmy karabinu i plecaka wrzynały się boleśnie w ramiona. Pierwszą noc przespał przy ognisku jak zabity. Rano nogi, plecy i ramiona miał tak zeszywniałe, że siadając jęczał głośno z bólu.

Pierwszą milę, dopóki mięśnie się nie rozruszały, przekuśtykał jak starzec, ale kiedy dotarł na szczyt wzniesienia i spojrzął z góry na pobraże, czuł się już całkiem dobrze.

Ominął z dala Andersland przeprawiając się przez rzekę pięć mil w górę jej biegu od granicy. Przebrnął przez płyciznę między piaszczystymi brzegami z ubraniami, karabinem i plecakiem na głowie, wysuszył się rozciągnięty nago na nasłonecznionej skale niczym jaszczurka i ubrawszy się ruszył dalej na północ.

Trzeciego dnia wpadł nareszcie w rytm i maszerował już swobodnie wyciągniętym, rozkołysanym krokiem myśliwego, nie czując nawet ciężaru plecaka. Marsz był forsowny. Falisty teren to wznosił się, to opadał, zmuszając do wysiłku każdy mięsień, a konieczność torowania sobie drogi rękami przez gęste, ciemne zarośla spowalniała znacznie marsz. Na dodatek trawa była wysuszona i wysiewała się. Ostre jak szpilki nasiona bez trudu przenikały przez wełniane skarpetki i wbijały się w ciało. Musiał zatrzymywać się co pół godziny, żeby je wydlubywać ze stóp, ale mimo wszystko przeszedł tego dnia trzydzieści mil. Zapadał już zmierzch, kiedy pokonał jeszcze jeden z niezliczonych pagórków wyżyny. W oddali zamajaczyła błękitna smuga Bramy Chaki, zlewająca się niemal z ciemniejszymi, wieczornymi chmurami.

Tutaj biwakował tej nocy. Wymościł sobie posłanie na gołej ziemi, pod ciemnym drzewem akacji, i w blasku ogniska z akacjowego drewna, które płonęło charakterystycznym jasnym płomieniem i pachniało kadzidłem, posilił się wołową konserwą w kukurydzianej

papce.

Generał Sean Courteney stał przy ciężkim, rzeźbionym kredensie z tekowego drewna o oszklonych gablotach mieszczących ekspozycję srebrnej zastawy. W jednym ręku trzymał duży widelec z trzonkiem z kości słoniowej, a w drugiej długi sheffieldowski nóż.

Wymachami tego noża akcentował ważniejsze tezy wykładu, którym raczył honorowego gościa zasiadającego dziś przy jego stole.

– Przeczytałem to w jeden dzień. Położyłem się dopiero po północy. Uwierz mi, Jannie, to jest najlepsza, jak dotąd, praca. Ta obfitość źródeł – coś niezwykłego.

– Muszę to przeczytać – powiedział premier skinieniem głowy, wyrażając swe uznanie autorowi. To wciąż rękopis. Nie jestem do końca zadowolony z rezultatu, trzeba będzie wprowadzić trochę poprawek.

Sean pochylił się znowu nad pieczenią i wprawnymi cięciami noża odkroił pięć cienkich plasterków rostbefu, każdy w otoczce soczystego, żółtego tłuszczu.

Przełożył mięso widelcem na porcelanowy talerz, a zuluski służący w powiewnej białej szacie i czerwonym fezie przeniósł go natychmiast na miejsce Seana u szczytu długiego stołu.

Sean odłożył nóż, wytarł dłonie w lnianą ściereczkę i obszedłszy śladem służącego stół zajął swoje miejsce.

– Zastanawialiśmy się, czy nie zechciałbyś napisać do tej książki zwięzłej przedmowy – zwrócił się do premiera, wznosząc ku niemu kielich z rżniętego kryształu napełniony płomiennie-czerwonym winem.

Jan Christian Smuts przekrzywił niemal ptasim ruchem osadzoną na wąskich ramionach głowę. Był niskim mężczyzną o drobnych dłoniach, które trzymał przed sobą na stole; równo przycięta, szpiczasta bródka nadawała mu wygląd filozofa albo uczonego. Aż trudno było uwierzyć, że jest tak drobnej budowy. Jego żywotność i fascynująca osobowość zupełnie nie pasowały do wysokiego, raczej piskliwego głosu, którym się odezwał.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Będę zaszczycony. Odznaczał się tak wielką siłą charakteru, że pomimo niepozornej postury zdawał się nie mieścić na swym krześle.

– To ja jestem zaszczycony – powiedział uroczyście siedzący naprzeciwko pułkownik Garrick Courteney, pochylając lekko głowę w ukłonie. Sean popatrzył na brata z czułością.

Biedny Garrick, przyszło mu do głowy i zaraz zawstydził się własnych myśli. Ale myślenie o Garricku tymi kategoriami było chyba czymś naturalnym. Słaby już i stary, przygarbiony, siwy i wysuszony, wydawał się mniejszy od drobnego mężczyzny siedzącego naprzeciw.

– Ma pan już tytuł? – spytał Jan Smuts.

– Nazwałem to roboczo *Młode orły*. Mam nadzieję, że taki tytuł dla książki o dziejach Królewskiego Korpusu Lotniczego nie wyda się panu zbyt melodramatyczny.

– Bynajmniej – uspokoił go Smuts. – Według mnie brzmi świetnie.

Biedny Garrick, pomyślał znowu Sean. Po zestrzeleniu Michaela praca nad książką wypełniła mu straszną pustkę, jaką pozostawiła po sobie śmierć syna; ale nie ustrzegła go przed procesem starzenia się. Książka była oczywiście poświęcona pamięci Michaela, była wyrazem wielkiej miłości – „Dedykuję tę książkę kapitanowi Michaelowi Courteneyowi, kawalerowi Wielkiego Krzyża Lotniczego, jednemu z Młodych Orłów, które nigdy już nie wzbijają się w przestworza”. Sean poczuł wzbierającą falę zadawnionego żalu po stracie bratanka i stłumił ją z widocznym wysiłkiem.

Żona, choć oddzielona od niego całą długością stołu, zauważyła ten wysiłek i ściągnęła na siebie jego wzrok. Jak dobrze go przez te lata poznałam, jak bezbłędnie potrafię odczytać jego emocje, pomyślała posyłając mu współczujący uśmiech, i zobaczyła, jak reaguje rozprostowując szerokie ramiona, wysuwając masywną, brodatą szczękę i odwzajemniając się uśmiechem.

Zmieniła zgrabnie temat:

– Generał Smuts obiecał mi, że po południu wybierze się ze mną na spacer po ogrodach, Garry, i doradzi, jak doglądać tych proteasów, które przywiózł mi z Gór Stołowych. Ty też jesteś doświadczonym botanikiem. Przejdziesz się z nami?

– Jak już cię ostrzegałem, moja droga Ruth – powiedział Jan Smuts – nie daję im wielkich szans na przetrwanie.

– A gdyby tak znaleźć chłodne, suche miejsce? – zasugerował Garry.

– Właśnie – podchwycił generał i natychmiast wywiązała się ożywiona dyskusja. Ruth zrobiła to tak zręcznie, że nikt nawet nie zauważył jej ingerencji.

Sean zatrzymał się w progu gabinetu i omiół wewnątrz przeciągłym, refleksyjnym spojrzeniem. Ilekroć wchodził do swego sanktuarium, udzielał mu się jego nastrój.

Szklane drzwi wychodzące na wspaniałe klomby kwiatów i dymiące pióropusze fontann stały teraz otworem, ale dzięki grubym murom, w pokoju, nawet podczas sennej ciszy południa, panował przyjemny chłód.

Podszedł do biurka – ciemnego, masywnego i tak wypolerowanego, że lśniło nawet w chłodnym półmroku – i usadowił się w obrotowym fotelu czując, jak miękko wyprawiona skóra obicia poddaje się pod jego ciężarem.

Po jego prawej ręce, na srebrnej tacy piętrzył się równy stos codziennej poczty. Westchnął na ten widok. Pomimo starannej selekcji wstępnej przeprowadzonej przez kancelistę w miejskim biurze głównym, czekało na niego nadal prawie sto kopert.

Odwlekając moment zabrania się do przeglądu korespondencji, obrócił się powoli wraz z fotelem, żeby jeszcze raz popatrzeć na pokój. Trudno było uwierzyć, że wystrój zaprojektowała kobieta – chyba że była to kobieta kochająca i tak dobrze rozumiejąca swego mężczyznę, że potrafiła odgadnąć jego najsztelniejsze kaprysy i ekstrawagancje.

Większość oprawionych w ciemnozieloną skórę tomów miała wytłoczony na grzbiecie

złoty liść z krzyżem Courteneyów. Wyjątek stanowiły trzy sięgające sufitu półki pierwszych wydań książek o tematyce afrykańskiej. Skarby te wyszukiwali Seanowi na jego osobiste zlecenie dwaj europejscy hurtownicy – jeden z Londynu, drugi z Amsterdamu. Były tam pierwsze wydania dzieł Stanleya, Livingstone’a, Cornwallisa Harrisa, Burchela, Munra i w ogóle niemal wszystkich badaczy Afryki i myśliwych, którzy kiedykolwiek coś opublikowali, każda z autografem autora.

Wyłożona ciemną boazerią ściana między półkami na książki obwieszona była obrazami dawnych afrykańskich artystów; Bainesy skrzyły się tam niczym drogie kamienie swymi krzykliwymi kolorami i przyciągały wzrok naiwnym, niemal dziecinnym przedstawieniem zwierząt i krajobrazu. Jedno z tych płócien, oprawione w misternie rzeźbioną ramę z rodezyjskiej sekwoi, nosiło dedykację: „Mojemu przyjacielowi, Davidowi Livingstone’owi, od Thomasa Bainesa”.

Te łączniki z historią i przeszłością zawsze skłaniały Seana do refleksji i teraz też popadł w zadumę.

Gruby, puszysty dywan wygłuszył kroki, ale jej obecność zdradziła Seanowi lekka woń perfum. Odwrócił się z fotelem z powrotem twarzą do biurka. Stała przed nim wciąż jeszcze dziewczęco smukła i zgrabna.

– Sądziłem, że spacerujesz z Garrym i Janniem.

Ruth uśmiechnęła się i z tym uśmiechem wydała mu się tak samo młoda i piękna, jak przed laty, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Chłodny półmrok panujący w gabinecie maskował siateczkę drobnych zmarszczek w kącikach jej oczu i jasne pasma siwizny w ciemnych włosach szesanych ze skroni i związanych wstążką na karku.

– Czekają na mnie; wymknęłam się na chwilę, żeby sprawdzić, czy masz wszystko, czego ci trzeba. – Uśmiechnęła się do niego z góry, a potem wybrała cygaro ze srebrnego pudełka i zaczęła je przygotowywać.

– Potrzeba mi na to godziny, najwyżej dwóch – powiedział zerkając na stos korespondencji.

– Tobie jest potrzebny sekretarz, Seanie. – Obcięła starannie koniuszek cygara i chrząknęła znacząco.

– Nie można zaufać tej dzisiejszej młodzieży... – mruknął, a ona roześmiała się lekko, wsuwając mu cygaro między wargi.

– Mówisz jak zgrzybiały patriarcha. – Potarła zapałkę o draskę, zaczekała, aż wypali się cała siarka, i przytknęła płomyk do koniuszka cygara. – Nieufność w stosunku do młodych to oznaka starości.

– Z tobą u boku będę wiecznie młody – powiedział. Po tylu latach małżeństwa prawienie komplementów wciąż go kępowało i zdając sobie sprawę, ile wysiłku go to kosztuje, poczuła, jak serce wzbiera jej miłością.

Pochyliła się pod wpływem impulsu i pocałowała go w policzek, a wtedy jedno z jego

muskularnych ramion z szybkością i siłą, która zawsze ją zdumiewała, okręciło się wokół jej talii, i w gnieniu oka znalazła się na jego kolanach.

– Wiesz, co grozi młodym damom z tupetem, co? – Uśmiechnął się do niej, mrużąc figlarnie oczy.

– Seanie – zaprotestowała z udawanym przerażeniem. – Służba! Goście! – Wyswobodziła się z jego objęć, czując jeszcze na ustach ciepło i wilgoć jego pocałunku, łaskotanie wąsów i smak cygara, i poprawiła na sobie sukienkę i włosy. – Głupia jestem. – Potrząsnęła ze smutkiem głową. – Zawsze ci ufam.

Uśmiechnęli się do siebie, zapominając na chwilę o całym świecie.

– Moi goście – przypomniała sobie raptem, podnosząc dłoń do ust. – Czy można podać herbatę o czwartej? Wypijemy ją nad jeziorem. Przepiękny dziś dzień.

Po jej wyjściu Sean stracił jeszcze pełną minutę, patrząc na ogrody przez otwarte drzwi, za którymi zniknęła. Potem westchnął z zadowoleniem i przyciągnął do siebie srebrną tacę z pocztą.

Pracował szybko, ale w skupieniu, nanosząc ołówkiem u dołu każdej strony swoje instrukcje i opatrując je królewskimi inicjałami „S. C.”

„Nie! – ale przekazać im to w stonowanej formie. S. C.”

„Przygotować mi zestawienie przychodów z zeszłego roku – i wstrzymać się z następną wysyłką do chwili otrzymania gwarancji bankowej. S. C.”

„Dlaczego to przychodzi do mnie? Przekazać Barnesowi. S. C.”

„Zgoda. S. C.”

„Do Atkinsona celem zaopiniowana. S. C.”

Przekrój poruszanych spraw był równie szeroki, co nadawców, a znajdowali się wśród nich politycy, finansiści, petenci, starzy znajomi, naciągacze i żebracy.

Odwrócił w rękę opieczętowaną kopertę i przyglądał się jej przez chwilę, nie kojarząc nazwiska ani sprawy.

„Pan Mark Anders, Natal Motors, West Street, Durban”.

Pisała to ręka tak pewna i pełna fantazji, że nie można jej było pomylić z żadną inną. To było jego własne pismo i teraz przypomniał sobie, że wysyłał ten list.

Ktoś dopisał w poprzek koperty: „Adresat wyjechał, nie pozostawiając nowego adresu – zwrócić nadawcy”.

Sean ścisnął cygaro w kąciuku ust i rozciął kopertę srebrnym nożem do papieru. Wewnątrz znajdował się blankiet opatrzony godłem regimentu.

Komendant i oficerowie regimentu Natalskich Strzelców Konnych mają zaszczyt zaprosić Pana MARKA ANDERSA na zjazd kombatantów, który odbędzie się w Starym Forcie...

W puste miejsce Sean osobiście wpisał imię i nazwisko chłopca, a u dołu arkusza dopisał własnoręcznie: „Postaraj się przyjść. S. C.”

Teraz zaproszenie wróciło. Sean zachmurzył się. Zawsze był niecierpliwy i frustrowało

go nawet najmniejsze odstępstwo od tego, co sobie zaplanował. Cisnął ze złością blankiet i kopertę do kosza na śmieci. Nie wcelował i osiadł miękko na dywanie.

Sam był zaskoczony zmianą nastroju, jaka w nim zaszła. I chociaż kontynuował rozpoczętą pracę, to denerwował się i zżymał nad czytaną korespondencją, a jego instrukcje przybrały cięty ton.

„Ten człowiek to głupiec albo łobuz, albo i jedno, i drugie – w żadnym wypadku nie zarekomenduję go na tak ważne stanowisko, pomimo jego rodzinnych koneksji! S. C.”

Kiedy po godzinie doznał do końca, gabinet tonął w oparach cygarowego dymu. Opadł na oparcie fotela i przeciągnął się zmysłowo niczym stary lew, a potem spojrzął na zegar ścienny. Wskazywał za pięć czwartą. Wstał.

W oczy wpadł mu blankiet, który tak go wyprowadził z równowagi. Schylił się, podniósł go z dywanu i idąc przez pokój, przeczytał jeszcze raz. Postukując sztywnym kartonikiem w otwartą dłoń, wyszedł kulejąc w słoneczny blask i ruszył ociężale przez rozległy trawnik.

Altana znajdowała się pośrodku jeziora, na sztucznej wyspie, którą z brzegiem łączyła wąska grobla.

Domownicy i goście Seana już się tam zebrali. Siedzieli w cieniu wokół stołu ustawionego pod wymyślnym daszkiem altany z fantazyjnie powyginanych metalowych prętów pomalowanych na jaskrawe kolory. Wokół maleńkiej wysepki zebrała się chmara dzikich kaczek domagających się głośnym kwakaniem okruchów ciasta i sucharków.

Storm Courteney dostrzegła ojca nadchodzącego trawnikiem, pisnęła z radości, zerwała się od stołu i wybiegła mu naprzeciw.

Podniósł ją bez wysiłku, jakby była jeszcze dzieckiem, a kiedy ją całował, z rozkoszą wciągnęła w nozdrza jego zapach. Był to jeden z jej ulubionych zapachów, kochała go na równi z zapachem deszczu zraszającego rozgrzaną, suchą ziemię, zapachem koni czy zapachem morza. Pachniał jakoś szczególnie, jak stara wyświecona skóra.

Kiedy postawił ją z powrotem na ziemi, wzięła go pod rękę i przytuliła się mocno, dostosowując swój szybki krok do jego utykania.

– Jak udał się lunch? – spytał spoglądając z góry na jej lśniąca, śliczną główkę.

Przewróciła oczyma i skrzywiła się.

– To bardzo przystojny młodzieniec – powiedział Sean tonem przygany. – Wspaniały młody człowiek.

– Och, tatusiu, w twoich ustach oznacza to nadętego nudziarza.

– Moja panno, chciałbym ci przypomnieć, że to stypendysta uniwersytetu rodezyjskiego, a jego ojciec jest prezesem sądu.

– Och, wiem, wiem... ale, tatusiu, on nie ma cyngi!

Przez twarz Seana przemknął rzadko tam goszczący wyraz zakłopotania.

– A co to jest „cynga”, jeśli wolno zapytać?

– Cyngi nie da się zdefiniować – odparła poważnie – ale ty ją masz! Jesteś

najcyngowniejszym mężczyzną, jakiego znam.

Słyszac to Sean stwierdził, że wszystkie jego ojcowskie rady i słowa dezaprobaty ulatują niczym migrujące jaskółki i potrząsając głową, uśmiechnął się do niej z góry.

– Chyba nie spodziewasz się, że przełknę wszystkie twoje słodkie słówka, co?

– Nigdy byś nie uwierzył, tatusiu, ale Payne Bros sprowadził dwanaście autentycznych kreacji Patou Couture – są absolutnie unikalne – a Patou to teraz szłał...

– Kobiety w dzikich, barbarzyńskich kolorach, doprowadzane do szaleństwa przez makiaweliczne knowania tych potworów z Paryża – burknął Sean i Storm zachichotała zachwycona.

– Jesteś niesamowity, tatusiu – powiedziała. – Irenie ojciec obiecał, że kupi jej jedną – a pan Leuchars jest przecież zwyczajnym kupcem!

Sean zamrugał oczami, słyszac taką charakterystykę dyrektora jednej z największych w kraju firm importowych.

– Jeśli Charles Leuchars jest kupcem, to czym, na Boga, jestem ja? – spytał ciekawie.

– Ty jesteś właścicielem ziemskim, ministrem Korony, generałem, bohaterem – i najcyngowniejszym mężczyzną na świecie.

– Widzę – nie potrafił powstrzymać się od śmiechu – że mam reputację, o którą muszę dbać. Poproś pana Payne'a, żeby przesłał mi rachunek.

Przytuliła się znowu do niego ekstatycznie i dopiero teraz zauważyła blankiet, który trzymał w ręku.

– O! – wykrzyknęła. – Zaproszenie.

– Nie dla ciebie, moja mała – uprzedził ją, ale wyrwała mu już kartonik z dłoni i odczytawszy nazwisko zmieniła się na twarzy, zamilkła i przygasła.

– Wysyłasz je temu... sprzedawcy.

Zmarszczył znowu brwi i też spochmurniał.

– Wysłałem przed kilkoma dniami. Teraz wróciło. Wyjechał nie pozostawiając adresu.

– Generał Smuts czeka, żeby z tobą porozmawiać. – Z wysiłkiem przywołała znowu na usta uśmiech i przyspieszyła kroku. – Chodź szybciej.

– To poważna sprawa, Seanie. Są zorganizowani i nie ma wątpliwości, że dążą do bezpośredniej konfrontacji. – Jan Christian Smuts rozkruszył w palcach biskwita i cisnął go kaczkom. Z terkotem szerokich, płaskich dziobów rzuciły się hurmem na okruchy, walcząc o nie w rozbryzgach czystej wody.

– Ilu białych robotników zwolniono? – spytał Sean.

– Na początek dwa tysiące – powiedział Smuts. – Prawdopodobnie liczba ta dojdzie do czterech tysięcy. Ale planuje się to robić stopniowo, w miarę przyuczania do zawodu czarnych, którzy mają zająć ich miejsce.

– Dwa tysiące – mruknął w zadumie Sean i przed oczyma stanęły mu ich żony i dzieci, stare matki, osoby pozostające na ich utrzymaniu. Dwa tysiące żyjących z pensji ludzi, którzy

z dnia na dzień tracą pracę, to przecież morze cierpienia i nędzy.

– Wiem, że nie podoba ci się to tak samo jak mnie. – Ten bystry człowieczek czytał w jego myślach; nie bez powodu oponenti nazywali go „śliskim Janniem” albo „chytrym Janniem”. – Dwa tysiące bezrobotnych to poważny problem – zrobił znaczącą pauzę. – Ale znajdziemy im inne zatrudnienie. Potrzeba nam na gwałt ludzi na kolei i przy innych przedsięwzięciach, takich jak projekt irygacyjny Vaala–Hartsa.

– Nie będą tam zarabiać tyle co w kopalniach – zauważył Sean.

– Nie – Jan Smuts przeciągnął to słowo – ale czyż mamy utrzymywać sztucznie zarobki dwóm tysiącom górników kosztem zamykania samych kopalń?

– Sytuacja nie jest z pewnością aż tak krytyczna. – Sean zachmurzył się.

– Prezes Rady Górniczej zapewnia mnie, że jest... przedstawił mi też liczby na poparcie tej opinii.

Sean pokręcił głową na wpół z niedowierzaniem, na wpół z udręką. Sam był kiedyś właścicielem kopalni i znał problematykę kosztów, jak również sposoby takiego żonglowania liczbami, by przemawiały językiem, którego nauczył ich żonglujący.

– Orientujesz się też, Seanie, zwłaszcza ty, ilu jeszcze ludzi żyje z tych kopalni złota.

Było to celne sondujące stwierdzenie o ostrzu niczym sztylet. Poprzedniego roku wpływy tartaków Seana ze sprzedaży transwalskim kopalniom złota belek na stemple przekroczyły po raz pierwszy sumę dwóch milionów funtów szterlingów. Mały generał wiedział o tym równie dobrze, jak on.

– Ilu ludzi zatrudniają tartaki Natal Sawmills, Seanie, dwadzieścia tysięcy?

– Dwadzieścia cztery tysiące – odparł zwięźle Sean, unosząc pytająco blond brew i premier, zanim podjął swój wywód, uśmiechnął się lekko.

– Pod uwagę wziąć trzeba jeszcze inne względy, stary przyjacielu – względy, o których już kiedyś rozmawialiśmy. Wtedy to ty przekonywałeś mnie, że aby osiągnąć długofalowy sukces, nasz kraj musi postawić na partnerstwo białych i czarnych, że nasze bogactwo trzeba dzielić nie podług koloru skóry, ale zgodnie z wkładem poszczególnych obywateli – czyż nie tak?

– Owszem – przyznał Sean.

– To ja powiedziałem wtedy, że w tej kwestii lepiej śpieszyć się powoli, a teraz ty się wahasz i kręcisz nosem.

– Mówiłem też, że w tym przypadku, zamiast kilku dzikich skoków pod przymusem, z włączoną przyłożoną do żeber, bezpieczniej będzie wykonać wiele małych kroczków. Mówiłem, Jannie, że powinniśmy nauczyć się elastyczności, by się kiedyś nie złamać.

Jan Smuts znowu przeniósł swą uwagę na kaczki i przez chwilę obaj obserwowali je z roztargnieniem.

– No, Jannie – odezwał się w końcu Sean. – Wspomniałeś o innych przyczynach. Te, które dotąd mi przytoczyłeś, są uzasadnione, ale nie pałace, a wiem, że taki dobry polityk jak

ty zostawia najlepsze na koniec.

Jan roześmiał się serdecznie, niemal zachichotał, i pochylił, żeby poklepać Seana po rękę.

– Zbyt dobrze się znamy.

– Nie ma się czemu dziwić – uśmiechnął się do niego Sean. – Dostyc twardo ze sobą walczyliśmy. – Na wspomnienie tamtych strasznych dni wojny domowej obaj spoważnieli. – I mieliśmy tego samego nauczyciela, Panie, świeć nad jego duszą.

– Panie, świeć nad jego duszą – powtórzył za nim Jan Smuts i obaj zamilkli na chwilę, wracając myślami do wielkiej postaci Louisa Bothy, żołnierza i męża stanu, architekta Unii, pierwszego premiera nowego państwa.

– No więc – przerwał milczenie Sean. – Jaki jest ten twój główny powód?

– To całkiem proste. Będziemy musieli zdecydować, kto w tym państwie rządzi. Legalnie wybrani przedstawiciele społeczeństwa czy mała, bezwzględna banda awanturników, która nazywa siebie przywódcami związków zawodowych, reprezentantami zorganizowanego świata pracy – czyli, nie owijając w bawełnę, międzynarodowego komunizmu.

– Twardo stawiasz sprawę.

– Bo sytuacja jest poważna, Seanie, bardzo poważna. Jestem w posiadaniu poufnych informacji, które ujawnię na pierwszym posiedzeniu gabinetu, co zbiegnie się z sesją Parlamentu. Chciałem jednak przedtem przedyskutować je z tobą w cztery oczy. Znowu potrzebne mi twoje wsparcie, Seanie. Na tym posiedzeniu musisz mnie poprzeć.

– Mów – zachęcił go Sean.

– Po pierwsze, wiemy, że się zbroją, że gromadzą nowoczesną broń oraz że szkołą górników i organizują ich w bojówki. – Jan Smuts mówił szybko i z przejęciem przez blisko dwadzieścia minut, a skończywszy, spojrzał wyczekująco na Seana. – No i co, stary przyjacielu, jesteś ze mną?

Sean wybiegł myślami w przyszłość i oczyma duszy ujrzał swoją ukochaną ziemię znowu rozdartą przez nienawiść i cierpienie wojny domowej. Westchnął ciężko.

– Tak – skinął wolno głową. – Jestem z tobą. – Wyciągnął rękę.

– Ze swoim regimentem? – Jan Smuts uściśnął jego wielką, kościstą dłoń. – Jako minister rządu i jako żołnierz?

– Tak – przystał Sean. – W całej rozciągłości.

Marion Littlejohn czytała list Marka, siedząc na opuszczonej klapie sedesu w zamkniętej na zasuwkę kabinie biurowej toalety, ale jej miłość była ślepa na otoczenie, głucha nawet na syk i bulgot wody w rezerwuarze osadzonym na szczycie przerdzewiałej rury spustowej. Z zamglonymi oczyma i czułym uśmiechem błakającym się niepewnie po ustach przeczytała list dwa razy, po czym pocałowała imię nadawcy widniejące u dołu ostatniej strony, złożyła starannie wszystkie kartki, wsunęła je z powrotem do koperty, a tę, rozpiąwszy stanik,

umieściła między swymi pulchnymi piersiami. Z wyraźnym wybrzuszeniem w tym miejscu wróciła do biura. Kierownik zmierzył ją surowym spojrzeniem ze swego oszklonego kantorka i znacząco zerknął na zegarek. W urzędzie rejestracyjnym obowiązywała niepisana zasada, że potrzeby naturalne załatwiać trzeba szybko, i to załatwianie w żadnym przypadku nie powinno zabierać nikomu więcej niż cztery minuty dnia pracy.

Reszta dnia dłużyła się Marion niemiłosiernie. Co kilka minut dotykała wybrzuszenia w staniku i uśmiechała się ukradkowo. Kiedy dzień pracy dobiegł wreszcie końca, puściła się pędem Main Street i zdyszana dopadła drzwi sklepiku panny Lucy w momencie, gdy ta właśnie zamykała.

– Och, zdążyłam?

– Wejdz, Marion, moja droga... jak tam twój kawaler?

– Dostałam dzisiaj list od niego – oznajmiła z dumą Marion, a panna Lucy pokiwała swymi srebrzystymi lokami i spojrzała na nią promiennie zza szkieł okularów w oprawce ze srebrzystego drutu.

– Wiem, listonosz mi powiedział. – Ladyburg nie był jeszcze miastem aż tak dużym, by nie interesować się prywatnymi sprawami wszystkich swoich synów i cór. – Co u niego?

Oglądając po raz któryś z rzędu z błyszczącymi oczami i wypiekami na policzkach cztery komplety irlandzkiej pościeli, które panna Lucy odłożyła specjalnie dla niej, Marion szczebiotała dalej.

– Piękna pościel, moja droga – zachwalała towar panna Lucy – nie będziesz się jej wstydzić. Pocziesz w niej pięciu synów.

Marion spłonęła rumieńcem.

– Ile jeszcze jestem pani winna, panno Lucy?

– Zaraz sprawdzimy, moja droga... zapłaciłaś już dwa funty i sześć pensów. Do równego rachunku brakuje trzydziestu szylingów.

Marion otworzyła portmonetkę i skrupulatnie przeliczyła jej zawartość. Potem, po krótkiej walce wewnętrznej, podjęła decyzję i położyła na ladzie błyszczącą, złotą monetę półsuwerenową.

– No, to teraz zostanie tylko jeden funt. – Zawahała się, znowu zarumieniła i wyrzuciła z siebie. – A nie mogłabym zabrać dwóch kompletów już dzisiaj? Chciałabym zacząć wyszywanie.

– Oczywiście, moje dziecko – zgodziła się natychmiast panna Lucy. – Zapłaciłaś już za trzy. Otworzę paczkę.

Marion i jej siostra Lynette siedziały obok siebie na sofie z głowami pochylonymi nad prześcieradłem. Zaczęły z przeciwnych stron i igły do haftowania śmigwały w świetle lampy tak samo pracowicie, jak ich języki.

– Marka bardzo zainteresowały te artykuły o panu Dirku Courteneyu, które mu wysłałam,

i pisze, że pan Courteney zajmie poczesne miejsce w jego książce...

Po drugiej stronie pokoju, z głową schyloną nad rozłożonymi na stole dokumentami prawnymi, pracował mąż Lyn.

Zapałał ostatnio namiętnością do fajki z korzenia wrzośca, która gulgotała teraz cichutko przy każdym pyknięciu. Włosy miał wybrylantynowane i wyszczotkowane do połysku, przedzielone pośrodku idealnie prostym przedziałkiem odsłaniającym białą skórę na wierzchu głowy.

– Och, Peter! – wykrzyknęła nagle Marion; ręce zastygły jej nad robótką, a twarz się rozpromieniła. – Wpadłam właśnie na cudowny pomysł.

Peter Botes spojrział na nią znad swoich papierów, a po jego poważnym, białym czole przemknęła chmurka mająca wyrażać irytację mężczyzny, którego głupia babska paplanina odrywa od pracy.

– Tyloma sprawami pana Courteneya zajmujesz się w banku. Byłeś w jego dużym domu, prawda? Kłania ci się nawet na ulicy – sama widziałam.

Peter skinął wyniośle głową i pyknął z fajki.

– Owszem, pan Carter często wspominał, że pan Courteney najwyraźniej mnie lubi. Sądzę, że z czasem przejmę całkowicie obsługę jego konta.

– Och, mój drogi, nie porozmawiałbyś z panem Courteneyem i powiedział mu o pracy Marka nad książką o Ladyburgu i że on tak interesuje się panem Courteneyem i jego rodziną...

– Przestań, Marion. – Peter machnął niecierpliwie fajką. – Nie sądzisz chyba, że taki ktoś jak pan Courteney...

– A może pochlebi mu, że będzie w książce Marka – proszę cię, mój drogi. Jestem pewna, że pan Courteney cię wysłucha. Może spodoba mu się ten pomysł... i zyskasz w jego oczach.

Peter zamyślił się, rozważając starannie celowość dalszego podtrzymywania tego babskiego mniemania o jego pozycji i wpływach, wobec przerażającej perspektywy pogawędki na stopie towarzyskiej z panem Dirkiem Courteneyem. Sama myśl o tym przejmowała go zgrozą. Dirk Courteney budził w nim lęk i w jego obecności przyjmował automatycznie służalczą, uległą postawę. Zdawał sobie sprawę, że między innymi dlatego Dirk Courteney lubi z nim współpracować. Poza tym był, oczywiście, sumiennym, skrupulatnym prawnikiem, ale najbardziej liczyła się jego uniżoność. Pan Courteney lubił, kiedy podwładni okazywali mu należny szacunek.

– Proszę cię, Peterze, Mark zadaje sobie tyle trudu, żeby zebrać materiały do tej książki. Musimy mu jakoś pomóc. Opowiadałam właśnie Lynette, że Mark wziął miesiąc urlopu tylko po to, żeby przedsięwziąć wyprawę do Bramy Chaki i poszukać tam pewnych faktów do swojej książki.

– Wybrał się do Bramy Chaki? – Peter spojrział na nią zdumiony i wyjął fajkę z ust. –

A po jakie licho? Toż to sama dzicz i ani żywego ducha.

– Właściwie to nie wiem – przyznała Marion i szybko dorzuciła: – Ale to ważne dla książki. Musimy mu jakoś pomóc.

– A co konkretnie miałbym powiedzieć panu Courteneyowi?

– Może byś go poprosił, żeby spotkał się z Markiem i opowiedział mu własnymi słowami historię swego życia. Wyobraź sobie, jak książka by na tym zyskała.

Peter przełknął z trudem ślinę.

– Marion, pan Courteney jest bardzo zapracowanym człowiekiem. Nie może...

– Och, proszę. – Marion zerwała się z sofy, przebiegła przez pokój i uklękła przy jego fotelu. – Bardzo cię proszę, zrób to dla mnie!

– No dobrze – mruknął. – Napomknę mu o tym.

Peter Botes stał wyprężony niczym gwardzista przy krześle u szczytu długiego, rzeźbionego stołu i pochylał się sztywno w pasie tylko w momentach, kiedy trzeba było przewrócić stronę.

– ...i poproszę jeszcze w tym miejscu, panie Courteney.

Postawny mężczyzna siedzący na krześle złożył machinalnie podpis u dołu dokumentu, nie patrząc nawet, czego dotyczy, i nie przerywając konwersacji z innymi elegancko odzianymi mężczyznami zasiadającymi przy stole.

Od Dirka Courteneya bił silny zapach perfum, obnosił się z nim ostentacyjnie niczym kawalerzysta ze swą opończą, i Peter nadaremnie próbował rozpoznać ich markę. Musiały być strasznie drogie, ale był to zapach sukcesu i Peter postanowił sobie, że nabędzie flakonik takich samych, cokolwiek to było.

– ...I poproszę jeszcze tutaj, sir.

Patrząc teraz z bliska zauważył, że włosy Dirka Courteneya, choć nie pociągnięte brylantyną, błyszczą, są dłuższe przy skroniach i wijąc się przechodzą w bokobrody. Peter postanowił, że zmyje dziś wieczorem brylantynę z włosów i trochę je zapuści.

– To wszystko, panie Courteney. Kopie każę panu dostarczyć jutro.

Nie podnosząc na niego wzroku Dirk Courteney skinął głową, odsunął się z krzesłem od stołu i wstał.

– No, panowie – zwrócił się do mężczyzn przy stole – nie każmy paniom czekać.

Wybuchnęli tym lubieżnym, znaczącym śmiechem, a oczy zabłyśły im jak trzymanym w klatce lwom w porze karmienia.

Peter wiele słyszał o przyjęciach wydawanych przez Dirka Courteneya w Great Longwood, jego dużym domu. Grało się tam na wysokie stawki, czasami urządzało walki psów, podczas których para zwierząt o zbliżonych warunkach fizycznych darła z siebie nawzajem pasy skóry z mięsem, czasami walki kogutów, i nigdy nie obywało się bez kobiet – kobiet przywożonych zamkniętymi samochodami z Durbanu albo Johannesburga.

Wielkomięskich kobiet, i na tę myśl Peter a przeszedł dreszcz. Na przyjęcia te zapraszani byli tylko ludzie wysoko postawieni, wpływowi albo bogaci, hulanka przeciągała się na cały weekend, a terenu posiadłości strzegli wtedy goryle Dirka Courteneya.

Peter marzył czasami o zaproszeniu na jedno z takich przyjęć; oczyma wyobraźni widział już siebie, jak siedzi naprzeciwko Dirka Courteneya przy zielonym stoliku do gry i od niechcenia, nie wyjmując z ust drogiego cygara, zgarnia ku sobie różnobarwny stosik żetonów z kości słoniowej, albo jak dokazuje wśród szeleszczących jedwabi i gładkich, białych kończyn – słyszał o tancerkach, pięknych kobietach, które rozbierały się w trakcie tańca dopingowane okrzykami i podszczypywane przez męską widownię, i kończyły występ gołe, jak je Pan Bóg stworzył.

Peter otrząsnął się z tych wizji dosłownie w ostatniej chwili. Dirk Courteney był już przy drzwiach w drugim końcu sali i roześmiany, czarujący, błyskając białymi zębami kontrastującymi ze śniadą, przystojną twarzą, przepuszczał przodem gości. Służący czekał z jego płaszczem w progu, a szoferzy na ulicach przy limuzynach – całe towarzystwo odjedzie zaraz do królestwa, które Peter mógł sobie tylko wyobrażać z burzącymi spokoj ducha, erotycznymi szczegółami.

Podbiegł truchtem do Dirka i wyjąkał nerwowo:

– Panie Courteney, mam sprawę osobistą.

– No, Charles – Dirk Courteney obejmował właśnie ramieniem jednego ze swych gości i nawet nie spojrzął na Petera – mam nadzieję, że tym razem szczęście ci dopisze. Nie cierpię oskubywać przyjaciół z pieniędzy.

– Siostra mojej żony ma narzeczonego, sir – wystękał desperacko Peter. – On pisze książkę o Ladyburgu i chciałby uwzględnić w niej pańskie osobiste doświadczenia...

– Alfredzie, jedźcie z Charlesem pierwszym samochodem. – Dirk Courteney zapiął płaszcz, włożył na głowę kapelusz i zaczął się odwracać w kierunku drzwi, a lekkie ściągnięcie brwi świadczyło o irytacji natarczywością Petera.

– On jest stąd – Peter ledwie hamował łzy zakłopotania, ale ciągnął uparcie – zasłużył się na wojnie, może pamięta pan jego dziadka, Johna Andersa...

Twarz Dirka Courteneya przybrała szczególny wyraz. Odwrócił się powoli i po raz pierwszy spojrzął bezpośrednio na Petera Botesa. Ten wyraz twarzy zdjął Petera trwogą; nigdy jeszcze nie widział takiej płomiennej wrogości, takiego bezlitosnego okrucieństwa na twarzy człowieka. Trwało to tylko chwilę – a potem Dirk Courteney uśmiechnął się. Był to uśmiech tak czarujący i przyjazny, że Peterowi z ulgi zakręciło się w głowie.

– Książka o mnie? – Ujął Petera za ramię powyżej łokcia. – Opowiedz mi coś więcej o tym młodym człowieku. Jak zrozumiałem, jest młody?

– O, tak, sir, bardzo młody.

– Panowie – Dirk Courteney uśmiechnął się przepaszająco do swych gości. – Jedźcie, proszę, przodem. Wkrótce do was dołączę. Pokoje macie przygotowane i możecie śmiało

zaczynać beze mnie.

Trzymając wciąż Petera za łokieć, wprowadził go z kurtuazją z powrotem do wielkiej sali konferencyjnej i posadził w jednym z obitych skórą foteli przed kominkiem.

– A teraz, mój panie Botes, może napije się pan brandy?

Peter patrzył oniemiały, jak Dirk Courteney własnoręcznie, dużymi, silnymi dłońmi o grzbietach porośniętych drobnym, czarnym włoskiem, w tym jednej ozdobionej diamentem wielkości dojrzałego ziarna grochu nasuniętym na palec serdeczny, nalewa alkohol.

Z każdym krokiem na północ Mark stwierdzał, że wielkie bastiony Bramy Chaki zatracają stopniowo swój aspekt majaczących w dali smug błękitu, i nadszedł wreszcie taki moment, że mógł już odróżnić szczegóły litej skały.

Te dwa bliźniacze, trwające naprzeciwko siebie urwiska stanowiły swoje niemal lustrzane odbicia. Wypiętrzały się pionowo na tysiąc stóp każde, ale rozdzielał je głęboki przełom, którym rzeka Bubezi wylewała się na nadbrzeżne niziny Zululandu, by lawirując dalej meandrami przez studwudziestomilowy labirynt bagien, lagun i mangrowych lasów wypłynąć wreszcie wąskim ujściem w ocean. Ujście to zasysały fale przyptywów, a odpływ unosił daleko w elektryczny błękit Prądu Mozambickiego plamę brudnej wody, brązowy zaciek kontrastujący ostro z żywą bielą ciągnących się tysiące mil na południe i na północ piaszczystych plaż.

Jeśli ktoś minął portale Bramy Chaki i podążył w górę Bubezi, jak czynili to kiedyś często Mark ze starszkiem, wychodził na rozległą dolinę rozciągającą się za głównym urwiskiem. Tutaj, pośród gęstych lasów, Bubezi rozdzielała się na swoje dwa dopływy – Białą Bubezi, która spływała szeregiem katarakt i wodospadów z wyżyn płyty kontynentalnej, i Czerwoną Bubezi, która zbaczała na północ i płynęła podnóżem skarpy przez jeszcze gęstsze lasy i otwarte, trawiaste polany, by w końcu przejąć na siebie rolę granicy portugalskiej kolonii – Mozambiku.

Podczas pełni lata, w porze wylewów, dopływ ten niósł ze sobą lateryt wypłukiwany z pokładów tego minerału zalegających w głębi Mozambiku i przybierał intensywnie czerwoną barwę, pulsując niczym żywa tętnica i uczciwie zapracowując sobie na swą nazwę – Czerwona Bubezi.

Bubezi znaczy w języku zulu „lew” i rzeczywiście przy jej brzegach, jakieś pół mili poniżej miejsca, w którym zlewały się te dwa dopływy, Mark wytropił i zabił swojego pierwszego lwa.

Zbliżało się południe, kiedy Mark dotarł wreszcie do punktu, gdzie rzeka wypływała z przełomu między urwiskami bramy. Sięgnął po zegarek, żeby sprawdzić godzinę, ale nie dokończył tego gestu. Tutaj czasu nie odmierzały metalowe wskazówki, lecz majestatyczna wędrówka słońca po nieboskłonie i wieczny korowód pór roku.

Rzucił na ziemię plecak i oparł karabin o pień drzewa; ten gest wydał mu się

symboliczny. Wraz z pozbyciem się ciężaru z ramion, kamień zdał się spaść mu z serca.

Zadarł głowę spoglądając na wyniosłe skalne urwiska przesłaniające pół nieba i ogarnął go nabożny zachwyt, jak kiedyś w opactwie westminsterskim, gdy patrzył z dołu na łukowatą, kamienną kratownicę kaplicy Henryka VII.

Skalne kolumny rzeźbione od wieków przez wiatry, słońce i wodę miały w sobie tę samą niezmierną grację, ale różniły się od tamtych swobodą zarysów nie narzuconych ściśle określonymi regułami ludzkiej wizji piękna. Ściany urwisk upstrzone były barwnymi liszajami roślinności – olśniewającymi plamami czerwieni, żółci i srebrzystej szarości.

Ze szczelin i załomów skalnych wyrastały karłowate drzewka; zdeformowane i okaleczone przez wpływy natury niczym przez tłum japońskich hodowców drzewek bonzai, wyrzynały się pod nieprawdopodobnymi kątami ze ścian urwiska setki stóp nad swymi rówieśnikami, wyciągając gałęzie ku słońcu w niemym błaganu.

Skala pod niektórymi wąskimi półkami pociemniała od zacieków uryny i pokładów wyschniętego kawy hydraksów, puszystych skalnych królików, od których roilo się w każdej szparze i dziurze urwiska. Siedziały ospałymi rzędami na każdej krawędzi przepaści, wygrzewając w słońcu swoje małe, tłuste ciała i mrugając ślepkami obserwowały drobną ludzką figurkę na dnie przełomu.

Mark śledził lot sępa szybującego na szeroko rozpostartych skrzydłach. Ptak, wykorzystując zawirowania powietrza powstające przy ścianie urwiska, skręcił ostro, wzniósł się w górę i wyciągając przed siebie szpony opadł na swoją skalną półkę sto pięćdziesiąt stóp nad rzeką. Złożywszy z gracją skrzydła i przestąpiwszy kilka razy z nogi na nogę, przycupnął w ogromnym, krzaczastym gnieździe z patyków i małych gałęzi zbudowanym na gołej skale w charakterystycznej groteskowej sępiej pozycji z podanym do przodu łysym, łuskowatym łebkiem.

Z miejsca, gdzie stał, Mark nie mógł widzieć piskląt w gnieździe, ale rozpoznawał wyraźnie niezgrabne ruchy ptaka przystępującego do opróżniania wola z rozkładających się strzępów padliny przeznaczonych dla małych. Na Marka spłynęło stopniowo uczucie spokoju. Usiadł, oparł się plecami o chropowaty pień osiki i powoli, bez pośpiechu, wyciągnął i zapalił papierosa. Z namaszczeniem wciągnął dym w płuca, a potem obserwował jego bladoniebieskie smużki sączące się z nozdrzy i wznoszące leniwymi korkociągami w nieruchome powietrze.

Przemknęło mu przez myśl, że od najbliższej istoty ludzkiej dzieli go w tej chwili dobre czterdzieści mil, a od najbliższego białego prawie sto – i ta świadomość przyniosła mu dziwne ukojenie.

Ze zdziwieniem uświadamiał sobie, jak mało znacząca wydaje się w tym miejscu, w tym ogromnym, pierwotnym świecie, cała żałosna ludzka szamotanina – i nagle przyszło mu do głowy, że gdyby dało się przenieść tutaj, choćby na krótko, wszystkich ludzi, nawet tych, którzy nie znali innego życia oprócz szurzej vegetacji w zatłoczonych miastach, to może

wróciliby stąd oczyszczeni i odświeżeni, mniej agresywni, lepiej dostrojeni do wiecznego tętna natury.

Nagle parsknął. Z zadumy wyrwało go piekące użądlenie w bok szyi, poniżej ucha. Pacnął się w to miejsce otwartą dłonią. Ogluszyło to tylko małego, skrzydlatego owada. Twardego pancerzyka, który go chronił, nie był w stanie skruszyć nawet tak silny cios. Owad wirując i bzycząc opadł Markowi na kolana. Mark wziął go między kciuk i palec wskazujący, i unióś do oczu, by przyjrzeć mu się z bliska, bo nie widział takiego od wielu lat.

Mucha tse–tse jest nieco większa od zwykłej muchy domowej, ale ma smuklejszy, bardziej opływowy korpus i przezroczyste skrzydełka poznaczone siateczką brązowych żyłek.

Staruszek nazwał ją kiedyś „zbawicielką Afryki” i Mark powtórzył to określenie na głos, zgniatając owada między palcami. Z muchy trysnęła eksplozja jasnoczerwonej krwi, którą zdążyła wysać z jego szyi. Wiedział, że użądłone miejsce napuchnie i poczerwieje, że jego ciało jeszcze przez jakiś czas będzie w ten sposób reagować na wszystkie ukąszenia, ale szybko się na nie uodporni.

– Zbawicielka Afryki – wspomniał Mark słowa staruszka. – Ta mała jucha sama jedna ocaliła całą tę krainę przed zatratowaniem i ogołoceniem z roślinności przez zwierzęta domowe. Najpierw przychodzi bydło, po bydło pług, a po pługu miasteczka i tory kolejowe. – Staruszek poruszał wolno szczęką niczym przeżuwiający byk. Jego twarz pozostawała w cieniu; przed blaskiem bijącym od ogniska osłaniało ją rondo szerokoskrzydłego kapelusza. – Pewnego dnia wynajdą sposób na jej tępienie albo na leczenie śpiączki – nagany – którą wywołuje jej ukąszenie. To będzie koniec Afryki, jaką znamy, chłopcze. – Strzyknął w ogień długim, miodowobrazowym strumieniem śliny. – Czym będzie Afryka bez jej odludnych miejsc i dzikiej zwierzyny? Równie dobrze człowiek może wrócić i zamieszkać w Londynie.

Patrząc świeżym okiem i z nowym zrozumieniem na otaczający go majestatyczny, dziewiczy las, Mark ujrzał oczyma wyobraźni, do czego mógłby doprowadzić brak tych maleńkich, brązowoskrzydłych strażniczek; las wycięto by na opał i wykarczowano pod uprawy, bydło wygryzłoby do korzeni trawę i zryło kopytami wierzchnią warstwę gleby, dając tym początek rozwojowi złośliwego raka erozji, rzeki zbrązowiłyby i zmętniały od krwawiącej ziemi i ludzkich nieczystości.

Wytrzebiono by dziką zwierzynę – w ramach pozyskiwania mięsa i niszczenia bezpośredniej konkurencji dla zwierząt domowych, jeśli chodzi o pastwiska. Dla Zulusów bydło stanowiło największy skarb, było tak od tysięcy lat, że pojawiali się ze swymi stadami wszędzie tam, gdzie panowały korzystne warunki do hodowli.

I to, o ironio, sprawiło, że obok skrzydlatych legionów much tse–tse ta dzika kraina zyskała sobie jeszcze jednego strażnika, a strażnikiem tym byli Zulusi. Dawno temu przywędrował tu bowiem Chaka, wielki król Zulusów. Nikt nie wie, kiedy to było, gdyż Zulusi nie mierzą czasu tak, jak czynią to biali, ani nie utrwalają historii słowem pisanym.

Historię tę opowiadał Markowi staruszek. Mówił po zulusku, bo ten język lepiej oddawał

klimat opowieści, a jego stary tropiciel z plemienia Zulu przysłuchiwał się pilnie i kiwał potakująco głową albo wymrukiwał sprostowania niektórych faktów; od czasu do czasu wtrącał też dłuższe uwagi, ubarwiając taki czy inny fragment legendy.

W tamtych czasach żył tutaj, w dolinie, mały szczerp myśliwych i zbieraczy dzikiego miodu. Nazywali się Inyosi, pszczoły. Byli to ludzie biedni, ale dumni, i stawili opór potężnemu królowi oraz jego nienasyconemu apetytowi do podbojów i ekspansji swej władzy.

Wycofali się przed jego licznymi zastępami do naturalnej fortecy, jaką stanowiło północne urwisko. Przypominając sobie tę opowieść, Mark podniósł wzrok i spojrzał na pionową ścianę wznoszącą się po drugiej stronie rzeki.

Cały szczerp liczący dwanaście setek mężczyzn, kobiet i dzieci, długi szereg czarnych postaci posuwający się tuż przy skalnej ścianie, wspiał się jedyną wąską i niebezpieczną ścieżką na sam szczyt, szukając tam azylu. Kobiety niosły na głowach żywność. A znalazłszy się na górze, wódz i jego wojownicy wykrzyczeli stamtąd swoje nieposłuszeństwo królowi.

Chaka wystąpił samotnie przed swoje zastępy i stanął pod urwiskiem wysoki, gibki, straszny siłą swej młodości, majestatu i osobowości.

– Zejdz na dół, o wodzu, odbierz błogosławieństwo króla i bądź dalej wodzem, opromienionym mą miłością.

Wódz uśmiechnął się i zawołał z kpiną w głosie do otaczających go wojowników:

– Słyszę skrzek pawiana! – Ich śmiech odbił się echem od skalnych zboczy. Król odwrócił się i oddalił dumnym krokiem do swojej armii w sile dziesięciu tysięcy wojowników, którzy czekali cierpliwie, siedząc w kucki długimi, karnymi rzędami.

W nocy, wywołując każdego cicho po imieniu, Chaka wybrał pięćdziesięciu ludzi. Tych wielkiego serca i cieszących się reputacją nieustraszonych. I powiedział im po prostu:

– Kiedy księżyc zajdzie, moje dzieci, wdrapiemy się na nadrzeczne urwisko – i roześmiał się swym cichym, gardłowym śmiechem, który dla tak wielu był ostatnim dźwiękiem, jaki słyszeli na tym padole. – Bo czyż ten zacny wódz nie nazwał nas pawianami – a pawiany wspinają się przecież tam, gdzie nie śmie wejść żaden człowiek.

W blasku dnia stary tropiciel pokazał Markowi drogę, którą Chaka dostał się na szczyt urwiska. Trzeba było lornetki, żeby dostrzec tam cienkie jak włos szczeliny i szerokie na grubość palca półki.

Teraz, śledząc tę trasę gołym okiem i przypominając sobie, że Chaka prowadził tamtędy swój oddział bez lin, w smolistych ciemnościach po zejściu księżyca, niosąc przytroczone do pleców tarczę i włócznię o szerokim ostrzu, Mark wzdygnął się.

Szesnastu wojowników Chaki poślizgnęło się podczas wspinaczki i runęło w przepaść, ale odwaga wybranych przez niego ludzi była tak wielka, że podczas tego straszego spadania w mroczną otchłań, aż do momentu, kiedy ciało z głuchym łomotem rozbijało się o skałę na dnie przelomu, żaden z nieszczęśników nie wydał najmniejszego dźwięku, nawet szeptu,

który mógłby ich zdradzić przed strażnikami Inyosi.

O świcie, podczas gdy jego główne siły odciągały uwagę Inyosi wiążąc ich potyczką na ścieżce, Chaka prześlizgnął się niepostrzeżenie przez krawędź urwiska, przegrupował resztę swoich wojowników i – w trzydziestu pięciu przeciwko dwunastu setkom – zajął szczyt jednym druzgocącym natarciem. Za każdym pchnięciem wielkie ostrza przeszywały piersi i wychodziły plecami, a wycofując się wysysały życiodajną krew rozbryzgiem szkarłatnej fontanny.

– Ngidhla! – ryczeli król i jego wojownicy krwawo pracując, i większość Inyosi, w obawie przed zemstą Chaki, rzuciła się ze szczytu urwiska w przepływającą dołem rzekę, wybierając szybką śmierć. Tym, którzy się zawahali i nie skoczyli, pomagano w podjęciu decyzji.

Chaka uniósł wodza Inyosi obiema rękami wysoko nad głowę i szamoczącego się trzymał w górze bez najmniejszego wysiłku.

– Skoro ze mnie pawian – toś ty wróbel!

Tu ryknął okrutnym śmiechem.

– Leć, wróbelku, leć! – i cisnął wodza daleko w otchłań.

Tym razem nie oszczędzali ani kobiet, ani dzieci, pomiędzy szesnastoma Zulusami bowiem, którzy runęli podczas wspinaczki w przepaść, byli ci, których Chaka kochał.

Stary tropiciel pogrzebał w osypisku u stóp urwiska i pokazał Markowi na dłoni odłamki starej kości, która mogła niegdyś należeć do człowieka.

Po tym zwycięstwie na szczycie Chaka zarządził wielkie łowy w dorzeczu dwóch rzek.

Łowy trwały cztery dni, a zwierzynę naganiało dziesięć tysięcy wojowników. Opowiadano, że król sam, własnymi rękami, zabił dwieście bawołów. Rzeź była tak wielka, że Chaka wydał potem dekret:

„To królewskie tereny łowieckie i od tej chwili nie będzie na nich polował żaden człowiek, żaden prócz króla. W krainie tej, rozciągającej się od urwisk, z których Chaka zrzucił Inyosi, po pasmo gór na wschodzie, a na północ i południe tak daleko, ile potrafi przebiec człowiek w jeden dzień i noc, i jeszcze jeden dzień, wolno odtąd polować tylko królowi. Niech wszyscy usłyszą te słowa, zadrżą i podporządkują się”.

Na straży tych terenów pozostawił Chaka stu ludzi pod wodzą jednego ze starszych indunów, któremu nadał tytuł „nadzorcy królewskich łowisk”, i wracał tu często, być może przyciągany do tej doliny spokoju możliwością odprężenia się i ukojenia swej umęczonej duszy płonącej, paraliżowanej żądzą władzy. Polował tutaj nawet w tym okresie mrocznego szaleństwa, kiedy oplakiwał swą matkę Nandi, Słodką. Polował tutaj niemal każdego roku, dopóki nie zginął pod ciosami zabójców nasłanych przez jego własnych braci.

Prawdopodobnie blisko sto lat później rada legislacyjna Natalu, zebrawszy się na uroczystym konklawe sto mil od urwisk Bramy Chaki, powtórzyła jego dekret i proklamowała te tereny rezerwatem objętym zakazem polowań i niszczenia środowiska

naturalnego, ale nie uregulowała sprawy Królewskich Łowów tak precyzyjnie, jak uczynił to stary król Zulusów. Kłusownicy buszowali tu łukiem i strzelbą, wnykami i wilczym dołem, włócznią i sforą psów oraz potężną bronią palną latami.

Być może wkrótce, jak to przepowiadał staruszek, wynaleziony zostanie środek na tępienie muchy tse–tse.

Uchylone zostanie prawo ustanowione przez człowieka, a ta ziemia oddana ryczącym, niemrawym stadom bydła i srebrzystemu lemieszowi pługą. Na myśl o tej perspektywie Mark doznał nieprzyjemnego skurczu żołądka. Wstał i ruszył podnóżem osypującego się zbocza, by zwalczyć jakoś tę dolegliwość.

Dziadek był istotą hołdującą przyzwyczajeniom nie tylko w sprawie ubioru czy porządku dnia codziennego. Rozbijał obóz zawsze w tym samym miejscu, do którego docierał znanymi sobie dróżkami. Lubił też powracać do miejsc, które już kiedyś odwiedził.

Mark udał się wprost do starego obozowiska położonego powyżej zakola rzeki. Rozlane wody ograniczał tam stromy brzeg, a nawarstwiona ziemia tworzyła rodzaj tarasu osłoniętego malowniczo drzewem figowym. Jego konary, grube niczym kolumna Nelsona na Trafalgar Square, rzucały chłodny zielony cień, huczący niemal brzękiem owadów i gruchaniem synogarlic.

Kamienie ze starego paleniska wciąż jeszcze tam były, rozwalone nieco i okopcone. Mark szybko ułożył je z powrotem.

Wokół znajdowało się mnóstwo drzewa na opał, obumarłych konarów i gałęzi, naniesionych przez powódzie i leżących u samego brzegu rzeki.

Mark zaczerpnął czystej wody, nastawił czajnik na herbatę i dopiero wtedy z bocznej kieszeni plecaka wydobyl kartkę, nieco podartą i zniszczoną, spiętą spinaczem, tę samą, którą przysłała mu Marion.

„Odpis protokołu z przesłuchania przeprowadzonego przez koronera w sprawie śmierci Johna Andersa z farmy Andersland w dystrykcie Ladyburg”.

Marion Littlejohn przepisywała te akta podczas przerw obiadowych, a mnogość poprawek i przebitek wykazywała jednoznacznie brak obycia z maszyną do pisania.

Mark czytał je już tylekroć, że potrafiłby odtworzyć dokładnie całą treść z pamięci, włącznie z nieistotnymi uwagami z sali.

Pan Greyling: Rozbilimy się tam gdzie zwykle, nad rzeką Bubezi, panie sędzio.

Urzędnik sądowy: Nie jestem sędzią, sir. Właściwą formą zwracania się do mnie jest wasza czcigodność.

Teraz jednak zaczął czytać wszystko od samego początku, szukając uważnie jakiejś wskazówki, ważnego szczegółu, który mógł wcześniej pominąć, a który pomógłby mu odkryć to, czego szukał.

Nieodmiennie powracał do tej samej wymiany zdań.

Urzędnik: Proszę świadka o nazywanie denata „zmarłym”, a nie „starym”.

Pan Greyling: Proszę o wybaczenie, wasza czcigodność. Zmarły wyszedł z obozu wcześniej rano we wtorek, powiedział, że idzie poszukać kudu [*antylopa zamieszkująca południową Afrykę i Somalię*] w dole rzeki. Było może trochę przed obiadem, kiedy usłyszeliśmy ten strzał i mój chłopak powiedział: Wygląda na to, że stary ustrzelił już coś. Proszę o wybaczenie, chciałem powiedzieć zmarły.

Urzędnik: Był pan wtedy w obozie?

Pan Greyling: Tak, wasza czcigodność, ja i mój chłopak ścinalimy wtedy bilong przez cały dzień.

Mark dokładnie wyobraził sobie to oprawianie martwej zwierzyny. Surowe, krwawe mięso moczone w solance, a następnie wieszane na drzewach długimi, wąskimi pasami – obraz jatki, której tak często był świadkiem.

Kiedy już mięso ususzyło się na słońcu, długie, wąskie pasma przypominające prymki tytoniu do żucia, pakowano w worki jutowe, przygotowując je do późniejszego przewozu na jucznych osłach. Wilgotne mięso wysuszano do jednej czwartej pierwotnej wagi, a powstały w wyniku tego procesu bilong był bardzo ceniony na terenie całej Afryki. Osiągał tak wysoką cenę, że czynił kłusownictwo lukratywnym zajęciem.

Urzędnik: Kiedy dokładnie zaczęła was niepokoić przedłużająca się nieobecność zmarłego?

Pan Greyling: Jak nie wrócił na noc do obozowiska. Pomyśleliśmy, że tropi trafioną zwierzynę i prześpi się gdzieś na drzewie.

Dalej w protokole widniało następujące oświadczenie:

Pan Greyling: Wyszło na to, że znaleźliśmy go aż czwartego dnia. To te ścierwojady, proszę o wybaczenie – sępy – pokazały nam, gdzie go szukać. Znaleźliśmy go tam, na skarpie. Tam się potknął i upadł, broń wciąż jeszcze leżała pod nim. To pewnie ten wystrzał słyszeliśmy wtedy. Pochowaliśmy go tam, na miejscu, bo nie szło go nieść po tym, co zrobiły z nim te ptaszyska i słońce. Postawiliśmy mu ładny krzyż, sam go wyrzeźbiłem i sam odmówiłem słowa chrześcijańskie.

Mark złożył starannie zapiski i schował je z powrotem do plecaka. Herbata zdążyła się zaparzyć, dodał więc skondensowanego mleka i brązowego cukru. Sączył gorący płyn, dmuchając, by go trochę przestudzić, i rozmyślał nad tym, co właśnie odkrył.

Skaliste urwisko, miejsce tragicznego wypadku, leżało w odległości strzału od punktu, w którym się właśnie znajdował. Był tam zapewne kopczyk usypany z kamieni i drewniany krzyż dawno zjedzony przez termity.

Miał przed sobą miesiąc, ale już teraz zastanawiał się, czy to wystarczy. Przy tak mglistych wskazówkach, jeśli los zamierzał się sprzysiąc przeciw niemu, poszukiwania mogły trwać całe lata. Nawet przy założeniu, że zakończą się sukcesem, nie był pewien, co ma zrobić dalej. W tej chwili pchała go naprzód jedynie chęć znalezienia miejsca pochówku dziadka Johna.

Teraz już wiedział, co ma zrobić, gdy je odnajdzie.

Najpierw zajął się skarpami i skalistą ziemią południowego brzegu rzeki. Całe dziesięć dni wspinał się i schodził po jej poszarpanych stokach, walcząc z usypiskami uformowanymi przez naturę. Po upływie tego czasu był smukły niczym chart, o ramionach i twarzy tak opalonych, że przypominały kolorem bochenek świeżo upieczonego chleba, a ciemny, szorstki zarost ocieniał mu podbródek. Nogawki spodni miał pocięte przez trawy o ostrych krawędziach i porwane przez ciernie, trafnie nazwane „zaczekaj no”, które czepiały się, byle tylko mu opóźnić pracę.

W kotlinie kwitło przebogate ptasie życie, nawet w samo nagrzanego południe powietrze pobrzmiwało ich trelami... podobnymi do dźwięku fletu, zawodzącymi gwizdami leśnej synogarlicy lub wysokim ostrym świstem białogłowego orła rybołowa krążącego wysoko nad głowami.

Wczesnym rankiem i powtórnie, dopiero w chłodzie wieczora, busz mienił się całą gamą barw ptasiego upierzenia – szkarłatną piersią pysznił się nieprawdopodobnie piękny Narina Trogan, nazwany tak przez któregoś z pierwszych podróżników na pamiątkę hotentockiej ślicznotki, błyskał metalicznie koliber unoszący się nad wonnymi, różowymi kwiatami *Buffalo creeper*,[pnąca roślina tropikalna.] małe dzięcioły o głowach odzianych w czepki kardynalskiej czerwieni pukały pracowicie, a w szuwarach nad rzeką migwały tanecznie ebonitowe poświaty długich piór w ogonie sakabula.

Wszystko to umilało Markowi długie, męczące godziny poszukiwań i po stokroć każdego dnia zatrzymywał się, by nie uronić ani jednego niezapomnianego widoku.

Większą zwierzynę widywał jednak z rzadka, natrafiał jedynie na ślady, jakie po sobie zostawiała. Duże, błyszczące kulki odchodów kudu, porozrzucone wzdłuż ich tajemnych szlaków przez las, suche odchody lampartów ze strzępami futra upolowanych i pożartych pawianów, ogromne kopce łajna białego nosorożca, wprost góra odchodów nagromadzonych tam przez lata, jako że to dziwne zwierzę powracało co dzień, by się załatwić w tym samym miejscu.

Przystanąwszy przy łajnie nosorożca, Mark uśmiechnął się, przypomniał sobie jedną z wielu opowieści dziadka, tę, która wyjaśniała, dlaczego nosorożce boją się jeżozwierzy i dlaczego zawsze rozkopują własne odchody.

Kiedyś, bardzo dawno temu, nosorożec pożyczył od jeżozwierza jeden z jego kolców, by zaszyć rozdartą przez mimozę skórę. Kiedy skończył pracę, wsadził kolec między zęby, podziwiając swe dzieło, i przypadkiem połknął go. Po dziś dzień nosorożec ucieka, by uniknąć wypominań jeżozwierza, i przekopuje każdy kopiec swych odchodów w poszukiwaniu straconego kolca.

Dziadek znał setki takich opowieści zdolnych zachwycić małego chłopca. Mark był bardzo przywiązany do niego, co jeszcze umacniało w nim determinację, by odnaleźć grób staruszka. Przerzucił strzelbę na drugie ramię i zawrócił, by raz jeszcze przejść skalistym

zboczem urwiska.

Dziesiątego dnia, gdy odpoczywał właśnie w głębokim cieniu na skraju polany złotej trawy, po raz pierwszy ujrzał z bliska większą zwierzynę. Małe stadko wdzięcznych, jasnobrązowych impal, wiedzione przez trzy kozły o imponująco zbudowanych nogach, wyłoniło się po przeciwnej stronie polany. Skubały trawę ostrożnie, co parę sekund zamierając w kompletnym bezruchu. Poruszając stożkowatymi uszkami w nasłuchiowaniu niebezpieczeństwa, węszyły bezgłośnie mokrymi czarnymi nozdrzami.

Markowi skończył się już zapas mięsa, resztę byczka zjadł poprzedniego dnia, dlatego właśnie wziął ze sobą strzelbę. Chciał położyć kres swojej przymusowej diecie z manny, teraz jednak poczuł dziwną niechęć na myśl o skorzystaniu z broni, niechęć obcą mu od czasów, gdy był jeszcze młodym chłopcem. Po raz pierwszy w życiu patrzył, widząc nie tylko pożywienie, ale także rzadkie i niezwykle piękno.

Trzy kozły majestatycznie przemierzyły polanę, mijając o niecałe sto kroków siedzącego w kompletnym bezruchu Marka, a potem rozplynęły się jak blade cienie w gęstwinie cierni. Łanie ruszyły za nimi pospiesznie. Za jedną z nich podążał cielak, potykając się na długich, niezgrabnych kończynach, a na samym końcu tego pochodu szła młoda łania. Jedna z jej kończyn była złamana, trzymała więc ją bezwładną i uszłą nad ziemią, z trudem nadążając za resztą stada.

Zwierzę było w marnym stanie, kości i żebra odznaczały się wyraźnie poprzez skórę pozbawioną połysku i lśnienia tak typowego dla zdrowych okazów. Mark uniósł P.14 i suchy głos wystrzału odbił się od skał wzdłuż rzeki, płosząc stado białogłowych kaczek.

Mark nachylił się nad leżącą w wysokiej trawie łanią i dotknął długich, podkręconych rzęs okalających czarne, wilgotne oczy. Nie drgnęła powieka, a sprawdzian był czysto rutynowy. Wiedział, że trafił antylopę w samo serce, powodując natychmiastową śmierć. „Za każdym razem sprawdź”. Znów nauki dziadka. „Percy Young powiedziałby ci to samo, gdyby mógł, siedział właśnie na martwym lwie, którego przed chwilą zastrzelił, pykając sobie z fajeczki, kiedy zwierz nagle ożył. Dlatego nie ma go wśród nas i dlatego nie może udzielić ci tej rady osobiście”.

Mark przekreślił zwierzę i ukląkł, by zbadać jego tylną kończynę. Metalowa pętla werżnęła mu się głęboko w skórę, dochodząc poprzez ścięgna aż do samej kości, gdy usiłowało oswobodzić się z potrzasku. Poniżej drutu noga była zajęta przez gangrenę. Mdlący zapach zwabił natychmiast kłęby much.

Mark zaczął patroszenie od płytkiego nacięcia, kierując ostrze ku górze, by uniknąć uszkodzenia jelit. Brzuch otworzył się przed nim niczym sakiewka. Oddzielił jelito grube i macicę pewnymi, chirurgicznymi cięciami. Odłożył pęcherz i jelita na bok. Wydobył z trzewi purpurową wątrobę, odciął woreczek żółciowy i odrzucił go. Uprażona nad węglami wątroba będzie wspaniałą kolacją. Amputował gnijącą tylną nogę, a następnie ostrożnie

wytarł wewnątrz zwierzęcia wiechciem suchej trawy. W końcu zrobił nacięcia skóry na karku i używając ich jako nosideł, dźwignął całą tuszę i poniósł ją ku obozowisku nad rzeką.

Pocięte, zasolone i podsuszone mięso powinno wystarczyć mu do końca pobytu. Powiesił paski mięsa wysoko na gałęziach figowca, by uchronić je przed padlinożercami, które z pewnością odwiedzały obozowisko podczas jego nieobecności, i dopiero kiedy zakończył pracę i siedział przy ognisku z parującym kubkiem w dłoni, przypomniał sobie zmyślne wnyki, które okaleczyły nogę łani.

Poczuł nie ukierunkowaną złość na tego, który zastawił pułapkę, a zaraz potem zastanowił się, czemu miałby złościć się na jakiegoś trapera, skoro tyle razy natykał się na stare, opuszczone obozowiska białych myśliwych. Zawsze leżały tam sterty kości i poroża toczone przez robactwo. Traper był bez wątpienia czarnym człowiekiem i miał potrzeby nieporównanie większe niż ci, którzy przybywali tu, by zabijać, suszyć i sprzedawać.

Przemyślawszy to wszystko, Mark poczuł przejmujące uczucie przygnębienia. Nawet w tak krótkim czasie, jaki upłynął od chwili, gdy po raz pierwszy przybył w te dzikie ostępy, zwierzęta zostały tak przetrzebione, iż stanowiły niewielki odsetek pierwotnego stanu liczbowego. Wkrótce wyginą wszystkie. Jak zwykł mawiać jego dziadek, „nadchodzi wielka pustka”.

Siedzącego przy ognisku Marka ogarnął głęboki smutek na myśl o tym nieuniknionym. Żadnemu stworzeniu nie dane jest konkurować z człowiekiem. Znów przypomniał sobie dziadka.

„Niektórzy twierdzą, że to lew, jeszcze inni, że lampart. Ale wierz mi, mój chłopcze, kiedy człowiek przegląda się w lustrze, widzi najniebezpieczniejszego i najbardziej bezlitosnego zabójcę w całym świecie przyrody”.

Wgłębienie przypominało wtopiony w ziemię zbiornik wodny. Długie na piętnaście metrów i głębokie na trzy, było idealnie okrągłe w kształcie, o podłożu wylanym gładkim cementem.

Pomimo zainstalowania rur wodociągowych i idealnego wprost położenia niecki w celu zaopatrywania w wodę wielkiego, strzelistego domostwa stojącego na stromej skarpie nad Ladyburgiem, woda nigdy nimi nie popłynęła. Wklęsłe ścianki zbiornika były wyszorowane do błyszczącej niemal czystości, a dno cienko wysypane wypłukanym piaskiem rzeczonym i schludnie przegrabione.

Posadzone wokół sosny dawały zbiornikowi cienistą osłonę. Cała plantacja ogrodzona była dwunastoma rzędami drutu kolczastego, a bramy pilnowało wieczorami dwóch strażników, twardych milczących ludzi sprawdzających gości dowożonych samochodami do rezydencji.

Czterdzieści osiem kobiet i mężczyzn przekroczyło bramę podnieconym, roześmianym strumieniem, kierując się ścieżką między sosnami ku zbiornikowi, teraz oświetlonemu

jaskrawym blaskiem latarni umieszczonych nad nim.

Rozbawionemu tłumowi biesiadników przewodził Dirk Courteney. Ubrany był w czarne gabardynowe bryczesy, błyszczące długie buty do jazdy – dla ochrony przed ukąszeniami węży – oraz białą płócienną koszulę rozpiętą prawie do pasa, która odsłaniała twarde, wypukłe mięśnie klatki piersiowej i ciemne gęste owłosienie pokrywające tors po samą szyję. Rękawy koszuli miały rozpięte aż do łokci mankiety. Przesuwał cienkie długie cygaro z jednego kącika ust w drugi, nie dotykając go dłonią, ponieważ ramiona otaczały kibicie kobiet tłoczących się wokół niego. Były to młode kobiety o twardych oczach i roześmianych, wymalowanych ustach.

Psy usłyszały już, że nadchodzą, i rozszczękały się, skacząc na pręty klatek. Rozhisteryzowane podnieceniem, usiłowały schwycić się nawzajem poprzez szczeble, warcząc, szczerząc kły i ujadając, podczas gdy ich opiekunowie bezskutecznie próbowali je uciszyć.

Goście zebrali się wokół obrzeża rezerwuaru, niemalże zawisając nad jego krawędzią. Bezlitosne światła lamp naftowych obnażały ich twarze, odsłaniając każdy szczegół, żądzę krwi i sadystyczne zniecierpliwienie w gorączkowych rumieńcach pań, dzikim błysku w oczach mężczyzn, ostrościach śmiechu i przesadnej gestykulacji.

W trakcie początkowych paru walk mała ciemnowłosa dziewczyna stojąca u boku Dirka pokrzykiwała i wierciła się, unosząc zaciśnięte dłonie do ust, jęcząc i wzdychając w zachwycie połączonym z przerażeniem. Raz nawet odwróciła się i przytuliła swe drżące ciało do piersi Dirka, który roześmiał się i objął ją w pół. Zobaczywszy śmierć, krzyknęła wraz z innymi i odchyliła do tyłu głowę. Dirk prawie poniósł ją szlochającą bezgłośnie ku stołowi zastawionemu srebrnymi kubkami z szampanem i talerzami pełnymi kanapek z ciemnego chleba i wędzonego łososa.

Charles zbliżył się do miejsca, w którym Dirk spoczął z dziewczyną na kolanach. Siedział tam, pojąc ją szampanem wprost z kryształowego kielicha, otoczony tłumkiem pochlebców, jowialnych i wylewnych. Sycili się narastającym przed finałową walką tego wieczoru uczuciem podniecenia, w której Dirk miał wystawić swego psa Czakę przeciw jednemu ze zwierząt Charlesa.

– Czuję się trochę nie w porządku, Dirk – odezwał się Charles. – Dowiedziałem się właśnie, że twój pies stracił ostatnio prawie cztery kilogramy.

– Nie przejmuj się, Charles. Temu twojemu kundlowi przyda się każdy kilogram nadwagi; zachowaj to na później, naprawdę może ci się to przydać. – Dirk raptem znudził się dziewczyną, zepchnął ją z kolan, tak że straciła równowagę i spadła. Nadąsana poprawiła fałdy sukni i spojrzała kwaśno na niego. Gdy stwierdziła, że zdążył już zapomnieć o jej istnieniu, oddaliła się wdzięcznie.

– Proszę – Dirk wskazał na stojące tuż obok krzesło. – Siadaj, Charles, staruszk. Przedyskutujmy twój problem.

Tłum otaczający ich zacieśnił się, wsłuchując się chciwie w każde ich słowo i służąc z każdej uszczypliwości.

– Mój problem polega na tym, że chciałbym postawić co nieco na tę walkę, ale wydaje mi się niesportowe obstawianie zakładów przeciw tak lekkiemu psu jak twój. – Charles uśmiechnął się i otarł spoconą, czerwoną twarz jedwabną chusteczką. Dyszał od nadmiaru wypitego szampana, ale też narastającego podniecenia i z powodu duchoty letniego wieczoru.

– Wszyscy dobrze wiemy, że żyjesz z obstawiania pewniaków. – Charles był maklerem giełdowym w Witwatersrand. – Niemniej jednak twe troskliwe słowa świadczą niezbicie o dobrych intencjach.

Dirk postukał go w ramię rączką szpicruty. Ten poufały, protekcyjnalny gest sprawił, że uśmiech Charlesa zastygł w wilczym grymasie.

– Przyjmujesz więc moje wyzwanie? – zapytał Dirk, mrugając i kiwając głową do swych popleczników rozmieszczonych w tłumie otaczających ich mężczyzn.

– Na równą sumkę pieniędzy?

– Oczywiście, ile tylko zechcesz.

– Postawię swego Kaisera przeciw twojemu Czace do walki na śmierć i życie. Stawiamy po równo, powiedzmy kwotę... – Charles przerwał, rozglądając się po paniach, gładząc szorstki wąsik przy prószony siwizną, przedłużając świadomie milczenie – tysiąca funtów w złocie.

Tłum westchnął i zakrzyknął, niektórzy z przysłuchujących się zaczęli bić brawo.

– Nie! Nie! – Dirk Courteney uniósł dłonie w proteście. – Nie tysiąc! – Obserwatorzy jęknęli, jego klakierzy byli zszokowani i załamani utratą prestiżu przez ich idola.

– O rany! – zamruczał Charles. – Za wysokie progi? Podaj swoją stawkę, staruszku.

– Pomówmy tu o prawdziwych pieniądzach – powiedzmy, dziesięć tysięcy w złocie.

Ponownie popukał Charlesa w ramię, a uśmiech na twarzy tamtego zgasł. Krew odpłynęła mu z zaczerwienionej twarzy, zostawiając ją poznaczoną w purpurowe i białe plamy. Małe pytające oczka przebiegły po kręgu roześmianych wiwatujących twarzy, jakby szukając ratunku, po czym powoli, niemal niechętnie powróciły do twarzy Dirka. Usiłował powiedzieć coś, ale głos zabrzmiał dyszkantem i załamał się niczym u dorastającego chłopca.

– Nie dosłyszałem – powiedział Dirk z wystudiowaną uprzejmością.

Charles bał się ponownie zaufać swemu głosowi, więc gwałtownie przytaknął. Starał się odzyskać swój zawadiacki uśmieszek, ale osiągnął jedynie załamany, stężały grymas, który zawisł mu niezdarnie na twarzy.

Niosąc psa pod lewym ramieniem, z łatwością radząc sobie z wagą ponad dwudziestu kilogramów, Dirk rozkoszował się twardym, zwartym dotykiem prężnego ciała. Zeskoczył lekko na schodki wiodące do dna zbiornika. Każdy mięsień psa tężał w doskonałym napięciu, tak że Dirk niemal czuł ruchy i drganie nerwów i ścięgien. Każda z kończyn była sztywna i drżąca, ciałem wstrząsał niski warkot wydobywający się z masywnej gardzieli.

Dirk postawił psa na przegrabionym piachu, trzymając smycz owiniętą czujnie wokół nadgarstka. Gdy łapy psa dotknęły ziemi, napał on ku przodowi tak gwałtownie i napiął smycz tak ostro, że omal nie powalił Dirka z nóg.

– Hej, ty draniu! – krzyknął i pociągnął zwierzę ku sobie.

Po przeciwnej stronie Charles i jego treser prowadzili właśnie Kaisera. Obaj natężali siły, był to bowiem duży pies, czarny jak piekło, płowo podpalany przy oczach i na piersi, spuścizna po przodkach dobermanach.

Czaka zauważył go natychmiast i jego oddech stał się szybszy, ruchy były jeszcze dziksze, bardziej zajadłe, warczenie brzmiało teraz jak odgłos grubego płótna dartego przez huragan.

Sędzia zawołał z krawędzi zbiornika, podnosząc głos, by przekrzyczeć wrzawę widzów.

– Dobrze, moi panowie, zachęcajcie je do walki!

Obaj właściciele zaczęli szczuć zwierzęta na siebie okrzykami: „Wykończ go, Kaiser!” i „Dopadnij go, piesku!” „Zabij! Zabij!” Trzymając oburącz za smycze, wprowadzali je w szal wściekłości, bezsilnej złości.

Trzymany na krótkiej smyczy doberman miotał się, nacierał na swego przeciwnika, cofając szeroką pierś dla zajęcia lepszej pozycji, przypadał do ziemi. Obnażał piękne zęby i zbliżył się już na tyle, by zatopić je w morderczym uścisku na gardle przeciwnika. Był bardzo szybki, zwodził i atakował, szczekając wysuwał naprzód długą, niemal węzową szyję.

Czaka nie szczekał, ale szeroka tarcza jego piersi wzbierała niskim warkotem, gdy nagle siadł mocno na krótkich, silnych łapach. Był ciężkim psem, o niskiej sylwetce. Stanowił idealny przykład krzyżówki krwi staffordshire buli terriera z mastiffem, o sierści szorstkiej i podpalanej złotą na grzbiecie. Łeb miał krótki i masywny, a kiedy warczał unosząc górną wargę szerokimi fałdami, odsłaniał długie kły w kolorze pożółkłej kości słoniowej i ciemnoróżowe dziąsła. Obserwował drugiego psa żółtymi, lamparcimi ślepiami.

– Poszczujcie je! Poszczujcie je! – wrzeszczał górujący nad nimi tłum, a właściciele psów miotali smyczami niczym dżokeje zmierzający ku mecie, pchając zwierzęta ku sobie judzili je.

Dirk wyciągnął z kieszeni mały przedmiot, opadł na kolana przy zadzie psa. Zwierzę odwróciło się instynktownie ku niemu z otwartą paszczą, ale ciężki kaganiec osłaniał mu kły.

Ślina ciekła psu potokiem piany, plamiąc nieskazitelną biel koszuli Dirka.

Dirk chwycił zwierzę od tyłu i wbił mu krótkie stalowe ostrze w ciało, robiąc płytkie nacięcie u samej nasady jąder, na tyle lekko, by przebić tylko naskórek i wydobyć kroplę krwi – zwierzę warknęło nowym, wyższym tonem, ciskając się na boki i Dirk dźgnął ponownie, wprowadzając je w dziki, bojowy szal.

Teraz wreszcie zaszcekał, serią niemal maniakalnych strumieni dźwięku ze ściśniętego gardła.

– Gotów do walki! – krzyknął Dirk z trudem mogący utrzymać zwierzę.

– Gotowi – zasapał Charles ze swego końca, wleczony przez skaczącego na wysokość jego piersi Kaisera.

– Puśćcie je! – krzyknął sędzia, i w tej samej chwili mężczyźni zdjęli kagańce, smycze i nabijane ćwiekami obroże, uwalniając oba psy.

Charles odwrócił się i pospiesznie skierował ku schodkom, ale Dirk zwlekał jeszcze, nie chcąc stracić momentu pierwszego zwarcia.

Doberman przemierzył zbiornik w pełnym pędzie, by zmierzyć się z Czaka na jego gruncie, odbijając się na długich łapach i przeżąc grzbiet w tym natarciu.

Zaatakował łeb, rozplatając skórę nad okiem, czystym jakby chirurgicznym cięciem białych kłów, nie zaciskając jednak uchwytu.

Czaka nie chwycił go, ale odwrócił się do gwałtownego uderzenia. Używając barku i masywności ciała, zachwiał równowagę wyższego psa, załamując jego szarżę tak, że ten zakreślił się i byłby upadł, gdyby nie zatrzymała go biała bielona ściana – ratując go tym samym, bo Czaka już czekał na jego upadek.

Kaiser poderwał się natychmiast i szybkim zwrotem ciała odzyskał równowagę, zaatakował pysk przeciwnika, nie trafił jednak, niższy pies bowiem zanurkował, uchylił się. Zawadził jedynie o krótkie ucho, rozrywając je tak, że parę ciemnych kropel krwi spadło na piach.

Czaka ponownie uderzył barkiem i krew trysnęła z rany na uchu, ponieważ włożył w atak całą swą siłę. Wyższy pies odskoczył, okręcił się, unikając spotkania barkiem w bark, i rzucił do ataku – tłum zawył, widząc jego błąd.

– Puść go! Puść go! – wrzeszczał Charles z twarzą purpurową jak dojrziała śliwka, albowiem jego pies został schwycony za luźne, otłuszczone fałdy skóry pomiędzy barkami i zawarczał czując ucisk.

– Załatw go, Czaka! Załatw go! – zawył Dirk, balansując z łatwością na wąskim parapecie otaczającym Rene. – Teraz twoja szansa, stary!

Uwięziony w szczękach Czaki doberman trzymał zbyt wysoko łeb, odsłaniając gardło. Zacisnął uchwyt tak, że skóra ciągnęła się jak guma, nie przynosząc żadnej korzyści ni przewagi, potrzebnej, by przenieść ciężar i obalić krępego teriera.

Niższy pies zdawał się nie czuć chwytu, pomimo przegryzienia pomniejszych żył powodującego fontannę krwi, która obryzgała latarnię, wywołując różową, niczym upierzenie flaminga, poświatę.

– Puść go! – krzyczał Charles jak w agonii. Zlany potem, nerwowo wykręcał palce rąk.

– Rozszarp go! Rozszarp go! – wołał Dirk widząc, jak jego pies okręcił łeb pod pierś przeciwnika, unosząc go z ziemi, tak że łapy zawisły w powietrzu. Zaatakował brzuch, rozwierając szeroko pysk i wbijając żółte kły w nagą, błyszczącą czarno skórę poniżej żeber.

Doberman zawył, puszczając swój uchwyt. Odwrócił się gwałtownie, wrywając kły Czaki ze swego podbrzusza razem z płatem żołądka, tak że z rozplatanego brzucha wypłynęły

natychmiast purpurowe trzewia. Odparował jeszcze atak teriera na gardło, uderzając łkami w jego rozwartą paszczę, aż zgrzytnęło, i psy odskoczyły od siebie.

Łby obu psów były unurzane we krwi, powieki mrugały im szybko, gałki oczne zaszczyły krwią sączącą się z ran, a sierść zeszczywniała od zasychającej posoki. Krew ciekła im też z pysków, zabarwiając odsłonięte kły na różowo i farbując płaty piany na jaskrawą czerwień.

Zwarły się jeszcze dwakroć, za każdym razem atakującym był niższy, przysadzisty Czaka. Teraz doberman unikał bezpośredniego kontaktu pierś w pierś, który Czaka, idąc za głosem instynktu, ponawiał. Przy próbach tych Czaka odniósł jeszcze dwie głębokie rany, tak więc gdy kolejne zwanie rzuciło go na bieloną ścianę, pozostawił na niej szeroki krwawy ślad, zanim odbił się i zaatakował ponownie. Doberman zgarbił się w sobie od rany na brzuchu, wyginając kark w potwornym bólu, ale wciąż jeszcze szybki i zwinny nie ryzykował kolejnego chwytu szczękami, pomny skutków ataku na bark przeciwnika kąsał mocno i głęboko, trzymając swego wroga na dystans niczym wytrawny pięściarz.

Czaka stracił zbyt wiele krwi. Zataczał teraz szerokie koła, po raz pierwszy wywiesił jęzor, z którego kapała spieniona, zabarwiona krwią ślina, i Dirk zaklął głośno, widząc tak jawną oznakę słabości i utraty sił.

Wielki Kaiser natarł znów, rzucił się ostro do przodu, pozorując atak na gardło, gwałtownie skręcił i wykonał kolejne, tak osłabiające ugryzienie w bok. Czaka wykonał szybki zwrot, mierząc w odsłonięty brzuch. Pochylony nisko, zaryzykował uchwycenie trzewi wystających z otwartej rany; natychmiast zapał się na tylnych łapach i wyginając kark, dociągnął dolną szczękę do piersi, wzmacniając uchwyt. Natarcie poniosło dobermana dalej, tak że ten ruch wyciągał z niego wnętrzości, długą, błyszczącą w świetle latarni wstęgę – kobiety krzyknęły, podniecone udręczonym zachwytem, a mężczyźni wrzasnęli głośno.

Czaka okrążył cielsko Kaisera, wciąż trzymając w pysku jego trzewia, płaczące się wokół łap śliskimi, różowymi zwojami, tak że prawie stracił równowagę. Terier zaatakował mocno piersią, wyrzucił swego wroga w powietrze, który skowycząc i przebierając łapami upadł na grzbiet. Następny ruch Czaki był tak szybki i nagły, że musiał być podyktowany cechami jego rasy. Wykonał chwyt, wgryzając się masywnymi szczękami głęboko w gardło, kręcąc łbem na krótkim, grubym karku, aż jego długie kły zwarły się w śmiertelnym uścisku na tchawicy dobermana.

Dirk Courteney zeskoczył lekko z obmurowania, jego śmiech brzmiał nienaturalnie wysoko, a twarz była purpurowa. Odciągając swego psa, odtrącił zwłoki dobermana czubkiem buta.

– Uczciwa śmierć? – zaśmiał się do Charlesa, który popatrzył na niego gniewnie, zanim niechętnie przyznał się do porażki i odszedł.

Dick Lancom siedział przy biurku przed mikrofonem telefonu ze słuchawką przyciśniętą do policzka ramieniem i czyścił sobie złotym pilniczkiem paznokcie.

– Co mogę ci na to powiedzieć, serdeńko, prócz tego, że czuję się tu strasznie samotnie. Przecież wiesz, że ciotka Hortensja była bogata jak ten facet, który dotykaniem przemieniał wszystko w złoto, właśnie, Midas czy może Krezus, ale czy naprawdę nie potrafisz zrozumieć, że muszę być na jej pogrzebie? Nie rozumiesz?

Westchnął teatralnie, chowając pilniczek do kieszeni kamizelki, i zaczął kartkować notesik w poszukiwaniu telefonu innej dziewczyny.

– Skąd, serdeńko, jak możesz tak myśleć? Mówisz poważnie? To musiała być moja siostra!

Było już prawie południe w sobotę i Dicky był zupełnie sam w Natan Motors. Zanim zaczął szykować się do wyjścia, postanowił umówić parę prywatnych, weekendowych spotkań na rachunek telefoniczny firmy. Nagle jego rozmyślania zostały przerwane odgłosem kroków na murowanej posadzce sali wystawowej, określił się więc na krzesło, by mieć lepszy widok.

Tej wysokiej postaci, która wkroczyła wejściem od ulicy, nie można było z nikim pomylić. Tych szerokich ramion, zarośniętej wysuniętej szczęki, ciemnych błyszczących oczu tak podobnych do oczu starego orła.

– Uchroń mnie, o Panie! – westchnął Dicky. – Generał Courteney.

Wypuścił z dłoni słuchawkę, tak że zawisała na drucie, podczas gdy sam ześliznął się niepostrzeżenie z krzesła i wczuł pod biurko, tam podciągając kolana pod brodę. Wiedział aż za dobrze, czemu zawdzięcza wizytę generała Courteneya. Przyszedł, by porozmawiać o obrazie, jaka spotkała tu jego córkę. Dicky Lancome nasłuchiwał się dość o jego gwałtownym charakterze, by obawiać się tego spotkania.

Nasłuchiwał, tak jak leśne zwierzątko nasłuchuje kroków lamparta, przekrzywiając głowę, by wyłowić zbliżający się odgłos chodu. Oddychał bardzo płytko, rozpaczliwie starając się nie zdradzić swej kryjówki.

Ze słuchawki telefonu, która wciąż wisiała bezwładnie, dobiegał wysoki głos najwidoczniej zirytowanej niewiasty. Sięgnął po nią, by stłumić te odgłosy, nie opuszczając swej kryjówki, ale słuchawka wisiała dalej prowokująco, parę centymetrów poza zasięgiem jego dłoni.

– Wiem, że tam jesteś – zapiszczała cienko słuchawka i Dicky wychylił się jeszcze o centymetr.

Raptem dłoń, przypominająca wielkością łapę goryla, pojawiła się w polu jego widzenia, schwyciła słuchawkę i włożyła w wyciągniętą dłoń Dicky'ego.

– Proszę mi pozwolić – odezwał się gdzieś zza biurka niski, znajomy głos.

– Dziękuję, sir – wyszeptał Dicky, nawet teraz starając się nie zwracać na siebie uwagi. Uważając to za lepsze wyjście z sytuacji, wsłuchiwał się nabożnie w głos dobiegający ze słuchawki.

– Tylko nie udawaj, że mnie nie słyszysz! – oświadczył damski głosik. – Wiem wszystko

o tobie i o tym blond ladaco.

– Mam wrażenie, że to się może panu przydać – dobiegł z wysoka głęboki głos, a dłoń podała mu do kryjówki mikrofon.

– Dziękuję, sir – wyszeptał ponownie Dicky. Nie mógł zdecydować się, jakie uczucie przeważało w nim w tym momencie, upokorzenia czy strachu. Odchrząknął i przemówił do mikrofonu. – Muszę lecieć, kochanie – wyskrzecztał. – Mam właśnie bardzo ważnego klienta.

Liczył na to, że odrobina pochlebstwa złagodzi nadchodzącą burzę. Przerwał połączenie i ociągając się, wygramolił na dłoniach i kolanach spod biurka.

– Generał Courteney! – Otrzeptał się i przyglądał włosy, przybierając godną postawę i zawodowy uśmiech sprzedawcy. – Co za zaszczyt!

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem panu w czymś ważnym? – Jedyne szafirowy ognik w oku osłoniętym ciężką brwią zdradzał rozbawienie generała.

– Skąd, w żadnym razie! – zapewnił go Dicky. – Ja właśnie... – rozglądał się wokół rozpaczliwie, szukając dokończenia odpowiedzi. – Po prostu medytowałem.

– Aa! – pokiwał głową generał Sean Courteney. – To wyjaśnia wszystko!

– Czym mógłbym służyć, generale? – zapytał pospiesznie Dicky.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś bliższego o jednym z waszych młodych sprzedawców, Marku Andersie.

Dicky poczuł, że serce znów ściska mu stalowa obręcz.

– Proszę nie martwić się, generale, sam osobiście go zwolniłem – wyrzucił z siebie Dicky. – Przedtem jednak nie zostawiłem na nim suchej nitki. Tego może pan być pewien! – Zauważywszy, że krzaczaste brwi generała zbiegają się, a czoło marszczy na podobieństwo krajobrazu pustynnego, Dicky znów wpadł w panikę. – W tym mieście nie dostanie już pracy. Spokojna głowa, generale. Rozpowiedziałem o nim wszędzie. Ma wilczy bilet, tu u nas jest już stracony, ot co!

– O czym pan, u licha, mówi, człowieku? – zagrzemiał niczym wulkan generał.

– Wystarczyło jedno pańskie słowo, sir. – Dick stwierdził, że jego dłonie są zimne i wilgotne od potu.

– Moje? – Grzmienie przerodziło się w ryk i Dick poczuł się jak wieśniak spoglądający z trwogą w górę, na szczyt Wezuwiusza. – A co ja mam z tym wspólnego?!

– Pańska córka – wykrztusił z siebie Dicky. – Po tym, co jej zrobił...

– Moja córka? – potężny głos zszedł prawie do szeptu, zbyt jednak był chłodny i dobitny, by nim być. W swym brzmieniu był nawet groźniejszy niż poprzedzający go ryk. – Napastował moją córkę?

– O Boże, bynajmniej, generale! – zajęczał Dicky słabiutko. – Żaden z naszych pracowników nie odważyłby się tknąć panny Storm nawet palcem.

– Jak to było? Proszę mi dokładnie opowiedzieć.

– Zachował się bezczelnie wobec pańskiej córki, byłem pewien, że wiadomo panu o tym.

– Bezcelnie? A co takiego powiedział?!

– Powiedział jej, że nie zachowuje się, jak przystoi damie. Musiała chyba wspomnieć o tym? – Dicky przełknął ślinę, a przerażający wyraz twarzy generała złagodniał. Wyglądał na zaszokowanego i rozbawionego.

– Dobry Boże! Powiedział tak do Storm? – Co jeszcze?

– Powiedział, że powinna używać słowa „proszę”, kiedy wydaje polecenia. – Dick nie śmiał spojrzeć w oczy mężczyźnie i spuścił głowę. – Przykro mi, sir.

Generał wydobył z siebie zduszony, warczący dźwięk i Dicky szybko cofnął się o krok, gotów do obrony. Zajęło mu dłuższą chwilę, by zorientować się, że generał walczy z wesołością. Fale śmiechu wstrząsały jego piersią, a kiedy wreszcie śmiech wydobył się, odrzucił głowę do tyłu i otworzył szeroko usta. Oklapły z uczucia ulgi Dick zaryzykował stłumiony chichot, sympatyzując z generałem.

– To wcale nie jest zabawne, człowieku! – ryknął Sean Courteney i Dick natychmiast się skrzywił. – Pan jest za to odpowiedzialny. Jak można skazać mężczyznę z powodu kaprysu dziecka?

Trwało dłuższą chwilę, nim Dick pojął, że dzieckiem, o którym mowa, było wspaniałe, uparte oczko w głowie całej społeczności Natalu.

– Myślałem, że takie były pańskie rozkazy – wyjąkał Dick.

– Moje? – śmiech urwał się raptem i generał przetarł oczy. – Uważa pan, że zniszczyłbym mężczyznę za to, że okazał się na tyle męski, by przeciwstawić się fanaberiom mojej córki? Takie ma pan o mnie zdanie?

– Tak – powiedział smętnie Dicky, po czym szybko poprawił się. – Nie – a potem bezradnie: – Nie wiem, sir.

Sean Courteney wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę popatrzył na nią chwilę z namysłem.

– I Anders był przekonany tak jak pan, że to ja jestem odpowiedzialny za to zwolnienie? – zapytał teraz poważnie.

– Tak, sir. Był.

– Czy jest pan z nim w kontakcie? Zobaczy się pan z nim?

Dicky zawahał się, zebrał w sobie i wziął głęboki oddech.

– Obiecałem mu, że zatrudnię go ponownie pod koniec miesiąca, już po tym, jak rozważyliśmy wnikliwie powody zwolnienia, generale. Podobnie jak pan uważam, że kara nie była współmierna do winy.

Sean Courteney spojrział na niego z nowym błyskiem w oku i uniósł kąciki ust i jedną brew w uśmiechu.

– Kiedy zobaczy pan znów Marka Andersa, proszę powtórzyć mu naszą rozmowę i przekazać tę kopertę. Dicky wziął kopertę, a kiedy generał odwrócił się do wyjścia, usłyszał, jak tamten ponuro mamrocze:

– A teraz zajmijmy się mademoiselle Storm.

Dicky Lancome pomyślał, że łączy go z tą młodą damą poczucie wspólnoty losu.

Dobiegało południe w sobotę. Ronnie Pye siedział na tylnym siedzeniu, sztywny niczym właściciel zakładu pogrzebowego w swym karawanie. Jego mina była równie żałobna. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur z ciemnoszarego materiału i wysoki nakrochmalony kołnierzyk ze sztywno sterczącymi rogami. Okulary w złotych oprawkach umieszczone na czubku zakrzywionego nosa połyskiwały złowieszczo. Szofer zjechał z głównej ulicy Ladyburga w prostą, długą aleję prowadzącą do lśniących białych zabudowań Great Longwood położonych u podnóża zbocza. Po obu stronach alei rosły prawie dwudziestoletnie palmowate drzewa o grubych pniach. Miały tylko jeden owoc wielkości łba dzika, przypominający ogromną szyszkę włożoną wdzięcznie pomiędzy liście. Ogrodnicy Dirka Courteneya przeczesali kraj w poszukiwaniu tych drzew, dobrali wielkością i przesadzili tutaj. Podjazd został zagrabiony i spryskany wodą, by pokonać podnoszący się kurz. Przed samym domem stało dwadzieścia, a może trzydzieści drogich samochodów.

– Zaczekaj tu na mnie – powiedział Ronald Pye. – To nie zajmie mi dużo czasu.

Wysiadając spojrzął z dołu na elegancką fasadę. Była dokładną kopią siedziby Simona Van der Stela, pierwszego gubernatora Przylądka Dobrej Nadziei, która stoi w Konstancy. Architekci Dirka Courteneya wymierzili i skopiowali dokładnie każdy pokój, każdy najmniejszy łuk i detal architektoniczny. Koszty musiały być zawrotne.

Ronny Pye zatrzymał się pośrodku holu, rozglądając się wokół zniecierpliwiony, nikt bowiem nie spieszył, by go przywitać, mimo że został zaproszony – „wezwany” byłoby lepszym określeniem – dokładnie na godzinę dwunastą.

Dom tętnił życiem. Gdzieś w głębi słychać było kobiece głosy i ich dźwięczne śmiechy, podczas gdy w pobliżu pobrzmiwały niższe pomruki mężczyzn, przerywane wybuchami rubasznego śmiechu. Były to głosy o brzmieniu beztróskim i schrypniętym od wypitego alkoholu.

Cały dom pachniał perfumami, cygarami i oparami alkoholu. Ronnie zauważył opróżnione, kryształowe kielichy stojące na bezcennym stole z drzewa różanego w holu. Plamiły jego błyszczący blat, pozostawiając wilgotne ślady. Para porzuconych perłoworóżowych damskich majteczek wisiała prowokacyjnie na klamce drzwi wiodących do salonu.

Gdy stał tak, wahając się, drzwi na końcu holu otworzyły się i weszła młoda kobieta. Miała nieobecny, skołowany wzrok lunaticzki. Sennie sunęła przez hol na schludnie obutych stopkach. Ronnie Pye zauważył, że była to młoda dziewczyna, prawie dziecko, mimo rozmazanego i spływającego po twarzy makijażu. Ciemne kręgi od tuszu do rzęs sprawiły, że twarz jej sprawiała wrażenie zniszczonej i jakby nawiedzanej. Rozmazana szminka nadała ustom wygląd zgniecionej, przekwitłej róży. Prócz pantofli na stopkach była całkiem naga.

Miała dziewczęce, niedojrzałe piersi, o białych nie ukształtowanych sutkach, a skłębione potargane pasma blond włosów spływały jej do ramion.

Spowolnionymi jakby pod wpływem narkotyków ruchami zdjęła figi z klamki i ubrała się w nie. Nagle zauważyła Ronniego Pye stojącego przy drzwiach wejściowych. Uśmiechnęła się do niego krzywym, zdeprawowanym uśmiechem rozmazanych, nabrzmiałych ust.

– Jeszcze jeden? No, dobra, chodź więc, kochanie. – Zrobiła krok w jego stronę, zatoczyła się nagle i chwyciła stołu dla odzyskania równowagi. Jasna twarz lalki pobladła i zrobiła się przezroczysta jak alabaster. Powolnym ruchem pochyliła się i zwymiotowała na grube jedwabne sploty dywanu z Qum.

Ronnie Pye odwrócił się z okrzykiem obrzydzenia i skierował ku drzwiom wiodącym do salonu.

Nikt nie zauważył jego wejścia, mimo iż w pokoju znajdowało się dwadzieścioro lub nawet więcej osób. Wszyscy patrzyli ze skupioną uwagą na blat masywnego stołu do gry, inkrustowanego mozaiką z hebanu i kości słoniowej. Był on zasłany sztonami pokerowymi z kości słoniowej w różnych kolorach. Przy stole siedziało czterech mężczyzn, każdy z wachlarzem kart przy piersi. Wszyscy zwróceni byli ku temu siedzącemu u szczytu stołu. W powietrzu czuło się atmosferę napięcia.

Ronnie nie zdziwił się, rozpoznając w jednym z graczy swego szwagra. Wiedział, że Dennis Petersen jest stałym gościem biesiad w Great Longwood. Przelotnie pomyślał o swej uległej, obowiązkowej siostrze, zastanawiając się, czy ona również wie.

Ten człowiek pograży nas wszystkich – z goryczą pomyślał Ron, przyglądając się Dennisowi. Zauważył mętne, przekrwione oczy w białej ściągniętej napięciem twarzy. Ja przynajmniej uniknąłem tego ostatniego stadium degeneracji. Pomimo ogromu zła, w które mnie wpędził, zachowałem resztki godności osobistej.

– Moi panowie, pragnę obwieścić wam coś. Nie będą to przyjemne wieści – powiedział Dirk Courteney, uśmiechając się uprzejmie. – Damy lgną do mnie. – Rozłożył odkryte karty na zielonym suknie. Cztery dwornie odziane damy patrzyły przed siebie obojętnym wzrokiem. Pozostali gracze przyglądali się im przez chwilę, po czym jeden po drugim, z okrzykami zniechęcenia, rzucali karty na stół.

Dennis Petersen jako ostatni przyznał się do porażki, z twarzą ściągniętą i drżącymi dłońmi. Potem wydobywszy z siebie prawie że szloch pozwolił, by karty wypadły mu z rąk, odsunął krzesło i potykając się ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się w pół drogi, gdy rozpoznał posępną, nieprzystępną postać szwagra. Gapił się na niego przez chwilę z drżącymi wargami, mrugając przekrwionymi oczami, potem potrząsnął głową, jakby nie dowierzając własnym oczom.

– Ty tutaj?

– O, tak! – zawołał Dirk zza stołu, z którego zbierał właśnie stosik karcianych żetonów. – Czyżbym zapomniał ci powiedzieć, że zaprosiłem Ronalda? Wybaczcie – zwrócił się do

pozostałych graczy. – To zajmie mi tylko chwilkę. – Wstał zza stołu, odtrząsnął natrętne dłonie jednej z kobiet i podszedł do Ronalda Pye i jego szwagra. Objął ich przyjacielsko i skierował ku wyjściu z salonu i długiego korytarza prowadzącego do gabinetu.

Nawet w samo południe pokój o grubych kamiennych ścianach był chłodny i mroczny za ciężkimi welurowymi kotarami. Był wyłożony boazerią z ciemnego drewna i wysłany puszystymi orientalnymi dywanami. Na ścianach wisiały ponure, jakby przydymione obrazy olejne, jeden z nich, co wiedział nawet Ronald Pye, autorstwa Reynoldsa, drugi Turnera. Masywne meble były obite skórą w kolorze czekolady – pokój ten zawsze przygnębiał Ronalda. Zawsze myślał o nim jako o samym środku pajęczyny, w którą on i jego rodzina z wolna się wplątywali.

Dennis Petersen osunął się na jedno ze skórzanych krzeseł, po chwili wahania Ronald Pay zajął podobne, stojące naprzeciwko. Siedział w nim sztywno, dezaprobująco.

Dirk Courteney nalał czystej whisky do szklanek stojących na srebrnej tacy na rogu dużego mahoniowego biurka i bez słów zaproponował jedną z nich Ronaldowi, ten jednak pokręcił odmownie głową. Podał więc szklankę mieniącego się bursztynowo płynu Dennisowi. Ten przyjął ją drżącymi dłońmi, wziął głęboki łyk i wybelkotał pospiesznie:

– Czemu to zrobiłeś, Dirk? Przecież obiecałeś, że nikt nie dowie się, że tu jestem, obiecałeś i zapraszasz go tu – zerknął na srogą twarz szwagra.

Dirk zachichotał.

– Zawsze dotrzymuję obietnic, dopóki mi się to opłaca. – Uniósł swoją szklankę. – Ale przecież między nami trzema nie ma tajemnic. Wypijmy za to.

Kiedy opuścił szklankę, Ronald Pye zapytał:

– Po co zaprosiłeś mnie tu dzisiaj?

– Mamy wiele problemów do przedyskutowania, a jednym z nich jest obecny tu Dennis. Jako pokerzysta jest strasznym pechowcem.

– Ile? – zapytał cicho Ronald Pye.

– Powiedz mu, Dennis – zachęcił Dirk.

Czekali, podczas gdy on wpatrywał się w resztkę alkoholu w szklance.

– No więc? – odezwał się znów Ronald Pye.

– Nie wstydz się, Dennis, mój ty zادیorny koguciku. – Dirk ponaglił go znów.

Dennis wybelkotał jakąś kwotę, nie podnosząc głowy. Ronald Pye przeniósł swój ciężar na skórzanym krześle, usta mu zadrżały.

– To dług karciany. Odmawiamy spłacenia go.

– Czy mam poprosić jedną czy dwie z obecnych tu pań, by udały się do twojej siostry i zdały jej dokładną relację o różnych małych figlach Dennisa w tym domu? Czy wiedziałeś, że Dennis najbardziej lubi, by wypinały się i...

– Nie zrobiłbyś tego, Dirk – zaskomlał Dennis. – Nie zrobisz tego – ukrył twarz w dłoniach.

– Jutro dostaniesz czek – powiedział cicho Ronald Pye.

– Dziękuję ci, Ronnie. Robić z tobą interesy to przyjemność.

– Czy to już wszystko?

– O, nie! – Dirk uśmiechnął się do niego. – Skądże znowu. – Podszedł do Dennisa z kryształową karafką i ponownie napełnił mu szklanę. – Mamy jeszcze jeden mały pieniężny problem do przedyskutowania. – Nalał whisky do swojej szklanki i uniósł ją pod światło. – Sprawy bankowe – powiedział, ale Ronnie Pye wtrącił się szybko.

– Myślę, że powinien pan wiedzieć, iż zamierzam przejść w banku na emeryturę. Zaproponowano mi wykupienie reszty moich udziałów i właśnie jestem w trakcie rozmów w sprawie zakupu winnicy na przylądku. Chcę opuścić Ladyburg i przenieść się tam z rodziną.

– Nie – Dirk pokręcił głową, uśmiechając się lekko. – Ty i ja zostaniemy razem na zawsze. Więzy, które nas łączą, są nierozzerwalne. Chcę mieć cię przy sobie. Chcę mieć kogoś, komu zawsze mogę ufać, być może jesteś nawet jedyną osobą na tym świecie, której ufam. Mamy tyle wspólnych tajemnic, przyjacielu. Łączy nas nawet morderstwo.

Zamarli słysząc to słowo. Krew z wolna odpłynęła z twarzy Ronalda Pye.

– John Anders i jego syn – przypomniał mu Dirk.

Obaj wpadli mu w słowo.

– Chłopakowi udało się uciec...

– On żyje?

– Ale już niedługo – zapewnił ich Dirk. – Mój człowiek jest właśnie w drodze do niego. Tym razem przestanie nam sprawiać kłopoty.

– Nie możesz tego zrobić. – Dennis potrząsnął gwałtownie głową.

– Dlaczego nie, na miłość boską?

– Zostaw to! – błagał teraz Ronald Pye, cała sztywność opuściła go nagle. – Zostaw chłopaka w spokoju, mamy już i tak dość...

– Nie. On nie zostawi nas w spokoju – rozsądnie tłumaczył Dirk. – Wytrwale zbiera wszelkie informacje o nas i o tym, czym się zajmujemy. Przez czysty przypadek dowiedziałem się, gdzie teraz przebywa, jest tam zupełnie sam w bardzo odludnym miejscu.

– Czego jeszcze chcesz od nas? – zapytał po chwili Ronald.

– Czy wreszcie możemy przejść do omawiania spraw we właściwy urzędowy sposób? – Dirk przysiadł na brzegu biurka i wziął do ręki antyczny pistolet, który służył mu jako przycisk do papierów. Mówiąc obracał nim, trzymając palec między cynglem a jego obudową. – Kończy mi się dopływ funduszy na program, który wdrożyłem pięć lat temu. Spadły ceny cukru, bank zredukował fundusz inwestycyjny – ale to chyba dobrze wiecie.

Ronnie Pye przytaknął ostrożnie.

– Postanowiliśmy uzależnić, przynajmniej na parę najbliższych lat, zakupy ziemi od wpływów gotówki. Musisz być cierpliwy.

– Jestem bardzo niecierpliwym człowiekiem, Ronny!

– Będziemy mieli niedobór dwustu tysięcy rocznie przez co najmniej trzy nadchodzące lata. Postanowiliśmy dokonać cięć – ciągnął Ronald Pye, ale Dirk już nie słuchał. Zakręcił pistoletem, wycelował zeń w oko portretu nad kominkiem i opuścił kurek na pustą panewkę.

– Dwieście tysięcy rocznie przez trzy lata daje sześćset tysięcy funtów szterlingów – rozmyślał Dirk na głos, opuszczając pistolet. – Przypadkiem taką właśnie sumę zapłaciłem za twoje udziały jakieś dziesięć lat temu.

– Nie – powiedział Ronald Pye. W jego głosie zabrzmiała nutka paniki. – To moje własne pieniądze, prywatny kapitał, nie mający nic wspólnego z bankiem.

– Nieźle to sobie obmyśliłeś – pogratulował mu Dirk. – Te udziały w Crown Deep opłaciły ci się stokrotnie, to był wspaniały zakup. Według moich ostatnich obliczeń, twoje osobiste dochody wynoszą coś około ośmiuset tysięcy.

– To dla zabezpieczenia mojej rodziny, mojej córki i wnuków – powiedział Ronnie głosem przepelnionym rozpaczą.

– Te pieniądze są mi potrzebne, i to zaraz – powiedział spokojnie Dirk.

– A co z twoimi osobistymi środkami, zasobami, majątkiem? – zapytał dramatycznie Ronald Pye.

– Naciągnięte do granic wytrzymałości, drogi Ronaldzie, wszystko ulokowane w ziemi i trzcinie cukrowej.

– Mógłbyś zaciągnąć pożyczkę pod...

– O, po co miałbym pożyczać od nieznajomych, skoro mój bliski i zaufany przyjaciel udzieli mi pożyczki poprzez Bank Rolniczy w Ladyburgu? Czy można wyobrazić sobie lepsze zabezpieczenie niż dane przez tak szacowną instytucję? Pożyczka, Ronaldzie, to przecież tylko pożyczka.

– Nie – powiedział Ronald Pye wstając. – Te pieniądze nie należą do mnie. Należą do mojej rodziny. – Zwrócił się do szwagra. – Chodź. Zawiozę cię do domu.

Uśmiechając się swym urokliwym, promiennym uśmiechem, Dirk wycelował z antycznego pistoletu między oczy Dennisa Petersena.

– Zostań tam, gdzie jesteś, Dennis – rozkazał i ponownie spuścił kurek.

– Wszystko w porządku – powiedział Ronald Pye do Dennisa. – Uda nam się wypłatać z tego, jeśli tylko będziesz się trzymał ze mną. – Ronald posapywał lekko, pocąc się jak po długim biegu. – Jeśli oskarży nas o morderstwo, oskarży sam siebie. Możemy udowodnić, że nie zaplanowaliśmy tego, że to nie my wydawaliśmy rozkazy. Myślę, że on blefuje. Musimy zaryzykować, jeśli chcemy się go pozbyć. – Odwrócił się do Dirka. W jego oczach był twardy błysk wyzwania. – Trzeba pozbyć się tego potwora. Jeśli mu na to pozwolimy, skaże nas na wieczne potępienie i pociągnie za sobą w odmęt.

– Cóż za dobrze przemyślane stwierdzenie! – zaśmiał się Dirk zachwycony. – Jestem święcie przekonany, że nie stać cię na to, by zrobić coś takiego naprawdę.

– Chodź, Dennis. Niech pogrąży się dalej sam. – Ruszył ku drzwiom, nie patrząc na żadnego z nich.

– Które ze swoich wnucząt kochasz bardziej, Ronaldzie, Nathalie czy Victorie? – zapytał wciąż śmiejąc się Dirk. – A może tego małego – jak mu tam? Cholera! Powinienem wiedzieć, jak ten smarkacz ma na imię, przecież jestem jego ojcem chrzestnym – zaśmiał się znów i strzelił w palce, przypomniawszy sobie nagle. – Niech mnie szlag, Ronaldzie, tak jak jego dziadzius. Mały Ronald.

Ronald Pye zatrzymał się przy drzwiach i stał tam, patrząc poprzez cały pokój. Dirk uśmiechnął się, jakby właśnie usłyszał pyszny dowcip.

– Mały Ronald – powiedział kierując broń ku wyimaginowanej postaci stojącej pośrodku dywanu. Drobnej postaci, zdawało się, sięgającej nie wyżej niż do kolan mężczyzny. – Śpij spokojnie, mały Ronaldzie – wymamrotał i spuścił kurek. – Dobranoc, mała Nathalie – zwrócił broń ku kolejnej niewidocznej postaci i nacisnął spust. – Dobranoc, mała Victorio. – Pistolet znów zadzwieczał – metaliczny odgłos przeciął przerażająco ciszę pokoju.

– Nie mógłbyś – głos Dennisa był przytłumiony. – Nie zrobiłbyś...

– Bardzo potrzebuję tych pieniędzy – powiedział Dirk.

– Nie zrobiłbyś tego...

– Wciąż powtarzasz mi, czego nie mógłbym zrobić. Od kiedy stałeś się wytrawnym znawcą moich zachowań?

– Ale przecież nie dzieci? – błagał Dennis.

– Zrobiłem to już kiedyś – przypomniał Dirk.

– Tak, ale nie dzieci. Nie małe dzieci.

Ronald Pye stał znieruchomiały przy drzwiach. Zdawało się, że przez te minione parę sekund postarzał się o dziesięć lat. Ramiona pochyliły się, twarz poszarzała i poznały się głębokimi bruzdami. Skóra wokół jego oczu zapadła się i zwiotczała.

– Zanim wyjdiesz, Ronnie, pozwól, że opowiem ci historię, którą tak rozpaczliwie chciałeś poznać przez te minione lata. Wiem, że straciłeś mnóstwo czasu i pieniędzy, starając się to zrobić. Wróć na swoje miejsce, proszę. Kiedy mnie wysłuchasz, pozwolę ci odejść – jeśli nadal będziesz tego chciał.

Dłoń RONALDA PYE opadła bezwładnie z klamki. Powlókł się z powrotem ku krzesłu i osunął się na nie, jakby wszystkie członki nagle odmówiły mu posłuszeństwa.

Dirk napełnił whisky wolną szklankę i postawił na oparciu jego krzesła, w zasięgu ręki, a ten już nie protestował.

– Będzie to opowieść o tym, jak dziesięcioletni dorobił się miliona funtów w gotówce i wydał je na zakup banku. Kiedy skończę, chcę, byś zadał sobie pytanie, czy jest taka rzecz, której by wtedy nie zrobił.

Dirk wstał i zaczął chodzić po grubym perskim dywanie, niczym uwiecznione dzikie zwierzę, prężne i pełne gracji, ale także niebezpieczne i okrutne. Zaczął opowiadać cichym,

monotonnym głosem, oplatającym ich niby nić hipnozy, tak że kręcili za nim głowami, by dopasować się do jego równych, przemierzających pokój kroków.

– Nazwijmy tego chłopca Dirk, to dobre imię – twarde jak dla młodzieńca wyrzuconego przez ojca tyrana i zmuszonego wyruszyć i zdobyć na własną rękę to, o czym zawsze marzył. Chłopca, który szybko nauczył się nie bać niczego. Chłopca, który w swoje dziewiętnaste urodziny został mianowany pierwszym oficerem na rozpadającym się, opalonym węglem starym parowcu przewożącym podejrzone ładunki do najpodlejszych zakątków Orientu. Chłopiec ten sam jeden potrafił sterować statkiem i z pomocą batoga nauczył posłuszeństwa załogę, złożoną wyłącznie z czarnuchów. Szyper w tym czasie zapijał się ginem w swojej kajucie. – Zatrzymał się przy biurku, ponownie napełnił szklankę i zwrócił się do swych słuchaczy: – Czy ta opowieść wciąga was jak dotąd?

– Jesteś pijany – stwierdził Ronald Pye.

– Ja się nigdy nie upijam – poprawił go Dirk i ponownie wznowił nerwową wędrówkę. – Nazwijmy ten parowiec L'Oiseau de Nuit – „Ptak Nocy”, aczkolwiek nie była to najodpowiedniejsza nazwa dla tej cuchnącej łajby. Jej kapitanem był Le Doux – „ten najśłodszy” – i znów to drobne niedopasowanie imienia – zachichotał do swych wspomnień Dirk i pociągnął łyk ze szklanki. – Wesoła załoga rozładowała kontrabandę u ujścia Żółtej Rzeki w lecie 1909 roku, a następnego dnia zawinęła do Liang Su po legalny tym razem ładunek powrotny. Herbatę i jedwab. Stojąc na redzie, widzieliśmy miasto w płomieniach i wybuchy lekkiej broni. Nabrzeże było prawie puste, prócz paru łupinek i jednej czy dwóch łodzi. Prerażeni mieszkańcy miasta tłoczyli się w porcie, histerycznie wołając o pomoc. Wskakiwali do basenu setkami i płynęli w kierunku, gdzie był zacumowany „Ptak Nocy”. Bosman pozwolił dwóm z nich wejść na pokład, po czym skierował strumień wody z hydrantu na pozostałych, odsuwając ich i jednocześnie nasłuchując, co się dzieje.

Dirk przerwał, przypominając sobie, jak ciśnienie ostrego strumienia wody wpychało nadpływających pod brudną, żółtą powierzchnię basenu i jak pozostali wyli bezsilnie i ponawiali próby podpłynięcia. Uśmiechnął się i powstał.

– Komunistyczny pan wojny, Han Wang, zaatakował port i poprzysiągł bogatym kupcom śmierć w bambusowych klatkach. Bosman dobrze wiedział o bogactwie kupców z Liang Su. Po naradzeniu się z kapitanem wyprowadził „Ptaka Nocy” wzdłuż nabrzeża, po drodze uwalniając go z tych parszywych wieśniaków strumieniami pary i paroma strzałami z broni. Potem na czele grupy łascarów, *[mieszkaniec Indii Wschodnich służący na europejskim statku]* którą udało mu się skrzyknąć, udał się do najokazalszego domu w mieście, gdzie zebrali się handlarze herbaty, sparaliżowani strachem i z rezygnacją oczekujący najgorszego. – Jeszcze jedną whisky, Ronnie?

Ronald Pye pokręcił głową, nie spuszczać oczu z twarzy Dirka od samego początku opowieści. Dirk uśmiechnął się teraz do niego.

– Bosman ustanowił tak wysoką stawkę za przewóz, że tylko najbogatsi mogli sobie nań

pozwolić. Dwa tysiące suwerenów na głowę, ale i tak na pokład weszło dziewięćdziesiąt sześć osób, każdy uginający się pod ciężarem dobytku. Nawet dzieci dźwigały ciężary, pudła, paczki i worki – a skoro już jesteśmy przy dzieciach, było ich czterdzieścioro ośmiu w tej grupie. Byli tam sami chłopcy, rzecz jasna. Żaden Chińczyk przy zdrowych zmysłach nie wydałby dwóch tysięcy funtów na ratowanie potomka płci żeńskiej. Byli tam sami chłopcy, od niemowląt po wyrostków, niektórzy w wieku twojego małego RONALDA. – Dirk przerwał na sekundę dla zaakcentowania ostatniego zdania, po czym kontynuował dalej. – Był już najwyższy czas, bo kiedy ostatni z nich wszedł na pokład i bosman odbił od nabrzeży, bandyci Wang Hana wdarli się do miasta, torując sobie drogę do portu. Ogień ze strzelb uderzał o główny pokład, rozłupując deski „Ptaka Nocy” i wypłaszając nowo zabranych pasażerów do pustych ładowni. Parowiec oparł się atakowi i umknął w dół rzeki, by o zmierzchu wypłynąć na ciche tropikalne morze.

Kapitan Le Doux nie chciał uwierzyć w swoje szczęście – blisko dwieście tysięcy suwerenów w złocie, zamkniętych w skrzyni po herbacie w jego kajucie. Obiecał młodemu Dirkowi tysiąc z nich. Ale Dirk wiedział, ile były warte obietnice kapitana. W każdym razie zaproponował pomnożenie zysku. Stary Le Doux był prawdziwym twardzielem, zanim zniszczył go alkohol. Przewoził już niewolników z Afryki, opium z Indii, ale teraz zmiękł, z przerażeniem wysłuchawszy propozycji młodego człowieka. Błuznił modląc się do Boga, po czym zapłakał: *Les pauvres petits*. [biedne maleństwa] Łkał, wlewając w siebie gin do późnej nocy, aż wpadł w otępienie, z którego, jak Dirk dobrze wiedział, nie ocknie się przez najbliższe 48 godzin.

Bosman wszedł na mostek i włączył syrenę okrętową, wzywając pasażerów na pokład. Oznajmił im, że zbliża się kanonierka rządowa, by ich aresztować, i pod tym pretekstem zagnał handlarzy do pustych ładowni. Szli tam jak owce, ściskając mocno tobołki. Bosman i jego lascarowie zabarykadowali ładownie solidnie i mocno. Czy domyślacie się dalszego ciągu? – zapytał Dirk. – Daję gwineę za prawidłową odpowiedź.

Ronald Pye oblizwał poszarzałe, suche wargi i potrząsnął głową przecząco.

– Nie? – drażnił się Dirk. – Za szybko zrezygnowałeś z tej gwinei, to proste. Bosman kazał otworzyć luki i zatopić ładownie – spojrzał na nich z zaciekawieniem, czekając na reakcję. Żaden z nich nie był w stanie przemówić i kiedy Dirk podjął opowieść, zmienił trochę jej formę.

Już nie mówił w trzeciej osobie. Mówił teraz „my” i „ja”.

– Rzecz jasna nie zalaliśmy ich całych, bo nawet przy spokojnym morzu zwiększenie zanurzenia i przechyły mogłyby wywrócić statek. Gdzieś pod pokładem musiało zostać trochę powietrza i oni podnosili ku niemu swoje dzieci. Słyszałem ich głosy poprzez czterocalowe luki ładowni. Przez ponad pół godziny dobiegały stamtąd krzyki i wycie, dopóki zapas tlenu nie wyczerpał się i nie pochłonęła ich woda. Kiedy wreszcie było po wszystkim, otworzyliśmy ładownie, zobaczyliśmy, że oddarli drewnianą wykładzinę poszycia gołymi

rękami i rozłupali ją niczym oszalale małpy w klatce.

Dirk podszedł do krzesła stojącego przy samym kominku i usiadł w nim ciężko. Zamieszał whisky ruchem prawej dłoni i jednym haustem opróżnił szklanę. Cisnął nią do wnętrza kominka, a kryształ rozprysł się na tysiące diamentowych kawałków. Milczeli wszyscy, wpatrując się w odłamki szkła.

– Dlaczego? – wyszeptał w końcu ochryple Dennis. – Na litość boską, dlaczego ich zabiłeś?

Dirk nie spojrzał nawet na niego, zatopił się w swej przeszłości, znów przeżywał ciężkie chwile. Zaraz powstał i jął mówić dalej:

– Wypompowaliśmy ładownie i rozkazałem lascarom przenieść wszystkie ciężkie, nasiąknięte wodą paczki, pudła i worki do salonu. Boże! Ronny, szkoda, że cię tam nie było. To był widok, który doprowadziłby człowieka tak chciwego jak ty do obłędu. Zebrałem wszystko na stole w salonie. Był to skarb zebrany w czasie całego długiego życia przez tych sprytnych ludzi. Leżało tam złoto w sztabach i monetach, diamenty wielkości opuszka twego kciuka, rubiny tak wielkie, że zadławiłyby wielbłąda, szafiry. Handlarze z Liang Su należeli do najbogatszych ludzi w całych Chinach. Razem z pieniędzmi za przewóz wartość tego wszystkiego wynosiła jakiś milion szterlingów...

– A kapitan Le Doux? Co z jego dołą? – zapytał Ronald Pye, którego umysł biegłego księgowego nie przestawał pracować nawet w chwili przerażenia.

– Kapitan? – Dirk pokręcił głową i uśmiechnął się chłopięco. – Biedny Le Doux. Musiał wypaść za burtę tej nocy. Był tak pijany, że nie mógł nawet pływać – w Morzu Chińskim aż roi się od rekinów. Bóg mi świadkiem, musiały je zwabić ciała Chińczyków pływające wszędzie wokół. Nie podzieliłem się łupem, nie licząc wynagrodzenia dla lascarów. Dwieście funtów dla każdego, był to majątek przekraczający ich najśmielsze marzenia. Tak więc został milion funtów za jedną noc pracy. Milion, nim ukończyłem dwudziesty rok życia.

– To najstraszniejsza opowieść, jaką w życiu słyszałem. – Głos Ronalda Pye’a drżał tak, jak dłoń unosząca szklanę do ust.

– Miej ją w pamięci, kiedy znów pomyślisz o opuszczeniu Ladyburga – poradził Dirk, nachylając się, by poklepać go po ramieniu. – Jesteśmy współnikami aż do śmierci – powiedział.

Dni mijały Markowi szybko. Wkrótce miał opuścić dolinę i powrócić do świata ludzi i ich cywilizacji. Na myśl o tym ogarnęła go cicha rozpacz. Przeszukał południowy brzeg, każdą jego stromiznę, a teraz przeszedł na lewy brzeg i zaczął wszystko od początku.

Tutaj po raz pierwszy coś ostrzegło go, że nie jest jedyną istotą ludzką w tej dolinie. Pierwszego dnia natknął się na wnyki zastawione przy ścieżce wiodącej do wodopoju nad rzeką. Zrobione były z takiego samego drutu jak ten, który znalazł na okaleczonej, zajętej gangreną nodze łani. Był to drut o średnim przekroju, galwanizowany, z miękkiej stali,

najprawdopodobniej odcięty z jakiegoś farmerskiego ogrodzenia.

Tego dnia Mark odkrył szesnaście takich samych wnyków. Zniszczył je wszystkie, zwinął drut w kłęb i wyrzucił w głęboki nurt rzeki. Dwa dni później znalazł kłodę drzewa tak sprytnie zastawioną, że przygniotła swym ciężarem dorosłą wydrę. Markowi udało się podważyć ją za pomocą gałęzi i wyciągnąć martwe zwierzę. Gładził miękkie, cudownie czekoladowe futro i poczuł nagły przypływ złości. Bez uzasadnionego powodu wyrobił w sobie silne poczucie własności w odniesieniu do zwierząt zamieszkujących dolinę i nasilającą się złość na każdego, kto polował i męczył je.

Dzielił teraz czas równo na poszukiwanie grobu dziadka i nowych śladów kłusownika. Minał kolejny tydzień, nim natrafił na następny ślad tajemniczego myśliwego.

Brnął przez rzekę każdego dnia o świcie, udając się do pracy na jej południowym brzegu. Uprościłby sobie znacznie życie, opuszczając obozowisko pod figowcem, ale sentyment nie pozwolił mu na to. Wszak było to obozowisko dziadka, ich wspólne obozowisko. Poza tym codzienne przekraczanie rzeki sprawiało mu przyjemność w równej mierze, co wędrówka wzdłuż bagiennych rozlewisk u zbiegu rzeki. Mimo że poruszał się zaledwie po obrzeżu tego świata, już rozpoznał w nim samo serce dziczy. Nie wysychające źródło bezcennej wody i jeszcze cenniejszego życia. Ostatni bezpieczny azyl dla wszystkich stworzeń tej doliny.

Niemal codziennie widział ślady grubego zwierza na błotnistych ścieżkach wiodących pomiędzy wystrzelającymi ku niebu wieżycami sitowia i papirusu, łączącymi się nad głową, tworzącymi cienisty, chłodny tunel o jasnozielonej poświacie. Wiedział, że żyły tam bawoły Cape. Dwa razy nie widząc usłyszał je, jak przedzierają się przez gąszcz papirusu. Żyły też hipopotamy i krokodyle. Te spędzały całe dnie u brzegów ciemnych, porośniętych szuwarami stawów i ocienionych malowniczo rzesą rozlewisk.

Często budził się w nocy, otulał mocniej kocem i wsłuchiwał w głucho, chrapliwe pomruki rozbrzmiewające na bagiennym terenie.

Pewnego popołudnia siedział na skalistym, porośniętym zboczu cypla wcinającego się w bagno i obserwował białego nosorożca, który wyprowadził swoje młode z bezpiecznej kryjówki w szuwarach na popas u skraju buszu.

Była to olbrzymia stara samica o bladoszarej skórze pokrytej szramami i zadrapaniami. Pofałdowana i zmarszczona pokrywała masywne, prehistoryczne cielsko ważące najmniej cztery tony. Matka czujnie krzątała się wokół swego maleństwa, kierując je lekko zakrzywionym rogiem. Młode nie miało jeszcze rogu i było tłusciutkie niczym warchlak. Obserwując tych dwoje, Mark zdał sobie sprawę, jak bardzo zżył się z tą okolicą i jak stała się częścią jego życia. Władcze uczucie miłości, którą do niej żywił, znalazło potwierdzenie.

Żył tu, jakby był pierwszym człowiekiem na Ziemi. Zaspokajało to jego głęboką, atawistyczną potrzebę duszy. Tego dnia natrafił na świeże ślady obecności człowieka poza Bramą Chaki.

Szedł właśnie jedną z maleńkich ścieżynek wydeptanych wzdłuż skarpy przez zwierzyne,

jedną z wielu drózek łączących rozległe polany, kiedy zauważył odcisk stopy. Była to bosa stopa, o płaskim podbiciu. Stopa, której nie odkształciło noszenie skórzanego obuwia. Mark ukląkł, by przyjrzeć się dokładnie. Była zbyt duża, by należeć do kobiety, to stwierdził prawie natychmiast.

Długość kroków świadczyła o wysokim wzroście mężczyzny. Palce stóp były skierowane nieco ku sobie, a ciężar przeniesiony na pięty. Przypominało to sposób chodzenia atlety. Nie było śladów suwania stopami przy wyrzucie nogi w przód, kroki były stawiane pewnie, a ciężar przenoszony z kontrolowanym wyczuciem. Ten niewątpliwie żywotny i czujny mężczyzna poruszał się szybko i bezgłośnie.

Ślad był tak świeży, że wokół wilgotnej plamy, gdzie mężczyzna zatrzymał się dla załatwienia potrzeby, w obłoku soli i pary unosiły się motyle.

Mark znajdował się zaledwie parę kroków za nim, więc z uczuciem podniecenia rasowego łowcy, bez zastanowienia zaczął biec śladami stóp. Odległość zmniejszała się szybko. Mężczyzna, nieświadom tego, zatrzymał się, by urwać zieloną gałązkę dzikiej akacji, przypuszczalnie chcąc użyć jej jako wykałaczk. Zmiażdżone włókna, które Mark znalazł tuż obok, były jeszcze wilgotne i zakrwawione.

Mężczyzna zatrzymał się nagle, cofnął o krok po własnych śladach, znów się zatrzymał, najpewniej nasłuchując, po czym gwałtownie skręcił ze ścieżki. Po kolejnych dziesięciu krokach ślady urywały się zupełnie, jakby nieznajomy nagle poderwał się do lotu lub został uniesiony w przestworza na ognistym rydwaniu. Jego zniknięcie było nieprawdopodobne, niemal czarodziejskie, i mimo iż Mark trzymał się jeszcze godzinę, krążąc i wypatrując, nie zauważył najmniejszego śladu.

Kiedy usiadł i zapalił papierosa, poczuł, jak bardzo jest wyczerpany i rozbity. Użył właśnie całego swego kunsztu tropiciela i został wywieziony w pole niczym sztubak. Mężczyzna wyczuł, że jest śledzony, najpewniej z wyprzedzeniem co najmniej dziesięciometrowym. Musiał zboczyć i zatrzeć własne ślady, unikając pościgu z taką łatwością, że Mark odebrał to prawie jak osobistą obelgę.

Siedząc tak stwierdził, że humor pogorszył mu się jeszcze bardziej, z wolna przeradzając się w zimną wściekłość.

– Jeszcze cię dopadnę – obiecał na głos nieznajomemu. Nie pomyślał ani przez chwilę, co by zrobił, gdyby ten pościg zakończył się sukcesem. Jedno wiedział na pewno, rzucono mu wyzwanie, a on je podjął.

Ten mężczyzna jest przebiegły jak – tu Mark zaczął zastanawiać się nad właściwym porównaniem i znalazłszy trafne uśmiechnął się. Ten człowiek jest przebiegły jak szakal, ale bez najmniejszych wątpliwości był Zulusem i Mark użył w myślach zuluskiego odpowiednika „Pungushe”.

– Będę cię wypatrywał, Pungushe. Jeszcze cię złapię, ty mały szakalu. – Wraz z wymówieniem tej pogróżki poprawił mu się humor. Zdusił niedopałek. Teraz poczuł, że

z niecierpliwością oczekuje turnieju o sprawność buszmena między nim a Pungushe.

Od tej chwili, gdy szedł przez busz, machinalnie wypatrywał znajomych śladów stóp odcisniętych w miejscach, gdzie ziemia była pulchna, i podświadomie liczył na ujrzenie sylwetki ludzkiej znikającej pomiędzy drzewami. Trzykroć jeszcze trafił na te ślady, ale za każdym razem były już zimne, rozwiane przez wiatr i niewarte tropienia.

Dni mijały w magicznym kręgu nieba i gór, słońca, rzeki i moczarów. Czas zdawał się bezkresny i dopiero gdy policzył na palcach dni, zdał sobie sprawę, że miesiąc dobiega już prawie końca. Poczłł smutek rozstania, podobny do odczuć dziecka pod koniec idyllicznych wakacji letnich, po których czekają go szkolne obowiązki.

Tej nocy wrócił do obozowiska pod figowcem, gdy już zapadał zmierzch. Oparł karabin o pień drzewa i stał tak przez chwilę, przeciągając obolałe mięśnie i rozkoszując się perspektywą gorącej kawy, kiedy nagle zamarł i opadł na kolana, by zbadać miękką i pulchną podściółkę.

Mimo zapadającej szarówki nie miał wątpliwości, że widniały na niej ślady bosych, dużych stóp. Rozejrzawszy się szybko, Mark przecesał wzrokiem otaczający go, znikający w mroku busz, czując dreszcz niepokoju, że może być obserwowany. Stopniowo się uspokoił, gdy nabrał pewności, że jest sam. Idąc po śladach, dotarł do drzewa i odszukał ukryty w nim plecak. Wnikliwie zbadał jego zawartość, odkładając każdą rzecz na miejsce, po czym włożył do poprzedniego schowka. Gdyby Mark nie zauważył śladów stóp na ziemi, nie przeszłoby mu przez myśl, że zawiniątko było ruszane. Zaniepokoiło go i wzburzyło, że człowiek, którego śledził, najpewniej obserwował i tropił go tak samo ostrożnie – z tym wyjątkiem, że jego wysiłki zostały nagrodzone większymi sukcesami.

Mark źle spał tej nocy. Nękały go dziwne sny, w których śledził ciemną postać podążającą zwinnie po wąskiej, skalistej ścieżce przed nim. Nie oglądając się oddalał się od Marka, który rozpaczliwie starał się zawołać, by zaczekał, ale nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. Rano spał dłużej niż zwykle i obudził się rozbity i ponury. Spojrzał w niebo pociemniałe od ciężkich, wolno sunących szaro-sinych cumulusów napływających z południowo-wschodnim wiatrem od oceanu. Wiedział, że zaraz spadnie deszcz i że powinien wyruszyć. Jego pobyt dobiegł końca, ale w ostatniej chwili postanowił przedłużyć go sobie o parę dni. Zrobił to dla dziadka, ale i dla samego siebie.

Deszcz spadł tego samego dnia, jeszcze przed południem, nikły przedsmak tego, co miało nadejść, a mimo to krótka, zimno-stalowa ulewa zastała Marka kompletnie nie przygotowanego. Już za chwilę słońce zaczęło przeświecać przez chmury, jednak Mark czuł, że lodowaty deszcz przenika aż do szpiku kości i siedząc w wilgotnej odzieży, drżał niczym w febrze.

Dopiero gdy ubranie wyschło na nim i drzenie ustało, Mark zdał sobie sprawę, że minęło dokładnie dwadzieścia jeden dni od pierwszego noclegu pod figowcem i pierwszego kontaktu z moskitami rzeczynymi. Kolejna fala dreszczy uświadomiła mu, że w tej chwili jego życie

zależy od buteleczki chininy ukrytej w plecaku, wysoko w gałęziach figowca, i od tego, czy zdoła dotrzeć do niej, zanim malaria uderzy z całą siłą.

Od obozowiska dzieliło go jakieś osiem kilometrów, poszedł więc na skróty poprzez cierniste chaszczę i po skalnym zboczu, wkraczając na ścieżkę dopiero za skarpą rzeczną. Gdy dotarł do niej, poczuł się oszołomiony i musiał chwilę odpocząć. Zapalony papieros miał cierpko-kwaśny smak i dusząc go obcasem, zauważył świeży ślad na ścieżce. Zachował się, ponieważ to miejsce osłoniły przed krótką ulewą rozłożyste gałęzie drzewa mahoba hoba. Pokrywał się on z jego własnym śladem, podążając w tym samym kierunku. Marka zaszokowało jednak, że był to odcisk stopy obutej, o podeszwach nabijanych ćwiekami. Była to wąska, wydłużona stopa białego człowieka. W przypływie gorączki malarycznej ten ślad ciężko podbitego buta jawił mu się jako coś potwornie groźnego.

Marka chwycił kolejny atak dreszczy. Po jego przejściu pozostała mu jasność myśli i złudne poczucie siły, ale kiedy zebrał się do dalszej drogi, nogi miał ciężkie jak z ołowiu. Zszedł kolejne sto metrów w dół, kiedy dzienna sowa zahuczała głucho nad miejscem, które właśnie minął.

Zatrzymał się jak wryty i unióś głowę nasłuchując. Miejsce po ukąszeniu muchy tse-tse na karku zaczęło go wściekle piec, ale stał dalej nieruchomo i nasłuchiwał.

Na nawoływanie sowy odpowiedział samiec, podobnymi do dźwięku fletu pohukiwaniami, umiejętnie naśladowanymi, ale bez naturalnego rezonansu. Drugie zawołanie rozbrzmiało po prawicy Marka. Poczł dreszcz wzdłuż krzyża, tym razem spowodowany nie atakiem malarii, ale wspomnieniem pohukiwania sowy na skarpie w Ladyburgu, tamtej nocy parę miesięcy temu.

Ruszył pospiesznie, wlokąc ciężkie, niemal bezwładne nogi po krętej ścieżce. Nim przebył kolejne sto metrów, zasapał się i ogarnęła go fala nudności, gdzieś z głębi trzewi, dusząc go w przelyku. Gdy gorączka zacieśniała znów swoje szpony, zaczął powoli tracić jasność widzenia, obraz rozprysł mu się i popękał niczym mozaika, z chwilowymi przebłyskami, jakby wyglądał przez szczeliny w witrażu. Rozpaczliwie parł naprzód, spodziewając się w każdej chwili poczuć pod stopami gąbczastą, bagienną trawę porastającą wejście do papirusowego tunelu, bezpiecznego i mrocznego, który był mu tak swojski i który osłoni go i doprowadzi do obozowiska.

Sowa zahuczała znów, tym razem znacznie bliżej i z najmniej spodziewanego przez Marka miejsca. Skołowany i teraz już przestraszony usiadł, by odpocząć i zebrać resztki sił. Serce waliło mu głucho, a napływające falą uczucie mdłości prawie zmusiło do wymiotów. Dzielnie jednak zwalczył słabość i już po chwili wzrok wyostrzył mu się w sposób niemal cudowny. Zupełnie jakby nagle odciągnięto ciężką kotarę. Rozejrzał się wokół i już wiedział, że musiał pobłądzić, zaślepiony gorączką. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani w jakim kierunku podąża. Rozpaczliwie zaczął badać kąt padania słońca na stok, by znaleźć realny kierunek, ale gałęzie drzewa, pod którym przysiadł, i cały otaczający go gąszcz niczym

gigantyczna kopuła ograniczyła mu widoczność do pięćdziesięciu kroków.

Zwłókszy się na nogi, ruszył skalistym zboczem w nadziei dotarcia do równiny. Za nim znów odezwała się żalostnym, pogrzebowym głosem sowa.

Oślepiiony i drżący upadł. Padając zranił się w łydkę, ale uświadomił to sobie w pełni, dopiero gdy poczuł ciepły strumyk krwi. Kiedy uniósł dłoń ku twarzy, zobaczył, że drży ona zbyt gwałtownie, by mógł nią otrzeć pot zalewający mu oczy. Gdzieś z jego lewej strony znów odezwała się sowa, a rytmiczne, szalone szczekanie zębów zwielokrotniło ten dźwięk w jego uszach.

Mark przetoczył się na plecy i spojrzał na wpół oślepy w kierunku, skąd dochodziło pohukiwanie sowy. Usiłował powstrzymać fale ciemności, mrugając mocno, by pozbyć się potu wgrzyzającego się słono w oczy. Było to niczym zagłębienie w głąb długiego, ciemnego tunelu ku słońcu na jego końcu. Usiłował zmusić oczy, by służyły mu lepiej, ale obraz rozmył się.

Tego, że obraz żył i poruszał się, był pewien. Milczące meteory światła, żółte, czerwone i zielone, eksplodowały w jego głowie. Eksplodowały, po czym wykrystalizowały się nagle. Obraz stał się znów jasny i wyrazisty. Teraz widział z nienaturalną, prawie zatrwającą ostrością.

Ku niemu zbliżał się mężczyzna, wysoki, o głowie krągłej i ciężkiej niczym kula armatnia. Miał bary zapaśnika i potężny, nalany kark. Mark nie widział jego twarzy. Patrzył akurat w inną stronę, ale było w nim coś przerażająco znajomego. Niósł kurtkę przewieszoną przez ramię. Ubrany był w koszulę w kolorze khaki, zapinaną wysoko na wzór wojskowy, a bryczesy miał wpuszczone w brązowe buty do jazdy konnej. Niósł karabin wysoko przy piersi i poruszał się ostrożnym, czujnym krokiem myśliwego. Mark poczuł, że znów wiruje mu w głowie, a obraz rozmywa się.

Wstał niezgrabnie, podciągając się po pniu akacji, i jeden z ostrych, zakrzywionych kolców wbił mu się w opuszek kciuka. Poczuł niesamowity ból, ale dzięki niemu zdołał poderwać się do biegu. Zostawił za sobą zarys masywnej sylwetki myśliwego. Znalazł w sobie dość siły, by poruszać nogami, tylko dzięki instynktowi samozachowawczemu. Kiedy uchylił się skracając gwałtownie w bok, usłyszał świst kuli na chwilę przed tym, nim usłyszał sam strzał. Trzasnął w powietrzu tuż przy jego głowie niczym gigantyczny bicz. Zaraz potem rozbrzmiało krótkie, ostre szczeknięcie drugiego wystrzału. Mauser, zdążył pomyśleć, zanim przeniósł się w inny czas i przestrzeń.

Zmysł odmierzający czas w jego głowie zaczął odliczać krótkie sekundy walki, wyostrzony mimo choroby i zaślepienia. Bez oglądania się za siebie wiedział, że myśliwy zarepetował broń i ponownie złożył się do strzału. Mark poderwał się znów. Potykając się, biegł prawie po omacku, kiedy huk wystrzału odezwał się tuż przy nim. Wciąż w biegu, Mark zdjął z ramienia swego P.14.

Gdy znalazł się w lesie, tuż nad nim kawałek kory oderwany kolejną kulą z mausera

rozprysł się w kawałeczki, zostawiając zimną, moką ranę na pniu. Wreszcie Mark dopadł skarpy. Rzucił się na ziemię, szukając wygodnej pozycji obrony. Nagle usłyszał wielki huk. Zupełnie jakby niebiosy rozwarły się nad nim i wypadło zeń słońce. Grzmot i towarzyszący temu błysk były tak silne, że przemknęła mu myśl, iż to pocisk z mausera roztrzaskał mu mózg. Instynktownie opadł na kolana.

Dopiero w dzwoniącej ciszy, która potem nastąpiła, uspokoił się na tyle, by zrozumieć, że to piorun uderzył w bryłę rudy żelaza tuż przy nim. Zapach wyładowania elektrycznego nasycił powietrze. Mruczące echo burzy odbijało się od sinawych ścian skarpy.

Ogromne, sine zwały chmur wytoczyły się z bezdennego, błękitnego skarbca niebios, by przypaść blisko do ziemi. Raptem zerwał się wiatr, przeraźliwie zimny i porywisty. Szarpał gałęziami nad głową Marka z zadziwiającą siłą. Kiedy Mark uniósł się na nogi, zaczął wydymać mu koszulę i targać włosy, wywołując kolejną falę dreszczy. Zdawało mu się, że krople potu na twarzy zmieniły się natychmiast w szron. Gdzieś tuż obok, pośród wycia wiatru, znów odezwała się sowa. Zaczął padać deszcz.

Mark, natężając nadludzko wzrok, wypatrzył przez ścianę deszczu jakiś kształt. Było to martwe, ogromne drzewo. Dla rozgorączkowanego oczu Marka przyjął on kształt złej wiedźmy o groźnie rozpostartych ramionach i pokręconym ciele. Mimo wszystko było to jedyne dostępne w tej chwili schronienie.

Na parę błogosławionych chwil mroczki przed oczami rozprysły się, a wzrok nabrał ostrości i mógł ogarnąć ograniczony niemocą krąg. Mark zrozumiał, że musiał wrócić po własnych śladach i trafił z powrotem nad rzekę. Martwe drzewo, o które się wsparł, stało na samym brzegu wysokiej skarpy. Rzeka podmyła jego korzenie, zabijając je stopniowo, by z czasem przyjąć je w swą otchłań i ponieść z prądem.

Wody za plecami Marka były wezbrane, rwące, pobrzązowiałe od deszczu i odcinające mu drogę odwrotu. Był uwięziony pomiędzy brzegami rzeki, a pościg osaczał go z wolna. Wiedział, że jego prześladowca nie jest sam. Nawoływanie sowy było ich sygnałem, za pomocą którego kontaktowali się również na skarpie w Ladyburgu.

Zdawał sobie sprawę, że jedynym ratunkiem może być rozdzielenie ich i zwabienie podstępnie do tej kryjówki i że musi działać szybko, nim gorączka znów zakłóci mu jasność i trzeźwość myślenia.

Przyłożywszy zwiniętą dłoń do ust, udał smutny, żaloszny zew sowy Scopsa. Oparł się plecami o drzewo, trzymając karabin nisko przy biodrze. Prawie natychmiast, gdzieś z prawej strony, dobiegł odzew na jego wołanie. Mark stał nieruchomo. Przywarł całym ciałem do pnia drzewa, poruszając jedynie wzrokiem za tym odgłosem. Minęły długie minuty, nim, tym razem jeszcze bliżej, odezwało się wołanie sowy.

Deszcz zacinął niesiony podmuchami wiatru. Zacinął pod ostrym kątem lodowatymi lancami ukośnych strug. Wcinał się w busz i otwartą polankę za nim. Atakował twarz Marka igiełkami tnącymi powieki. Mimo to Mark zdołał wyostrzyć wzrok na tyle, by zobaczyć

jasnobiały, tańczący welon wody. Znow ostrożnie uniół dłoń do ust i zahuczał, wabiąc mężczyznę ku sobie.

– Gdzie jesteś? – odezwał się cichy głos. – Gdzie jesteś, Rene?

Mark zwrócił wzrok w stronę, skąd dochodził ten głos.

– Słyszałem, że strzelałeś, dostałeś go?

W kierunku Marka szedł wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnej, ogorzałej twarzy, pobrużdżonej i porysowanej zmarszczkami wokół oczu. Krótki kędzierzawy zarost ocieniał jego podbródek. W opuszczonej dłoni niósł karabin Lee–Metforda. Ramiona miał przykryte krótką gumową pelerynką, teraz moką i lśniąca od deszczu. Był to mężczyzna w sile wieku o tępych, bezmyślnych oczach i ostrych, niemal barbarzyńskich rysach twarzy rosyjskiego wieśniaka. Była to twarz człowieka, który traktował zabijanie ludzi tak, jak inny traktował podejrzenie dzikowi gardła. Zauważył Marka stojącego przy drzewie, ale w ulewie i słabnącym świetle jawił mu się jako ciemny, niewyraźny zarys. Poza tym zmyliło go nawoływanie sowy.

– Rene?! – zawołał powtórnie, po czym zatrzymał się, po raz pierwszy czymś zaniepokojony. Usiłował przeniknąć pustymi oczami bez wyrazu potoki spadającego deszczu. Potem zaklął szpetnie i uniół Lee–Metforda wyżej na biodrze, odciągając bezpiecznik zrogowaciałym, kciukiem.

– To on! – Rozpoznał Marka i rozpaczliwie rozglądał się na boki.

– Nie! – ostrzegł go Mark natychmiast, ale lufa karabinu już unosiła się i Mark usłyszał metaliczny szcęk bezpiecznika. Wiedział, że za ułamek sekundy mężczyzna odda do niego strzał. Uprzedził go więc, strzelając ze swego P.14 trzymanego nisko przy biodrze. Strzał rozbrzmiał przeraźliwie głośno. Strzał poderwał mężczyznę w powietrze i rzucił w tył. Karabin Lee–Metforda miotał się w bezwładnych już dłoniach. Upadł na skały, uderzając w nie łopatkami. Obcasy tłukły i kopały dziko w ziemię, a powieki zatrzepotały niczym skrzydła uwięzionego motyla. Krew tryskała mu z piersi, wsiąkając w wilgotny materiał koszuli i natychmiast rozwadniając się w kropkach walącego deszczu na akwarelowy róż.

Wyginając grzbiet w ostatnim spazmie, mężczyzna osunął się na bok i znieruchomiał. Zdawał się skurczyć w sobie, wyglądał teraz staro i bezbrinnie. Dolna szczeka opadła, ukazując różowe dziąsła i poplamione przez tytoń zęby sztucznej szczęki. Krople deszczu wpadały do martwych, otwartych oczu i Mark poczuł znajome uczucie rozpaczki. Zimne, tak dobrze znane mu poczucie winy z powodu zabicia istoty ludzkiej. Poczucie irracjonalną chęć pójścia mu z pomocą, mimo iż było to już poza ludzkimi możliwościami. Próbował wytłumaczyć się jakoś czy usprawiedliwić. Impuls ten spowodowała gorączka. Znajdował się teraz w stanie, w którym nie ma granicy między rzeczywistością a fantazją.

– Nie powinienesz być – wymamrotał. – Nie powinienesz być. Ostrzegałem cię. Ostrzegałem. – Wylonił się zza osłony martwego drzewa, zapominając o drugim mężczyźnie, o tym, przed którym instynkt winien był ostrzec go jako bardziej niebezpiecznym z dwóch

myśliwych. Pochylił się nad zabitym mężczyzną, ślaniając się na nogach. Strzelbę trzymał wciąż przyciśniętą wysoko przy piersiach.

Hobday nie trafił go pierwszymi trzema strzałami, ale był to dystans dwustu albo więcej metrów i strzelał pod górę poprzez zasłonę drzew i krzewów. Szybkie strzelanie do pędzącego, kluczącego celu to gorsze nawet niż mierzenie do kudu uciekającego w gęstym lesie, strzelał bowiem do szczupłego i bardziej zwinnego ludzkiego celu. Drugi i trzeci strzał oddał nieco na oślep, licząc na łut szczęścia, zanim jego cel zniknie za drzewami.

Teraz wiedział, że musi tropić go ostrożnie, widział bowiem karabin u boku chłopca. Mógł przecież przyciąć się, położyć gdzieś na skarpie i czekać na prosty strzał. Poruszał się korzystając z osłony natury i milknącego powoli deszczu, zbliżając się z każdym krokiem do skalistej grani. Był świadom, że w każdej chwili może się spodziewać strzału, Mark zdążył bowiem zdradzić, że jest dobrym strzelcem, a ponadto był przecież wyszkolonym żołnierzem. Poruszał się ostrożnie i potrafił zrobić użytek ze swej broni.

Kiedy dotarł do grani, poczuł niesamowitą ulgę. Leżał tam na trawie z przygotowanym przed sobą mauserem i wypatrywał na przeciwległym stoku swej zwierzyny. Usłyszał wołanie sowy gdzieś po lewicy i skrzywił się zirytowany.

– Głupi, stary sukinyń! – wymamrotał. – Posikał się na śmierć ze strachu. Potrzebował być stale podtrzymywany na duchu i uspokajany. Stary nerwy miał zbyt zszarpane do takiej roboty, ponadto brakowało mu wyczucia co do częstotliwości sygnałów kontaktowych.

Po chwili Hobday syknął.

– Przeklęty głupiec. – Musiał usłyszeć strzały i powinien domyślić się, że polowanie weszło w etap szczytowy, jednak zahuczał znów niczym dzieciak gwizdzący w ciemnościach dla dodania sobie odwagi.

Wyrzucił go ze swych myśli i skupił się na przeszukiwaniu wzrokiem umytego deszczem zbocza. Nagle zamarł, jakby nie dowierając własnym uszom. Usłyszał odpowiedź na wołanie sowy po lewej stronie gdzieś za granicą. Hobday powstał. Nisko pochylony, sunął wzdłuż grani. Nagle zauważył gwałtowne poruszenie w szarym, targanym przez wiatr gąszczu i opadł do przykucu strzelca wyborowego, składając się błyskawicznie do strzału. Mierzył do niewyraźnego celu, mrugając w deszczu zalewającym mu oczy. Czekał na pewny strzał. Raptem zaklął, rozpoznając swego partnera. Pochylona postać pod błyszczącą mokrą peleryną. Poruszał się niezgrabnie niczym ciężarna, przedzierając się przez szarość chmury deszczowej i listowia wiszącego nad nim.

Mężczyzna zatrzymał się i uniosł zaciśniętą dłoń do ust, by wydać przeciągły zawodzący dźwięk. Brodaty myśliwy uśmiechnął się pod nosem.

– Stary kaczor w pułapce – wyszeptał głośno. – Stary, głupi kundel.

Nie poczuł najmniejszych skrępowań, mimo że wiedział, iż ściągnie on po tym na siebie ostrzał. Obserwował go uważnie, starając się trzymać poza linią, gdzie niebo łączyło się

z ziemią. Zarys ramion i głowy krył mu gęsty krzak, za którym przykucnął.

Człowiek w pelerynie przeciwdeszczowej odezwał się znów. Przekrzywił głowę, kiedy otrzymał odpowiedź. Ruszył żywo naprzód w wiatr i deszcz, zbliżając się nieuchronnie ku swemu przeznaczeniu. Hobday uśmiechnął się widząc to. Nie będąc musiał się dzielić, pomyślał ocierając krople deszczu ze szczerbinki swego mausera.

Wtedy jego partner zatrzymał się i zaczął unosić karabin, ale strzał już rozbrzmiał. Osunął się bezwładnie na trawę. Hobday zaklął cicho, z goryczą. Przegapił ten moment. Nie zdołał zauważyć, skąd padł strzał. Czekał trzymając palec na spuście, wyteżał wzrok poprzez deszcz. Już nie był tak pewny siebie, poczuł szacunek dla tropionego i pierwszy dreszcz strachu. To był dobry strzał, zabójczy, doprowadził starego bardzo blisko. Przyzywał go, jakby był głodnym lampartem zwabionym beczaniem kozła.

Wątpliwości brodatego łowcy rozwiały się nagle, przez chwilę nie chciał wierzyć w swe szczęście. Właśnie kiedy już przygotował się do długiej i niebezpiecznej potyczki, jego zwierzyna wyłoniła się zza osłony martwego, pokrzywionego drzewa na brzegu rzeki. Był to dziecinny, bezmyślny, niemal śmieszny krok – prawie że samobójczy, tak nieprawdopodobny, że przez chwilę węszył podstęp.

Młody mężczyzna stał chwilę nad zwłokami zabitego przez siebie człowieka. Nawet z tej odległości widocznie słaniał się na nogach. Trupio błada w szarym, słabym świetle twarz rozmyła się w zmierzchu, ale koszula w kolorze khaki odcinała się wyraźnie od powierzchni ziemi za jego plecami.

To nie wymagało mistrzowskiego strzału, cel był mniej niż sto pięćdziesiąt metrów od niego. Przez chwilę Hobday mierzył w sam środek piersi, po czym nacisnął spust z wystudiowaną uwagą, wiedząc, że będzie to strzał w samo serce.

Kiedy odrzut karabinu uderzył go w ramię, a ostry pogłos mausera zaatakował bębenki uszu, obserwował, jak chłopak pada do tyłu. Mark nie usłyszał wystrzału z mausera. Pocisk dosięgnął go przed tym odgłosem. Poczul tylko tępe uderzenie w górną część ciała, nim został odrzucony w tył z siłą, która wypchnęła mu powietrze z płuc. Ziemia rozstała się przed nim, kiedy padał. Czul, jakby został pochłonięty przez wirujący lej ciemności – i przez tę ulotną chwilę wiedział, że jest martwy.

Zaraz potem wessał go lodowaty, brunatny wir rzeki i szok zetknięcia się z nim ściągnął go z powrotem na krawędź ciemności. Głowa zniknęła mu pod powierzchnią wody. Cudem znalazł w sobie dość siły, by odbić się od błotnistego dna. Wynurzając się na powierzchnię, wciągnął drogocenne powietrze w płuca i wtedy poczul, że wciąż trzyma w dłoniach swego P.14.

Kiedy podniósł go wyżej i przytrzymał drewnianą kolbę przed oczami, zauważył, że pocisk wbił się w drzewo i rozpląszczył o solidną stal ryglą zamkowego, a następnie wbił w drewnianą okładzinę podstawy lufy, zmieniając się w bezkształtną bryłę, niczym mokra

gruda gliny rzucona o ścianę. Broń zatrzymała pocisk, ale jego wielka energia odrzuciła karabin P.14, tak że uderzył go w pierś, wybijając powietrze z płuc i wrzucając go do rzeki.

Z uczuciem wielkiej ulgi Mark wypuścił karabin na bagniste dno pod nim i pozwolił się ponieść prądowi rzeki. Porwał go wirujący koszmara malarii, deszczu i szalejącej brunatnej wody. Z wolna pogrążył się w ciemności. Zdążył jeszcze pomyśleć, jakaż to ironia losu, że uratował się od śmierci przez zastrzelenie, by teraz utonąć niczym nie chciany kociak.

Woda znów wdarła mu się do ust, poczuł palenie w płucach i pogrążył się w nicość.

Tortury spowodowanej gorączką malaryczną nie da się porównać do żadnej innej. Umysł uwięziony w nie kończącym się koszmara, z którego nie ma ucieczki ani ulgi przebudzenia się, nadziei, że to tylko zły sen. Zdrowy umysł nie jest w stanie znieść koszmara malarii. Wciąż powracających, spotęgowanych jeszcze silnym pragnieniem, powstałym przy wypalaniu się płynów w ciele, w gorączkowej walce z chorobą. Atak choroby jest tym straszniejszy, że powraca wciąż i wciąż, znajomymi falami. Zaczyna się lodowatymi dreszczami, po których fala gorączki niby Sahara podnosi temperaturę ciała na takie wyżyny, że zagrożony jest mózg. Zaraz potem następuje powódź potów, kiedy płyny wyparowują przez każdy por ciała ofiary, odwadniając ją do cna i zostawiając tak słabą, że nie ma nawet sił, by unieść głowę czy dłoń w oczekiwaniu na kolejny atak lodowatych dreszczy.

Mark miał krótkie przebłyski świadomości pomiędzy powtarzającymi się regularnie okresami gorąca i zimna i nienazwanej grozy. Raz, kiedy pragnienie paliło go tak, że zdawało się, iż każda komórka jego ciała krzyczy wprost o odrobinę wilgoci, a usta były spierzchnięte i spuchnięte, zdawało mu się, że mocne chłodne dłonie unoszą mu głowę i usta przepelnia mu płyn gorzkawy, a mimo to zimny i cudowny, spływający niczym nektar do gardła.

Kiedy indziej, gdy zmarzł, otulały go ciasno jego własnym kocem. Szarym wełnianym kocem, którego zapach był tak swojski i miły – przesiąknięty dymem ogniska, papierosów i zapachu jego własnego ciała. Często słyszał odgłosy deszczu i grzmoty burzy, ale zawsze pozostawał suchy. Potem wszystko odpływało w nicość i pogrążał się w kolejnej fali gorąca. Wiedział, że nim odzyska w pełni świadomość, musi minąć pełne siedemdziesiąt dwie godziny od pierwszego ataku dreszczy. Malaria jest tak łatwa do przewidzenia, że swymi następującymi zawsze w tej samej kolejności fazami, że wiedział, kiedy to nastąpi z dokładnością prawie co do godziny.

Było późne popołudnie i Mark leżał pod własnym kocem na posłaniu ze świeżo skoszonej trawy i wonnych liści. Wciąż padało, bezlitosna szara ulewa z nisko zawieszonych, brzemiennej chmur, które zdawały się przyciskać wierzchołki drzew – ale on nie był mokry. Nad głową miał niską powagę skał, osmaloną przez tysiąclecia niezliczonymi ogniskami rozpalanymi przez tych, którzy szukali schronienia w tej płytkiej grocie. Wejście do niej otwierało się na północny zachód, z dala od przenikliwych, niosących deszcz wiatrów. Wpadały przez nie ostatnie przebłyski słońca pogrążającego się w grubą pierzynę chmur.

Uniósłszy się z ogromnym wysiłkiem na łokciu, Mark rozejrzał się dookoła

z zaciekawieniem. Obok głowy, oparty o skalną ścianę, stał jego plecak. Gapił się nań przez dłuższą chwilę, zdezorientowany i zdziwiony. Ostatnią rzeczą, jaką wyraźnie pamiętał, była otaczająca go zewsząd lodowata woda. W zasięgu ręki stał brzuchaty dzban na piwo z ciemnej, dobrze wypalanej gliny. Sięgnął po niego natychmiast, dłońmi drżącymi nie tylko ze słabości, ale też z neodpartej potrzeby zaspokojenia pragnienia.

Płyn był gorzkawy i smakował jak lekarstwo. Pachniał ziołami i siarką, ale pił go długimi, pełnymi wdzięczności łykami, aż brzuch wzdął mu się i rozboleł.

Kiedy odstawił dzban, zauważył stojącą przy nim miskę pełną zakrzepłej, zimnej kaszy kukurydzianej, posolonej i przyprawionej ziołami przypominającymi smakiem szalwiew. Zjadł połowę i zasnął, ale tym razem, głębokim kojącym snem.

Kiedy się znów obudził, deszcz ustał i słońce zbliżyło się do zenitu. Przebijając się przez wieżyce chmur, zalewało światłem doliny leżące u ich stóp.

Włożywszy w to wiele wysiłku, Mark wstał i powłókł się do wyjścia. Spojrzał w dół na wezbrane koryta rzeki Bubezi. Szalejące, rdzawoczerwone potoki, w których kłębiły się gnane ku morzu ogromne drzewa, o obnażonych korzeniach uniesionych ku niebu niczym pokręcone artretyzmem palce umierających żebraków.

Spojrząwszy w kierunku północnym, zobaczył, że niecka, mokradła i busz zostały zalane wodą. Poletka papirusu były całkowicie zatopione przez matową, srebrną łachę wody, która iskrzyła się niczym ogromne lustro. Nawet wyższe drzewa na nizinie były zanurzone aż po górne gałęzie. Niewielkie pagórki wyglądały jak wysepki rozrzucone na bezmiarze wód.

Mark był jeszcze za słaby, by utrzymać się na nogach przez dłuższy czas, i opadł z powrotem na posłanie z miękkiej trawy. Nim zasnął, wrócił pamięcią do napaści. Niepokoiło go, skąd zabójcy wiedzieli, że biwakuje przy Bramie Chaki. W przedziwny sposób wiązało się to ze śmiercią jego dziadka. Z tymi myślami pogrążył się we śnie.

Kiedy się zbudził, był ranek. W nocy ktoś ponownie napełnił gorzkawym płynem dzbanek, a w misce były kaszka i kawałek pieczeni. Smakowała jak kurczak, ale najprawdopodobniej było to mięso iguany.

Wody opadły gwałtownie. Znów wyłoniły się poletka papirusu z długimi, spłaszczonymi łodygami i puchatymi łebkami sfilcowanymi przez powódź. Ukazały się też drzewa. Podłoże powoli zaczęło wysychać. Rzeka Bubezi przepływająca wąską gardzielą u stóp schroniska Marka odzyskiwała stopniowo pozory zdrowego rozsądku. Nagle Mark zdał sobie sprawę, że jest całkiem nagi. Poczul otaczający go mdły zapach gorączki i wydzielin ciała. Zszedł w dół ku brzegowi rzeki. Była to długa, powolna wędrówka, podczas której zatrzymywał się parokroć dla nabrania sił i uciszenia oszałamiającego dzwonięcia w uszach.

Zmywszy z siebie wszelkie zapachy i brud, obejrzał ciemnopurpurowy siniak w miejscu, gdzie pocisk mausera wbił mu P.14 w pierś. Potem wysechł w dzikim żarze południowego słońca. Wygrzało ono ostatnie dreszcze gorączki w jego ciele. Wdrapał się z powrotem do swej kryjówki, teraz już sprężystym i lekkim krokiem. Rano odkrył, że dzban i miska

zniknęły. Wyczuł, że było coś celowego w tym geście, próba przekazania mu jakiejś wiadomości. Oznaczało to, że tajemniczy wybawca uznał, że jest już w stanie zadbać o siebie sam. Był to początek powołania go do życia.

Mark zebrał swój dobytek. Odkrył, iż ubrania zostały wysuszone i spakowane do płóciennego worka. Był tam też jego pas z nabojami, a myśliwski nóż spoczywał w swej skórzanej pochwie. Niestety, zapasy żywności ograniczyły się do jednej puszki prażonej fasoli. Otworzył ją i zjadł połowę, zostawiając resztę na kolację. Potem schował plecak w głębi pieczary i wyruszył spenetrować dorzecze.

Odnalezienie pola walki zajęło mu prawie dwie godziny, rozpoznał je tylko dzięki martwemu drzewu o artretycznych powykręcanych członkach. Teren był położony niżej, niż pamiętał. Został zmieciony przez powódź. Trawa była przyciśnięta do ziemi, jakby została wybrylantowana i przyczesana. Mniejsze drzewka leżały wyrwane z korzeniami, a na niższych gałęziach większych drzew utrzymywała się wciąż wilgoć, jakby dla zaznaczenia poziomu wezbranych wód.

Mark bezskutecznie szukał jakichś śladów walki. Nie znalazł ani ciał, ani porzuconego karabinu, zupełnie jakby nic się tam nie wydarzyło. Zaczynał już wątpić w swą pamięć, dopóki nie wsunął dłoni pod koszulę i nie wymacał pulsującego zasinienia.

Szedł wzdłuż rzeki, kierując się położeniem traw, niemal przez kilometr. Zauważywszy stado sępów siedzące na gałęziach i kłócące się jazgotliwie, przyspieszył. Niestety, znalazł jedynie małe nosorożca, które było za młode, by unosić się na fali, i utonęło. Teraz już zaczynało się rozkładać.

Mark powrócił do powalonego drzewa i spoczął, by wypalić ostatniego papierosa, jakiego znalazł w papierošnicy. Rozkoszował się każdym dymkiem, po czym zgasił go w połowie i ostrożnie schował do blaszanego, płaskiego pudełka, na którym widniał rysunek czarnego kota i znak firmowy „Craven A”.

Miał już wstać, gdy zauważył coś błyszczącego w słońcu u swoich stóp. Wygrzebał przedmiot z mokrej ziemi.

Była to mosiężna łuska naboju. Kiedy ją powęchał, poczuł nikły zapach kordytu. Na spodzie łuski było wybite: „Mauser Fabriken – 9 mm”. Z namysłem obracał ją w palcach.

Właściwie należało zgłosić całą sprawę na najbliższym posterunku policji, ale już dwa razy był na tyle szalony, by zwrócić na siebie uwagę, podczas gdy pozbawiony skrupułów wróg polował na niego z ukrycia i chyłkiem.

Mark podniósł się i zszedł łagodnym zboczem ku brzegom moczarów. Przez chwilę oglądał jeszcze mosiężną łuskę, po czym cisnął ją tak daleko, jak tylko mógł, w głąb ciemnej wody.

Wróciwszy do grotty wrzucił plecak na ramiona, podskakując chwilę, by poprawić i umiejscowić paski. Kierując się ku wyjściu, zauważył ślady stóp w wystygłym popiele ogniska. Te szerokie ślady bosych stóp rozpoznałby wszędzie.

Działając pod wpływem impulsu, ściągnął pochwę noża myśliwskiego z paska i położył w widocznym miejscu na środku pieczary. Następnie kawałkiem węgla z wygasłego ogniska narysował na ścianie nad nim dwa antyczne symbole. Symbole, które jak nauczył go David, oznaczały: „Unizony sługa, który niesie dary”. Miał nadzieję, że Pungushe, stary znajomy kłusownik, odczyta właściwie ich znaczenie i przyjmie dar.

Na południowym stoku Bramy Chaki Mark zatrzymał się i spojrzął na rozciągającą się przed nim gęstwinę. Przemówił szeptem, gdyż wiedział, że dziadek usłyszy go bez względu na to, jak ciche będą jego słowa. Wszystko, czego nauczył się tu i co przeżył, tylko umocniło go w postanowieniu, że musi odkryć prawdę, wyjaśni tajemnicę i znajdzie odpowiedzi na tyle pytań związanych ze śmiercią staruszka.

Powrócę tu któregoś dnia – pomyślał. Skierował się na południe. Wydłużył krok i wpadł w chód zbliżony do truchtu. Był on zwany przez Zulusów *minza umhlabathi* – „jedź ziemię łąpczywie”.

Mark czuł się nieswojo. Garnitur drażnił ciało, a wykrochmalony kołnierzyk uciskał mu szyję niczym obręcz niewolnika. Chodnik był twardy i nieprzyjazny jego krokom, szcęk tramwajów i klaksony, powarkiwania i zgrzyty automobili niemal ogłuszały go po dzwoniącej ciszy buszu. Mimo to było coś podniecającego i stymulującego w otaczającym go, spieszącym dokądś potoku ludzkim, hałaśliwym, barwnym i żywym.

Tropikalna, niemal cieplarniana atmosfera miasta Durban sprzyjała rozwojowi życia. Marka nigdy nie przestała zadziwiać różnorodność ludzi wypełniających tłumnie jego ulice. Hinduski odziane w połyskujące sari z jaskrawych jedwabi, z klejnotami w nozdrzach i na stopach obutych w złote sandałki. Wysocy Zulusi o twarzach puciołowatych niczym księżyc w pełni. Ich żony w stożkowych, ochronnej barwy, nakryciach głowy ulepionych z błota, z warkoczykami zaplatanymi im raz na całe życie. Piersi miały schowane pod miedzianymi miseczkami, na ramionach luźne opończe. Były to pełne piersi, wezbrane jak u matki Ziemi, do których niemowlęta przysysały się niczym tłściutki, małe pijawki. Biodra przysłaniały im skórzane fartuszki, poruszające się w rytm tanecznych kroków. Mężczyźni jedynie w osłonach na lędźwie, muskularni i dystyngowani, lub noszący zachodnie szmatki z taką samą nonszalancją i świadomą pewnością siebie co major mundur po służbie. Były tam też białe kobiety, odległe, zimne i nie spieszące się donikąd, które z nie odstępującymi je na krok służącymi udawały się po zakupy lub na wycieczki szybkimi wehikułami.

Ich mężowie w ciemnych garniturach i wykrochmalonych kołnierzykach nie pasowali raczej do południowego, rodzimego klimatu. Wielu z nich było pożółkłych od febry lub nalanych od sutego jedzenia. Spieszyli wciąż za swymi interesami, a ich twarze naznaczone były wciąż zmarszczką troski. Każdy z nich izolował skrzętnie swą duszę przed tym natłokiem ludzkich ciał.

Dziwnie było znów znaleźć się w mieście. Połową duszy Mark nienawidził Durbanu, ale

druga połowa już witała go z radością. Pospieszył więc, by poszukać towarzystwa ludzi, za którymi tęsknił nieraz podczas minionych długich tygodni.

– Dobry Boże, stary druh! – Dicky Lancome elegancki, z czerwonym goździkiem w butonierce pospieszył, by go przywitać, drepcząc przez całą szerokość salonu wystawowego. – Jakże jestem rad, mogąc cię powitać. Spodziewałem się ciebie przed paroma tygodniami. Interesy idą słabo, a dziewczyny są brzydkie, nudne i nieuczynne, pogoda wprost przerażająca. Nic nie straciłeś, stary. Absolutnie nic. – Trzymając Marka na odległość ramion, przyjrzał mu się braterskim okiem. – Mój Boże! Wyglądasz, jakbyś wrócił właśnie z Riwiery. Jesteś rumiany niczym kiełbaska wieprzowa, ale nie tak tłusty. Boże, muszę przyznać, że znów straciłeś na wadze! – Poklepał się po kamizelce, której guziki naprężyły się do ostatecznych granic na rosnącej obłości brzucha. – Muszę przejść na dietę, a skoro o tym mowa, czas na lunch! Będziesz moim gościem, stary – absolutnie nalegam!

Dicky rozpoczął swą dietę od parującego, wysokiego kopca ryżu, zabarwionego na jasnozłoty kolor i doprawionego szafranem. Do tego był zawiesisty gulasz barani w sosie curry i kaczka po bombajsku. Całość przybrano owocami mango w ostrej polewie i wiórkami kokosowymi. Kiedy hinduski kelner w turbanie zaferował mu srebrną tacę pełną sałatek, entuzjastycznie zappełnił nimi talerzyk, nie wahając się ani chwili.

– Boże, jak ja ci zazdroszczę, staruszk. Tyle już razy obiecywałem sobie coś takiego. Samotny człowiek sam przeciw dziczy. Żywot pioniera. Polowanie i łowienie ryb, by mieć co wsadzić do garnka. – Odprawił kelnera machnięciem ręki i uniósł kufel z kwaterką piwa ku Markowi. – Twoje zdrowie, staruszk. Opowiadaj po kolei.

Dicky zamilkł wreszcie. Nie przestając delektować się curry, słuchał Marka uważnie. Słuchał o pięknie i odosobnieniu, o świtach nad buszem i ciszy gwiazdzistych nocy. Wzdychał od czasu do czasu, kiwając tęsknie głową.

– Żeby to ja tak mógł, brachu.

– Możesz – zauważył Mark.

Dicky spojrzał na niego zaszokowany.

– To wszystko jest tam przez cały czas. Nie zniknie.

– Ale co z moją pracą, staruszk? Nie mogę tak rzucić wszystkiego i odejść!

– Czy tak bardzo lubisz swoją pracę? – zapytał cicho Mark. – Czy bycie sprzedawcą samochodów zaspokaja wszystkie twoje potrzeby duchowe?

– Hej! – Dicky wyglądał na trochę zmieszanego. – To nie jest kwestia lubienia czy nielubienia. Chodzi mi o to, że to jest coś, co człowiek musi robić, ot co. Jeśli masz szczęście, znajdziesz coś, co potrafisz robić względnie dobrze i gdzie możesz zarobić parę groszy i trzymasz się tego.

– Zastanawiam się – rzekł Mark. – Powiedz mi. Co jest ważniejsze, ten grosz czy uczucie zadowolenia tkwiące gdzieś w głębi duszy?

Dicky zagapił się na niego. Dolna szczęka opadła mu, odsłaniając wewnątrz ust, pełne wół

przeżutego ryżu.

– Tam czuję się czysty i wielki – kontynuował Mark, bawiąc się kuflem. – Nie ma tam szefów, klientów ani zabiegania o zamówienia. Sam nie wiem, Dicky, tam czuję się kimś ważnym.

– Ważnym? – Dicky głośno przełknął nie przeżute curry. – Ważnym? Dobrze sobie, chłopcze. Takich urwipolciów jak ty i ja sprzedają na rogach po dziewięć pensów za tuzin. – Popił ryż haustem piwa i starł pianę z górnej wargi śnieżnobiałą chusteczką wyjętą z kieszeni na piersi. – Posłuchaj rady starego wyjadacza. Kiedy zmwiasz wieczorem paciorek, nie zapomnij podziękować za to, że jesteś dobrym sprzedawcą samochodów, i za to, że odkryłeś ten talent w sobie. Zrób tak po prostu, stary, i nie zastanawiaj się więcej. Inaczej pęknie ci serce. – Powiedział to tonem sugerującym, że za nic nie zmieni swego zdania i uważa temat za zamknięty. Po chwili sięgnął do aktówki stojącej przy krześle. – Proszę, mam tu coś dla ciebie. Był to tuzin grubych listów, zaadresowanych schludnym, kobiecym pismem Marion Littlejohn. Wszystkie w błękitnych kopertach, kolorze, który jak wyjaśniała w jednym z wcześniejszych listów, oznaczał niegasnącą miłość. Był też rachunek na dyskusyjną kwotę dwunastu funtów i dziewięciu pensów, których jak utrzymywał krawiec, Mark nie uiscił. Była tam jeszcze jedna koperta, z tłoczonego papieru, bladobeżowego i najwidoczniej bardzo kosztownego, z nazwiskiem Marka wypisanym rozstrzelonym w poprzek, stanowczym, aroganckim charakterem pisma – bez adresu.

Mark wyciągnął ją i odwrócił, by przyjrzeć się bliżej herbowi odcinającemu się wyraźnie tłoczeniem od powierzchni papieru.

Dicky przyglądał się z zaciekawieniem i w końcu zajrzał bezwstydnie, by przeczytać treść, ale Mark oszczędził mu wysiłków i podał list.

– Kolacja w regimencie – wyjaśnił.

– Zdażyłeś w samą porę – zauważył Dick. – W piątek, szesnastego. – Zmienił nagle głos, naśladując sierżanta z regimentu. – Druga zero, zero, punkt. Stroje galowe. Tylko ubrać mi się, jak trza, ty szczęśliwy nicponiu. Tę wyżerkę zafundował ci twój ukochany dowódca – lord w prawo – generał w lewo, Sean Courteney we własnej osobistości. Szykuj się, mój chłopcze, napij się szampana do woli i zwiń garść cygar. Do dzieła, jak się to mówi.

– Myślę, że daruję to sobie – wymamrotał Mark, chowając listy od Marion do wewnętrznej kieszeni, na wypadek gdyby Dicky chciał i te przeczytać.

– Zdziczałeś w tym buszu, stary. Dostałeś porażenia słonecznego – oświadczył z powagą Dicky. – Wyobraź sobie trzystu potencjalnych nabywców cadillaców siedzących z tobą przy jednym stole. Opitych jak bele i kopających darmowe cygara. Jakże wdzięczne audytorium. Pokręcisz się trochę wokół nich i wciśniesz każdemu po cadillacu, zanim szum bąbelków po wzniesionych toastach wyparuje.

– Byłeś kiedyś we Francji?

– Nie, we Francji nie. – Wyraz twarzy Dicky’ego zmienił się. – W Palestynie, w Gallipoli

i tym podobnych miejscach o ciepłym klimacie – wspomnienia przymgłiły jego wzrok.

– Powinieneś więc wiedzieć, dlaczego nie mam ochoty na przyjęcia w starym forcie, fetujące te rocznice – powiedział Mark.

Dicky Lancome przyjrzał mu się uważnie przez stół. Uważał się za dobrego znawcę ludzkich charakterów, zdziwiło go więc, że wcześniej nie zauważył przemiany, jaka zaszła w Marku. Patrząc na niego teraz, Dick wiedział, że przybyła mu nowa cecha. Nabył tyle siły i zdecydowania, ile niewielu osiąga przez całe życie. Nagle poczuł wobec Marka pewną pokorę, choć była ona zabarwiona lekko zawiścią. Oto miał przed sobą człowieka, który wiedział, dokąd zmierza. Znał to miejsce, do którego on sam nigdy nie podąży. Miejsce, do którego docierają jedynie ludzie o sercu lwa. Chciał sięgnąć poprzez stół, uściskać dłoń Marka i życzyć mu wszystkiego najlepszego w tej podróży, ale zamiast tego przemówił szeptem, bez lekkiego, zabarwionego przekazem tonu.

– Chciałbym, żebyś rozważył to jeszcze, Mark. Generał Courteney odwiedził mnie osobiście – mówił relacjonując mu dalej całą tę wizytę. Opowiedział o gniewie Seana Courteneya, kiedy ten dowiedział się, że Mark został zwolniony na wyłączne życzenie jego córki. Powtórzył, że generałowi bardzo zależało na tym, by Mark był obecny, i że jest pewien, iż mówił wtedy szczerze.

Mark okazał zaproszenie przy bramie i został przepuszczony przez masywne kamienne wejście.

Na drzewach rosnących wzdłuż ścieżki wiodącej do fortu porozwieszano czarodziejskie latarnie. Czuło się beztroską atmosferę karnawału, tak niezwykłą dla tego starego bastionu. Od pierwszych dni okupacji brytyjskiej, poprzez czas oblężenia i wojny z Danią i Zulusami, trzymał się on niezwykle godnie. Wielu wspaniałych wojowników Imperium zatrzymywało się tu przy różnych okazjach.

Na ścieżce za i przed nim tłoczyli się goście, ale Mark unikał ich, czując się niezręcznie w smokingu wypożyczonym od lichwiarza, do którego udał się, by wykupić swe odznaczenia. Strój ten miał chorobliwy, zielonkawy odcień i był miejscami pocięty przez mole. Przyciasny w ramionach i zbyt obszerny w pasie, eksponował zbyt wiele mankietu i skarpety. Kiedy wytknął to lichwiarzowi, ten zwrócił uwagę na wykończenia z prawdziwego jedwabiu, jednak obniżył cenę za wypożyczenie do pięciu szylingów.

Mark z niewesołą miną dołączył do szeregu tak jak on ubranych w smokingi postaci, zgromadzonych na schodach wiodących do sali musztry.

Gdy nadeszła jego kolej, podszedł do komitetu powitalnego.

– A więc jednak! – powiedział generał Courteney. – Przyszedeś. – Surowe rysy twarzy stały się niemal chłopiące. Kiedy ujął rękę Marka w miazdzący, pancerny uścisk, zdawał się chłodny, twardy i nieczuły. Stał na czele komitetu powitalnego niczym wieża, wysoka i potężna. Jego wygląd uświetniał doskonale skrojony, czarny smoking z akcentami śnieżnej

bieli. Był obwieszony jedwabnymi wstążkami, emaliowanymi krzyżami i orderami. Uniesieniem królewskiej brwi wezwał kogoś ze swoich sztabowców.

– To jest pan Mark Anders – powiedział. – Przypomina sobie pan starą firmę Anders i MacDonald, było o nich głośno w pierwszej brygadzie?

– Oczywiście, sir. – Oficer spojrział na Marka z błyskiem zainteresowania. Przeniósł wzrok z jego twarzy na wstążki orderów w klapie i znów wrócił do twarzy.

– Opiekuj się nim – powiedział generał Courteney, a potem zwrócił się do Marka: – Weź sobie coś do picia, synu, porozmawiamy później. – Uwolnił dłoń Marka i zwrócił się do kolejnego z gości. Magnetyzm i urok emanujące z niego były tak silne, że po tej krótkiej wymianie zaledwie paru zdawkowych słów Mark przestał się czuć jak intruz. Nie jak niezdarny i nieopierzony żółtodziób w pożyczonym smokingu, ale jak honorowy gość, wart szczególnej uwagi. Podoficer przejął się swoją misją i wprowadził Marka w gęsty tłum ciemno odzianych mężczyzn. Niezręcznych i sztywnych w uroczystym odzieniu. Byli spięci, pomimo że kelnerzy uwijali się żywo między nimi, roznosząc pełne tace, świadczące o gościnności regimentu.

– Whisky, prawda? – zapytał podoficer, biorąc szklankę z tacy. – Wszystkie napitki serwowane dzisiaj wieczoru mają dołączone serdeczne życzenia od generała. – Wziął też szklankę dla siebie. – Na zdrowie. Niech pomyślę. Pierwsza brygada. – Rozejrzał się dookoła. – Musi pan pewnie znać Hoopera i Dennisona?

Znał ich obu, podobnie jak wielu innych. Niektórzy jawili się tylko niewyraźnymi zarysami twarzy, cieniami w głębi pamięci, ale innych pamiętał wyraźnie. Lubił ich lub nie, może nawet nienawidził. Z niektórymi z nich dzielił się jedzeniem, podawał sobie niedopałek papierosa z ust do ust. Z innymi przeżył chwile grozy lub niewysłowionej nudy. Wszyscy oni, dobrzy, pracowici, tchórze, dekownicy, brutale, byli tam, a whisky nadpływała niestrudzenie na srebrnych tacach.

Oni także go pamiętali. Podchodzili do niego mężczyźni, których widział pierwszy raz w życiu.

– Przypominasz mnie sobie? Byłem dowódcą odcinka D'Arcy Wood, kiedy ty i MacDonald...

Albo:

– Czy to ty jesteś tym Andersem? Myślałem, że jesteś dużo starszy.

– Masz pustą szklankę?

A whisky wciąż wjeżdżała na srebrnych tacach. Mark poczuł się wysoki i przystojny. Mądry. Mężczyźni słuchali, kiedy mówił, i śmiali się z jego dowcipów, musiał więc mieć też szalone poczucie humoru.

Zasiedli przy stole ciągnącym się przez całą długość holu. Biel adamaszkowych obrusów oślepiła ich prawie. Srebra regimentu błyszcząły w świetle kandelabrow jak promienie słońca. Teraz dla odmiany kaskadą złotych bąbelków spłynął do kryształowych kieliszków szampan.

Zewsząd dobiegały wybuchy rubasznego śmiechu i podniesione głosy. Za każdym razem, gdy Mark odstawiał pusty kieliszek, zjawiała się przy nim postać w białym turbanie, a brązowa dłoń przechylała zieloną butelkę.

Rozsiadł się wygodnie w krześle, zaczepiając kciuki pod pachami. W ustach trzymał dymiące cygaro.

– Słuchajcie! Racja. Dobrze mówi! – wybuchał słuchając przemówień po kolacji, równie sowio mądry co najlepsi z nich. Wymieniał znaczące kiwnięcia głową z sąsiadami, a rubinowe porto panowało w jego szklance.

Kiedy generał powstał ze swego miejsca, honorowo uplasowanego u zbiegu obu stołów, dało się słyszeć ożywienie w towarzystwie, teraz już lekko ociążałym i niemal uspijonym portweinem i kwiecistymi mowami. Uśmiechali się do siebie w oczekiwaniu. Mark, mimo że nigdy nie słyszał przemawiającego Seana Courteneya, wyczuł zainteresowanie i wzmagający się entuzjazm. Usiadł prosto w krześle.

Generał nie zawiódł ich. Rozpoczął, opowiadając pewną historyjkę o przezabawnej puencie. Zakończył, zostawiając ich ogłuszonych na chwilę, sapiących z niedowierzaniem, nim zgodnie wybuchnęli śmiechem. Ciągnął tonem odprężonym, pozornie niedbałym i naturalnym. Posługiwał się jednak słowami niby wytrawny fehmistrz rapierem; sięgał zarówno po dowcip, jak i przekleństwo, serwując przy tym solidną porcję zdrowego rozsądku. Mówił to, co wszyscy chcieli usłyszeć, by za chwilę dorzucić szczegół wprowadzający zaniepokojenie. Wymienił konkretne osoby, chwając je lub ganiąc.

– W tym roku odbędą się trzecie już mistrzostwa kraju w polo, panowie. Honor, który nasz regiment obronił zwycięstwem tak łatwo ubiegłego roku, jest wystawiony na próbę. Oto teraz pewien dżentelmen postanowił przejść na stronę plantatorów trzciny cukrowej. Była to decyzja, którą Bóg dał mu prawo podjąć, a którego to wyboru, jestem pewien, żaden z nas tu obecnych nie potępi. – Sean Courteney przerwał i uśmiechnął się złośliwie, gładząc wąsy. Towarzystwo zahuczało zniecierpliwione i zaczęło bębnić w stół łyżeczkami deserowymi. Ofiara oblała się krwawym rumieńcem i zatoneła prawie w kakofonii wrzawy. – Mimo to żywymy wielkie nadzieje i liczymy na zdobycie tegorocznego Pucharu Afryki. Dzięki pomysłowo prowadzonemu dochodzeniu odkryłem, że mamy wśród nas...

W następnej chwili cała sala rozbrzmiała gromkimi oklaskami, głowy zaczęły zwracać się w stronę końca stołu, gdzie siedział Mark. Generał pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko. Mark skulił się w krześle, starając się złożyć na wzór stolarskiej miarki. Sean Courteney zawołał:

– Wstań, synu, niech się tobą nacieszę!

Mark podniósł się niepewnie, kłaniając się na lewo i prawo. Dopiero później dotarło do niego, jak zręcznie został wmanewrowany w przyjmowanie ich aplauzu i że czyniąc to podjął zobowiązanie.

Po raz pierwszy doświadczył na własnej skórze, jak generał potrafi pokierować losami

człowieka i osiągnąć z góry ustalony cel, bez wkładania w to większego wysiłku.

Rozmyślał nad tym wszystkim, kierując się od postoju przy jednej latarni do bezpiecznego portu przy drugiej. Oczywiście znacznie rozsądniej i bezpieczniej było przyjąć ofertę któregoś z kierowców rikszy stojących przed bramą fortu, którą przekroczył, wychodząc na ulicę dwie godziny po północy. Jednak fakt, że był ostatnimi czasy bezrobotny i wydał sporo na ekstrawagancki strój na tę wyprawę, pozostawił go bez możliwości wyboru środka lokomocji. Miał przed sobą perspektywę przejścia około trzech kilometrów w ciemnościach, a jego stan sugerował, że będzie to długa podróż. Dotarł właśnie do kolejnej latarni i oparł się o nią, kiedy zatrzymał się przy nim czarny rolls-royce i drzwi otworzyły się.

– Wsiadaj – rzucił generał. Kiedy Mark opadł bezwładnie na miękkie, skórzane siedzenie, podtrzymał go żelaznym uściskiem. – Nie jesteś nawykły do picia – raczej stwierdził, niż zapytał generał i Mark musiał się z nim zgodzić.

– Nie, sir.

– Masz dwa wyjścia – powiedział. – Albo nauczyć się pić, albo dać sobie z tym spokój na zawsze.

Sean czekał ponad pół godziny w rollsie zaparkowanym pod drzewem bananowym, nim Mark pojawił się u bram fortu. Był już bliski zakończenia tego wieczoru i chciał właśnie nakazać kierowcy, by zawiózł go do Emoyeni, kiedy Mark wytoczył się na ulicę, odganiając natrętnych kierowców rikszy. Ruszył wolno, sunąc jak krab, zataczając się częściej na boki, niż krocząc naprzód.

Rolls sunął za nim wolno z wygaszonymi światłami, a Sean Courteney obserwował z życzliwym uśmiechem rozpaczliwe wysiłki młodego człowieka. Czuł łagodną pobłażliwość dla tego młodzika, a także dla siebie. Niezrozumiały kaprys czy odruch, którymi zadziwił nieraz sam siebie. Człowiek, który ukończył sześćdziesiąt dwa lata, powinien znać siebie samego. Znał swe silne strony i potrafił je właściwie wykorzystać, ale przede wszystkim znał swe słabości i zbudował wokół nich mur nie do pokonania.

Ale oto on, z przyczyn bliżej sobie nie znanych, czuł się emocjonalnie coraz bliżej związany z tym prawie nieznanym, poświęcając mu swój czas i myśli nie wiadomo czemu.

Być może chłopak przypominał mu siebie, kiedy był w jego wieku, i teraz, kiedy zastanowił się nad tym, wyczuł oprócz ciepłego ciężaru szampana w żołądku uczucie nostalgii za ciężkimi latami niepewności i dzikiej ambicji, kiedy jako chłopak przekraczał próg wieku męskiego.

Może właśnie podziwiał – chociaż słowo „wielbił” było trafniejszym określeniem – wyjątkowość w każdym żywym stworzeniu. Pięknym koniu, dobrym psie, wyjątkowym, młodym człowieku. Doskonałość, którą koniarz nazwałby „krwią”, a hodowca psów „rasą”. To coś zauważył w Marku. Ponieważ dobrej krwi koń może zostać skrzywiony przez złe traktowanie, a rasowy pies rozpuszczony, młody człowiek mający te szczególne zalety

potrzebował rad i wskazówek oraz właściwych warunków, by w pełni rozwinął swe możliwości. W tym świecie jest zbyt wiele miernoty i brudu, myślał Sean, więc kiedy odkrywał u kogoś klasę, nie mógł minąć go obojętnie.

A może – niespodziewanie poczuł ogarniającą go falę smutku – może dzieje się tak dlatego, że nie mam syna?

Miał trzech synów. Jeden zmarł, zanim zdążył zobaczyć świat. Urodził się martwy gdzieś w bezkresnej dziczce dorzecza Limpopo.

Drugi został powity przez kobietę, która nie była jego żoną. Syn, który nazywał innego człowieka swym ojcem. Sean poczuł przyływ melancholii przyćmionej poczuciem winy. Ale i on nie żył. Spłonął w swej lekkiej maszynie z drewna i płótna, w której wzbił się w niebo. Pozostał z niego tylko czarny zwęglony kształt. Sean wciąż miał w pamięci słowa dedykacji Garry'ego z jego ostatniej książki. „Dedykuję tę książkę kapitanowi Michaelowi Courteneyowi, kawalerowi DFC, [*Distinguished Flying Cross – najwyższy order brytyjski przyznawany oficerom lotnictwa.*] jednemu z młodych orłów, który już nigdy nie poszybuje”. Michael był synem Seana, spłodzonym z żoną brata.

Trzeci syn żył, ale był jego potomkiem tylko z urodzenia i nazwiska, i Sean odebrałby mu je, gdyby leżało to w jego mocy. Okropne wydarzenia, które poprzedziły wyjazd Dirka Courteneya z Ladyburga wiele lat temu, w tym podpalenie i morderstwo, były niczym w porównaniu ze złymi uczynkami, których dopuścił się po swym powrocie. Ludzie z otoczenia Seana wiedzieli dobrze, że w jego obecności nie wymawia się imienia Dirka Courteneya. Poczuł, że uczucie melancholii przeradza się w gniew, i by je ubiec, nachylił się i popukał szofera w ramię.

– Zatrzymaj się – polecił wskazując wymownie na Marka. – Potrzebujesz świeżego powietrza – powiedział Sean Courteney do swego pasażera. – Otrzeźwi cię albo pomoże zwymiotować, obie rzeczy byłyby wskazane.

Do czasu gdy rolls zaparkował przy West Street, Mark zdołał dzięki ogromnemu wysiłkowi umysłu odzyskać kontrolę nad wzrokiem. Na początku, za każdym razem gdy spojrzał na siedzącego obok generała, zauważał z mdlącą pewnością, że na czole wyrosło mu trzecie oko i że miał po dwoje uszu z każdej strony głowy, podobnych do drobnych fal na powierzchni stawu. Stracił też zupełnie kontrolę nad swym głosem, z lekkim niedowierzaniem wsłuchując się w dziwnie brzmiące dźwięki, które jego usta wypowiadały w odpowiedzi na pytania i stwierdzenia generała. Ale kiedy marszcząc się z wysiłku próbował mówić przesadnie wolno i wyraźnie, brzmiało to zupełnie niezrozumiale.

Dopiero kiedy przeszli ramię przy ramieniu przez piaszczystą plażę ku brzegowi morza, gdzie odpływ ubił piasek, zostawiając go mokrym i gładkim, zaczął uważnie wsłuchiwać się w słowa generała i dotarło do niego, że to nie jest zdawkowa gadanina.

Opowiadał on o potędze, o ludziach władzy. Mówił o wysiłku i nagrodzie i pomimo że jego głos był odprężony i niski, był niczym pomruk starego lwa, który przed chwilą zabił

i zabije znowu.

Mark wyczuł podświadomie, że to, czego właśnie słucha, ma wielką wartość. Znienawidził się za alkohol płynący w żyłach, obezwładniający mu umysł i pętający język. Zaczął intensywną walkę z nim.

Spacerowali wzdłuż połyskliwego pasa mokrego piasku, wypolerowanego na złoto przez poświatę tonącego księżyca. Morze pachniało solą i jodem, był to ostry antyseptyczny zapach, a lekki wietrzyk ziębił Marka tak, że drżał mimo marynarki. Wkrótce jego umysł zaczął nadążać za tokiem myślenia zwalistej postaci utykającej przy nim. Z wolna narastały w nim podniecenie i podziw, kiedy usłyszał o rzeczach, które dotychczas tylko intuicyjnie wyczuwał, a przedstawione mu idee do dziś uznawał za swą wyłączną własność.

Jego język wyzbył się bełkotliwości i nagle stał się ostry niczym brzytwa i lekki jak jaskółka połykająca w locie krople wody zebrane z powietrza.

Przypomniawszy sobie, że kiedyś podejrzewał, iż generał może mieć jakiś związek ze sprawą Anderslandu i ze śmiercią dziadka. Teraz te domysły zakrawały niemal na bluźnierstwo, odrzucił je więc od siebie, koncentrując się całkowicie na rozmowie.

Wiele czasu minęło, nim zrozumiał, jak ważna dla całego jego życia będzie właśnie ta rozmowa; gdyby wiedział to wtedy, trzymałby język za zębami i nie wysilał swego umysłu, był bowiem poddawany niezwykle surowemu sprawdzianowi. Idee podrzucane Markowi pozornie mimochodem miały być podchwyczone przez niego i rozwinięte lub też odrzucone i pozostawione sobie. Kolejne pytania zmuszały do zastanowienia się i obnażały jego fundamentalne poglądy. Stopniowo, umiejętnie został zmuszony do wypowiedzenia się na każdy temat: od polityki po religię, od patriotyzmu po moralność. Raz czy dwa generał zachichotał:

– Jesteś radykałem. Wiedziałaś o tym? Ale przypuszczam, że i ja nim byłem w twoim wieku – wszyscy chcieliśmy zmieniać świat. A teraz powiedz mi, co sądzisz o... następane pytanie zaś nie miało już żadnego związku z poprzednim. W tym kraju jest dziesięć milionów czarnych ludzi i milion białych. Czy uda im się współżyć zgodnie przez następne tysiąc lat?

Mark przełknął ślinę zastanawiając się nad złożonością tego pytania i zaczął mówić.

Księżyc zbladł w nadchodzącym blasku poranka, a Mark kroczył dalej w płomienny świat zaczarowanych idei i zadziwiających wizji. Mimo że nie mógł tego wiedzieć, jego entuzjazm nie był czymś wyjątkowym i rzadkim. Louis Botha, stary wojownik i mąż stanu, powiedział kiedyś Seanowi: „Nawet ci najlepsi wśród nas zmęczą się kiedyś i zestarzeją, a kiedy to nastąpi, mężczyzna musi mieć kogoś, komu będzie mógł przekazać tę pochodnię, by poniosł ją dalej”.

Noc ustępowała zaskakująco szybko przed złotoróżowym brzaskiem. Stali ramię w ramię obserwując brzeżek słońca wyłaniający się z ciemnozielonego morza, a potem całą złocistą kulę sunącą w górę po niebie.

– Od wielu lat potrzebuję asystenta i moja żona stale mi o tym przypomina. Obiecałem

jej, że poszukam, ale potrzebuję kogoś szybkiego, bystrego i godnego zaufania. Trudno o takiego. – Cygaro Seana dawno zgasło i było okropnie zżute. Wyjął je z ust i obejrzał z lekką dezaprobatą, nim wyrzucił w fale skradające się do jego stóp. – To byłaby cholernie ciężka praca w nieregularnych godzinach, bez ustalonych z góry obowiązków i, Bóg mi świadkiem, sam nienawidziłbym pracować dla siebie, ponieważ jestem chimerycznym, niesympatycznym starym sukinsynem. Z drugiej jednak strony, jedno jest pewne. Ktokolwiek przyjmie tę posadę, nie umrze z nudów i na pewno nauczy się przy mnie paru rzeczy. Odwrócił się, wysuwając głowę do przodu i patrząc Markowi prosto w twarz. Wiatr targał jego brodą. Muszkę zdjął dawno temu i wepchnął ją do kieszeni. Złote promienie wschodzącego słońca zabłysły w jego oczach o niezwykle pięknym odcieniu błękitu.

– Czy chcesz przyjąć tę posadę? – raczej zażądał, niż zapytał.

– Tak, sir – odpowiedział natychmiast Mark. Był oszołomiony perspektywą codziennego obcowania z tym niezwykłym człowiekiem.

– Nie zapytasz o wynagrodzenie? – zawarczał Sean.

– Pieniądze nie grają roli.

– Lekcja numer jeden. – Sean uniósł w górę krzaczastą, czarną brew nad błyszczącym rozbawieniem błękitnym okiem. – Pieniądze zawsze się liczą.

Przekraczając bramy Emoyeni, Mark wkraczał w nowe życie. W egzystencję tak niepodobną do tej, którą sobie wyobrażał. Stawiając czoło temu nowemu doświadczeniu, w korowodzie towarzyszącym konieczności przystosowania się do nowych idei, w nie kończącej się procesji odwiedzających i mnogości nowych obowiązków, jednego Mark obawiał się prawie bez przerwy. Ponownego spotkania z panną Storm Courteney.

Nigdy się nie dowiedział, czy zostało to zreżymowane przez generała, faktem było, że Storm nie było w Emoyeni w dniu, w którym Mark przybył, ani w dniach następnych. Mimo to jej wspomnienie wydawało się wszechobecne. Widniała na portretach i zdjęciach w każdym prawie pokoju. Niepokoił go szczególnie portret olejny naturalnej wielkości, wiszący w bibliotece, w której Mark spędzał większość czasu. Ubrana na nim była w długą suknię koloru kości słoniowej. Siedziała przy pianinie stojącym w głównym salonie, ale artyście nie udało się uchwycić ani ułamka jej piękna i ducha. Mark czuł na sobie przenikliwe spojrzenie, jakim portret śledził go nieustannie.

Stosunki między generałem i Markiem ustaliły się bardzo szybko, a nadchodzące dni rozwiały całkowicie ostatnie wątpliwości Seana. Rzadko przebywanie w towarzystwie drugiej osoby przez dłuższy czas nie irytowało Seana, a ten młokos sprawiał, że sam pragnął przebywać w jego pobliżu. Początkowo zamierzał zlecić Markowi prowadzenie codziennej korespondencji i tym podobne pochłaniające wiele czasu prozaiczne czynności, chcąc przeznaczyć go na załatwianie ważnych spraw w sferze polityki i biznesu.

Od czasu do czasu wkraczał do biblioteki, by przedyskutować jakiś nowy pomysł

z Markiem, ciesząc się, że dzięki niemu może spojrzeć na to młodszymi, świeżymi oczami. Nieraz odprawiał szofera i pozwalał Markowi zawieźć się do jednego z tartaków lub na zebranie rady miejskiej. Zawsze siadał z przodu przy nim, wspominając dni we Francji lub cofając się myślami do czasów, kiedy Marka nie było jeszcze na świecie. Niezmiernie radował się zainteresowaniem Marka, rozmowami o poszukiwaniu złota i polowaniach dla zdobycia kości słoniowej w bezkresnej dziczy na południe od rzeki Limpopo. Zaskakiwał Marka coraz to nowymi pomysłami.

– Na dzisiejszym zgromadzeniu odbędzie się ciekawa debata, Marku. Dam temu sukinsynowi Hendricksonowi popalić w czasie tej dyskusji o budżecie kolei żelaznej. Zawieź mnie tam, a będziesz mógł wysłuchać jej z galerii dla gości.

– Te listy mogą poczekać do jutra. W tartaku Umvoti mają jakąś awarię. Weźmy strzelby i w drodze powrotnej ustrzelimy parę perliczek.

– Dziś wieczór w sali musztry, Mark. Jeśli nie masz nic ważnego...

To był rozkaz, bez względu na to, jak delikatnie wyrażony, i Mark został wolno i delikatnie wessany z powrotem w szeregi regimentu w czasie pokoju. Różniło się to znacznie od tego we Francji. Teraz Mark miał potężny patronat.

– Nie potrzebuję tu trzeciorzędnego markiera. Jeśli chcesz poznać moje metody pracy, synu, muszę cię mieć pod ręką, nawet gdy bawimy się w żołnierzy. Poza tym – tu Sean uśmiechnął się – czy nie przydałoby ci się od czasu do czasu trochę dyscypliny?

Do kolejnego wypadu, Mark wciąż jeszcze nie przyzwyczajony do tempa, w jakim zdarzenia następują w świecie rządzonym przez Seana Courteneya, miał być nagle w pełnym umundurowaniu podporucznika, włącznie z podwójną koalicijką Sama Browne'a biegnącą przez ramię i pojedynczą, błyszczącą gwiazdką na pagonach. Spodziewał się antagonizmów lub przynajmniej protekcjonalności od braci oficerskiej, ale okazało się, że przydzielono mu dowództwo nad szkoleniem musztry, gdzie został przyjęty z powszechnym entuzjazmem.

Z początku pozycja Marka w hierarchii domowej nie była jasna. Pani na Emoyeni, swą dojrzałą urodą i chłodną wszechstronnością, napawała go lękiem. Przez pierwsze parę tygodni była niedostępna, ale uprzejma. Zwracała się do niego nieodmiennie: „Panie Anders”, a każdą prośbę poprzedzała skrupulatnie słowem: „proszę”, po której następowało niezmiennie: „dziękuję”.

Kiedy generał i Mark wracali do Emoyeni na południowy posiłek, Markowi przynoszono go na srebrnej tacy do biblioteki. Wieczorem rozstawał się z generałem, wsiadał na wysłużony motocykl Ariel Square Four, który nabył, i pędził z warkotem poprzez pagórki, kierując się ku miastu i swemu okropnemu domostwu na Point Road.

Ruth Courteney przyglądała się Markowi okiem znacznie przenikliwszym niż mąż. Gdyby w najmniejszym choć stopniu nie spełniał jej oczekiwań, użyłaby wszystkich swych wpływów, by zmusić Seana do zwolnienia go.

Pewnego ranka, gdy Mark siedział w bibliotece zajęty pracą, Ruth weszła z ogrodu, niosąc naręczę świeżo ściętych kwiatów.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedziała i zabrała się za układanie kwiatów w srebrnej misie na środku stołu. Przez chwilę pracowała w absolutnej ciszy, po czym w naturalny i przyjazny sposób zaczęła gawędzić z Markiem, powoli wyciągając z niego szczegóły dotyczące jego sytuacji domowej. Gdzie sypiał i jadł, kto zajmował się jego praniem, i mimo iż nie mówił nic, była przerażona.

– Musi pan przynosić swoje pranie tutaj. Zajmą się tym razem z całym domowym praniem.

– To naprawdę bardzo miło z pani strony, pani Courteney. Nie chciałbym jednak być ciężarem.

– Nonsens, mamy przecież dwóch służących, którzy nie zajmują się niczym prócz prania i prasowania.

Nawet Ruth Courteney, jedna z pierwszych dam w Natan, wciąż jeszcze piękna mimo przekroczenia dawno czterdziestu lat, nie pozostawała obojętna na naturalny wdzięk Marka. Do tego wrodzonego uroku dołączał zbawienny wpływ, jaki wywierał na jej mężczyznę.

Sean zdawał się odmłodzić, stał się bardziej beztroski, co przypisywała nie tylko znacznemu odciążeniu go przez Marka od rutynowych, codziennych zajęć. Ten chłopak przywracał mu ducha młodości, świeżość umysłu, energię i entuzjazm do tych rzeczy w życiu, które zdążyły już trochę szcerstwieć i przestały się wydawać warte zachodu.

Weszło w zwyczaj, że godzinę przed udaniem się na spoczynek spędzali w buduarze Ruth. Sean odziany niedbale w pikowany szlafrok zwykł przyglądać się, jak czesała włosy i kremowała twarz. Wypalał ostatnie tego dnia cygaro, omawiając zdarzenia minionego dnia. Niezmiennie rozkoszował się widokiem jej wciąż szczupłego i prężnego ciała prześwitującego spod cienkiej, jedwabnej, nocnej koszuli. Czuł powolne budzenie się swego ciała w oczekiwaniu na moment, kiedy odwróci się wyciągając do niego dłoń, by powieść go do sypialni. Do ogromnego łoża o czterech kolumnkach pod drapowanym, ozdobionym chwaścikami baldachimem.

Trzy czy cztery razy w ciągu pierwszych tygodni pracy Marka skomentował jakiś fakt tak radykalnie, w sposób tak niepodobny do zwykłego, staromodnie konserwatywnego tonu, że Ruth upuściła srebrną szczotkę do włosów na kolana i odwróciła się zdziwiona ku niemu.

Za każdym razem śmiał się zawstydzony i unosił dłoń, by uprzedzić i powstrzymać jej reakcję.

– No dobrze, wiem, co zamierzasz powiedzieć, ale dyskutowałem na ten temat z młodym Markiem – po czym chichotał. – W tym, co ten chłopak mówi, jest dużo zdrowego rozsądku.

Pewnego wieczoru, przeszło miesiąc od przybycia Marka, siedzieli razem w zgodnej ciszy, kiedy Sean zapytał nagle:

– Czy młody Mark nie przypomina ci czasem Michaela?

– Nie zauważyłam. Nie, raczej nie.

– Nie chodzi mi o wygląd zewnętrzny, lecz to coś w jego sposobie myślenia.

Ruth poczuła przyływ przygniatającego, trochę zapomnianego uczucia żalu. Nigdy nie dała Seanowi syna. Tylko tego żałowała naprawdę, tylko to rzucało cień na ich wspólne pogodne pożycie. Przygarbiła się jakby pod ciężarem tego żalu, spojrzała w lustro, szukając w nim potwierdzenia, że nie sprawdziła się.

Sean nie zauważył tego i ciągnął dalej rozbawiony:

– Nie mogę się wprost doczekać lutego. Hamiltonowi pęknie serce, kiedy będzie musiał oddać ten piękny srebrny puchar. Mark natchnął drużynę nowym duchem. Wiedzą, że mogą teraz wygrać. Mając takiego strzelca jak on...

Słuchała w milczeniu, nienawidząc się za to, że nie mogła mu dać tego, czego pragnął tak bardzo. Spojrzała na małą rzeźbioną statuetkę bożka Thora stojącą na toalecie. Stał tam przez lata od dnia, gdy podarował jej ją Sean. Talizman płodności. Storm została poczęta w momencie największego nasilenia się burzy z wyładowaniami i dostała imię upamiętniające tę chwilę. Żartował zawsze, że potrzebna do tego była aż burza. Wtedy to podarował jej tego bożka.

Guzik mi pomogłeś, pomyślała spoglądając z goryczą w lustro na swoje ciało skryte pod jedwabiem. Tak przyjemne dla oczu, a tak cholernie bezużyteczne! Zazwyczaj nie przeklinała, ale teraz dała wyraz swej bezsilności.

Mimo że tak piękne, jej ciało nigdy już nie wydało następnego dziecka. Teraz nadawało się tylko do tego, by dawać mu rozkosz. Podniosła się gwałtownie, przerywając swój wieczorny rytuał, i podeszła do niego. Wyjęła mu cygaro z ust i z premedytacją zgasiła w dużej kryształowej popielnicy.

Spojrzał na nią zdziwiony, chcąc o coś zapytać, ale słowa pozostały nie wypowiedziane. Patrzyła na niego omdlewająco spod w półprzymkniętych powiek. Uchylone usta ukazywały drobne, białe zęby, a jej wysokie, pięknie uformowane policzki płonęły gorączkowym rumieńcem. Sean znał ten szczególny wyraz twarzy i nastrój, jaki odzwierciedlał. Poczuł, że serce zaczyna mu walić o żebra niczym dzikie zwierzę w klatce. Zwykle ich kochanie było czymś głębokim i zadowalającym, czymś, co wraz z upływem lat nasiliło się i stało jeszcze doskonalsze. Kompletne zespolenie dwóch ciał, piękny symbol ich wspólnego pożycia. Ale raz na jakiś czas, bardzo rzadko, Ruth przymykała powieki, rozchyłała usta, a rumieniec różowił jej policzki. To, co następowało potem, było tak dzikie, rozwiązłe i niekontrolowane, że kojarzyło się mu niezmiernie z jakimś żywiołem, wręcz fenomenem natury.

Wsunęła szczupłą, białą dłoń za poję jego szlafroka, drapiąc lekko długimi paznokciami w poprzek brzucha, tak że skóra natychmiast ożyła i zaczęła tętnić. Wtedy pochyliła się i wplątując palce w jego brodę, wykręciła twarz ku sobie. Pocałowała go w same usta, wsuwając głęboko ostry, różowy języczek.

Sean zawarczał i schwycił ją, próbując posadzić sobie na kolanach. Jednocześnie

rozchylił szlafrok tak, że uwolnił jej małe, sterczące piersi. Była jednak zwinna i szybka. Wyślizgnęła się z jego objęć. Kremoworóżowa skóra Ruth połyskiwała, a obnażone piersi podskakiwały rozkosznie, kiedy biegła na długich, kształtnych nogach do sypialni. Jej śmiech był kpiący, wabiący i kuszący.

Następnego ranka Ruth ścięła naręczce karmazynowych i białych goździków i zaniósła je do biblioteki, w której pracował Mark. Powstał natychmiast i odpowiedział na jej pozdrowienie. Przyjrzała się uważnie jego twarzy. Dotychczas nie zauważyła, że był tak przystojny. Teraz stwierdziła, że oto jest twarz, która zestarzeje się wdzięcznie. Miał wspaniały układ kostny i dumny, mocny nos. Był jednym z nielicznych szczęśliwców, którym parę zmarszczek czy bruzd wokół oczu i szpakowate skronie dodadzą tylko uroku. Była to jednak sprawa dalekiej przyszłości, teraz uwagę przyciągały przede wszystkim jego oczy.

Tak, pomyślała patrząc na nie. Sean ma rację. Ma tę samą dobroć i siłę, którą miał Michael.

Obserwowała go ukradkiem, układając kwiaty. Starannie dobierając słowa rozpoczęła pogawędkę. Kiedy skończyła układać kompozycję, cofnęła się o krok, by przyjrzeć się swemu dziełu, i przemówiła nie patrząc na Marka.

– Dlaczego nie przyłączysz się do nas i nie zjesz obiadu na tarasie, Marku? – zapytała, świadomie używając jego imienia, i oboje zdali sobie sprawę z tego, gdy już zostało wypowiedziane. – Chyba że wolisz nadal jadać tutaj?

Sean spojrzął znad gazety, gdy Mark wyszedł na taras, ale twarz pozostała nieprzenikniona. Gdy Ruth posadziła Marka tuż obok niego, powrócił do przerwanej lektury i ze złością odczytał im na głos artykuł wstępny, wyszydzając autora za ton i emfazę. Następnie zmiął stronę z wiadomościami i upuścił ją przy swym krześle.

– Ten facet to nawiedzony idiota – powinni go zamknąć.

– Cóż, sir – zaczął Mark delikatnie.

Ruth odetchnęła z ulgą, podjęła bowiem decyzję co do porządku spożywania obiadu bez skonsultowania sprawy z Seanem. Mężczyźni natychmiast zatopili się w rozmowie, a kiedy podano danie główne, Sean mruknął: „Zajmij się kurczakiem, Mark, ja pokroję kaczkę”, i obaj zajęli się porcjowaniem. Dyskutowali przy tym jak członkowie jednej rodziny. Zasłoniła uśmiech serwetką, kiedy Sean niechętnie musiał przyznać rację argumentom młodszego mężczyzny.

– Nie mówię, że się nie mylisz, rzecz jasna. Ale jeśli tak, to czym wytłumaczysz fakt...

Znów atakował z innej pozycji, a Ruth przysłuchiwała się zręcznej obronie Marka. Teraz zobaczyła jasno, czemu Sean wybrał właśnie jego.

Dopiero przy kawie Mark dowiedział się, gdzie aktualnie przebywa Storm Courteney.

Sean nagle zwrócił się do Ruth.

– Czy dostaliśmy dziś rano list od Storm? – Kiedy pokręciła głową, ciągnął dalej: – Ktoś

powinien nauczyć tę piekielną, zarozumiałą pannicę dobrych manier. Nie było listu od niej od ponad dwóch tygodni. Gdzie właściwie mogą teraz być?

– W Rzymie – powiedziała Ruth.

– Rzym – warknął Sean. – Z całą bandą latynoskich adoratorów podszczypujących ją w siedzenie.

– Sean! – Ruth upomniała go skromnie.

– Proszę mi wybaczyć – wyglądał na trochę speszzonego, ale zaraz uśmiechnął się przebiegle i dodał: – Jak ją znam, to wystawia jeszcze ten kuperek, by był w lepszej pozycji do szczypania.

Tej nocy, gdy Mark zasiadł, by odpisać na listy od Marion Littlejohn, uświadomił sobie, jak błaha wzmianka o Storm Courteney zmieniła cały jego stosunek do dziewczyny, którą przecież zamierzał poślubić. Pod natłokiem prac, którymi Sean obarczył go niby mimochodem, listy Marka do Marion przestały być codziennym rytuałem, a czasami dzieliły je nawet długie tygodnie. Jej listy z kolei przychodziły równie często co przedtem i odkrył, że tak naprawdę to nie natłok pracy zmuszał go do odkładania spotkania z nią. Siedział żując nasadkę pióra tak zawzięcie, że popękała. Szukał właściwych słów i natchnienia, znajdując niemożliwym pisanie wzniosłych frazesów o wiecznej miłości na każdej stronie. Czysta karta leżąca przed nim była równie mało zachęcająca co przeprawa przez Saharę, a przecież musiał ją zapisać.

„Wybieramy się w przyszły weekend do Johannesburga, by wziąć udział w corocznych zawodach strzeleckich o Puchar Afryki”, pisał, po czym zastanowił się, jak rozwinąć tę informację, żeby zajęła przynajmniej stronę.

Marion Littlejohn była częścią jego życia, które pozostawił za sobą, przekraczając bramy Emoyeni. Wreszcie uświadomił to sobie, nie umniejszając tym wcale przebijającego poczucia winy. Próbował jeszcze zaprzeczyć wszystkiemu i kontynuować pisanie listu, ale wyobraźnia podsuwała mu wciąż nowe obrazy – głównie Storm Courteney, wesołej i smukłej. Uderzająco pięknej i równie nieosiągalnej co gwiazdy na niebie.

Puchar Afryki umieszczony na podstawie z polerowanego hebanu sięgał niemal piersi dorosłego człowieka. Posługacze z Emoyeni polerowali go przez trzy dni, nim osiągnął połysk zadowalający generała Courteneya. Teraz puchar stał pośrodku stołu otoczony piramidką herbacianych róż.

Stół bufetowy ustawiono w przedsionku głównej sali balowej. Teraz oba te pomieszczenia wypełniał tłum gości zaproszonych przez Seana Courteneya, by świętowali wraz z nim z okazji wielkiego tryumfu. Zaprosił nawet pułkownika Hamilltona ze stacjonujących w Kapsztadzie Highlandersów, [elitarne jednostki w Armii Brytyjskiej, złożone z górali szkockich.] by przyłączył się pierwszą klasą liniowca „Union Castle” wraz ze swymi starszymi

oficerami i jako gość wziął udział w balu.

Hamillton odmówił w formie uprzejmej noty z podziękowaniami, długiej na cztery linijki, ale bez zwyczajowej formuły wstępnej i końcowych uprzejmości. Puchar znajdował się w zamku w Kapsztadzie od czasu, gdy został ufundowany przez królową Wiktorię w pierwszym roku trwania wojny burskiej. Upokorzenie Hamilltona miało niebagatelny wpływ na doskonały nastrój Seana Courteneya.

Dla Marka był to najpracowitszy okres od czasu przybycia do Emoyeni. Ruth zaczęła obdarzać go coraz większym zaufaniem i pod jej baczny okiem wykonał większość prac związanych z przygotowaniem zaproszeń i zapewnieniem zaopatrzenia w alkohole i jedzenie.

Teraz skłoniła go do zatańczenia ze wszystkimi brzydkimi dziewczętami, które, gdyby nie on, siedziałyby niepokieszone na krzesłach ustawionych pod ścianami. Po każdym tańcu generał machnięciem cygara ponad głowami gości przywoływał go do stołu bufetowego, przy którym zdołał zapewnić sobie stałą pozycję przy pucharze.

– Panie radco, chciałbym przedstawić panu mego nowego asystenta – Marku, to jest radca Evans. Właśnie ten młodzieniec załatwił nam zwycięstwo.

Podczas gdy Mark stał tam, skrzepowany pochwałami, generał po raz piąty czy szósty tego wieczora powtórzył wynik po wyniku, strzał po strzale przebieg ostatniego dnia zawodów. Dwa prowadzące regimenty miały równą liczbę punktów w konkursie zespołowym i sędziowie poprosili o dodatkową rundę indywidualną, która wyłoniłaby zwycięzcę.

– Wiatr dmuchał ze wszystkich stron z prędkością osiemnastu czy nawet dwudziestu kilometrów na godzinę, a pierwszy strzał oddawano z odległości dwustu metrów...

Mark nie mógł nadziwić się, ile radości ten drobiazg dawał generałowi. Dla człowieka, którego fortuna była tak wielka, że niemal nie do oszacowania, którego ziemie mierzyło się w setkach kilometrów kwadratowych, który był właścicielem bezcennych obrazów i białych kruków, posiadał biżuterię i kamienie szlachetne, konie i jachty, wszystko to było niczym w porównaniu z lśniącym karabinem.

– Byłem wśród oceniających – generał wypił już dość swojej własnej markowej whisky, by zacząć odgrywać swą opowieść. Kucnął więc i udawał, że przygląda się tarczy. – Muszę wam powiedzieć, że była to najgorsza godzina w moim życiu.

Mark uśmiechnął się na potwierdzenie tych słów. Strzelec wyborowy Highlandersów szedł równo z nim, strzał za strzałem. Obaj trafili w dziesiątkę, co potwierdziły uniesione chorągiewki sędziów.

– Obaj strzelali równie dobrze na dwieście metrów, potem pięćset metrów, i dopiero przy strzałach na dziewięćset metrów nasz młody Mark wykazał rzadką umiejętność oceniania warunków, strzału przy krzyżowym wietrze...

Gdy doszedł do tego fragmentu opowieści, większość słuchaczy miała oczy otępiełe z nudy, a przed nimi była jeszcze perspektywa wysłuchania relacji z dziesięciu rund strzelania z celowaniem i dziesięciu rund szybkiego strzelania. Mark wyczuł oznaki paniki po

przeciwnej stronie sali balowej. Stała tam Ruth ze swym zuluskim kamerdynerem. Mężczyzna ten, w którego żyłach płynęła krew wojowników i który zwykł nosić się niczym wódz, teraz miał twarz poszarzałą ze zdenerwowania.

Ruth dotknęła jego ramienia uspokajającym gestem i odprawiła go. Niespokojnie odwróciła się, czekając na nadejście Marka. Spiesząc przez salę balową, nie mógł nie zauważyć wielkiego podobieństwa matki i córki. Ruth Courteney wciąż jeszcze miała wysportowaną sylwetkę młodej dziewczyny. Zachowała szczupłość dzięki jeździe konnej i długim spacerom i dopiero z bliska można było zauważyć drobne zmarszczki i plamki na jej gładkiej skórze w kolorze kości słoniowej. Włosy nosiła ułożone wysoko, jakby na przekór modnej, krótkiej fryzurze. Jej suknia miała prosty, elegancki krój, podkreślający zgrabną figurę. Jeden z gości znalazł się przy niej przed Markiem. Rozmawiała z nim uśmiechnięta i odprężona, podczas gdy Mark kręcił się w pobliżu, czekając, aż będzie sama. Natychmiast podszedł do niej.

– Mark – jedynie jej oczy zdradzały, że jest czymś zaniepokojona, uśmiech pozostał lekki i spokojny. – Będą kłopoty. Mamy nieproszonego gościa.

– Co pani chce, bym zrobił?

– On jest teraz w holu przy głównym wejściu. Proszę, zaprowadź go do gabinetu generała i zostań tam z nim przez chwilę. Ja w tym czasie uprzedzę męża i wyślę go do was. Czy zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, a kiedy Mark zwrócił się do odejścia, zatrzymała go gestem dłoni.

– Mark, postaraj się być z nim przez cały czas. Nie chcę, by zostali we dwóch. Mam powody do obaw. – Nagle opuściła ją rezerwa. – Na litość boską, po co on tu przyszedł – i to akurat dziś wieczór, kiedy... – Przerwała i uśmiech zamarł jej na twarzy. Była znów opanowana i spokojna, ale oboje wiedzieli dobrze, dlaczego jest wzburzona i co zamierzała powiedzieć. „Właśnie dziś, kiedy Sean wypił”.

Mark zdążył poznać generała na tyle dobrze, by rozumieć niepokój żony. Kiedy Sean Courteney pił, był zdolny do wszystkiego – począwszy od wspaniałej nieposkromionej wesołości po mroczną nieposkromioną wściekłość.

– Zrobię, co się da – obiecał, a potem zapytał: – Proszę mi powiedzieć, kto to taki...

– To jego syn, Dirk. Dirk Courteney.

Zaskoczenie Marka było tak widoczne, że spojrzała na niego z niepokojem. Ruth przygryzła dolną wargę, nie kryjąc zaniepokojenia i napięcia, potem zebrała się w sobie i już spokojnie zapytała:

– Czy coś nie tak, Mark? Znasz go?

Mark szybko doszedł do siebie.

– Nie, słyszałem o nim tylko. Nie znam go osobiście.

– To zła krew, Mark. Bardzo zła. Bądź ostrożny.

Zostawiła go i oddaliła się w głąb sali, po drodze odwzajemniając ukłon matronie, wymieniając słówko i uśmiech, aż w końcu dotarła do Seana Courteneya wciąż jeszcze okupującego bufet.

Mark zatrzymał się w długim korytarzu galerii i obejrzał w jednym z wysokich, oprawnych w złoczone ramy luster. Jego twarz była pobladła i napięta, a kiedy przygłądził włosy, zauważył, że lekko drżą mu dłonie.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że się boi, strach niczym ołowiana kula gniótl mu wnętrzości. Oddychał szybko i płytko. Bał się człowieka, z którym miał się zaraz spotkać. Człowieka, którego tropił długo i mozolnie i którego wizerunek zdążył już powstać w jego wyobraźni. Stworzył w umyśle postać przerażającą, diaboliczną. Emanującą ogromną złowróżbną siłą, i teraz był zżerany niechęcią przed spotkaniem się z nim twarzą w twarz.

Przeszedł przez galerię. Jego kroki tłumił gruby dywan. Oczy nie zauważały dzieł sztuki zdobiących wykładane boazerią ściany, gdyż uczucie nadchodzącego niebezpieczeństwa przysłoniło mu wszystko.

U góry marmurowych schodów zatrzymał się i wychylił, opierając rękę na balustradzie, by spojrzeć w głąb holu.

Na środku wyłożonego marmurem w czarno-białą szachownicę holu stał samotnie mężczyzna. Był ubrany w czarny płaszcz z pelerynką zwisającą z ramion, strój, który podkreślał jeszcze jego wysoki wzrost.

Ręce splótł za plecami i bujał się w przód i w tył na piętach, wysuwając dolną szczękę agresywnie do przodu. Postawą tą tak bardzo przypominał swego ojca, że Mark zamrugał oczami z niedowierzania. Goła głowa była płataniną wspaniałych, ciemnych kędziorów, na których światło kandelabru kładło kasztanowe refleksy.

Mark zaczął schodzić z szerokich schodów, a mężczyzna uniósł głowę i spojrział na niego.

Marka uderzyło w pierw, jak bardzo był przystojny, a zaraz potem jego podobieństwo do generała. Miał taką samą mocno zarysowaną szczękę, ten sam kształt głowy, rozstaw oczu i niemal identyczną linię ust. Mimo to był znacznie przystojniejszy niż ojciec. Była w nim szlachetność głów rzeźbionych przez Michała Anioła, piękno jego Dawida i wspaniała siła Mojżesza, ale mimo to był w swej urodzie na wskroś ludzki. Nie przypominał odrażającego potwora z wyobraźni Marka i bezpodstawny strach opuścił go na tyle, że zdołał się uśmiechnąć na powitanie, gdy schodził ze schodów.

Gość obserwował go, stojąc nieruchomo, dopiero gdy Mark dotarł do czarno-białej posadzki, zobaczył, jaki Dirk jest wysoki. Był dobre dziesięć centymetrów wyższy od Marka, ale tak proporcjonalnie zbudowany, że wzrost nie wydawał się przesadny.

– Pan Courteney? – zapytał Mark, a mężczyzna skinął lekko głową, nie trudząc się na odpowiedź. Diament w spince jego krawata błysnął złowieszczo.

– Kim jesteś, chłopcze? – zapytał, a jego głos miał głębię i tembr odpowiadające

posturze.

– Jestem osobistym sekretarzem generała. – Mark nie pozwolił, by lekceważąca forma, w jakiej zwrócono się do niego, zakłóciła uprzejmy uśmiech przywitania. Wiedział dobrze, że Dirk jest starszy od niego o co najmniej dziesięć lat. Dirk obejrzał go wolno od stóp do głów, taksując krój garnituru Marka wraz z innymi szczegółami ubioru jednym krótkim spojrzeniem, nim uznał je za niegodne uwagi.

– Gdzie jest mój ojciec? – Odwrócił się, by poprawić krawat w lustrze. – Czy wie, że czekam na niego od ponad dwudziestu minut?

– Generał ma gości, ale zobaczy się z panem za chwilę. Tym czasem może zechciałby pan poczekać na niego w gabinecie. Proszę pozwolić za mną.

Dirk stanął pośrodku gabinetu i rozejrzał się wokół siebie. Staruszek trzyma niezły styl – pomyślał i uśmiechnął się, błyskając olśniewająco białymi zębami, po czym podszedł do jednego z obitych skórą foteli przy kamiennym kominku.

– Daj mi brandy z wodą sodową, chłopcze.

Mark otworzył drzwiczki regału i wyjął butelkę koniaku Courvoisier ze starannego szyku butelek. Nalał nieco do kieliszka, dopełnił wodą i zaniósł Dirкови Courteneyowi. Ten skosztował i przytaknął głową, rozpierając się w szerokim fotelu w niedbalej pozie odpoczywającego lamparta, po czym jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Spojrzenie, jakim obdarzał poszczególne obrazy, każdy element dekoracyjny, było taksujące i zamyślane. Pytanie, które zadał, właściwie nie oczekiwało odpowiedzi.

– Jak pan powiedział, że się nazywa?

Mark stanął z boku, tak by widzieć twarz mężczyzny. Obserwował go uważnie, udzielając odpowiedzi.

– Nazywam się Anders. Mark Anders.

Przez chwilę nazwisko nie wywarło żadnego wrażenia, ale w końcu dotarło do Dirka i grymas całkowitego przeobrażenia przebiegł mu twarz. Gdy Mark zauważył tę metamorfozę, strach powrócił z pełnym natężeniem.

Kiedy był chłopcem, dziadek usidlił lamparta samotnika w ciężkiej, stalowej pułapce zatrzaskowej. Lampart zaatakował ich, gdy zjawili się tam następnego ranka. Rzucając się na solidnym, przytrzymującym go łańcuchu, zdołał zbliżyć się do Marka tak blisko, że ich oczy znalazły się prawie na tym samym poziomie. Nigdy nie zapomniał straszego, zionącego nienawiścią błysku w jego ślepiach. Teraz widział ten sam błysk, oczy emanowały taką brutalnością i wściekłością, że podświadomie cofnął się.

Grymas pojawił się na twarzy na krótką chwilę, ale zdawał się odmienić ją całkowicie. Z ekstrawagancko pięknej do groteskowo brzydkiej, by znów wyszlachetnieć w czasie krótszym niż mgnienie oka.

Gdy Dirk przemówił, głos miał opanowany, oczy spuszczone, a twarz wyrażała uprzejmą obojętność.

– Anders? Słyszałem gdzieś to nazwisko – zastanawiał się przez chwilę, starając się je umiejscowić, po czym zbył jako nieważne i zwrócił uwagę na obraz Thomasa Bainesa wiszący nad kominkiem. W tym momencie Mark nabrał pewności, że niejasne, mgliste podejrzenia, które żywił od tak dawna, opierają się na niezbitych faktach.

Teraz nie miał już najmniejszych wątpliwości, że doprowadzenie do sprzedaży Anderslandu, śmierć i marny pochówek dziadka były wynikiem świadomego działania, a mężczyźni, którzy polowali na niego na skarpie w Ladyburgu i ponownie za Bramą Chaki, byli tylko częścią planu wprowadzonego w życie przez tego człowieka.

Wreszcie zidentyfikował swego przeciwnika, ale wiedział, że osaczenie go i zmuszenie do poddania się będzie przekraczało jego możliwości.

Odwrócił się, by uporządkować stos dokumentów na biurku generała, nie wiedząc, czy zdoła zmusić się do ponownego spojrzenia w oczy swemu wrogowi, nie zdradzając się.

Odsłonił się już dość ryzykownie, ale okazja była zbyt wyjątkowa, by jej nie wykorzystać. W zamian za swoje całkowite obnażenie się zmusił wroga do zrobienia tego samego, wyzwał go na otwarte pole i uznał się za zwycięzcę w tej potyczce.

Jeszcze jeden czynnik sprawiał, że ten postępek nie wydawał mu się już tak samobójczy. Przedtem był całkiem sam, nie miał przyjaciół. Teraz chronił go sam fakt znajomości z Seanem Courteneyem.

Gdyby powiodło im się w Ladyburgu czy za drugim razem przy Bramie Chaki, zostałyby to potraktowane jako śmierć mało ważnego włączki. Teraz jego śmierć czy nawet tylko zniknięcie natychmiast zwróciłoby uwagę generała Courteneya i wątpił, czy Dirka Courteneya stać było na podjęcie takiego ryzyka.

Spojrząwszy szybko znad pliku papierów, Mark zauważył, że jest obserwowany przez Dirka Courteneya, ale teraz było to spojrzenie obojętne, lecz wzrok miał nieprzenikniony i kontrolowany. Zaczął coś mówić, lecz przerwał zaraz, usłyszawszy ciężkie, powłóczyście kroki w przejściu. Obaj zwrócili wzrok na drzwi.

Sean Courteney zdawał się zapełniać je w całości. Czubkiem wielkiej, potarganej głowy dotykał niemal futryny, a bary były szerokie niczym u atlety. Stał oparłszy się oburącz na rączce laski i patrzył ponuro w głąb pokoju.

Jego spojrzenie zwróciło się natychmiast ku wysokiej, elegancko odzianej postaci unoszącej się ze skórzanego fotela, a gdy rozpoznał ją, żłobiona zmarszczkami, ogorzała twarz pociemniała.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem bez słów. Mark obserwował ich, wyczuwając instynktownie tę grę uczuć, odnajdywanie w zakamarkach pamięci dawnych krzywd. Elementarne uczucia miłości syna do ojca i ojca do syna zostały już dawno pogrzebane, jednak teraz zostały wydobyte niczym potworne, gnijące zwłoki, tym potworniejsze, że kiedyś żyły i były tak mocne.

– Witaj, ojciec – Dirk Courteney przemówił pierwszy.

Na dźwięk jego głosu ramiona Seana straciły nieco ze swej sztywności, a złość w oczach ustąpiła miejsca wyrazowi smutku i żalu za czymś, co kiedyś miało wielką wartość, ale zostało bezpowrotnie stracone. Pytanie, które zadał, było raczej ciężkim westchnieniem.

– Po co tu przyszedłeś?

– Czy nie moglibyśmy porozmawiać na osobności – bez obcych?

Mark odszedł od biurka i ruszył przez pokój ku drzwiom, lecz Sean powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Tu nie ma obcych. Zostań, Mark.

Była to najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszał, i w tej chwili siła uczuć do Seana Courteneya nie miała sobie równej.

Dirk Courteney wzruszył ramionami i po raz pierwszy uśmiechnął się lekkim, nieco kpiącym uśmiechem.

– Zawsze byłeś zbyt ufny, ojcze.

Sean pokiwał głową, siadając ciężko za biurkiem.

– Tak, kto mógłby pamiętać o tym lepiej niż ty.

Uśmiech Dirka przygasł.

– Przeszedłem tu z nadzieją, że może zapomniałeś. Że możemy wybaczyć sobie nawzajem.

– Wybaczyć? – zapytał Sean, podnosząc szybko wzrok. – Ty chcesz mi coś wybaczyć? Co takiego?

– Splodziłeś mnie, ojcze. Jestem taki, jakiego mnie stworzyłeś.

Sean potrząsnął głową przecząco i przemówiłby, lecz Dirk go powstrzymał.

– Wiem, że wyrządziłem ci krzywdę, ale jestem zdania, że ty wyrządziłeś też krzywdę mnie.

Sean skrzywił się.

– Mówisz ogólnikami. Przejdź do rzeczy. Czego chcesz tak bardzo, że decydujesz się na przyjscie do mojego domu nie proszony?

– Jestem twoim synem. To, że żyjemy rozdzieleni, jest wbrew naturze. – Dirk był elokwentny i przekonujący. Wyciągając dłonie w proszącym gościu, zbliżył się do masywnej postaci siedzącej za biurkiem. – Wierzę, że zasłużyłem sobie i mam pełne prawo żądać, byś poświęcił mi trochę uwagi... – przerwał i zerknął na Marka. – Niech to szlag! Czy nie moglibyśmy porozmawiać bez gapiowatych świadków?

Sean zawahał się przez moment, rozważając, czy nie poprosić Marka o opuszczenie pokoju, i wtedy przypomniał sobie, co obiecał Ruth nie dalej, jak przed paroma minutami. „Nie pozwól, by był sam na sam z tobą choćby przez chwilę. Sean, obiecaj mi, że pozwolisz, by Mark był przy tobie. Nie ufam Dirkowi, za nic mu nie ufam. On jest zły, Sean, sprowadza kłopoty i nieszczęścia – wyczuwam to w nim. Nie zostawaj z nim sam”.

– Nie – pokręcił głową. – Jeśli masz coś do powiedzenia, zrób to wreszcie. Jeśli nie,

zostaw nas w spokoju.

– Dobra, koniec z sentymentami – powiedział Dirk, porzucając rolę proszącego. Odwrócił się i zaczął spacerować po pokoju, trzymając ręce wciśnięte głęboko w kieszenie płaszcza. – Pomówmy o interesach i na tym koniec. Teraz mnie nienawidzisz, ale kiedy będziemy współpracować, kiedy podzielę się z tobą najśmielszym i najdoskonalszym przedsięwzięciem, jakie ta ziemia widziała, wtedy możemy zapomnieć o sentymentach.

Sean milczał.

– Teraz jestem tylko biznesmenem, synem mogę być później. Zgadzasz się?

– Wysłucham cię – powiedział Sean i Dirk zaczął mówić.

Nawet Mark nie mógł ukryć podziwu dla elokwencji Dirka Courteneya. Dla przekonującego i umiejętnego sposobu posługiwania się swoim pięknym, głębokim głosem oraz uderzająco przystojnym wyglądem. Ale wszystko to były tylko sztuczki teatralne, wielokrotnie wypróbowane i robione na pokaz. Spontaniczne było tylko zafascynowanie własnymi ideami, które niemal emanowało z niego, kiedy przedstawiał swoje plany. Można mu było uwierzyć z łatwością, ponieważ tak ewidentnie on wierzył w to, co mówił.

Posługując się dłońmi i głosem, wyczarował przed ojcem ogromne imperium, bezkresne przestrzenie ziemi, tysiące na tysiące kilometrów kwadratowych, bogactwo, jakie niewielu dane było osiągnąć. Plantacje bawełny, trzciny cukrowej i kukurydzy, nawadniane gigantyczną tamą zatrzymującą śródlądowe morze słodkiej, świeżej wody – było to marzenie zapierające dech w piersi swym rozmachem.

– Mam już połowę tej ziemi – Dirk przerwał i zaczął obejmować zwartą pięść jednej dłoni rozwartymi niczym szpony orła palcami drugiej – ...tu w swoich rękach. Należy do mnie. To już nie jest tylko sen.

– A co z resztą? – zapytał niechętnie Sean, porwany opowieścią wbrew swej woli.

– Jest tam, dziewicza, dojrzała i gotowa – Dirk zrobił dramatyczną pauzę. – Zupełnie jakby natura zaprojektowała ją specjalnie dla naszych potrzeb. Podwaliny pod tę tamę już tam są, stworzone przez samego Boga niczym błogosławieństwo!

– Więc? – mruknął Sean sceptycznie. – Więc teraz występujesz jako narzędzie Boga, czy tak? A gdzie leży to imperium, które ci obiecał?

– Jestem właścicielem wszystkich ziem na południe od rzeki Umkoto, i to jest właśnie ta połowa, o której ci mówiłem. – Zatrzymał się przed mahoniowym biurkiem i pochylił, opierając dłonie na politurowanym blacie. Przybliżył swą twarz, z której wprost biła aura religijnego fanatyzmu, do twarzy Seana Courteneya. – Zbudujemy tamę pomiędzy skałami Bramy Chaki i zatopimy pod wodą całą dolinę Bubezi jeziorem o długości dwustu kilometrów i na sto szerokim – osuszmy ziemię aż do rzeki Umkomo i dodamy do tej, którą już posiadam na południu. Dwa miliony akrów zmeliorowanej, rolnej ziemi! Pomyśl tylko!

Mark gapił się na Dirka Courteneya kompletnie ogłuszony tym, co właśnie usłyszał, potem przeniósł wzrok na jego ojca, prosząc, chcąc usłyszeć, że odrzuca cały ten potworny

zamysł.

– Strefa muchy tse–tse – powiedział w końcu Sean.

– Ojciec, trzech niemieckich naukowców, Dressel, Kothe i Rochl, przetestowało i udoskonało lek o nazwie „germanin”. Jest bezkonkurencyjnym lekarstwem na śpiączkę spowodowaną ukąszeniem muchy tse–tse. Na razie trzymają to w tajemnicy, ale paru udało się jakoś dowiedzieć – zapewnił go Dirk gorliwie, po czym ciągnął dalej. – Wtedy zmieciemy muchę tse–tse z całej doliny.

– Jak? – zapytał Sean, a to, że jest szczerze zainteresowany, było oczywiste.

– Z powietrza. Latające maszyny będą rozpylać ekstrakt pythagra lub inny środek owadobójczy.

Było to zdumiewające rozwiązanie i Sean milczał przez chwilę, nim niechętnie zapytał:

– Czy wypróbowano tę metodę?

– Nie – uśmiechnął się do niego Dirk. – Ale my to zrobimy.

– Przemyślałeś wszystko – Sean rozparł się w krzesło i rozkojarzony macał dłonią w poszukiwaniu cygara. – Z wyjątkiem jednego szczegółu. Dolina Bubezi to teren zastrzeżony – jest tak od czasów Chaki. Większość ziem leżących między rzekami Bubezi i Nkomo jest albo terenem powierzonym plemionom, albo ziemią Korony, albo rezerwatem leśnym.

– Ufasz mu? – Dirk zapytał znów ojca, wskazując głową Marka, kiedy przyjmował od niego podawaną szklanę.

– Mów dalej, człowieku – warknął z irytacją Sean, nie trudząc się, by odpowiedzieć na to pytanie.

Dirk uniósł szklanę z rzućtego szkła w geście toastu pod adresem ojca i uśmiechnął się znacząco.

– To ty tworzysz prawo, ojciec. Ty i twoi przyjaciele z rządu i Parlamentu Prowincji, i ty możesz je zmienić. To będzie twój wkład w ten interes.

Sean zaciągnął się głęboko cygarem słuchając go, po czym wydmuchiwał dym tak, że jego głowa, kiedy odpowiedział, była spowita błękitnym, unoszącym się obłokiem.

– Wyjaśnijmy to sobie. Ty wykładasz pieniądze, a ja przeprowadzam przez parlament ustawę o odrzuceniu praw własności do ziem leżących między rzekami Bubezi i Nkomo, które my potrzebujemy?

– I dolinę Bubezi – wtrącił Dirk.

– I dolinę Bubezi. Następnie postaramy się, by jakieś wiodące przedsiębiorstwo otrzymało tę ziemię, nawet jeśli dzierżawa wyniesie tysiące rocznie.

Dirk przytaknął.

– A co z kosztami budowy tamy i kolei żelaznej doprowadzonej do tamy, masz kapitał na to?

Mark nie wierzył własnym uszom. Nie wierzył, by Sean Courteney mógł targować się

o własność państwową, o skarby powierzone mu jako najwyższemu reprezentantowi ludu. Miał ochotę krzyknąć głośno, przekląć ich obu za te knowania. Uczucie sympatii, które czuł przed paroma chwilami, przerodziło się w głębokie poczucie oburzenia.

– Nikt nie posiada takiego kapitału – odrzekł Dirk. – Moi ludzie zrobili pobieżny kosztorys, ale już wiadomo, że niewiele zostanie z kwoty moich czterech milionów funtów. Żaden człowiek nie ma takich pieniędzy.

– Więc? – zapytał Sean. Kłęby dymu odrywały się od jego głowy i Markowi zdawało się, że postarzał się nagle. Jego twarz była zapadnięta i poszarzała. Głęboko osadzone oczy kaprysem padającego światła przemieniły się w puste oczodoły czaszki.

– Gubernator wybuduje to wszystko dla nas – Dirk zachichotał nisko i wznowił spacer po pokoju. – Albo może należałoby powiedzieć, że zbuduje tamę i kolej żelazną dla narodu, by udostępnić cenne naturalne zasoby. – Dirk zachichotał znów. – Wyobraź sobie prestiż, jaki zyska człowiek, który patronowałby tym zamierzeniom w parlamencie. Człowiek, który wprowadza do dziczy postęp i cywilizację. – Podniósł kieliszek i wypił połowę zawartości. – Jego imieniem zostanie nazwana ta tama, na przykład imieniem Seana Courteneya!

– To brzmi imponująco.

– Monument godny ciebie, ojciec – Dirk uniósł szklankę w kierunku ojca.

– A co z ziemiami należącymi do plemion, Dirk? – Mark zauważył, że Sean po raz pierwszy użył imienia syna, i spojrzał na niego ostro.

– Przeniesimy gdzieś tych czarnuchów – rzucił nonszalancko Dirk. – Znajdziemy dla nich jakiś teren za wzgórzami.

– A rezerwat zwierząt?

– Dobry Boże, czy mamy pozwolić, by parę zwierząt stanęło nam na drodze do milionów funtów?! – Potrząsnął bujnymi kędziorami w udanym przerażeniu. – Zanim zatopimy dolinę, możesz zorganizować tam safari. Zawsze lubiłeś polować, prawda? Pamiętam twoje opowieści o wielkich polowaniach na słonie w dawnych czasach.

– Tak – przytaknęła ciężko Sean. – Zabiłem mnóstwo słoni.

– Więc, ojciec, doszliśmy wreszcie do porozumienia? – Dirk zatrzymał się przed Seanem i po raz pierwszy wyczuwało się w nim napięcie. Wysokie czoło przecięła mu zmarszczka troski. – Czy będziemy razem pracować?

Sean milczał przez parę sekund, wpatrując się w bibularz stojący na biurku. Kiedy uniósł wolno głowę, wyglądał na bardzo starego i schorowanego.

– Wszystko, o czym tu mówiłeś, rozmach tego przedsięwzięcia – zaskoczyło mnie kompletnie. – Mówił ostrożnie, ważąc każde słowo.

– Jest ogromne i będzie wymagało odwagi – zgodził się Dirk. – Ale ty jeszcze nigdy nie stchórzyłeś, ojciec. Kiedyś powiedziałeś mi: Jeśli chcesz część, idź na całość i zdobądź to. Jedno jest cholernie pewne, nikt ci tego nie da.

– Jestem coraz starszy, Dirk. Człowiek zaczyna odczuwać zmęczenie, nie mam już zapалу

młodości.

– Jesteś jeszcze silny niczym tur.

– Potrzebuję czasu do namysłu.

– Jak długo? – zapytał Dirk.

– Do czasu – Sean się zawahał – najbliższej sesji parlamentu. Muszę porozmawiać z ludźmi. Sprawdzić opłacalność całego przedsięwzięcia.

– Za długo – skrzywił się Dirk. Nagle jego twarz straciła całą swą urodę, oczy zmieniły się, wypełniły wściekłością.

– Tyle czasu jest mi potrzebne.

– W porządku – zgodził się Dirk, wypogadzając grymas. Uśmiechnął się do masywnej postaci. Zrobił gest wyciągania prawej dłoni.

Sean nie podniósł nawet głowy, zamiast tego wsadził rękę do kieszeni surduta.

– Zanedbuję swoich gości – powiedział cicho. – Musisz mi teraz wybaczyć. Mark odprowadzi cię do wyjścia.

– Dasz mi znać? – zapytał Dirk.

– Tak – odpowiedział ciężko Sean z opuszczonym wzrokiem. – Dam ci znać.

Mark odprowadził Dirka Courteneya do drzwi wyjściowych. Czuł, że płonie z nienawiści do niego. Kiedy szli ramię w ramię milcząc, Mark walczył z ogarniającym go dzikim i nieposkromionym uczuciem wściekłości. Nienawidził go za to, że pokonał na jego oczach człowieka, którego szanował i wielbił. Za to, że zbrukał go własnym brudem. Nienawidził za śmierć dziadka i za Andersland, a także bliżej nie znane mu uczynki, popełnione z jego rozkazu. Nienawidził też za to, co zamierzał zrobić z jego ukochaną ziemią leżącą za Bramą Chaki.

Przy drzwiach frontowych Dirk zatrzymał się, by wziąć swój kapelusz ze stolika. Wkładając go przyjrzał się Markowi uważnie.

– Dobrze jest mieć mnie za przyjaciela – powiedział cicho. – Mój ojciec ufa ci i jestem pewien, że ci się zwierza. Potrafię być wdzięczny i hojny, a skoro słyszałeś całą naszą rozmowę, sam będziesz wiedział, jakie informacje mogą mnie interesować. Mark gapił się na niego bez słowa. Usta miał ścięte i lodowate, a całe ciało drżało z wysiłku, by się opanować. Bał się odezwać, nie ufając nawet swemu głosowi. Dirk odwrócił się na pięcie, nie trudząc się nawet, by wysłuchać odpowiedzi, i zbiegł lekko po schodach w ciemność nocy.

Mark patrzył długo za nim, nawet gdy już zniknął. Usłyszał buczący warkot potężnego silnika, chrzęst żwiru pod oponami, zobaczył bliźniacze smugi reflektorów, które omiotły ogród i zniknęły.

Mark miotany gniewem prawie biegł do gabinetu generała. Pchnął drzwi nie pukając. Był gotów wybuchnąć potokiem słów – gorzkiego oskarżenia, osądzenia i odrzucenia, ale fotel za biurkiem generała był pusty.

Miał zamiar ostrzec generała, że użyje wszelkich sposobów, by zdemaskować brudny

interes zaproponowany mu tego wieczoru. Wyrazić swoje rozczarowanie faktem, iż Sean Courteney w ogóle Dirka wysłuchał, nie wspominając już, że poważnie się nad propozycją zastanowił i poniekąd udzielił jej swego poparcia.

Generał stał przy oknie, odwrócony tyłem do pokoju, a jego szerokie barczyste ramiona były zgarbione. Zdawał się skurczyć i zmaleć.

– Generale – głos Marka był szorstki, stłumiony gniewem i determinacją. – Odchodzę stąd i nie zamierzam wrócić. Ale zanim odejdę, chcę powiedzieć, że będę walczyć z panem i pańskim synem...

Sean Courteney odwrócił się do niego, wciąż przygarbiony, i przechylił głowę w nasłuchiwanie niczym ślepiec; głos Marka ucichł, cała złość ulotniła się.

– Mark? – zapytał Sean Courteney, jakby zupełnie zapomniał o jego istnieniu.

Mark patrzył nie wierząc własnym oczom, Sean Courteney bowiem płakał. Jasne łzy zalewały i oślepiały mu oczy, spływając po pobrużdżonych, ogorzałych policzkach. Osiadały grubymi błyszczącymi kroplami na gęstwinie brody. Był to jeden z najboleśniejszych widoków, jakich Mark był świadkiem, tak dręczący, że chciał przed nim uciec, ale nie mógł.

– Nalej mi jednego, synu – Sean Courteney podszedł ciężko do biurka. Jedna z łez spadła na wykrochmalony śnieżny żabot koszuli, zostawiając mokrą plamę.

Mark odwrócił się, długo celebrując dobór właściwej szklanki i nalewanie doń whisky z ciężkiej karafki. Przeciągał czynność w czasie, tę prostą czynność, a kiedy odwrócił się, Sean Courteney siedział już za biurkiem. W dłoni trzymał zmiętą, wilgotną chusteczkę, i pomimo że jego policzki były już suche, powieki miał czerwone i opuchnięte, a cudownie błękitną jasność oczu przyćmiewała błyszcząca powłoka.

– Dziękuję ci, Mark – powiedział odstawiając szklankę na biurko. Nie tknął jej, przyglądał się tylko, a kiedy przemówił, głos miał cichy i stłumiony. – Sprowadziłem go na świat tymi rękami, nie było wtedy lekarzy. Schwyciłem go we własne dłonie wciąż jeszcze mokrego, ciepłego i śliskiego – i byłem dumny. Nosiłem go na barana. Nauczyłem mówić, jeździć konno i strzelać. Nie ma słów dla wyrażenia tego, co mężczyzna czuje do swego pierworodnego – westchnął z rozpazą Sean. – Już raz go oplakiwałem, jakby nie żył, wiele lat temu. – Wypił łyk whisky i ciągnął dalej głosem cichym, tak cichym, że Mark z trudnością odróżniał słowa. – A teraz on przychodzi tu znów i zmusza mnie, bym oplakiwał go jeszcze raz od nowa.

– Przepraszam, generale, myślałem – uwierzyłem w to, że zamierza pan ubić z nim ten interes.

– Ta myśl przynosi mi ujmę na honorze – Sean nie podniósł głosu ani oczu. – Proszę cię, zostaw mnie teraz samego, Mark. Porozmawiamy jeszcze o tym przy innej okazji. – Kiedy Mark obejrzał się już od drzwi, generał przestał uświadamiać sobie jego obecność. Jego oczy, wciąż zamyślane, zdawały się wpatrywać w odległy horyzont. Mark zamknął cicho drzwi.

Pomimo obietnicy, że przedyskutują jeszcze kiedyś propozycję Dirka, tygodnie mijały,

a Sean Courteney nie wspominał nawet jego imienia. Dni w Emoyeni zdawały się toczyć dalej swym zwykłym, pracowitym trybem, ale bywały chwile, gdy Mark wchodził do wyłożonego boazerią i regałami książek gabinetu, by zastać generała siedzącego tam, zatopionego w niewesołych myślach.

Nastroszony niczym padlinożerny ptak, z zakrzywionym nosem opuszczonym na kwintę, siedział tam, ale był nieobecny. Mark wycofywał się wtedy bezgłośnie, by uszanować tę melancholię, wiedząc, że wciąż jeszcze oplakuje zmarłego. Wiedział, że minie wiele czasu, nim będzie gotów porozmawiać o tym.

W życiu Marka również zaszły ważne zmiany.

Pewnego dnia, gdy Sean Courteney wszedł do swej przebieralni grubo po północy, zauważył światła wciąż palące się w sypialni, a Ruth siedzącą, opartą wysoko na poduszkach i czytającą książkę.

– Nie musiałaś na mnie czekać do tak późna – upomniał ją srogo. – Mogłem przespać się na sofie...

– Wolę widzieć cię tutaj. – Zamknęła książkę.

– Co czytasz?

Pokazała mu tytuł.

– Nowa powieść D. H. Lawrence’a: *Zakochane kobiety*.

Sean uśmiechnął się, rozpinając koszulę.

– Czy nauczyłaś się czegoś z niej?

– Na razie nie, ale nie tracę nadziei. – Uśmiechnęła się do niego i pomyślał, jak młodo i ślicznie wygląda w tej koronkowej koszuli nocnej. – A ty? Ukończyłeś przemówienie?

– Tak. – Usiadł, by zzuć buty. – To istne dzieło sztuki – rozniosę nim tych drani na kawałki.

– Przed paroma minutami słyszałam motocykl Marka. Trzymałeś go tu prawie do północy?

– Pomagał mi sprawdzić parę liczb.

– Ależ jest strasznie późno.

– Jest młody – mruknął Sean – i dobrze mu za to płacę. – Podniósł z podłogi buty i pokuśtykał do przebieralni. Teraz, kiedy był w samych skarpetach, jego ułomność była widoczna wyraźniej. – Nie słyszałem, by się skarżył.

Wrócił ubrany w koszulę nocną i wśliznął się do łóżka przy niej.

– Jeśli masz zamiar trzymać tego biednego chłopaka do tak późnych godzin, to nie powinienesz odsyłać go do miasta każdej nocy.

– Więc co proponujesz? – zapytał. Nakręcił swój złoty zegarek i położył go na nocnej szafce.

– Mogłabym urządzić mu mieszkanie w starym domku odźwiernego. Stoi opuszczony od lat i to nie będzie wymagało aż takiego wysiłku.

– Świetny pomysł – zgodził się Sean niedbale. – Będzie stale pod ręką i dopiero wtedy wycisnę z niego siódme poty.

– Jesteś pan twardzielem, generale Courteney.

Przeturlał się i ucałował ją czule, szepcząc do ucha:

– Cieszę się, że zauważyłaś.

Zachichotała jak panna młoda i odszepnęła:

– Nie to miałam na myśli.

– Przekonajmy się, czy zdołam nauczyć cię czegoś, czego nie nauczył cię pan Lawrence – zaproponował.

Domek, świeżo odmalowany i urządzony meblami niepotrzebnymi w dużym domu, oferował, zdaniem Marka, warunki niemal pałacowe. Położony był o niecały kilometr od głównych zabudowań. Godziny pracy Marka stały się równie nieregularne, co godziny jego pracodawcy, a pozycja asystenta cieszyła się coraz większym zaufaniem. Mark w sposób naturalny integrował się z domostwem. Jego obowiązki obejmowały cały wachlarz spraw. Stenografia i poszukiwanie danych, prowadzenie korespondencji mniejszej wagi, nie wymagającej osobistej odpowiedzi generała, prowadzenie rachunków domowych oraz występowanie w roli milczącego słuchacza, gdy Sean Courteney odczuwał potrzebę wygadania się, a także zajmowanie stanowiska w sporach i projektach na przyszłość. Mimo wszystko miał jeszcze dość czasu, by oddawać się swej dawnej pasji – czytaniu. Biblioteka Emoyeni liczyła sobie tysiące tomów i Mark zniósł do swego domku całe naręczą. Co noc czytał prawie do białego rana, pochłaniał z nienasyconym głodem historię, biografie, satyrę, rozprawy polityczne. Zane’a, Greya, Kiplinga i Ridera Haggarda.

Wraz ze zbliżaniem się terminu nowej sesji parlamentu duch podniecenia i podniosłości ogarnął Emoyeni. Oznaczało to, że nadszedł czas, by domownicy spakowali wszystko i przenieśli o blisko dwa tysiące kilometrów do Kapsztadu.

Ruth Courteney beztrąsko nazywała tę doroczną migrację polityczną „wielką wyprawą”. Określenie to było bardzo trafne, ponieważ oznaczało przetransportowanie rodziny, piętnastu osób ze starszej służby, trzech samochodów, tuzina koni, potrzebnego odzienia, sreber, porcelany, dokumentów, książek oraz innych rzeczy niezbędnych do prowadzenia we właściwym stylu ożywionego życia towarzyskiego, na czas gdy generał i inni parowie prowadzili sprawy narodu. Krótko mówiąc, oznaczało to zamknięcie domu w Emoyeni na cały sezon i otwarcie domu w Newlands, położonego malowniczo u podnóża Gór Stołowych.

W momencie największego nasilenia tych gorączkowych działań do domu powróciła Storm Courteney. Zakończyła wreszcie wielką podróż na Wyspy Brytyjskie i kontynent. Wybrała się w nią w towarzystwie Rene Leuchars i pod opieką matki tej ostatniej. W swym ostatnim liście pani Leuchars przyznała, „że jest zarówno fizycznie, jak i psychicznie wyczerpana”. „Nie masz pojęcia, moja droga, i oby ci nie było dane poznać brzemienia

odpowiedzialności, która na mnie spoczywała przez te dni. Przez połowę świata ścigały nas hordy młodych, żarliwych mężczyzn – Amerykanów, Włochów, Francuzów, hrabiów, baronów, synów przemysłowców, a nawet syn jakiegoś dyktatora z republiki bananowej. W pewnym momencie stres stał się tak ogromny, że nie wytrzymałam i zamknęłam dziewczęta w ich pokoju. Dopiero później odkryłam, że wymknęły się po schodach przeciwpożarowych i przetańczyły całą noc w jakimś lokaliku o podejrzanej reputacji na Montparnassie”.

Ruth z wycuciem właściwym kochającej żonie powstrzymała się od pokazania tego listu mężowi. Mógł więc przygotować się z entuzjazmem na przywitanie córki, nie mając pojęcia o jej nocnych eskapadach.

Mark po raz pierwszy został wykluczony z tych rodzinnych przygotowań. Obserwował przez okno biblioteki, jak Sean Courteney pomaga żonie wsiąść do rollsa, ubrany niczym zalotnik udający się z wizytą do rodziny narzeczonej. Koszula o sztywno wykrochmalonym, fantazyjnym kołnierzu, jedwabny krawat w wesołych, trochę pstrych kolorach, granatowy garnitur z czerwonym goździkiem w butonierce i cylinder zsunięty zawadiacko na jedno oko. Brodę miał świeżo przystrzyżoną i wymytą, w oczach zaś skrzył się wesoły błysk oczekiwania i machał laską, przechodząc na drugą stronę samochodu. Rolls ruszył bezszelestnie w kierunku portu, prawie dwie godziny przed oczekiwanym czasem przycumowania statku z pocztą przy nabrzeżu numer jeden. Za nim w wymaganej odległości sunęły dalsze dwa rolls-royce’y, niezbędne, by pomieścić cały bagaż Storm Courteney.

Mark zjadł lunch samotnie w gabinecie i usiadł do pracy. Nie zdążył się jednak skupić należycie, gdy usłyszał powrót kawalkady. Natychmiast pospieszył ku oknu.

Zdążył zaledwie zerknąć na Storm, kiedy wysiadła z samochodu i wbiegła tanecznym krokiem po schodach, ręka w rękę z matką. Zaraz za nimi kroczył generał, wystukując laską szybkie staccato, kiedy starał się nadążyć za nimi. Widać było, że sili się, by zachować poważny i surowy wyraz twarzy, ale co rusz rozjaśniała się promiennym uśmiechem. Mark słyszał radosny gwar służby, która zebrała się, by przywitać Storm w holu. Jej głos nadawał językowi zulu nową, słodką rytmiczność, kiedy witała się z każdym z nich po kolei.

Mark powrócił do otwartych ksiąg, ale nie mógł zmusić się, by choć spojrzeć na nie. W myślach delectował się krótką chwilą, w której widział Storm.

Wypiękniała jeszcze. Nie uważał tego za możliwe, ale tak właśnie było. Zupełnie jakby została przepojona boską esencją kobiecości, z całą wesołością i wdziękiem, ciepłem i słodyczą, gładkością skóry i jedwabistych włosów, idealnymi wprost kształtami i delikatnymi rysami twarzy, z muzycznym brzmieniem głosu i taneczną gracją ruchów, która emanowała nawet ze sposobu trzymania małej, idealnej główki na opalonym karczku i ramionach.

Mark siedział zadziwiony przeobrażeniem nastroju, jakiemu uległ ten olbrzymi dom, gdy tylko Storm przekroczyła jego progi. Sam też poddał się ogólnej radości, zupełnie jakby od

dawna oczekiwał tej chwili.

Mark wymówił się od kolacji tego wieczoru, nie chcąc być intruzem w ten pierwszy rodzinny wieczór. Zamierzał udać się do koszar na cotygodniową musztrę, a potem zjeść kolację z innymi młodymi i jeszcze nieżonatymi oficerami.

Opuścił dom bocznym wyjściem o czwartej i wpadł do swego mieszkania, by wykapać się i przebrać w mundur.

Mijał już bramy Emoyeni na swym Ariel Square Four, kiedy przypomniał sobie, że generał prosił go o pozostawienie na biurku raportu dotyczącego kolei żelaznej. W całym tym zamieszaniu towarzyszącym przyjazdowi Storm Courteney zapomniał o nim i teraz musiał zawrócić motocykl i ruszyć z powrotem podjazdem.

Postawił motor na wybrukowanym podwórku przy kuchni i wszedł tylnymi drzwiami. Stał właśnie przy stole w bibliotece, trzymając w ręku raport i przebiegał go szybkim wzrokiem, by sprawdzić uwagi, które poczynił na marginesie, kiedy nagle klamka szcęknęła. Odłożył raport i zdążył odwrócić się dokładnie w chwili, gdy otworzyły się drzwi.

Z bliska Storm Courteney była jeszcze piękniejsza. Zrobiła trzy szybkie, lekkie kroki w głąb pokoju, zanim wyczuła, że nie jest w nim sama. Zatrzymała się w przestkach, zamierając w bezruchu gazeli szykującej się do ucieczki. Uniosła dłoń ku ustom, dłoń zakończoną delikatnie długimi paznokciami w kolorze różowej macicy perłowej. Dotknęła warg opuszkami palców. Usta drżały jej nieznacznie, wilgotne, gładkie i błyszczące. Oczy były ogromne i ciemnoniebieskie z przerażenia. Wyglądała jak mała dziewczynka. Wystraszona i samotna.

Mark miał ochotę uspokoić ją, ochronić przed jej własnym zatrwożeniem, powiedzieć coś, co by ją odprężyło, ale stwierdził, że nie jest w stanie ruszyć się ani tym bardziej przemówić.

Przejmował się niepotrzebnie, jej przestkach bowiem trwał tylko ułamek sekundy. Wystarczająco długo jednak, by zdała sobie sprawę, że przyczyną jej zaniepokojenia był młody, wysoki mężczyzna ubrany w mundur. Zauważyła szczupłą zgrabność ciała oraz insygnia za bohaterstwo i odwagę.

Wolno, ledwie zauważalnym poruszeniem, cała jej postawa uległa zmianie. Palec, który przedtem spoczywał na ustach, teraz dotykał policzka. Drżenie warg ustało i ułożyły się one w wyraz zamyślenia. Ogromne oczy, teraz już bez strachu, schowały się prawie całkowicie za opuszczonymi powiekami i otaksowały Marka krytycznie. Uniosła brodę, by spojrzeć mu prosto w twarz.

Jej poza również się zmieniła, jedno biodro wysunęło się nieco do przodu. Bliźniacze wżgórki piersi stwardniały i napały odważnie na koronkowy jedwab stanika sukni. Delikatnie drwiący zarys ust wystarczył, by Mark wstrzymał oddech.

– Dzień dobry – powiedziała. Jej głos, mimo że tak niski i gardłowy, odcisnął się gorąco słowami powitania w sercu Marka.

Pobrzmiwał nimi w powietrzu jeszcze przez ułamek sekundy.

– Dobry wieczór, panno Courteney – odpowiedział zadziwiony, że jego głos był tak spokojny i pewny siebie. Właśnie ten głos odezwał się echem w jej pamięci i przyjrzała mu się szeroko rozwartymi oczami. Z wolna zdziwienie przeobraziło się we wściekłość. Oczy rzucały iskry, a na gładkich, alabastrowych policzkach wykwitły dwie purpurowe plamy.

– Pan tutaj? – zapytała z niedowierzaniem.

– Obawiam się, że tak – przyznał, a jej zmieszanie było tak komiczne, że uśmiechnął się do niej. Jego złe przecucia rozwiały się. Nagle poczuł się odprężony i spokojny.

– Co pan robi w moim domu? – wyprostowała się sztywno z lodowatą dystynkcją.

Cały efekt psuł fakt, że musiała zadzierać głowę, by patrzeć na niego, i policzki płonęły jej ze wzburzenia.

– Jestem teraz osobistym sekretarzem pani ojca – uśmiechnął się znów. – Sądzę, że już wkrótce pogodzi się pani z moją obecnością.

– To się jeszcze okaże – rzuciła. – Porozmawiam z ojcem.

– Dano mi do zrozumienia, że przedyskutowaliście już z generałem kwestię mego zatrudnienia lub raczej zwolnienia.

– Ja... – powiedziała Storm i zamknęła ciasno usta. Rumieniec rozlał się z policzków na szyję, kiedy przypominała sobie ze szczegółami okoliczności tego niefortunnego incydentu. Wspomnienie upokorzenia było wciąż tak silne, że poczuła się jak róża w upalny dzień, wędnąca i marniejąca. Gardło ścisnęło się z żalu nad samą sobą. Wystarczył fakt, że to w ogóle miało miejsce. Zamiast poparcia ojca, udzielanego zawsze bez zbędnych pytań, poparcia, do którego przywykła, od kiedy sięgała pamięcią – złość ojca, który powiedział jej, że zachowuje się jak rozpuszczony bachor, że przyniosła mu wstyd, nadużywając jego wpływów i potęgi, wstyd tym większy, że zrobiła to bez jego zgody, za jego plecami, jak to ujął.

Przestraszyła się tej reakcji, zwykle bała się jego wybuchów złości, nie na tyle jednak, by się poważnie zaniepokoić konsekwencjami. Minęło ponad dziesięć lat, od kiedy ostatni raz podniósł na nią rękę.

– Prawdziwa dama zwraca uwagę na wszystko, co się dzieje wokół niej, bez względu na kolor skóry i pochodzenie.

– Ta-ra-ra, tatku. Nie jestem już dzieckiem – rzuciła. – Zachował się bezczelnie, a każdy, kto próbuje tego ze mną, zapłaci cholernie wysoką cenę.

– Stwierdziłaś właśnie dwie rzeczy – zauważył generał ze zwodniczym spokojem. – I obie wymagają sprostowania. Jeśli jest się bezczelnym, otrzymuje się w zamian bezczelność. To po pierwsze, a po drugie ty wciąż jesteś dzieckiem. – Powstał z krzesła za biurkiem. Był olbrzymi jak dąb, jak góra. – I jeszcze jedno, młode damy nie przeklinają, a ty będziesz damą, kiedy dorośniesz. Nawet jeśli będę zmuszony nauczyć cię tego pasem.

Gdy złapał ją za nadgarstek, zrozpaczona zrozumiała nagle, co zamierza zrobić. To się

nie zdarzyło, od kiedy ukończyła jedenaście lat, i miała podstawy wierzyć, że nie zdarzy się już nigdy.

Starła się wyrwać, ale był niesamowicie silny. Gdy chwycił ją i poniósł bez większego wysiłku ku kanapie, pisnęła ze strachu i oburzenia. Wkrótce niepewne piski przerodziły się w pełne niepokoju krzyki, kiedy przełożył ją ostrożnie przez kolana i zarzucił spódnicę na głowę. Jej pantalony z niebieskiego crepe de Chine *[(franc.) – tkanina jedwabna, krepodszyn]* były ozdobione pąsowymi różami w rejonie zagrożonym, i jego dłoń, zrogowaciała i twarda, uderzała w zwarte, podwójne wzgórki pośladków z ostrym trzaskiem. Nie przestał, póki wrzaski i wierzganie nie uspokoiły się i nie odezwał się rwący serce szloch. Wtedy opuścił jej spódnicę i powiedział:

– Gdybym wiedział, gdzie go szukać, wysłałbym cię do niego z przeprosinami.

Storm pamiętała dobrze tę lekcję i przez chwilę poczuła niepokój. Wiedziała, że ojciec jest zdolny nakazać jej złożyć przeprosiny, i teraz, w tej chwili miała ochotę po prostu odwrócić się i uciec z biblioteki. Z nadludzkim wysiłkiem zebrała się w sobie i uniosła głowę w wyzywająco obronnym geście.

– Teraz, jeśli przepuści mnie pan łaskawie...

– Oczywiście, proszę mi darować. – Wciąż uśmiechnięty Mark złożył ekstrawagancki ukłon i zrobił jej miejsce.

Uniosła głowę i szeleszcząc spódnicą, przeszła obojętnie obok niego. W zdenerwowaniu podeszła do niewłaściwej półki i minęło sporo czasu, nim zdała sobie sprawę, że studiuje intensywnie rząd oprawionych kopii dokumentów z sesji parlamentu sprzed dziesięciu lat. Nie chciała jednak przyznać się do pomyłki i upokorzyć jeszcze bardziej.

Wściekła, obmyślała kolejne odezwanie, odrzucając w myślach najmniej pół tuzina lekceważących uwag, nim zdecydowała się na:

– Byłabym zobowiązana, gdyby w przyszłości odzywał się pan do mnie tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne, a w tej chwili chciałabym zostać sama. – Mówiąc nie przerywała wertowania ksiąg. Ponieważ nie było odpowiedzi, odwróciła się gwałtownie. – Czy słyszał pan, co właśnie powiedziałam?

Zamarła. Odszedł nie czekając, aż go odprawi. Storm poczuła, że złość mąci jej umysł. Cały zbiór błyskotliwych i godzących inwektyw cisnął jej się na usta, a frustracja potęgowała tylko jej złość. Musiała ją gdzieś wyładować. Rozejrzała się wokół siebie, szukając czegoś, co mogłaby rozbić – ale przypomniała sobie w porę, że znajduje się w bibliotece ojca, a on wielbił absolutnie wszystko, co się w niej znajdowało.

– Niech to szlag! – Tupnęła nogą, ale to nie wystarczyło. Nagle przypomniała sobie ulubione przekleństwo ojca. – Skurwysyn – dodała, przeciągając z lubością słowo w ustach, zupełnie jak Sean. Od razu poczuła się lepiej. Powtórzyła wyzwisko i gniew przeszedł, pozostawiając zadziwiające, nowe uczucie.

Poczuła niepokojące ciepło w tajemnej okolicy między pępkiem a kolanami. Spłoniona

i zalekniona wybiegła do ogrodu. Krótki odbłask tropikalnego zmierzchu sprawił, że znajome trawniki i drzewa nabrały niemal teatralnego wyglądu. Bezwiednie pobiegła po gąbczastym torfie, jakby uciekając przed własnymi doznaniem.

Zatrzymała się nad jeziorem, oddychając płytko i szybko nie tylko ze zmęczenia. Oparła się na balustradzie mostu i przy różnym świetle zachodzącego słońca jej odbicie ukazało się niczym nie zmałowane na spokojnej, perłowej tafli wody.

Teraz, kiedy to niepokojące, nowe doznanie minęło, poczuła, że żałuje, iż przed nim uciekła. Przecież było to coś, o czym marzyła, czego wyczekiwała.

Powróciła myślami do niezręcznego i zawstydzającego epizodu z Monte Carlo.

Wydrwiwana przez Rene Leuchars, prowokowana i kuszona, czuła się źle tylko dlatego, że nie miała doświadczenia z mężczyznami, którym chwaliła się Rene. Głównie ze złości na nią, by uchronić się przed jej docinkami, wymknęła się pewnej nocy z kasyna z młodym włoskim hrabią. Nie protestowała, kiedy zaparkował swojego bugatti pomiędzy sosnami przy drodze wiodącej do Cap Ferrat.

Oczekiwała czegoś dzikiego i pięknego. Czegoś, co sprawi, że księżyc spadnie z nieba, a chóry aniołów zaśpiewają. Ale wszystko odbyło się bardzo szybko, boleśnie i byle jak – ani ona, ani hrabia nie odezwali się słowem w powrotnej drodze do Nicei, prócz wymamrotania pożegnań, kiedy już stali na chodniku przed hotelem Negresco. Nie wiedziała, czemu przypomniała sobie to teraz, i odrzuciła to wspomnienie bez żalu. Prawie, natychmiast zostało ono zastąpione obrazem wysokiego, przystojnego młodzieńca w mundurze, o chłodnym, kpiącym uśmiechu i spokojnym, przenikliwym spojrzeniu. Natychmiast poczuła nawrót fali ciepła w dole brzucha, ale tym razem nie próbowała uciec przed nim. Uśmiechnęła się do swego, coraz ciemniejszego odbicia w wodzie.

– Wyglądasz jak stary, przebiegły kocur – wyszeptła i roześmiała się cichutko.

Sean Courteney jeździł konno na sposób Burów, na długich strzemionach, siedząc w siodle odchyłony do tyłu trzymał nogi wyprostowane przed siebie, a lejce swobodnie w lewej dłoni. Szpicruta zwisała mu luźno na uchwycie u nadgarstka, końcem niemal dotykając ziemi. Jego ulubionym wierzchowcem był ogier, olbrzymi i kościsty. Miał białą strzałkę na łbie i paskudną, trudną do przewidzenia naturę, którą tylko generał potrafił okiełznać. Jednak nawet on musiał od czasu do czasu skarcić go z lekka szpicrutą, by przypomnieć mu o jego obowiązkach.

Mark dosiadał konia na sposób angielski lub jak to ujmował generał, „jeździł jak małpa na kij od szczotki” i niezmiennie dodawał: „po przejechaniu w tym stylu – siedząc jak kura na grzędzie – stu kilometrów, zadek będzie palił cię tak, że można by ugotować na nim obiad. Przebyliśmy tysiąc kilometrów w dwa tygodnie, kiedy ścigaliśmy generała Leroux”.

Jeździli razem konno niemal codziennie. Zawsze gdy ogromne pokoje Emoyeni przestawały im wystarczać, a generał męczył się w pętach własnego ciała, wtedy zwykł wołać

o konie. Tę dużą posiadłość miejską otaczały wciąż tysiące akrów otwartej przestrzeni. Za nimi rozciągały się setki mil dróg, pokrytych czerwonym kurzem, przecinających pola trzciny cukrowej.

Nawet w trakcie porannej przejażdżki nie przestawali pracować. Nieraz przerywali w połowie zdania, by przegalopować parę kilometrów dla zapewnienia lepszego dopływu krwi. Potem generał ściągał cugle i cwałowali dalej po łagodnych wzgórzach strzemię w strzemię. Mark zabierał ze sobą mały, oprawny w skórę notes, by zapisywać to, czym musi koniecznie zająć się po powrocie, ale większość spraw pozostawała w jego pamięci.

Ostatni tydzień przed wyjazdem do Kapsztadu wypełniło ustalanie zasadniczych elementów linii politycznych do realizacji w działalności rodzimej komisji parlamentarnej prowincji, a następnie przy zajmowaniu się sprawami całego narodu. Pograżeni któregoś razu w głębokiej dyskusji, zapędzili się dalej niż zazwyczaj.

Kiedy generał wreszcie zatrzymał konia, zauważyli, że dotarli do grzbietu wzgórza, z którego rozciągał się widok sięgający morza i biegnący aż po odległy zarys olbrzymiej jak grzbiet wieloryba góry nad portem Durban. Tuż u ich stóp ziemia była rozdarta niczym świeża rana, zupełnie jakby ostry nóż przeciął zielony dywan roślinności aż do mięsistej, czerwonej ziemi.

Wytyczony szlak stalowych szyn dotarł już tutaj i kiedy uspokoiли wierzgające konie, nadjechała lokomotywa pchająca przed sobą wagony towarowe załadowane stalą.

W milczeniu obserwowali, jak szyny są zrzucone na ziemię z brzęczącym szczękiem i maleńkie niczym mróweczki postacie ludzkie gromadzą się wokół nich. Mężczyźni układali je w równoległe do siebie linie na drewnianych podkładach kolejowych. Rozbrzmiewał stukot rozszalałych młotków i szybki równy rytm, gdy przytwierdzali szyny do podłoża.

– Miła na dzień – powiedział cicho Sean.

Mark poznał po wyrazie jego twarzy, że wspomina inną kolej żelazną, daleko na północy, i wszystko, co ze sobą niosła. – Cecil Rhodes snił o kolei żelaznej od Kairu po Kapsztad i kiedyś myślałem, że to tylko mrzonki. – Potrząsnął ciężko głową. – Bóg jeden wie, może obaj się myliliśmy.

Ściągnął uzdę, zawrócił konia i ruszyli wolno w dół zboczem wzgórza w ciszy zmaconej tylko dzwonieniem upręży i stukaniem podków. Obaj myśleli o Dirku Courteneyu. Minęło z dziesięć minut, nim Sean przemówił.

– Czy znasz dolinę Bubezi, za Bramą Chaki?

– Tak – odpowiedział Mark.

– Opowiedz mi – rozkazał Sean i dodał: – Minęło pięćdziesiąt lat od mojej ostatniej bytności w tamtej okolicy. Podczas wojny ze starym zuluskim królem Cetewayo zapędziliśmy się tam w pogoni za poganami i pognaliśmy w dół rzeki.

– Byłem tam parę miesięcy temu, nim poznałem pana.

– Co tam robiłeś? – zapytał Sean szorstko.

Przez chwilę Mark chciał wyrzucić z siebie wszystkie podejrzania na temat Dirka Courteneya. Powiedzieć o smutnym losie, jaki spotkał staruszkę, o swojej pielgrzymce w poszukiwaniu jego grobu i chęci rozwikłania tajemnicy śmierci dziadka. Ale coś ostrzegło go, że podczas gdy Sean może oskarżać, a nawet wyrzec się własnego syna, nie zechce słuchać ani tolerować podobnych zarzutów od kogoś spoza rodziny, zwłaszcza jeśli podejrzania te nie były poparte niezbitymi dowodami. Mark odrzucił tę pokusę i zamiast tego wyjaśnił cicho:

– Mój dziadek i ja jeździliśmy tam często, kiedy byłem mały. Potrzebowałem wrócić tam – do tej ciszy, piękna i spokoju.

– Tak – generał zrozumiał natychmiast. – Jak tam dziś ze zwierzyną?

– Mizernie – odparł Mark. – Została wystrzelana, zagoniona w pułapki i wyrżnięta. Jest jej mało i bardzo zdziczała.

– Bawoły?

– Tak, jest ich parę na bagnach. Myślę, że wchodzą w busz na noc, ale nigdy ich nie widziałem.

– W 1901 stary Selous napisał, że gatunek bawołu Cape wyginął w wyniku plagi zarazy bydłowej. Mój Boże, Mark! Kiedy byłem w twoim wieku, ich stada liczyły dziesięć, dwadzieścia tysięcy. Równiny nad Limpopo były czarne od nich – znów zaczął wspominać.

Niektórych mogło to nudzić. Zaśniedziałe opowieści starego człowieka, ale opowiadał tak obrazowo, że Mark został porwany, zafascynowany wprost baśniami o krainie, gdzie człowiek mógł przebyć setki kilometrów, podróżować nawet pół roku, nim spotkał się z białym człowiekiem. Było to chorobliwe uczucie żalu za czymś, co odeszło bezpowrotnie. Usłyszał, jak generał mówi:

– Teraz nie ma już tego. Kolej żelazna dochodzi aż do kopalni miedzi w północnej Rodezji. Rhodes Column zajęło ziemię pomiędzy rzekami Zambezi i Limpopo. Tam gdzie kiedyś biwakowałem i polowałem, są teraz miasta i kopalnie. Dawne, tak piękne tereny łowieckie – znów pokiwał głową. – Myśleliśmy, że tak będzie zawsze, a teraz wszystko to już prawie zniknęło. – Na chwilę posmutniał i ucichł. – Moje wnuki nie będą mogły zobaczyć słonia ani usłyszeć ryku lwa.

– Dziadek powiedział mi kiedyś, że w chwili, gdy Afryka straci swą faunę, wyjedzie stąd, by dożyć swych dni w starym Londynie.

– Czuję to samo – zgodził się Sean. – To dziwne, ale może Dirk zamierza zrobić coś, co ma wielką wartość dla Afryki i dla jej mieszkańców.

Imię to zdawało się go dławić, zupełnie jakby wymówienie go stanowiło nadludzki wysiłek – i Mark milczał, szanując ten wysiłek.

– Zmusił mnie do pomyślenia o tym wszystkim w sposób dotąd mi nie znany. Jedno, co przeprowadzimy podczas posiedzeń parlamentu, Mark, przyrzekam ci to, będzie zagwarantowanie, by sanktuarium obszaru przy rzece Bubezi zostało uznane za sferę

nietykalną. Zdobędziemy fundusze niezbędne, by zarządzano tymi terenami właściwie. By upewnić się, że nikt nigdy nie przemieni ich w pola trzciny cukrowej czy bawełny. Ani też nie zatopi pod tamą.

Słuchając go Mark poczuł wznioste uczucie spełnienia swego przeznaczenia. Zupełnie jakby całe życie czekał na te słowa.

Generał mówił dalej, zastanawiając się głośno, ile będzie potrzebował na ten cel pieniędzy i jakich ludzi. Decydował, do którego lobby zwróci się o poparcie, na kim w rządzie może polegać, jakie środki prawne należy podjąć. Mark notował każdy z tych punktów, musiał pisać szybko, by nadążyć za niepowstrzymanymi, błyskawicznymi myślami generała.

Nagle, jakby w pełnym pędzie myśli, generał przerwał w pół słowa i zaśmiał się głośno.

– To prawda, wiesz, Mark? Nikt nie jest tak cnotliwy jak nawrócone kurwy. Byliśmy baronami rabunku – Rhodes i Robertson, Bailey i Barnato, Duff Charleywood i Sean Courteney. Porozrywaliśmy ziemię i wydarliśmy jej złoto. Polowaliśmy, gdzie tylko nam się żywnie podobało, i spalaliśmy najprzedniejsze gatunki drzew w ogniskach. Każdy człowiek mający strzelbę w dłoniach i buty na nogach był królem. Był gotów do walki z każdym, Burem, Angolami czy Zulusami, w imię prawa do grabieży.

Pokiwał głową i wsadził rękę do kieszeni w poszukiwaniu cygara. Już się nie śmiał. Nagle zmarszczył się gniewnie, przypalając cygaro. Ogier zdał się wyczuć jego zmianę nastroju, stężał bowiem i podskoczył przestraszony. Sean uspokoił go z łatwością lekkim smagnięciem po lędźwiach. „Zachowuj się”, warknął, a kiedy ten się uspokoił, ciągnął dalej.

– W dniu, w którym ujrzałem swoją żonę po raz pierwszy, byłem na polowaniu z ojcem i bratem. Zagoniliśmy stado słoni i we trzech wybiliśmy czterdzieści trzy sztuki. Wyrznęliśmy im kły, a padlinę zostawiliśmy sępom. Oznaczało to około stu sześćdziesięciu ton mięsa. – Znów potrząsnął głową. – Dopiero niedawno zrozumiałem potworność i rozmiary tego, co zrobiliśmy. Były też inne rzeczy. Podczas wojen z Zulusami, wojny z Krugerem i buntu Bombaty w 1906 roku. Nie chcę tego pamiętać. Ale teraz jest już za późno, by to naprawić. Być może dopiero na starość człowiek zaczyna żałować za uczynki przeszłości. Wprowadza zmiany, kiedy jest młody, a potem rozpacza nad ich skutkami, gdy jest stary.

Mark milczał. Nie ważył się odezwać słowem, by nie zepsuć nastroju chwili. Czuł, że to, co właśnie słyszał, było tak ważne, że tylko mógł próbować domyślać się głębszego znaczenia.

– Musimy spróbować, Mark. Musimy.

– Tak, sir. Zrobimy to – zgodził się Mark. Coś w jego tonie sprawiło, że generał spojrział na niego lekko zdziwiony.

– To naprawdę ma dla ciebie wielkie znaczenie. – Skinął głową, by zaakcentować to stwierdzenie. – Tak, widzę to. Zaiste dziwne, taki młokos jak ty! Kiedy byłem w twoim

wieku, jedyne o czym myślałem, to jak tu zarobić szybko suwerena i przygruchać sobie... – Powstrzymał się w porę i odkaszlnął. – Nie zapominaj tylko, że uczestniczyłem czynnie w niszczeniu tego wszystkiego, kiedy byłem młodszy niż ty teraz. W największym zniszczeniu, jakie widział świat. – Twarz generała pociemniała, kiedy pomyślał o tym, przez co obaj przeszli w okopach Francji.

– Kiedy się widzi, jak łatwo jest stracić wszystko, człowiek zaczyna doceniać środki zaradcze – Mark zaśmiał się z goryczą. – Być może urodziłem się za późno.

– Nie – powiedział cicho generał. – Myślę, że urodziłeś się w samą porę.

Mówiłby dalej, ale w gęstym od upału powietrzu rozbrzmiał wysoki, dziewczęcy głos. Generał natychmiast poderwał głowę, a jego twarz pokraśniała.

Galopowała ku nim Storm Courteney. Jeździła konno z tą samą zwinną gracją, która cechowała każdy jej ruch. Dosiadała konia po męsku. Ubrana była w wysokie buty i luźne, jaskrawe spodnie typu „gaucho” wsunięte w nie i białą satynową bluzkę o szerokich rękawach. Na głowie miała czarne sombrero „vaquero”, które teraz zsunęło się jej na plecy i przytrzymało tylko na rzemykach zawiązanych na szyi.

Podjechała do ojca, roześmiana i spłoniona. Odrzucając włosy z twarzy, nachyliła się, by go pocałować. Nie obdarzyła Marka nawet spojrzeniem, a on ściągnął cugle i wycofał się taktownie.

– Szukałyśmy cię wszędzie, tatku – zawołała. – Dojechałyśmy aż do rzeki – czemu wybrałeś ten kierunek?

W ślad za Storm, jadąc spokojnie na klaczy, pojawiła się obok nich blondynka, którą Mark kojarzył z pamiętnym dniem na korcie. Była ubrana bardziej konwencjonalnie, w gołębio-szare bryczesy i wcięty w pasie zakiet. Wiatr rozwiewał jedwabiste, jasnozłote pasma krótkich włosów.

Po przywitaniu się z generałem kierowała wciąż wzrok na Marka, który intensywnie szukał w pamięci jej imienia. Wreszcie przypomniał sobie, że wołano na nią Rene, i skojarzył, że to właśnie ona towarzyszyła Storm w wielkiej podróży po kontynencie. Była ładniutkim trzpiotowato usposobionym stworzeniem, o zwodniczo kruchej sylwetce i kalkulującym spojrzeniu.

– Dzień dobry, panno Leuchars.

– Ojej! – uśmiechnęła się otwarcie do niego. – Czy my się znamy? – W bardzo zmysłny sposób odciągnęła swą klacz od pary jadącej przodem i zrównała się z Markiem.

– Tak, poznaliśmy się przelotnie – przyznał Mark. Nagle oczy w kolorze chińskiej porcelany otworzyły się szeroko i dziewczyna zasłoniła usta dłonią w rękawicze.

– To pan jest tym, który... – pisnęła cichutko z zachwytem i zaczęła go przedrzeźniać: – „Jak tylko pani powie proszę”.

Storm Courteney nie obejrzała się za siebie ani razu, zwracając przesadną uwagę na ojca, ale Mark zauważył, że małe idealnie ukształtowane uszy poróżowiały. Odrzuciła głowę do

tyłu agresywnym ruchem.

– Myśle, że powinniśmy zapomnieć o tym – wymamrotał Mark.

– Zapomnieć? – zaszcebiotała Rene. – Ja nigdy tego nie zapomnę. To było wprost doskonałe. – Nachyliła się i położyła dłoń na ramieniu Marka śmiałym gestem. W tym momencie Storm nie wytrzymała dłużej, obróciła się w siodle i już miała zamiar przemówić do Rene, gdy zauważyła jej dłoń na ramieniu Marka.

Przez chwilę jej twarz wyrażała wściekłość. Ciemnoblękitne oczy iskrzyły się dziko. Rene niewzruszenie wytrzymała jej wzrok, patrząc bez mrugnienia szerokimi, o ton jaśniejszymi od jej własnych oczami. Następnie ścisnęła lekko rękaw Marka.

Dziewczęta zrozumiały się natychmiast. Zabawiały się tak już nieraz, ale tym razem Rene intuicyjnie wyczuła, że nigdy dotąd Storm nie reagowała tak szybko i gwałtownie, a znały się przecież bardzo dobrze. Tym razem miała panienkę Storm w garści i zamierzała ścisnąć mocniej i mocniej.

Nakierowała swą klacz tak, by jej kolano dotknęło kolana Marka, i odwróciła się od Storm, kierując wzrok tylko na jeźdźca obok niej.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan tak wysoki – zamruczała. – Ile ma pan wzrostu?

– Metr dziewięćdziesiąt – Mark podświadomie wyczuł, że odbywa się tu coś tajemniczego, co zapewni mu wiele niezwykłych przeżyć.

– Ja osobiście uważam, że wzrost przydaje mężczyźnie prezencji. Storm śmiała się teraz wesoło do ojca, przysłuchując się w tym czasie rozmowie toczącej się z tyłu. Zzerała ją zazdrość. Zacisnęła palce na szpicrucie tak mocno, że pobielały. Nie była do końca pewna, co wpłynęło na nią w ten sposób, ale z przyjemnością cięłaby Rene szpicrutą w tę jej głupią, mizdrzącą się twarz.

Wiedziała, że nie było to spowodowane uczuciami do Marka Andersa. W końcu to tylko najemny służący w Emoyeni. Na pewno zrobi z siebie idiotkę przed Rene Leuchars, która nie omieszka wypomnieć jej tego zawsze i wszędzie. Ale pewnych rzeczy po prostu nie wypadało robić, chociażby ze względu na godność i pozycję w towarzystwie, ze względu na ojca i rodzinę. Gdyby znajdowały się gdzie indziej, nie powstrzymałaby się przed pokazaniem Rene jej miejsca.

Traktowała to jako osobistą obrazę. Rene Leuchars, która była gościem w domu Courteneyów, mogła zachowywać się swobodnie, obnosić swoje złe maniery z pełną ostentacją. Pokazała aż nadto wyraźnie, że chciałaby poprowadzić Marka Andersa dobrze schodzoną i wydeptaną dróżką ku swej parującej... nie mogła skończyć tej myśli. Jak żywy, pojawił się w jej wyobraźni obraz bladego, zwodniczo kruchego ciała Rene, rozłożonego i omdlewająco bezwolnego, i Marka mającego właśnie... Kolejna fala złości sprawiła, że aż zachwiała się w siodle. Upuściła umyślnie szpicrutę, którą trzymała w dłoni, i odwróciła się szybko.

– Marku, upuściłam szpicrutę. Czy bylibyś tak kochany i podał mi ją?

Mark był zaskoczony. Nie tylko tym pieśczośliwym określeniem, ale i olśniewającym uśmiechem i ciepłym głosem Storm. W pośpiechu prawie spadł z siodła. Kiedy zrównał się ze Storm, by oddać jej szpicrutę, zatrzymała go słowami podziękowania i zadała pytanie:

– Marku, chciałabym prosić cię o pomoc w pakowaniu kufrów. W końcu wyjeżdżamy do Kapsztadu już za parę dni. Czy mógłbyś?

– Nie mogę się doczekać wyjazdu – wtrąciła się Rene i przyparła klacz do drugiego boku konia Marka.

Storm uśmiechnęła się słodko do niej.

– To będzie wspaniała zabawa – zgodziła się. – Wprost uwielbiam Kapsztad.

– Cudownie się zabawimy – roześmiała się Rene.

Storm z goryczą pożałowała, że zaprosiła ją na cztery miesiące do domu Courteneyów w Kapsztadzie. Zanim wymyśliła ciętą ripostę, Rene nachyliła się do Marka.

– Jedźmy więc – powiedziała i zawróciła klacz.

– Dokąd się wybieracie? – zażądała odpowiedzi Storm.

– Mark zabiera mnie nad rzekę, by pokazać mi monument stojący w miejscu, gdzie Dick King przekroczył ją pieszo, by sprowadzić z Grahamstown oddziały angielskie.

– Ależ Rene, kochanie – Storm przyłożyła rozek apaszki do oka. – Zdaje się, że coś wpadło mi do oka. Czy mogłabyś sprawdzić? Nie czekaj na nas, Mark. Jedź przodem z generałem. Wiem, że będziesz mu jeszcze potrzebny.

Następnie zwróciła ku Rene swą idealnie ukształtowaną główkę.

Z uczuciem ulgi Mark dotknął ostrogą boku konia, by dogonić wierzchowca generała. Kiedy odjechał, Rene poinformowała Storm przesłodczonym tonem:

– W twoim oku nic nie ma, kochanie, prócz odrobiny zieleni.

– Ty suko – wysyczała Storm.

– Ależ kochanie, naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

Statek „Dunattar Castle” drżał całą mocą swych silników i mknął po roziskrzonym gwiazdami morzu, które zdawało się wyrzeźbione z mokrego czarnego obsydianu. Grzbiet każdej fali maszerował po powierzchni z tak ciężką powagą, że zdawał się lity i niewzruszony. Dopiero gdy statek wbił swój dziób w fale, rozstępowały się, tworząc falbanki o śmietankowych brzeżkach, i pędziły z sykiem wzdłuż burt.

Generał stał patrząc ku północy, gdzie Krzyż Południa płonął pośród legionów gwiazd, a Orion–łowca, ostrzył swój miecz.

– Tak właśnie powinno wyglądać niebo – przytaknął z aprobatą. – Nigdy nie zdołałem przyzwyczać się do nieba na południu. Zupełnie jakby wszechświat rozpadł się, a wśród odwiecznych praw natury zapanowała anarchia.

Podeszli do poręczy i zatrzymali się, by popatrzeć na księżyc wyłaniający się zza

ciemnego morza. Kiedy już ukazał swą złocistą kopułę na horyzoncie, generał wyjął złoty zegarek z kieszeni kamizelki i zamruczał:

– Dwadzieścia jeden minut po północy, księżyc jest dziś punktualny.

Mark uśmiechnął się z tego żarciku. Wiedział, że częścią codziennego rytuału było sprawdzanie wschodów i zachodów słońca i księżyca z zegarkiem. Energia, jaką emanował ten człowiek, była niesamowita.

Zasiedli do pracy w samo południe, a skończyli dopiero przed paroma minutami. Mark czuł się otepiały i oszołomiony od wysiłku psychicznego i silnego aromatu cygar, którym przesiąkła kajuta.

– Mam wrażenie, że przedobrzyliśmy dziś trochę, mój chłopcze – przyznał Sean Courteney, jakby czytając w jego myślach. – Chciałem być jednak na bieżąco, gdy przybijemy do zatoki Table. Dziękuję ci, Mark. Ale teraz czemu nie miałbyś zejść na dół i potaćzyć trochę?

Mark obserwował z pokładu łodziowego wirujący miarowo tłum tańczących. Orkiestra grała głośno walca Straussa i pary wirowały w zapamiętaniu. Rąbki sukien pań rozchylały się niczym płatki egzotycznych kwiatów, a ich przepełnione śmiechem okrzyki stanowiły słodki kontrpunkt dla niespokojnych tonów walca.

Mark wyłowił Storm z tego tłumu. Jej szczególny wdzięk pozwolił mu rozpoznać ją prawie natychmiast. Spoczywała odchylona do tyłu w ramionach partnera, wirując do zawrotu głowy. Światło zapalało refleksy na jej włosach i omiało złotą doskonałość nagich ramion.

Zapalił papierosa i oparł się o balustradę, nie spuszczał z niej oka. Pomyślał sobie, że podczas gdy w bezkresnych, milczących ostępach dziczy nigdy nie czuł się sam, tu, otoczony muzyką, wesołością i śmiechem, był najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

Propozycja generała, by zszedł i przyłączył się do tańczących, była niezamierzenie okrutna. Czułby się nie na miejscu pośród kliki bogatych, młodych ludzi, którzy znali się od dzieciństwa. Ścisłej elity, która zazdrośnie strzegła swych szeregów przed intruzami z zewnątrz, zwłaszcza tymi, którzy nie posiadali wymaganych kwalifikacji. Bogactwa i pozycji w towarzystwie.

Wyobraził sobie, że schodzi na dół i prosi Storm Courteney do walca, jej upokorzenie faktem, że spoufala się z sekretarzem ojca. Te docinki i ironiczne uwagi, pytania zadawane mu z ostentacyjną wyższością. „Czy ty naprawdę przepisujesz listy, stary?” Poczuł, że czerwieni się ze złości na samą myśl o tym.

Mimo to stał dalej przy balustradzie przez następne pół godziny, zamierając z zachwytem za każdym razem, gdy zauważył Storm. Nienawidził jej partnerów, morderczo i bezlitośnie, a kiedy wreszcie wrócił do swej kabiny, nie mógł zasnąć. Zabrał się do pisania listu do Marion Littlejohn i poczuł taki przypływ ciepłej sympatii do niej, jakiego nie pamiętał od miesięcy. Jej łagodność i powaga oraz prawdziwość uczuć do niego stały się nagle bardzo cennymi cechami. Na stronach listu rozpamiętywał jej wizytę w Durbanie, krótko przed jego

wyjazdem do Kapsztadu.

Generał okazał się wyrozumiały i pozwolił im spędzić razem prawie całe dwa dni. Była przestraszona stanowiskiem, które teraz zajmował, i pod wrażeniem jego otoczenia. Mimo to ich starania zrobienia kolejnego kroku ku zbliżeniu fizycznemu, aczkolwiek poczynione w zaciszu i prywatności domku Marka, były jeszcze mniej udane niż poprzednie. Może nie sprzyjały im warunki albo też Mark nie miał serca, by zerwać te zaręczyny, ale kiedy w końcu wsadził ją do pociągu do Ladyburga, poczuł wielką ulgę. Teraz jednak samotność i odległość dzieląca ich dodała blasku wspomnieniom o niej. Pisał z prawdziwym uczuciem i powagą, ale kiedy zalakował kopertę, stwierdził, że wciąż nie chce mu się spać.

W bibliotece statku znalazł egzemplarz *Jocka z Bushweld* i powrócił do przygód mężczyzny i psa. Nostalgiczne, żywe opisy buszu afrykańskiego i zwierząt żyjących w nim zachwycały go tak, że zapomniał o uczuciu samotności. Nagle usłyszał ciche pukanie do drzwi kajuty.

– Och, Marku, pozwól mi ukryć się tu na chwilę – Rene Leuchars wcisnęła się do kajuty, nim miał czas zaprotestować, i rozkazała: – Szybko, zamknij te drzwi.

Jej ton kazał mu zrobić to natychmiast, ale kiedy odwrócił się ku niej, ogarnęły go złe przecucia. Zauważył, że piła. Rumieniec na jej policzkach nie był różem. Oczy błyszczały jak w gorączce, a śmiech był nienaturalnie wysoki.

– W czym problem? – zapytał.

– O Boże, kochanie, przeżyłam koszmar. Ten Charlie Eastman zwyczajnie poluje na mnie. Przysięgam, boję się wrócić do swej kabiny.

– Porozmawiam z nim – zaproponował, ale powstrzymała go szybko.

– Nie rób widowiska. Nie jest wart tego. – Przerzuciła koniec boa ze strusich piór przez ramię. – Po prostu posiedzę sobie tutaj, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Jej suknia składała się z warstw przezroczystego materiału, który unosił się niczym obłok przy każdym ruchu. Jej ramiona były gołe, a dekolt tak głęboki, że biust wyłaniał się zza niego, krągły, gładki, biały z głębokim rowkiem.

– Nie masz nic przeciwko temu? – Zakwilila niecierpliwie, czekając na jego odpowiedź. Jej pomadka jaskrawoczerwona i błyszcząca sprawiała, że usta wyglądały soczyście i dojrzało.

Wiedział, że powinien pozbyć się jej z kabiny. Wiedział, że cała sytuacja jest niebezpieczna dla niego. Czuł się bezbronny wobec wpływów jej rodziny i jej potęgi, wiedząc jednocześnie, jak potrafi być bezwzględna i głupia. Ale czuł się taki samotny, boleśnie, przytłaczająco samotny.

– Możesz zostać, oczywiście, że możesz – odrzekł.

Spuściła powieki i przebiegła ostrym, różowym językiem po wargach.

– Czy masz coś do picia, kochanie?

– Żałuję, ale nie mam.

– Nigdy niczego nie żałuj – zatoczyła się ku niemu i poczuł alkohol w jej oddechu, ale nie było to nieprzyjemne. W połączeniu z perfumami stanowiło nawet podniecającą kombinację.
– Patrz – oznajmiła wyciągając ze srebrnej wieczorowej torebki ozdobną piersiówkę. – Dziewczyna powinna być przygotowana na wszystko. Wszystko, co może zainteresować mężczyznę – powtórzyła, rozchylając usta w nieco kpiącym, ale też prowokacyjnym grymasie. – Chodź tu, a dam ci spróbować – jej głos przerodził się w zmysłowy szept. Po chwili zaśmiała się i zawirowała w rytm walca nuconego półgłosem. Połyskliwa spódnica opływała wokół jej nóg. Jej ciało wprost lśniło spod jedwabiu w przyćmionym świetle, a kiedy opadła bezwładnie na koję Marka, spódnica wzdęła się jak balon i zadarła wysoko, ukazując czarny pas z podwiązkami przytrzymującymi pończochy. Był on ozdobiony haftowanymi jaskrawo nakrapianymi motylami, które stanowiły egzotyczny kontrast dla bieli miękkiej wewnętrznej strony ud. – Chodź, Mark, napijemy się troszeczkę. – Poklepała miejsce na koi tuż obok siebie i kręcąc biodrami posunęła się, by zrobić mu miejsce. Spódnica zadarła się jeszcze wyżej, ukazując trójkąt majteczek między udami. Materiał był tak cienki, że Mark widział złotorude kędziory uwięzione i splecione przez jedwab. Poczuł, że coś w nim pęka. Przez chwilę starał się myśleć o konsekwencjach. Jeszcze starał się wrócić na drogę, która była zarówno moralna, jak i bezpieczna, ale wiedział, że tak naprawdę podjął już decyzję, pozwalając jej zostać.

– Chodź, Mark – trzymała piersiówkę jak przynętę. Światło odbijało się rzucając refleksy, które iskrzyły się też w jej oczach. Pęknięcie w nim puściło niczym tama i odrzucił na bok wszelkie opory. Kiedy wyczuła ten moment, jej oczy zabłysły triumfalnie i przywitała go na łóżku zwierzęcym piskiem. Szczupłe blade ramiona objęły go za szyję z zadziwiającą siłą.

Była drobna i silna, szybka i wymagająca, i równie doświadczona co Helena MacDonald – ale różniła się od niej, i to bardzo.

Młodość dała jej ciału słodycz i świeżość. Jej nieskazitelna skóra niemal błyszczała, rozkosznie plastyczna, co było zadziwiające przy jej bladej karnacji.

Kiedy zsunęła ramiączko, wyluskała jedną ze swych piersi przez dekolt i zaoferowała ją Markowi z kocim pomrukiem grającym z głębi gardła, Mark głośno wciągnął powietrze.

Pierś była biała niczym porcelana, tak samo połyskliwa, zbyt obfita jak dla tak szczupłego ciała, ale jędrna i sprężynująca pod dotykiem. Sutek był maleńki, osadzony niczym klejnot pośrodku idealnego kręgu swej aureoli, tak bladej delikatną różowością, podczas gdy jak przypomniał sobie, sutki Heleny były ciemne, pomarszczone i obsypane rzadkimi ciemnymi włoskami.

– Zaczekaj, Mark. Czekać – zachichotała bez tchu. Uniosła się szybko, by zrzucić boa i suknię na podłogę kajuty. Zręcznym ruchem wyslizgnęła się z cienkiej bielizny, skopując ją beztrudnie na bok. Uniosła ramiona nad głowę i okręciła się powoli tuż przed nim.

– Tak? – zapytała.

– Tak – przytaknął. – Jak najbardziej tak.

Ciało miała bezwłose i gładkie, prócz blado–rudawej mgiełki, która przysłaniała wypukły wzgórek u podstawy brzucha. Jej piersi były wysokie i aroganckie. Wróciła do niego kłękając przed nim.

– O, tak – wyszeptała. – Grzeczny chłopiec – droczyła się jeszcze, ale jej drobne dłonie były już zajęte odpinaniem guzików, sprzączek. Badające, poszukujące – teraz z kolei ona sapnęła.

– Och, Mark! Ty spryciarzu – i to zupełnie sam!

– Nie – zaśmiał się. – Potrzebowałem twojej pomocy.

– A otrzymasz jeszcze więcej – obiecała nachylając miękką i puszystą główkę nad nim.

Pomyślał, że jej usta są równie czerwone i żarłoczne co rosnące na podwodnych skałach anemony, które z taką radością zwykł karmić jako dziecko, obserwując, jak miękko otulają każdy kąsek, by następnie wessać głęboko do swego wnętrza.

– O Boże – wychrypiał, jej usta były bowiem gorące, jeszcze gorętsze i głębsze niż jakiegokolwiek stworzenie morskie.

Rene wędrowała do swej kajuty z butem w jednej dłoni i z przewieszonym przez ramię pierzastym boa, ciągnącym się za nią niczym tren. Włosy otaczały jej głowę zmierzwioną, błyszczącą aureolą, a oczy były podkrążone z niewyspania. Zarys ust był rozmazany, wargi spuchnięte i zaczerwienione.

– Boże! – wyszeptała. – Jestem jeszcze wstawiona – i zachichotała, ponieważ zataczała się bezwolnie z każdym przechyłem statku. Wolnym ruchem poprawiła zsuwające się ramiączko. Ku niej zbliżał się biało odziany steward pchający przed sobą wózek zastawiony dzbankami i filiżankami. Nie zdawała sobie sprawy, że jest już dość późno, by rozpoczął się codzienny rytuał picia herbaty i jedzenia herbatników.

Rene przyspieszyła, by zniknąć za rogiem tuż przed demaskatorskim, przebiegłym spojrzeniem stewarda, i udało jej się dotrzeć do kajuty Storm bez dalszych przygód. Bębniła w drzwi obcasem buta, ale minęło pełne pięć minut, nim otworzyły się i stanęła przed nią zaspana, otulona szlafrokiem Storm.

– Zwariowałaś, Rene? Jest środek nocy. – Wtedy zauważyła niedbały strój Rene i poczuła bogaty bukiet jej oddechu. – Gdzie byłaś, u licha?

Rene pchnęła drzwi, by wejść, i prawie przewróciła się przez próg.

– Jesteś pijana! – rzuciła Storm z rezygnacją, zatrzasnąjąc za nią drzwi.

– Nie – Rene potrząsnęła głową. – To nie alkohol, to ekstaza!

– Gdzie byłaś? – ponowiła pytanie Storm. – Myślałam, że już od dawna jesteś w łóżku.

– Poleciałam na Księżyc – oznajmiła z patosem Rene. – Chodziłam boso po gwiazdach. Unosiłam się na orlich skrzydłach nad górskimi grzbietami.

Storm zaśmiała się, teraz już w pełni rozbudzona. Wyglądała tak pięknie w negliżu, jak Rene nie mogłaby wyglądać nigdy. Była tak pełna gracji i piękna, że Rene zniecierpliwiła ją

znów. Rozkoszowała się nadchodzącą chwilą, opóźniając świadomie przyjemność, której spodziewała się zaznać.

– Gdzie się podziewałaś, ty szalona, niedobra kobieto? – Storm zaczęła wczuwać się w jej nastrój. – Powiedz mi natychmiast wszystko.

– Przeszłam przez bramy raj, wprost do Krainy Nigdy–Nigdy, na kontynencie nie kończących się... – Uśmiech Rene wyostrzył się, stał się zły i jadowity. – Krótco mówiąc, kochanie, Mark wyobrażał mnie niczym gumową piłeczkę!

Wyraz twarzy Storm Courteney dał jej uczucie tak głębokiego zadowolenia, jakiego nie zaznała w życiu.

– Trzeciego stycznia Ministerstwo Górnictwa świadomie złamało porozumienie zawarte z naszym związkiem, by zachować stare porządki. Podarło je na tysiące kawałków i rzuciło w twarz wszystkim robotnikom. – Fergus MacDonald przemawiał z taką kontrolowaną, lodowatą furją, że jego głos docierał w najdalszy zakątek wielkiej sali. Uciszył nawet awanturników zajmujących tylne rzędy, którzy przynieśli ze sobą pełne butelki ukryte w szarych, papierowych torbach. Teraz słuchali w skupieniu.

Wielki Harry Fisher siedzący tuż przy nim na podium odwrócił wolno głowę, by przyjrzeć mu się. Zerkał spod krzaczastych brwi, a fałdy podbródka niczym u buldoga zwisły mu żałośnie ku dołowi. Kolejny raz zadziwił się nad przemianą, jaka dokonywała się w Fergusie MacDonalddie, kiedy przemawiał.

Na co dzień była to niepozorna figura, z początkami brzuszka zaczynającymi wykrzywiać chudą sylwetkę. W tanim, źle dopasowanym garniturze, wyświechtanym na łokciach i na siedzeniu, koszuli o cerowanym kołnierzyku i lichym krawacie poznaczonym tłustymi plamami. Łysiał, włosy spadały mu na kark długimi kosmykami. Czubek głowy wieńczył różowy, łysy placyk. Twarz miała odcień szarości, typowy dla ludzi pracujących w zanieczyszczonych zakładach i warsztatach. Kiedy jednak zajmował miejsce na podium pod czerwoną flagą z emblematem Amalgamated Mineworkers Union [*Związek Pracowników Górnictwa.*] i zwracał się do zatłoczonej sali, stawał się przykładem fenomenalnego fizycznego przeobrażenia. Młodniał, a dzika, gorejąca w nim pasja zdzierła marny przyodziewek i przeoblegała w nieskalaną zbroję.

– Bracia! – Podniósł teraz głos. – Kiedy kopalnie wznowiły działalność po bożonarodzeniowej recesji, zwolniono dwa tysiące naszych członków, wyrzucono ich na ulicę. Pozbyto się ich niczym pary zdartych butów.

Sala zaszumiała, przypominając ostrzegawczy brzęk ula w upalny dzień. Nieruchomość setek ciał była bardziej złowróżbna niż jakiegokolwiek poruszenie.

– Bracia! – Fergus poruszał dłońmi powolnymi jakby hipnotyzującymi ruchami. – Bracia! Poczynając od końca tego miesiąca, kolejnych sześciuset ludzi zostanie... – zrobił pauzę i prawie wypluł oficjalny zwrot – zredukowanych.

Zdawali się zachwiać pod wrażeniem tego słowa. Wszyscy zgromadzeni zamilkli ogłuszeni niczym po otrzymaniu fizycznego ciosu – dopóki ktoś z tylnych rzędów nie krzyknął dziko: – Nie, bracia! Nie!

Wtedy wrzasnęli. Narósł dźwięk podobny do sztormowej fali rozbijającej się o skalisty brzeg.

Fergus pozwolił im się wykrzyczeć. Obserwował ich, wetknąwszy kciuki pod pachy, w wycięcia wymiętej kamizelki, pławiąc się w poczuciu tryumfu, w euforii potęgi. Oceniał gwałtowność ich reakcji i w momencie, gdy zaczęła słabnąć, uniósł obie dłonie. Prawie natychmiast zapadła cisza.

– Bracia! Czy wiecie, że zarobki czarnych robotników wynoszą dwa szylingi i dwa pency na dzień? Tylko czarnuch może przeżyć za taką pensję! – Przerwał dając im chwilę na rozważenie tego, jednak niezbyt długą, i zadał kolejne rozsądne pytanie: – Kto zajmie miejsca dwóch tysięcy naszych braci wyrzuconych właśnie z pracy? Kto zastąpi kolejnych sześciuset, którzy dołączają do nich pod koniec miesiąca? I następnych, i jeszcze następnych? Kto odbierze pracę tobie? – Wybierał osobników, wskazując ich oskarżycielskim palcem. – I twoją, i twoją? Kto odejmie jedzenie od ust waszym dzieciom? – Zrobił teatralną pauzę. Czekać na odpowiedź przekrzywił głowę i uśmiechnął się do nich.

Ich oczy płonęły.

– Bracia! Powiem wam kto! Kaffrzy [pogardliwe określenie Murzyna w Afryce Południowej] pracujący za dwa dwadzieścia szylinga, ot kto!

Powstali. Gdzieś rozległ się trzask przewracanych ławek, a ich głosy były żądającym krwi rykiem złości. Ich pięści wymachiwały z wściekłością.

– Nie, bracia! Nie! – Ich obute ciężko stopy tupwały zgodnie. Skandowali bijąc zaciśniętymi kulkami w próżnię.

Fergus MacDonalld usiadł nagle. Harry Fisher pogratulował mu bez słów, ściskając mu ramię niemal niedźwiedzim uściskiem, nim powstał.

– Zarząd postanowił, że wszyscy członkowie związku podejmą strajk generalny. Pozostawiam to waszej decyzji, bracia, mając na uwadze tych... – Prawie krzyczał, lecz jego głos utonął w tysiącu innych.

– Strajk, bracia! Strajk!

Fergus nachylił się i spojrzał wzdłuż stołu. Helena pochylała ciemną głowę nad jakąś broszurką, ale poczuła na sobie jego wzrok i podniosła oczy. Jej twarz promieniowała niemal fanatyczną ekstazą, a oczy wyrażały uwielbienie, które zwykł widywać tylko w chwilach takich jak ta. Harry Fisher powiedział mu kiedyś: „Dla każdej kobiety władza jest najniezawodniejszym afrodyzjakiem. Bez względu na posturę czy wygląd zewnętrzny mężczyzny – władza czyni go nieodpartym”.

W ryku tysięcy głosów i tupocie nóg Fergus powstał znów.

– Właściciele kopalń, szefowie, wyzwali nas na pojedynek. Wykpili nasz zarząd.

Oświadczyli publicznie, że nie mamy dość sił, by jednoczyć robotników i wezwać ich do strajku generalnego! Więc, bracia, teraz im pokażemy!

Lwi ryk tłumu rozbrzmiał znów, ale uciszył go w minutę.

– Przede wszystkim przejedziemy się po tych łamistrajkach, koniec z łamistrajkami!

Kiedy ucichli, mówił dalej.

– Chudy Jannie Smuts mówił o rozwiązaniu strajku siłą, ma armię, ale my też będziemy mieć swoją. Myślę, że szefowie zapomnieli już, że uczestniczyliśmy za nich w krwawej wojnie we Francji i wschodniej Afryce, w Tabora i Delville Wood. – Nazwy te otrzeźwiły ich i słuchali w milczeniu. – Ostatnim razem walczyliśmy za nich, ale teraz będziemy walczyć dla siebie. Niech każdy z was zgłosi się do dowódcy swego okręgu. Zostaniecie zorganizowani w bojówki i każdy będzie znał stawkę, o jaką walczymy. Pobjemy ich, bracia. Pobjemy krwawych bossów i ich chciwych sługusów – właścicieli kopalń. Będziemy walczyć z nimi i zwyciężymy!

* * *

– Zorganizowali się w paramilitarne bojówki – powiedział cicho premier. Łamał rumianą, chrupką piątkę chleba zadziwiająco szczupłymi, zgrabnymi i zręcznymi jak u kobiety palcami. – Jak wiemy, George Mason planował utworzenie robotniczych bojówek jeszcze 1914 roku. Głównie też z tego powodu został deportowany. – Pozostali goście siedzący przy stole milczeli. Deportacja George’a Masona nie była bowiem posunięciem, które przysporzyło sławy Janniemu Smutsovi. – Tym razem mamy do czynienia z czymś znacznie groźniejszym. Prawie każdy z młodszych członków związku jest przeszkolonym weteranem wojennym. Czterystu z nich defilowało przed siedzibą związku w Fordsburgu ubiegłej soboty. – Odwrócił się do gospodyni i uśmiechnął szelmowskim, pełnym nieodpartego uroku uśmiechem. – Droga Ruth, musisz wybaczyć mi te okropne maniery, ale rozmowa nie pozwala mi delectować się w pełni tym przepysznym jedzeniem.

Stół ustawiono pod dębami rosnącymi wśród trawników tak zielonych, że Ruth zawsze nazywała je w myślach angielską zielenią. Sam dom w monumentalnym, imponującym stylu wiktoriańskiej Anglii różnił się bardzo od frywolnego, prawie baśniowego pałacu w Emoyeni. Idealny obraz jakby wprost ze starej Anglii psuły jedynie strzeliste, szare skały stanowiące naturalne tło dla tej scenarii. Łagodne zbocza Gór Stołowych porastały sosny, przywierając do każdej najmniejszej spłachetki ziemi na występach skalnych.

Ruth uśmiechnęła się.

– W tym domu, drogi premierze, może pan robić, co dusza zapagnie.

– Dziękuję, moja droga. – Uśmiech zniknął mu z twarzy i wesoły błysk w oku przemienił się w stalowy, kiedy znów zwrócił się do swych słuchaczy. – Oni szukają konfrontacji,

panowie, to jest jednoznaczny zamach na władzę i próba sprawdzenia naszej stanowczości.

Ruth spojrzała na Marka ponad stołem i ten powstał, by napełnić ponownie kieliszki zimnym, białym winem. Miało ono lekki, słomkowy odcień, było wytrawne, cierpkie i orzeźwiająca. Mark posuwał się wzdłuż stołu, zatrzymując się przy każdym z gości. Było tam trzech ministrów z rządu, przebywający z wizytą hrabia z Wielkiej Brytanii i minister górnictwa. Mark nalewał wino, nie przestając się przysłuchiwać.

– Możemy tylko mieć nadzieję, że wyolbrzymia pan ten problem, premierze – Sean Courteney wtrącił szorstko. – Są uzbrojeni w kije od szczotek i ruszą do ataku na rowerach...

Podczas gdy wszyscy śmiali się z tego stwierdzenia, Mark zatrzymał się za krzesłem Seana, zapominając zupełnie o butelce trzymanej w dłoni. Przypomniał sobie piwnice pod siedzibą związków zawodowych w Fordsburgu. Rzędy nowoczesnych karabinów, błyszczących P.14 tak dobrze mu znanych, i potężny karabin maszynowy Vickersa. Kiedy powrócił do terażniejszości, rozmowa toczyła się już dalej.

Sean Courteney zapewniał obecnych, że akcja militarna ze strony związków jest bardzo mało prawdopodobna i że w najgorszym przypadku armia zostanie postawiona w stan pełnej gotowości.

Mark dostał mały pokój przylegający do gabinetu generała. Kiedyś służył jako składzik bielizny stołowej, ale okazał się dość przestronny, by ustawić w nim biurko i kilka półek. Ponadto generał kazał wybić duże okno w jednej ze ścian. Mark siedział teraz z nogami skrzyżowanymi na blacie biurka i w zamyśleniu patrzył przez otwarte okno na okolicę. Z gęstwiny dębów wyłaniała się w całej swej okazałości Rhodes Avenue, nazwana tak ku czci starego, astmatycznego awanturnika, który dorobił się prawdziwego imperium w diamentach i ziemi, by w końcu zostać mianowanym premierem pierwszego parlamentu w Kapsztadzie. Sprawował ten urząd do czasu, gdy zmarł na suchoty, dręczony wyrzutami sumienia.

Posiadłość Courteneyów w Kapsztadzie nazwano Somerset Lodge, w hołdzie dla lorda Charlesa, gubernatora rządzącego tu w dziewiętnastym wieku. Olbrzymie domostwa po drugiej stronie Rhodes Avenue, w zgodzie z kolonialną tradycją, otrzymały nazwy Newlands House i Hiddingh House. Były to przestronne siedziby otoczone ogromnymi połaciami ziemi.

Mark patrzył na nie przez swe nowe okno, porównując je do domów górników w zagłębiu Fordsburga. Od miesięcy nie wspominał Heleny i Fergusa, ale rozmowa przy obiedzie przywołała ich nagle. Poczł się rozdarty między sprzecznymi ze sobą zobowiązaniami.

Teraz, kiedy już żył w obu tych światach, wiedział, jak bardzo się różnią. Starł się myśleć bez emocji, ale wciąż powracał ten sam obraz. Głęboka piwnica i stojąca na regałach w równym szyku broń. Prawie poczł w gardle śliski smak oliwy do konserwowania broni. Zapalił kolejnego papierosa, zwlekając z podjęciem decyzji. Solidne tekowe drzwi tłumiły głosy dochodzące z gabinetu generała. Wyższy, wyraźniejszy głos premiera często zagłuszany był przez dudniący bas generała.

Premier zgodnie ze swoim zwyczajem został dłużej niż pozostali goście. Mark wolałby, aby tym razem wyjechał wraz z innymi ze względu na decyzję, nad podjęciem której się trudził.

Zaufał mu druh, człowiek, z którym dzielił chwile śmiertelnego niebezpieczeństwa, z którego gościnności korzystał bez ograniczeń, który ufał mu jak bratu i nie zawahał się zostawić go samego ze swą żoną. Już raz Mark zawiódł pokładane w nim zaufanie. Poruszył się niespokojnie w krześle, kiedy przypomniawszy sobie nikczemnie wykradane dni i noce z Heleną. Czy miał teraz zawieść do reszty zaufanie, którym obdarzył go Fergus MacDonald?

Znów pojawił mu się przed oczami obraz broni ustawionej rzędami na stojakach, by po chwili ustąpić miejsca obrazowi twarzy.

Była to twarz marmurowego anioła. Gładka, biała i w dziwny sposób piękna, o bładoniebieskich oczach z kaskadą złotych loków wymykających się spod brzegu stalowego hełmu...

Mark opuścił nogi na ziemię, starając się wyrzucić z pamięci wspomnienie młodego niemieckiego snajpera. Walczył z nim dłuższą chwilę, po czym zerwał się na równe nogi. Stwierdził, że drżą mu dłonie. Zgasił papierosa i ruszył ku drzwiom. Zapukał nienaturalnie głośno i zdecydowanie. Po chwili dobiegł go głos ochrypły z irytacji.

– Wejdz. – Zrobił krok naprzód. – O co chodzi, Mark? Przecież wiesz, że nie lubię... – Sean Courteney urwał, kiedy zobaczył wyraz twarzy Marka, i już troskliwie zapytał: – Co się stało, mój chłopcze?

– Muszę panu coś powiedzieć, sir – wyrzucił z siebie Mark.

Słuchali ze skupioną uwagą, kiedy opisywał im swe powiązania z zarządkiem partii komunistycznej. Zamilkł na chwilę, by dodać sobie odwagi przed zdradzieckim wyznaniem. Ci ludzie byli moimi przyjaciółmi, sir. Traktowali mnie jak swego towarzysza. Musi pan zrozumieć, dlaczego to mówię.

– Mów dalej, Mark – przytaknął Sean Courteney, a premier usiadł wygodnie w krześle. Nieruchomy, milczący, nie nalegający. Wyczuł bezbłędnie, że młody człowiek toczy właśnie walkę z samym sobą.

– Wierzyłem, że wiele z tego, o co walczą, jest dobre i sprawiedliwe. Równe szanse i miejsce dla każdego, ale nie mogłem pogodzić się z metodami, które stosowali w dochodzeniu do tych ideałów.

– Do czego zmierzasz, Marku?

– Oni planują wojnę. Walkę klasową, sir.

– Masz dowody na to? – Sean nie podniósł głosu, a pytanie zadał bardzo ostrożnie.

– Tak, mam – Mark zaczerpnął głęboki oddech, zanim powiedział: – Widziałem karabiny i broń maszynową, którą przygotowali na ten dzień.

Premier poruszył się w krześle, po czym znów znieruchomiał. Jednak pochylił się do przodu, by nie uronić ani słowa.

– Mów dalej – niecierpliwił się Sean Courteney.

Mark podał mu szczegóły. Przytaczał niezaprzeczalne fakty, relacjonował dokładnie, co i gdzie widział. Wymienił liczby oraz typy każdego z rodzajów broni i zakończył stwierdzeniem:

– MacDonald dał mi do zrozumienia, że to tylko jeden z ich arsenałów, że jest ich więcej, znacznie więcej w zagłębiu Witwatersrand.

Milczeli przez chwilę, po czym premier wstał i podszedł do telefonu stojącego na biurku Seana. Zakręcił korbką, a terkoczący dźwięk wydał się natarczywie głośny w ciszy pokoju.

– Mówi premier, generał Smuts. Chcę uzyskać błyskawiczne połączenie z komisarzem Truterem, szefem południowoafrykańskiej policji w Johannesburgu – powiedział, i słuchał odpowiedzi z nie przeniknionym wyrazem twarzy, ale oczy iskrzyły mu się ze złości. – Wobec czego proszę połączyć mnie z naczelnikiem łączności – warknął i nie odkładając słuchawki zwrócił się do Seana. – Linia jest zerwana. Powódź w Karroo – wyjaśnił. – Nie wiadomo, kiedy uzyskają połączenie. – Znów skupił uwagę na telefonie. Rozmawiał dłuższą chwilę z naczelnikiem, nim odwiesił słuchawkę.

– Połączą nas, jak tylko będzie to możliwe. – Powrócił do swego fotela przy oknie i rzekł: – Postąpił pan właściwie, młody człowieku.

– Mam nadzieję – powiedział cicho Mark. Targające nim wątpliwości były widoczne gołym okiem. Oczy mu pociemniały, a w głosie brzmiała nutka rozpacz.

– Jestem dumny z ciebie, Mark – powiedział Sean Courteney. – Kolejny już raz spełniłeś swój obowiązek.

– Czy wybaczyście mi teraz, panowie? – zapytał Mark i nie czekając na odpowiedź, ruszył ku drzwiom.

Obaj mężczyźni patrzyli na tekowe drzwi jeszcze długo po tym, jak zamknęły się za nim. Premier przemówił pierwszy.

– Ten młody człowiek jest nadzwyczajny – myślał na głos. – Walczą w nim litość i poczucie obowiązku.

– Ma zalety, które mogą go w przyszłości zaprowadzić na samą górę. Zalety, za które możemy być pewnego dnia wdzięczni – przyznał Sean. Wyczułem to w nim już podczas naszego pierwszego spotkania. Utkwił w mej pamięci tak mocno, że postanowiłem go odszukać.

– Będziemy potrzebować go i takich jak on w nadchodzących dniach, staruszk – stwierdził Jannie Smuts. Po chwili powiedział: – Z bożą pomocą zmiażdżymy łeb żmii, nim będzie miała okazję ukąsić. Truter wystawi natychmiast nakaz przeszukania. Wiemy wszystko o MacDonalddie, a Fishera mamy na oku od lat.

Mark spacerował przez parę godzin, uciekając przed miniaturową klatką swego biura. Gnany sumieniem i obawami, szedł między dębami tam, dokąd wiodły go ścieżki. Przeszedł przez kamienny mostek nad rzeką Liebeck. Nieustannie torturował się myślami o Judaszu.

W Pretorii wieszają zdrajców – przypomniał sobie nagle i oczyma wyobraźni zobaczył Fergusa stojącego na zapadni w podobnym do stodoły budynku. Kat zakładał mu stryczek na szyję. Zrozpaczony, aż zadrżał i zatrzymał się. Ramiona miał zgarbione, a dłonie wciśnięte głęboko w kieszenie kurtki. Kiedy podniósł głowę, stwierdził, że zawędrował pod budynek poczty.

Później zrozumiał, że było mu to przeznaczone od samego początku, ale teraz uznał to za omen. Nie wahając się ani chwili, wszedł do urzędu i wyszukał druk telegramu. Stalówka była skrzywiona i rozpryskiwała blady, wodnisty atrament, plamiąc mu palce.

MacDonald 55 Lovers Drive Walk Fordsburg

Oni wiedzą, co trzymasz w piwnicy. Pozbądź się tego.

Nie podpisał telegramu.

Urzędnik pocztowy zapewnił go, że gdy dopłaci siedem pensów za usługę błyskawiczną, wiadomość zostanie nadana w pierwszej kolejności, gdy tylko zostanie przywrócone połączenie.

Mark wyszedł na ulicę, czując się prawie chory. Przygniatały go wyrzuty sumienia. Nie był pewien, czy postąpił właściwie w obu przypadkach. Zastanawiał się, na ile płonne były jego nadzieje, że udałoby mu się zmusić Fergusa do wyrzucenia śmiertelnościanego ładunku do szybu jakiejś opuszczonej kopalni soli, nim rewolucja i śmierć zawładną tą ziemią.

Było już prawie ciemno, gdy Fergus MacDonald wprowadził rower do szopy i zatrzymał się na małym ciemnym podwórzu, by zdjęć zapinki przytrzymujące mankiety spodni, nim wszedł do kuchni.

Zapach gotującej się kapusty wypełniał mały pokój wilgotną chmurą pary tak zatykającą, że aż zatrzymał się w progu.

Helena siedziała przy kuchennym stole. Nie spojrzała nawet, kiedy wszedł. Z kącika ust zwisał jej papieros, a popiół długi na parę centymetrów trzymał się rozpaczliwie jego końca.

Była ubrana w tę samą zniszczoną podomkę, którą miała na sobie przy śniadaniu, i było pewne, że nie umyła się ani nie ubrała od tego czasu. Włosy zwisały jej tłustymi strąkami wokół policzków. Przytyła w ostatnich miesiącach i ostry dotąd zarys dolnej szczęki złagodziła warstewka tłuszczu. Meszek nad górną wargą pociemniał i stał się gęstszy. Nabrzmiałe piersi rozpięły podomkę, tocząc się ciężko pod jej niskim dekoltem.

– Witaj, miłości – Fergus zdjął marynarkę i przerzucił ją przez oparcie krzesła.

Przewróciła kartkę czytanego pamfletu, mrugając w smudze błękitnego dymu, która przepłynęła jej przed oczami.

Fergus otworzył butelkę porteru, a gaz syknął wściekle.

– Działo się dziś coś ciekawego?

– Jest tam coś dla ciebie – wskazała głową kredens. Popiół wpadł w rozcięcie podomki, osiadając łagodnymi, szarymi płatkami. Niosąc butelkę, Fergus podszedł do kredensu i wziął do ręki grubą kopertę.

– Jedna z twoich niezapominajek – Helena zachichotała nad niedorzecznością docinku.

Fergus skrzywił się, otwierając kopertę. Przez chwilę gapił się na jej zawartość nic nie rozumiejąc, zanim krzyknął „Jezu Chryste!” i postawił butelkę z trzaskiem na kuchennym stole.

Nawet o tak późnej porze na rogach ulic gromadziły się małe grupki. Otaczała ich niespokojna, wywołana nudą aura mężczyzn, którzy nie mają czym zapełnić sobie dnia. Nawet ostry dryl obowiązujący w bojówkach i nocne zebrania przestały im wystarczać. Kiedy Fergus MacDonald pędził na rowerze po ciemnych ulicach, intensywnie myśląc, pierwotne zaniepokojenie przerodziło się w wybuch wściekłości.

Nadeszła pora, byli przygotowani jak nigdy dotąd. Jeśli pozwolą, by czas uciekał bez wyraźnych działań, długie, monotonne dni bezczynności strajkowej gotowe osłabić ich determinację. To, co przed paroma minutami wydawało mu się katastrofą, teraz ujrzał jako okazję zesłaną przez opatrność. Niech uderzą, będziemy na to przygotowani, pomyślał i zahamował przy grupce próżniaków stojących na chodniku przed barem hotelu Grand Fordsburg.

– Zawiadomcie dowódców wszystkich okręgów, że mają stawić się w siedzibie związku, i to natychmiast. To bardzo pilne. Ruszajcie, bracia.

Rozproszyli się szybko, a on popędził dalej pod górkę, wykrzykując ostrzeżenia do przechodniów.

W biurze związku zastał jeszcze paru członków. Większość z nich jadła kanapki i piła herbatę z termosów. Reszta pracowała nad drukiem talonów zapomogowych dla rodzin strajkujących. Atmosfera rozprężenia prysła, gdy wpadł Fergus.

– No, dobra, towarzysze, zaczęło się. ZARP-owie [Zuid Afrikaanse Republiek Polisie – Policja Południowej Afryki.] są już w drodze.

Była to klasyczna taktyka policyjna. Zjawili się o świcie. Straż przednia nadjechała, tocząc się po wzniesieniu terenu między Fordsburgiem a krzyżówką kolejową, gdzie droga z Johannesburga przebiegała między rozpadającymi się domkami i spłachtkami pól, zarośniętych gęsto chwastami i pokrytych zwałami gnijących odpadków. Nad niecką wisiała nisko mgła. Dziesięciu funkcjonariuszy na koniach przedarło się przez nią, jakby brodzili w gęstej, mulistej wodzie.

Zabezpieczyli uprząże i cały ekwipunek, tak że płynęli w unoszącej się miękkiej mgle w upiornej wprost ciszy. Było jeszcze zbyt ciemno, by rozpoznać ich odznaki i błyszczące guziki, zdradzały ich tylko posępne zarysy hełmów.

Pięćdziesiąt metrów za znajdującymi się w awangardzie policjantami jechały dwa wozy. Były to wysokie czterokołowce o zakratowanych oknach, przystosowane do transportu więźniów. Za każdym z nich maszerowało dziesięciu konstabli. Mając karabiny przygotowane do strzału, kroczyli żwawo, by nadążyć za samochodami. Kiedy weszli w nieckę, pochłoneła ich mgła, zanurzyli się w niej od góry po pas, tak że ich pozbawione tułowi spodnie podrygiwały w miękkim białym puchu. Wyglądali jak dziwne stworzenia morskie. Mgła tłumiała ich kroki.

Zwiadowcy Fergusa nie wypatrzyli ich, nim nie dotarli do krzyżówek. Od tej chwili nie odstępowali ich na krok, kryjąc się przed awangardą. Łącznicy zanosili co parę minut raporty do chaty, w której Fergus utworzył kwaterę główną.

– W porządku – mruknął Fergus, kiedy kolejna ciemna postać zanurkowała pod zaroślami porastającymi ścieżkę wiodącą do chaty i zdała szeptem raport przez otwarte okno. – Zbierz pozostałych i dawaj ich tutaj.

Mężczyzna wydukał potwierdzenie i zniknął.

Fergus rozmieścił swe oddziały przy każdym wjeździe do miasta, policja mogła się rozdzielić tworząc kolumny, ale wyglądało na to, że jego obawy były bezpodstawne. Mając pewność pełnego zaskoczenia i druzgocącą przewagę sił, nie zadali sobie trudu, by się rozproszyć albo zaatakować z obu flank.

Dwudziestu pięciu policjantów, policzył Fergus, wraz z czterema kierowcami ciężarówek stanowiło imponującą siłę. Nie musiałyby ich być aż tylu, gdyby nie ostrzeżenie tajemniczego, nieznajomego sprzymierzeńca.

Fergus wybiegł z domku przez główną izbę. Właściciele domostw zostali wyprowadzeni przed północą. Wszystkie domki przy drodze stały teraz opuszczone i samotne. Ich mieszkańcy wyruszyli przed paroma godzinami. Marudzące, płaczące dzieci w pidżamach, niesione na ramionach ojców, i kobiety o bladych, przestraszonych twarzach, trzymające w rękach tobołki z paroma cenniejszymi rzeczami. Teraz chaty wyglądały na porzucone, żadnych świateł, a jedynym słyszalnym dźwiękiem było żałosne wycie kundla gdzieś w dole rzeki. Mimo pozornego wyludnienia, w każdym z domków stojących przy drodze trwali w oczekiwaniu milczący mężczyźni.

Fergus przemówił do jednego z nich szeptem, pokazując zamglone wgłębienie terenu. Potem splunął i załadował nabój do swojego lee-enfielda, który stał oparty o parapet.

Zamek wydał ciche, metaliczne kłaśnięcie, które przywołało falę wspomnień i sprawiło, że włosy stanęły mu dęba na karku. To wszystko było tak swojskie, ta cisza, mgła i noc brzemienista pogróżką zbliżającej się przemocy.

– Dopiero na mój rozkaz – ostrzegł Fergus cicho. – Tylko spokojnie, chłopcy. Pozwólmymy im podejść do naszych drzwi, zanim zatrzaśniemy im je na twarzach.

W świetle budzącego się dnia wypatrzyli pierwszych jeźdźców. Znajdowali się jakieś dziewięćset metrów od nich, lecz przybliżali się szybko. Nie było jeszcze całkiem jasno, ale

niebo za ciemnymi wzgórzami hałd przybierało już błękitny, jak skorupka jaja mewy, odcień, zwiastujący rychle nadejście świtu.

Fergus spojrzął na drogę. Mgła działała na ich korzyść. Nie liczył na nią, ale w życiu zawsze, gdy się nie wierzy w łut szczęścia, trafia się główną wygraną. Mgła powinna utrzymać się, aż pierwsze promienie słońca ogrzeją ją i rozproszą – oznaczało to przynajmniej następne pół godziny.

– Wszyscy znacie rozkazy. – Fergus uniósł głowę i spojrzeli na niego, odrywając się na chwilę od broni i obserwacji nadjeżdżającego wroga.

Byli to wprawni żołnierze, weterani. Krwiożerczy sangwinicy, jak by powiedzieli francuscy generałowie. Fergus przez moment zastanowił się, ile jest w tym ironii, że ludzie wyszkoleni do walki przez swe władze zamierzali teraz obalić struktury, do bronienia których zostali przygotowani.

Obalimy i zbudujemy nowe, pomyślał. Egzaltacja burzyła mu krew. Zniszczymy ich własną bronią. Zadławiają się tą swoją brudną forsą... Tu powstrzymał się. Wcisnął ciemnoszarą czapkę głębiej na oczy i postawił kołnierz kurtki.

– Życzę nam wszystkim powodzenia, bracia! – zawołał cicho, wymykając się przez drzwi frontowe.

– Ależ ten facet ma ikrę – stwierdził jeden z żołnierzy siedzących przy oknie.

– Racja, on nie boi się niczego – przyznał drugi, kiedy obserwowali, jak przemyczał się pod osłoną krzaków i pobiegł naprzód aż do rowu przy drodze, by wskoczyć do niego.

Okolo tuzina ludzi leżało w rowie poniżej niecki. Kiedy opadł przy nich, natychmiast podano mu kilof.

– Naciągnęliście drut porządnie i naprawdę mocno?

– Jest bardziej napięty niż dupeńka młódki – mężczyzna uśmiechnął się sprośnie. Zęby błyszczały mu dziko w łagodnym świetle nadchodzącego poranka. – Sam sprawdziłem wiązania – zatrzymają nawet stado szarżujących słoni.

– W porządku, bracia. Czekać na mój rozkaz – powiedział i uniósł się na tyle, by wyjrzeć nad kobierzec gęstej mgły. Na górcie połyskiwały helmy podjeżdżających policjantów, dojrzał też całkiem wyraźnie błyszczące odznaki i ciemne, podobne do długich patyków lufy karabinów, unoszące się nad ramieniem każdego z nich.

Fergus osobiście odliczył odległości i zaznaczył je kawałkami szmat przywiązanych do słupów telefonicznych stojących przy samej drodze. Kiedy jeźdźcy dojechali do punktu oznaczającego „1,5 metra”, Fergus wyskoczył z rowu i stanął pośrodku drogi. Krzyknął „Stać!” i uniósł kilof nad głowę.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście!

Jego ludzie wyłonili się z tyłu, szybko zajmując pozycje, jak dobrze wyszkolony oddział. Ciemne, przerażające postacie stanęły w szeregu, ramię przy ramieniu, blokując w poprzek drogę. W dłoniach trzymali kilofy, gotowi do ich użycia. Ich twarze były zasłonięte czapkami

i kołnierzami.

Oficer stojący pośrodku szwadronu uniósł dłoń, by powstrzymać jeźdźców. Zbili się w gromadę, siedząc nieruchomo w siodłach. Oficer uniósł się w strzemionach.

– Kim jesteście?

– Komitetem strajkowym! – odkrzyknął Fergus. – Nie wpuścimy tu żadnych łamistrajków ani czarnuchów!

– Działam z rozkazu komisarza policji, popartego nakazem sądu najwyższego. – Oficer, potężny, zwalisty mężczyzna, siedział prosto i dumnie na koniu. Ciemne, wypomadowane wąsy sterczały mu po obu stronach twarzy.

– Jesteście łamistrajkami! – wrzasnął Fergus. – Nie postawicie nawet stopy na tym terenie.

– Z drogi! – ostrzegł oficer.

Było już na tyle widno, że Fergus dostrzegł insygnia kapitana. Jego twarz była zaróżowiona od słońca i piwa, z ciemnymi krzaczastymi brwiami schowanymi pod brzegiem hełmu.

– Przeciwdstawiacie się policji. Nie zmuszajcie nas, byśmy was zaatakowali.

– Atakujcie więc i bądźcie przekłeci. Wy kukły imperializmu! Wściekle psy kapitalizmu...

– Oddział uformować szyk! – rozkazał kapitan i pierwszy szereg rozstał się tak, że policjanci z drugiego szeregu postąpili naprzód, formując zwartą linię. Siedzieli na niespokojnych koniach, strzemię przy strzemieniu.

– Łamistrajki! – wrzeszczał Fergus. – Dziś splamicie swe ręce krwią niewinnych robotników!

– Pałki! – zawołał krótko kapitan. Policjanci wydobyli długie dębowe pały z pochew przy siodłach i uchwycili je tak jak kawalerzysta szablę.

– Historia nie zapomni tej rzezi – krzyczał Fergus – a krew jagniąt...!

– Naprzód, marsz! Naprzód! – Rząd ciemnych jeźdźców wyłonił się z mgły wirującej wokół końskich pęcín. – Do ataku, galopem! – zaśpiewał kapitan.

Kawalerzyści pochyłili się w siodłach, trzymając pałki wyciągnięte wzdłuż końskich łbów i ruszyli naprzód. Podkowy dudniły głucho, kiedy zbliżali się do stojących robotników.

Kapitan jechał na przedzie, w samym środku szeregu, i to on wpadł pierwszy na druty.

Ludzie Fergus, używając pięciokilowych młotów, wbili długie na dwa metry stalowe sztaby w ziemię, tak że wystawały tylko na wysokość siedemdziesięciu centymetrów. Przeciągnęli drut kolczasty w poprzek drogi, naciągając go i okręcając wokół wystających z ziemi sztab.

Drut podciął nogi pędzącemu na przedzie wierzchowcowi. Kość pękła z ostrym trzaskiem, zadziwiająco głośnym w ciszy poranka. Koń padł, przewracając się przez bark, wciąż w pełnym galopie.

Jadąca tuż za kapitanem fala jeźdźców także wpadła na druty i została ścięta niczym ostrzem kosi. Tylko trzem z nich udało się zawrócić w porę. Krzyki mężczyzn, dzięki rżeniu koni mieszały się z tryumfującymi okrzykami nadbiegającej z kilofami w dłoniach bandy Fergususa.

Jeden z koni nie padł. Był bez jeźdźcy, strzemiona obijały mu się o boki. Przysiadł na zadzie, z przerażenia przebierając w powietrzu połamanymi przednimi kończynami. Jego rżenie, głośne i rozdzierające serce, zagłuszyło na chwilę jęki rannych.

Fergus wyciągnął rewolwer zza paska i omijając rżące zwierzęta, podbiegł do kapitana.

Spadając z konia, kapitan uderzył się barkiem i bokiem twarzy. Jego ramię było pogruchtane i zwisało pod groteskowym kątem. Kamienie i żużel zdarły mu skórę z twarzy. Kość szczęki sterczała teraz pośród poszarpanego ciała.

– Wstawaj, bękarcie! – krzyknął Fergus. Przycisnął rewolwer do twarzy oficera, wpychając wylot lufy w ziejącą ranę. – Wstawaj, ty glino! Damy ci nauczkę!

Trzech jeźdźców, którym udało się ominąć pułapkę, stało chwilę, trzymając konie na wodzy, a następnie ruszyli szukać swych rannych towarzyszy, nawołując ich po imieniu.

– Łap strzemień, Heintjie!

– Wstawaj, Paul! Wstawaj!

Konie rżały, ludzie zawodzili i krzyczeli, łącząc głosy w bezładny niemiłosierny rwetes. Fergus musiał unieść głos, by go przekrzyczeć.

– Zatrzymajcie ich! Nie pozwólcie tym sukinsynom uciec!

Jego ludzie ruszyli. Wymachiwali kilofami, zręcznie uchylając się przed pałkami policjantów. Atakowali i cofali się przed jeźdźcami, ale byli zbyt wolni.

Z towarzyszami uczepionymi do strzemion, jeźdźcy zawrócili i odjechali. Na placu boju zostawili tylko ciężko rannego oficera, czyjeś sztywne zwłoki przewieszzone przez druty i okrutnie okaleczone zwierzęta. W tym czasie eskorta policyjna formowała się w dwie kolumny na drodze. Fergus zauważył ich i prychnął zniecierpliwiony. Usiłował poderwać swego jeńca na nogi, ale ten ledwie dawał radę siedzieć bez oparcia. Dwudziestu konstabli zatrzymało się w odległości pięćdziesięciu metrów od nich. Pierwszy szereg przykląkł, a drugi ustawił się tuż za nimi, trzymając karabiny gotowe do strzału.

Komenda rozbrzmiała w powietrzu.

– Oddać strzał ostrzegawczy!

Grad kul mierzonych wysoko zagwizdał nad głowami strajkujących. Natychmiast rozbiegli się, kryjąc w rowie. Fergus zawahał się chwilę, a potem wycelował rewolwer w niebo i oddał trzy następujące po sobie strzały.

Był to umówiony sygnał i za parę sekund rozległ się huk wystrzałów z pograżonych dotąd w ciszy, stojących wzdłuż drogi domków. Ogień wylotowy z ukrytych karabinów błyskał złowieszczo w świetle poranka, omiatając drogę.

Po krótkim zastanowieniu Fergus opuścił broń. Był to webley.455, broń osobista

oficerów armii brytyjskiej. Kapitan policji wyczytał zamiar w jego spojrzeniu, spojrzeniu przypominającym ślepią orła chwytającego zdobycz. Wymamrotał zmasakrowanymi ustami prośbę. Usiłował bezskutecznie unieść dłonie, by zasłonić nimi twarz. Wystrzał z rewolweru utonął w ogłuszającej kanonadzie karabinów strajkujących górników i cofających się w popłochu policjantów.

Ciężki pocisk trafił w otwarte, proszące usta kapitana. Wybił mu dwa zęby górnej szczęki, zanurkował w krtani i wyszedł tyłem u nasady czaszki w szkarłatnym obłoku krwi i odłamków kości, wbijając martwe ciało w przydrożny kurz. Fergus odwrócił się i pobiegnął skryć się za krzewem.

Strajkujący odparli atak policji tylko w Fordsburgu. Pozostałe ośrodki nie zostały ostrzeżone, a robotnicy nie podjęli nawet podstawowych środków ostrożności, takich jak wystawienie wart.

W siedzibie związku w Johannesburgu zebrało się w komplecie całe dowództwo strajku. Spotkali się ze związkami, które wprawdzie jeszcze nie przystąpiły do strajku, ale rozważały podjęcie akcji popierających. Byli tam przedstawiciele towarzystwa ciepłowników, zjednoczonego związku budowlanych, związku drukarzy i pół tuzina innych oraz najaktywniejsi i najsilniejsi wśród strajkujących. Był tam Harry Fisher, Andrews, Ben Cadely i wielu innych.

Policja wkroczyła do budynku, kiedy właśnie włączyli się w dialektyczną debatę nad strategią walki klasowej, a pierwszym i zarazem ostatnim ostrzeżeniem był porażający tupot ciężkich butów na drewnianych schodach.

Harry Fisher siedział zgarbiony u szczytu stołu konferencyjnego. Potargane włosy opadały mu na czoło. Kciuki trzymał wsunięte za szelki, a podwinięte wysoko rękawy koszuli odsłaniały grube, owłosione przedramiona. On jeden się ruszył. Nachylił się przez stół, schwycił gumową pieczęć komitetu strajkowego i schował ją szybko do kieszeni.

Kiedy kolby karabinów roztrzaskały zamek, zerwał się na nogi, pchnął pogruchotaną futrynę i ze zwinnością wręcz nieprawdopodobną dla tak dużego człowieka wypadł przez drzwi.

Fasada siedziby związków ozdobiona była gęsto rusztowaniem ornamentów z giętego żelaza. Teraz użył ich jako zaczepów do rąk. Niczym goryl wdrapał się do pierwszej niszy występu na wysokim trzecim piętrze i mozolnie, krok po kroku, dotarł do rogu.

Słyszał pod sobą huk przewracanych mebli, głośnie wyzwiska dokonujących aresztowań policjantów i obraźliwe okrzyki przywódców związkowych. Trzymając plecy przyciśnięte do muru, z rękami rozpostartymi dla zachowania równowagi, Harry Fisher zerknął zza rogu w dół głównej ulicy. Kłębiło się tam od umundurowanych policjantów, a kolejne oddziały właśnie nadchodziły, maszerując dziarsko. Oficer kierował swych ludzi w boczne uliczki, by otoczyli budynek. Harry Fisher wycofał się szybko i rozejrzał na wszystkie strony, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki. Wejście z powrotem do budynku przez jedno z okien

wydawało się nonsensem, gdyż cały budynek rozbrzmiewał tupotem nóg i wykrzykiwanymi rozkazami.

Pięć metrów pod nim znajdował się daszek sklepienia ze skupem butelek, obok niego daszek jakiejś hurtowni, lecz alejka pomiędzy nimi miała ponad metr szerokości, a daszek pokryty był galwanizowaną blachą falistą.

Jeśliby zdecydował się na skok, brzęk blachy sprowadziłby natychmiast policjantów. Nie mógł jednak pozostać tam, gdzie był. Wiedział, że najdalej za dwadzieścia minut budynek zostanie otoczony ścisłym kordonem.

Wolno podreptał do najbliższej rynny i zaczął się wdrapywać. Dotarłszy do pochyłości dachu, musiał wychylić się do przodu, by złapać brzeg rynny. Wtedy odepchnął się mocno nogami i zawisł na rękach. Świadomość, że pod nim jest otchłań licząca najmarniej dwadzieścia metrów, wywołała ciarki wzdłuż krzyża. Rynna zatrzeszczała i wygięła się niebezpiecznie pod jego ciężarem. Podciągnął się na rękach, napinając się i naprężając, nim udało mu się zaczepić łokieć o brzeg rynny i wciągnąć resztę ciała do góry i przez krawędź dachu. Dysząc z wysiłku czołgał się po stromym, ściętym dachu. Zerknął na ulicę w samą porę, by zobaczyć policjantów wyprowadzających przywódców strajku przez główne wyjście. Pięćdziesięciu konstabli w hełmach na głowach i z trzymanymi nisko karabinami uformowało kwadrat, otaczając strajkujących. Niektórzy z nich byli w samych koszulkach i mieli gołe głowy.

Na chodnikach gromadził się powoli tłum, gęstniejący z każdą chwilą, wiadomość bowiem podawano sobie z ust do ust i ciekawscy ściągali zewsząd bocznymi uliczkami.

Harry Fisher doliczył się dwudziestu aresztowanych, kiedy nastroje tłumy zaczęły się gwałtownie zmieniać.

– To jest to, towarzysze – wysapał Harry Fisher żałując, że nie może być teraz na dole, by poprowadzić ich.

Ludzie napierali ze złością na policyjny kordon, nawoływali aresztowanych i wygwizdali oficera, który wzywał ich przez tubę do rozejścia się.

Policja konna uformowała się w szereg, odpierając tłum. Kiedy z budynku wyprowadzono ostatniego już mężczyznę, obstawa zwarła się, odzyskując kanciasty szyk, i otoczyła zbitą grupkę przygnębionych aresztantów.

Ktoś zaintonował *Czerwony sztandar*, ale głosy, które podchwyciły pieśń, były cienkie i smętne. Eskorta ruszyła w kierunku fortu, zabierając ze sobą nie tylko radykalnych przywódców strajku, ale również frakcję umiarkowaną, która dotychczas sprzeciwiała się przemocy, działaniom przestępczym i krwawej rewolucji.

Harry Fisher obserwował postępujący pochód z narastającym uczuciem tryumfu.

Za jednym zamachem dano mu do ręki atut w postaci grupy męczenników za sprawę i zwinięto całą liczącą się opozycję, tak przeciwną jego skrajnym poglądom. Ponadto miał przecież w kieszeni pieczętę komitetu strajkowego. Usadził się wygodniej na spadzistym

dachu, by zaczekać na dogodny moment ewakuacji. Wargi wykrzywiły mu się w gorzkim grymasie.

Mark Anders zniósł po schodach ciężki neseser generała, zrobiony z krokodylej skóry. Umieścił go w rolls-roysie na siedzeniu przy kierowcy, jednocześnie wydając mu instrukcje:

– Wpierw pojedziesz do Groote Schuur, następnie zawieziesz generała na lunch do klubu miejskiego.

Odsunął się od samochodu na widok generała wychodzącego z domu i zatrzymującego się na schodach, by ucałować żonę. Żegnał się tak żarliwie, jakby wyjeżdżał z krucjatą do odległych krajów. Objął ją w niedźwiedzim uścisku, a uwalniając wyszeptał do ucha coś, co sprawiło, że odsunęła się i trzepnęła go lekko po ramieniu.

– Już cię tu nie ma, mój panie – powiedziała skromnie.

Sean zszedł po schodach, wyglądając na bardzo zadowolonego z siebie. Uśmiechnął się do Marka.

– Premier wygłosi dziś oświadczenie w parlamencie, Marku. Chcę widzieć się z tobą zaraz po nim.

– Doskonale, sir – Mark odwzajemnił uśmiech.

– Będę cię wypatrywał na galerii dla gości, kiedy skończy, i dam ci znać. Potem spotkamy się w kuluarach i pójdziemy do mojego biura.

Mark słuchając usiłował pomóc mu wsiąść na tylne siedzenie rollsa. Kiedykolwiek był zmuszony oprzeć się na chorej nodze, jego ruchy stawały się niezdarne i ociężałe. Odrzucił jednak pomocną dłoń prawie ze złością. Nienawidził oznak słabości u siebie, bardziej nawet niż u innych. Odsunął dłoń Marka, jak tylko usadowił się wygodnie.

Mark zignorował ten gest i powiedział spokojnie:

– Pańskie notatki na posiedzenie rządu są w pierwszej teczce – wskazał na neseser leżący na przednim siedzeniu – i jest pan umówiony z sir Herbertem na lunch w klubie. Sesja parlamentu rozpocznie się o 2.15. Opozycja będzie miała trzy pytania do pana. Nawet sam Herzog chce o coś zapytać.

Sean Courteney zawarczał niczym stary lew osaczony przez sforę psów.

– Ten sukinsyn!

– Przypiąłem pańskie odpowiedzi spinaczem do blankietu porządku obrad. Wzorowałem się na Erazmusie i dodałem parę własnych uwag, więc proszę przejrzeć je przed wystąpieniem, mogą nie spotkać się z pańską aprobatą.

– Mam nadzieję, że przyłożyłeś im naprawdę porządnie?

– Oczywiście – Mark uśmiechnął się ponownie. – Z obu łuf.

– Dobry chłopiec – pochwalił Sean Courteney. – Powiedz, że możemy ruszać.

Mark odprowadził wzrokiem rollsa znikającego za podjazdem, zatrzymującego się przy bramie i wytaczającego się majestatycznie na Rhodes Avenue, po czym odwrócił się i wszedł

do domu.

Zamiast udać się korytarzem wprost do swego biura, Mark zatrzymał się i z poczuciem winy rozejrzał wokół siebie. Ruth Courteney udała się do gospodarczej, kuchennej części domu i nie było widać nikogo ze służby. Mark wbiegł na górę, biorąc po trzy schodki naraz. Przebiegł przez galerię, kierując się ku masywnym, tekowym drzwiom na jej końcu.

Nie zapukał. Nacisnął klamkę i wszedł, zamykając cicho drzwi za sobą. Ostry zapach terpentyny uderzył go w nozdrza, a oczy załzawiły się na parę sekund, nim przywykły.

Mark nie obawiał się nadejścia Storm o tej porze. Dopiero koło południa przekraczała ciężkie podwójne drzwi wiodące z korytarza pomalowanego w złote amorki i uduchowione synogarlice. Od dnia przyjazdu do Kapsztadu rozkład dnia Storm Courteney był tak napięty, że nawet jej ojciec złościł się i fukał.

Tak jak i on, Mark spędzał bezsenne noce, nasłuchując chrzęstu kół na zwirowanym podjeździe. Natęzał słuch, by wyłowić ciche dźwięki wesołych głosów. W myślach oceniał długość trwania i czułość każdego pożegnania, szarpany emocjami, których nie umiał nazwać.

Jego stosunki ze Storm uległy drastycznemu pogorszeniu. W Natalu zawiązały się między nimi początki odprężonej akceptacji z akcentami ciepła. Zaczęło się od uśmiechu i przyjacielskiego słowa rzuconego przez Storm. Wkrótce zaczął towarzyszyć jej w codziennych przejazdach. Pojechali nawet razem na północne wybrzeże, gdzie pływali w ciepłej wodzie i dyskutowali zawzięcie o religii. Storm uległa panującej modzie na spirytualizm i Mark poczuł się w obowiązku nawrócić ją. Kolejny krok nastąpił, kiedy Storm oznajmiła nagle:

– Potrzebuję partnera do przećwiczenia kroków nowego tańca.

Mark nakręcał gramofon, zmieniał płyty i tańczył zgodnie z instrukcjami Storm.

– Jesteś naprawdę dobry, wiesz? – oznajmiła wielkodusznie, uśmiechając się do niego, lekka i wdzięczna w jego ramionach, kiedy wirowali po pustej sali balowej Emoyeni.

– Przy tobie nawet kulawy kowal wyglądałby jak Bóg.

– Czyżby? – zaśmiała się w odpowiedzi. – Jest pan bardzo rycerski, panie Anders.

Od przyjazdu do Kapsztadu wszystko uległo radykalnej zmianie. Nie uśmiechała się i nie odzywała do niego. Rene Leuchars, która miała być gościem Storm przez całe cztery miesiące, została tylko jeden dzień i wróciła do domu najbliższym statkiem pocztowym. Nie wymieniano więcej jej imienia. Wrogość Storm do Marka była tak silna, że z trudem przychodziło jej przebywanie z nim w jednym pokoju. Stojąc w jej pracowni, Mark poczuł się jak złodziej, ale nie mógł oprzeć się pokusie rzucenia okiem choć raz na postępy w pracach nad najnowszym płótnem.

Dla zapewnienia właściwego oświetlenia wybito wysokie okna od strony północnej. Sztalugi Storm stały pośrodku gołej, nie przykrytej dywanem podłogi. Jedynymi sprzętami prócz nich były wysoki taboret i kreślarski stół zawalony słoiczkami farb oraz krzesło dla

modela ustawione na niewielkim podium.

Oparte o ściany, stały płótna w ramach wszelkiej wielkości i kształtu, przeważnie jeszcze czyste.

Dawniej, gdy łączyły ich prawie przyjacielskie stosunki, nieraz prosiła Marka o pomoc przy oprawianiu płócien. Przypomniawszy sobie to teraz, Mark poczuł gwałtowne ukłucie w sercu. Storm była bezlitosnym nadzorcą. Sprawdziała każde łączenie, każdy wbity gwóźdź z drobiazgowością i troskliwością pedanta.

Płótno było niemal ukończone. Zastanawiał się chwilę, jak znalazła czas, by poczynić takie postępy w pracy nad nim, i zrozumiał, że jej nie docenił. Pracowała tu rankami, kiedy myślał, że jeszcze spała. Teraz jednak zapatrzył się na płótno.

Stojąc tak przed nim z rękami w kieszeniach, doznał uczucia zadowolenia. Na obrazie widniały drzewa, leśna polana. Słońce igrało na nim po ziemi, skałach i dwóch postaciach. Kobieta nachylała się właśnie, zrywając dzikie kwiaty, a mężczyzna siedział oparty o pień, gdzieś z boku, i przyglądał się jej.

Mark uświadomił sobie, jak wielkim postępem był ten obraz w stosunku do wszystkiego, co dotychczas namalowała. Czuł to, ponieważ obrazek mimo swej prostoty budził w nim takie emocje, że aż dusiło go w gardle. Wprost przerażał go osobliwy talent zdolny stworzyć tę pracę.

Zachwycił się nad sposobem, który pozwolił jej uchwycić rzeczywistość, i udoskonalić ją jeszcze. Nad tym, że zrozumiała jej istotę i zrobiła z niej ważne wydarzenie.

Mark zastanowił się, czy laik jest zdolny wyczuć niezaprzeczalny talent w jakiejś dziedzinie, tak jak osoba, która nigdy przedtem nie widziała walki na szpady, wyczułaby wielkiego fechtmistrza już po pierwszej wymianie ciosów. Mark nie mając pojęcia o malarstwie, był teraz głęboko poruszony odkryciem prawdziwego piękna.

Zamek w drzwiach za nim szczęknął i Mark odwrócił się nerwowo. Storm doszła do połowy pracowni, nim zauważyła go i zatrzymała się. Jej twarz przeobraziła się w ułamku sekundy. Zesztywniała, a oddech stał się przyspieszony.

– Co ty tu robisz?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wciąż jeszcze był pod wrażeniem nastroju uchwyconego na obrazie.

– Myślę, że pewnego dnia będziesz wielką artystką.

Zawahała się. Była najwyraźniej wytrącona z równowagi nieoczekiwanym komplementem i oczywistą powagą, z jaką został wypowiedziany. Kiedy jej wzrok zwrócił się ku obrazowi, zniknęły z niego wrogość i agresja. Nagle była tylko bardzo młodą dziewczyną, ubraną w workowaty, pomazany farbami kitel, o policzkach pokrytych rumieńcem zadowolenia i skromności.

Nie widział jej dotąd takiej. Prostolinijnej, otwartej i tak bezbronnej. Zupełnie jakby na tę krótką chwilę odkryła tajemne zakątki swej duszy, by pozwolić mu dojrzeć, gdzie trzyma

zbiory prawdziwych dzieł sztuki.

– Dziękuję ci, Mark – powiedziała cicho. Nie była błyszczącym motylem, rozpuszczoną, trzpiotowatą bogatą dziewczyną, ale stworzeniem subtelnym i pełnym ciepła.

To, co wtedy poczuł, musiało być równie widoczne. Niemal uległ pragnieniu, by wziąć ją w ramiona i przytulić mocno. Wyczuła to jednak i cofnęła się o krok, zmieszana i niepewna siebie.

„Ale nie wślizgniesz się tam tak łatwo” – mówiły jej oczy. Sekretne miejsce w duszy zasłonięto szybko ciężką kotarą. W jej głosie ozwała się stara, znajoma nuta:

– To moja prywatna pracownia. Nawet ojciec nie śmie tu wchodzić bez uzyskania wcześniej mojej zgody.

Przemiana w niej była wprost niesamowita. Zupełnie jakby wielka aktorka odgrywała dobrze znaną rolę. Tupnęła nogą, a gest ten wydał mu się nagle nieznośny.

– To się nie powtórzy – zapewnił ją szorstko i zawrócił ku drzwiom, mijając ją blisko. Był tak wściekły, że poczuł, iż drży.

– Mark! – zatrzymała go rozkazującym tonem.

Musiał włożyć wiele wysiłku w to, by się do niej odwrócić. Zesztywniał cały, a wargi miał odretwiąłe i zimne ze złości.

Zaskoczyła go. Jego gniew nie zdążył wybuchnąć, kiedy ugasiła go uśmiechem. Poczuł, że sztywność ciała ustępuje.

Storm odwróciła się ku ławie i porządkując coś gorliwie, przemówiła nie podnosząc wzroku:

– Zamknij za sobą drzwi wychodząc – poinstruowała niczym księżniczka rzucająca rozkaz służce.

Złość jeszcze drzemiąca w nim zapłonęła znów gwałtownie i podążył ku drzwiom, stukając głośno obcasami w nagie deski podłogi. Zamierzał trzasnąć nimi z taką siłą, że wypadną z futryny, ale powstrzymała go znów.

– Mark.

Zatrzymał się, ale nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

– Wybieram się do parlamentu dzisiejszego popołudnia. Wyjedziemy zaraz po lunchu – chcę wysłuchać mowy generała Smutsa. Ojciec twierdzi, że to bardzo ważne.

Poczuł, że przy próbie odpowiedzenia na to jego usta mogą się pokruszyć. Zdawały się sztywne i wysuszone jak pergamin.

– O rany! – wyszeptwała. – Zapomniałam na śmierć. Kiedy ktoś zwraca się do Jego Wysokości Marka Andersa, winien zawsze dodać: „Proszę!” – Splotła dłonie skromnie przed sobą. Głowę opuściła w karykaturalnym geście pokuty, powodując, że jej ciemnoniebieskie oczy stały się ogromne i uduchowione. – Proszę, czy mogłabym pojechać dziś z tobą do parlamentu? Będę bardzo zobowiązana. A teraz możesz sobie trzasnąć tymi cholernymi drzwiami!

– Powinnaś występować na scenie. Marnujesz się jako malarka – powiedział, ale drzwi zamknął z wystudiowaną uwagą.

Czekała na szcęk drzwi, nim opadła bezwładnie na krzesło dla modeli i zaczęła wprost trząść się ze śmiechu, zachwycona ściskając samą siebie.

Stopniowo śmiech zamarł. Wciąż jeszcze rozbawiona wybrała czarne płótno ze stosu przy ścianie i umieściła je na sztalugach. Szybko zarysowała kształt jego głowy, łapiąc podobieństwo przy pierwszej próbie.

– Te oczy – wyszeptała. – Jego oczy są tu kluczem. – Uśmiechnęła się, kiedy pojawiły się na płótnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zdziwiona, że utrwały się tak dokładnie w jej pamięci. Zaczęła nucić pracując dalej, całkowicie tym pochłonięta.

Sala zgromadzeń parlamentu była wysokim, kwadratowym pomieszczeniem, zwieńczonym galeriami dla prasy i gości, wyłożonym ciemną, bogato rzeźbioną boazerią z krajowego drewna, podobnie jak baldachim nad głową speakera. [angielski odpowiednik marszałka sejmu (House of Commons) przewodniczy obradom] Jasna, przygaszona zieleń dywanów podkreślała głębszą o ton zieleń skóry ławek dla posłów. Teraz każde z tych miejsc było zajęte, galeria zatłoczona. Mimo to panowała katedralna cisza, w której głos premiera brzmiał nienaturalnie donośnie. Przemawiając przy swoim miejscu, usytuowanym poniżej krzesła speakera, prezentował się szczupło i zgrabnie.

– Cały obszar zagłębia Witwatersrand przechodzi powoli w ręce czerwonych wicherzycieli. – Gestykulował z ekspresją dłońmi i Mark nachylił się, by lepiej widzieć. Ten ruch sprawił, że przylgnął udem do uda Storm i przez resztę przemówienia był świadom ciepła bijącego od niej.

– Trzech funkcjonariuszy zostało zabitych podczas brutalnego ataku w Fordsburgu, a dwóch innych ciężko rannych w potyczkach z bojówkami strajkujących. Te grupy są uzbrojone w nowoczesną broń wojskową i maszerują swobodnie po ulicach w paramilitarnych formacjach. Popołniają akty przemocy na niewinnych członkach władz publicznych, spieszących do swych obowiązków, i na każdym, kto stanie im na drodze. Wtrącają się do służb publicznych, transportu, energetyki i komunikacji. Były nawet przypadki atakowania i zajmowania posterunków policji.

Sean Courteney, który siedział zgarbiony w jednej z przednich ław z zakrytymi dłońmi oczami, uniósł nagle głowę i powiedział: „Wstyd!” dudniącym głosem. Tak brzmiał on zawsze po trzech whisky i Mark nie mógł powstrzymać uśmiechu. Domyślił się, że w oczekiwaniu na te obrady generał musiał wzmocnić się nieco podczas lunchu w klubie.

– Zaiste wstyd – zgodził się Smuts. – Teraz gdy strajkujący zgromadzili wokół siebie rozwiązy i plugawy element społeczny, nastroje stały się szczególnie niebezpieczne i paskudne. Legalne środki podjęte przeciw strajkującym dały przyczynek do narastania rządów terroru i przemocy kryminalnej. Jednak najbardziej niepokojący jest fakt, że

przywództwo tego robotniczego buntu – czy raczej odgórnie sterowanego strajku – przeszło w ręce ludzi jak najbardziej bezlitosnych i o cechach przestępczych, którzy nie pragną niczego innego prócz obalenia cywilnego rządu i wprowadzenia bolszewickiej anarchii.

– Nigdy! – zagrział Sean.

Okrzyk ten został pochwycony przez innych zebranych.

– Ten rząd, jak i całe społeczeństwo stoi w obliczu perspektywy rozlewu krwi i przemocy na skalę niespotykaną, a nawet niemożliwą do wyobrażenia.

Zaległa cisza i Smuts mówił dalej:

– Jeśli możemy winić za coś ten rząd, to tylko za to, że byliśmy zbyt pobłażliwi i współczujący dla cierpień górników. Daliśmy im zbyt dużą swobodę i prawo do wyrażania swych żądań. Działo się tak dlatego, że zawsze byliśmy w pełni świadomi temperamentu tego narodu oraz praw jednostki i zbiorowości do wyrażania swoich myśli.

– I słusznie – zgodził się Sean. Z sali rozległy się okrzyki:

– Słusznie! Słusznie!

– Teraz jednak zostaliśmy zmuszeni do rozważenia ceny tej pobłażliwości i uznaliśmy ją za niemożliwą do przyjęcia. – Przerwał i spuścił na chwilę głowę, a kiedy uniósł ją znów, wyraz jego twarzy był zimny i beznamiętny. – Przeto wprowadzam stan wojenny na całym terytorium Republiki Południowej Afryki.

Zaległa długa cisza, po której wybuchł gwar. Komentarze, zapytania i domysły przepełniły salę. Nawet galerie huczały od przypuszczeń i podejrzeń, a reporterzy prasy przepychali się w wyścigu do najbliższego telefonu.

Stan wojenny był środkiem ostatecznym. Został wprowadzony tylko raz w przeszłości, w czasie buntu w 1916 roku, kiedy De Wet zebrał swe oddziały i ruszył przeciw Bothcie i Smutsowi. Odezwały się okrzyki protestu i oburzenia, zwłaszcza z ław opozycji.

Herzog potrząsnął pięścią, jego pincenes połyskiwało złowieszczo, członkowie rządu powstali także, wyrażając swe poparcie. Daremne prośby speakera: „Spokój, spokój!” tonęły w ogólnej wrzawie.

Sean Courteney dał znak Markowi siedzącemu na galerii; ten potwierdził i pomógł Storm powstać. Chronił ją i osłaniał przed naporem podnieconego tłumu, kiedy wychodzili z galerii i skierowali się długim pasażem ku schodom.

Generał czekał na nich przy wejściu dla gości. Miał marsową minę. Najlepszym dowodem jego zaangażowania był zdawkowy całus, jaki złożył na uniesionej ku niemu twarzy Storm, nim zwrócił się do Marka.

– Ale interes, chłopcze. – Chwycił go za ramię. – Chodźmy gdzieś, gdzie możemy spokojnie porozmawiać.

Poprowadził ich do swego biura. Zamknąwszy za sobą drzwi, wskazał Storm krzesło i powiedział do Marka:

– Regiment został postawiony w stan gotowości dziś o dziesiątej rano. Udało mi się

jeszcze złapać Scotta przez telefon. Objął kontrolę nad tym wszystkim. To dobry żołnierz. O tej porze są już pewnie zmobilizowani i czekają na specjalny pociąg. Wyruszą nim do zagłębia Witwatersrand dziś o jedenastej w nocy. Pełna gotowość bojowa.

– A co z nami? – zapytał Mark. Nagle był znów żołnierzem i karnie wszedł w tę rolę. Jego miejsce było przy regimencie.

– Dołączymy do nich. Wyjeżdżamy dziś wieczór. Pojedziemy w konwoju z premierem, będziemy jechać przez całą noc – ty poprowadzisz jeden z wozów. – Sean zasiadł za biurkiem, by spakować nesesor. – Ile nam to zajmie czasu?

– To prawie dwa tysiące kilometrów, sir – przypomniał Mark.

– Wiem, do cholery! – warknął Sean. – Ile? – Sean nigdy nie lubił wgłębiać się w tajniki techniczne samochodu. Nie znosił wykazywać się niewiedzą o ich prędkości i możliwościach, podczas gdy potrafił niezwykle dokładnie wyliczyć, ile potrwa podróż wozem konnym czy na koniu.

– Nie dotrzemy tam wcześniej niż jutro wieczór.

– To cholerny kawał ciężkiej drogi. – Wracajcie do domu. Niech żona spakuje mi plecak. Ty też zabierz swój ekwipunek. – Zwrócił się do Storm: – Idź z Markiem, moja panno. Będę przez chwilę bardzo zajęty.

Mark zapiął plecak, rozmyślając nad tym, jak jego dobra doczesne namnożyły się od czasu, gdy zamieszkał przy rodzinie Courteneyów. Był czas, kiedy mógł pomieścić cały swój majątek w kieszeniach – myśl tę przerwało mu pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – zawołał spodziewając się służącego. Tylko Ruth Courteney zapuszczała się w tę część domu z cotygodniową inspekcją, a właściwie kruczają przeciw insektom i kurzowi.

– Proszę zanieść to do samochodu – powiedział po zulusku, zapinając przed lustrem pasek od czapki pod brodą.

– Sama? – zapytała słodko Storm w tym samym języku. Obejrzał się zdziwiony.

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– Czemu nie? Czy grozi mi gwałt i uprowadzenie? – Zamknęła drzwi i oparła się o nie, trzymając ręce splecione za plecami. Jej oczy patrzyły śmiało i wyzywająco.

– Byłoby znacznie bezpieczniej, mam wrażenie, próbować uprowadzić rój szerszeni.

Ta uwaga była gburowata, opryskliwa i obraźliwa, ale ona powiedziała tylko:

– Robisz postępy. – Spojrzała na spięty pasami kufer leżący na łóżku. – Miałam zamiar zaoferować ci pomoc przy pakowaniu. Większość mężczyzn nie potrafi sobie z tym poradzić, ale widzę, że ty do nich nie należysz. Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

– Jestem pewien, że mógłbym coś wymyślić – powiedział z poważną miną. Coś w tonie jego głosu sprawiło, że uśmiechnęła się, ostrzegając jednocześnie:

– Zbyt wielki postęp jak na jeden dzień. – Podeszła do łóżka i pomacała je badawczo. – Boże, kto napchał tu cegieł? Nic dziwnego, że Rene Leuchars wyjechała tak szybko do domu!

Biedactwo, musiała nadwerzężyć sobie siedzenie!

Jej spojrzenie, mimo że tak niewinne, przenikło go na wskroś i Mark poczuł, że się czerwieni. Nagle wszystko stało się jasne. Odwracając się od lustra, zastanawiał się, skąd wie o Rene. By zając się czymś, zaczął poprawiać daszek czapki.

– Pięknie – przyznała. – Czy jedziesz tam, by znęcać się nad tymi biednymi strajkującymi, czy też by wyobracać ich żony? – Zanim zdążył dać wyraz kompletnemu zaszokowaniu, dokończyła: – Zabawne, nie przyszedłam tu wcale po to, by się kłócić. Miałam kiedyś starego kocura, którego bardzo lubiałam, ale przejechał go samochód. Czy masz może papierosa, Mark?

– Ty przecież nie palisz! – Z trudem nadażał za tokiem rozmowy.

– Wiem, ale zdecydowałam się nauczyć. To takie *sauve* [(franc.) – łagodne, słodkie.] – użyła bardzo modnego w tym czasie określenia.

Trzymała papierosa karykaturalnie wampowato, kiedy go jej przypalał.

– Jak wyglądam?

– Cholernie brzydko – powiedział.

Storm przymrużyła oczy i pociągnęła ostrożnie. Przytrzymała dym w płucach na chwilę i zaczęła kaszleć.

– Dalej, daj mi to – odebrał jej papierosa i paląc pomyślał, że ustnik dotykał przed chwilą jej ust. Poczul niemal ból w całym ciele. Straszliwe pożądanie połączone z dziwną tkliwością, której nie doświadczył jeszcze nigdy. Wyglądała w tej chwili na tak młodą i niemal czułą.

– Czy tam będzie niebezpiecznie? – zapytała poważnie.

– Nie wydaje mi się. Będziemy czymś w rodzaju policji.

– Policjanci też giną. – Wstała i podeszła do okna. – Widok jest okropny, chyba że lubi się śmietniki. Złożyłabym zażalenie, gdybym była na twoim miejscu. – Odwróciła się ku niemu. – Nigdy nie żegnałam nikogo idącego na wojnę. Co powinnam teraz powiedzieć?

– Nie wiem. Nikt mnie nie żegnał.

– Co powiedziałyby teraz twoja matka?

– Nie znałam swojej matki.

– Och, Mark! Tak mi przykro. Nie chciałam... – urwała nagle. Był zaszokowany widząc, że jej oczy zapełniły się łzami.

– Nie szkodzi – powiedział.

Storm odwróciła się szybko do okna.

– Jeśli się dobrze wychylić, to widać stąd szczyt Diabelskiej Góry. – Jej głos był gruby i nosowy, i minęło sporo czasu, nim odezwała się znów. – Skoro to przeżycie nowe dla nas obojga, może powinniśmy pomóc sobie nawzajem?

– Myślę, że powinnaś powiedzieć: „Wracaj szybko”.

– Tak, chyba powinnam – i co powinnam zrobić potem, jak już to powiem?

– Pocałować mnie – powiedział bez zastanowienia i był teraz zdziwiony własną

śmiałością.

Stała nieruchomo pod wrażeniem jego słów. Po chwili ruszyła ku niemu wolnym, zdeterminowanym niczym u lunatyka krokiem. Jej oczy były szeroko otwarte i wpatrzone w niego. Zatrzymała się tuż przed nim, uniosła ramiona i stanęła na palcach.

W powietrzu unosił się jej zapach, a ramiona wokół jego szyi były szczupłe i silne. Najbardziej jednak zdumiała go słodycz i miękkość jej ust. Jej ciało zatoczyło się ku niemu i zdawało się stopić z jego własnym. Długimi, artystycznymi palcami pieściła jego kark.

Objął ją w tali ramieniem, dziwiąc się, że jest aż tak szczupła. Mięśnie jej pleców były jędrne i twarde, kiedy wygięła się, napierając biodrami. Wstrzymała oddech, gdy go poczuła, i wstrząsnął nią wolny, lubieżny dreszcz. Przylgnęła do niego całym ciałem, biodra do jego bioder, piersi spłaszczone o bluzę munduru.

Pochylił się nad nią, wędrując wolno dłońmi po wąskich, spiętych plecach. Jego usta zmusiły jej wargi do rozchylenia się niczym płatki świeżej i bardzo czerwonej orchidei.

Zadrżała, ale jej głos przerodził się w jęk protestu. Wykręciła się z jego ramion, mimo że starał się ją zatrzymać. Była jednak silna, prężna i zdecydowana. Zatrzymała się przy drzwiach, by spojrzeć na niego. Trzęsła się cała. Jej oczy były ogromne i pociemniałe, patrzyła tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Ojej! I kto tu mówił coś o roju szerszeni? – zakpiła, ale jej głos był drżący i zadyszany.
– Nie jestem już tak pewna co do tego „Wracaj szybko”. – Otworzyła drzwi szerzej dla dodania sobie odwagi, a kolejny uśmiech był bardziej przekonujący. – Nie daj się przejechać, stary kocurze – powiedziała i wyslizgnęła się na korytarz. Jej milknące kroki były lekkie i taneczne w ciszy ogromnego domostwa. Nogi Marka zrobiły się nagle tak słabe, że usiadł ciężko na łóżku.

Mark jechał szybko, skupiając całą uwagę na krętej, niebezpiecznej drodze górskiej. Prowadził ciężkiego, obładowanego rollsa ścieżką wskazywaną przez jasne, umieszczone w mosiężnych oprawach reflektory. Dotarli do Baines Kloof, gdzie droga skręciła w lewo i zbiegła prosto w dolinę. Po chwili mijał już Worcester, z jego uporządkowanymi winnicami stojącymi na baczność w poświęceni księżycu. Po raz ostatni wdrapał się na góry przy Hex River, aż dotarł do granic płaskiego interioru afrykańskiego.

Przejechał jeszcze przez sam szczyt i rozpostarła się przed nim ogromna równina, suche bezdrzewne połacie, na których płaskogłowe głazy odbijały się dziwnie od rozgwieżdżonego nieba. Nareszcie Mark mógł odprężyć się w wyściełanym skórą fotelu kierowcy.

Prowadził samochód instynktownie. Droga nadpływała ku niemu bez końca, blada i wypadająca wprost z ciemności, i teraz nareszcie mógł dostroić słuch do głosów siedzących na tylnym siedzeniu mężczyzn.

– Oni nie potrafią tego zrozumieć, Sean, staruszku. Jeśli nie będziemy zatrudniać każdego

czarnego szukającego pracy lub wręcz czynnie wspomagać tubylczą ludność, wkrótce stracimy panowanie nad tym wszystkim. W rezultacie będzie nie tylko mniej miejsc pracy dla białych, ale w dalekiej przyszłości może oznaczać kompletny brak pracy dla białych w całej Afryce.

Mały szakal, puszysty niczym szczeniak, z dużymi szpiczastymi uszami znalazł się w światłach reflektorów. Mark objechał go ostrożnie, by go nie potrącić. Jego własne uszy wyciągały się, by usłyszeć odpowiedź Seana.

– Oni myślą tylko o dniu dzisiejszym. – Jego głos był niski i poważny. – My musimy planować dziesięć lat naprzód, trzydzieści lat, a nawet pięćdziesiąt. Musimy myśleć o narodzie zwartym i nie podzielonym. Nie możemy pozwolić na to, by Afrykaner stanął przeciw Brytyjczykowi lub, co gorsza, biali przeciw czarnym. Nie wystarczy, że zmuszamy się do wspólnego życia, musimy jeszcze nauczyć się razem pracować.

– Powoli, wolnego, staruszku! – zachichotał premier. – Niech twoje marzenia nie wyprzedzają rzeczywistości.

– Nie zajmuję się snami, Jannie. Powinieneś to wiedzieć. Jeśli nie chcemy zostać rozszarpani na kawałki przez naszych własnych ludzi, musimy dać im wszystkim, białym, czarnym czy brązowym, wspólne miejsce do życia.

Zagłębiali się dalej w pusty ląd, a światła samotnej farmy na ciemnym zboczu podkreślały jeszcze, jak jest ogromny.

– Ci, którzy wykrzykują tyle o krótszej pracy i wyższej płacy, muszą dowiedzieć się, że od propagandowych zysków, które teraz osiągają, będą pewnego dnia w przyszłości płacone tysiąckrotne odsetki. Będzie to zapłata w głodzie i cierpieniu. Jeśli uda nam się wysterować z dala od rafy katastrofy narodowej, ci ludzie będą musieli nauczyć się pracować, całkiem od nowa, i potraktować poważnie wymogi, które stawia im prawo, społeczeństwo i dyscyplina wewnętrzna. Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, Seanie, ilu ludzi żyjących w dzisiejszych czasach traktuje byt wyłącznie do wyszukiwania pola dysput między pracownikiem a pracodawcą, między robotnikami a właścicielami? Sean przytaknął, kontynuując od miejsca, w którym przerwał Smuts.

– Jakby tych dwoje, robotnik i pracodawca, nie było powiązanych ze sobą tak silnie, że aż nierozzerwalnie. Jadą tą samą drogą, do tego samego celu, są połączeni na zawsze przeznaczeniem. Kiedy jeden potyka się i pada, ściąga drugiego na cholerne kolana i ten pada wraz z nim.

Kiedy gwiazdy zrobiły już rundę honorową po niebie, rozmowa na tylnym siedzeniu rollsa ucichła.

Mark spojrział w lusterko. Sean Courteney spał, otuliwszy się w koc podróżny. Ciemną brodę spuścił nisko na pierś. Chrapał cicho, regularnie i głęboko. Mark poczuł przypływ uczucia dla tego potężnego człowieka. Było to połączenie szacunku i strachu, dumy i czułości.

Przypuszczam, że to właśnie czułbym do ojca, gdybym go miał – pomyślał; zawstydzony siłą swego przywiązania do generała skoncentrował się znów na drodze.

Nocny wiatr prószył drobnym piaskiem. Brzask jawił się więc czymś nieskończenie doskonałym. Od horyzontu po horyzont na nieboskłonie kolory drgały, jaśniały, płonęły, póki słońce nie wybiło się jasno znad widnokręgu.

– Nie będziemy się zatrzymywać w Bloemfontein ani w żadnym większym mieście, Mark. Nikt nie może zauważyć premiera – powiedział Sean, nachylając się do niego.

– Musimy nabrać benzyny, generale.

– Skorzystamy z przydrożnej pompy – poinstruował go Sean. – Spróbuj znaleźć taką, przy której nie będzie linii telefonicznej.

Wybrał mały, pokryty blachą sklepik. Stał on na uboczu, schowany pod przysadzistymi drzewami eukaliptusa. W okolicy nie było żadnych innych domostw. Sucha wypalona przez słońce równina rozciągała się aż po sam horyzont. Popękane, gipsowe ściany sklepiku, oblepione plakatami borvilu i herbaty Joko wymagały bielenia. Okna były powybijane, a drzwi zamknięte, najważniejsze jednak, że od samotnego domostwa nie wiodła ku słupom przy drodze linia telefoniczna. Pojedyncza czerwona pompa benzynowa stała w baczym oczekiwaniu na środku zakurzonego podwórka.

Mark zatrąbił przeciągle klaksonem rollsa. Czarny cadillac premiera, który jechał za nimi, skręcił właśnie z drogi i zatrzymał się przy nich. Kierowca i trzech członków rządu wysiadło, by rozprostować kości. Właściciel sklepiku pojawił się wreszcie. Nie ogolony, o czerwonych oczach, szedł uśmiechając się radośnie i zapinając spodnie. Nie mówił po angielsku, więc Mark zapytał po afrykanersku:

– Czy może pan zatankować do pełna oba wozy?

Podczas gdy sklepikarz machał w tył i przód rączką pompy, a benzyna podnosiła się miarowo w jednym z dwóch szklanych, stojących na pompie galonowych pojemników, pojawiła się jego żona z tacą, na której były kubki parującej kawy i talerz świeżo upieczonych, chrupkich sucharków. Zjedli i wypili z wdzięcznością i w niecałe dwadzieścia minut byli gotowi do dalszej drogi.

Sklepikarz stał na podwórzu i drapiąc się po brodzie, obserwował bliźniacze obłoki czerwonego kurzu wznoszące się ku niebu. Kiedy podeszła do niego żona, skrzywiony zapytał:

– Czy wiesz, kto to był? – Ponieważ pokręciła przecząco głową, powiedział: – To był Mądry Jannie i jego angielscy rewolwerowcy. Nie widziałaś munduru, który miał na sobie ten młody? – splunął w czerwony kurz, a flegma zbiła się i potoczyła. – Khaki! Przekłete khaki! – rzucił z goryczą.

Obszedł budynek i otworzył drzwiczki do małej przylegającej doń stajenki. Zakładał uprzęż starej, szarawej kobyły o kabłąkowatym grzbiecie, kiedy weszła tam za nim żona.

– To nie twój interes, Hendrick. Zostaw to w spokoju.

– Nie mój interes? – zapytał rozniewany. – Czyż nie walczyłem przeciw mundurom khaki w czasie wojny angielskiej? Czy nie walczyłem znów w 1916 roku, kiedy ruszyliśmy z De Wetem? Czyż mój brat nie jest kamieniarzem w kopalni Simmers i Jack? Czyż to nie tam

podąża Mądry Jannie i jego oprawcy?

Wskoczył na kobyłę i ścisnął ją piętami. Drgnęła i skierowała się ku równinie. Do bocznic kolejowej było niecałe piętnaście kilometrów. W tamtejszej budce dróżnika, który był przypadkiem jego kuzynem, mieli telegraf.

Związek Zawodowy Kolarzy sympatyzował z górnikami. Gdzieś w porze obiadu komitet strajkowy w Johannesburgu powinien otrzymać wiadomość, że Mądry Jannie wybiera się do nich z wizytą.

W czasie gdy Mark popijał kawę w przydrożnym sklepiku, Fergus MacDonald leżał pod krzakami w głębi ogrodu i poprzez rabatki płonące od czerwonego kwiecia patrzył przez lornetkę na budynek newlandzkiego posterunku policji. Zauważył zabarykadowane workami piasku drzwi i okna.

Poprzedniego wieczoru pani tego domu, siedząc na werandzie i popijając kawę, naliczyła 47 konstabli, którzy przybyli tu na ciężarówce, by umocnić posterunek. Jej syn był majstrem zmianowym w kopalni Simmers i Jack.

– Ktokolwiek zarządzał posterunkiem w Newlands, nie był żołnierzem, – orzekł Fergus i uśmiechnął się chytrze.

Wypatrzył słabe punkty natychmiast. Każdy żołnierz zauważyłby je, raz tylko rzuciwszy okiem.

– Poślij po bomby Millsa – zamruczał do kucającego przy nim robotnika, a ten niezwłocznie się oddalił.

Fergus przeniósł okular lornetki na drogę, w miejscu gdzie przechodziła w pagórek, i aż stęknął z zadowolenia. Druty telegraficzne zostały przecięte razem z linią wysokiego napięcia. Widział luźne końce zwisające ze słupów. Posterunek policji był odizolowany.

Robotnik przyciągnął ciężki worek. Uśmiechnął się do Fergusa, ukazując szczerbę po brakującym zębie.

– Daj im popalić, towarzyszu.

Twarz Fergusa była osmalona od sadzy, a rzęsy opalone. Stało się to na posterunku policji w Fordsburgu, trochę przed północą.

– Kiedy gwizdnę, dajcie mi osłonę ogniową.

– Nie martw się, będziesz ją miał.

Fergus otworzył plecak i zerknął na stalowe kule o głęboko rowkowanych segmentach, potem zarzucił pasek przez ramię i umieścił ciężar na biodrze.

– Opiekuj się nim – powiedział wręczając szczerbatemu swego lee-enfielda. – Będę go

jeszcze dziś potrzebował. – Podczołgał się w dół płytkim rowem melioracyjnym, który prowadził do betonowego kanału odpływu, przechodzącego pod drogą.

Kanał był wyłożony półokrągłymi, przerdzewiałymi rurami i Fergus przeczołgał się przez nie ostrożnie, wychodząc po drugiej stronie drogi. Leżąc na boku, uniósł się nieco, by zerknąć znad brzegu kanału ściekowego. Posterunek policji stał jakieś sto pięćdziesiąt metrów od niego. Niebieski neon z napisem „Police” był wygaszony. Flaga zwisała bezwładnie z masztu w spokoju bezwietrznego poranka.

Od martwego pola ostrzału pod oknami budynku z cegieł dzieliło go najwyżej pięćdziesiąt metrów. Fergus widział karabiny wystające spomiędzy worków piasku. Wyjął z kieszeni srebrny gwizdek i ukląkł niczym sprinter w blokach startowych. Wziął głęboki oddech i wydał przeciągły, wysoki gwizd. Z krzaków i drzew otaczających posterunek prawie natychmiast rozszalała się burza ognia z karabinów. Błękitny neon rozprysł się na kawałki, a płaty tynku odpadały od ścian niczym motki farbowanej bawełny.

Fergus ruszył biegiem. Pociski wzbijały kurz u jego stóp, a odłamki skalne kasały boleśnie po kostkach nóg. Inny pocisk niczym niecierpliwa dłoń szarpnął go za poły kurtki, ale już dotarł do martwego pola ostrzału i był poza zasięgiem ich ognia.

Posuwał się zgięty w pół, dopóki nie dotarł do budynku posterunku policji. Rozpłaszczył się między dwoma oknami, zasłoniętymi workami z piaskiem, gwałtownie łapiąc oddech.

Lufa karabinu wysunęła się przez okno tuż przy jego lewym boku i plunęła ogniem w kierunku wzgórza. Fergus otworzył plecak i lewą dłonią wydobyl zeń granat, zawleczkę wyciągnął zębami. Prawą dłonią schwycił kolbę rewolweru Webley.455 wsuniętego za pasek spodni.

Schwycił pod ramię lufę policyjnego karabinu i odsuwając ją bezkarnie w bok, wszedł przez okno. Wciąż trzymając karabin, spojrział w wąską szczelinę między workami.

Patrzyła na niego młoda twarz, jeszcze bez zarostu. Oczy były szeroko otwarte ze zdziwienia, usta lekko rozchylone, a hełm spuszczonego nisko na czoło.

Fergus strzelił w nasadę nosa, między zdziwione oczy. Zmiażdżona głowa opadła bezwładnie w tył. Wrzucił pierwszy granat przez szczelinę i zanurkował.

Eksplozja w tym małym pomieszczeniu była wprost potworna. Fergus podskoczył i wrzucił następny granat. Szkoło i dym buchnęły z okien. Ze środka dochodziły rozpaczliwe krzyki uwięzionych policjantów, łącząc się z jękami i szlochem rannych.

Fergus wrzucił trzeci granat z okrzykiem:

– Udławcie się tym, wy pieprzone łamistrajki!

Bomba rozprysnęła się, rozrywając żaluzje w oknach, a dym buchnął wszystkimi otworami. W środku ktoś zaczął krzyczeć:

– Przestańcie. Poddajemy się!

– Wychodźcie z rękami nad głową, sukinsyny!

Sierżant policji wytoczył się na podwórze przez walące się drzwi. Jedną rękę trzymał nad

głową, druga zwisała mu z boku w porwanym przesiąkniętym krwią rękawie.

Ostatni telefon z posterunku policji w Newlands, nim strajkujący przecięli linię telefoniczną, był wołaniem o pomoc. Kolumna trzech ciężarówek podążająca im na pomoc drogą od Johannesburga dotarła do hotelu przy Main Street, gdzie zatrzymał ją ogień z karabinów. W tej samej chwili z pobliskich rowów ciężarówki zostały obrzucone bombami benzynowymi, stawiając je w płomieniach.

Policjanci porzucili pojazdy i rozbiegli się, szukając schronienia w domku stojącym przy drodze. Stanowił teraz silny punkt obrony i zdawało się, że zdoła oprzeć się nawet najbardziej zaciętym atakom. Policjanci uciekli, zostawiając przy płonących ciężarówkach trzech zabitych konstabli, a następnie dwóch obok tak ciężko rannych, że mogli tylko wołać o zmiłowanie.

Biała flaga załopotała po drugiej stronie drogi, więc dowódca policji wyszedł na werandę domku.

– Czego chcecie?! – zawołał.

– Nie możecie zostawić tak tych ludzi! – odkrzyknęli wskazując na ciała.

Dowódca wraz z dwudziestoma nie uzbrojonymi funkcjonariuszami wyszedł na drogę, by zabrać rannych i zabitych. W tym czasie ludzie Fergusów wślizgnęli się tylnym wejściem do domku.

Nagle głowy dowódcy dotknęła lufa webleya.

– Powiedz swoim, by podnieśli ręce, albo rozpieprzę ci mózg po całej drodze! – krzyknął Fergus, którego ludzie rozbroili policjantów wewnątrz domku i pojawili się na drodze z nowo zdobytą bronią.

– Słyszysz pod zdradziecką flagą – zaprotestował gorzko dowódca.

– My tu nie bawimy się w tanie gierki, ty cholerny łapsie! – zawarczał Fergus. – Walczymy o nowy świat.

Dowódca otworzył usta, by zaprotestować, ale Fergus zamachnął się rewolwerem i wbił mu lufę w twarz. Cios wybił przednie zęby górnej szczęki, zmieniając wargę w krwawą masę. Mężczyzna opadł na kolana. Fergus oddalił się do swych ludzi.

– Zajmiemy wzgórze Brixton, a potem Johannesburg. Ale dziś w nocy wywiesimy czerwony sztandar na każdym budynku publicznym w mieście. Teraz nie wstrzyma nas już nic.

Oddziały Górali Szkockich opuściły pociąg na stacji Dunswart tego samego ranka i ruszyły w kierunku górniczej osady Benoni, która była teraz w rękach bojówek komitetu strajkowego. Strajkujący już na nich czekali.

Oddziały przednie dostały się z boków i od tyłu pod ogień krzyżowy z setek przygotowanych stanowisk i toczyły ciężki bój niemal przez cały dzień, by się wyrwać z zasadzki. Późnym popołudniem, umykając przed celnym ogniem, dotarły do pociągu

w Dunsward.

Wieźli ze sobą dziewięciu zabitych policjantów i trzech oficerów. Trzydziestu sześciu innych było rannych. Wielu z nich zmarło.

Witwatersrand, od jednego końca aż po drugi, ogarnęło wielkie podniecenie. Komitet strajkowy zdobył wreszcie kontrolę nad tym wielkim zagłębieniem. Jednym z wielu, które powstały przez zagarnianie bogatej w złotodajne złoża równiny afrykańskiej. Zagłębienie ciągnęło się przez sto kilometrów, od Krugerdorp po Nentersdorp, z miastem Johannesburg leżącym pośrodku. Znajdowały się tam najbogatsze złoża złota, jakie kiedykolwiek odkryto, istny skarbiec – kamień węgielny pod dobrobyt narodu. Teraz strajkujący ponieśli przezeń czerwoną flagę, a siły prawa i porządku musiały cofać się przed nimi.

Każdy dowódca policji cierpiał, kiedy musiał wydać rozkaz o otwarciu ognia, a konstabl odczuwał ból, przyjmując taki rozkaz – mieli przecież strzelać do przyjaciół, współobywateli i braci.

W piwnicach siedziby związków zawodowych w Fordsburgu odbywał się sąd kapturowy. Zdrajca miał być skazany na śmierć.

Harry Fisher chodził teraz ubrany w wojskową kurtkę w maskującym, piaskowym kolorze z nakładanymi zapinanymi kieszeniami. Przez pierś przewiesił pas z amunicją. Na prawym rękawie widniała gładka, czerwona opaska. Ciemne włosy były odkryte, a oczy błyszczały mu dziko.

Siedział za biurkiem zrobionym ze starej skrzyni na meble. Tuż za jego plecami stała Helena. Obcięła włosy krótko, po męsku. Nosiła bryczesy wsunięte w wysokie buty i czerwoną opaskę na rękawie bluzy. Twarz miała bladą i spiętą, przekrwione, głęboko osadzone oczy stały się niewidoczne w słabym świetle, ale ciało emanowało nerwową energią ogara, który złapał trop zająca.

Oskarżony był sklepikarzem w miasteczku. Mrugał szybko bladymi, wodnisto-niebieskimi oczami, ukrytymi za okularami w drucianych oprawkach, patrząc ze zdziwieniem na oskarżyciela.

– Prosił o połączenie z siedzibą dowództwa policji na Marshall Square.

– Chwileczkę – wtrąciła Helena. – U pani mieści się lokalna centralka telefoniczna, prawda?

– Zgadza się. Jestem naczelnikiem centrali telefonicznej. – Kobieta miała siwe włosy, była schludnie ubrana, poważna.

– Mów dalej.

– Pomyślałam, że lepiej będzie, jak się włączę i posłucham, co on tam knuje.

Sklepikarz wykręcał blade, kościste dłonie i przygryzał nerwowo dolną wargę. Wyglądał na co najmniej sześćdziesiąt lat. Blando-srebrzysta kępka włosów sterczała mu komicznie z czubka łysiny.

– Kiedy zaczął podawać im szczegóły o tym, co się tu dzieje, przerwałam połączenie.

– Co dokładnie powiedział? – zapytał Fisher.

– Powiedział, że jest tu karabin maszynowy.

– Tak właśnie powiedział? – wzrok Fishera był piorunujący. Przeniósł spojrzenie na sklepikarza, a ten aż zadrżał.

– Mam syna w policji, to mój jedyny syn – wyszeptał i zamrugał oczami, by powstrzymać napływające łzy.

– To jest równie dobre, jak przyznanie się do winy – powiedziała zimno Helena, a Fisher spojrzał na nią przez ramię i przytaknął.

– Zabrać go na zewnątrz i zastrzelić – rozkazał.

Lekka półciężarówka dostawcza podskoczyła na wybojach i zatrzymała się przy starym opuszczonym szybie należącym do kopalni Crown's. Był nie używany od lat, wielkie betonowe bloki konstrukcji i podstawę szybu porastała gęsta trawa, która przebiła się przez pęknięcia w betonie i pokryła zardzewiałą maszynę.

Dwóch mężczyzn zawlekło sklepikarza do rozpadającego się płotu z drutu kolczastego, który chronił ciemną dziurę szybu. Szyb nr 1 był głęboki na 450 metrów, ale teraz zalano go wodą do poziomu 150 metrów. Tablice ostrzegawcze na płocie zdołały napisać i czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami.

Helena MacDonald została za kierownicą ciężarówki. Zapaliła papierosa i bez głębszych wzruszeń czekała na strzał egzekucyjny. Mijały minuty. Papieros zaczął parzyć ją w palce. Sarknęła niecierpliwie, kiedy jeden z uzbrojonych strajkujących pokazał się w oknie ciężarówki.

– Co was zatrzymuje?

– Najmocniej przepraszam, paniusiu, ale żaden z nas nie może tego zrobić.

– Co to znaczy? – zażądała wyjaśnień Helena. Mężczyzna spuścił wzrok.

– Stary Cohen sprzedaje mi warzywa od co najmniej dziesięciu lat. Zawsze dawał moim dzieciakom cukierki.

Helena z okrzykiem zniecierpliwienia otworzyła drzwi ciężarówki i wysiadła.

– Daj mi swój rewolwer – powiedziała idąc ku miejscu, gdzie drugi mężczyzna pilnował sklepikarza. Sprawdziła, czy jest naładowany, i zatrzasnęła bębenek rewolweru.

Cohen zaczął się uśmiechać słodkim rozbajającym uśmiechem, zerkając na nią oczami krótkowidza, potem dojrzał wyraz jej twarzy i rewolwer w dłoni. Opadł na kolana. Z przerażenia przemoczył zupełnie przód luźnych, szarych, flanelowych spodni.

Kiedy Helena zaparkowała ciężarówkę na małej uliczce za domem handlowym, natychmiast wyczuła w powietrzu nowy ładunek podniecenia. Mężczyźni stojący w oknie przysłoniętym workami z piaskiem wołali coś do niej.

– Pani stary wrócił, psze pani! Jest w piwnicy z szefem!

Fergus podniósł wzrok znad mapy obszaru wschodniego, którą studiowali właśnie

z Harrym Fisherem. Prawie go nie poznała. Był usmalony i uwalany sadzą jak kominiarz. Opalone rzęsy sprawiały, że wyglądał na zdziwionego czymś. Oczy miał przekrwione, a w kącikach osadziły się mokre kropelki brudnego śluzu.

– Cześć, kochaneczko – uśmiechnął się do niej zmęczony.

– Co tu robicie, towarzyszu? – zapytała. – Powinniście być teraz na wzgórzu Brixton.

Wtrącił się Harry Fisher.

– Fergus zdobył wzgórze. Odwalił kawał dobrej roboty, naprawdę dobrej. Można powiedzieć, że było to prawdziwe zrządzenie losu.

– Co takiego? – zapytała Helena.

– Chudy Jannie Smuts jest w drodze z Kapsztadu.

– To złe wieści – poprawiła go Helena chłodno.

– Jedźcie samochodem, bez żadnej obstawy – wyjaśnił Harry Fisher.

– Niczym kochanek, prosto w nasze ramiona – roześmiał się Fergus, rozkładając ręce w powitalnym geście. Na rękawach miał rdzawe plamy zaschniętej krwi.

Sekretarz premiera zmienił Marka za kierownicą rollsa na długim odcinku drogi na północ od Bloemfontain. Mark drzemał skulony na przednim siedzeniu, nie zwracając uwagi na wyboistość drogi. Obudził się już odświeżony, kiedy Sean zatrzymał ich mały konwój na szczycie samotnie stojącego pagórka, dwadzieścia kilometrów na północ od rozbudowanego kompleksu kopalń i miasteczek zagłębia Witwatersrand.

Było późne popołudnie i zachodzące słońce przebarwiło nisko zawieszoną w powietrzu chmurę smogu na purpurowo. Nie były to obłoki, lecz zanieczyszczenia wyrzucane z setek kominów rafinerii i elektrowni, opalanych węglem lokomotyw, ognisk palonych przez dziesiątki tysięcy robotników afrykańskich w ich obozowiskach, jak i dymu z płonących budynków i pojazdów.

Mark zmarszczył nos, gdy doleciał go kwaśny odór miasta, zanieczyszczający świeże powietrze wyżyny.

Cała grupka wykorzystała okazję do rozprostowania kości i załatwienia innych potrzeb. Mark z przekąsem zauważył w myślach wyraźną hierarchizację pozycji społecznych, kiedy ci członkowie grupy, którzy mieli rangę wyższych oficerów czy też byli ministrami w rządzie, stali za parawanem otwartych drzwi samochodów, podczas gdy niżsi stopniem urzędnicy musieli zadowolić się otwartą przestrzenią.

Kiedy zebrali się znów, wywiązała się burzliwa dyskusja. Sean zalecał ostrożność i podjazd obwodnicą przez tereny podmiejskie Johannesburga.

– Powinniśmy przeciąć Standerton i wjechać na drogę do Natalu. W końcu rebelianci zajęli północne przedmieścia.

– Nie spodziewają się nas, Sean, staruszku. Przejedziemy jak błyskawica i będziemy na Marshall Street, nim się zorientują – zdecydował Jannie Smuts. – Nie mogę pozwolić sobie na

dwugodzinne opóźnienie spowodowane nadkładaniem drogi.

Sean zagrział na niego:

– Zawsze byłeś w cholernie gorącej wodzie kąpany, Jannie! Dobry Boże, przecież to ty wjechałeś do Kapsztadu na czele stu pięćdziesięcioosobowego oddziału, by odbić miasto z rąk całej armii brytyjskiej!

– Wystraszyli się na śmierć – zachichotał premier. Szedł do rollsa, zapinając po drodze spodnie, a Sean szedł krok w krok za nim, kontynuując ze swadą.

– Dokładnie, ale kiedy spróbowałeś tego samego numeru na Lettowie von Vorbeck, w niemieckiej wschodniej Afryce, to ty nałykałeś się strachu. Nieźle osmalili ci tyłek!

Mark skrzył się nad doborem słów generała, a świta premiera unikała wzroku swego zwierzchnika.

– Wjedziemy do Johannesburga drogą na Booyens – powiedział zimno Jannie Smuts.

– Na niewiele nam się przydasz, kiedy będziesz martwy – bąknął Sean.

– Starczy, Sean, staruszku. Zrobimy to po mojemu.

– W porządku – zgodził się niechętnie Sean. – Ale pojedziesz w drugim wozie. Cadillac z twoim poroczykiem pojedzie na przedzie. – Zwrócił się do kierowcy premiera:

– Dodaj gazu i żadnych postojów, zrozumiałeś?

– Tak, sir.

– Czy macie przy sobie odpowiedni sprzęt, moi panowie? – zapytał i wszyscy okazali mu swą broń osobistą.

– Mark – Sean zwrócił się ku niemu. – Zdejmuj mannlicera z dachu.

Mark odpiął skórzane pasy przytrzymujące futerał do bagażnika i złożył karabin wyborowy kalibru 9,3 mm, jedyną skuteczną broń, jaką udało im się znaleźć w Somerset House, wyjeżdżając w takim pośpiechu. Załadował broń i podał ją Seanowi, chowając do kieszeni dwa pudełka amunicji „Eley Kynoch”.

– Dobry chłopak – mruknął Sean i nagle przyjrzał mu się uważnie: – Jak się czujesz? Przespałeś się trochę?

– Czuję się świetnie, sir.

– Siadaj za kierownicą i jedźmy.

Zmrok zapadał szybko, rozmazując sylwetki drzew kauczukowych rosnących wzdłuż niskich wzniesień na płaskiej jak stół równinie, zawężając im pole widzenia. Gdzieś migotały punkciki odkrytych palenisk kuchennych przy barakach tubylców rozrzuconych na wzgórzach, ale to były jedyne oznaki życia.

Droga była opustoszała, i nawet kiedy już przemknęli wzdłuż pierwszych domów z cegieł, nie zauważyli żadnych świateł. Spokój ten był wprost nienaturalny i niepokojący.

– Elektrownia główna jest zamknięta. Górnicy ograniczyli dostawy do pięćdziesięciu ton dziennie na podstawowe potrzeby, ale teraz wstrzymali i to – premier rozmyślał na głos.

Żaden z nich nie podjął rozmowy. Mark jechał za mrugającymi czerwono tylnymi

światłami cadillaca. Zapadająca wokół ciemność zmusiła go do włączenia reflektorów. Nagle znaleźli się na wąskiej uliczce Booyens, na północnych przedmieściach Johannesburga.

Domki górników tłoczyły się wzdłuż drogi niczym żywe, groźne stworzenia. Po lewej, w gasnącym świetle dnia, Mark wypatrzył zarys szczytu podobnego do szkieletu głównego szybu kopalni Crown.

Widoczne wokół niskie, płaskie jak stół hałdy natchnęły go nostalgią. Pomyślał o Fergusie MacDonalddie i Helenie i jeszcze raz spojrział w lewo, odwracając na chwilę wzrok z drogi. Nieco poniżej szczytu Crown Deep, nie dalej niż kilometr od miejsca, w którym się teraz znajdował, przy Lovers Walk, stał domek, w którym Helena uczyniła z niego mężczyznę.

Wspomnienie to było tak bolesne i skażone poczuciem winy, że wyrzucił je z pamięci i ponownie skupił się na drodze. Dokładnie w tej chwili pierwsze wystrzały z karabinów błysnęły w ciemnych oknach domku stojącego po prawej stronie drogi przed nim.

Błyskawicznie ocenił kąt i zasięg nieprzyjacielskiego ognia. Zwrócił uwagę na to, że wybrali zakręt drogi, przy którym pojazdy zmuszone były zwolnić. Dobrze – pomyślał beznamiętnie, przyznając im rację i aprobując ten wybór. Chwycił drążek biegów, wrzucił niższy, dostosowując obroty do zakrętu.

– Schylić się! – zawołał do szacownych pasażerów.

Cadillaca jadącego przed nimi rzuciło potężnie na podjeździe, ale wyszedł z poślizgu i z rykiem wziął zakręt.

– Sześć lub siedem karabinów – ocenił Mark. Kątem oka zauważył krzaki i pusty chodnik pod oknami domku. Postanowił, że zmusi wroga do konieczności szybkiej zmiany kierunku strzału i korzystając z osłony krzaka, całą mocą rollsa przejechał po chodniku.

Listowie z cichym szelestem omiotło bok pędzącego wehikułu. Z siedzenia za sobą usłyszał odgłos strzału z broni osobistej. To Sean Courteney strzelał przez otwarte okno samochodu. Mark nacisnął hamulec i rolls zarzucił tyłem na zakręcie. Teraz zjechał z chodnika i poruszał się zakolami po jezdni, by jeszcze bardziej zmylić strzelców. Docisnął pedał gazu do końca. Samochód popędził wzdłuż zakrętu i odjechał z wyciem w głąb ciemnych opustoszałych dzielnic handlowych Booyens. Zostawił za sobą ogłupiałych strzelców. Gapili się z niedowierzaniem na opustoszały zakręt i wsłuchiwali się w głos silnika oddalającego się rollsa.

Jeszcze dwie mile, a wyjadą z niebezpiecznego terenu i dotrą przez wzgórza do śródmieścia Johannesburga.

Cadillac przed nimi przejeżdżał właśnie przez obszar zabudowany sklepami, magazynami i małymi fabryczkami. Jego reflektory odbijały się ostro od mijanych domów, wskazując tunel ku bezpiecznemu schronieniu. Siedzący za Markiem panowie nie tylko nie posłuchali rady, że mają się skryć, ale z przekory siedzieli zupełnie prosto, beznamiętnie dyskutując nad powstałą sytuacją.

– To była dobra decyzja. Myślał szybko – powiedział Smuts. – Nie spodziewali się, że zrobimy slalom.

– On jest w tym dobry – zgodził się Sean.

– Ale ty tracisz czas z tą pukawką.

– Przynajmniej mam jakieś zajęcie – wyjaśnił Sean, ponownie ładując bębenek rewolweru.

– Powinieneś być wstąpić do mojego oddziału, Sean. Nauczyłbym cię oszczędzać amunicję – Smuts chciał zemścić się za wcześniejsze docinki Seana.

Reflektory cadillaca skierowały się lekko ku niebu, kiedy przejechał przez nieckę i dotarł do pierwszych wzniesień. Niemal w tym samym momencie zobaczyli barykadę na drodze.

Była ułożona niedbale, wszereż drogi, z beczek olejowych, bał drzewa, żelaznych stelaży łóżek, worków piasku, a nawet mebli, najwyraźniej wyciągniętych z najbliższych domostw.

Sean zaklął siarczyście.

– Mogę jeszcze zawrócić! – krzyknął Mark. – Ale dopadną nas jeśli zwolnimy, i zmuszą do powrotu do tej zasadzki na zakręcie.

– Patrz na cadillaca! – krzyknął Sean.

Ciężka, czarna maszyna nie zawahała się nawet. Wjechała na zbocze barykady, wybierając miejsce, gdzie wydawała się najsłabsza.

– On otworzy nam przejazd! Jedź za nim, Mark!

Cadillac uderzył w barykadę, wyrzucając krzesło i stoły wysoko w powietrze. Nawet przez wycie wiatru i silnika Mark słyszał wyraźnie rozdzierający huk zderzenia. Cadillac przedarł się i już wspinał po wzniesieniu. Tracił jednak wyraźnie szybkość, a biały obłok pary buchał mu z chłodnicy. Na szczęście utworzył wyłom w barykadzie i Mark wpasował się weń, objając się bokami o zwały pni, i popędził wzdłuż wzgórza, zbliżając się szybko do jadącego przed nim pojazdu.

Cadillac wytracał szybkość, najwyraźniej konając od śmiertelnej rany.

– Czy mam zatrzymać się po nich? – zapytał Mark.

– Nie – powiedział Sean. – Musimy wpierw zawieźć premiera...

– Tak – poprawił go Smuts. – Nie możemy ich tak zostawić!

– Zdecydujcie się, do jasnej cholery! – wrzasnął Mark i pasażerowie na tylnym siedzeniu stracili mowę z niedowierzania. Mark zatrzymał się, by zabrać tamtych.

Karabin maszynowy odezwał się z kępy karłowatych krzewów rosnących u stóp najbliższej hałdy. Ogień bił cepami noc. Jaskrawobiałe błyski omiały drogę rozsalałą burzą pocisków. Wysoki trzeszczący dźwięk był tak charakterystyczny, że Mark i Sean wykrzyknęli z przerażonym niedowierzaniem.

– Vickers! [*Ciężki karabin maszynowy produkcji angielskiej.*]

Zielono–żółty proporczyk łopocący na masce cadillaca premiera ściągnął na siebie

nawałnicę ognia i Mark zszokowany obserwował, jak w ułamku sekundy samochód zaczął rozpadać się na kawałki. Przednia i boczne szyby rozpadły się w iskrzące chmury odłamków szkła. Trzech pasażerów zostało pociętych na kawałeczki niby kurczaki, które dostały się pod noże młockarni.

Cadillac stoczył się z drogi i uderzył czołowo w ścianę składu stojącego przy drodze, zbudowanego z masywnych bali. Bezlitosny ogień vickersa dalej ciął zwłoki maszyny, dokładnie dziurawiąc karoserię. Otwory w obwódkach z żywego metalu lśniły w świetle reflektorów jak nowo wybite dolarówki.

Mark wyczuł, że strzelec vickersa zaraz zwróci ogień ku nim i rozejrzął się, szukając sposobu ucieczki.

Pomiędzy drewnianym składem a najbliższym domkiem biegła wąska dróżka, niewiele szersza od rollsa. Mark zawrócił samochód ku alejce. Strzelec wyczuł jego intencje, ale nie mógł tak szybko przenieść ognia ciężkiego vickersa na rolls-royce'a. Kule rwały nawierzchnię drogi, wzbijając tumany kurzu i darni tuż obok boku samochodu.

Zanim strzelec zdołał poprawić celność ognia, eksplodował zbiornik paliwa w rozbitym cadillacu. Wybuch był ogłuszający. Buchnęła jaskrawa chmura szkarłatnych płomieni i gęstego dymu.

Korzystając z tej niespodziewanej osłony, Markowi udało się nawrócić samochód w kierunku drogi i poderwać pełnym gazem rollsa, mimo że zrobił się on nagle powolny do manewrowania, a silnik dudnił głucho.

Pięćdziesiąt metrów dalej dróżka była zablokowana ciężką przyczepą, na której ułożono wysoko świeżo ścięte pnie. Mark zahamował ostro i wyskoczył z samochodu.

Stwierdził, że są skryci przed vickersem za rogiem składu, ale przyczepa odcina im drogę dalszej ucieczki. Strzelec potrzebował tylko paru chwil, by, zdawszy sobie sprawę z ich położenia, przesunąć lufę vickersa do wylotu alejki i pociąć ich na kawałki. Mark zauważył, że karabin maszynowy już wcześniej rozerwał jedno z przednich kół. Otworzył tylne drzwiczki i wyrwał mannlichera z rąk Seana. Zatrzymał się tylko na chwilę, by rzucić:

– Zmieńcie koło. Postaram się ich zatrzymać – i już zniknął w alejce.

– Będę nalegał na to, żeby w przyszłości wydając mi rozkazy, zwracał się do mnie „sir” – powiedział Sean z kwaśnym uśmiechem i zwrócił się do Smutsa: – Czy zmieniłeś kiedyś koło, Jannie?

– Nie wygłupiaj się, Sean. W końcu jestem kawalerzystą i twoim przełożonym. – Smuts odwzajemnił uśmiech. Jego złota broda była w świetle reflektorów podobna do zarostu wikinga.

– Cholera jasna! – mruzczał Sean. – Możesz przynajmniej zainstalować lewarek.

Mark dotarł już do narożnika składu i ukucnął za nim. Sprawdził magazynek i dopiero rozejrzął się wokół siebie.

Cadillac płonął niczym olbrzymi stos ofiarny. Smród płonącej gumy i ludzkiego ciała

zatykał dech. Ciało kierowcy tkwiło wciąż jeszcze za kierownicą, ale płomienie szalały i atakowały je ze wszystkich stron. Głowa pociemniała i zwęglała się, a ciało skręcało się w makabrycznym tańcu śmierci.

Zerwał się wiatr, którego Mark nie zauważył przedtem. Przenikający, niestały wiatr, który dał i wiał po okolicy, pchając chmury cuchnącego czarnego dymu w poprzek drogi, by nagle zmienić kierunek i przez parę sekund pchać słup dymu prosto ku nocnemu niebu. Migocące pomarańczowe pióropusze ognia rzucały niepewne światło, wyolbrzymiając cienie i wykrzywiając perspektywę.

Mark wiedział, że musi przebiec na drugą stronę drogi i dotrzeć do zarośli i wzgórka u stóp hałdy, zanim zauważy go strzelec vickersa. Miał do pokonania pięćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni, nim dotrze do pozycji, w której niezdarność i mała zwrotność vickersa będą działały na jego korzyść. Czekał na odpowiedni wiatr.

Wyczuł jego nadejście. Poruszał czubkami traw przy ogniu i toczył brudną pakulę gazet po drodze. Nagle podsycił dym i rozdmuchał go cuchnącym obłokiem wzdłuż drogi.

Mark wyskoczył zza rogu składu i przebiegł dwadzieścia kroków, zanim zdał sobie sprawę, że wiatr zawiódł go. Był to tylko słabiutki podmuch, który nagle ucichł, zostawiając noc nieruchomą i spokojną, prócz trzasków płonącego cadillaca.

Mark był już w połowie drogi, kiedy dym się rozstał. Zimny ciężar przerażenia ścisnął mu żołądek i rozlał się na nogi. Spowolnił je tak, że teraz biegł niczym człowiek zakuty w dyby. Mimo to jego instynkt bojowy działał sprawnie, odliczał sekundy, oceniając bezbłędnie moment, w którym strzelec vickersa zauważy cień jego skulonej postaci, szacując, ile czasu zajmie mu zmiana położenia i ponowne wycelowanie z ciężkiej broni.

Teraz – pomyślał i rzucił się naprzód. W pełnym biegu wylądował na barku i przeokoziolkował, nurkując pod głośnym wybuchem ognia z karabinu maszynowego, który nastąpił dokładnie wtedy, kiedy przewidział.

Impet upadku poderwał go na nogi i dał parę sekund, nim strzelec vickersa namierzy go ponownie. Skoczył naprzód i poczuł palące rwanie w miejscu dawnych ran po kulach, gdzieś na plecach, ran, których nie czuł od ponad roku. Ten ból wywołał upadek i oczekiwanie na nieznaną. Pas czerwonej ziemi na dalekim końcu drogi zdawał się oddalać, a instynkt ostrzegał go, że strzelec vickersa znów jest gotów. Rzucił się naprzód jak gracz baseballowy ślizgający się do bazy. W tej samej chwili grad pocisków wbił się w brzeżek skarpy tuż nad nim, a rykoszety wrzeszczały niczym przerażone banshee. *[Banshee – (irl.) duch domowy, zwiastujący śmierć komuś z domowników.]*

Mark przeleżał dłuższą chwilę z twarzą ukrytą w zagięciu ramienia, zachłystując się oddechem, dopóki ból w dawnych ranach nie zelżał, a serce nie zaczęło znów bić normalnie. Kiedy ponownie uniósł głowę, miał kamienne oblicze. Uczucie złości uczyniło jego umysł jasny i praktyczny.

Fergus MacDonald zaklął cicho. Trzymał obie dłonie na uchwytach spustowych vickersa, palce wciąż tkwiły na bezpiecznikach. Zataczał karabinem krótkie rytmiczne zakola w prawo i w lewo, obserwując wzgórze. Znow kłął, wyrzucał z siebie monotonna litanię zduszonym szeptem.

Mężczyzna klęczący przy nim z taśmą amunicji przygotowaną do podawania vickersowi wyszeptał ochryple:

– Myślałem, że już go masz.

– Jak cholera – syknął Fergus i pociągnął karabin ku sobie. Coś na końcu drogi przykuło jego uwagę. Wystrzelił krótką serię w tym kierunku i powiedział: – Dobra, zbierajmy się.

– Do cholery, towarzyszu, przecież już ich mamy! – zaprotestował ładowniczy.

– Ty idioto, nie widziałeś go? – zapytał Fergus. – Nie widziałeś, w jaki sposób przechodził drogę? Czy nie dociera do ciebie, że ściągnęliśmy sobie na kark prawdziwego rodzyńka? To zawodowiec.

– Nie pozwolimy chyba, żeby jeden sukinsyn pogonił nas...

– Właśnie, że tak – uciął krótko Fergus. – Dopóki jest tam ten typek, nie zamierzam narażać tego karabinu. – Poklepał kwadratowy, stalowy blok zamka. – Byliśmy tu, żeby zabić Mądrego Janniego. On tam teraz siedzi i piecze się w swoim fikuśnym autku. A my wynosimy się stąd, do cholery...

I rozpoczął skomplikowany proces rozładowywania vickersa przez załamanie dźwigni zamkowych ku górze.

– Powiedz chłopakom, żeby nas kryli, jak będziemy się wycofywać – mruknął wyjmując taśmę naboju z komory zamka, a następnie zdejmując vickersa z trójnogu. – Dalej, pośpiesz się – przyciął ładowaczowi. – Ten sukinsyn jest już w drodze do nas. Już czuję jego oddech na karku.

Po skarpie ruszył pochód ośmiu bojówkarzy. Fergus i dwóch przy vickersie, pięciu innych, by pomagać im i osłaniać.

– Dobra, idziemy. – Fergus niósł ciężką lufę na jednym ramieniu i skrzynkę z amunicją w lewej ręce. Jego zmiennik uginał się pod 50-kilogramowym metalowym trójnogiem, a trzeci niósł pięciogalonowy pojemnik chłodnicy i drugą skrzynkę z amunicją.

– Wycofujemy się! – zawołał Fergus do swych towarzyszy. – Ruszajcie się żywo, depcze nam po piętach naprawdę niebezpieczny sukinsyn!

Biegli grupą przygięci ciężarem ładunków. Nogi ślizgały się im po grząskim piasku hałdy.

Huk wystrzału dobiegł z lewej strony.

– Temu skurwysynowi musiały wyrosnąć skrzydła i doleciał tam – pomyślał Fergus, nie spodziewający się tego ataku. Strzelec musiał być powyżej nich.

Rozpoznał suchy trzask wystrzału. To musiał być karabin wyczynowy. Wdrapujący się za nim wydał nagle dziwne stęknięcie, jakby płuca opróżniły mu się pod wpływem ciężkiego

ciosu. Fergus obejrzał się przez ramię i zobaczył, że górnik padł. Ciemny niezgrabny kształt na białym piasku.

– Dobry Boże – sapnął Fergus. Z tej odległości mógł trafić tylko strzelec wyborowy. Przecież oświetlenie było fatalne, jedynie wczesne gwiazdy i rdzawa poświata płonącego cadillaca.

Karabin odezwał się znów. Fergus usłyszał krzyk jednego ze swych strzelców. Ranny miotał się szaleńczo w porastających zbocze krzakach. Teraz Fergus wiedział na pewno, że dobrze ocenił swego przeciwnika. To był zabójca.

Biegli teraz wokół, krzyczeli i strzelali na oślep, usiłując schować się za załomami hałdy. Fergus biegł za nimi, mając tylko jedno w głowie – musi wydostać stąd bezpiecznie vickersa. Pot lał mu się między łopatkami i spod czapki, zalewając oczy i oślepiając go. Kiedy wreszcie wtoczył się pod osłonę głębokiej rozpadliny i usiadł płasko na ziemi, tulił karabin w ramionach niby niemowlę.

Jeden po drugim jego ludzie docierali do jamy i z wdzięcznością kładli się za tą osłoną.

– Ilu ich tam jest? – wysapał jeden z nich.

– Nie wiem – odpowiedział drugi. – Musi tam być przynajmniej tuzin ZARP-ów.

– Trafili Alfiego.

– I Henriego, widziałem, było ich pięciu.

Fergus wreszcie odzyskał głos.

– On jest tam sam – ale jest dobry.

– Stuknęliśmy Mądrego Janniego?

– Tak – powiedział Fergus stanowczo. – Dostaliśmy go. Był w pierwszym samochodzie. Widziałem, jak się smażył. Możemy wracać do domu.

Krótko przed jedenastą jadący samotnie rolls-royce został zatrzymany przed bramą dowództwa policji na Marshall Square przez nadgorliwych strażników. Kiedy jednak rozpoznali pasażerów, pół tuzina policjantów i oficerów wojskowych wyższych rang zbiegło po schodach, by ich przywitać.

Premier natychmiast udał się do dużego salonu gościnnego na pierwszym piętrze, w którym urządzono sztab administracji wojskowej. Zyskała ona dodatkowe uprawnienia i zaufanie na mocy aktu rządu wprowadzającego stan wojenny. Na twarzach zebranych oficerów malowała się nie skrywana ulga. Sytuacja była nader skomplikowana, ale teraz, kiedy dotarł tu wreszcie Smuts, spodziewali się zaprowadzenia porządku. Oczekiwali wskazówek i liczyli na jego zdrowy rozsądek przy wychodzeniu z tego chaosu.

Wysłuchał ich raportów milcząc, gładząc lekko swą kozią bródkę. Wyraz jego twarzy poważniał i tężał, kiedy wyłożyli mu pełen obraz sytuacji. Milczał jeszcze dłuższy czas. Podumał nad mapą i spojrzął na generała Van Deventera, starego druha dwóch wojen, człowieka, który wraz ze swym historycznym oddziałem wkroczył do Kapsztadu w 1901 roku

i który walczył u jego boku przeciw przebiegłemu, staremu Niemcowi Lettowowi von Vorbeckowi w niemieckiej wschodniej Afryce.

– Jacobus – powiedział – czy to ty zarządzasz wschodnim rejonem?

Van Deventer wyszeptał pytania do Smutsa. Jego struny głosowe uszkodził brytyjski pocisk w 1901 roku.

– Sean, ty masz zachód. Chcę mieć wzgórze Briston pod kontrolą jutro do południa – i dodał po namyśle: – Czy twoi chłopcy dotarli już do Natalu?

– Mam taką nadzieję – powiedział Sean Courteney.

– Ja też – uśmiechnął się Smuts kwaśno. – Będiesz się miał z pyszna, jeśli przyjdzie ci zdobywać wzgórze w pojedynkę. – Uśmiech zgasł mu na twarzy. – Chcę, byście przedstawili mi plany najpóźniej jutro przed śniadaniem, panowie. Nie muszę chyba przypominać, że liczy się tu pośpiech. Musimy usunąć ten wrzód, i ranę opatrzyć naprawdę szybko.

Wczesną jesienią słońce na płaskowyżu miało przedziwny blask. Przeświecało przez atmosferę rozrzedzoną na tej wysokości z nieba o najczystszym, wesołym lazurze.

Pogoda była wymarzona do urządzenia wypadu za miasto lub na spaceru zakochanych par, ale 14 marca 1922 roku nie było tu spokojnie. W Johannesburgu i otaczających go miastach wyczuwało się atmosferę milczącego, groźnego napięcia.

W dwa dni Van Deventer przebił się przez wschodni rejon, zaskakując strajkujących taktyką swych oddziałów i rozgramiając ich w Benoni i Dunswart, odbijając Brakpan wraz z kopalnią. Ponadto kolumna brytyjska pod jego dowództwem przejechała przez kopalnie w Madder i Gedould, by dołączyć do Van Deventera w Springs. W dwa dni stłumili rewoltę na wschodnim wybrzeżu. Tysiące strajkujących wyszło pod białymi flagami. Czekał ich sąd i więzienie.

Samym sercem zajść był jednak Fordsburg, a przełęcz Briston otaczająca to miasto kluczem do tej rewolty.

Wreszcie Sean Courteney zdobył przełęcz po dwóch dniach ciężkiej, zażartej walki. Artyleria przy wsparciu z powietrza ostrzelała okrągłe rozrzucone głazy, szkoły, cegielnie, budynki użyteczności publicznej i mieszkalne, cmentarze – wszystkie umocnione punkty wroga. Nocą walczący wynosili ciała zabitych po obu stronach, grzebiąc je na cmentarzu w Milner Park, każdego przy jego towarzyszach walki, strajkujący przy strajkujących, żołnierze przy żołnierzach.

Teraz Sean Courteney był gotów uderzyć w samo serce. U ich stóp lśniły w jaskrawym słońcu blaszane dachy Fordsburga.

– Oto nadlatuje – powiedział Mark Anders i wszyscy skierowali lornetki, wypatrując małego, czarnego punkciku na bezmiarze nieba.

Samolot DH 9 sunął równo, zbliżał się wolno z północy, obniżając wysokość, by przelecieć nad samymi dachami Fordsburga.

Przez szkła lornetki Mark widział głowę i ramiona nawigatora w wysuniętym cockpicie.

Uniósł właśnie worek ulotek i postawił na krawędzi. Przeciął sznur i przechylił go. Rozsypały się białym obłokiem za sunącą wolno maszyną i wpadły w tunel powietrza za nią. Wirowały i rozwiewały się niczym stado białych gołębi.

Podmuch wiatru zaniósł parę kartek nad przełęcz. Mark złapał jedną i odczytał toporne litery widniejące na tanim, grubym papierze.

STAN WOJENNY – UWAGA

Kobiety, dzieci i wszyscy lojalnie nastawieni wobec rządu winni opuścić do godziny 11 jutro rano tereny Fordsburga i okolic, na których będą odbywać się działania wojskowe. Nie będzie wyjątków od kary doraźnej lub aresztu dla łamiących prawo.

Sean Courteney
Oficer dowodzący

Składnia była niezbyt fortunna. Mark zastanawiał się, kto układał treść ulotki, zwijając ją w kulkę i wyrzucając w kępę trawy.

– A jeśli pikiety nie wpuszczą ich, sir? – zapytał cicho.

– Nie płacę ci za to, byś był moim sumieniem, młody człowieku – mruknął Sean Courteney.

Stali milcząc przez dłuższą chwilę. Potem Sean westchnął i wyciągnął cygaro z kieszeni na piersi. Zaoferował je Markowi w geście pojednania.

– Co mam zrobić, Mark? Z czym mam wysłać swoich ludzi na te ulice? Nie mamy wszak wsparcia artyleryjskiego! – Odgryzł czubek cygara i wypluł go w trawę. – Czyje życie jest ważniejsze – strajkujących i ich rodzin czy ludzi, którzy ufają mi i wyświadczać honor, obdarzając swą lojalnością?

– Łatwiej jest walczyć z tymi, których się nienawidzi – powiedział Mark cicho.

Sean zerknął na niego ostro.

– Gdzie ty to wyczytałeś? – zapytał, a Mark pokręcił tylko głową. – Przynajmniej nie są w to zaangażowani czarni – rzekł.

Mark osobiście dowodził akcją wysyłania przez linie wroga czarnych policjantów w przebraniu, by ostrzegli członków swych plemion o konieczności ewakuowania się z tego terenu.

– Biedaczyska – zgodził się Sean. – Zastanawiam się, co też oni sobie myślą o tym szaleństwie białych ludzi?

Mark podszedł do skraju skałki, nie zważając na niebezpieczeństwo wystawienia się na ogień z domów stojących poniżej, i popatrzył uważnie przez lornetkę na miasto.

Nagle wykrzyknął z ulgą.

– Wychodzą!

Daleko od miejsca, w którym stali, maleńkie postacie wypelzły z tunelu kolei podziemnej

Vrededorp. Kobiety niosły niemowlęta i wlokły za ręce opierające się dzieci. Niektóre ugięły się pod ciężarem dobytku osobistego, inne wzięły ze sobą zwierzęta domowe, psy na smyczach i kanarki w klatkach. Pierwsze małe grupki połączyły się w pochód. Pchały obciążone rowery i ręczne wózki lub po prostu dźwigały, ile tylko mogły unieść.

– Wyślij pluton do eskortowania ich i do pomocy – powiedział Sean cicho. Zamyślił się głęboko, opierając brodę na piersi. – Cieszę się, że kobiety wyszły z tego – wymruczał – ale też żałuję, bo wiem, co to oznacza.

– Mężczyźni zamierzają podjąć walkę – powiedział Mark.

– Tak – potwierdził Sean. – Będą walczyć. Miałem nadzieję, że wszyscy mamy dość tej krwawej jatki, ale oni chcą gorzkiego zakończenia dla tej tragicznej historii. – Zmiał niedopałek cygara pod obcasem. – W porządku, Mark. Zejdź na dół i powiedz Molyneux, że stało się. O godzinie 11.00 stawiamy ogień zaporowy. Powodzenia, synu.

Mark zasalutował. Sean Courteney pokuśtykał w dół, by przyłączyć się do generała Smutsa i jego świty, którzy właśnie nadeszli, chcąc obserwować końcowy etap bitwy.

Pierwsze szrapnele przecięły niebo i wybuchły jasnymi obłoczkami dymu nad dachami Fordsburga. Rozerwały niebo i ciszę oczekiwania z przerażającą siłą. Zostały wystrzelone przez kawaleryjską baterię artylerii ustawioną na wzgórzu.

Prawie natychmiast włączyły się pozostałe baterie na Sauer Street. Przez dwadzieścia minut hałas był ogłuszający. Przejrzyste powietrze zamgliło się wzbijającym się dymem i kurzem. Mark stał w pospiesznie wykopanym okopie i wyglądał przez jego brzeg. Było coś przeraźliwie swojskiego w tej chwili. Przeżył to już co najmniej pięćdziesiąt razy, a mimo to czuł, że nerwy ma naciągnięte do granic wytrzymałości. Ciężki kamień strachu w trzewiach przyprawiał go o mdłości.

Miał ochotę dać nura w głąb okopu, schować głowę i osłonić przed ogłuszającym metalicznym hukiem.

Został tam, gdzie stał, lecz zachowanie chłodnego, opanowanego wyrazu twarzy wymagało niemal nadludzkiego wysiłku. Popatrzył na żołnierzy z kompanii „A” tkwiących w okopie po jego bokach i chcąc oderwać się od tego widoku, zaczął obmyślać trasę przemarszu przedmieściami.

Spodziewał się barykad ulicznych na każdym rogu i okupowania każdego domu. Ogień zaporowy nie dosięgnie strajkujących będących pod osłoną, tu trzeba będzie użyć szrapneli. Sean Courteney musiał mieć na uwadze bezpieczeństwo ponad setki personelu policyjnego i wojskowego, który został schwytyany przez strajkujących i był przetrzymywany gdzieś w mieście.

– Żadnych silnych materiałów wybuchowych – brzmiał rozkaz i Mark wiedział, że jego kompania zostanie rozsiekana na kawałki, jak tylko pokaże się na otwartym terenie.

Miał zamiar poprowadzić ich przez boczne uliczki i podwórza aż do ostatecznego celu: siedziby związków na skrzyżowaniu ulic Commercial i Central.

Znów sprawdził czas. Zostały już tylko cztery minuty.

– W porządku, sierżancie – powiedział cicho.

Rozkaz został przekazany wzdłuż okopu i mężczyźni podnieśli się w kucki za krawędzią wykopu.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – powiedział sierżant uprzejmie i Mark zerknął na niego. Zdawał się naprawdę dobrze bawić tą chwilą. Mark poczuł, że nienawidzi go za to.

– Idziemy – powiedział sucho, kiedy minutowa wskazówka zegarka dotknęła czarnej, cienkiej jak włos przedziałki.

Sierżant gwizdnął ostro.

Mark położył dłoń na krawędzi okopu, podciągnął się i przeskoczył niezdarnie przez nią. Kiedy zaczął biec, z domów odezwał się ostry trzask karabinów. Nagle stwierdził, że już się nie boi.

Był trochę więcej niż młodzieńcem. Gładkie, różowe policzki i górną wargę przyprószył mu złoty puszek. Popchnęli go, kiedy schodził po ostatnich paru stopniach wiodących do piwnicy, i upadł.

– Jesteś śmierzącym tchórzem – zawołał ten, który go przy prowadził. Był to brodaty mężczyzna ze strzelbą przewieszoną przez ramię i czerwoną opaską na rękawie. – Złapałem go, jak starał się wymknąć przez tunel kolei podziemnej.

Chłopak niezdarnie podniósł się na nogi. Obtarł kolana przy upadku i kiedy zobaczył nad sobą twarz dużo wyższego od siebie Harry'ego Fishera, zdawało się, że jest bliski płaczu. Fisher trzymał w prawej dłoni długi czarny sjambok, okutany, zwężający się ku końcowi bicz z wyprawionej skóry hipopotama.

– Zdrajca! – wrzasnął. Po ostatnich dwóch dniach nieustannych walk w jego wzroku odbijało się nadmierne przemęczenie i ogromne napięcie. Oczy nabrały dzikiego fanatycznego blasku, ruchy stały się gwałtowne i egzaltowane, a głos ochrypli i głośny. – A więc i tchórz! – krzyczał Fisher. Dużą owłosioną dłonią chwycił chłopca za przód koszuli i rozdarł ją aż po pas.

– Nie miałem karabinu – zaprotestował ten słabo.

– Później starczy karabinów dla wszystkich, kiedy polegnie pierwszych paru towarzyszy.

Smgnięcie sjamboka rozcięło białą skórę pleców chłopca niczym ostrze brzytwy. Krew zajaśniała czerwoną smugą, kiedy padał na kolana. Harry Fisher stanął nad nim i tak długo ciął biczem, aż ucichły krzyki i jęki. Jedynym dźwiękiem, który dał się słyszeć w piwnicy, były świsty i plaśnięcia bicza. W końcu wyprostował się spocony i zadyszany.

– Zabierzcie go na zewnątrz. Niech towarzysze zobaczą, co przytrafia się zdrajcom i tchórzom.

Bojówkarze wzięli chłopca pod ręce i powlekli w górę po schodach. Skóra na plecach zwisała mu wąskimi paskami, krew spływała na pasek spodni, przemaczając gabardynowe

sukno.

Mark niczym kot przeskoczył przez murek i znalazł się na maleńkim wybrukowanym podwórku. Wzdłuż ścian stały wysoko ustawione jedna na drugiej skrzynki butelek po piwie. Spotęgowany upałem południa unosił się odurzający smród sfermentowanego alkoholu.

Dotarł do skupu butelek na Mint Road w niecałą godzinę. Trasa, którą poprowadził swych ludzi, przez tylne podwórza i po dachach, okazała się nawet lepsza, niż śmiał przypuszczać. Ominęli barykady uliczne i dwa razy zaszli od tyłu grupki strajkujących, okopanych, jak sami uważali, na świetnych pozycjach, zaskakując ich i rozgramiając w parę chwil.

Mark przebiegł przez podwórze. Kopniakiem wyważył tylne drzwi wiodące do magazynu butelek. Rozpłaszczył się przy ścianie z dala od rozwartego wejścia i ewentualnego ognia karabinu z wnętrza budynku.

Sierżant i dwunastu ludzi posuwało się za nim, rozpraszając się, by osłaniać drzwi i zakratowane okna. Krzyknął do Marka, a ten skoczył w otwarte drzwi, trzymając karabin przy pasie. Przymrużył oczy, by przystosować oślepiiony słońcem wzrok do mrocznego wnętrza.

Magazyn z zamkniętymi od wewnątrz okiennicami był opustoszały. Półki zastawione butelkami pozostały nie tknięte przez grabieżców, jak żywe świadectwo zdyscyplinowania strajkujących. Rzędy butelek ozdobionych kolorowymi etykietkami stały w schludnym szyku.

Ostatnim razem był tu, by kupić parę butelek porteru dla Heleny. Odrzucił to wspomnienie i podszedł do zaciemnionego okna, w chwili gdy sierżant i reszta żołnierzy wpadli do środka przez tylne drzwi. Okiennice zostały podziurawione przez ogień zabłąkanych szrapneli i karabinów i Mark wyjrzał ostrożnie przez jeden z otworów. Budynek związków stał po drugiej stronie ulicy, niecałe pięćdziesiąt metrów od nich. Był otoczony gęstwiną okopów i zapór wzniesionych przez strajkujących na terenie całego placu.

Nawet szalety publiczne przemieniono w bunkry. Uwaga obrońców skupiała się teraz na ulicach leżących po lewej stronie placu. Skupili się za narożnikami i z ukrycia wściekle ostrzeliwali przemyskające postacie ubranych w kilty [krótka spódniczka, tradycyjny ubiór Szkotów.] transwalczyków szkockich, zbliżających się do placu od strony dworca.

Strajkujący mieli przedziwne okrycia. Od zatluszczonych kombinezonów roboczych i paramilitarnych bluz w kolorze safari, czapek, filcowych kapeluszy i kaszkietów, po niedzielne garnitury, kamizelki i krawaty. Wszyscy jednak byli przepasani wstęgami amunicji. Ich plecy stanowiły teraz wprost wymarzony cel dla Marka.

Bezpośredni ogień z okien magazynu poczyniłby wśród nich straszne spustoszenie i sierżant już ustawiał swych ludzi przy oknach, chrząkając groźnie, podniecony oczekiwaniem na tę chwilę.

Mógłbym ustawić tu karabin maszynowy, gdybym tylko potrafił ich nienawidzić –

pomyślał Mark. Coś ścisnęło go w środku, gdy wyobraził sobie vickersa strzelającego w tę odsłoniętą i nie spodziewającą się niczego grupę.

Kiedy tak patrzył, wpierw jeden, a za nim reszta strajkujących, stojących przy barykadzie, kucnęła bezradnie, chowając się przed szalejącym ogniem, którym raczyli ich teraz Highlanderzy. *[elitarne jednostki armii brytyjskiej złożone z górali szkockich. Odpowiednik naszych Strzelców Podhalańskich.]*

– Nałożyć bagnety – zawołał Mark do swych ludzi.

Stal została wydobyta z metalicznym chrzęstem z pochew. Zabłąkana kula rozłupała okiennicę tuż nad głową Marka i roztrzaskała butelkę whisky na półce za nim. Zapach alkoholu był ostry i nieprzyjemny. Mark zawołał znów:

– Na mój rozkaz, rozbić okna i drzwi. Damy im zakosztować stali!

Okiennice rozwarły się raptem, drzwi otworzyły gwałtownie i Mark poprowadził swych kompanów wyjąłym szeregiem wzdłuż ulicy. Nim dotarli do linii pierwszych worków z piaskiem, strajkujący zaczęli wyskakiwać z okopów z uniesionymi do góry rękami.

Po drugiej stronie placu oddział szkockich górali wypadł tłumnie na ulice. Krzycząc i wiwatując, biegli ku barykadom. Mark poczuł uczucie ulgi, że zdecydował się podjąć ryzyko ataku na bagnety, zamiast rozkazać żołnierzom strzelać do odsłoniętych strajkujących.

Kiedy ludzie wybiegli na plac, wytrącając broń z rąk robotników i zgniatając ich w zbite, osowiałe grupy, Mark już wbiegał po schodach do budynku siedziby związków. Zatrzymał się na górnym schodku i po ostrzeżeniu: „Odejść od drzwi” wpackował trzy kule w mosiężny zamek.

Harry Fisher oparł się o ścianę i wyjrzał przez osłonięte workami z piaskiem okno na kłębiący się i wrzeszczący tłum na placu. Szaleństwo, rozpacz wprost nie do wytrzymania wstrząsnęły jego ogromną sylwetką. Oddychał ciężko jak ranny byk, który czeka na ostatnie pchnięcie matadora.

Widział swoich ludzi rzucających broń. Widział ich stłoczonych jak bydło, z rękami uniesionymi wysoko nad głowami, potykających się ze zmęczenia, o twarzach poszarzałych i zapadłych w poczuciu poniesionej porażki.

Zajęczał. Był to głos bezgranicznej rozpacz. Jego barczyste ramiona zgarbiły się. Jakby skurczył się w sobie. Zwiesił nisko dużą, potarganą głowę. Jaskrawy obraz rozmazał mu się nagle w oczach, kiedy zobaczył młodego porucznika wbiegającego na schody i usłyszał strzały z karabinu rozwalające zamek.

Powlókł się do swego biurka i opadł na krzesło stojące na wprost zamkniętych drzwi. Jego dłoń drżała, kiedy wyjmował rewolwer zza paska spodni i odciągał bezpiecznik. Ostrożnie położył broń na biurku przed sobą. Przechylił głowę, wsłuchując się w wykrzykiwane rozkazy i bezładny tupot nóg na placu poniżej. Wówczas usłyszał kroki ciężkich butów na drewnianych schodach tuż pod drzwiami. Chwycił rewolwer z biurka,

opierając oba łokcie na blacie dla lepszej pewności ręki.

Mark wpadł do budynku głównymi drzwiami i zamarł. Podłoga była zasłana setkami leżących ciał.

Kiedy stał tak, gapiąc się z niedowierzaniem, kapitan szkockich górali wraz z paroma ludźmi wpadli do holu. Oni też zatrzymali się obok Marka.

– Dobry Boże – wyszeptał kapitan.

Nagle Mark zorientował się, że wszystkie ciała ubrane były w mundury policyjne khaki, myśliwską zielen.

Wymordowali jeńców – pomyślał Mark. To chyba jakiś koszmar. Wtem jedna głowa uniosła się, a za nią następna.

– Dzięki ci, Boże – odetchnął kapitan stojący u boku Marka, gdy więźniowie zaczęli gramolić się na nogi. Ich twarze wprost jaśniały uczuciem niewypowiedzianej ulgi. Głosy zlewały się w harmider nerwowej wesołości. Rzucili się ku drzwiom. Jedni chcieli uściskać swych wybawców, inni pragnęli tylko wydostać się na słoneczny plac.

Mark minął wysokiego sierżanta policji w pomiętym mundurze i z trzydniowym zarostem. Zanurkował pod jego ramieniem i wbiegł po schodach.

Przeskakiwał po trzy stopnie naraz i kiedy już był u szczytu, zatrzymał się czujnie. Drzwi wiodące do pięciu biur mieszczących się na tym piętrze stały otworem. Szóste były zamknięte. Poruszał się szybko wzdłuż korytarza, sprawdzając każdy pokój po kolei.

Szafy i biurka były wypatroszone, podłogi zasłane po kostki papierami, krzesła porzucane, szuflady wyciągnięte z biur i rzucone na zwały papierysk.

W szóstym, zamkniętym pokoju, na końcu korytarza mieściło się biuro przewodniczącego lokalnego oddziału związku. Mark wiedział, że było to biuro Fergusa MacDonalda. Człowieka, którego poszukiwał, wiedziony resztkami lojalności, przez pamięć wspólnego wojowania i przyjaźni. Musiał go teraz znaleźć, by zapewnić pomoc i ochronę w ramach swych możliwości.

Mark podszedł do drzwi, po drodze odbezpieczając karabin. Sięgnął do klamki, lecz raz jeszcze ostrzegł go szósty zmysł. Przez chwilę stał z dłonią uniesioną nad klamką. Potem cicho odszedł przed drzwi i sięgając z boku, potrząsnął lekko gałką i przekręcił ją.

Drzwi były otwarte. Zamek szczęknął i Mark pchnął drzwi. Nic się nie wydarzyło. Odetchnął z ulgą i wszedł do pokoju.

Za biurkiem na wprost drzwi siedział wpatrując się w niego Harry Fisher. Ogromna, przerażająca postać górowała nad tym sprzętem. Dużą, potarganą głowę trzymał wciśniętą w zgarbione masywne bary, a w obu dłoniach miał rewolwer wycelowany wprost w pierś Marka.

Mark wiedział, że najmniejszy ruch oznaczałby śmierć. Widział zaokrąglone, ołowiane czubki nabożów w komorach bębena i odciągnięty kurek. Zamarł w bezruchu.

– To nie jest klęska – przemówił zduszonym, ochryplym głosem Harry, tak zmienionym, że Mark prawie go nie poznał. – To my jesteście kłami smoka. Gdziekolwiek pochowasz któregoś z nas, tysiące wojowników powstanie.

– To już koniec, Harry – powiedział Mark ostrożnie, próbując go zagadnąć. Wiedział, że nie zdąży unieść karabinu i wystrzelić szybciej, niż Harry naciśnie na spust.

– Nie – Harry potrząsnął skołtunionymi kędziorami. – To dopiero początek.

Mark nie domyślał się, co zamierza zrobić, póki nie obrócił broni przeciwko sobie, wsadzając lufę w usta.

Wystrzał był przytłumiony. Głowa Harry'ego Fishera straciła nagle kształt niczym gumowa piłka uderzona kijem baseballowym. Tył jego czaszki eksplodował; rzadka czerwono–żółta masa rozprysła się po ścianie.

Uderzenie kuli rzuciło ciałem do tyłu, a krzesło przechyliło się i upadło.

Zapach spalonego prochu wisiał w powietrzu na zwiewnych smugach dymu. Podkute buty Harry'ego kopały i wystukiwały nierówny taniec na gołej drewnianej podłodze.

– Gdzie jest Fergus MacDonald? – Mark zadawał to pytanie setki razy, przesłuchując uwięzionych bojówkarzy. Patrzyli na niego źli, zgorzkniali, niektórzy nawet zuchwali i agresywni, ale żaden nie udzielił odpowiedzi.

Mark wziął trzech ludzi i pod pretekstem dokonania zwiadu zawędrował aż do domku na Lovers Walk.

Drzwi frontowe były otwarte, a łóżka w pokoju od frontu nie posłane. Mark poczuł dziwne uczucie obrzydzenia zrównoważone nieco falą pożądania narastającą w lędźwiach, kiedy zobaczył przewieszoną przez krzesło krepdeszynową podomkę Heleny i parę zmiętych majtek rzuconych pod stół. Zawrócił szybko i przeszukał resztę domku. Brudne naczynia w kuchni zdążyły porosnąć warstwą pleśni. Wszędzie panował okropny zaduch. Od paru dni nie było tu nikogo.

Na podłodze przy piecyku węglowym leżał skrawek papieru. Mark podniósł go i zobaczył znajomy symbol sierpa i młota. Zmiał go i rzucił pod ścianę. Na schodach czekali na niego jego ludzie.

Strajkujący zaminowali linie kolejowe na stacji Braamfontein i krzyżówce przy Church Street, uniemożliwiając regimentowi dotarcie do Fordsburga. Większość dróg była nieprzejezdna, zatarasowana gruzem i pozostałościami po ostatniej bitwie. Największe niebezpieczeństwo tkwiło w możliwości ukrycia się strajkujących w domach stojących wzdłuż wjazdu do Johannesburga.

Sean Courteney zdecydował się na wprowadzenie swych ludzi poprzez wzgórze na otwarty teren posiadłości Crown Deep.

Wymaszerowali z Fordsburga, nim zrobiło się na tyle jasno, by stanowili łatwy cel. To była długa i niespokojna noc, nie spali wiele. Zmęczenie sprawiło, że plecaki ciążyły im

niczym ołów, a nogi poruszały się jak skute dybami. Na szczęście, mieli niecały kilometr do przejścia. Transport kołowy dołączył do nich na otwartym terenie w pobliżu głównej wieży wyciągu szybowego kopalni Crown.

Była to strzelista konstrukcja podobna do wieży Eiffla. Stalowe dźwigary, żebrowane dla wzmocnienia, wznosiły się na 30 metrów aż do ogromnych kół wyciągarki windy. Kiedy kopalnia działała pełną parą, koła te kręciły się nieustannie w tył i przód, opuszczając klatki z ludźmi i sprzętem setki metrów w głąb ziemi i wyciągając miliony ton złotośnej skały.

Teraz wielkie koła były martwe, nieruchome od ponad trzech miesięcy. Budynki wokół wieży stały wyludnione i ponure.

Transport składał się z ciężarówek i pojazdów firm handlowych zarekwirowanych na mocy przepisów prawa wojennego. Były tam ciężarówki żużlarki z cegielni, samochody z kopalni, a nawet piekarni, ale i tak było jasne, że nie starczy na nich miejsca dla sześciuset mężczyzn.

Kiedy Mark nadszedł, maszerując na flance kompanii „A”, ujrzał grupkę oficerów stojących na czele konwoju i dyskutujących zażarcie. Mark rozpoznał charakterystyczną, brodatą postać generała Courteneya. Przewyższał wszystkich o głowę. Właśnie mówił coś podniesionym ze złości głosem.

– Chcę wyprowadzić stąd ludzi jeszcze przed południem. Wykonali kawał dobrej roboty i zasłużyli sobie na ciepłą strawę i suche miejsce...

W tym momencie zauważył Marka. Czoło aż zmarszczyło mu się z niezadowolenia. Przywołał go gestem dłoni i zaczął mówić, nim Mark zbliżył się do niego.

– Gdzie byłeś, do jasnej cholery?!

– Z kompanią...

– Wysłałem cię z wiadomością i czekałem, że zaraz wrócisz. Do krośset, dobrze wiesz, że nie chciałem, byś brał udział w tych walkach. Jesteś oficerem mojego sztabu, drogi panie!

Mark był zmęczony i podenerwowany. Wytracony z równowagi tym, co widział i przeżył tego dnia. Tym razem wybuch złości generała spotkał się z łatwo zauważalnym buntem Marka.

– Sir... – zaczął, ale Sean znów wrzasnął na niego.

– I nie zaczynaj tym tonem ze mną, młody człowieku!

Dziki, nie do poskromienia szał ogarnął Marka. Nie zważając na konsekwencje, nachylił się ku przodowi poblady ze złości i otworzył usta...

Regiment ustawił się już pośrodku drogi. Sześciuset żołnierzy uformowało się w trzy szeregi, tworząc symetryczne, schludne kwadraty. Podoficerowie wykrzykując rozkazy ustawiali poszczególne sekcje jedna za drugą i zatrzymywali je na tych pozycjach. Z wierzchołka stalowej wieży wyścigowej, podświetleni ostrym światłem poranka prezentowali się wprost znakomicie.

– Gotowa, serdeńko? – wyszeptał Fergus MacDonald.

Helena przytaknęła milcząco. Dawno już straciła poczucie rzeczywistości, zastąpiła je działaniem niczym w sennym transie. Ramiona miała pościerane do krwi od pasów ciężkich skrzyń z amunicją. Nie czuła jednak bólu, tylko tępe odrętwienie całego ciała. Jej dłonie były spuchnięte i niezdarne, paznokcie połamane, z ciemnymi zakolami brudu. Szorstki brezent zdawał się jedwabisty w dotyku dla startych opuszków, a mosiężne łuski tak chłodne, że czuła pokusę przytknięcia ich do splekanych, suchych warg.

Dlaczego Fergus tak gapi się na mnie? – pomyślała z krótkotrwałym ukłuciem irytacji, która wkrótce znów przeszła w senny trans.

– Możesz już zejść na dół – powiedział Fergus cicho. – Nie musisz tu zostawać.

Wyglądał jak starzec, o twarzy zmarszczonej i zapadniętej. Zarost na policzkach i brodzie srebrzył się jak diamentowy pył, ale skóra była brudna i spocona. Tylko oczy pod daszkiem płóciennej czapki płonęły fanatycznym blaskiem.

Helena pokręciła głową. Chciała, by zamilkł. Te słowa przeszkadzały jej i szybko odwróciła od niego głowę.

Poniżej mężczyźni stali ramię przy ramieniu w idealnym szyku. Słońce rzucało na czerwony piach drogi długie cienie.

Fergus gapił się na nią przez dłuższą chwilę. Była bladą, zmarnowaną nieznajomą. Kości policzkowe napinały ostro ściągnięte rysy gładkiej twarzy. Głowę owinęła na sposób cygański chustą, chowając pod nią krótkie włosy.

– W porządku – powiedział wreszcie. Popukał parę razy w kolbę vickersa i skierował go lekko w lewą stronę.

Na czele kolumny stała mała grupka oficerów. Jeden z nich był potężnym mężczyzną o czarnej brodzie. Słońce odbijało się w jego naramiennikach. Fergus opuścił głowę i spojrział przez celownik vickersa.

Przy tamtym stał młodszy oficer, dużo szczuplejszy. Fergus zamrugał z niedowierzaniem. Coś zdawało się odezwać w jego pamięci.

Zaczeplił palce o automatyczny bezpiecznik unosząc go, uchwycił karabin i położył kciuki na uchwytach spustowych.

Zamrugał znów. Twarz młodego oficera budziła jakieś wspomnienia. Zdawały się osłabiać i tłumić jego determinację. Otrząsnął się gwałtownie i nacisnął spust.

Broń zadrżała na trójnogu, łapczywie wsysając długi pas z amunicją. Drobne, białe dłonie Heleny nakierowywały go uważnie. Puste łuski wyskakiwały z karabinu, dzwoniąc o stalową podstawę.

Hałas był ogłuszający. Zdawał się przepelniać głowę Heleny i wciskał jej oczy niczym trzepoczące skrzydła uwięzionego ptaka.

Nawet najbardziej wytrawny strzelec powinien wystrzegać się przenoszenia ognia nad celem. Właściwy kąt celowania został wypaczony przez mylące, żółtawe światło poranka,

powodując, że Fergus chybił. Pierwsza seria poszła zbyt wysoko, dlatego że celował z wysokości ramion zamiast z wysokości brzucha, co pozwala prowadzić śmiertelnie celny ogień.

Pierwsze pociski uderzyły, nim Mark usłyszał sam wystrzał. Jeden z nich trafił Seana Courteneya w wyższe partie potężnego ciała. Uderzenie rzuciło go do przodu, wprost na Marka, i obaj przewrócili się, padając niezdarnie na drogę.

Fergus uderzył w zamek od góry, obniżając na trójnogu cały karabin o ułamek kąta, aby móc celować teraz z linii brzucha. Przejechał przeciągłą serią po szeregu stojących żołnierzy. Pociski vickersa przecięły ich tak, że stali jeszcze chwilę przerażeni i nie dowierzający.

Impet rzucił nimi przewracając w sterty. Ranni razem z martwymi. Ich krzyki rozbrzmiewały wysoko i przenikliwie w grzmiącym huraganie ognia.

Sean zwłóknął się z Marka. Twarz miał wykrzywioną z bólu, ale i złości. Usiłował podnieść się na kolana. Jedno z jego ramion zwiślało bezwładnie.

Mark wyszarpnął się spod niego, patrząc w kierunku, z którego dochodziły strzały teraz omiatające drogę z tryumfalnym rykiem. Mimo zdenerwowania i rozpaczony zwrócił uwagę, że strzelec obrał świetną pozycję, więc bardzo trudno będzie go podejść.

Kiedy spojrział wzdłuż drogi i zobaczył krwawe spustoszenie, ogarnęła go furia. Szyki zostały rozbite. Żołnierze biegali wokół, szukając pozornie bezpiecznego schronienia za pojazdami i w rowach. Mimo to droga pozostawała zatłoczona.

Leżeli jeden na drugim, stertami. Czołgali się jęcząc i zawodząc lub skręcali się w kurzu drogi, przemienianym przez upływającą z ran krew w brunatne błoto. Karabin zawahał się i zawrócił, kierując serię pocisków w leżących powodując rzeź. Szatkował powierzchnię drogi, wzbijając fontanny kurzu i odprysków żużlu. Przebiegał wściekle po rannych, powracając wciąż i wciąż do miejsca, w którym leżeli.

Mark kucnął skulony i wsunął ramię pod pierś generała. Mężczyzna był niewiarygodnie wprost ciężki, ale Mark znalazł w sobie siłę, o którą się nawet nie podejrzewał. Wciąż przynaglał go rwany, grzmiący ryk vickersa. Sean Courteney podźwignął się niczym byk, który ugrzązł w ruchomych piaskach, i Mark podniósł go na nogi.

Biorąc na siebie połowę jego ciężaru, Mark starał się trzymać prosto, by powstrzymać go przed ponownym upadkiem. Zataczali się jak pijani. Sean krwawił obficie i oddychał ciężko przez usta. Mark zmuszał go do niezdarnego, pochylonego biegu.

Karabin pluł pociskami obok nich. Trafił jakiegoś młodego porucznika czołgającego się do rowu i wlokącego za sobą bezwładne nogi. Mężczyzna upadł twarzą do ziemi i znieruchomiał.

Dotarli do kanału ściekowego i sturlali się na jego dno. Był głęboki na niecałe pół metra, nie dość głęboki, by dać generałowi pełną osłonę, nawet gdy leżał płasko na brzuchu. Vickers nie zaprzestawał tropienia ich.

Po pierwszej długiej serii strzelał teraz krótkimi, wymierzonymi w konkretne cele

seriami, bardziej skutecznymi niż ogień ciągły. Chroniło to również broń przed przegrzaniem się, zacięciem i oszczędzało amunicję. Odnotowawszy to, Mark uznał, że strzelec musi być wytrawnym żołnierzem.

– Gdzie został pan trafiony? – zapytał, ale Sean tylko machnął ręką, zirytowany zwracając głowę ku stanowisku ogniowemu.

– Dopadniesz go, Mark? – warknął przyciskając palce do ramienia, z którego sączyła się ciemna i gęsta jak melasa krew.

– Nie z tej pozycji – odparł szybko Mark. – Obranie nowego celu zajmie mu tylko sekundy. Jest tam dobrze ukryty.

– Litościwy Boże. Moi biedni chłopcy.

– Wybudował sobie niezłe gniazdko – powiedział Mark badając żelazną konstrukcję. Platforma umieszczona poniżej kół wyciągowych wyłożona była ciężkimi, nierównymi balami dopasowanymi do stalowych ram. Strzelec wyciągnął je i obudował się czterema ścianami z drewna, grubymi na co najmniej sześćdziesiąt centymetrów. Mark zauważył światło przeświecające przez szczeliny w deskach pod łogowych. Usiłował wyobrazić sobie kształt i wymiary ufortyfikowanego gniazda.

– On może trzymać nas tu cały dzień – Sean patrzył na sterty ciał leżące na drodze. Obaj wiedzieli, że wielu wykrwawi się na śmierć do tego czasu. Nikt nie odważył się wyjść i przeciągnąć ich w bezpieczne miejsce.

– Karabin odezwał się znów, wyrывая bruzdę w ziemi nad ich głowami. Wtulili twarze w podłozę, przyciskając ciała do dna płytkiego rowu. Teren obniżał się stopniowo ku wieży i tylko pozycja równa z poziomem podłozą dawała względną osłonę. Ktoś będzie musiał podejść pod jego stanowisko albo zająć go od tyłu – powiedział cicho Mark, rozważając różne możliwości.

– Odsłonięty teren – warknął Sean.

Po drugiej stronie drogi, jakieś 25 metrów od nich, przebiegały w dół trawiastego zbocza aż do podstawy wieży tory kolejki wąskotorowej. Używano jej do wywozu odpadów do oddalonego o niecały kilometr kamieniołomu. Dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie leżeli, stało parę porzuconych od początku strajku wagoników. Były to małe, czterokołowe wywrotki podczepione jedna do drugiej. Każdy był wysoko załadowany niebieskawymi odłamkami skalnymi.

Nagle Mark zauważył, że wciąż ma przy sobie plecak i szybko strząsnął paski. Nieobecny, już planował atak, oceniając kąty i odległości. Podał Seanowi pakiet pierwszej pomocy.

– Niech pan skorzysta z tego.

Sean rozerwał pakiet i wyjął bawełniany opatrunek. Wsunął go w rozcięcie bluzy. Palce lepiły mu się od krwi.

Karabin P.14 Marka leżał na drodze, tam gdzie go porzucił, ale w kieszeniach parcianego

pasa miał aż cztery pudełka amunicji.

– Niech pan spróbuje mnie osłaniać, kiedy ruszę – powiedział. Obserwował wieżę w oczekiwaniu na kolejną serię ognia.

– Nie uda ci się tam dotrzeć – powiedział Sean. – Sprowadzimy tu ciężką broń i zestrzelimy tego sukinsyna.

– To potrwa do południa. Dla nich może już być za późno. – Spojrzał na rannych leżących na drodze. W tej samej chwili strumień jaskrawego ognia trysnął z wieży, mierząc w sam środek kolumny. Mark zerwał się do biegu, zatrzymując się tylko na chwilę, by schwycić karabin. Przebiegł drogę paroma długimi susami. Potykał się na nierównej ziemi leżącej już za drogą, ale odzyskiwał równowagę i biegł dalej.

Jedno z takich potknięć spowolniło go o ułamek sekundy, być może był to wąski margines między życiem a śmiercią. Wystarczyło to jednak strzelcowi na wieży. Zauważył go, zmienił ustawienie karabinu i wycelował. Stalowe wagoniki były już blisko, zaledwie o parę kroków od niego, ale wiedział, że nie zdoła dotrzeć do nich – zrozumiał to ostrzeżony błyskiem w mózgu. Opadł na trawę i przetoczył się w bok akurat w chwili, gdy ogień vickersa przeciął powietrze za nim z trzaskiem podobnym do smagnięcia bykowca.

Mark potoczył się dalej, bezwładnie jak kłoda, a karabin wyciął bruzdę w suchej ziemi tuż obok jego ramienia.

W końcu chłopak uderzył z takim impetem w koła wagoniku, że posiniaczył biodro. Ból wyrwał mu z gardła mimowolny okrzyk.

Pociski vickersa waliły dalej o stalowy korpus wywrotki, wyjąc rykoszetami, ale teraz Mark był już pod osłoną.

– Nic ci nie jest, Mark? – potężny głos generała niósł przez drogę.

– Niech mi pan da osłonę ogniową!

– Słyszeliście, chłopaki?! – krzyknął generał.

Jeden czy dwa karabiny odezwały się gdzieś spoza rowu i zza ciężarówek.

Mark podniósł się na kolana. Sprawdził karabin i przetarł okular, by upewnić się, że nie ucierpiał przy upadku i nie jest zakurzony.

Podczołgał się do stojących w szeregu wagoników i zwolnił zaczep przegubowy. Koło hamulcowe było nieruchome i potrzebował obu dłoni, by je odczepić. Hamulce skrzypnęły cicho. Spadek był tak niewielki w tym miejscu, że Mark był zmuszony napierać z całych sił ramieniem.

Namęczył się strasznie, nim stalowe kółka potoczyły się opornie do miejsca, gdzie prawo przyciągania zwyciężyło i wagoniki pomknęły w dół.

– Daj temu sukinsynowi popalić! – wrzasnął Sean Courteney widząc, co Mark zamierza zrobić. Ten uśmiechnął się półgębkiem, słysząc znajomy wybuch emocji. Parł dalej naprzód, zgięty w pół, schowany za załadowanym wagonikiem.

Przeraźliwie drący, łomocący huk odezwał się za sunącym pojazdem i Mark

instynktownie zanurkował niżej, przywierając do stalowej ścianki. Zdawał sobie sprawę, że wraz ze zbliżaniem się do wieży kąt celowania strzelca zmieni się – będzie on strzelał prawie pionowo w dół – i że wtedy przyczepa nie osłoni go, ale nie miał już wyboru. Nic nie było w stanie zatrzymać nabierającego stopniowo szybkości wagonika. Sunął w dół zbocza obciążony dziesięcioma tonami kamienia i przyspieszał coraz bardziej. Wkrótce nie będzie mógł nadążyć za nim, a już teraz musiał biec. Vickers odezwał się znów, pociski bębniły szaleńczy rytm o korpus wagonika.

Mark zgiął się w biegu i przerzucił pasek karabinu przez ramię. Kiedy zaczepił obie dłonie o brzeg wagonika, został natychmiast poderwany z nóg, tak że stopy zawisły mu w powietrzu, grożąc dostaniem się pod stalowe kółka. Podciągnął kolana pod brodę, zawisając całym ciężarem na ramionach i napinając aż do bólu mięśnie brzucha. Wagonik wjechał pod ośmiokątny cień wieży wyciągowej.

Nadal podciągnięty na ramionach, Mark odrzucił głowę w tył i spojrzał w górę. Wieża skróciła się z tej perspektywy i kuciała nad nim niby groźny stwór, odcinając się ostro od porannego nieba. Surowa stalowa konstrukcja obłożona drewnianymi balami wznosiła się piramidą ku niebu. Na samym jej szczycie Mark wypatrzył bladą, błyszczącą twarz strzelca i grubą, otoczoną chłodnicą lufę vickersa odchyloną pod maksymalnym kątem w dół.

Karabin rzygał ogniem. Pociski bębniły w stal nad jego głową niczym w gigantyczny bęben. Trafiały raz po raz w niebieskawe odłamki skalne, które wzbijały się fontanną okruchów tnących mu dłonie tak dotkliwie, że przymknął oczy i przylgnął bezradnie do stalowego boku.

Wagonik pędził już tak szybko, że znajdował się pod ostrzałem zaledwie przez parę sekund, strzelec nie nadążał za nim, kiedy mknął ku betonowej rampie. Gdy uderzył w bufory, Mark został siłą impetu wręcz zerwany z wagonika. Pasek karabinu pękł i broń poszybowała w powietrzu. Mark zrobił salto w powietrzu i uderzył bokiem w spadzistą betonową rampę, aż zadzwoniły mu zęby. Szorstki beton zdarł mu drelich z całego boku, ścierając skórę do żywego ciała. W końcu osunął się na stertę złożonych beczek na olej. W pierwszej kolejności pomyślał o przetoczeniu się na plecy i spojrzeniu w górę.

Leżał teraz dokładnie pod wieżą, osłonięty przed strzelcem jej stalowymi ramionami i platformą. Podniósł się na nogi, sprawdzając z obawą, czy nie poczuje bólu złamanych kości. Mimo że był zdrowo potłuczony i posiniaczony, mógł się poruszać i pokuśtykał do miejsca, gdzie leżała strzelba.

Pasek przerwał się i kolba była pęknięta. Kiedy wziął karabin do ręki, rozpadła się na dwie części. Szczerbinka celownika była utracona, a jej kikut sterczał szarymi krystalicznymi igiełkami. Z tej broni nie da się już celować. Musi podejść blisko, bardzo blisko.

Na stalowym zamku widniała głęboka rysa. Modlił się, próbując go otworzyć, ale zaciął się solidnie i mocował się z nim dłuższą chwilę bez efektu.

– No dobra – powiedział twardo. – Nie mam kolby, by oprzeć broń o ramię, nie mam

szczerbinki, by wycelować, a w komorze jest tylko jeden nabój – to może być interesujące.

Rozejrzył się szybko wokół siebie. Tuż pod stalową wieżą były dwa kwadratowe wejścia do głównego korytarza, wylane betonem i o stopniach chronionych stalową siatką. Jedna z wind stała na powierzchni z drzwiami otwartymi zapraszająco w oczekiwaniu na następną szychcę. Druga była na dolnym poziomie, jakieś trzydzieści metrów pod ziemią.

Trwały w tym bezruchu od paru miesięcy. Z boku znajdowała się jeszcze winda pomocnicza, służąca do szybkiego przewozu górników na powierzchnię, ale z braku zasilania i ona była teraz bezużyteczna.

Pozostała jedynie drabina awaryjna. Były to otwarte stalowe schodki wiodące spiralnie do środkowej platformy, chronione tylko przez niską poręcz z stalowej rurki.

Wysoko nad głową Marka vickers znów otworzył ogień i Mark usłyszał agonalne okrzyki wzdłuż drogi. To go zdopingowało i niezdarnie pokuśtykał ku schodom.

Brama ze stalowej siatki stała otworem, kłódka była rozbita i Mark już wiedział, którego snajper dostał się do swojego punktu strzeleckiego.

Dotarł do schodów i zaczął się wspinać po nich. Wchodził wyżej i wyżej po krętych stopniach. Po jego lewej stronie ziała otchłań szybu, czarna mogiła zagłębiająca się równo i czysto aż do jego trzewi na głębokość trzydziestu paru metrów.

Mark próbował nie myśleć o tym, wciągając swe posiniaczone, bolące ciało po poręczy. Broń, a właściwie to, co z niej zostało, niósł w prawym ręku. Co chwila wykręcał głowę do tyłu, by jak najszybciej wypatrzeć strzelca. Vickers znów plunął ogniem i Mark spojrział w dół. Był już na tyle wysoko, by widzieć całą drogę.

Jedna z ciężarówek paliła się, długi, smoczy ogień dymu i płomieni wznosił się ku niebu. Nieruchome ciała leżały na otwartym polu niczym zabawki porzucone przez śmierć.

Kiedy tak patrzył, ogień vickersa przeciął po nich, masakrując już i tak martwe ciała. Mark poczuł wzbierającą w nim zimną, niczym ostrze sztyletu, złość.

– Strzelaj dalej, serdeńko – wyskrzeczwał Fergus ochrypłym, obcym głosem. – Krótkimi seriami. Odlicz wolno do dwudziestu, a potem naciśnij rączkę spustu. Chcę, by myślał, że wciąż tu jestem. – Wydobył webleya zza paska i podczołgał się do szczytu stromych schodów.

– Nie zostawiaj mnie, Fergus.

– Wszystko będzie dobrze – próbował się uśmiechnąć, ale jego twarz pozostała poszarzała i zmięta. – Tylko nie przestawaj strzelać. Zejdę, by spotkać się z nim w połowie drogi. Nie będzie się tego spodziewał.

– Nie chcę umrzeć tu sama – westchnęła. – Zostań ze mną.

– Wróć tutaj, kochanie. Nie rozczulaj się nad sobą – powiedział i wślizgnął się w otwarte drzwi wiodące na schody.

Poczuła się jak dziecko śniące jeden z tych okropnych koszmarów. Osaczona i przybita

swoim przeznaczeniem miała ochotę krzyknąć. Dźwięk dotarł jej do ust, ale zamarł w niskim, bulgocącym jęku.

Pocisk karabinowy wbił się w drewnianą kłodę tuż obok. Teraz strzelano też dokładnie spod niej. Nie widziała ich, musieli się skryć w rowach i za nierównościami terenu.

Jej oczy łzawiły ze zmęczenia i rozpacz, ale znalazła jeszcze dość sił, by poczołgać się w kierunku karabinu. Ukucnęła za nim, jej dłonie były prawie za drobne, by objąć ręczki spustu. Opuściła lufę i wyostrzyła z wysiłkiem wzrok, podziwiając przez chwilę maleńkie jak zabaweczki figurki poruszające się w zasięgu jej oczu.

Karabin drgnął w jej rękach jak żywe stworzenie.

– Krótkimi seriami – wyszeptła do siebie, powtarzając słowa instrukcji Fergusa, i oderwała dłonie z uchwytu spustu. – Raz, dwa, trzy – zaczęła odliczać do następnej serii.

Mark zatrzymał się przy kolejnym wybuchu ognia i stał nieruchomo przez chwilę patrząc w górę. Był już w połowie drogi. Teraz widział wyraźnie podłogę platformy pomocniczej pod kołami wyciągowymi, na której ustawiony był vickers. Przez wąskie szczeliny w podłodze przeświecał ostry błękit nieba.

Obserwując platformę zauważył, że w jednej ze szczelin mignął ciemny kształt. Mimo iż trwało to tyle co mgnienie oka, zrozumiał, że jest to cień rzucany przez człowieka obsługującego karabin. Kucnął nad jedną ze szczelin w podłodze platformy, a jego poruszające się ciało zasłaniało częściowo padające światło.

Nabój, który trafiłby w tę szczelinę, okaleczyłby go i powalił z nóg. Kiedy jednak Mark spojrział na broń, którą trzymał w dłoni, wiedział, że musi podejść znacznie bliżej.

Zaczął biec w górę. Mimo że starał się przenosić ciężar na pięty, podkute buty hałasowały niemiłosiernie na stalowych schodach.

Fergus MacDonald usłyszał te kroki i stanął za jedną ze stalowych belek.

– Jest sam – wymamrotał – ale zbliża się bardzo szybko.

Opadł na kolano i zerknął przez szczeliny między schodkami, licząc na to, że zobaczy człowieka, na którego polował. Stopnie nachodziły na siebie jak ułożone w wachlarz karty do gry, a masywne podpory wieży tworzyły jednolitą płaszczyznę. Jedyńm sposobem, by zobaczyć cokolwiek, było przechylenie się przez poręcz i spojrzenie w dół ciemnej studni szybu. Świadomość, że ma trzysta metrów głębokości, zniechęcała go. Poza tym zdążył już wyrobić sobie obraz przeciwnika i ocenić go na tyle wysoko, że wiedział, iż wychylenie głowy ponad poręczą może zostać nagrodzone kulką między oczy.

Ustawił się w dogodnej pozycji, by mieć w zasięgu wzroku spiralę schodów pod sobą.

– Pozwolę mu wejść tu do mnie – zdecydował i oparł ramię o poręcz na wysokości brody. Położył webleya na zgięciu ramienia, by unieruchomić ciężką broń. Wiedział, że na odległość dziesięciu kroków bywa cholernie niecelna, ale podpórka ułatwi mu oddanie przynajmniej jednego pewnego strzału.

Przechylił głowę, nasłuchując tupotu podkutych butów, i ocenił, że mężczyzna jest już bardzo blisko. Przebycie jeszcze jednego zakrętu schodów powinno wystawić go na strzał. Ostrożnie odciągnął spust webleya i spojrzął w dół.

Nad ich głowami vickers znów strzelał. Mark zatrzymał się dla złapania oddechu i sprawdzenia pozycji strzelca. Z rozpaczą stwierdził, że wspiął się za wysoko. Zmienił kąt patrzenia i stracił z pola widzenia szczeliny w podłodze platformy. Zszedł ostrożnie do miejsca, z którego znów widział wyraźnie jasne smugi światła przeświecającego przez podbrzusze platformy.

Niewyraźny, zamazany cień upewnił go, że strzelec nie zszedł ze stanowiska. Nadal kucał nad złączeniem, ale oddanie strzału z tego miejsca było prawie niemożliwe. Musiałby strzelać prawie pionowo w górę, co było trudne nawet w najdogodniejszych warunkach, a przecież teraz był pozbawiony kolby, która unieruchomiłaby dłoń i szczerbinę. Strzelał do litej powierzchni bali i musiał domyślać się dokładnego położenia szczeliny, strzelec bowiem zasłaniał ciałem światło. Szczelina była szeroka najwyżej na pięć centymetrów i gdyby chybił choć o ułamek, pocisk wbiłby się w gruby pał, nie czyniąc szkody.

Starał się nie pamiętać o tym, że może oddać tylko jeden strzał. Zacięty zamek sprawił, że nie miał wyboru.

Oparł się biodrem o poręcz ochronną i wychylił nad otwartym szybem. Mrużąc oczy starał się umiejscowić cel w swym umyśle. Podniósł karabin do ramienia spokojnym naturalnym ruchem.

Był świadom, że będzie musiał oddać strzał, kierując się jedynie instynktem, nie mogąc sobie pozwolić na wahanie się czy dokładne namierzanie celu.

Uniósł broń i w chwili gdy długa lufa wyrównała poziom, nacisnął spust. Huk wystrzału ucichł i okazało się, że pocisk oderwał maleńki kawałek drzazgi z brzegu szczeliny, musnął tylko podłogę. Mark poczuł gwałtowny przyływ rozpaczy.

Ciało zasłaniające dotychczas światło uskoczyło gwałtownie w bok i szczelina ukazała się znów jako podłużna nieprzerwana linia – ktoś na platformie krzyknął.

Helena MacDonald skończyła właśnie odliczać do dwudziestu i celowała w grupę mężczyzn, która skryła się za ciężarówką. Ukucnęła za karabinem i miała nacisnąć spust, kiedy pocisk wpadł przez szczelinę w podłodze.

Uderzył w jeden z twardych mahoniowych filarów na tyle mocno, by odkształcić się, czyniąc się nieco grzybkowatym, tak że nie wbił się w jej ciało schludnym małym otworem.

Pocisk wydarł poszarpany wlot w miękkim ciele u zbiegu nieco rozstawionych ud, zanurkował w górę tułowia i ślizgając się, zgruchotał grube kości miednicy. Siłą rozpędu uderzył w niższą odnogę aorty, wielkiej arterii biegnącej od serca, nim osunął się w dół i utknął w mięśniach po lewej stronie ciała.

Impet wyrzucił Helenę w powietrze i cisnął wzdłuż platformy. Upadła na twarz.

– O Boże! Boże! Pomóż mi! Fergus! Fergus! Nie chcę umierać tu sama! – Jej krzyk dotarł wyraźnie do obu mężczyzn stojących na stalowej wieży pod jej stopami.

Mark natychmiast rozpoznał ten głos. Nie potrzebował nawet słyszeć wykrzykiwanego imienia, by to wiedzieć.

Zamarł z potworności tego, co uczynił. Potrzaskana strzelba o mały włos nie wyslizgnęła mu się z rąk, ale zdołał ją utrzymać i schwycił się poręczy, szukając oparcia.

Helena krzyknęła znów, niewyraźnie, bez słów. Był to dokładnie taki sam dziwny okrzyk, który wydała w chwili spełnienia podczas jednego z ich dzikich porywów namiętności. Mark przypomniał sobie wyraźnie jej twarz, wtedy piękną i tryumfującą, ciemne płonące oczy, rozchylone namiętnie usta i różowy płatek języka ukryty w nich.

Zaczął biegiem wspinać się ku górze.

Krzyki trafiły Fergusa niczym strzały oddane prosto w serce. Opuścił rewolwer wzdłuż boku i stał patrząc bezmyślnie w górę. Nie wiedział, co się stało, wiedział tylko, że Helena jest umierająca. Słyszał ten krzyk śmierci tyle razy, że nie miał najmniejszych wątpliwości. To, co słyszał, było śmiertelną agonią i nie mógł zmusić się do wejścia na górę w przeczuciu potworności, którą zastanie.

Kiedy tak wahał się, Mark wyszedł zza załomu schodów i zastał go nie przygotowanego. Trzymał rewolwer w dłoni opuszczonej wzdłuż boku. Odskoczył do tyłu, próbując jeszcze unieść go i wystrzelić w pierś umundurowanej postaci.

Mark był równie zaskoczony co on. Nie spodziewał się trafić na jeszcze jednego wroga, ale zauważył rewolwer i skierował potrzaskany karabin ku głowie Fergusa.

Fergus zanurkował i webley wystrzelił nie trafiając. Pocisk przeleciał parę centymetrów od skroni Marka. Huk ogłuszył go tak, że aż odrzucił głowę. Pociski z karabinów żołnierzy uderzyły w filar za Fergussem. Uszkodzony karabin wypadł Markowi z dłoni. Starli się pierś w pierś.

Mark złapał za przegub ręki trzymającej rewolwer i uczepił się jej ze wszystkich sił.

Nie rozpoznali się nawzajem. Fergus zestarzał się tak, że stanowił wypłowiałą karykaturę dawnego siebie, a oczy miał przysłonięte płócienną czapką.

Mark był ubrany w obcy mundur, zakrwawiony i zakurzony. On też się zmienił, z chłopca stał się mężczyzną. Był wyższy, ale mieli tę samą wagę.

Fergus natarł w potwornym szale desperata, który dał mu nadludzkie siły. Przycisnął Marka do poręczy i wygiął mu kark w dół ku otwartemu szybowi, ale Mark wciąż ścisnął za przegub rękę trzymającą broń wycelowaną w swoją głowę.

Fergus łkał, napierając z nieprawdopodobną siłą ciała zahartowanego ciężką pracą, zwielokrotnioną teraz przez wściekłość, rozpacz i desperację. Mark poczuł, że jego stopy tracą oparcie. Podkute buty ślizgały się po stalowym podłożu i przechylały się coraz bardziej. Już czuł przyciągające ssanie trzystumetrowej otchłani chwytającej go za plecy.

Ponad nimi znów rozległ się krzyk Heleny. Dźwięk ten wbijał się niby igły w potylicę

Fergus. Mark zadrzał, jego ciałem wstrząsały fale spazmów, których nie mógł powstrzymać. Wpadł za barierkę, ale wciąż trzymał Fergus za nadgarstek, a drugim ramieniem zaczepił się o jego kark.

Wślizgiwali się w otchłań razem, spleceni w makabrycznej parodii uścisku kochanków. Kiedy zaczęli się osuwać, Mark zaczepił obie nogi o poręcz niczym akrobata cyrkowy i szarpnięciem zatrzymał upadek, zwisając głową w dół.

Fergus przekoziółkował nad nim pchany siłą własnego rozpędu. Gdy przekręcał się, płócienna czapka spadła mu z głowy, a jego ciało wyslizgnęło się z ramienia Marka obejmującego go za szyję.

Ciężar spadającego ciała omal nie wyrwał Markowi ramienia, ale prawie zwierzęcy instynkt pozwolił mu rozluźnić uchwyt na przegubie z rewolwerem.

Teraz Fergus zawisł, trzymając się tylko na tym niezbyt pewnym zaczepie.

Obaj poruszali się nad ciemną pustką szybu niby olbrzymie wahadło. Mark nadal zaczepiony nogami o poręcz i Fergus stanowiący jakby kolejne ogniwo łańcucha. Fergus odrzucił głowę do tyłu i gapił się na Marka. Był bez czapki, a rzadkie płowe włosy odsłoniły twarz. Mark poczuł, że poluzowuje uchwyt pod wpływem kolejnego szoku.

– Fergus! – wycharczał, ale oczy szaleńca patrzyły na niego, już nie rozpoznając twarzy. – Spróbuj się czegoś złapać – błagał Mark, huśtając Fergus ku poręczy schodów. – Złap tę poręcz.

Czuł, że nie utrzyma go dłużej, upadek wykręcił i osłabił mu ramię, a krew napłynęła mu falą do głowy, kiedy wisiał w tej upiornej pozycji. Poczuł, że twarz mu puchnie i nabrzmiwa, a skronie przenika klujący ból. Ciemny i głodny otwór szybu hipnotyzował go i przerażał. Sięgnął i drugą dłonią schwycił za nadgarstek Fergus.

Fergus wił się w tym uchwycie zamiast odwracać się ku poręczy. Sięgnął do góry i wyjął rewolwer ze swej unieruchomionej dłoni i przelożył go do drugiej, wolnej.

– Nie! – krzyknął Mark. – To ja, Fergusie! Ja, Mark!

Ale Fergus stracił wszelki zdrowy rozsądek. Manewrował webleyem, by schwycić go pewnie lewą dłonią i ustawić do strzału.

– Zabić ich – wymamrotał – zabić tych łamistrajków. – Uniósł lufę ku górze w kierunku Marka i wymierzył prosto w twarz. Wisząc nad otchłanią, nadal skręcał się powoli do lepszej pozycji strzeleckiej.

– Nie, Fergusie! – krzyknął Mark. Z tej pozycji strzał oderwałby mu połowę twarzy. Zobaczył, jak palec Fergus zaciska się powoli na spuście, knykcie aż pobiełały od wysiłku. Rozwarł palce i nagle Fergus wyslizgnął mu się z rąk.

Spadał szybko. Rewolwer nie wystrzelił, ale rozległo się przeciągłe, dzikie wycie.

Mark, wciąż wisząc do góry nogami, obserwował ciało Fergus. Rozciągnięte członki obracały się niby szprychy w kole i stawały się coraz mniejsze. Rozpaczliwy krzyk wyciszał się powoli i oddalał. Ciało przemieniło się w maleńki punkcik. Był niczym okruch połknięty

głęboko przez czarne usta szybu. Mark wisiał jak nietoperz, mrugając, by usunąć pot zalewający oczy. Jeszcze przez dłuższą chwilę nie był w stanie zebrać sił, by się poruszyć. Kiedy z platformy na górze dobiegł przeciągły, przenikliwy jęk, poderwał się.

Zmuszając swe posiniaczone ciało do posłuszeństwa, zdołał uchwycić drążek poręczy i podciągnąć się. Wreszcie przetoczył się ciężko na schody i podniósłszy się ruszył w górę na gumowych nogach.

Helena podczołgała się do sterty bali, zostawiając za sobą mokrą, ciemną smugę ciągnącą się przez całą podłogę. Jej ubranie w kolorze khaki było przesiąknięte krwią, która nadal sączyła się z niej, tworząc szybko powiększającą się kałużę, w której teraz siedziała.

Oparła się ciężko o polana tuż przy trójnogu vickersa. Czując przeraźliwe zmęczenie, zamknęła oczy.

– Helena! – zawołał Mark i spojrzała szybko na niego. – Mark! – wyszeptała. Nie wyglądała na zdziwioną. Zupełnie jakby spodziewała się zobaczyć go tu. Jej twarz była niesamowicie blada, usta wydawały się pokryte szronem, a skóra miała lodowy połysk. – Dlaczego mnie zostawiłeś? – zapytała.

Po chwili wahania ruszył ku niej. Ukląkł i spojrzał na dolną połowę jej ciała. Poczuł, jak paląca fala podchodzi mu do gardła.

– Kochałam cię. Naprawdę... – jej głos był cichy, a oddech tak lekki jak podmuch wiatru na pustyni o świcie. – A ty odszedłeś.

Wyciągnął dłoń, by dotknąć jej nóg, rozsunać je i obejrzeć ranę, ale nie mógł zmusić się do zrobienia tego.

– Nie opuścisz mnie więcej, Marku? – zapytała z trudem wymawiając słowa. – Wiedziałam, że wrócisz tu po mnie.

– Już nigdy cię nie opuszczę. Przysięgam – powiedział nie poznając swego głosu.

Na jej lodowatych wargach pojawił się uśmiech.

– Przytul mnie, proszę, Marku. Nie chcę umierać sama.

Niezdarnie objął ją ramieniem, a Helena oparła się o niego czołem.

– Czy ty w ogóle kochałeś mnie choć trochę?

– Tak, kochałem cię – skłamał gładko.

Nagle spomiędzy jej ud wytrysnęła fontanna bledszej, jasnoczerwonej krwi, kiedy uszkodzona aorta pękła. Zesztywniała, a oczy otworzyły się szeroko. Opadła głowa.

Szeroko otwarte oczy były mroczne niczym nocne niebo. Jej twarz zaczęła się przemieniać pod jego spojrzeniem. Zdawała się rozpluwać w jego ramionach jak biały wosk świecy trzymanej zbyt blisko płomienia, płynęła, drgała i przeinaczała się wciąż. Teraz była to twarz marmurowego anioła, gładka, blada i dziwnie piękna, podobna do twarzy chłopca, którą widział kiedyś w odległym kraju, i tak samo martwa. Naciągnięta struna w umyśle Marka pękła.

Chciał krzyczeć, ale z gardła nie wydobył się najmniejszy dźwięk. Krzyk tkwił dalej

głęboko w jego duszy, twarz była zupełnie bez wyrazu, a oczy suche, pozbawione łez.

Znaleźli go siedzącego tak, kiedy godzinę później pierwsi żołnierze wdrapali się ostrożnie po żelaznych schodach na szczyt wieży. Siedział tam cicho, trzymając ciało martwej kobiety w ramionach.

– No! – powiedział Sean Courteney. – Powiesili Taffy’ego Longa. – Złożył gazetę ze złością i rzucił przy krześle.

W ciemnozielonym, błyszczącym listowiu, sklepionego nad nimi drzewa loquat, [Loquat tree (łac. Eriobotrya japonica) – japońskie drzewo o małych czerwonych owocach] filigranowe kolibry ćwierkały głośno, penetrując kielichy kwiatów ostrymi dzióbkami, i trzepotały skrzydełkami jak ćmy wokół świecy.

W czasie śniadania przy stole panowała cisza. Wszyscy wiedzieli, z jakim zaangażowaniem Sean Courteney walczył o zmianę wyroków dla tych bojówkarzy, na których teraz wykonywano karę śmierci. Użył wszystkich wpływów i całej swej władzy, a i te nie wystarczyły, by przeciwstawić się zaciętości i mściwości ludzi, którzy chcieli satysfakcji w pełnym wymiarze za potworności tej rewolucji. Sean siedział u szczytu stołu zatopiony w myślach. Rozparł się w krześle, brodę oparł na piersi. Tępym wzrokiem patrzył w dolinę Ladyburga.

Ramię wciąż jeszcze musiał nosić na lnianym temblaku. Rana nie goiła się, otwierała się i ropiała. Domowników to martwiło, ale Sean powiedział:

– Lampart, kula, szrapnel i nóż – przerabiałem to wszystko. Nie stawiajcie jeszcze krzyżyka na mnie. Stare cielsko goi się powoli, lecz skutecznie.

Ruth przyglądała mu się zaniepokojona. Powodem nie była rana ramienia; tym, co spędzało jej sen z powiek, były rany umysłu. Obaj mężczyźni nosili w sobie głęboko ukryte poczucie winy i żalu. Nie wiedziała, co naprawdę wydarzyło się w tych dniach, bo żaden z nich nie mówił o tym, ale groza tamtych zdarzeń wciąż wisiała w powietrzu. Nawet tu w Lion Kop mimo pięknej słonecznej pogody, mimo piękna otaczających ich romantycznie położonych wzgórz, dokąd zawiozła ich, by leczyli rany i odpoczywali.

Było to szczególne miejsce. Sean przywiózł ją tu po raz pierwszy jako pannę młodą. Mieli inne ogromne posiadłości, ale tu był ich dom i tu przywiozła Seana po tych ciężkich przejściach. Niestety, poczucie winy i piętno tamtych dni przyjechały wraz z nimi.

– Szaleństwo – wymamrotał Sean. – Kompletne szaleństwo. Naprawdę nie wiem, jak mogą tego nie widzieć. – Potrząsnął głową i zamilkł na chwilę. Potem westchnął. – Przecież jeśli powiesimy ich teraz, będą żyli wiecznie. Będą prześladować i nękać nas do końca naszych dni.

– Próbowaleś, mój drogi – powiedziała Ruth cicho.

– To nie wystarczy! – mruknął Sean. – Na dłuższą metę liczy się tylko sukces.

– Och, tatku! Przecież oni zabili setki ludzi! – wybuchła Storm, potrząsając błyszczącymi

lokami. Na twarzy ukazały się krwiste wypieki. – Ciebie też chcieli zabić!

Mark nie odzywał się od początku posiłku, ale teraz uniósł głowę i spojrzał na Storm z drugiego końca stołu. Kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, powstrzymała resztę słów cisnących jej się na usta.

Zmienił się bardzo od powrotu do domu. Zupełnie jakby postarzał się o sto lat. Mimo że nie przybyła mu żadna nowa zmarszczka czy bruzda, zdawał się zatracić swą młodość. Tak jakby wziął na siebie całe brzemienie ludzkiej wiedzy i doświadczenia.

Kiedy patrzył tak na nią, czuła się jak dziecko. Nie było to miłe. Chciała przeniknąć przez zbroję obojętności, którą przywdział.

– Są pospolitymi mordercami – powiedziała, adresując te słowa nie tylko do ojca.

– Wszyscy jesteśmy mordercami – odpowiedział jej cicho Mark. Mimo że jego twarz pozostała obojętna, nóż szczęknął ostro, gdy kładł go na talerzu.

– Proszę mi wybaczyć, pani Courteney – zwrócił się do Ruth, a ona zmarszczyła czoło.

– Och, Marku, nie tknąłeś jedzenia.

– Wybieram się do miasteczka dzisiejszego ranka.

– Wczoraj też nie zjadłeś kolacji.

– Chcę, by poczta trafiła na pociąg odchodzący w południe. – Złożył serwetkę, wstał i oddalił się szybkim krokiem przez trawnik.

Ruth patrzyła za wysoką, zgrabną postacią i z bezradnym wzruszeniem ramion zwróciła się do Seana.

– Zrobił się taki podminowany – tylko patrzeć, jak pięknie w nim jakaś sprężyna – powiedziała. – Co takiego przytrafiło mu się, Sean?

Sean pokręcił przecząco głową.

– Tego właśnie nikt nie potrafi zrozumieć. Przecież doświadczył tyle tego w okopach. To jest tak, jakby w człowieku, który musiał znosić takie napięcie, coś w końcu pękło. Nazywamy to zjawiskiem pękającej muszelki, co nie jest adekwatnym określeniem, bo tu chodzi nie tylko o powłokę zewnętrzną. – Zrobił pauzę. – Nigdy dotąd nie opowiadałem wam o Marku. O tym, dlaczego wybrałem właśnie jego i w jakich okolicznościach poznałem go po raz pierwszy...

Siedząc w chłodnym cieniu rozłożystego drzewa, powiedział im o błocie, strachu i wszystkich okropnościach Francji.

– To nigdy nie jest ten jeden raz, dzień czy tydzień – to ciągnie się przez cały czas, w nieskończoność. Jest to zwłaszcza trudne dla człowieka obdarzonego szczególnymi zdolnościami. My, generałowie, wykorzystujemy ich bez najmniejszych skrupułów. Mark był właśnie jednym z nich.

Opowiedział im o tym, jak używano Marka niczym psa gończego. Obie kobiety słuchały z uwagą. Czuły się teraz bardzo związane z życiem tego młodego człowieka, który stopniowo stał się tak ważny dla nich wszystkich.

– Człowiek zbiera potworności i strach, tak jak statek zgarnia wodorosty. Czepiają się one poniżej linii zanurzenia, a są niewidoczne dla oka, ale jednak tam są. Mark dźwiga to brzemię, a w Fordsburgu wydarzyło się coś, co zbliżyło go bardzo do punktu załamania. Stoi teraz na samej krawędzi.

– Czy możemy coś dla niego zrobić? – zapytała Ruth cicho. Przyglądała się jego twarzy, zadowolona, że wreszcie ma syna – bo od dawna wiedziała, że tym właśnie Mark był dla niego.

Kochała męża na tyle, by nie cierpieć, że to nie jej łono dało mu to, czego tak rozpaczliwie pragnął, szczęśliwa, że wreszcie ma, czego chciał, i że może dzielić z nim tę radość.

Sean pokręcił przecząco głową.

– Nie wiem.

Kiedy Storm syknęła ze złością, spojrzeli na nią oboje.

Sean poczuł miękkie ciepło rozlewające mu się w piersi. Uczucie zdziwienia, że to piękne dziecko może być jego częścią. Storm wyglądała na tak kruchą i delikatną, ale on wiedział, że prócz niewinnego wyglądu rozkwitłego pąka jest w niej coś, co sprawia, że potrafi kąsać jak żmija. Miała w sobie piękno i jasność, które wprost oszałamiały, ale pod nimi tkwiła głębia, która intrygowała go, a zarazem przerażała. Kiedy jej nastroje zmieniały się tak gwałtownie, tak jak ten nieobliczalny wybuch złości, był nią zauroczony i pozostawał pod jej czarodziejskim urokiem. Zmarszczył groźnie czoło, by ukryć swe uczucia.

– Tak, panienko? Co znowu? – zapytał kwaśno.

– On zamierza odejść stąd – powiedziała i Sean zamrugał oczami nie dowierzając.

– O czym ty mówisz?

– Mark. Wyjeżdża.

– Skąd wiesz? – Coś ukrytego bardzo głęboko we wnętrzu Seana aż skurczyło się, gdy pomyślał, że może stracić następnego syna.

– Wiem, po prostu wiem – powiedziała i zerwała się na nogi szybkim wyrzutem długich kończyn, jak gazela zrywając się z trawiastego posłania. Stała teraz nad nimi. – Nie myślałeś chyba, że pozostanie twoim pieskiem pokojowym na zawsze? – zapytała.

Uszczypliwa ironia w jej głosie wywołałaby w innych okolicznościach ostrą ripostę. Teraz patrzył na nią bez słów.

Za chwilę już jej nie było. Biegła przez trawnik skąpany w słońcu, które odbijało się w jej rozpuszczonych ciemnych włosach prawie czarnymi refleksami i przeświecało przez cienki materiał sukienki, zaznaczając wysokie, smukłe ciało ciemnym obrysem. Otaczała ją błyszcząca aureola światła, w którego blasku zdawała się cudownym, niezmiernym zjawiskiem.

– Czy nie rozumiesz, że lepiej będzie, jeśli popłaczesz sobie trochę teraz, niż miałabyś

przeplakać resztę swego życia? – zapytał Mark łagodnie, starając się, by nie zauważyła, jak łzy osłabiają jego determinację.

– Czy nigdy już tu nie wrócisz? – Marion Littlejohn nie należała do tych kobiet, którym z płaczem było do twarzy. Jej mała, owalna twarz zdawała się rozpływać. Zmieniła kształt niczym nie wypalona glina, a oczy były opuchnięte i czerwone.

– Marion, ja nawet nie wiem, dokąd pojedę. Skąd mam wiedzieć, czy stamtąd wrócę?

– Nie rozumiem nic z tego, Marku. Naprawdę nie rozumiem. – Zmieła wilgotną płócienną chusteczkę w dłoniach i chlipnęła. – Byliśmy tacy szczęśliwi. Robiłam wszystko, by cię uszczęśliwić – nawet to.

– To nie twoja wina, Marion – zapewnił ją Mark pospiesznie. Nie chciał, by wypominała mu to, co zawsze określała mianem „ta rzecz”. Miał wrażenie, że pożyczyła mu skarb, który musiał zwrócić w regularnie płaconych ratach wraz z procentem.

– Czy nie uczyniłam cię szczęśliwym, Marku? Staralam się tak bardzo.

– Marion, przecież usiłuję ci to wytłumaczyć. Jesteś świetną, ładną dziewczyną, bardzo miłą i dobrą. Jesteś najlepszą osobą, jaką znam.

– Więc dlaczego nie chcesz się ze mną ożenić? – Jej głos przerodził się w szloch.

Mark z przerażeniem zerknął w głąb werandy. Wiedział, że jej siostry i szwagrowie natężają słuch, by wyłowić strzępki ich rozmowy.

– Chodzi o to, że ja w ogóle nie chcę się żenić. Wydała niski jękliwy dźwięk i wydmuchała nos w nie zdający się na nic kawałek wilgotnego płótna. Mark wyjął chusteczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał jej, a ona przyjęła ją z wdzięcznością.

– Teraz może nie – chwytła się słów – ale może pewnego dnia...

– Pewnego dnia – zgodził się. – Kiedy już dojdę do tego, czego właściwie chcę od życia, i kiedy będę wiedział, jak to osiągnąć.

– Będę czekała na ciebie – próbowała się uśmiechnąć. Był to blady, a nie jak zamierzała, odważny uśmiešek. – Będę czekała na ciebie, Marku.

– Nie! – Poczuł, że niepokój szarpie każdym nerwem jego ciała. Zebrał całą odwagę, by powiedzieć jej wszystko, a teraz wyglądało na to, że nic nie osiągnął. – Bóg jeden wie, ile to może potrwać, Marion. W twoim życiu będzie jeszcze wielu mężczyzn – jesteś dobrą, słodką, kochaną osobą...

– Będę czekała na ciebie – powtórzyła stanowczo. Rysy jej twarzy odzyskały normalne, przyjemne dla oka linie, a ramiona wyprostowały się z żalosego przygarbienia.

– Proszę cię, Marion, to byłoby nieuczciwe wobec ciebie. – Mark rozpaczliwie starał się jej to wyperswadować, ale już zdawał sobie sprawę, że zawiódł na całej linii.

Pociągnęła ostatni raz nosem i przełknęła pozostałości swego żalu, jakby to był ostry kawałek kamienia. Potem uśmiechnęła się do niego mrugając oczami, by osuszyć je z resztek łez.

– O, to nieważne. Jestem bardzo cierpliwa, zobaczysz – powiedziała uspokajająco.

– Nie rozumiem – Mark wzruszył ramionami z bezradną frustracją.

– Ale ja rozumiem, Marku – uśmiechnęła się znów, ale teraz był to pobłażliwy uśmiech matki do dziecka. – Kiedy będziesz już gotów, sam przyjdiesz tu do mnie. – Wstała i wygładziła fałdy skromnej sukni. – A teraz chodź, czekają na nas z lunchem.

Storm ustawiła sztalugi z dużą starannością. Chciała uchwycić grę popołudniowego słońca i chmur żeglujących ponad stromym zboczem, a jednocześnie mieć w polu widzenia wąwóz, by móc oddać na płótnie biel pióropuszy spadającego wodospadu.

Chciała też mieć na oku drogę do Ladyburga, nie będąc jednocześnie widoczną dla postronnego obserwatora.

Obrała stanowisko na małym pagórku w pobliżu wschodnich granic Lion Kop. Ustawiła zarówno sztalugi, jak i siebie samą z godną prawdziwego artysty dbałością o szczegóły i ogólne wrażenie estetyczne. Ale kiedy już stała z paletą ułożoną wygodnie w zgięciu lewego ramienia i z pędzlem w drugiej dłoni, uniosła podbródek i rozejrzała się wokół. Ujrzała potężny bezmiar ziemi i lasu. Dostrzegła sposób, w jaki światło przenikało złotem turkus nieba – i natychmiast zaintrygowało ją to.

Jej poza przestała być teatralna i wzięła się do pracy. Przechylała głowę, by ocenić kombinację barw, dotykała płótna w powolnym rytuale, niczym kapłanka świątyni składająca ofiarę. Była tak pochłonięta tym, co robiła, że kiedy usłyszała nikły turkot motocykla Marka, nie od razu dźwięk ten przebił się przez jedwabisty kokon koncentracji, którym się otoczyła. Mimo że pierwotnie świadomie wybrała to miejsce chcąc go wypatrzeć, teraz prawie przejechał obok niej, zanim go zauważyła. Zamarła z pędzlem uniesionym wysoko w dłoni.

Skąpiana w miękkim złotym świetle późnego popołudnia, tworzyła dużo bardziej przyciągający obrazek niż ten, który tworzyła z wystudiowaną uwagą. Zakurzona wstążka drogi wiała się jakieś piętnaście metrów poniżej miejsca, w którym stała, przechodząc w zakręt ku zboczu skarpy. Kiedy Mark zbliżył się do tego zakola, jego wzrok przyciągnęła w sposób naturalny mała, zwiewna postać tkwiąca na zboczu.

Szczyt skarpy był schowany w chmurach. Słońce przeświecało przez nie, rzucając pionowe, lśniące promienie na całą dolinę. Jeden z nich padał prosto na Storm. Stała zupełnie nieruchomo, patrząc z góry na niego. Nie zrobiła gestu rozpoznania czy przywitania go. Zatrzymał dużą maszynę przy drodze i rozsiadając się wygodnie zsunął gogle na czoło.

Nadal nie poruszyła się i trwali tak przyglądając się sobie nawzajem. Wreszcie Mark sięgnął ręką do maszyny, a Storm poczuła, jakby właśnie pozbawiono ją czegoś ważnego. Nie dała tego jednak poznać po sobie, starając się przyciągnąć go całą siłą swego umysłu. I zatrzymał się, by spojrzeć jeszcze raz.

Chodź – przynagliła go w myślach.

Zniecierpliwionym, prawie wyzywającym gestem ściągnął gogle i zdjął rękawice.

Znów pogodna, zwróciła się ku sztalugom. Mały, tajemniczy uśmieszek igrał na lekko

rozchylonych wargach. Nie odwróciła się, by spojrzeć, jak wspina się do niej, brnąc w poźółkłej, sięgającej kolan trawie.

Usłyszała jego oddech tuż za swymi plecami i wyczuła jego zapach. Ten zapach był tak niezwykle, że nauczyła się go rozpoznawać wszędzie. Zapach przypominający mlecznego szczeniaka czy może świeżo wypastowaną skórę. Sprawiał on, że jej skóra cierpła i płonęła, robiła się nadwrażliwa, a oddech stawał się przyspieszony i prawie bolesny.

– To jest piękne – powiedział. Jego głos był niczym dotknięcie opuszków palców u nasady szyi. Poczowała, że mięśnie, a puszyste włoski właśnie w tym miejscu unoszą się. Uderzenie krwi rozlało ciepło po jej ciele i przemieniło sutki w twarde małe kamyki, które pulsowały nie tylko bólem, ale czymś znacznie bardziej prześladowującym.

Chciała, by dotknął jej tam. Nogi zadrżały pod nią, a mięśnie gdzieś w głębi, u zbiegu ud, zwały się.

– To jest naprawdę piękne – powtórzył, przybliżając się tak, że czuła jego oddech na swym karku. Kolejny dreszcz przebiegł jej wzdłuż krzyża, tym razem poruszając każdy nerw w jej ciele. Ścisnęła pośladki, by powstrzymać siłę tego doznania, przypominającego to, co odczuwała podczas jazdy na niespokojnym koniu.

Patrząc na obraz, musiała przyznać, że Mark miał rację. Był piękny, mimo że dopiero w połowie ukończony. Widziała już resztę w swoim umyśle – a to, co widziała, było piękne i pasowało do reszty, teraz jednak chciała poczuć dotyk jego dłoni.

Ten obraz jak gdyby zwielokrotnił jej reakcje emocjonalne, otworzył jakieś ostatnie, zakazane dotąd, drzwi. W tej chwili pożądała dotyku Marka z głębokim, psychicznym bólem.

Odwróciła się do niego. Stał tak blisko i był taki wysoki, że znów wessała oddech, ale Mark miał opuszczone ręce wzdłuż ciała i nie potrafiła rozszyfrować jego spojrzenia.

Nie mogła wytrzymać ani chwili dłużej. Poruszyła biodrami powolnym, lubieżnym ruchem i coś rozstąpiło się w niej; teraz płonęła w głębinach dolnych partii ciała.

Dotknij mnie – starała się bezgłośnie nagiąć go do swej woli. Dotknij mnie tam, gdzie tak okrutnie boli.

Ponieważ nie zwracał na nią uwagi i nie odpowiadał na jej milczące błagania, nagle poczuła dziką złość. Miała ochotę uderzyć go prosto w poważną, przystojną twarz. Wyobrażała sobie, jak zdziera z niego koszulę i zatapia paznokcie w gładkich, muskularnych mięśniach torsu. Patrzyła teraz w rozcięcie koszuli na skręty ciemnych włosów i połyskliwą opaloną na brąz skórę.

Jej złość narosła i skupiła się na jego osobie. Chciała ukarać go za to, że obudził w niej te odurzające, przerażające fale psychicznego pobudzenia, nadchodzące falami doznania, których nie rozumiała i nie potrafiła opanować.

Chciała, by cierpiał, by dręczyły go pragnienia tak samo jak ją, ale chciała też wziąć w dłoń tę wspaniałą dumną głowę i przytulić ją do piersi niczym matka tuląca dziecko. Chciała go hołubić i kochać, drapać i ranić. Była zagubiona, zła i zaintrygowana, ale nade

wszystko unosiła się wysoko na fali podniecenia, które sprawiało, że czuła się lekka, żywa i szybka.

– Przypuszczam, że nieźle zabawiałeś się z tą swoją małą, grubiućką dziwką – warknęła chcąc go zranić. Była teraz zadowolona i dziko tryumfująca, ale też cierpiała skruszona. Chciała paść mu do stóp i błagać o przebaczenie, a w następnej chwili myślała, by przeorać mu twarz paznokciami w głębokie krwawiące rany, tę śniadą, gładką, tak bardzo ukochaną twarz.

– Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby opatrność, która dawała ci urodę i talent, pomyślała też o uczynieniu cię dobrą i miłą – zapytał cicho, prawie smutno – zamiast złośliwą, rozpuszczoną smarkułą?

Sapnęła słysząc tę niemal profanację, to jawne wyzwanie. Obraza dała jej powód do odrzucenia ostatnich pozorów opanowania. Teraz mogła popuścić wodze i używać szpicruty i ostróg bez ograniczeń.

– Ty świnió! – rzuciła się na niego, starając się dosięgnąć oczu. Wiedziała, że jest szybki i dużo mocniejszy od niej, ale świadomie sprowokowała ten gwałtowny fizyczny kontakt. Kiedy trzymał ją bezwolną na odległość obu ramion, przyłgnęła do niego całym ciałem i zaraz cofnęła się, by zobaczyć wyraz jego twarzy. Jej ciało było zwinne i gibkie, zahartowane dzięki wysiłkowi fizycznemu na kortach i w siodle. Chciała zmusić go do utraty równowagi. Kiedy przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą, zahaczyła swoją kostką o jego i rzuciła się całym ciałem w przeciwną stronę.

Upadli razem na trawiasty miękki taras. Uwolnił jej nadgarstki, by wysunąć dłonie i przyjąć na siebie uderzenie, jednocześnie łagodząc jej kontakt z ziemią.

Natychmiast wykorzystała to i zaatakowała go oburącz, wbijając mu paznokcie w szyję. Jęknął i ujrzała błysk prawdziwej złości w jego oczach. Zachwyciło ją to, więc gdy złapał przegub jej dłoni, wykręciła się i ugryzła go w twarde, żyłasty mięsień przedramienia. Ukąszenie było na tyle mocne, że przecięło skórę i zostawiło podwójne odbicie drobnych rowkowych śladów po zębach.

Sapnął i przetoczył się na nią, przyciskając nogą dół ciała do ziemi, jednocześnie walcząc z jej wymachującymi dziko rękami. Zanurkowała pod niego ze spódnicą podciągniętą do pasa. Pchnęła gładką smukłą nogę ku górze, naturalnie, sprytnie i bezwiednie przyciskając ją do jego krocza, nie na tyle mocno, by go zranić, ale dość mocno, by nagle zdał sobie sprawę ze swego podniecenia.

Kiedy zrozumiał, co się dzieje, poluzował uchwyt na jej ramionach, starając rozpaczliwie uwolnić się od niej, ale jedna z jej rąk objęła go za szyję, a na twarzy poczuł ciepło jej jedwabistego policzka.

Jego dłonie zareagowały bezwiednie, biegnąc ku małemu wcięciu pośrodku jej smukłych pleców, śledząc palcami małe twarde kręgi aż do zaokrąglonych pośladków, jedwabistych w dotyku pod błyszczącą śliskością bielizny. Jej oddech był spazmatyczny i ochryply, uniosła

głowę, aż jej usta dotknęły jego ust, wyginając w łuk plecy i unosząc dół ciała tak, że jedwabna bielizna zsunęła się swobodnie w jego dłoń.

Biel jej ciała wyłoniła się z jaskrawych, pomiętych płatków spódnicy niczym pręcik cudownej, egzotycznej orchidei. Skazą na tym cudzie natury wydawała się głęboka, pięknie wyrzeźbiona dziurka pośrodku idealnie płaskiego brzucha. Poniżej znajdowała się zadziwiająco gwałtowna eksplozja ciemnych kędziorów na wypukłym trójkącie, który zmienił kształt, gdy wyprężyła ciało powolnym lubieżnym ruchem.

– Och, Mark – wyszeptła. – Mark, nie wytrzymam tego. – Jej złość ulotniła się, była teraz powolna i bez tchu, stopniowo łączyła ciepło i uczuciowość ze zmysłowością, ale jej głos przywrócił go nagle do rzeczywistości. Zdał sobie sprawę, że sprzeniewierza się ufności, jaką obdarzył go Sean Courteney, że pogwałca swą wyjątkową pozycję w jego domu i odsunął się od niej oburzony własną zdradą.

– Chyba oszalałem – wysapał przerażony, starając się przetoczyć dalej od niej.

Zareagowała natychmiast instynktownie jak zdradzona lwica, wykazując znów tę nieprawdopodobną zdolność przeobrażania się z miękkiej pieszczącej powolności do niebezpiecznej szalejącej złości w mniej niż sekundę. Uderzyła go otwartą dłonią w twarz, wywołując eksplozję jaskrawo-kolorowych kół, które na chwilę przysłoniły mu wzrok, i wrzasnęła:

– Co z ciebie za facet?!

Próbowała uderzyć go znów, ale był na to przygotowany, i potoczyli się pierś przy piersi po trawie.

– Jesteś zerem, zawsze taki będziesz, bo nie masz w sobie dość sił i ikry, by być czymś lepszym – syknęła.

Słowa te zabolowały go sto razy bardziej niż uderzenie. Jego złość wybuchła z taką gwałtownością, że mogła się równać z jej własną. Położył się na niej.

– Niech cię szlag! Jak śmiesz mówić coś takiego?! Krzyknęła znów.

– Ja przynajmniej śmiem, bo ty byś się nigdy nie odważył, ty... Urwała, kiedy poczuła, że coś się stało, i wykrzyknęła tym razem innym głosem.

– O, Boże! – Całe ciało drżało, kiedy zamknęła go w sobie, tuląc i przytrzymując blisko, sama mrużąc głosem nagle cichym, ochrypłym i zwycięskim. – O, Marku, najdroższy, kochany Marku.

Sean Courteney dosiadał konia na wzór jeźdźców afrykańskich, rozsiadając się wygodnie i rozłożyście. Nogi wyciągnął na drugich strzemionach do przodu, sam rozparty bliżej zadu zwierzęcia. W lewej dłoni trzymał luźno sjambok, a w prawej cugle ściągnięte nisko przy kuli siodła.

Jego ogier stał w cieniu drzewa z wyuczoną cierpliwością konia szkolonego dla strzelca. Oparł ciężar ciała na trzech kończynach, podczas gdy czwarta, przygięta, odpoczywała. Jego

szyja napinała lejce, kiedy sięgał do słodkiej trawy porastającej zbocze pagórka. Zęby rwały każdy kęs z szorstkim trzaskiem podobnym do darcia materiału.

Sean patrzył na rozciągające się u jego stóp lasy i trawiastą równinę. Rozmyślał nad zmianami, jakie tu zaszły, od czasów gdy przemierzał je na bosaka w towarzystwie sfory myśliwskich psów jako mały niesforny chłopak.

Osiem czy dziewięć kilometrów stąd stało przytulone do skarpy domostwo Theunisa Kraala. Tam przyszedł na świat w pokoju od frontu, na starym łóżku o stelażu z mosiądzu. On i Garrick, jego brat bliźniak. Poród, który odbył się pewnego parnego, letniego poranka, zabił ich matkę, i nigdy jej nie poznali. Garrick mieszkał tam do dziś, wreszcie odnalazł spokój wewnętrzny i żył godnie otoczony książkami i papierzyskami.

Sean uśmiechnął się z czułością i sympatią, a zarazem wciąż żywym poczuciem winy – kim mógłby być teraz jego brat, gdyby nie strzał, który zgruchotał mu nogę? Strzał oddany głupio, nieostrożnie przez Seana?

Odrzucił te czarne myśli i okręcił się w siodle, by ogarnąć wzrokiem swoje włości. Tysiące akrów ziemi, na których zasadził lasy, a które stanowiły podwaliny jego fortuny. Z miejsca, gdzie teraz stał, widział liczne tartaki i składy drewna, połączone torami kolejowymi nawet z miastem, i raz jeszcze doznał uczucia zadowolenia z nie zmarnowanego życia oraz dumy, że wyrzeczenia i trud zostały nagrodzone.

Uśmiechając się zapalił długiego ciemnego cheroota, [długie, z obu końców obcięte cygaro.] pocierając zapalką o podeszwę buta. Z łatwością dostosował się do niespokojnych ruchów konia pod sobą.

Jeszcze przez chwilę sycił się samozadowoleniem, zupełnie jakby chciał odwlec moment powrotu myślami do bieżących problemów. Jego wzrok prześlizgnął się po dachach Ladyburga, aż po nowo wzniesioną, psującą krajobraz konstrukcję ze stali i galwanizowanego żelaza, wzniesioną tak, że przewyższała wszystko inne w tej dolinie, nawet czteropiętrowy masywny budynek nowego Banku Rolników Ladyburga.

Rafineria cukru była brzydką, rozłożystą budowlą, rozpartą niczym żarłoczne pogańskie bóstwo na skraju schludnych poletek trzciny cukrowej. Rozciągały się one aż po horyzont, wyściełając niskie wzgórza falującą, ruchomą zielenią, przetaczającą się na wietrze niczym wody oceanu, zielenią pielęgnowaną z myślą o wykarmieniu całego, wiecznie głodnego społeczeństwa.

Zmarszczka naznaczyła czoło Seana u nasady dużego, haczykowatego nosa. Podczas gdy on oceniał swe włości w tysiącach akrów, mężczyzna, który kiedyś był jego synem, mierzył swoje w dziesiątkach tysięcy akrów.

Koń zdawał się wyczuć zmianę nastroju swego pana i zebrał się w sobie, szarpnął łbem ze zniecierpliwienia i zaczął przebierać nogami gotów do biegu.

– Spokojnie, staruszkule – powstrzymał go Sean i uspokoił klepieniem po barku. Na tego właśnie człowieka czekał tu teraz. Przybył wcześniej na to rendez-vous, jak to zwykł czynić.

Lubił być na miejscu pierwszy, sprawiając, że tamten zmuszony był przyjechać do niego. Była to stara, wypróbowana sztuczka, dawać tamtemu drugiemu odczuć, że jest intruzem na dopiero co zdobytym terytorium.

Oczekując miał czas na rozważenie wszystkiego i na uspokojenie myśli. Poza tym mógł obserwować tego drugiego, kiedy będzie nadjeżdżał.

Wybrał miejsce i czas ze szczególną uwagą. Nie chciał dopuścić myśli, że Dirk miałby znów przemierzać jego włości czy wejść do jego domu. Aureola zła otaczająca tego człowieka była zaraźliwa i Sean nie chciał pozwolić, by to zło skaziło zamknięte sanktuarium jego życia, którym było domostwo w Lion Kop. Nie życzył sobie, by wkroczył on na jego ziemię, wybrał więc mały odcinek pograniczny, w którym jego własność stykała się z ziemią Dirka Courteneya. Był to jedyny ośmiusetmetrowy pas ziemi, który kazał odgrodzić drutem kolczastym.

Jako hodowca bydła i koniarz miał awersję do tego typu ogrodzeń, ale mimo to kazał je wznieść między swoją ziemią a ziemią Dirka Courteneya. Kiedy Dirk napisał do niego, prosząc o to spotkanie, wybrał miejsce, gdzie będzie oddzielał ich ten płot.

Z równą celowością i rozważą wybrał porę popołudniową. Nisko stojące słońce będzie świeciło zza jego pleców prosto w oczy tamtego. Sean wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki i stwierdził, że jest minuta przed czwartą – wyznaczoną godziną spotkania. Spojrzał w dół doliny i zmarszczył czoło. Wzgórze leżące u jego stóp było opustoszałe tak jak i cała długość drogi wiodącej aż do miasta. Od czasu kiedy pół godziny temu widział na niej Marka na turkoczącym motorze, droga pozostawała pusta. Spojrzał ponad miasteczkiem ku błyszczącym białą ścianom wielkiego domu, który Dirk Courteney wybudował zaraz po swym powrocie w tę dolinę. Great Longwood, pretensjonalna nazwa dla równie pretensjonalnej budowli. Sean nie lubił patrzeć na nią. Zdawało mu się, że była z niej ta sama aura zła, nawet przy świetle dnia, było to coś niemal namacalnego. Słyszał też wszystkie te opowieści, powtarzane mu z radością przez miejscowych plotkarzy o tym, co odbywało się tam pod osłoną nocy.

Wierzył w ich prawdziwość, gdyż, wiedziony instynktem, znał dobrze mężczyznę, który kiedyś był jego synem, jego miłością.

Raz jeszcze spojrział na zegarek i skrzywił się. Była punkt czwarta. Potrząsnął zegarkiem i przyłożył go do ucha. Tykał rzetelnie. Schował go z powrotem do kieszeni i ściągnął cugle. Już nie przyjedzie – stwierdził z ulgą i poczuł się jak tchórz. Każde spotkanie z Dirkiem wyczerpywało go i pozbawiało sił.

– Dzień dobry, ojciec – głos przestraszył go tak, że ścisnął konia kolanami i ściągnął uzdę. Ogier dreptał i podrzucał łbem.

Dirk siedział nieruchomo na spokojnej złotordzawej klaczy. Wyjechał z lasu tuż obok wzgórza, prowadząc konia czujnie i bezgłośnie po grubym dywanie z opadłych liści.

– Spóźniłeś się – warknął Sean. – Właśnie zbierałem się do odjazdu.

Dirk zapewne kluczył, pokonując skarpę przy wodospadzie na Lion Kop, ominął ogrodzenie i przejechał przez plantację, by stawić się na spotkanie od drugiej strony. Najprawdopodobniej stał jeszcze pomiędzy drzewami i obserwował Seana przez co najmniej pół godziny.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać? – Tego człowieka nie należało nie doceniać. Sean popełnił ten błąd już wiele razy i płacił za to wysoką cenę.

– Myślę, że wiesz dobrze. – Dirk uśmiechnął się do niego. Kojarzył się Seanowi z pięknym, lśniącym, ale i bardzo niebezpiecznym zwierzęciem. Dosiadał konia z niedbałym wdziękiem, był odprężony, ale też miał wszystko pod kontrolą. Ubrany był w myśliwską kurtkę z mocnego, tkanego tweedu, pod szyją przewiązał żółty jedwabny krawat. Długie, mocno zbudowane nogi były obute w skórzane oficerki w kolorze czekolady.

– Przypomnij mi – zachęcił go Sean, świadomie uodparniając się na ten fatalny, hipnotyzujący urok, którym emanował, potrafiąc wydobyć go z siebie na każde życzenie.

– Daj spokój, wiem, że byłeś zajęty pokazywaniem tym spoconym, nie domytym hordom, gdzie ich miejsce. Czytałem o twoich osiągnięciach, ojcze, i byłem naprawdę dumny. Twoja rzeźnicka rozprawa w Fordsburgu była niemal tak samo przerażająca jak stłumienie rebelii w Bombaty w 1906 roku. Zaiste wspaniałe przedstawienie...

– Przejdź do rzeczy – Sean poczuł, że nienawidzi go. Dirk Courteney miał talent do wyszukiwania słabości i odgadywania poczucia winy, i wykorzystywał to bez litości. Mówiąc o tym, jak Sean został przymuszony do wywiązania się ze swych obowiązków, zawstydział go dużo boleśniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Oczywiście, że należało uruchomić znów kopalnie. Ty sam sprzedajesz większość drewna budulcowego kopalniom złota. Mam nawet gdzieś dokładne wielkości sprzedaży – Dirk zaśmiał się lekko. Jego zęby były idealnie równe i białe, słońce igrało w lśniących kędziorach pięknej głowy. Podświetlało je od tyłu sprawiając, że nabrał wręcz teatralnej wspaniałości. – To woda na twój młyn, papo. Zawsze miałeś zmysł do wyczuwania okazji. Nie można pozwolić na to, by banda jakichś czerwonych obdartusów wysadziła nas wszystkich z interesu. Nawet ja zależę w dużej mierze od kopalni złota.

Sean nie mógł zdobyć się na odpowiedź, złość ścisnęła mu gardło. Poczul się ośmieszony i skalany.

– To jedna z wielu rzeczy, którą ci zawdzięczam – mówił dalej Dirk, obserwując go uważnie. Uśmiechnięty, uprzejmy i zabójczo groźny. – Jestem twoim potomkiem, odziedziczyłem po tobie zdolność do wyszukiwania okazji i wykorzystywania jej. Czy pamiętasz jeszcze, jak uczyłeś mnie łapać węże? Jak tłumaczyłeś, że należy przygwoździć go do ziemi i trzymać u nasady łba między kciukiem a palcem wskazującym?

Sean przypomniał sobie tę lekcję nagle i bardzo wyraźnie. Nieustraszonosc dziecka przeraziła go wtedy.

– Widzę, że pamiętasz to jeszcze – uśmiech zgasł na twarzy Dirka, a wraz z nim ulotniła

się cała beztroska. – Jest całe mnóstwo drobnych zajęć – czy pamiętasz, jak zabłądziliśmy po tym, gdy lew wystraszył nasze konie i spłoszył tak, że uciekły w noc?

Sean zapomniał już o tym incydencie. Polowanie w Mopani, pierwsza noc chłopca spędzona z dala od bezpiecznych, chroniących wozów. Mała przygoda, która przerodziła się w koszmar. Jeden z koni zabity przez lwa, a drugi spłoszony. Osiemdziesięciokilometrowy spacer przez suchą równinę i bezkresny busz. Studnie buszmenów w piasku, z których wysysali wodę przez słomkę.

Wszystko to powróciło znów, mimo iż Sean starał się zablokować umysł przed wspomnieniami. Poblądzili już trzeciego dnia, biorąc jedno niewielkie, kamieniste koryto rzeki za drugie i zabrnęli w głąsę grożącą śmiercią z wycieńczenia.

– Pamiętam, że zrobiłeś siodło z pasa na naboje i niosłeś mnie opartego o swe biodro.

Kiedy dzieciak opadł z sił, Sean niósł go kilometr za kilometrem przez głębokie, zdradzieckie piaski. Pochylał się nad chłopakiem, by chronić go przed promieniami słońca własnym cieniem. Poruszał spuchniętym do bólu językiem, by wytoczyć choć kroplę śliny, którą mógł wsączyć w spękane i pociemniałe usta Dirka, utrzymując go przy życiu.

– Kiedy Mbejane wreszcie nadjechał, łkałeś.

Spłoszony wierzchowiec dotarł do wozów, mając podbrzusze głęboko rozorane przez pazury lwa. Stary zuluski myśliwy, sam zaatakowany przez malarię, osiodłał swego siwka i ruszył z drugim koniem przytroczonym do siodła. Idąc tropem konia, trafił do legowiska lwa i odnalazł ślady mężczyzny i dziecka. Szedł za nimi przez cztery zimne, wietrzne dni. Kiedy wreszcie ich odnalazł, siedzieli skuleni na piasku pod palącym słońcem, czekając na śmierć.

– To był jedyny raz, kiedy widziałem cię płaczącego – powiedział Dirk. – Ale czy ty zastanawiałeś się kiedy, ile razy widziałeś mnie płaczącego?

Sean nie chciał słuchać tego dłużej. Nie chciał, by przypominano mu to cudowne, dzikie i ukochane dziecko, które wychował jako ojciec, zastępując mu zarazem matkę, ale cichy, hipnotyzujący głos Dirka uwięził go w pajęczynie wspomnień, z której nie było ucieczki.

– Czy uświadomiłeś sobie kiedyś, jak cię wtedy uwielbiałem. Jak zbudowałem na tobie całe swoje życie, jak naśladowałem każdy twój gest, jak starałem się być tobą?

Sean potrząsnął głową, próbując zaprzeczyć, odrzucić tę myśl.

– Tak, chciałem być taki jak ty. Być może udało mi się to...

– Nie – głos Seana był zduszony i niski.

– Być może właśnie dlatego odtrąciłeś mnie – powiedział Dirk. – Widziałeś we mnie swe lustrzane odbicie i nie chciałeś się do tego przyznać, więc odepchnąłeś mnie, pozwalając, bym płakał w samotności.

– Nie, Boże, nie – to nieprawda. To nie było tak.

Dirk zawrócił konia, aż jego noga dotknęła nogi Seana.

– Ojczy, jesteśmy jedną i tą samą osobą, jesteśmy jednością. Dlaczego nie przyznasz, że jestem tobą? To równie pewne jak fakt, że powstałem w twoich łądźwiach i że nauczyłeś

mnie wszystkiego i ukształtowałaś mnie.

– Dirk... – zaczął Sean, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Całe jego jestestwo zostało dotknięte i poruszone do najgłębszych korzeni.

– Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że wszystko, co robiłem, robiłem dla ciebie? Nie tylko jako dziecko, ale też jako wyrostek i mężczyzna. Czy zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego powróciłem do Ladyburga? Mogłem przecież pojechać gdziekolwiek indziej – do Londynu, Paryża, Nowego Jorku – cały świat stał przede mną otworem. Mimo to wróciłem właśnie tu. Dlaczego, ojcze, powiedz, dlaczego?

Sean pokręcił głową, niezdolny odpowiedzieć. Patrzył na tego mężczyznę, tego pięknego nieznajomego o tak niesamowicie witalnej i niepokojącej osobowości.

– Powróciłem tu, bo ty tu byłeś.

Milczeli teraz obaj w potyczce siły woli i rozterce sprzecznych uczuć. Sean poczuł, że jego zdecydowanie słabnie, że z wolna dostaje się w sidła uroku, który Dirk rozciągał. Ugodził konia ostrogą, zmuszając go do nawrócenia i przerywania kontaktu fizycznego ich nóg, ale Dirk ciągnął dalej bez najmniejszych skrępułów.

– Był to dowód mej miłości – miłości tak silnej, że stawiała czoło twym zniewagom, twemu zaparciu się mnie, każdemu ciosowi, którym w nią godziłeś. Na dowód tego uczucia przybywam teraz do ciebie, pozwól mi być znów twym synem. Połączmy swe fortuny i zbudujmy imperium. Oto jest kraina, bezkresna kraina, dojrzała i czekająca tylko, byśmy ją wzięli.

Dirk wyciągnął ku niemu rękę, z dłonią obróconą ku górze i z wyprostowanymi palcami.

– Uściśnij mi dłoń, by to przypieczętować, ojcze – przynagłał. – Nic nas nie powstrzyma. Razem ruszymy świat w posadach, razem staniemy się bogami.

– Dirk – Sean wreszcie odzyskał głos i poczuł, że zdoła uwolnić się z pułapki, w którą został zwabiony. – Znałem wielu ludzi i żaden z nich nie był ani bezgranicznie dobry, ani kompletnie zły. Każdy był zlepkiem tych dwóch cech, dobra i zła – tak było, zanim poznałem ciebie. Jesteś jedynym człowiekiem, który jest do cna zły, złem nie złagodzonej najmniejszą krztyną dobra. Kiedy wreszcie zostałem zmuszony uznać ten fakt, raz na zawsze odwróciłem się od ciebie.

– Ojcze!

– Nie nazywaj mnie tak. Nie jesteś mój i już nigdy nie będziesz.

– To wielka fortuna. Jedna z największych fortun tego świata.

– Nie – Sean pokręcił głową. – Ona nie jest tu dla ciebie ani dla mnie. Ona należy do całego narodu, do wielu ludzi – Zulusów, Anglików i Afrykanerów – nie do mnie, a zwłaszcza nie do ciebie.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio, dałeś mi podstawy sądzić... – Dirk zaczął protestować.

– Nie dałem ci powodu ani też nic nie obiecałem.

– Powiedziałem ci wszystko, ojcze, zdradziłem ci swoje plany.

– Tak – powiedział Sean. – Chciałem tego wysłuchać, chciałem poznać każdy najmniejszy szczegół, ale nie żeby ci pomóc, lecz żeby móc ci się przeciwstawić. – Sean przerwał dla zwiększenia efektu, po czym pochylił się i przybliżył twarz do twarzy Dirka tak blisko, że mógł spojrzeć mu w oczy. – Nigdy nie dostaniesz ziem za rzeką Bubezi. Przyrzekam ci to – powiedział cicho, ale tak dobitnie, że każde słowo dudniło niczym dzwon katedralny.

Dirk cofnął się. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Odtrąciłem cię, ponieważ jesteś zły. Będę walczył z tobą ze wszystkich sił, nawet jeśli miałbym poświęcić swe życie.

Rysy twarzy Dirka przybrały całkiem inny wyraz. Linia ust zwarła się, a szczęka stała się kanciasta. Oczy zwężyły się i błysnęły niczym wilcze ślepie.

– Oszukujesz sam siebie, ojczu. Ty i ja jesteśmy jednością. Jeśli ja jestem zły, to ty jesteś źródłem, podwaliną i ojcem tego zła. Nie zarzucaj mnie górnolotnymi, szlachetnymi frazesami i nie przybieraj póz. Znam cię zbyt dobrze, nie zapominaj o tym. Znam cię równie dobrze jak siebie samego. – Zaśmiał się znów, ale nie był to już beztroski śmiech. Był to okrutny wysoki ton, przy którym ciasna linia warg nie odprężyła się. – Odtrąciłeś mnie dla tej swojej żydowskiej kurwy i tego bękarciego pomiotu, który spłodziłeś w jej miękkim, białym brzuchu.

Sean ryknął. Był to niski, złowieszczy ryk wściekłości. Koń pod nim spłoszył się. Wspiął się wysoko na tylnych nogach i przednimi ciął powietrze. Klacz cofnęła się przerażona, drepcząc i cofając się, gdy Dirk wcisnął się w jej pysk wędzidłem.

– Twierdzisz, że będziesz walczył ze mną aż do kresu swych dni? – krzyknął do ojca. – Może nie będziesz musiał długo na to czekać. Ostrzegam cię. – Zapanował nad koniem, kierując go znów ku ogierowi, by móc krzyknąć: – Nikt nie stanie mi na drodze. Zniszczę cię, tak jak zniszczyłem innych, którzy tego próbowali. Zniszczę ciebie i tę twoją żydowską kurwę!

Sean zamierzył się sjambokiem i poruszył szybko nadgarstkiem, tak iż cienki czarny bicz ze skóry hipopotama ciął niczym skrzydło dzikiej gęsi. Mierzył w twarz, w szczerzący zęby złośliwy wilczy łeb mężczyzny, który kiedyś był jego synem.

Dirk zatrzymał ten cios uniesionym ramieniem, ale bicz przeciął gruby tweed kurtki niczym cięcie szabli. Krew trysnęła, plamiąc kosztowną tkaninę. Ściągnął cugle, wycofując klacz szeroko zakreślonym kołem. Trzymał ranę, starając się przycisnąć jej brzegi do siebie. Spojrzał teraz na Seana z twarzą ziejącą bezbrzeżną nienawiścią.

– Zabiję cię za to – powiedział cicho. Wycofał klacz, by następnie zmusić do równego galopu, wprost na pięciorzędowe, wysokie na pięć stóp ogrodzenie z drutu kolczastego.

Klacz wybiła się do skoku, rozciągnęła w powietrzu, by wylądować zgrabnie po drugiej stronie. Z gracją zebrała się w sobie, w pełni panując nad sytuacją, i znów zerwała się do biegu, dając doskonały popis swoich możliwości.

Sean przyjrzał się swemu ogierowi, walcząc z pokusą, żeby zmusić go do galopu po ścieżce ku wzgórzu, teraz prawie niewidocznej, bo zarośniętej trawą. Tylko człowiek znający ją dobrze, ktoś, kto przebył ją wiele razy, wiedział, że w ogóle tam jest.

Z lepianek Mbejane'a nie zostało już nic prócz podmurówki z kamieni – białych kręgów w trawie. Spalili te chaty, rzecz jasna, jak to Zulusi mieli w zwyczaju, kiedy umierał ich wódz.

Ścianka pomieszczenia stała niewzruszenie. Kamienie zostały dobrane starannie, z wręcz tkliwą uwagą, poszczególne bryły ściśle przyległy do siebie, tworząc sięgający ramion murek.

Sean zsiadł i przytroczył konia przy bramie. Zauważył, że wciąż jeszcze drżą mu dłonie. Czuł się jak rozbierany gorączką, dusiły go mdłości, wszystko to był wynik burzy emocji.

Przysiadł na murku, którego płaskie, wyrobione kamienie przylegały idealnie do jego pośladków. Przypalił cheroota. Aromatyczny dym uspokoił trzepot serca i złagodził drżenie rąk.

Spojrzał na kraal. [zabudowania otoczone palisadą, zagroda dla bydła.]

Wódz zuluski jest chowany pośrodku kraalu dla bydła w pozycji siedzącej, z twarzą zwróconą ku wschodzącemu słońcu. Na głowie ma nadal pierścień induna i jest zawinięty w mokrą skórę świeżo zabitego wołu, symbolu jego bogactwa. Chowa się go razem z naczyniem na jedzenie i piwo, tabakierką, jego ulubioną tarczą i dzidami przy boku. Jest dobrze przygotowany do tej ostatniej podróży.

– Witaj, stary przyjacielu – powiedział cicho Sean. – Wychowaliśmy go tu, ty i ja. A mimo to cię zabił. Nie wiem jak i nie mogę tego udowodnić, ale wiem, że zabił cię, a teraz poprzysiągł, że zabije i mnie – głos załamał mu się.

– Więc – powiedział Sean z uśmiechem. – Jeśli aż musisz zapowiadać się, by porozmawiać ze mną, musi to być sprawa wielkiej wagi.

Mimo wesołego błysku w oku mierzył Marka przenikliwym, badawczym spojrzeniem. Oczywiście Storm miała rację. Ten chłopak zebrał się w sobie, by go poinformować o swojej decyzji. O tym, że zamierza wyruszyć dokądś sam, jak ranne zwierzę czy lwiątko opuszczające stado, gdy dorośnie. Która z tych dwóch przyczyn kieruje nim, myślał Sean, i jak głęboki ślad zostawi na tym młodzieńcu to rozstanie?

– Tak, sir, można by tak powiedzieć – zgodził się Mark, ale po raz pierwszy nie potrafił spojrzeć Seanowi w oczy. Jasne i zazwyczaj szczere oczy uciekały przed wzrokiem Seana. Błądziły spojrzeniem po regałach z książkami, potem przeniosły się ku oknu i zapatrzyły w skąpany słońcem widok, rozciągający się za nim, na plantację trzciny cukrowej i dolinę leżącą poniżej. Patrzył, jakby widział ten obrazek po raz pierwszy w życiu.

– Chodź więc – Sean odsunął fotel od biurka, zdjął oprawne w drucik okulary z nosa i pomachał nimi w kierunku krzesła stojącego przy oknie.

– Dziękuję, sir.

Kiedy podążał ku niemu, Sean wstał i podszedł do wykładanego drzewem barku.

– Jeśli to ma być coś ważnego, lepiej wypijmy po kropelce dla wzmocnienia, jak przed skokiem głową w dół – uśmiechnął się.

– Nie ma jeszcze południa – zauważył Mark. – Pan sam nauczył mnie tej zasady.

– Człowiek, który tworzy zasady, na też prawo je zmieniać – powiedział Sean, nalewając dwie potężne miarki złotobrunatnego alkoholu i zalewając go wodą z syfonu. – Oto zasada, którą uchwaliłem właśnie przed chwilą – zaśmiał się grubym chichotem samozadowolenia, zanim dokończył: – Cóż, mój chłopcze, skoro to jest nieuniknione, wybrałeś sobie odpowiedni dzień. – Zaniósł Markowi jedną ze szklaneczek i wrócił za biurko. – Ja też mam naglące i ważne kwestie do przedyskutowania.

Pociągnął łyk ze szklanki, cmokając wargami z ewidentnym zadowoleniem i otarł wąsy wierzchem dłoni.

– Czy jako starszy mogę wpieryw przedstawić swoją sprawę?

– Oczywiście, sir – powiedział Mark z ulgą i skosztował ostrożnie trunku.

Sean patrzył na niego ze źle skrywanym zadowoleniem. Uknuł plan tak diabelski i nagiął do swych potrzeb tak perfekcyjnie, że nie miał najmniejszych wątpliwości, iż został on poczęty dzięki boskiemu natchnieniu.

Nie chciał stracić tego młodego człowieka, ale wiedział zarazem, że zatrzymując go na siłę, tylko umocni go w jego postanowieniu.

– Kiedy byłem w Kapsztadzie, odbyłem dwie długie rozmowy z premierem – zaczął – a od tego czasu prowadzimy ożywioną korespondencję. W wyniku tego generał Smuts uformował osobne ministerstwo i powierzył je mojemu zarządowi. Jest to teka ministra do spraw parków narodowych. Oczywiście, musi to jeszcze zostać zatwierdzone przez parlament. Potrzebujemy funduszy i nowych ludzi, ale już teraz mogę zacząć od badania i mierzenia terenów chronionych i podjąć wstępne działania, by chronić je i rozwijać.

Mówił dalej przez prawie kwadrans, cytując fragmenty listów premiera i memorandumów, objaśniając i rozwijając kwestie, dyskutował, omawiał w szczegółach swe zamierzenia. Mark siedział pochylony do przodu w krześle, z zapomnianą szklanką w ręku, i słuchał. Czuł, że ta praca jest jego przeznaczeniem, nie ważył się oddychać, chłonąc wspaniałą perspektywę, jaka się przed nim otwierała.

Sean sam był podniecony wizją, którą tworzył. Zerwał się zza biurka i zaczął krążyć po jasnej drewnianej podłodze. Gestykulował przy tym z ożywieniem, jakby chcąc za pomocą rąk lepiej przekazać swe zamysły. Potem nagle zatrzymał się przed Markiem.

– Zrobiłeś na premierze duże wrażenie tej nocy w Booyens i nawet długo przed nią. – Znów zamilkł, a Mark był tak zaferowany, że nawet nie zauważył przebiegłego wyrazu jego

twarży. – Nie miałem większych problemów z przekonaniem go, że jesteś najwłaściwszym człowiekiem na to stanowisko.

– Jakie stanowisko? – zapytał gorliwie Mark.

– W pierwszej kolejności zamierzam skoncentrować się na terenach przy Bramie Chaki i na dolinie Bubezi. Ktoś musi pojechać tam, by przeprowadzić badania i dokonać pomiarów potrzebnych do przedstawienia w parlamencie. Ty znasz te tereny jak własną kieszeń...

Wielka cisza i kojący spokój tamtej głuszy powróciły falą do Marka, który poczuł, że się nią upija.

– Rzecz jasna, kiedy wniosek dotrze do parlamentu, będę potrzebował człowieka, który by pilotował sprawę.

Mark osunął się w krzesło. Nagle jego poszukiwania dobiegły końca. Nieoczekiwanie otrzymał szansę, o jakiej nie mógł nawet marzyć. Znalazł cel w życiu, tak jak okręt na pełnym morzu ustala właściwy kurs z wiatrem dmącym prosto w żagle, który pomoże mu dopłynąć do portu.

– A teraz, o czym to chciałeś rozmawiać ze mną? – zapytał Sean z genialną przebiegłością.

– O niczym – powiedział Mark cicho. – Zupełnie o niczym. – Jego twarz emanowała blaskiem jak twarz nawróconego wyznawcy w chwili objawienia.

Mark Anders od wczesnego dzieciństwa nie zaznał prawdziwego szczęścia. Niczym niewiniątka, odkrywające po raz pierwszy w życiu moc alkoholu, z całą pewnością nie był przygotowany na sprostanie temu. To wszystko wprawilo go w stan euforii, stanowiło odurzający wzlot na najwyższe poziomy doznań ludzkich, których istnienia dotąd nawet nie podejrzewał.

Sean Courteney zatrudnił nowego sekretarza, by przejął od Marka jego dotychczasowe obowiązki. Był to przedwcześnie wyłysiały, nigdy nie uśmiechający się mały człowieczek, odziany w wyświechtaną alpakową marynarkę ze staromodnym celuloidowym kołnierzykiem. Nosił też daszek osłaniający oczy i zarekawki. Był milczący, pracowity i całkowicie godny zaufania. Nikomu w Lion Kop nie przyszłoby do głowy zwracać się do niego inaczej niż „Panie Smathers”. Mark miał zostać miesiąc dłużej, by wprowadzić pana Smathersa w jego nowe obowiązki. W tym samym czasie zamierzał uporządkować własne sprawy i przygotować się do wyjazdu do Bramy Chaki.

Dzięki niezwyklej wszechstronności i bystrości pana Smathersa, Mark poczuł się zwolniony prawie całkowicie z dotychczasowych zajęć jeszcze przed upływem tygodnia i mógł spokojnie pławić się w swoim szczęściu. Dopiero teraz, gdy zostało mu to dane, zrozumiał, jak wysokie, kamienne portale Bramy Chaki odcisnęły się na całym jego życiu. Jak stawały się głównymi filarami jego egzystencji. Pragnął być tam już teraz, otoczony ciszą, pięknem i spokojem. I budować coś, co zostałoby tam na zawsze. Szaleństwo uczuć i zdarzeń ostatnich tygodni odciągnęły jego uwagę i myśli od zadania, które sobie postawił. Odnależć

grób dziadka Andersa i rozwiązać zagadkę jego śmierci. Teraz wszystko było przed nim. Jego życie miało cel i kierunek.

To były dopiero podwaliny i podstawa jego szczęścia, z której mógł rzucić się w niebiańskie odmęty miłości.

Prawdziwe oczarowanie zrodziło się z tych paru nieprawdopodobnych chwil na trawiastych stokach skarpy Ladyburga. Jego miłość zrodzona w skrytości była dotychczas zimnym i ciężkim jak gład brzemieniem, a teraz w jednej chwili wybuchła i rozkwitła. Była jak ziarno przegradzające się w roślinę, o takiej żywotności, barwie i pięknie, że na razie nie potrafił nad nią zapanować.

Pielegnowali ją ze Storm tak troskliwie, że nikt poza nimi nie domyślił się istnienia tego uczucia. Snuli szalone plany i składali sobie obietnice, wymyślali wspaniałe, pomysłowe wykręty, by tylko ochronić ten cudowny skarb. Nie rozmawiali ze sobą ani nawet nie patrzyli na siebie w towarzystwie osób trzecich, a konieczność ciągłego trzymania na wodzy swych uczuć i maskowania się obciążała ich do tego stopnia, że prawie rzucali się na siebie, gdy tylko zostawali sami.

Kiedy nie byli razem, spędzali większość czasu na obmyślaniu sposobu, jak by znów się spotkać. Pisali do siebie płomienne liściki, które przekazywali sobie pod stołem w obecności Ruth i Seana, a które powinny im parzyć palce. Stworzyli swoje własne kody i znaki, odkryli tajemne miejsca i wciąż ryzykowali. Poczucie grożącego niebezpieczeństwa dodawało smaku już i tak pikantnej uczcie miłości i rozkoszy, którą oboje nie mogli się nasycić.

Na początku jeździli do ukrytych w lesie miejsc po zarośniętych ścieżkach. Ostatni kilometr pokonywali galopem, dojeżdżali na miejsce zdyszani i roześmiani i obejmowali się jeszcze siedząc w siodłach. Ich konie dreptały wtedy w miejscu i prychały niecierpliwie. Pierwszym razem – wciąż tak objęci osunęli się z siodła na poszycie leśne z opadłych liści i mchu. Konie puścili luzem. To był długi spacer powrotny do domu, zwłaszcza że tulili się do siebie jak pijani i zataczali od śmiechu. Na szczęście ich konie odkryły pole lucerny, nim dotarły do domu, tak więc uniknęły powrotu na pieszo i obudzenia tym podejrzeń stajennych. Ich sekret nie został odkryty, choć stracili parę cennych chwil, ponieważ Mark musiał złapać konie.

Wkrótce przestała im wystarczać godzinka wykradana w czasie dnia i zaczęli się spotykać w atelier Storm. Mark wdrapywał się tam po drzewie banganu, [(łac. *Ficus bengalensis*).] przeslizgując się między gałęziami. Storm czekała już przy otwartym oknie, popiskując cicho z przerażenia, że poślizgnie mu się stopa, lub syczała ostrzegawczo, kiedy przechodził pod drzwiami służący, i odwoływała alarm klaszcząc w dłonie. Zarzucała mu ramiona na szyję już w momencie, gdy przekraczał parapet.

Atelier było nieumeblowane, nie licząc jednego drewnianego krzesła, podłoga goła i twarda, a niebezpieczeństwo czyjegoś wejścia zbyt wielkie, by nawet oni je zignorowali. Byli jednak równie pomysłowi co nieposkromieni, toteż wkrótce odkryli, że Mark jest

wystarczająco silny, a Storm tak lekka, że wszystko stało się możliwe.

Kiedyś Mark stracił równowagę w samym szczycie ich kochania się i oparł ją plecami o jedno z nie dokończonych dzieł. Musiała później klęczeć na drewnianym krześle z podciągniętą aż do pasa spódnicą, wypinając swój idealnie kształtny tyłeczek, podczas gdy on usuwał z niego smugi palonej umbry i paryskiego błękitu szmatką zamoczoną w terpentynie. Storm utrudniała mu jeszcze to zadanie, trzęsąc się od powstrzymanego śmiechu. Spłonila się tak gwałtownie, że nawet jej siedzenie lśniło niebiańskim różem. Od tego dnia zapach terpentyny działał na Marka jak najsilniejszy afrodyzjak.

Innym razem na korytarzu rozległ się huk, a potem charakterystyczne, lekko powłóczyście kroki zatrzymały się tuż pod drzwiami studia. Zamarli, pobledli ze strachu. Niezdolni oddychać, czekali na jego wejście.

Stanowcze pukanie do drzwi wystraszyło Storm, która wpatrywała się w twarz Marka z ogromniami z przerażenia oczami. Przejął natychmiast inicjatywę, wiedząc dobrze, w jak wielkim znaleźli się niebezpieczeństwie. Sean Courteney byłby zdolny do wszystkiego, gdyby ktoś poważał się tknąć jego niewinne jagniątko.

Mark szeptał cicho, jednocześnie poprawiając ubranie rozszalałymi dłońmi. Storm zachowała się dzielnie, mimo że jej głos łamał się i drżał.

– Chwileczkę, tatku.

Mark złapał pomazany farbami kitel i prawie wcisnął jej przez głowę. Potem wyjął pędzel ze słoja i umieścił w jej prawej dłoni, po czym uściśnawszy ją lekko za ramiona uspokajającym gestem, pchnął lekko ku drzwiom.

Między płótnami a ścianą było akurat dość miejsca, by wczołgać się tam i przykucnąć. Próbował wstrzymać oddech, nasłuchując jednocześnie, jak odmyka drzwi i wita ojca.

– Od kiedy to zamykasz drzwi, moja panno? – zagrzmiał Sean. Omiótł puste studio podejrzliwym spojrzeniem. – Przeszkadzam, co?

– Ty, tatku, nigdy.

Weszli do pokoju. Storm dreptała za nim potulnie, kiedy chodził od jednej pracy do drugiej, oceniając je krytycznie.

– Na Wagon's Hill nie ma takiego drzewa.

– Ja nie robię zdjęć, tatku. Tam powinno być takie drzewo. To równoważy kompozycję. Nie widzisz tego?

Wyszła z tej sytuacji zwycięsko i Mark pokochał ją jeszcze bardziej, aż do granic bólu. Poczul się na tyle ośmielony, by zerknąć ostrożnie znad krawędzi płótna i pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była para majtek z czystego jedwabiu, o nogawkach wykończonych muślinową koronką w kolorze kości słoniowej. Leżały zwinięte i porzucone na podłodze atelier dokładnie tam, gdzie Storm je wcześniej zsunęła.

Poczul, jak fala zimnego potu zrasza mu czoło. Leżąc na gołej podłodze, starał się sięgnąć ręką po tę ewidentnie grzeszną małą rzecz, ale była poza zasięgiem jego palców.

Storm zawisła u ramienia ojca najpewniej dlatego, że nogi odmówiły jej posłuszeństwa, ale zauważyła rozpaczliwe ruchy ramienia Marka i rozwarła dłoń starając się coś schwycić. Ogarnęła ją znów fala strachu.

Paplała nic nie znaczące słowa w odpowiedzi na pytania ojca, próbując odciągnąć go ku drzwiom, ale usiłowania te były podobne do próby zmiany raz obranego przez szarżującego słonia kursu. Sean nieubłaganie zmierzał ku porzuconym pantalonom i płótnu, za którym ukrył się Mark.

Przy następnym kroku jedwab owinał mu się wokół cholewy jednego z butów. Materiał był zwiewny i lekki, więc nie zauważył go i kuśtykał dalej beztrosko, podczas gdy dwoje młodych obserwowało w niemym przerażeniu wędrówkę bielizny po pokoju.

Przy drzwiach Storm zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała, jednocześnie odczepiając kompromitującą część odzienia czubkiem buta. Potem wypchnęła ojca na korytarz w nieprzyzwoitym pośpiechu i zatrzasnęła za nim drzwi. Osłabli z przerażenia i od śmiechu stali objęci pośrodku pokoju. Mark poczuł się skarcony tak skutecznie, że kiedy już odzyskał głos, zapowiedział jej poważnie:

– Nie będziemy już tak ryzykować, rozumiesz?

– Tak, panie – zgodziła się potulnie, ale w oku miała ten nikczemny błysk.

Mark obudził się parę minut po północy, poczuwszy, jak mokry, ostry języczek wnika mu głęboko w ucho. Prawie krzyknął, ale silna mała dłoń zacisnęła się stanowczo na jego ustach.

– Oszalałaś – wyszeptał, kiedy zauważył w świetle księżyca padającym przez otwarte okno, że nachyla się nad nim. Wiedział, że musiała przejść przez cały niemal dom, poprzez kręte korytarze i po skrzypiących schodach, w nieprzeniknionych ciemnościach i ubrana tylko w zwiewną piżamkę.

– Tak – zaśmiała się – jestem szalona. Zupełnie i cudownie nawiedzona niesamowitym i szlachetnym pomieszaniem zmysłów.

Był na wpół śpiący, bo inaczej nie zadałby następnego pytania:

– Co ty tu robisz?

– Przybywam, by się z tobą kochać – powiedziała wślizgując się do łóżka tuż przy nim. – Mam zimne stopy – oznajmiła uroczyście. – Rozgrzej mi je.

– Na litość boską, nie hałasuj tak – błagał, co było śmiesznym żądaniem w tych okolicznościach. Po paru minutach bowiem oboje wznosili taki chór okrzyków, że powinien być zbudzić cały dom. Dużo później zamruczała do niego tym szczególnym kocim głosem, który zdążył już tak dobrze poznać.

– Jest pan zadziwiająco utalentowanym człowiekiem, panie Anders. Gdzie też nauczył się pan bycia tak aż do cna zdeprawowanym? – zachichotała sennie. – Jeśli mi na to odpowiesz, będę zmuszona wydrapać ci oczy.

– Nie powinnaś przychodzić tu nigdy więcej.

- Czemu nie? W łóżku jest dużo wygodniej.
- A jeśli twój ojciec się dowie?
- Zamorduje cię – powiedziała spokojnie. – Ale co to, u licha, ma do rzeczy?

Jedną z ubocznych korzyści płynących dla Storm z tego związku był fakt, że znalazła wreszcie męskiego modela o wspaniałej figurze, który pozował do jej prac. Szukała kogoś takiego od dawna, ale o pomoc w tej sprawie nie śmiała prosić nawet ojca. Zbyt dobrze wiedziała, jaka byłaby jego reakcja.

Mark nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony i musiała go długo namawiać, nim zgodził się rozebrać, zachowując przy tym zimną krew. Urządziła swoje studio modeli w jednej z sekretnych kryjówek w lesie. Mark usiadł zażenowany na obalonym pniu drzewa.

- Odpręż się – błagała. – Myśl o samych przyjemnych rzeczach.
- Czuję się jak idiota – protestował.

Był nagi, prócz prążkowanych bawełnianych slipek, których nie zamierzał się pozbyć za żadne skarby mimo jej wielokrotnych próśb.

- Zresztą nie mam pod nimi nic wartego uwiecznienia na płótnie – zauważył.
- Nie o to chodzi. Masz być antycznym Grekiem, a kto widział atletę olimpijczyka w...
- Nie – uciał krótko. Zostawiam je na sobie. To moje ostatnie słowo.

Westchnęła nad zawiłą naturą mężczyzn i skupiła się na płótnie i farbach. Z czasem rzeczywiście się odprężył i nawet zaczął rozkoszować swobodą, ciepłymi promieniami słońca i podmuchem wiatru na skórze.

Poza tym obserwowanie jej przy pracy sprawiało mu niezmienną przyjemność. Ta mała zmarszczka ogromnego skupienia, wpół przymknięte oczy, porcelanowo-białe zęby przygryzające w zamyśleniu dolną wargę. Uwielbiał niemal taneczny rytuał kroków wokół sztalug, jaki odprawiała. Patrząc tak, marzył o ich wspólnej przyszłości, kiedy będą szli dłoń w dłoń przez dziki ogród za Bramą Chaki.

Była to przyszłość pełna szczęścia, tętniąca wspólną pracą i osiągnięciami, i zaczął opowiadać jej o tym, pozwalając myślom ucieleśnić się w słowa, których Storm nie słyszała.

Jej uszy były głuche na nie, całe jej istnienie skupiło się w dłoniach i oczach, widziała jedynie kolor i formę, wrażliwa tylko na nastrój chwili. Widziała, jak niezręczność i sztywność jego ciała roztapia się w pełną naturalnej gracji pozę, taką, w jaką nigdy nie zdołałaby go ustawić. Widziała, jak jego rysy rozjaśniają się w uniesieniu, potakiwała więc, potwierdzała cichymi pomrukiwaniami, nie chcąc zepsuć ani zakłócić wyjątkowości tej chwili. Cały umysł i kunszt skupiła na tej jednej czynności. Jej własne uniesienie spotęgowało się, co jego z kolei wprawiało w euforię. Zdawali się spleć nierozerwalnie jedwabistymi więzami miłości i wspólnoty celu. W rzeczywistości byli tak oddaleni od siebie jak słońce i księżyc.

– Zbadam te tereny w poszukiwaniu miejsca idealnego do postawienia domostwa – powiedział – to może mi zająć nawet cały rok. Należy przyjrzeć się ziemi o każdej porze

roku. Z dobrym dostępem do wody w czasie suszy, ale zabezpieczonej przed powodzią w porze deszczowej. Chłodny wiatr w lecie i osłona przed zimnem w zimie.

– O, tak! – szeptała. – Wspaniale. – Patrzyła właśnie na jego oczy. Gdyby tylko udało mi się uchwycić ten ogień w oku, dzięki któremu tak lśni, myślała, dodając odrobinę błękitu do bieli, by dobrać właściwy ton.

– Na początku dwa pokoje. Jeden do spania i jeden stołowy. Oczywiście szeroka weranda z widokiem na całą dolinę.

– Cudownie – zgodziła się, dotykając oka na płótnie czubkiem pędzla. Natychmiast ożyło i odwzajemniło się jej spojrzeniem tak pełnym ekspresji, że aż ścisnęło się jej serce.

– Kamienie dobiorę z urwiska, ale nie tego w pobliżu rzeki, muszą być nie uszkodzone i równe, strzechę wytniemy na brzegu moczarów, a belki stropowe w lesie.

Słońce przetoczyło się na zachód, przeświecając przez sklepienie z listowia zielonkawym chłodnym światłem. Gdy tak głaskało twarde mięśnie jego ramion i rzeźbiło marmur pleców, zobaczyła, że jest piękny.

– Będziemy wznosić go powoli, w miarę potrzeb dobudowując kolejne pokoje. Zaprojektuję to wszystko sam. Kiedy przyjdą dzieci, możemy przerobić stołowy na dziecinny i dobudować nowe skrzydło.

Niemal czuł już wonny, żywiczny zapach świeżo ociosanych pali i słodką woń dopiero co ściętej trzciny. W myślach widział już nowy dach ciemniejszy i patynujący się od pogody. Czuł chłód pokoi w letnie południe i słyszał trzask gałązek mimozy w kamiennym kominku w zimne, rozgwieżdżone noce.

– Będziemy szczęśliwi, Storm, obiecuję ci to.

Były to jedyne słowa, jakie dotarły do niej. Podniosła głowę, by na niego spojrzeć.

– O, tak. Będziemy szczęśliwi – powtórzyła jak echo i uśmiechnęła się do siebie w zupełnym niezrozumieniu.

Kiedy oznajmił Ruth, że Mark odchodzi, jej rozpacz przeraziła go. Sean nie zdawał sobie dotąd sprawy, że zdołał on zdobyć także i jej uczucia.

– Och, nie, Sean! – zaprotestowała.

– Nie jest aż tak źle, jakby mogło być – zapewnił ją szybko. – Nie stracimy go zupełnie, znajdzie się po prostu na dłuższej uździe, to wszystko. Będzie nadal pracował dla mnie, ale tylko w zakresie moich obowiązków oficjalnych. – I wyjaśnił jej cały układ.

Milczała jeszcze długo po tym, jak przestał mówić, rozważając wszystkie aspekty tego planu, nim wyraziła swą opinię.

– Będzie w tym dobry, myślę – przyznała wreszcie. – Ale zdążyłam przyzwyczaić się do jego obecności w naszym domu. Będzie mi go brakowało.

Sean wymamrotał coś, co można było uznać za potwierdzenie, sam niezdolny do wygłoszenia tak sentymentalnego oświadczenia wprost.

– Cóż – Ruth natychmiast dodała, jej podejście do całej sprawy stało się nagle bardzo zasadnicze. – Będę musiała to jakoś przeboleć – co oznaczało, że Mark zostanie wyprawiony do Bramy Chaki przez jednego z największych ekspertów świata w tej dziedzinie. Wyprawiała swego męża na wojny czy safari na tyle często, by wiedzieć dokładnie, czego będzie potrzebował – rzeczy absolutnie niezbędnych, by przetrwać i żyć wygodnie w afrykańskim buszu.

Z doświadczenia wiedziała, że wszystko, co nie będzie używane, toboły pełne zbędnego luksusu, wróć do domu nie rozpakowane lub zostaną porzucone po drodze. Mimo to wszystko, co wybierała, było zawsze najlepszej jakości. Rewidowała plecak wojskowy Seana pod kątem potrzeb Marka bez litości, zastanawiając się nad każdą z rzeczy, by stwierdzić kategorycznie:

– Sean nie użyje tego więcej.

Śpiwór wymagał zacerowania i zrobiła z tej prostej na pozór naprawy małe dzieło sztuki. Następnie skupiła się na jedynej zbytkownej pozycji jego bagażu, książkach. Wybór omówiła szczegółowo z Markiem, ciężar i objętość bowiem zmuszały do doboru książek nadających się do wielokrotnego czytania. Mieli z czego wybierać, setki zniszczonych starych tomów, poplamionych błotem i deszczem, pochłapanych rozlaną herbatą i w więcej niż jednym przypadku mających na sobie plamy krwi, spłowiałych od słońca i upływu czasu. Każdy z nich przebył długie kilometry w płóciennym plecaku Seana: Macaulay i Gibbon, Kipling i Tennyson, Szekspir. Znaleźli nawet miejsce dla małej, oprawnej w skórę Biblii. Wszystkie te pozycje spotkały się z pozytywnymi ocenami i przychylnością surowej komisji kwalifikacyjnej. Mark, którego poprzedni ekwipunek polowy składał się z koca, garnka i łyżki, czuł się, jakby przydzielono mu na stałe apartament w hotelu w Dorchester.

Sean zadbał o inne rzeczy niezbędne Markowi w tej eskapadzie. Mannlichera 9.3 w skórzanym futerale i dwa muły. Były to duże, zwaliste zwierzęta nawykłe do ciężkiej pracy i o zrównoważonym usposobieniu. Oba uodporniono uprzednio na ukąszenia muchy tse–tse przez świadome wystawienie ich na atak tych owadów i jako jedyne z całego stada przeżyły pogrom zarazy. Ta odporność kosztowała Seana słono, ale nie żałował tego wydatku wiedząc, że wskaźnik śmiertelności u mułów wynosi w tym przypadku dziewięćdziesiąt procent. Wzięcie uodpornionych zwierząt było koniecznością. Oszczędzą mnóstwo kłopotów, a zabranie słabszych zwierząt w rejon Bramy Chaki równałoby się strzelaniu im między oczy jeszcze przed wyruszeniem.

Każdego dnia Sean przeznaczal godzinę na przedyskutowanie z Markiem założeń i priorytetów tej ekspedycji. Sporządzili listę, która powiększała się z każdym dniem i rosła wraz z entuzjazmem Seana. Wiele razy wtrącał, kręcąc głową i mruczając gniewnie:

– Ty szczęśliwy młokosie. Co ja bym dał, by znów być w twoim wieku i móc powrócić do buszu.

– Przecież może pan przyjechać do mnie z odwiedzinami – zaśmiał się Mark.

– Może i zrobię to – zgodził się Sean i założył znów okulary, by poruszyć kolejny punkt dyskusji.

Głównym zadaniem Marka było sporządzenie szacunkowej oceny, jakie gatunki dzikich zwierząt zamieszkują jeszcze wyznaczony areał i ile ich tam obecnie jest. Rzecz jasna, była to rzecz priorytetowa przed podjęciem jakichkolwiek działań mających na celu ochronę i zachowanie gatunku. Wszystko będzie zależało od oceny zasobów naturalnych całego środowiska, które mieliby otoczyć opieką.

– Może już być za późno – zauważył Sean.

– Nie – Mark nawet nie chciał słuchać tych przypuszczeń. – Tam są dzikie zwierzęta. Jest ich wystarczająco dużo, by dać nam szansę. Jestem tego pewien.

Równie ważną sprawą było nawiązanie kontaktów z ludźmi żyjącymi wokół Bramy Chaki. Z Zulusami wypasającymi bydło w strefie muchy tse-tse, z myśliwymi tubylcami i zbieraczami żyjącymi w obrębie tego pasa, z każdym wędrownym plemieniem, każdą wioską. Miał rozmawiać z każdym wodzem i każdym przywódcą. Dyskutować z nimi, wybadać nastawienie Zulusów do surowych przepisów administrowania rezerwatem i uprzedzić ich, że to, co oni i ich przodkowie uznawali w sposób oczywisty za plemienne tereny łowieckie, teraz znajdują się pod nowym zarządem. Mężczyźni nie mogą już ścinać drzewa budulcowego ani trzciny, zbierać czy polować, kiedy zechcą. Dobra znajomość języka Zulusów mogła okazać się bardzo pomocna. Miał zamiar wybudować sobie tymczasowe domostwo, a jednocześnie rozejrzeć się i wybadać teren pod stałą siedzibę strażnika rezerwatu. Było jeszcze pięćdziesiąt innych zadań nie mniej ważnych, lecz nie tak palących.

Program ten intrygował i podniecał Marka, chciał zacząć od zaraz, ale wraz ze zbliżaniem się daty wyjazdu jedna chmura zaciemniała wspaniałe horyzonty rozciągające się przed nim. Było nią rozstanie z Storm. Pocieszał się jedynie świadomością, że nie na długo. Wyrusza sam do raj, by przygotować miejsce dla swej Ewy.

Kiedy Storm przyglądała się mu śpiącemu płasko na wznak, rozciągniętemu niczym krucyfiks na podłodze lasu, nie miał na sobie nawet slipów, które oddzielałyby go od natury. Na jej twarzy pojawił się ciepły, miękki uśmiech dumnej posiadaczki, uśmiech matki czuwającej nad dzieckiem, które karmi piersią.

Ona sama też była naga, jej odzienie leżało porozrzucane wokół nich niby płatki przekwitłego kwiatu, zanesione tam przez niespokojne wiatry namiętności, które teraz już ucichły i opadły.

Siedziała po turecku na rogu pledu i nachylona przyglądała się jego twarzy. Zastanawiała się, jak młodo wyglądał we śnie. Poczwała, że tkliwość dławi ją w gardle, a miękka, ciepła fala miłości rozlewa się głęboko tam, gdzie on przed chwilą był.

Przybliżyła się do niego, a jej piersi o sutkach o ton ciemniejszych i pomarszczonych niczym małe różowawe rodzyнки pobiegły naprzód pod własnym ciężarem. Wysuwając ramiona pozwoliła, by musnęły go po twarzy, i uśmiechnęła się, kiedy poruszył wargami

przez sen, jakby chrapnięciem chciał odgonić natrętą muchę.

Obudził się nagle i wziął ją w ramiona, ale ona pisnęła cicho i odebrała mu piersi, karcąc klapssem po dłoni.

– Proszę mnie puścić, sir, w tej chwili – rozkazała, lecz przyciągnął ją mocniej do piersi, tak blisko, że mogła usłyszeć bicie jego serca. Wtuliła się w niego, wydając niskie gardłowe dźwięki ukontentowania.

Westchnął głęboko, a jego pierś uniosła się pod jej policzkiem, aż usłyszała powietrze wpadające mu do płuc.

– Mark? – powiedziała.

– Jestem tu.

– Nigdzie nie wyjedziesz. Wiesz?! – zawołała.

Wstrzymał oddech. Dłoń, która głaskała ją delikatnie od wygięcia pleców ku nasadzie karku, zamarła. Poczowała, że jego palce napinają się.

Trwali tak dłuższą chwilę i wreszcie wypuścił powietrze z płuc z ciężkim gwałtownym stęknieniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał. – Dokąd nie wyjadę?

– Do tego miejsca, tam w buszu – odpowiedziała.

– Bramy Chaki?

– Tak. Nie pojedziesz tam.

– Dlaczego nie?

– Bo zakazuję ci.

Usiadł gwałtownie, spychając ją ze swej piersi. Siedzieli naprzeciw siebie i Mark patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, że przeczesła palcami włosy i skrzyżowała ramiona na piersiach, chroniąc je.

– Storm, o czym ty mówisz, u licha?! – zawołał.

– Nie chcę tracić więcej czasu – powiedziała. – Musisz już teraz zacząć starać się przejść na swoje, jeżeli mamy kiedykolwiek dojść do czegoś.

– To jest moja droga – nasza droga – powiedział zdziwiony. – Ustaliliśmy to przecież. Pojadę do Bramy Chaki i wybuduję tam dla nas dom.

– Dom?! – Była autentycznie przerażona. – Tam w buszu? Ja w chatce z trawy? Zwariowałeś, Mark?

– Myślałem...

– Od teraz masz zacząć zarabiać dla nas jakieś pieniądze! – oznajmiła mu wściekle. Podniosła bluzkę i wsunęła w nią głowę, a kiedy wyłoniła się z niej znów, ciągnęła dalej: – I zapomnij o tych zabawach dobrych dla małych chłopców.

– Ależ ja będę zarabiać pieniądze. – Jego twarz stężała i zaczynała wyrażać wrogość.

– Jakie pieniądze? – zapytała lodowatym tonem.

– Będę otrzymywał pensję.

– Pensję! – odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się kpiąco. Pensję, zaiste! Ile?

– Nie wiem – przyznał. – To nie jest aż tak ważne.

– Jesteś dzieckiem, Mark, wiesz? Pensją, dwadzieścia funtów na tydzień? Czy ty naprawdę i szczerze potrafisz wyobrazić sobie mnie utrzymującą się z twojej pensji? – Nadała temu słowu wzgardliwy ton. – Wiesz, kto otrzymuje pensję? Pan Smathers ją otrzymuje. Tak jak służba, która podaje do stołu, i stajenni.

Wciągała właśnie bryczesy, a wraz z nimi przywdziała godną siebie postawę.

– Prawdziwy mężczyzna nie pracuje za pensję, Mark – jej głos był wysoki i dobitny. – Chyba wiesz, czym zajmują się prawdziwi mężczyźni?

On też zapinał właśnie rozporek spodni, zmuszony do tego jej przykładem, i pokręcił głową bez słów.

– Prawdziwi mężczyźni wypłacają pensje, a nie otrzymują je – powiedziała. – Czy wiesz, że mój ojciec w twoim wieku był już milionerem?

Mark nie wiedział, co rozzłościło go bardziej, może powołanie się na Seana w tej chwili, ale nagle stracił panowanie nad sobą. Poczuł, jakby czerwona mgła zalała mu gorącą falą oczy.

– Nie jestem twoim cholernym ojcem! – krzyknął.

– Nie wyrażaj się tak o moim ojcu! – odkrzyknęła. – Jest pięć razy bardziej męski, niż ty kiedykolwiek będziesz.

Stali tam oboje, spoceni i dyszący, w pogniecionych ubraniach, na wpół ubrani. Z dzikimi włosami i jeszcze dzikszym wzrokiem. Łypiąc na siebie spode łba. Niezdolni przemówić ze złości i urazy.

Storm złamała się pierwsza. Przełknęła ślinę z bólem i wyciągnęła dłonie.

– Słuchaj, Mark. Przemyśl sobie to wszystko. Mógłbyś zająć się drzewem budulcowym i sprzedawać je kopalniom. Ojciec odstąpiłby ci tę działkę i mogliśmy mieszkać w Johannesburgu.

Złość nie wyparowała jeszcze z Marka i słyhać to było w jego głosie.

– Dziękuję – powiedział. – Wtedy mógłbym spędzić resztę życia, składając grosz do grosza na te idiotyczne łaszki dla ciebie.

– Nie waż się mnie obrażać, Marku Andersie – wysyczała.

– Jestem sobą – powiedział – i pozostanę nim do końca życia. Gdybyś mnie kochała, potrafiłabyś to uszanować.

– A gdybyś ty kochał mnie, nie pozwoliłbyś mi mieszkać w szałasie z trawy.

– Kocham cię! – wykrzyczał. – Ale będziesz moją żoną i to ja zadecyduje, co masz robić!

– Nie prowokuj mnie, Mark. Ostrzegam cię. Nie rób tego więcej.

– Będę twoim mężem – zaczął, ale ona porwała swoje buty i pobiegła do konia. Sięgnęła, by poluzować uzdę, i wskoczyła na grzbiet zwierzęcia boso. Spojrzała na niego z góry. Złość zatykała jej dech w piersi, ale zebrała się w sobie i powiedziała lodowatym i uszczypliwym

tonem:

– Tylko nie bądź tego taki pewny. – Zawróciła konia i kopnięciem pięty zmusiła go do biegu.

– Gdzie jest panienka? – zapytał Sean, rozkładając serwetkę i wsuwając jej róg w przecięcie kamizelki, na widok pustego miejsca Storm przy stole.

– Nie czuje się najlepiej, mój drogi – powiedziała Ruth. Zaczęła nalewać zupę, czerpiąc ją z pękatej wazy, spowitej w chmurę wonnej pary. – Pozwoliłam jej zjeść kolację w swoim pokoju.

– Co jej dolega? – zapytał Sean z troską.

– Nic poważnego – powiedziała Ruth stanowczo, ucinając dalsze kontynuowanie tego tematu. Sean przyglądał się jej przez chwilę i nagle doznał olśnienia.

– Och! – powiedział. Funkcje ciała kobiecego zawsze były dla Seana Courteneya spowite aurą tajemniczości i napawały go ciągłym lękiem. – Och – powtórzył i nachylił się ku przodowi, by podmuchać głośno na łyżkę zupy, kryjąc swe zmieszanie i uczucie żalu, że jego ukochane dziecko już nie jest dzieckiem.

Po przeciwnej stronie stołu Mark uniósł łyżkę z równą determinacją, ale i ssącym uczuciem pustki poniżej żeber.

– A gdzie jest dziś panienka? – zapytał Sean tonem, który w jego wydaniu miał być nieco podejrzliwy. – Wciąż nie czuje się dobrze?

– Zadzwoiła dziś rano do Rene Leuchars. Wyszło na to, że Leuchars wydaje dziś wielkie przyjęcie i Storm zdecydowała się pójść na nie. Wyjechała po obiedzie. Wróci do Durbanu sama, cadillakiem.

– Gdzie się zatrzyma?

– U Leucharsów, naturalnie.

– Powinna była poprosić mnie o zgodę – Sean zmarszczył czoło.

– Spędziłeś cały dzień w tartakach, kochanie. Decyzję należało podjąć szybko, bo inaczej straciłaby przyjęcie. Wiedziała, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu.

Sean miał wiele przeciwko wszystkiemu, co odbierało mu córkę, ale teraz nie mógł tego przecież powiedzieć.

– Odniosłem wrażenie, że nienawidzi Rene Leuchars – poskarżył się.

– To było w zeszłym miesiącu – powiedziała Ruth.

– Myślałem, że jest chora – upierał się Sean.

– To było zeszłej nocy.

– Kiedy wraca?

– Może zdecyduje się zostać do wyścigów w Greyville w najbliższą sobotę.

Mark słuchał tego wszystkiego, a uczucie pustki w piersiach przerodziło się w ogromną rozpadlinę bez dna. Storm wróciła do tej grupy bogatych, gnuśnych, próżnych,

uprzywilejowanych młodych ludzi, dla których nie kończą się zabawy i ciąg ekstrawaganckich przyjęć był wszystkim, a już w sobotę Mark wyjeżdżał z dwoma mułami do buszu za Bramą Chaki.

Mark nigdy nie zdołał zrozumieć, skąd Dirk Courteney wiedział o wszystkim. Świadczyło to niezbitcie o wielkiej władzy tego człowieka, jak i o tym, że macki jego wpływów docierały wszędzie.

– Słyszałem, że będziesz prowadził dla rządu pomiary, które zadecydują o tym, czy warto utworzyć rezerwat za Bramą Chaki, czy tak? – zapytał Marka.

Mark wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, że oto stoi tu w Great Longwood, całkowicie nie uzbrojony i bez żadnej ochrony. Jego skóra ścierpła w przewidywaniu grożącego mu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nerwy miał napięte niczym postronki, kroki stawiał z przesadną uwagą, a jedną pięść zacisnął mocno w kieszeni bryczesów.

Stojący teraz tuż przy nim Dirk Courteney był wysoki, uprzejmy, wręcz dworski. Kiedy odwrócił się do niego z tym raczej stwierdzeniem niż pytaniem, uśmiechał się szerokim i ciepłym grymasem na przystojnej twarzy – i położył dłoń na ramieniu Marka. Był to lekki, ale i przyjazny gest, który zaszokował Marka tak samo, jakby mamba [jadowity wąż ok. 3,5 m długości żyjący na drzewach w Afryce] pocałowała go swym małym, ruchliwym języczkiem.

Skąd on to wie? Mark patrzył na niego, zwalnając lekko, by wyslizgnąć się spod ręki Dirka. Jeżeli nawet Dirk zauważył ten manewr, jego uśmiech nie zdradził tego. Pozwolił dłoni opaść naturalnie wzdłuż ciała. Wyjął z kieszeni marynarki płaską, srebrną papierośnicę.

– Spróbuj – powiedział. – Zrobiono je specjalnie dla mnie.

Mark poczęstował się aromatycznym papierosem z tureckiego tytoniu, przeciągając czynność przypalania go, by ukryć swą niepewność i zdziwienie. Przecież tylko Sean Courteney i jego najbliższa rodzina wiedzieli o tych planach, no i biuro premiera, rzecz jasna.

Jeśli informacja wyszła stamtąd, a wszystko na to wskazywało, to czułki tego człowieka sięgały rzeczywiście daleko.

– Rozumiem, że mam traktować twoje milczenie jako potwierdzenie – powiedział Dirk, kiedy doszli do brukowanej alejki biegnącej między rzędami boksów. Konie wyciągały łby do Dirka zza drzwi. Zatrzymywał się od czasu do czasu, by popieścić jedwabiste nozdrza zadziwiająco delikatnymi palcami lub by wyszeptać jakieś czułe słówko. – Jesteś bardzo milczącym młodym człowiekiem – Dirk uśmiechnął się znów ciepło i serdecznie. – Lubię ludzi, którzy trzymają się rad swojego umysłu i respektują odrębne zdanie innych. – Odwrócił się do Marka, by zmusić go do spojrzenia mu w oczy. Dirk niezmiennie kojarzył się Markowi z jakimś lśniącym kotem, jednym z większych przedstawicieli tego gatunku, nie zwykłym domowym burasem. Może lampartem, złocistym, pięknym i okrutnym. Zastanawiał się nad swoją odwagą, czy może brawurą, pod wpływem której zdecydował się na wejście do jaskini lwa.

Jeszcze rok temu oddanie się w ręce tego człowieka byłoby jawnym samobójstwem. Nawet teraz, gdyby nie był chroniony przez Seana Courteneya, nie odważyłby się na to tak łatwo. Mimo że nikt, nawet Dirk, nie odważyłby się tknąć protegowanego Seana Courteneya i wziąć na siebie wszelkich konsekwencji z tego płynących, poczuł zimny dreszcz na karku, kiedy patrzył w oczy lamparta.

Dirk ujął go za łokieć, nie dając mu okazji do uniknięcia tego chwytu, i poprowadził przez bramę do zagrody dla ogierów.

Dwa wybiegi były otoczone wysokimi na trzy metry ogrodzeniami z drewna, wyściełanymi troskliwie, by zapobiec uszkodzeniu się cennych zwierząt, które miały być w nich umieszczone. Ziemia w tych prostokątnych pomieszczeniach była pokryta grubą warstwą świeżych trocin. Jedno z nich stało puste, ale w drugim tuż obok uwijało się czterech stajennych. Dwóch z nich trzymało na podwójnej uździe klacz. Była młodym zwierzęciem ciemno-rdzawej maści o pięknie wyprofilowanym w sposób charakterystyczny dla arabów łbie. Szerokie nozdrza obiecywały wielkie serce i żywotność, a kończyny były delikatne, ale i bardzo mocne.

Dirk Courteney postawił obutą nogę na najniższej poprzeczce ogrodzenia i nachylił się ku przodowi, patrząc na klacz z nie skrywaną dumą.

– Kosztowała mnie tysiąc gwinei – powiedział – ale to była okazja.

Dwóch pozostałych stajennych przyprowadziło ogiera, stare, ciężko zbudowane zwierzę, o posiwiatym wokół nozdrzy łbie. Pod brzuchem i między tylnymi nogami przeciągnięto mu uprząż podobną do klatkowego, staromodnego pasa cnoty, splecioną z lekkich ogniwi, zwaną podrażniaczem, która miała powstrzymać ogiera przed skutecznym pokryciem klaczy.

Stajenni popuścili uzdę, by mógł przybliżyć się do niej, ale jak tylko poczuła dotyk delikatnych nozdrzy na ogonie, opuściła łeb i wyrzuciła tylne kończyny w morderczym, świszczącym ciosie kopytami, które ominęły łeb ogiera zaledwie o centymetr.

Parsknął i cofnął się. Za chwilę, nie zrażony, zbliżył się do klaczy ponownie, wyprężając się, by dotknąć jej boku. Przesunął delikatnym nosem kochanka po jej błyszczącej sierści, ale klacz otrząsnęła się gwałtownie, jakby chciała się opędzić od stada os. Zarżała dziko, zaszokowana tym natrętnym nastawianiem na jej dziewiczą cześć. Powaliła na kolana jednego ze stajennych, kiedy znów zaatakowała ogiera rozwartym, pełnym żółtych zębisk pyskiem. Chwyła go nimi za kark i rozerwała starą, zmatowiałą sierść płytkim krwawym cięciem, zanim została odciągnięta.

– Biedny staruszek – wyszeptał Mark. Mimo że rana była powierzchowna, brak godności w całym tym incydencie obudził jego sympatię dla zalotnika. Stary ogier musiał znosić kopniaki i ukąszenia, zanim pełna temperamentu klacz nie zmęczy się i nie stanie się chętna. Kiedy już zrobi, co do niego należy, zostanie wyprowadzony z zagrody.

– Nigdy nie żałuj przegranych tego świata – poradził mu Dirk. – Jest ich zbyt wielu.

Na pokrytej trocinami arenie klacz uniosła ogon. Błyszczące włosie ułożyło się w miękki,

falujący pióropusz, kiedy oddała mocz długim, ostrym strumieniem, świadczącym jednoznacznie o jej podnieceniu.

Ogier krążył wokół niej, odwijając górną wargę i pokazując zęby. Mięśnie barku drgały mu nerwowo, kiedy starał się ją podejść.

Stała teraz spokojnie, z wciąż uniesionym ogonem, i drżała pod lekkim, miłym dotykem jego nozdrzy, wreszcie gotowa, by go przyjąć.

– Dobra! – krzyknął Dirk. – Zabierzcie go!

Potrzeba było siły dwóch stajennych, by odciągnąć go i wyprowadzić przez wysoką bramę, którą otworzył im Dirk.

– To dziwne, ale nie uważam cię za jednego z tych przegranych – powiedział Dirk lekko, kiedy czekali przy bramie. – Dlatego właśnie tu przyszedłeś. Nie szkoda mi zachodu tylko w stosunku do określonego typu ludzi. Ludzi, którzy są utalentowani albo silni, albo mają jakąś określoną wizję. Lub wszystkie te cechy razem. Wierzę, że ty możesz taki być.

Mark wiedział, że wszystko to zostało starannie zaaranżowane. Jego spotkanie z Peterem Botesem, szwagrem Marion Littlejohn, przed budynkiem poczty w Ladyburgu, nagłace wezwania, by stawiał się w posiadłości Dirka Courteneya, które otrzymywał, tak natarczywe, że nie miał czasu przedyskutować tych zaproszeń z Seanem Courteneyem i teraz ten erotyczny pokaz parzących się koni – wszystko to miało na celu skonfundowanie Marka, wprawienie go w stan niepewności.

– Myślę, że taki właśnie jesteś – powtórzył Dirk. Przeprowadzili przy nich ogiera rozplodowego, zwierzę zbyt cenne, by ryzykować dopuszczeniem go do niechętnej samicy. Był to wysoki koń, czarny jak skrzydła kruk. Stał wysoko i dumnie, rozkopując miękkie trociny błyszczącymi kopytami. Nagle zeszywniał i zadrżał, kiedy wyczuł oczekującą go klacz, wielki czarny korzeń wyrósł mu u dołu brzucha, długi jak ramię mężczyzny i równie gruby, arogancki, o wzniesionym dumnie łbie, który pulsował swoim własnym życiem i uderzał niecierpliwie o podbrzusze konia.

– Przegrani odstają, wygrani dostają – powiedział Dirk, kiedy ogromny ogier pokrył klacz. Jeden ze stajennych rzucił się naprzód, by go nakierować. Klacz wygięła grzbiet w oczekiwaniu na długie, lśniące pchnięcie. – Przegrani i wygrani – powtórzył przyglądając się ogierowi pracującemu lśnącymi, muskularnymi zadkami. Przystojna twarz Dirka nabiegła krwią, dłonie zacisnął na poprzeczce płotu tak mocno, że knykcie stały się białe jak marmur.

Gdy ogier zeskoczył z klaczy, Dirk westchnął, znów schwycił Marka za łokieć i poprowadził dalej.

– Byłeś obecny przy mojej rozmowie z ojcem, kiedy przedstawiałem mu swoją wizję.

– Byłem tam – zgodził się Mark.

– Świetnie – zaśmiał się Dirk. – Więc jednak masz głos – zaczynałem już w to wątpić. Uznałem, że leży w moim interesie, by dowiedzieć się wszystkiego o tobie. Znasz przecież szczegóły mojego planu i w tej sytuacji muszę się jakoś zabezpieczyć.

Okrążyli ozdobny staw leżący za domem. Jego powierzchnia pokryta była płaskimi kielichami lilii wodnych, tak że cały tchnął zapachem tych kwiatów, lekkich, podobnych do ozdób z cukru na torcie.

Przeszli przez rosarium. Żaden z nich nie odzywał się, aż dotarli do gabinetu o wysokim suficie i zbyt wielu meblach. Dirk zamknął drewniane okiennice przed upałem, sprawiając, że pokój stał się chłodny, mroczny i poniekąd odpychający.

Wskazał Markowi krzesło na wprost kominka, a sam podszedł do stołu, na którym stała srebrna taca pełna butelek i szklanek.

– Drinka? – zapytał.

Mark pokręcił odmownie głową. Patrzył, jak Dirk nalewa sobie z czarnej butelki.

– Wiesz więc o moim marzeniu – powiedział wciąż skupiony na tej czynności. – Co o tym sądzisz?

– To duże zamierzenie – powiedział Mark ostrożnie.

– Duże?! – zaśmiał się Dirk Courteney. – Nie użyłbym tego słowa. – Uniósł szklankę w kierunku Marka i upił łyk, przyglądając mu się zza jej brzošku.

To dziwne, jak przeznaczenie się sprawdza – pomyślał Dirk, patrząc na szczupłą wdzięczną postać. Dwa razy próbowałem pozbyć się go i kłopotów, które mógł mi sprawić. Gdyby mi się powiodło, nie mógłbym wykorzystać go teraz.

Przerzucił nogę przez kant biurka i odstawił szklankę na bok, by mieć ręce wolne, i gestykulując przemówił.

– Mówimy tu o przekroczeniu całkiem nowej granicy, o kroku milowym dla naszego narodu, o miejscach pracy dla tysięcy ludzi, nowych miastach, nowych portach, kolei żelaznej – o postępie. – Rozłożył ramiona w geście pokazującym gwałtowność tego wzlotu i nieograniczoność możliwości. – Jedno wspaniałe słowo charakteryzuje to wszystko najlepiej – postęp! I każdy, kto stara się go powstrzymać, jest więcej niż głupcem. Jest zbrodniarzem i zdrajcą swojego narodu i tak winien być potraktowany. Należy odsunąć go na bok wszelkimi dostępnymi metodami.

Przerwał i spojrzał na Marka. Groźba była aż nadto wyraźna i Mark poruszył się niespokojnie w krześle.

– Z drugiej jednak strony – Dirk uśmiechnął się nagle i przypominało to promień słońca, który przebił się przez szare chmurzyska deszczowego nieba. – Każdy, kto przyczyni się do przeprowadzenia tego wspaniałego zamierzenia, będzie miał pełne prawo do czerpania zeń i udziału w zyskach.

– Czego pan chce ode mnie? – zapytał Mark, a to niespodziewane pytanie zastało Dirka z uniesionymi w górze rękami, kolejny górnolotny frazes zamarł mu na ustach. Dłonie opadły mu wzdłuż ciała i spojrzał na Marka wyczekująco, jakby spodziewał się jakiegoś ważnego oświadczenia. – I o jakich zyskach pan mówi? – skończył Mark.

Dirk zaśmiał się zachwycony, na te słowa bowiem czekał – każdy ma swoją cenę.

– Wiesz, czego od ciebie chcę – powiedział.

– Tak, wydaje mi się, że wiem – zgodził się Mark.

– Powiedz mi więc, czego chcę – Dirk zaśmiał się znów.

– Chce pan, bym sporządził raport, z którego jasno i jednoznacznie będzie wynikało, że stworzenie Parku Narodowego na terenach wokół Bramy Chaki jest absolutnie niewykonalnym, niepraktycznym zamysłem.

– To ty powiedziałaś, nie ja – Dirk uniósł szklanę w geście uznania. – Niemniej jednak wypiję za to.

– A te zyski? – nalegał Mark.

– Satysfakcja ze świadomości, że wypełniasz patriotyczny obowiązek wobec narodu – powiedział Dirk poważnie.

– Po Francji mam już dość tej satysfakcji na całe życie – powiedział Mark cicho. – Przekonałem się, że nie daje się jeść ani pić. Dirk zaśmiał się zachwycony.

– To jest argument, muszę o tym pamiętać. Czy aby na pewno się nie napijesz?

Mark uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Tak, poproszę. Jednak zmieniłem zdanie.

– Whisky?

– Proszę.

Dirk wstał i podszedł do tacy. Zdał sobie sprawę, że odczuł ulgę. Jeżeli okazałoby się, że nie ma ceny na tego człowieka, a zaczynał już wierzyć, że tak właśnie jest, jeden z filarów, na których oparł swą filozofię życiową, rozpadłby się. Ale teraz znów było dobrze. Ten człowiek miał cenę: stwierdziwszy to, poczuł wzdrganie i lekceważenie. Jednak chodziło mu o pieniądze i to, jak przypuszczał, o jakąś mizerną sumkę. Ten człowiek nie różnił się niczym od innych.

Zwrócił się do Marka.

– Masz tu coś do picia – powiedział podając mu szklanę. – A teraz porozmawiajmy o czymś, co można zjeść.

Podszedł do biurka i otworzywszy jedną z szuflad wyjął z niej brązową, zalakowaną czerwonym woskiem kopertę. Położył ją na biurku, jednocześnie sięgając po własną szklanę.

– Zawiera ona zadatek świadczący o mojej dobrej woli – powiedział.

– Jak dobrej?

– Tysiąc funtów – odpowiedział Dirk. – Wystarczy, by kupić całą górę chleba.

– Jedna z pańskich kompanii kupiła farmę od mojego dziadka – zaczął Mark ostrożnie. – Obiecał ją mnie, ale zmarł, nie zostawiając mi żadnych pieniędzy.

Wyraz twarzy Dirka zmienił się nagle. Oczy stały się baczne i obserwujące. Najpierw chciał udąć niewiedzę na ten temat, ale przecież sam przyznał przed chwilą, że sprawdził Marka dokładnie.

– Tak – pokiwał głową. – Wiem o tym. Starzec przepuścił wszystkie pieniądze.

– Ta farma była warta trzy tysiące funtów – powiedział Mark. – Uważam, że te pieniądze

wciąż jeszcze mi się należą.

Dirk opuścił głowę i znów sięgnął do szuflady, by wyjąć jeszcze dwie identyczne zalakowane koperty. Położył je delikatnie obok pierwszej.

– Dziwnym trafem okoliczności mam akurat taką sumę przy sobie – powiedział.

Rzeczywiście marne grosze – pomyślał uśmiechając się z pogardą. Co kazało mu przypuszczać, że jest coś niezwykłego w tym człowieku? – myślał. W szufladzie było siedem identycznych kopert, każda z nich zawierała dziesięć banknotów po sto funtów. Spodziewał się usłyszeć wyższą cenę za ten raport – nie, poprawił sam siebie, byłem zdecydowany pójść nawet wyżej, dużo wyżej.

– Chodź – uśmiechnął się. – Oto one.

Obserwował, jak Mark wstaje z krzesła i przechodzi przez pokój, by wziąć koperty i schować je do kieszeni.

Broda Seana Courteneya zjeżyła się niczym kolce jeżozwierz, a twarz z wolna przybrała barwę źle wypalanej cegły.

– Dobry Boże! – warknął, gapiąc się na trzy koperty leżące na jego biurku. Pieczęcie zostały ostrożnie przełamane, a zawartość leżała ułożona w trzy fioletowo-błękitne wachlarze szeleszczących banknotów.

– Wziąłeś od niego pieniądze?

– Tak, sir – przyznał Mark, stojąc na baczność przed biurkiem niczym niesforny uczeń w obliczu pryncypała.

– I masz czelność przyjść z tym do mnie?! – Sean zamierzył się, jakby chciał zmieść plik banknotów z biurka. – Zabierz to plugastwo ode mnie.

– Pańska lekcja numer jeden, generale. Pieniądze zawsze się liczą – powiedział Mark cicho.

– Tak, ale co ja mam z tym wspólnego?

– Jako prezes Towarzystwa Ochrony Przyrody Afryki jest pan zobowiązany wysłać dawcy list potwierdzający otrzymanie rzeczonyj sumy wraz z podziękowaniem za tak hojny datek...

– O czym ty mówisz, u licha? – Sean gapił się na niego nie rozumiejąc. – Co to za towarzystwo?

– Właśnie je utworzyłem i mianowałem pana prezesem. Jestem przekonany, że dojdziemy do porozumienia przy ustalaniu jego założeń i zasad członkostwa. Najważniejsze jednak jest uświadomienie ludziom, co zamierzamy zrobić, i uzyskanie pełnego społecznego poparcia. Mark mówił żywo, wyrzucając z siebie słowa, a Sean Courteney słuchał z uwagą. Jego twarz z wolna wracała do normalnego koloru, przyoblekając się w pełen zachwyty uśmiech.

– Wykorzystamy te pieniądze na zrobienie reklamy w prasie, by uświadomić ludziom, jakie jest ich dziedzictwo – Mark pędził już dalej, pomysły sypały się jeden po drugim,

natychmiast dając przyczynek kolejnym. Sean przysłuchiwał się i stopniowo uśmiech przerodził się w spazmatyczny rechot, który wstrząsał jego ramionami, a wreszcie wybuchnął śmiechem trwającym parę minut.

– Wystarczy! – krzyknął wreszcie zachwycony. – Siadaj, Mark, na razie wystarczy. – Sięgnął po chusteczkę, by osuszyć oczy i wydmuchać wielki, zakrzywiony nos tak głośno, jakby ryknęła trąba. Powoli wracał do równowagi. – To nieprzyzwoite – wykrztusił wreszcie. – Absolutne świętokradztwo! Ty w ogóle nie masz szacunku dla pieniędzy. To nienormalne.

– Ależ skąd, mam – lecz pieniądze są tylko środkiem, nie celem, sir – i Mark zaśmiał się. Wesołość generała była zaraźliwa.

– Mój Boże, Mark. Jesteś bezkonkurencyjny, naprawdę, gdzie ja cię wynalazłem? – zachichotał po raz ostatni i spoważniał. Wyjął czystą kartkę papieru z bocznej szuflady i zaczął robić notatki. – Tak jakbym nie miał już dość roboty – warknął. – A teraz sporządzimy listę zamierzeń tego twojego cholernego towarzystwa.

Pracowali nad tym przez prawie trzy godziny, aż Ruth musiała przyjść, by zaprosić ich na kolację.

– Za chwileczkę, moja pani – powiedział Sean, umieszczając ciężki przycisk na pliku notatek, które sporządzili. Miał już powstać, ale skrzywił się i spojrzał na Marka.

– Wybrałeś sobie bardzo niebezpiecznego wroga, młody człowieku – ostrzegł go.

– Tak, wiem – przytaknął Mark z powagą.

– Powiedziałeś to z przekonaniem – popatrzył na Marka pytająco.

Mark zawahał się chwilę i przemówił:

– Znał pan mojego dziadka Johna Andersa, wspominał pan o nim kiedyś?

Sean przytaknął i rozparł się wygodnie w swym fotelu.

– Posiadał ziemię, osiem tysięcy akrów, nazywał to Andersland... Sean znów przytaknął i Mark ciągnął dalej ostrożnie. Opowiedział wszystko, bez żadnych upiększeń, podając suche fakty, a kiedy zgadywał coś lub tylko przypuszczał, zaznaczał, że to są tylko jego domysły. Ruth przyszła znów, by ich ponaglić, akurat gdy Mark opisywał noc na skarpie, w którą zabójcy przyszli do jego obozowiska. Miała zamiar przyspieszyć ich argumentem, że posiłek się zmarnuje, zobaczywszy jednak ich twarze, stanęła cicho za fotelem Seana i słuchała. Jej twarz pobleadła i spoważniała. Opowiedział im o Bramie Chaki, o poszukiwaniu grobu dziadka i o ludziach, którzy polowali tam na niego. Nawet kiedy skończył, milczeli dalej, aż wreszcie Sean wstał, westchnął głośno i żałośnie, zanim przemówił:

– Dlaczego nie zgłosiłeś tego?

– Czego? I tak by mi nikt nie uwierzył.

– Mogłeś iść z tym na policję.

– Nie mam najmniejszych dowodów, które obciążąby Dirka Courteneya, prócz mojej własnej pewności o jego winie. – Spuścił oczy. – To tak szalona, nieprawdopodobna historia, że bałem się opowiedzieć ją nawet panu aż do dzisiejszego dnia.

– Tak – przyznał Sean. – Nawet teraz nie chcę uwierzyć, że to prawda.

– Przykro mi – powiedział Mark z prostotą.

– Wiem, że to prawda, ale nie chcę w nią uwierzyć – Sean pokręcił głową i spuścił brodę na pierś. Ruth położyła mu dłoń na ramieniu uspokajającym gestem. – O Boże, ile jeszcze muszę przez niego wycierpieć? – wyszeptał podnosząc głowę. – Teraz grozi ci jeszcze większe niebezpieczeństwo, Mark.

– Nie wydaje mi się, generale. Jestem przecież pod pańską ochroną i on o tym wie.

– Niech Bóg sprawi, by mu to wystarczyło – wyszeptał Sean. – Ale co powinniśmy przedsięwziąć przeciwko niemu? Jak powstrzymać tego... – przerwał szukając właściwego słowa i w końcu wysyczał – tego potwora?

– Nie ma dowodów – powiedział Mark. – Nie ma nic, co moglibyśmy użyć przeciwko niemu. Jest na to za mądry. Przynajmniej jak dotąd.

– Są dowody – powiedział Sean z niezbitą pewnością. – Jeśli to wszystko jest prawdą, gdzieś muszą być dowody.

Szeroki grzbiet Trojana wydawał się twardy niczym beczka dla siedzącego na nim Marka. Kiedy posuwali się wzdłuż rzeki Bubezi, słońce było w szczycie i paliło niemiłosiernie przez koszulę, aż między łopatkami i pod pachami pojawiły się ciemne plamy potu. Spartan, drugi ciężko objuczony muł, szedł za nimi prowadzony na długim postronku. Przy korycie rzeki na jednym z jej cukrowo-białych brzegów pozwolił mułom schłodzić się brodzeniem po kolana i napić się wody. Wsasyły wodę łapczywie, aż czuł, że brzuch zwierzęcia, na którym siedział, rozdyma się między jego udami.

Przyglądając się portalom Bramy Chaki, zsunął kapelusz na tył głowy i otarł kciukiem pot z czoła. Zdawały się wyrastać wprost z nieba kaskadą kamieni, lite i wieczne, tak mocne i solidne, że górowały nad ziemią i rzeką u swych stóp. Podwójny kosz zawieszony po obu bokach muła był najlżejszy z ciężarów, jakie zabrał z sobą, korzystając z obfitych osiągnięć cywilizacji. Dźwigał też ciężar winy i żalu, ból po utraconej miłości i poczucie nie spełnionego obowiązku. Ale teraz, tuż pod Bramą Chaki, poczuł, że ciężar robi się lżejszy, a jego ramiona prostują się i nabierają sił.

Od strony rzeki Bubezi tchnęło na niego czymś nieokreślonym, może było to uczucie spełniającego się przeznaczenia, a może radość z tego, że wreszcie wraca do domu.

Raptem zaczął się śpieszyć. Wyciągnął niechętny łeb Trojana ociekający wodą z mięsistych warg i skierował ku zielonemu nurtowi rzeki. Kiedy stracili grunt pod nogami, ześlizgnął się z siodła i płynął przy nim.

Gdy duże, wielkości talerzy do zupy, podkowy znów dotykały dna, przerzucił nogę przez siodło i pojechał wzdłuż brzegu. Bryczesy przylgnęły mu do ud, a koszula wyparowywała wodę.

Nagle, po raz pierwszy w tym tygodniu, właściwie bez wyraźnego powodu, zaśmiał się.

Był to lekki, nieskrepowany wybuch śmiechu, który wisiał nad nim niby aureola jeszcze przez długi czas.

Tego dnia było bardzo cicho. Podkowy Trojana grzęzły w miękkiej ziemi przy rzece w rytmicznym mlaskającym chodzie i Mark nie był pewien, co właściwie słyszał. Zatrzymał Trojana i zaczął nasłuchiwać. Cisza była tak absolutna, że aż dźwięczała. Kiedy synogarlica zawołała melodycznie i smutno jakieś dwa kilometry dalej, w dole rzeki zdawało się, że jest tak blisko, iż można ją dotknąć.

Mark pokręcił głową w zdziwieniu. Wraz z pierwszymi krokami dźwięk odezwał się znów – i tym razem nie mogło być najmniejszych wątpliwości co do jego pochodzenia. Markowi nagle zjeżyły się włosy na karku. Podciągnął się z wygodnej, rozłożystej pozycji w siodle i usiadł prosto. Słyszał już kiedyś ten dźwięk w okolicznościach, o których chciałby szybko zapomnieć.

Odezwał się gdzieś blisko, bardzo blisko. Dochodził z nieprzeniknionej gęstwiny dzikich loquat i wiszących lian, które były typową kryjówką. Był to dziwny, prawie nienaturalny dźwięk, rozciągnięty i płynny, podobny do dźwięku przy wylewaniu wody z szyjki kamiennego garnka. Tylko ktoś, kto słyszał go już kiedyś, rozpozna niespokojne, ostrzegawcze mruknięcie dorosłego lamparta.

Mark zawrócił muła i popędził wprost po osuwającym się zboczu, aż dotarli w cień liściastego lasu, gdzie zwolnił cugle. Wyjął manlichera z futerału i sprawdził, czy magazynek jest załadowany. Zobaczył grube, mosiężne naboje o miedzianych czubkach, wciąż jeszcze błyszczące i śliskie od wosku, którym były pokryte. Z trzaskiem zaryglował karabin.

Nióśł go niedbale w lewej dłoni, nie zamierzał bowiem z niego korzystać. Poczuł narastające podniecenie i oczekiwanie. Minęły już dwa miesiące od przybycia do Bramy Chaki, dwa miesiące męczących spacerów i przejażdżek i dopiero po raz pierwszy miał okazję zobaczyć lamparta.

Na terenach wzdłuż rzeki Bubezi żyło ich sporo, natykał się na ich tropy niemal każdego dnia, a nocą słyszał, jak warczą i prychają. Lamparty i kudu należą do ostatnich spośród dzikich zwierząt, które są skłonne poddać się i ulec człowiekowi i jego cywilizacji. Wrodzona przebiegłość i tajemniczość chroniły je przed tym dłużej niż inne gatunki.

Teraz wreszcie miał okazję przyjrzeć mu się. Kępa nadrzecznych szuwarów, jakkolwiek gęsta, była niewielka. Marzył wręcz, by dane mu było ujrzeć choć błysk sierści w głębokim cieniu, coś konkretnego, jakiś jawny dowód do zakonotowania w pamięci, kolejny gatunek do wpisania na listę, która wydłużała się wciąż w jego głowie. Okrążał chaszczę ostrożnie, przenosząc wzrok z gęstej ściany buszu ku miękkiej ziemi u swych stóp, wyglądając śladów łap lub błysku złotej sierści olbrzymiego kota.

Tuż przy stromym brzegu rzeki zatrzymał się raptem i przyglądał się dłuższy czas, nim opadł na kolano i dotknął ziemi.

Nie były to ślady lamparta, lecz człowieka, które poznał dawno temu i nauczył się

bezbłędnie rozpoznawać. Nie wyróżniały się niczym szczególnym, brakiem palca czy deformacją, ale wyszkolone oko Marka poznało kształt i rozmiar. Z lekka powłóczył krok mężczyzny, stopy stawiane do środka, długość kroków i głęboki odcisk w ziemi, charakterystyczny dla szybkiej, czujnej marszruty. Wreszcie znalazł wytłumaczenie dla rozpaczliwego tonu w warknięciu zwierzęcia w kępie zarośli.

– Pungushe – powiedział Mark cicho. – Szakał znów przy pracy.

Kroki pokrywały się, wpierw prowadząc w busz, a następnie opuszczając go.

Ślady stóp wchodzące w zarośla były głębsze, bardziej rozciągnięte, jakby ich właściciel niósł jakiś ciężar, powrotne zaś były mniej widoczne, mężczyzna kroczył lekko.

Mark zbliżył się powoli do kępy, idąc za śladami tamtego. Zatrzymywał się co parę sekund, by zbadać poszycie, lub kuczał, chcąc mieć lepszy punkt widzenia pod wiszącymi lianami i gałęziami.

Teraz, kiedy wiedział już, czego może się spodziewać, uczucie miłego podniecenia ustąpiło miejsca zimnej wściekłości i świadomości grożącego mu śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Raptem w gęstwinie mignęło coś białego, przyciągając jego wzrok. Gapił się przez dłuższą chwilę, nim wypatrzył kremową, krwawiącą ranę pnia drzewa, w miejscu gdzie kora została odarta przez pazury rozwścieczonego zwierzęcia. Były to głębokie rysy, ciągnące się przez całą powierzchnię. Wściekłość ścisnęła mu brzuch niczym ołowiana pięść.

Poruszał się teraz zakolami, z karabinem gotowym do strzału nisko przy biodrze. Przeszedł trzy kroki, nim zatrzymał się znów. Na skraju zarośli zauważył małe poletko wydeptanej trawy i poszycia, miękka, czarna ziemia była zryta, jakby ciągnięto tędy coś bardzo ciężkiego. W promieniu słońca błysnęła krwawa plamka. Mógł to być płatek kwiatu albo kropla krwi. Znów usłyszał dźwięk, który przypominał szczęknięcie metalu o metal, ogniwa o ogniwo. W gęstwinie tuż przed nim coś poruszało stalowym łańcuchem. Wreszcie zrozumiał. Wiedział już, gdzie znajduje się teraz zwierzę. Poruszał się dalej ostrożnie, zamierając przy każdym kroku, wodząc palcem po przycisku bezpiecznika karabinu, który trzymał przy piersi. Biała, znów nienaturalnie biała plama odcinała się od ciemnego listowia. Przyjrzał się z całą uwagą. Długie minuty minęły, nim domyślił się w tym kształcie surowego drewna ściętego pnia, krótkiego i rozwidłonego, grubego jak talia młodej dziewczyny. Był świeżo ścięty i mięsz wcięż jeszcze krwawił lepкими kroplami żywicy o kolorze wina. Zauważył też skręt kradzionego z ogrodzeń drutu, którym przymocowano łańcuch do kłoca.

Kłoda ta służyła jako kotwica, elastycznie uginając się, przytrzymywała zwierzę bez dawania mu solidnego oparcia, o które mogłoby zaprzeć się i uwolnić. Łańcuch brzękał znów. Lampart znajdował się parę kroków od niego. Znał już dokładną pozycję zwierzęcia, mimo że go nie widział, i kiedy stał tak i patrzył, pamięć galopowała, przypominając wszystko, co słyszał od dziadka o tym strasznym kocie.

„Nie ujrysz go, zanim nie nadejdzie, i nawet wtedy wyda ci się, że to tylko żółty błysk

światła, promyk słońca. Nie ostrzeże cię choćby warknięciem jak lew. Nadchodzi w zupełnej ciszy. Nie rzuci się na ramię ani nie schwyci cię za bark. Będzie mierzył w głowę. Wie wszystko o dwunożnych stworzeniach, żywi się głównie pawianami, toteż wie, jak dobrać się do twojej czaszki. Zdejmie czerep czaszki szybciej, niż ty ścinasz czubek jajka na śniadanie, i dla absolutnej pewności jego łapy zajmą się twym brzuchem. Widziałeś nieraz kota leżącego na grzbiecie i wymachującego łapkami, gdy drapiesz go. Zabawi się z tobą tak samo, wyrwie ci trzewia równie łatwo, jak patroszy się kurczaka. Zrobi to wszystko tak szybko, że jeśli będzie was czterech na tym polowaniu, zabije trzech, zanim ostatni zdąży unieść karabin do ramienia”.

Mark stał w kompletnym bezruchu i czekał. Nie widział zwierzęcia, ale już je wyczuwał, tak jak czuł na sobie jego spojrzenie. Ślepia żądliły mu skórę niczym macki trujących insektów. Przypomnił sobie śnieżnobiałą tkanę szramy, którą w chwili słabości po wypiciu czwartej whisky pokazał mu kiedyś Sean Courteney. Podciągnął koszulę i napiął mięśnie, tak że blizna stała się bardziej widoczna i lśniąca niczym szew na satynie.

– Lampart – powiedział wtedy – diabelski kot, najgroźniejszy sukinsyn w całym buszu.

Łańcuch brzęknął znów i Mark zobaczył lamparta. Wypadł z buszu w przerażającym, bezszelestnym pędzie niby rozmazana szarżująca smuga. Błyszczały mu tylko żółte ślepia. Za zwierzęciem sunął łańcuch, a kiedy już Mark uniósł karabin, zauważył potrzask uczepony do tylnej łapy lamparta niczym potężny stalowy krab.

Ciężkie brzemie spowolniło atak o zaledwie ułamek sekundy.

Czas zdawał się płynąć z senną powolnością, każda minisekunda spadała ciężko jak grube krople gęstej oliwy, tak więc zdążył zauważyć, że łapa lamparta tuż ponad uchwytem potrzasku jest pogryziona. Poczuł, że żołądek skacze mu do gardła, kiedy zdał sobie sprawę, że w desperackiej próbie uwolnienia się zwierzę musiało przegryźć się przez własne ciało, kości i ścięgna. Kończyna trzymała się na paseczku poszarpanej, zakrwawionej skóry, który pękł pod wpływem szarpnięcia stalowego potrzasku.

Lampart był wolny! Oszalały z bólu i strachu, skoczył do głowy Marka.

Lufa mannlicera dotknęła prawie szerokiego, płaskiego czoła. Był tak blisko, że Mark mógł zobaczyć długie białe wąsy sterczące ze zmarszczonego, warczącego pyska, jak źdźbła trawy oszronione rannym przymrozkiem, i żółte kły zza obnażonych czarnych warg, szorstki różowy ozór w głębi rozwartego pyska i oczy. Te okropne, żółte, ziejące nienawiścią oczy.

Mark strzelił i nabój rozłupał czaszkę na pół. Żółte ślepia przymrużyły się pod wpływem okrutnego razu, a głowa wykręciła się do tyłu w niemal wężowym skręcie. Potężne ciało straciło wdzięk i lekkość, przekreśliło się bezwładnie w powietrzu i lampart upadł ciężko u stóp Marka. Maleńkie kropelki jaskrawoczerwonej krwi opryskały czubek jego buta, iskrząc się tam jak szlifowane rubiny.

Mark dotknął otwartego szeroko ślepia, ale żółte światło gasło już w nim, a powieki z pięknymi wachlarzami czarnych rzęs nie zareagowały odruchem mrugania. Lampart był

martwy. Mark usiadł ciężko na ziemi przy zwłokach i sięgnął po blaszane pudełko z papierosami. Dłoń trzymająca zapalną drżała tak gwałtownie, że płomyk migotał niczym skrzydła ćmy. Zgasił i wyrzucił zapalną, potem przejechał dłonią po miękkim, gęstym futrze. Było bursztynowo-złote, pocętkowane wyraźnymi rozetkami czerni, jakby dotknięte rozczapierzonymi palcami prawej ręki anioła.

– Pungushe, ty draniu! – wyszeptał znów. Zwierzę zginęło z powodu swej pięknej cętkowanej skóry, za którą zapłacą parę marnych szylingów, kiedy zostanie sprzedana na wiejskim targu, przy postoju kolejowym lub na poboczu zakurzonej drogi. Śmierć w niemożliwej do opisanego agonii i strachu, by zostać przerobionym na dywanik czy futro dla jakiejś damy.

Mark znów pogłaskał błyszczącą sierść. Poczł, że strach ustępuje miejsca złości na człowieka, który kiedyś uratował mu życie, a którego tropił bezskutecznie od dwóch miesięcy.

Wstał i podszedł do stalowego potrzasku leżącego na końcu łańcucha. Łapa wciąż tkwiła między bezlitosnymi szczękami i Mark przykucnął, by się im przyjrzeć. Tego typu pułapki zwano „Slag Yster” – zabójcze żelazo. Końce zębów zostały zaostrome tak, by chwytaly, ale nie uszkadzały skóry. Ważyła co najmniej 40 kilo i potrzebował grubej gałęzi, by rozewrzeć uchwyt i zwolnić mechanizm. Stal była pociemniała i pokryta sadzą w miejscach, gdzie kłusownik opalił ją wiechciem suchej trawy, by zabić zapach człowieka. Przy skraju zarośli leżały rozkładające się resztki pawiana, zdradliwa, wonna przynęta, której nie mógł się oprzeć wielki żółty kot.

Mark przeładował mannlichera. Był tak rozjuszony, że zabiłby tego człowieka, który to zrobił, gdyby spotkał go teraz, nie zważając na to, że zawdzięcza mu życie.

Podszedł do wzgórza i rozsiodłał Trojana, a następnie przytroczył go skórzonym rzemieniem. Przewiesił torby przez gałęzie drzewa, daleko poza zasięgiem wścibskiej hieny czy borsuka. Potem wrócił i odszukał ślady kłusownika na skraju zarośli. Wiedział, że nie ma sensu śledzić go na mule. Kłusownik zauważyłby ciężkie, niezdarne zwierzę z co najmniej kilometrowym wyprzedzeniem i zostałby ostrzeżony. Mark miał szansę wytropić go tylko na piechotę.

Trop był świeży, a obozowisko kłusownika nie mogło znajdować się daleko. Nie zaryzykowałby oddalenia się od tak cennej zdobyczy tkwiącej w potrzasku. Szansę Marka na schwywanie go wzrosły.

Będzie czujny, rzecz jasna, przebiegły i sprytny, wiedział bowiem, że teraz dolina jest objęta zakazem polowania. Mark odwiedził każdą wioskę, rozmawiał z wodzami wszystkich plemion, pijąc ich piwo i objaśniając nowe prawo i porządek. Kłusownik wiedział więc, że jest wyjęty spod prawa.

Mark śledził jego kroki już tyle razy, że środki ostrożności, jakie przedsięwziął Pungushe, klucząc zawile, by zgubić każdy ewentualny pościg, upewniły go, iż wiedział o swej winie.

Teraz wreszcie miał dużą szansę, by go dostać.

Ślady wskazywały, że przekroczył rzekę jakiś kilometr w dół i zaczął kluczyć przez zarośla i las, najprawdopodobniej idąc trasą zastawionych pułapek. Potrzask, w który wpadł lampart, znajdował się widocznie pośrodku tej trasy, ale kłusownik zakładał też mniejsze wnyki, używając lekkiego galwanizowanego drutu kupionego najpewniej za parę szylingów w ogólnobranżowym sklepiku wiejskim. Korzystał też z miedzianego drutu telefonicznego oberwanego bez skrupułów z jakiegoś stojącego w ustronnym miejscu słupa. Zakładał wnyki na szakale, wabiąc je padliną. Bez oporów instalował je też przy lizawkach soli i przy wodopojach oraz innych miejscach gromadzenia się drobnej zwierzyny.

Idąc dokładnie szlakiem pułapek, uwalniając po drodze zwierzęta z wnyków, a potem niszcząc żelastwo, Mark zbliżał się szybko do kłusownika, ale minęły jeszcze trzy godziny, nim dotarł do jego obozowiska.

Było założone pod baobabem, o spuchniętych, wężowato pokrzywionych gałęziach. Drzewo było stare i spróchniałe, z ogromną dziuplą wydrążoną pośrodku pnia. To tu w ukryciu rozpalał swe małe bezdymne ognisko. Teraz było wygasłe, dokładnie zasypane piaskiem, ale zapach dymu doprowadził Marka doń. Popioły były zimne.

Schowane w najdalszym zakątku wydrążonego drzewa, leżały dwa pakunki obwiązane pleconym z kory drzewnej sznurkiem. W jednym Mark znalazł zatłuszczony szary koc, rzeźbiony drewniany podglówek, mały trójnogi kociołek, woreczek ze skóry impali zawierający około dwóch kilogramów żółtej kukurydzy i paski suszonego mięsa. Kłusownik miał niewiele bagażu i przemieszczał się szybko.

Drugi pakunek zawierał piętnaście skór szakali, wysuszonych na słońcu i aż trzeszcząco sztywnych – pięknych srebrnych, czarnych i rudych futer oraz dwie skóry lamparta, wielkiego ciemnozłotego samca i młodszej, mniejszej samicy. Mark rozpalił ognisko i wrzucił weń koc, podglówek i worek. Odczuwał mściwą satysfakcję, patrząc, jak tłą się i czernieją. Pogiął kociołek kawałkiem skały. Zarzuciwszy rulon futer na ramię, ruszył w drogę powrotną.

Ciemniało już, kiedy dotarł do padliny lamparta leżącej przy rzece. Zrzucił skóry, które teraz zdawały się stukilowym workiem węgla na jego ramieniu, i znów zapatrzył się na martwe zwierzę, jakby szukając odpowiedzi.

Wokół niego kłębiły się roje butelkowo-zielonych, opalizujących much. Jaja, które składały na sztywnym ciele, wyglądały jak kupki ugotowanego ryżu. Marka zaszokowało jednak co innego. Padlina była obdarta ze skóry. Została fachowo pozbawiona złoto-czarnego futra, odsłaniając tylko surową różowość, obłożoną gdzieś żółtym łojem i kawałkami ścięgien. Łeb też był goły, zdjęto z niego pysk, sprawiając, że zmętniałe zdziwione oczy wytrzeszczały się z czaszki jak czarne kamyki, a z uszu wystawały kępki ciemnej sierści. Żółte kły zastygły odsłonięte w zwartym, żółtym grymasie uśmiechu.

Mark pobiegł szybko do miejsca, w którym leżała kłoda. Łańcuch i potrzask zniknęły.

Minęła cała minuta, nim wpadł na to, co powinno być jego kolejnym logicznym

posunięciem. Wbiegł po pagórku i zbliżył się do drzewa. Trojan zniknął. Przecięte troki wisiały przewieszane starannie przez gałąź drzewa.

Trojan, niespodziewanie uwolniony, zachował się w sposób łatwy do przewidzenia. Ruszył prosto jak strzała poprzez las do swej prowizorycznej stajenki, w której czekała dzienna porcja owsa i towarzystwo tak podobnego usposobieniem starego koleżki Spartana. Do obozu głównego było co najmniej 25 kilometrów, a za kwadrans zaczęło się ściemniać.

Torby również zostały zdjęte z drzewa, a ich zawartość skrupulatnie przebrana. To, co Pungushe odrzucił, leżało schludnie odłożone na płaskim kamieniu.

Najwidoczniej nie miał najlepszego zdania o Williamie Szekspirze, gdyż jego tragedie zostały odsunięte na bok, zostawił też giemzową kurtkę myśliwską Marka, prezent od Ruth wręczony w ostatniej chwili. Zabrał natomiast śpiwór, należący kiedyś do Seana Courteneya, z wszytym prześcieradłem i wyspą z prawdziwego pierza edredonowego, [Kaczka edredonowa – ptak morski z północnych krańców półkuli północnej dostarczający cennego puchu], który kosztował 25 gwinei u Harrodsa w Londynie. Świetna wymiana za przetarty, zatłuszczony koc i drewniany podgłówek. Wziął też kociołek, kubek, sztućce, sól, mąkę i mięso, ale zostawił pojedynczą puszkę fasoli.

Przywłaszczył sobie czystą koszulę i spodnie khaki, odrzucając zapasowe wełniane skarpety i buty na gumowej podeszwie. Być może był to tylko zbieg okoliczności, że buty zostały ustawione czubkami w kierunku obozowiska Marka – a może była to jawna kpina? Puszka fasoli i buty na drogę.

Poprzez czerwoną mgiełkę upokorzenia i wściekłości Mark zauważył w tej sytuacji działanie jakiegoś kapryśnego humoru. Ten człowiek obserwował go. Teraz był już tego pewien, jego dobór rzeczy z toreb Marka odzwierciedlał aż zbyt wiernie to, co Mark spalił z jego dobytku.

W swej wyobraźni Mark usłyszał niski, dzwoniący śmiech Zulusa. Schwycił szybko mannlicera i podążył tropem Pungushe. Przeszedł najdalej sto metrów i zatrzymał się. Pungushe mógł być objuczony potrzaskiem, mokrą skórą i zdobyczami, ale wpadł już w zuluski krok „Minza umhlabathi” i „zjadał ziemię”, kierując się na północ w tempie, które Mark uznał za niemożliwe do naśladowania.

Wrócił do drzewa i usiadł ciężko przy pniu. Złość przemieniła się w dokuczliwy niepokój na myśl o czekającym go dwudziestopięciokilometrowym spacerze z torbami i rulonem suchych skór. Honor nie pozwalał mu na porzucenie tych marnych zdobyczy.

Nagle zaczął się śmiać bezradnym wstrząsem ramion, śmiał się, aż łzy zaczęły mu spływać po twarzy, a brzuch rozboleł.

– Pungushe, jeszcze wyrównamy rachunki – zagroził słabo, przez śmiech.

Po północy spadł deszcz, krótkotrwała ulewa, ale wystarczająco silna, by przemoczyć Marka i przycisnąć trawę do ziemi, przywierając do jej łądy grubymi kroplami. Wraz z nią nadszedł nocny wiatr, uciążliwy niczym stara żona. Mokra trawa przemoczyła buty tak, że

chlupotały i obcierały nogi przy każdym kroku. Papierosy zamieniły się w żółtą papkę tytoniu i rozmokłego papieru ryżowego. Rulon skór, torby i siodło wrzynały mu się w ramiona i nie miał już tej nocy więcej powodów do śmiechu.

Skały Bramy Chaki o brzasku purpurowe, mleczne i gładkie, pokraśniały nagle ostrym różem i brązem pod namiętym pocałunkiem słońca, ale Mark brnął dalej uginając się pod niesionym ciężarem, zbyt zmęczony, by podziwiać piękno przyrody, by czuć cokolwiek, czy dbać o cokolwiek, aż doszedł do lasu na brzegu rzeki Bubezi i zatrzymał się w pół kroku.

Pociągnął nosem, nie dowierzając, lecz został natychmiast napomniany przez swe ciało szybkim napłynięciem śliny do ust i skurczami pustego żołądka. Był to najpiękniejszy z zapachów, jaki kiedykolwiek czuł. Zapach smażonego na patelni bekonu i jajek, z wolna ścinających się i krzepnących na skwierczącym tłuszczu. Wiedział, że to tylko wymysł jego zmęczonej wyobraźni, resztki bekonu bowiem zjadł przed sześcioma tygodniami. Ale po chwili i jego słuch zaczął wyprawiać dziwne sztuczki. Usłyszał dźwięki siekiery uderzające w drewno i cichą melodię zuluskich głosów.

Uniósł głowę i spojrzał przez las w kierunku swego obozowiska pod drzewami figowymi. Zauważył stożek odwiecznie białego płótna polowego namiotu oficera. Został rozbity niedawno w pobliżu jego niedbale skleconej szopy. Rozpalono duże ognisko i Hlubi, stary zuluski kucharz, krzątał się przy nim pochylony nad patelnią.

Za płomieniami dojrzał barczystą postać generała Courteneya siedzącego wygodnie na płóciennym krześle i obserwującego krytycznym okiem przygotowania do śniadania. Gdy zauważył Marka, zszarganego i brudnego jak nieboskie stworzenie, uśmiechnął się szeroko po chłopięcemu.

– Hlubi – powiedział po zulusku. – Jeszcze cztery jajka i pół kilo bekonu.

Niespożyta energia generała sprawiła, że najbliższy tydzień stał się jednym z niezapomnianych epizodów w życiu Marka. Zapamiętał go na zawsze takim, jakim był wtedy, śmiejącego się do rozpuku z żalosno-frustrujących przygód Marka w ściganiu Pungushe. Wciąż chichocząc, wołał na służących i powtarzał im te historie, ubarwiając je własnymi komentarzami i opisami, rozśmieszając ich do łez. Stary gruby Hlubi aż wywrócił patelnię z jajami. Wielki brzuch podskakiwał mu jak piłka, a podobna do kuli armatniej głowa, owinięta bawełną, kiwała się z boku na bok.

Mark, wygłodzony na diecie z wołowiny i fasoli, zajadał się przepysznyimi daniami Hlubiego. Był zadziwiony przepychem i stylem, w jakim Sean Courteney stawiał czoło afrykańskiemu buszowi. Począwszy od głębokiej przerośniętej wanny, a skończywszy na pojemniku z suchym lodem, który dostarczał nie kończący się strumień pienistego zimnego piwa w samo upalne południe.

– Po co znosić niewygodę, jeśli można podróżować pierwszą klasą? – powiedział Sean mrugając do Marka. Rozpościarał właśnie dużą mapę południowych terenów Zulu na rozkładanym stole. – No więc, co masz mi do powiedzenia?

Ich dyskusje przeciągały się do późna każdej nocy. Lampa Petromax zawieszona na gałęzi drzewa nad nimi syczała cicho, a nad rzeką czekały i popiskiwały szakale. Za dnia objeżdżali teren. Sean na Spartanie cieszył się każdą chwilą, wykazując żywotność człowieka o połowę młodszego. Parł naprzód bez najmniejszego postoju nawet w zatykającym żarze południa. Zbadał miejsce, które Mark wybrał pod główne obozowisko, spierając się z nim o to, gdzie powinien stanąć most na rzece Bubezi, przebył las do polany, na której Mark oznakował drzewa. Po drodze wykrzyknął w podziwie na widok dużego, czarnego kozła nyla z ciężką grzywą i upiornymi pasami uciekającego w popłochu na widok człowieka. Siadywał w głębokiej balii pod drzewem figowym, zanurzony po pas w śnieżnobiałej pianie, z cygarem w ustach i dużą szklanką piwa w dłoni, dopominając się głośno o następny czajnik wrzącej wody, kiedy kąpiel stygła. Był wielki, owłosiony i pokryty licznymi bliznami – Mark zdał sobie sprawę, jak wiele miejsca ten człowiek zajmuje w jego życiu.

Kiedy zbliżał się dzień wyjazdu, nastrój Seana uległ zmianie, wieczorami zaczął zagłębiać się w wykazy sporządzone przez Marka.

– Pięćdziesiąt zebr – przeczytał z listy Marka, wlewając resztę whisky z piersiówki do swej szklanki. – Na rzece Sabi w dziewięćdziesiątym piątym roku stado zebr przechodziło tuż przed moim wozem. Zajęło mu czterdzieści minut, by ją przemierzyć. Prząd pochodzą zniknął za horyzontem, kiedy tył był jeszcze przy nas. To jedno stado liczyło najmniej trzydzieści tysięcy sztuk.

– Nie ma słoń? – zapytał spoglądając znad listy, a kiedy Mark potrząsnął głową, powiedział cicho: – Myśleliśmy, że to będzie trwać wiecznie. W dziewięćdziesiątym dziewiątym, kiedy przyjechaliśmy do Pretorii z północy, mieliśmy ze sobą dziesięć ton kości słoniowej. Dziesięć ton czystej kości słoniowej. Zamyślił się.

– Lwów też nie ma?

Mark znów pokręcił głową.

– Raczej nie, generale. Nie ma tu ani śladu po nich, nie słyszałem ich też w nocy. Kiedy byłem chłopcem, zastrzeliłem jednego niedaleko miejsca, w którym teraz obozujemy. Byliśmy wtedy z dziadkiem?

– Tak – przytaknął Sean. – Kiedy ty byłeś chłopcem. Ale co z twoim synem, Mark? Czy zobaczy kiedyś lwa żyjącego na wolności?

Mark nie odpowiedział i Sean aż jęknął.

– Nie ma lwów przy rzece Bubezi, Boże! Co my zrobiliśmy z tym krajem? – Zapatrzył się w ogień. – Zastanawiam się, czy to był przypadek, że ty i ja spotkaliśmy się, Mark. Otworzyłeś moje oczy i sumienie. To ja i ludzie podobni do mnie zrobiliśmy to...

Potrząsnął głową i sięgnął do bocznej kieszeni luźnej myśliwskiej kurtki. Wydobył oprawne w skórę kieszonkowe wydanie książki, gruby mały tomik, podniszczony i zatłuszczony od wielokrotnego kartkowania.

Mark nie rozpoznał jej przez chwilę, ale kiedy się zorientował, był wprost zaszokowany.

– Nie wiedziałem, że czytuje pan Biblię! – wykrzyknął, a Sean spojrzał na niego spod krzaczastych brwi.

– Czytałem ją – powiedział szorstko. – Im starszy się robię, tym częściej do niej zaglądam.

– Ależ, sir – nie ustępował Mark. – Przecież nie chodzi pan do kościoła.

Tym razem Sean zmarszczył czoło, jakby zirytowany wścibstwem i bezpośredniością tego pytania.

– Mam własną religię – powiedział. – Nie zwykłem wyśpiewywać o tym w niedzielę i zapominać przez resztę tygodnia, jak to czynią niektórzy moi znajomi.

Ton jego głosu był ostateczny, kończący dyskusję, zwłaszcza że skierował swą uwagę na podniszczony tomik.

Biblia otworzyła się w miejscu, które zaznaczył zasuszonym dzikim kwiatkiem.

– Znalazłem to zeszłej nocy – powiedział Markowi osadzając okulary w stalowych oprawkach na czubku nosa. – To zupełnie jak omen, i zaznaczyłem, by ci to odczytać. Mateusz X. – Odchrząknął i wolno przeczytał.

„Azali dwóch wróbelków za pieniążek nie sprzedają, a wždy jeden z nich nie upadnie na ziemię oprócz woli Ojca waszego . [Ustęp z Ewangelii według św. Mateusza, rozdział X., werset 29]

Skończył i schował Biblię do kieszeni. Milczeli obaj, zastanawiając się nad tym i przyglądając kształtom tworzonym przez popioły ogniska.

– Może to On pomoże nam ocalić wróbelka przed upadkiem, tu przy Bramie Chaki – powiedział wreszcie Sean i nachylił się, by wyciągnąć płonący patyczek z ogniska. Zapalił kolejne cygaro i popykał je głęboko, rozkoszując się smakiem drewna i tytoniu, nim dodał: – Niefortunne jest tylko to, że czasy są teraz bardzo ciężkie. Dopiero pod koniec przyszłego roku będziemy mogli złożyć wniosek o zatwierdzenie tej ustawy i otrzymać fundusze na rozwinięcie tego wszystkiego.

Mark zrobił się czujny, a jego głos zabrzmiał ostro, kiedy zapytał:

– W przyszłym roku?

– Obawiam się, że tak.

– Dlaczego tak późno?

– Smutna rzeczywistość polityki; synu – mruknął Sean. – Po tym druzgocącym ciosie, jaki otrzymaliśmy, wszystko inne musi poczekać do czasu, gdy rozegramy właściwie ten pojedynek o władzę.

– Co się właściwie wydarzyło? – zapytał Mark ze szczerym zainteresowaniem. – Nie miałem w ręku gazety od przeszło dwóch miesięcy.

– Żałuję, że i ja nie miałem tego szczęścia – Sean uśmiechnął się bez humoru. – Przeprowadzono wybory uzupełniające w małym miasteczku w Transwalu. To miejsce było zawsze nasze, dobre, pewne miejsce, złożone w ręce zaufanego, szanowanego, nic nie znaczącego posła z tylnych ławek, wielce lojalnego, ale mało inteligentnego. Dostał ataku

serca w stołówce parlamentu, kiedy odpoczywał w przerwie między zupą a rybą. Odwołaliśmy się do naszego pewnego, małego okręgu wyborczego, by wyborcy obrali nowego członka – tu Sean przerwał, a wyraz jego twarzy stał się zimny i nieprzenikniony – i dostaliśmy lanie swego życia. Partia Hertzoga zwyciężyła przewagą piętnastu procent. Zwalczyli nas, powołując się na zeszłoroczne tłumienie strajków. To była sromotna klęska.

– Nie wiedziałem. Przykro mi.

– Jeśli ta piętnastoprocentowa przewaga rozciągnie się na cały kraj, przejdziemy do opozycji w następnych wyborach. Nic nie może być bardziej ważnego w tej chwili. Generał Smuts zdecydował się wyruszyć po kraju w marcu przyszłego roku i będziemy walczyć o przetrwanie. Do tego czasu nie możemy przeprowadzać nowych ustaw ani prosić o fundusze.

Mark poczuł, że zimna rozpacz przenika go aż po czubki palców.

– A co z tym tu? – zapytał. – Czy mamy przerwać to, co robimy? Zostawić to tak po prostu? Pozwolić na kolejny rok kłusowania i polowań, kolejny rok bez ochrony i rozwoju? Sean pokręcił głową.

– Moi ludzie zbadali już istniejącą ustawę. Mamy dość wpływów, by rozszerzyć jej zasięg, ale nie mamy na to funduszy.

– Nie zrobimy tu nic bez pieniędzy – powiedział Mark z żalem.

– Ach, nareszcie widzę trochę respektu dla siły pieniądza – Sean dogryzł mu z cienkim uśmiechem i dokończył już poważnie. – Zdecydowałem się na sfinansowanie rozwoju i zarządzania rezerwatem do czasu uzyskania oficjalnych funduszy na ten cel. Pokryję ten rachunek z własnej kieszeni. Być może w przyszłości dostanę zwrot poniesionych kosztów z budżetu, ale nie wiem tego na pewno. – Uniósł bezradnie ramiona. – Mam wrażenie, że to przynajmniej jestem winien. Miałem swój udział w tym.

– Nie będziemy potrzebować aż tak wiele – zapewnił szybko Mark, ale Sean uciszył go zirytowany.

– Będziesz otrzymywał tę samą pensję co przedtem. Zacziesz od urzędu głównego obozowiska. Dam ci czterech ludzi do pomocy – ciągnął dalej cicho. – Musimy poradzić sobie bez mostu na rzece i ze szlakiem dla wozów zamiast nowej drogi – ale to będzie jakiś początek – i miejmy nadzieję, jak cholera, że wygramy wybory.

Ostatniego dnia, gdy siedzieli przy śniadaniu, Sean położył przed Markiem prospekt.

– Rozmawiałem z Caldwellem, człowiekiem, który zrobił ilustracje do *Jocka z Bushveldu*, i namówiłem go, by zaprojektował naszą rozkładówkę – uśmiechnął się, kiedy Mark zaczął gorliwie kartkować folder. – Chcę, byś wykorzystał jak najlepiej swoje trzy tysiące funtów.

W folderze był szkic całostronicowego ogłoszenia prasowego zatytułowanego „Przyjaciele dzikiej przyrody Afryki”. Na marginesie widniały wspaniałe rysunki dzikich zwierząt, a poniżej wyszczególnione cele towarzystwa i elokwentnie sformułowana prośba

o poparcie i członkostwo.

– Moi prawnicy dopracowali artykuły i wyjaśnili wszelkie kwestie prawne. Damy folder do druku w każdej gazecie w tym kraju. Adresem kontaktowym towarzystwa będzie biuro dyrekcji Courteney Holdings. Zatrudniłem na pełen etat urzędnika, który zajmie się robotą papierkową. Mam też młodego dziennikarza do redagowania gazetki towarzystwa. Ma mnóstwo pomysłów i zapalił się do tego przedsięwzięcia. Przy odrobinie szczęścia możemy liczyć na olbrzymie poparcie społeczne.

– To wszystko będzie kosztowało znacznie więcej niż trzy tysiące – Mark był rozdarty między zachwytem a przerażeniem rozmiarami, do jakich jego prosty pomysł się rozrósł.

– Tak – zaśmiał się Sean. – To będzie kosztowało więcej niż trzy tysiące. A skoro już o tym mowa, przypomniałem sobie coś. Wysłałem Dirkowi Courteneyowi potwierdzenie otrzymania pieniędzy – i dożywotnią kartę członkostwa towarzystwa. – Ten żart przypomniał im ostatnie dni przed wyjazdem Marka.

Tragarze Seana zniknęli już między drzewami, unosząc na głowach tobołki ze sprzętem ku ciężarówkom, które zostawili 30 kilometrów za skałami Bramy Chaki, przy najbliższej drodze. Sean odwlekał moment rozstania.

– Żał mi wyjeżdżać – przyznał. – Spędziłem tu wspaniałe chwile i czuję się dużo silniejszy – gotów stawić czoło wszystkiemu, co szykują tam dla mnie te sukinsyny. – Rozejrzał się dookoła, chcąc pożegnać się i zapamiętać rzekę, góry i dzikie ostępy. – W tym jest coś magicznego – stwierdził. – Opiekuj się tym dobrze, synu – powiedział wyciągając dłonie.

Była to ostatnia okazja dla Marka, by zadać pytanie, do którego przymierzał się wiele razy, Sean jednak wciąż zbywał je albo po prostu ignorował. Ale teraz musiał otrzymać odpowiedź na nie, trzymając dużą sękatą dłoń Seana w uchwycie, z którego nie mógł się wykręcić.

– Nie mówił pan nic o Storm. Jak się czuje? Co z jej malowaniem? – wyrzucił z siebie.

Przez chwilę zdawało się, że Sean nie da się w to wciągnąć. Zesztywniał, rozszoszczony, starając się wycofać dłoń. Gdy spojrział, Mark zobaczył w jego głęboko osadzonych oczach bezbrzeżny, trudny do opisanego smutek, a palce zacisnęły się na dłoni Marka w stalowym uchwycie.

– Storm wyszła za mąż miesiąc temu. Nie widziałem się z nią od dnia twego wyjazdu z Lion Kop – powiedział uwalniając rękę Marka. Bez dalszych słów odwrócił się i odszedł. Po raz pierwszy od przyjazdu kroczył wolno i ciężko, szurając stopami jak starzec – bardzo zmęczony starzec.

Mark chciał pobiec za nim, ale jego własne serce pękało i nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Numer dwa drużyny Natalu doszedł do linii. Kopyta jego kuca wzbijały tumany wapna używanego do znaczenia linii boiska niczym trawersująca seria karabinu maszynowego. Złapał piłkę pół metra przed tym, nim wybryłowała z gry. Wychylił się z siodła i uderzył w nią z bakhendu pod szyją kuca. Było to rasowe uderzenie zakończone uniesieniem kija wysoko nad głową. Piłka wzbija się płynnym łukiem, biała plama na ostrym błękitcie letniego nieba. Z klubowej werandy i stojących na niej pod kolorowymi parasolami płóciennych krzeseł dobiegł wybuch aplauzu, zagłuszający tętent koni. Przerodził się w pomruk zdziwienia, kiedy zauważono, że Derek Hunt przewidział to. Zbliżał się szybkim galopem na Saladynie, nie pozwalając mu wyrwać się przedwcześnie do przodu.

Saladyn był dużym kucem, o paskudnym i wrednym łbie, teraz przekrzywionym, gdy obserwował lot piłki. Nieproporcjonalnie duże nozdrza rozdymały się tak, iż błyszcząca, czerwona membrana nosowa furkotała jak chorągiewka. Oko śledzące piłkę potoczyło się aż do wnętrza niezgrabnej czaszki, nadając zwierzęciu dziki, na wpół oszalały wygląd. Był z rodzaju tych szaro–dereszowatych koni, których sierść, bez względu na to, jak długo czyszczona zgrzeblem, nigdy nie osiągnie połysku. Jego kopyta były podobne do kopyt konia pociągowego. Unosił je teraz wysoko w niezgrabnym biegu, szybko wynosząc go przed pędzącego na przędzie kuca argentyńskiego.

Derek siedział na nim wygodnie rozparty niczym w fotelu i zataczał kijem niedbałe kręgi lekkimi ruchami nadgarstka. Kask miał naciągnięty na uszy i zapięty mocno paskiem pod brodą. Gruby brzuch wylewał mu się zza paska bryczesów. Przedramiona długie i muskularne niczym u szympansa porośnięte były gęstą, rudą płataniną owłosienia. Jego twarz była pokryta piegami, spod których przebijała się przekrwiona cera, wyglądająca jak świeżo poparzona wrzątkiem. Miała ten sam odcień czerwoności co twarz nałogowego alkoholika i była teraz zlane potem.

Pot błyszczał na jego twarzy jak krople rannego dżdżu i spływał mu po brodzie. Bawełniana koszulka z krótkimi rękawami była tak mokra, jakby przed chwilą wyszedł z tropikalnej ulewy. Przylegała ściśle do zwalistych niedźwiedziowatych ramion i napinała się na brzuchu tak bardzo, że przez mokry materiał prześwitywał wyraźnie zarys pępka.

Przy każdym nawrocie, gdy kopyta Saladyna uderzały twardo w ubitą glebę, rozłożyste pośladki Dereka Hunta odziane w obcisłe białe bryczesy drżały w siodle jak galareta.

W poprzek boiska zbliżały się dwa argentyńskie kuce, ich jeźdźcy przystojni, o oliwkowej cerze, byli równie zgrabni co oficerowie kawalerii. Pędzili żywo, pokrzykując coś w podnieceniu po hiszpańsku. Derek uśmiechnął się pod krótkim rudym wąsikiem, obserwując, jak piłka zatrzymuje się i powraca łukiem ku ziemi.

– Chryste – westchnął jeden z widzów stojących na schodkach do klubu. – Najpaskudniejszy koń wśród stworzeń bożych – powiedział unosząc swą szklankę w geście uznania ku Saladynowi.

– I najszpetniejszy, najbardziej bramkostrzelny gracz na całym tym świecie na jego

grzbiecie – zgodził się drugi stojący przy nim kibic. – Ci biedni, cholerni Latynosi powinni skamienieć od samego tylko patrzenia na niego.

Saladyn i numer jeden drużyny Argentyny dotarli do punktu, w którym upadła piłka, dokładnie w tej samej sekundzie. Argentyńczyk uniósł się w siodle, by złapać piłkę. Jego białe zęby lśniły pod cienkim jak niteczka czarnym wąsikiem, a gładkie, ciemno opalone ramiona napinały mięśnie w przygotowaniu do uderzenia z forhendu. Zgrabny piękny kuc ustawiał się w dogodnej pozycji, zwinny i szybki jak łasica.

Raptem wydarzyło się coś niezwykłego. Derek Hunt siedział ciężko i rozłożył się w siodle i nikt nie zauważył ruchu uzdy ani ostrogi, które sprawiły, że Saladyn wykonał zwrot zadem. Argentyński konik odbił się od niego, jakby wpadł na kopczyk granitu. Jeździec przeleciał nad jego łbem. Z wspaniałej pełnej gracji perfekcji zwierzę przeszło w niezdarny, chaotyczny upadek, w tumanie rdzawego kurzu, by następnie przetoczyć się na kolana i wznieść histeryczny okrzyk protestu ku niebu.

Derek pochylił się lekko. Rozległ się cichy stuk młotka do gry o pęd bambusa, łagodny, niemal niedosłyszalny dźwięk, i piłka upadła miękko tuż przed pokracznym, ciężkim łbem Saladyna. Odbiła się raz, potem drugi i zatrzymała się posłusznie w oczekiwaniu na kolejne uderzenie, które popędzi ją w podskokach po boisku. Z prawej strony nadjechała argentyńska klacz z graczem numer cztery, poruszając się wdzięcznie niczym szarżująca lwica. Aplauz tłumu rozniósł się wzdłuż boiska, działając na nią jak ostroga i mobilizując do przyjęcia tego wyzwania. Jeździec wykrzyknął jakieś przekleństwo po hiszpańsku, mając oczy błyszczące dziko z podniecenia. Derek płynnym ruchem przełożył młotek z prawej dłoni w lewą i uderzył w podskakującą po murawie piłkę, kierując ją tak, by wylądowała tuż przy boku tamtego, zmuszając go do zmiany kąta uderzenia.

W tej samej chwili, gdy Argentyńczyk zwolnił, Derek wykonał mocne uderzenie i wybił piłkę wysokim lobem nad jego głową. Powiedział „Ha!”, ale półgłosem, i uderzył Saladyna piętami po bokach. Duży, niezdarny kuc wyciągnął się, prac łbem naprzód, a Derek poruszał się w siodle, chcąc mu pomóc w tym pędzie.

Minęli Argentyńczyka, jakby rzeczywiście zamienił się w kamień, minęli go trwającego tak w niedowierzaniu i podebrali piłkę leżącą tuż obok. Puk! Puk! I jeszcze jedno puknięcie. Poprowadził piłkę równo pomiędzy toporne słupki bramki, po czym zawrócił i pokłusował ku linii początkowej.

Chichocząc tak, że jego wydatny brzuch aż falował, Derek przerzucił nogę nad łbem Saladyna i zsunął się na ziemię, przekazując kuca w ręce stojących.

– Do następnej przepychanki wezmę Satana – zawołał gardłowym głosem wprawnego piwosza.

Storm Courteney zauważyła, jak nadchodzi, i wiedziała dobrze, co się wydarzy. Próbowwała wstać, ale była już tak ociężała i niezgrabna, dziecko w jej łonie kotwiczyło ją do krzesła niby głaz.

– Wypijmy jednego za biedaków, a co tam! – krzyknął Derek, obejmując ją długim, rozgrzanym do czerwoności, rudo owłosionym ramieniem.

Lodowaty pot z jego twarzy rozmazał się po jej policzkach. Czuć go było przetrawionym piwem i kołmi. Pocałował ją rozchyłonymi ustami, nie zważając na obecność Rene Leuchars i czterech innych dziewcząt, ich mężów, tłumu uśmiechniętych stajennych i innych członków klubu siedzących na werandzie. Z rozpaczą pomyślała, że zaraz się rozchoruje. Kwaśne torsje podeszły jej do gardła i czuła, że zaraz zwymiotuje na oczach wszystkich.

– Derek, mój odmienny stan! – wyszeptła z desperacją, ale on wciąż obejmował ją ramieniem, biorąc butelkę piwa ze srebrnej tacy podsunętej mu przez jednego z odzianych na biało kelnerów klubowych. Zignorował szklankę i przyssał się łapczywie do jej szyjki.

Próbowała się uwolnić, ale powstrzymywał ją od tego niesamowitą i nonszalancką siłą – i beknął soczystą eksplozją gazu.

– Zdrowie biedaków! – zawołał znów i wszyscy roześmiali się niczym pochlebcy z dowcipu króla. Dobry, stary Derek. Stary Derek, zawsze sam sobie ustanawiający normy i prawa. Wyrzucił pustą butelkę. – Miej na nią oko, póki nie wrócę, zoneczko! – zaśmiał się i schwycił jedną z jej nabrzmiątych piersi w czerwoną, jakby poparzoną dłoń i ścisnął boleśnie. Poczowała, że oblewa ją zimny pot i robi jej się słabo z upokorzenia i nienawiści.

Wszystko opóźniało się nieraz o miesiąc i Storm nie zaniepokoiła się, nim nie trafiła na drugie z kolei wolne okienko w kieszonkowym kalendarzyku. Miała zamiar powiedzieć o tym Markowi już wtedy, ale rozstali się tak nagle. Nadal liczyła na to, że wszystko rozwiąże się samo, lecz tygodnie mijały i ogrom tego wszystkiego dopadł ją w jej pałacu ze złota i kości słoniowej. Takie rzeczy przytrafiały się nieraz innym dziewczynom, pospolitym pracującym dziewczynom – ale nie miało prawa zdarzyć się Storm Courteney. Dla młodych dam takich jak ona istniały odrębne prawa i zasady.

Kiedy już upewniła się i nie miała najmniejszych wątpliwości, pierwszą osobą, o jakiej pomyślała, był Mark Anders. Ciernie paniki zaczęły otaczać jej serce bezlitosnymi kolcami, tak że chciała pobiec do niego i zarzucić mu ramiona na szyję. Wtedy uparta i totalnie nie kontrolowana duma Courteneyów zwyciężyła i ugasiła ten impuls. To on musi przyjść do niej. Zdecydowała już – musi przyjść, i to na jej warunkach; nie mogła zmienić zasad, które sama sobie ustanowiła. Jednak nawet teraz, pomimo rozpaczliwego położenia, jej pierś zamierała, a nogi stawały się słabe i drżące, kiedykolwiek o nim myślała.

Przeplakiwała noce wtedy, gdy rozstała się z Markiem – i teraz płakała znów. Teraz, kiedy jego dziecko rosło w jej łonie, tęskniła za nim bardziej niż kiedykolwiek. Ale to złożone uczucie dumy nie chciało uwolnić ją ze swego uchwytu, nawet pozwolić jej, by zawiadomiła go o swym kłopotliwym położeniu.

– Nie prowokuj mnie, Marku Andersie – ostrzegła go, a on zastosował się do jej groźby. Nienawidziła go, ale i kochała za to. Nie mogła się jednak teraz ugiąć.

Następną osobą, o której pomyślała, była jej matka. Ona i Ruth Courteney były zawsze bardzo blisko, zawsze mogła polegać na lojalności i przenikliwym, praktycznym zdrowym rozsądku matki. Powstrzymała ją jednak świadomość, że gdy tylko Ruth dowie się o wszystkim, parę godzin później będzie wiedział też jej ojciec. Rodzice Storm nie ukrywali bowiem niczego przed sobą.

Drżała na myśl o tym, jak zareagowałby ojciec, gdyby dowiedział się, że nosi bękarta w łonie. Ogromna władcza miłość, jaką żywił do niej, sprawiłaby, że gniew i odplata byłyby tym straszliwsze. Wiedziała też, że zniszczyłoby to Marka. Jej ojciec był zbyt silny, uparty i zacięty, by mogła zataić imię Marka przed nim. Wydusiłby to z niej.

Wiedziała o sympatii, jaką darzył Marka, było to aż nadto widoczne, ale uczucie to nie wystarczyłoby dla ocalenia ich obojga.

Stosunek Seana Courteneya do córki był obwarowany żelaznymi zasadami postępowania, staromodnym wizerunkiem ojca, który nie pozostawiał miejsca dla jakichkolwiek odstępstw. Mark Anders pogwałcił te żelazne zasady i Sean zniszczyłby go, nie zważając na ogromną sympatię do niego, a czyniąc to, zniszczyłby część samego siebie.

Odrzuciłby i wyrzekłby się własnej córki, mimo że zrujnowałoby go to i pozostawiło złamanego z rozpacz.

Tak więc, ze względu na ojca i ze względu na Marka Andersa, nie mogła zwrócić się o pomoc i pocieszenie do matki.

Zamiast tego udała się do Rene Leuchars, która wysłuchała jej chaotycznych wyjaśnień z rosnącym rozbawieniem i ciekawością.

– Ależ ty głupiutkie kochanie, czy nie zabezpieczyłaś się jakoś?

Storm pokręciła smutno głową, nie orientując się, co Rene rozumie pod pojęciem zabezpieczenia, wiedząc tylko, że cokolwiek to było, ona na pewno to zaniedbała.

– Kto to był, kochanie? – brzmiało kolejne pytanie, ale tym razem Storm pokręciła głową z niezłomną determinacją.

– Ojej! – Rene przewróciła oczami. – Aż tylu kandydatów na tatusia? Cicha woda z ciebie Storm, kochanie.

– Czy nie można czegoś z tym zrobić?

– Masz na myśli skrobankę, kochanie? – zapytała Rene brutalnie, uśmiechając się złośliwie i wrednie, kiedy Storm przytaknęła.

Był wysokim mężczyzną, szpakowatym i zgarbionym, o piskliwym głosie i dłoniach tak bladych, że prawie przeźroczystych. Storm widziała prześwitujące przez skórę błękitne żyłki i delikatne kostki. Starła się nie myśleć o tych bladych dłoniach podczas badania, kiedy wnikały w nią, ale były zimne i sprawiały okrutny ból. Potem umył te białe dłonie nad kuchennym zlewem z taką przesadną uwagą, że Storm prócz wstydu i bólu poczuła się nieco urażona. Ta czynność zdawała się niemal osobistą obrazą.

– Mam wrażenie, że ma pani do czynienia z dużą dozą wysiłku fizycznego, tenis i jazda

konna, czy tak? – zapytał wprost, a kiedy Storm potwierdziła, cmoknął i stęknął z dezaprobatą. – Ciało kobiece nie zostało stworzone do takiego wysiłku. Jest pani bardzo wąska, o dobrze rozwiniętej muskulaturze. Co więcej, ciąża jest co najmniej dziesięcioletniowa. – Nareszcie zakończył mycie dłoni i zaczął wycierać je w przetarty, ale klinicznie wręcz śnieżny ręcznik.

– Czy pomoże mi pan? – Storm zapytała z irytacją. Powoli pokręcił siwą głową.

– Gdyby przyszła pani do mnie trochę wcześniej... – rozłożył białe przezroczyste dłonie w geście bezradności.

Wraz z Rene sporządziły listę mężczyzn, którzy mieli dwie wspólne cechy. Byli albo zakochani, albo deklarowali się z miłością do Storm, i wszystkim dobrze się powodziło w życiu. Sześć nazwisk znajdowało się na tej liście. Storm wysłała karty wizytowe do dwóch z nich, otrzymując jedynie zdawkowe odpowiedzi, uprzejme życzenia zdrowia bez wyraźnego zaproszenia na spotkanie. Trzeci kandydat z listy umówił się z nią w klubie Umgeni. Nadal jeszcze mogła nosić strój tenisowy, przy czym ciąża sprawiła, że jej skóra tryskała zdrowiem, a piersi weszły dojrzałością.

Gawędziła z nim beztrósko, nieco flirtując. Pewna siebie i zrównoważona, ośmielała go jak nigdy dotąd. Nie zauważyła przebiegłego, pożądlivego błysku w jego oczach, dopóki nie nachylił się ku niej i nie zapytał konfidencjonalnym szeptem:

– Czy zagramy w tenisa... już teraz?

Zmusiła się, by dojść jakoś do cadillaca zaparkowanego za kortami. Dopiero tam wybuchnęła płaczem i płakała dalej, przejeżdżając przez bramy klubu tak gwałtownie, że musiała zatrzymać się na wydmach nad oceanem.

Gdy przeszła fala upokorzenia, zmobilizowała się do intensywnego myślenia.

To musiała być Rene Leuchars, oczywiście. Chyba była ślepa i głupia, że nie zauważyła tego wcześniej. Już Rene zadbała, by wiedzieli o Storm wszyscy, dokładnie wszyscy.

Poczuła się samotna i opuszczona.

Derek Hunt nie znajdował się na jej liście szczęściu nie dlatego, że był biedny, ale dlatego, że właściwie nigdy nie przejawiał większego zainteresowania osobą Storm.

Derek Hunt interesował się każdą ładną dziewczyną. Z dwiema ożenił się nawet. Nim rozwiodły się z nim, czyniąc z tych rozstań publiczne widowiska, zdążyły obdarzyć go siódmką potomstwa.

Reputacja Dereka Hunta była równie nadszarpnięta, co jego majątek.

– Słuchaj, staruszko – powiedział do Storm rozsądnie. – Ty i ja mamy problem. Ja chcę ciebie, zawsze cię chciałem. Nie mogę już nawet przespać spokojnie nocy, słowo. – Jego rude wąsy drgały lubieżnie. – A ty potrzebujesz mnie. Złe wieści szybko się roznoszą, staruszko. Piętno hańby, potępienie społeczeństwa i cała ta zgnilizna, obawiam się, oto co cię czeka. Twoja strata, mój zysk. Zawsze gwizdałem na to, co sobie myślą inni. Mam przecież siódmkę małych bękartów, jeszcze jeden nie robi mi różnicy. No i co ty na to? Wypijesz

jednego za biedaków?

Wyjechali do Suazi, gdzie Derekowi udało się załatwić świadectwo ślubu, ale musiał przed urzędnikiem skłamać, dodając jej lat.

Na ceremonii nie było nikogo z jej znajomych, tylko pięciu kumpli Dereka – nie powiadomiła ojca, nie powiadomiła swej matki i nie powiadomiła Marka. Usłyszała, że wraca do domu niczym zwycięzca Grand Prix Le Mans. Długi sznur samochodów na podjeździe, potem pisk hamulców, kanonada trzaskających drzwi, głośne rubaszne okrzyki i fragment dzikiej piosenki.

Głos Dereka był głośniejszy i bardziej schrypnięty od innych, kiedy tupiąc wchodził po frontowych schodach.

– Carramba, niech mnie szlag, serdeńka! Wpierw skułem wam tyłki na boisku, a teraz rozpiję was na śmierć. Tym sposobem uratujecie honor Argentyny...

Storm leżała na wznak i patrzyła na gipsowe amorki na suficie. Miała ochotę uciec stąd. Poczula nieodpartą, podszytą strachem pokusę, by wstać i uciec jak najdalej. Ale nie miała dokąd. Rozmawiała z matką zaledwie parę razy od dnia ślubu. Każde z tych spotkań było bezbrzeżnie bolesne dla nich obu.

– Gdybyś tylko nam powiedziała. Może wtedy tatuś postarałby się zrozumieć, wybaczyć...

– Kochanie, gdybyś tylko wiedziała, jakie on snuł plany na temat twego wesela. Był taki dumny z ciebie – i nie mógł być na twoim ślubie. Nie został zaproszony...

– Daj mu czas, błagam cię, Storm. Robię wszystko, co się da, dla ciebie. Uwierz mi, kochanie. Wydaje mi się, że mogłoby być inaczej, gdyby to był ktokolwiek, tylko nie Derek Hunt. Wiesz, jakie tatuś ma o nim zdanie...

Nie miała dokąd uciec. Leżała tam cicha i przerażona, aż wreszcie usłyszała ciężkie, nierówne kroki na schodach i trzask otwieranych drzwi.

Nie przebrał się i był wciąż w butach do konnej jazdy. Boki jego bryczesów były uwalane na brązowo smarem z siodła, a krok spodni zwisał prawie do kolan, jakby obciążony brudną pieluszką niemowlęcia. Pot zasechł białymi półkęgami soli pod pachami koszulki.

– Obudź się, staruszko. Czas, by człowiek dobry i prawy odsapnął, spełnij wreszcie swój obowiązek małżeński.

Odzienie zostało tam, gdzie je zrzucił. Jego monstualny brzuch był wprost rybio biały i pokryty kępkami rzyżych włosów. Zwaliste ramiona znaczyły sine plamki po zaleczonych ropniach. Był wprost przerażająco żywiołowy, gruby i twardy jak gałąź sosny.

– Jednego za zdrowie biednych, co? – zarechotał ochryple, podchodząc do łóżka.

Nagle zupełnie wyraźnie przypomniała sobie Marka Andersa, jego szczupłe i zgrabne ciało, ze zdrowo zarysowanymi młodymi mięśniami, siedzącego na słonecznej polanie. Z potwornym żalem, jak po niepowetowanej stracie, przywołała w pamięci pięknie ukształtowaną głowę o cudnie wykrojonych ustach, z wyraźnie zarysowanymi brwiami oraz

poważne oczy poety.

Kiedy łóżko ugięło się pod ciężarem jej męża, miała ochotę krzyknąć z rozpaczony na myśl o tym, co zaraz nastąpi.

Przed śniadaniem Derek Hunt zwykł spożywać odrobinę Black Velvet, który to koktail uzyskiwał, mieszając ciemnego, mocnego Guinnessa z szampanem Bollinger rocznik 1911 w specjalnej kryształowej wazie do ponczu. Następnie napitek przelewał do cynowego kufła z pokrywką i stopniowo wypijał.

Był zwolennikiem treściwych śniadań i tego ranka jadł jajecznicę, wędzonego łososa, cynadry na ostro, grzyby i duży, dobrze wysmażony stek – wszystko z tego samego talerza.

Mimo że jego oczy były zażawione i przekrwione od zeszłocnej hulanki, a krwią nabiegła twarz wyglądała jak wschodzące słońce, był usposobiony radośnie. Wylewnie głośny, zarykiwał się ze swoich własnych dowcipów, sięgając przez stół, by dźgnąć ją grubym czerwonym, podobnym do ugotowanej langusty kciukiem dla zaakcentowania każdej puenty.

Zaczekała, aż skończy przelewać resztę Black Velvet do cynowego kufła, nim powiedziała cicho:

– Derek, chcę rozwodu.

Uśmiech nie opuścił jego twarzy, kiedy patrzył, jak ostatnie krople wpadają do kufła.

– To cholerstwo chyba wyparowuje albo to naczynie ma gdzieś dziurę – westchnął, a potem roześmiał się wesoło. – Słyszałaś to? Ma dziurę! Niezłe, co?

– Czy słyszałaś, co powiedziałam? Nie zamierzasz mi odpowiedzieć?

– Odpowiedzi są tu zbyt ciche, staruszko. Umowa to umowa. Ty będziesz miała nazwisko dla swego bękarta, a ja nie otrzymałem jeszcze swej części.

– Otrzymałaś tyle razy, ile tylko chciałaś – odpowiedziała Storm cicho. W jej głowie brzmiała kompletna rezygnacja. – Czy nie mógłbyś pozwolić mi teraz odejść?

– Dobry Boże! – Derek spojrzał na nią znad brzegu kufła, ze sterczącym wąsem i szczerze rozbawionym wzrokiem. – Czy ty naprawdę uważasz, że chodziło mi tylko o obłapkę? To można dostać wszędzie, a wszystkie wyglądają tak samo po ciemku. – Roześmiał się w głos. – Dobry Boże, staruszko! Nie myślałaś chyba, że poleciałem na te twoje śnieżne cycusie, co?

– Więc dlaczego? – zapytała.

– Dla tysiąca i jednego powodu, staruszko. – Napchał usta jajecznicą i cynadrami. – I każdy jeden z nich tkwi w koncie bankowym Seana Courteneya.

Gapiała się na niego.

– Pieniądze tatusia?

– Trafiałaś za pierwszym razem – uśmiechnął się. – Będziesz jeszcze prymuską w mojej klasie.

– Ale... – jej dłonie zatrzepotały w geście zaskoczenia. – Przecież jesteś taki bogaty. Nie rozumiem.

– Byłem, staruszek, byłem – czas przeszedł. – Znowu zaręczał zachwycony. – Dwie kochające żony, dwóch niesympatycznych sędziów od spraw rozwodowych, siedem bachorów, czterdzieści kucy do gry w polo, przyjaciele o szerokich prawicach, skały, które wyrastały pośrodku drogi, kopalnie, w których nie było diamentów, budynek, który się zawalił, tama, która pękła, skarpa, która się obsunęła, bydło, które zachorowało, tak właśnie rozchodzą się pieniądze, bum i nie ma!

– Nie wierzę ci – była zaszokowana.

– Nie żartowałbym na ten temat – uśmiechnął się. – Nigdy nie żartuję na temat pieniędzy, to jedna z moich niezłomnych zasad. – Znowu dźgnął ją palcem. – Przypuszczalnie jedyna zasada, zrozumiałaś? Jestem splukany, kompletnie goły, naprawdę. Tatusz jest ostatnią deską ratunku, staruszek. Obawiam się, że będziesz zmuszona porozmawiać z nim. Ostatnia deska, co? Wypijmy po jednym za biednych, nie znasz tego?

Nikt nie otwierał i Mark miał już zrezygnować i zawrócić do miasteczka. Poczł ulgę i pewną lekkość serca, którą musiał sam przed sobą określić jako tchórzostwo. Zmobilizował się więc, zeskoczył z werandy i obszedł dom dookoła.

Sztywny kołnierzyk i krawat dusiły go, a marynarka zdawała się czymś nienaturalnym i krępującym każdy ruch. Wzdrygnął się i przejechał palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka, podchodząc do drzwi kuchennych.

Minęło pięć miesięcy, od kiedy ostatni raz miał na sobie garnitur czy stapał po chodniku – nawet dźwięk kobiecych głosów był mu obcy. Zatrzymał się i wsłuchał w nie.

W kuchni była Marion Littlejohn z siostrą. Wesoła paplanina brzmiała niezwykle muzykalnie i z prawdziwą przyjemnością zaśłuchał się, jakby po raz pierwszy w życiu.

Rozmowa urwała się raptem, kiedy zapukał, i Marion otworzyła drzwi.

Miała na sobie kuchenny fartuch w wesołe paski, a jej nagie ramiona były aż po łokcie uwalane w mące. Związała włosy wstążką, ale niesforne kosmyki wymykały się i kręciły przy szyi i na czole.

– Mark – powiedziała spokojnie. – Jak to miło. – Próbując odgarnąć kosmyk z czoła, zostawiła smugę mąki na czubku nosa. Był to nadzwyczaj rozczulający gest.

– Wejdz – otworzyła szerzej drzwi.

Jej siostra powitała Marka chłodno, bardziej niż Marion zdając sobie sprawę z jego zwodów.

– Czyż on nie wygląda świetnie? – zapytała Marion i obie przyjrzały się uważnie Markowi stojącemu pośrodku kuchni.

– Jest za chudy – powiedziała siostra zjadliwie i zaczęła rozwiązywać troki fartucha.

– Możliwe – powiedziała Marion spokojnie. – Trzeba go po prostu odkarmić. –

Uśmiechnęła się i przytaknęła. Zauważyła, jaki jest zgrabny i opalony, ale też z matczyną przenikliwością stwierdziła, że rysy jego twarzy spoważniały i stały się dojrzałe. Zobaczyła również smutek i samotność i miała ochotę wziąć go w ramiona i przytulić jego głowę do swej piersi.

– Mam trochę pysznej maślanki – powiedziała myśląc: Siadaj tu, gdzie będę cię widziała.

Kiedy nalewała z dzbanka maślanke, jej siostra odwiesiła fartuch za drzwiami i powiedziała sucho, nie patrząc na Marka:

– Skończyły nam się jajka. Pójdę po nie do miasteczka.

Gdy zostali sami, Marion zajęła się wałkowaniem ciasta.

– Opowiedz mi, czym się tam zajmowałeś – zachęciła go.

Zaczął mówić wpierw ostrożnie, ale z głębokim przekonaniem i entuzjazmem. Opowiedział jej o Bramie Chaki, o swym życiu i pracy.

– To miłe – kwitowała jego ożywioną relację od czasu do czasu. Jej umysł pracował żywo. Już planowała niezbędne do wzięcia zapasy, przygotowując się już teraz do życia z dala od cywilizacji, gdzie nawet drobne udogodnienia stają się luksusem – takie, jak szklanka świeżego mleka czy światło po zmroku – wszystko to należało przygotować i starannie zrealizować.

Zgodnie ze swą naturą nie odczuwała ani podniecenia, ani zaniepokojenia tą perspektywą. Była urodzoną żoną dla pioniera. Gdzie on pójdzie, jego żona pójdzie wraz z nim. Liczyła się tylko praca, którą należało przedtem wykonać.

– Teren pod domostwo leży za pierwszym załomem wzgórz, ale widać stamtąd całą dolinę i skały Bramy Chaki. Jest tam bardzo pięknie, zwłaszcza wieczorami.

– Na pewno.

– Zaprojektowałem dom tak, że będzie go można rozbudowywać stopniowo po jednym pokoju. Na początek będą tam tylko dwa pokoje...

– Dwa pokoje powinny wystarczyć na początek – zgodziła się, marszcząc czoło w zamyśleniu. – Ale będziemy też potrzebowali pokoju dzieciennego.

Przerwał i spojrział na nią, nie będąc pewien, czy dosłyszał. Zamarła trzymając walek w obu dłoniach i uśmiechnęła się do niego.

– Przecież właśnie po to przyszedłeś tu dziś, prawda?

Nieco zdziwiony przytaknął.

– Zdaje się, że tak.

Straciła pewność siebie tylko na krótką chwilę w czasie ceremonii, kiedy zauważyła generała Courteneya siedzącego w pierwszej ławce z żoną u boku. Sean był ubrany w jasny garnitur, a w krawat miał wpiętą spinę z dużym diamentem. Ruth, opanowana i elegancka, w ogromnym niczym koło od wozu kapeluszu przybranym białymi różami.

– Przyszedł – szepnęła Marion gorączkowo, nie mogąc po wstrzymać triumfującego

spojrzenia w kierunku przyjaciółek i krewnych, niczym dama rzucająca grosik żebrakowi. Jej pozycja społeczna wzbila się na niebotyczne wyżyny. Później, kiedy generał ucałował ją głośno w oba policzki i zwrócił się do Marka: – „Wybrałeś sobie najładniejszą dziewczynę z całego miasteczka, mój chłopcze”, pokraśniała z zachwytu, zaróżowiona, szczęśliwa i rzeczywiście tak ładna jak nigdy w życiu.

Z pomocą czterech zuluskich robotników, przysłanych przez Seana, Mark podciągnął prowizoryczny szlak aż do rzeki Bubezi. Zawiózł swą żonę do Bramy Chaki w koszu motocykla, za którym jechał wóz załadowany wysoko częścią posagu Marion. Daleko za nimi Zulusi prowadzili Trojana i Spartana objuczonych resztą jej bagażu.

Był wczesny ranek i mgła ścieliła się gęstą zasłoną wzdłuż rzeki, o powierzchni gładkiej jak lustro i tkniętej gdzieś niedługo różem i błękitem przez pierwsze promienie nadchodzącego dnia. Wielkie słupy Bramy Chaki wystawały ponad mgłą mroczną i tajemniczą, zwieńczone aureolą złotych chmur.

Mark wybrał tę porę dnia na przyjazd, by Marion ujrzała swój nowy świat od najlepszej strony i miała jak najwięcej czasu na zapoznanie się z nim. Zatrzymał motocykl przy wąskim kamienistym szlaku i wyłączył silnik.

Siedzieli w ciszy, przyglądając się, jak słońce wyłania się zza skał, płonąc niby światło latarni, którego marynarz wypatruje na wodnistej pustyni oceanu, światło, które przywiodło go do tej cichej, bezpiecznej przystani.

– To bardzo ładne, mój drogi – zamruczała – a teraz pokaż mi, gdzie stanie nasz dom.

Pracowała razem z Zulusami, zabłocona aż po łokcie wyrabiała glinę na cegły zwane Kimberley, nie wymagające wypalania. Popędzała ich w ich własnym języku i zmuszała żartami do wysiłków przekraczających zwyczajowo przyjęte tempo Afryki. Szła za mułami, kierując je uprzężą z postronków, kiedy dźwigały bale z doliny, z rękawami zakasanymi wysoko na gładkich, opalonych ramionach i włosami schowanymi pod chustką. Pracowała przy glinianym piecu, wyjmując z jego czeluści wypieczone złote bochenki na szufli o długim trzonku i przyglądała się z prawdziwym zadowoleniem, jak Mark zgarnia resztki gulaszu świeżą skórką.

– Smaczne było, prawda, mój drogi?

Wieczorami siadywała blisko lampy, pochylona nisko nad cerowaniem, i przytakiwała żywo, kiedy relacjonował przygody minionego dnia, opowiadał o każdym małym tryumfie czy porażce.

Pewnego pogodnego dnia zabrał ją na górę po antycznej ścieżce aż na sam szczyt Bramy Chaki, trzymając ją mocno za dłoń, gdy posuwali się wąskimi przesmykami, mając rzekę dwieście metrów poniżej. Podwinęła wysoko spódnice, chwyciła mocniej rączkę koszyka, który niosła, i nie wypowiedziała ani jednego słowa skargi w czasie długiej wspinaczki.

Na szczycie pokazał jej zburzone kamienne ściany i wielkie pieczary, w których żyli starzy współplemieńcy Chaki, ci którzy wyzwali go do walki. Opowiedział jej legendę

o wspinaczce króla, wskazując niebezpieczną ścieżkę, którą prowadził swych wojowników – i w końcu opisał jej masakrę i obrazowo pokazał, jak deszcz ludzkich ciał spadał do rzeki płynącej poniżej.

– To było bardzo ciekawe, mój drogi – powiedziała rozkładając obrus, który przyniosła w koszu. – Wzięłam parę obwarzanków i trochę tego dżemu morelowego, który tak ci smakował.

Coś przyciągnęło uwagę Marka, jakieś dziwne poruszenie daleko w dole, więc sięgnął po lornetkę. W złotej trawie na skraju poletka wysokiej trzciny wyglądały jak rządki tłustych, czarnych żuków wędrujących po białym prześcieradle. Rozpoznał je natychmiast i z rosnącym uczuciem podniecenia zaczął liczyć.

– Osiemnaście! – krzyknął głośno. – To nowe stado!

– Co to takiego, mój drogi? – uniosła głowę znad obwarzanka, który smarowała dżemem.

– Nowe stado bawołów – wyrzucił z siebie. – Przypuszczalnie przyszły tu z południa. Już zaczyna się coś dziać.

Przez lornetkę zobaczył, jak jedno z ogromnych, zwałistych zwierząt wychodzi na polankę wśród wysokiej trawy. Widział nie tylko szeroki ciemny grzbiet, ale i olbrzymi łeb oraz sterczące uszy wyrastające spod żałośnie opuszczonych do dołu rogów. W słońcu, które odbijało się od ich czarnej powierzchni, lśniły niczym zbrojna stal.

Poczuł narastające silne poczucie własności. Należało tylko do niego. Jaki pierwsze przyszły, by zamieszkać tu w sanktuarium, które dla nich stworzył.

– Popatrz – podał jej lornetkę. Wytarła dokładnie dłonie i skierowała szkła ku skałom. – Tam, na brzegu bagna – wskazał palcem. Z jego twarzy były duma i radość.

– Widzę je – powiedziała z uśmiechem, ciesząc się jego radością. – Jak to miło, mój drogi.

Potem przeniosła lornetkę szerokim łukiem do miejsca, gdzie między drzewami widać było dach ich domostwa.

– Czyż chata nie wygląda ładnie z tą nową strzechą? Nie mogę się wprost doczekać, kiedy się tam przeprowadzimy.

Następnego dnia wynieśli się z szopy niedbale skleconej z trzciny i płótna, stojącej w dawnym obozowisku pod drzewami figowymi. Wraz z nimi przeniosła się para jaskółek.

Zwinne ptaszki zaczęły budować swe schludne gniazdko, utkane grudkami żółtej gliny w złączeniu strzechy ze świeżej trzciny i pobielonych wapnem ścian z cegły Kimberleya.

– To najlepsza zapowiedź szczęścia, jaką mogliśmy sobie wymarzyć – śmiał się Mark.

– Ależ one tak brudzą – trapiła się Marion, lecz tej nocy po raz pierwszy to ona zainicjowała, by się kochali. Położyła się wygodnie na plecach, podciągnęła koszulę nocną do pasa i rozchyliła szerokie, kobiece uda. – Jeśli masz ochotę, to możesz, mój drogi.

Dlatego, że była taka miła i kochana, starał się być tak szybki i uważający, na ile mógł.

– Czy było dobrze, mój drogi?

– Było cudownie – powiedział i nagle wyobraził sobie inną cudownie żywą kobietę, o ciele tak pięknym i zwinnym.

Czuł się nie w porządku wobec Marion i tkwiło to w nim niczym zadra. Starał się odsunąć obraz Storm, ale pojawiał się wciąż, jakby idąc naprzeciw jego snom, tańczący, śmiejący się i dokazujący. Rano oczy miał podkrążone i czuł się rozdrażniony i niespokojny.

– Idę z patrolem do doliny – powiedział, nie podnosząc głowy znad kawy.

– Ależ byłeś tam w zeszły piątek – zauważyła.

– Chcę przyjrzeć się tym bawołom – powiedział.

– To dobrze, mój drogi. Spakuję ci torbę; jak długo cię nie będzie? Spakuję sweter i kurtkę, wieczorami bywa chłodno. Jak to dobrze, że upiekłam wczoraj... – trajkotała dalej beztrosko, tak że odczuł nagle ochotę, by krzyknąć i uciszyć ją. – Znajdę wreszcie czas, by zasadzić coś w naszym ogrodzie. Miło będzie znów mieć świeże warzywa. Nie odpisałam na listy od wieków, będą martwić się o nas w domu.

Wstał od stołu i poszedł osiodłać Trojana.

Trzepocząca eksplozja ciężkich skrzydeł poderwała Marka w jego kryjówce. Uniósł się w siodle akurat w chwili, gdy tuzin dużych ptaszysk wzbił się w powietrze ponad poletkiem trzciny.

Były to brudne, szare sępy. Spłoszone nagłym pojawieniem się Marka, wykonały niemal magiczne przeistoczenie się z potwornej szpetoty w piękno szybującego lotu.

Mark przywiązał Trojana i wyjął mannlicera z pochwy, na wszelki wypadek. Poczuł dreszcz emocji. Liczył na to, że może trafić na ofiarę jednego z zabójczych kotów, może nawet lwa, gatunku, którego bezskutecznie wypatrywał w dolinie.

Bawół leżał na brzegu wilgotnej, miękkiej ziemi, na wpół ukryty w trzcinach. Został zabity tak niedawno, że sępy nie zdążyły jeszcze rozszarpać grubej skóry i zatrzeć śladu wyraźnie odbitego w mokrej ziemi. Zdążyły tylko wylupić oko i wyszarpać ostrymi dziobami cieńsze wokół odbytu ciało, tędy bowiem rozpoczynały penetrację gruboskórnej padliny.

Bawół był dużym, dojrzałym samcem. Wielkie półkola rogów wyrastały z solidnie sklepionej czaszki; imponujące poroże, każde mierzące dobrze ponad metr długości. Jego cielsko było równie okazałe, większe niż u rozplodowego byka rasy Hereford. Kark miał wylęślały, poznaczony szramami, a tułów oblepiony błotem i źdźbłami suchej trawy.

Mark wsunął dłoń w załom skóry między tylnymi kończynami i wyczuł ciepłość ciała.

Nie żyje od co najmniej trzech godzin – zdecydował, kucając przy martwym cielsku, by stwierdzić przyczynę śmierci. Byk zdawał się nie mieć na sobie żadnych ran, póki Markowi nie udało się przetoczyć go na drugi bok. Musiał zaprzeć się naprawdę mocno, by przemieścić ważący półtorej tony sztywny ciężar.

Natychmiast dostrzegł rany. Jedna śmiertelna, nad łopatką, przechodziła przez żebra. Wprawny okiem łowcy Mark dojrzał, że mierzono dokładnie w serce, była to szeroka rana

i bardzo głęboka. Zakrzepnięta krew wypływająca z niej przemieniła się na ziemi poniżej w galaretowatą masę.

Gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości co do przyczyn powstania tej rany, rozwiałyby się natychmiast, jak tylko zobaczył drugą. Był to cios zadany od przodu, prosto w nasadę karku, pod takim kątem, by ominąć kości i znów trafić w samo serce. Broń, którym go zadano, tkwiła tam nadal, a jej ostrze pękło pod ciężarem padającego bawołu.

Mark schwycił pęknięte ostrze i zaparł się nogą o bark zwierzęcia. Musiał włożyć cały swój wysiłek w to, by wydobyć je wbrew przeciwnemu ssaniu przylegającego doń ciała.

Przyjrzał się z żywym zainteresowaniem. Była to dzida o szerokim ostrzu, broń zaprojektowana przez samego starego króla Chakę. Mark przypomniał sobie Seana Courteneya wspominającego wojny z Zulusami, Isandhlwana i Morma Gorge.

– Potrafią tak wbić dzidę w pierś człowieka, że wychodzi po drugiej stronie między łopatkami. Kiedy wycofują ją, zostawia człowieka pobladłego, jakby jakaś mechaniczna pompa wysysała całutką krew. – Sean zamilkł i zapatrzył się w ognisko. – Gdy wyciągają dzidę, krzyczą *Ngidhla* – „Zjadłem!” Ktoś, kto raz słyszał ten okrzyk, nie zapomni go do końca życia. Minęło czterdzieści lat, a wspomnienie to nadal jeży mi włosy na karku.

Trzymając teraz w dłoni krótką, ciężką broń, Mark uzmysłowił sobie, że Chaka polował kiedyś na bawoły z takim właśnie orężem. Przypadkowe ogniwo łączące różne światy. Kiedy Mark patrzył na dzidę i wielkość martwego zwierzęcia, poczuł, że gniew ustępuje miejsca mimowolnemu podziwowi. Był zły za bezmyślne zniszczenie jednego ze zwierząt, a pełen podziwu dla szczególnej odwagi, z jaką tego dokonano.

Myśląc o tym człowieku, Mark zastanawiał się, jakie to nadzwyczajne okoliczności zmusiły go do porzucenia tak cennej, kunsztownie zrobionej broni razem z nagrodą, dla której narażał życie. Mark wrócił po śladach odcisniętych na miękkiej ziemi i odnalazł miejsce, w którym byk wyszedł z podobnej do tunelu ścieżki wśród trzciny po odwiedzeniu wodopoju. Łowca czekał starannie ukryty tuż przy ścieżce. Ślady tych stóp były niemożliwe do pomylenia z innymi.

– Pungushe! – wykrzyknął Mark.

Pungushe położył się pod wiatr i kiedy bawół mijał go, wraził stal pod jego łopatkę, głęboko aż do samego serca. Byk rzucił się naprzód do nieprzytomnego galopu, gdy Pungushe wycofywał ostrze. Krew bryznęła z szerokiej rany, opryskując wysokie trzciny.

Bawół jest jednym z nielicznych dzikich zwierząt, które potrafi zawrócić i zaatakować swego prześladowcę. Mimo że już właściwie kończył życie, wypompowując z siebie krew z każdym ciężkim oddechem, stanął dokładnie pod wiatr, by złapać woń Pungushe. Udało mu się to i zaszarżował w bezlitosnym galopie, z nosem uniesionym ku górze i szeroko rozstawionymi rogami, który zatrzymać mogła tylko śmierć.

Pungushe stał, czekając na spotkanie z pędzącym przez trzciny rannym zwierzęciem. Następnym cios był wymierzony w nasadę karku i trafił bezbłędnie w samo serce. Byk uderzył

go jednak, nim przebiegł parę kroków dalej i runął na kolana z charakterystycznym śmiertelnym rykiem.

Mark wytropił miejsce, w którym Pungushe upadł. Zarys jego ciała odznaczał się wyraźnie w mokrej glinie. Następnie doszedł aż na sam skraj sitowia, gdzie doczołgał się Pungushe, i tam z wysiłkiem wstał na nogi.

Ruszył wolno na północ. Jego chód był nierówny, stapał ciężko, przenosząc ciężar na pięty, nie wyciągając nóg jak zwykle.

Zatrzymał się raz przy miejscu, w którym zostawił stalowy potrzask, i schował go, zakopał w kopcu termitów. Najwidoczniej był zbyt osłabiony, by nieść czy ukryć dokładniej cenną pułapkę. Mark wydobył potrzask i przytroczył go do siodła Trojana, zastanawiając się przelotnie, ile zwierząt przypawił tym żelastwem o okrutną śmierć.

Jakieś dwa kilometry dalej Pungushe zatrzymał się, by zerwać liście z małego krzewu terpentynowca, rośliny o właściwościach leczniczych, i poszedł wolno dalej. Nie wyszukiwał maskujących skalistych ścieżek i nie zacierał swych śladów. Na jednym z wąskich, piaszczystych przejść przez wyschnięte koryto rzeki Pungushe opadł na kolano i potrzebował podeprzeć się oburącz, by znów powstać.

Mark zapatrzył się na te ślady. Po raz pierwszy zauważył tam krew, ciemne krople utwardzone ziarenkami piasku. Ponad uczuciem złości i tryumfu wziął górę niepokój. Ten poważnie ranny mężczyzna uratował mu kiedyś życie. Mark wciąż pamiętał błogosławiony smak cierpkiego lekarstwa pitego z ciemnego glinianego garnka, które przedzierało się przez potworne pragnienie malarii.

Doprowadził Trojana do tego miejsca, by być mniej widocznym, rzucać mniejszy cień i nie zaalarmować mężczyzny, którego tropił, głośnym niczym telegraf tupotem muła.

Teraz jednak wskoczył na muła i ścisnął go kolanami, by przynaglić do szybkiego rozkołysanego biegu.

Pungushe leżał. W końcu upadł ciężko, wprost na piaszczystą glebę. Zczołgał się ze ścieżki używanej przez zwierzynę prosto pod mały krzak, by ochronić się przed słońcem. Twarz osłonił lekką pelerynką z dobrze wyprawionej skóry małpy, jak człowiek szykujący się do snu – lub na śmierć.

Leżał tak nieruchomo jak nieżywy. Mark ześlizgnął się ostrożnie z grzbietu Trojana i podszedł do wyciągniętego ciała. Muchy brzęczały i kłębiły się radośnie wokół pęku zakrwawionych liści terpentynowca przywiązanych kawałkiem włókna z kory do boku i tyłu pleców.

Mark wyobraził sobie dokładnie, jak powstała ta rana. Pungushe stał czekając na nadejście szarżującego bawołu. Wymierzył krótką dzidę o szerokim ostrzu prosto w szyję i wbił stal ostrym pchnięciem, po czym odskoczył szybko w bok. Byk jednak zdążył jeszcze zawrócić na masywnych nogach i zahaczył go rogiem.

Pungushe został trafiony w bok tułowia, dużo poniżej kości biodrowej i miednicy.

Uderzenie odrzuciło go do tyłu, dając mu jednak czas na odczołganie się. Byk popędził dalej, walcząc ze stałą tkwiącą głęboko w jego piersi, aż opadł na kolana z ostatnim rykiem przegranego.

Mark wzdrygnął się mimo upału, patrząc na schowaną pod liśćmi ranę, i ukląkł, by odgonić muchy.

Po raz pierwszy zwrócił uwagę na budowę mężczyzny. Pelerynka ze skórek zasłaniała tylko twarz i ramiona, pozostawiając masywną pierś odkrytą. Kawałek miękkiej wyprawionej skóry ozdobionej niebieskimi koralikami osłaniający biodra przechodził między nogami i nie okrywał z tyłu muskularnych pośladków. Mark zauważył też potężne, umięśnione uda i płaski twardy brzuch.

Każdy mięsień był wyraźnie widoczny, a węzowe żyły pod powierzchnią skóry świadczyły o wspaniałej tężyznie fizycznej mężczyzny i doskonałej kondycji. Jego kolor skóry był dużo jaśniejszy niż u większości Zulusów, miał gładki maślany odcień i połyskiwał niczym skóra kobiety, z tym tylko, że pierś pokrywały ciemne, skręcone pukle.

Zakładałem wnyki z myślą o szakalu – pomyślał Mark – a upolowałem wielkiego starego lwa o czarnej grzywie. Teraz poważnie zaniepokoił się o życie Pungushe. Nawet dla tak pięknego zwierzęcia śmierć łowcy była zbyt marnym interesem.

Raptem zauważył lekkie, niemal nieuchwytnie wznoszenie się i opadanie muskularnej piersi. Wyciągnął dłoń i dotknął ramienia przez cienką skórę.

Pungushe poruszył się, a potem z wysiłkiem uniósł na łokciu, pozwalając pelerynce opaść – i spojrzał na Marka.

Był mężczyzną w kwiecie wieku, dumnym i godnym. Mógł mieć najwyżej czterdzieści lat, pierwszy szron życiowej mądrości dopiero dotykał przy skroniach kędzierzawej czarnej czupryny.

Jego twarz nie wskazywała na to, że jest konający. Szerokie czoło było gładkie niczym wypolerowany bursztyn, usta miał zaciśnięte, a oczy ciemne, złe i dumne. Była to przystojna twarz Zulusa z królewskiego rodu.

– *Sakubona*, Pungushe – powiedział Mark. – Widzę cię, Szakalu.

Mężczyzna przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, rozważając jego słowa, myślał nad imieniem, jakim go nazwał, formą przywitania, nad językiem i akcentem, w jakim zostało wypowiedziane. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, uśmiech ani grymas złości nie wykrzywił grubych warg, tylko w oczach pojawiło się nowe światło.

– *Sakubona*, *Jamela*. – Widzę cię, o ty, który szukasz. – Jego głos był niski i gruby, a mimo to wibrował w powietrzu niczym gong z brązu. I dodał szybko: – *Sakubona*, *Ngaga*.

Mark aż zamrugał oczami. Nigdy nie przeszłoby mu przez myśl, że Szakal mógłby nazwać go przydomkiem tak do cna obelżywym. Ngaga to pokryty łuskami mrówkojad, małe stworzonko podobne do żółwia, stworzenie prowadzące nocny tryb życia, które po wyciągnięciu na światło dzienne biega w kółko jak zgarbiony, niespełna rozumu starzec,

zatrzymując się tylko, by przyjrzeć się okiem krótkowidza małym przedmiotom na swej drodze, i pędzi dalej.

Te dwa określenia, „Jamela” i „Ngaga”, użyte w połączeniu opisywały z zawstydzającą wyrazistością kogoś, kto biega wokół małymi kroczkami, przyglądając się wszystkiemu, lecz jest tak ślepy, że nie dopatry się niczego.

Mark nagle spojrzął na siebie oczami postronnego obserwatora, jak zjeżdża dolinę w pozornie nie służącym niczemu objeździe patrolowym, zatrzymując się, by przyjrzeć się wszystkiemu, co go ciekawiło, i rusza znów dalej – zupełnie jak ngaga. Ta myśl nie była zbyt pochlebna.

Poczuł się nagle zaniepokojony. Pungushe mimo odniesionych ran tak dzielny i on biały myśliwy teoretycznie stojący wyżej. Jak na razie to on wypadł gorzej przy tej wstępnej prezentacji.

– Wygląda jednak na to, że Ngaga znalazł to, czego szukał – zauważył sucho i podszedł do muła po zrolowany koc.

Pod zakrwawionymi liśćmi była ciemna, głęboka dziura w miejscu, gdzie wszedł czubek rogu bawołu. Mógł przeorać ciało aż do samych nerek, a w takim przypadku człowiek byłby skazany na pewną śmierć. Mark odrzucił tę myśl i oczyścił możliwie jak najdelikatniej ranę roztworem trypaflawiny. Sięgnął po zapasową koszulę, śnieżnobiałą i wciąż sztywną od pedantycznego wprost prania i prasowania Marion. Oderwał rękawy, a resztę złożył na kształt opatrunku, który umieścił na ranie i przybandażował do ciała rękawami.

Pungushe nie odzywał się, obserwując krzątanie Marka, nie protestował ani nie okazywał bólu, kiedy Mark uniósł go do pozycji siedzącej, by ułatwić sobie zadanie. Gdy jednak Mark oddzierał rękawy, jęknął z żalem:

– To była bardzo dobra koszula.

– Był sobie kiedyś młody i przystojny Ngaga, który mógł umrzeć w gorączce – przypomniał mu Mark – ale padlinożerny stary Szakał zaniósł go w bezpieczne miejsce, nakarmił i напоił.

– Tak – przyznał Pungushe – ale Szakał nie był na tyle głupi, by zniszczyć nową koszulę.

– Ngaga dba o to, by Szakał wyzdrowiał i miał dość sił, by pracować przy łupaniu kamieni i innych godnych prawdziwego mężczyzny zajęciach, kiedy będzie gościem honorowym w *kraalu* króla Jerzego. – Mark skończył temat i zwinął koc. – Czy możesz dać mi wody, Szakału? Jest to niezbędne, by stwierdzić, jak głęboko wszedł róg bawołu.

Uryna była zabarwiona na różowo-brązowy odcień, ale bez skrzepów jasnej krwi. Wyglądało na to, że nerki zostały tylko mocno stłuczone, a gruba warstwa mięśni pleców Zulusa zamortyzowała brutalne pchnięcie. Mark modlił się bezgłośnie, by tak właśnie było, mimo że nie wiedział sam, czemu się tym tak przejmuje. Pracując szybko, ściał dwa proste drzewka i wyplótł nosze z kawałków mokrej kory. Wymościł je własnym kocem i pelerynką Pungushe, nim przywiązał je do Trojana. Następnie pomógł potężnemu Zulusowi przenieść

się na nie, zdziwiony, jak olbrzymiego był wzrostu i jak twarde było ramię, którym obejmował Marka za szyję, by się oprzeć.

Kiedy już Pungushe leżał, poprowadził muła z powrotem szlakiem zwierzyny. Podwójne końce drzewek zostawiały długi węzowaty ślad w miękkiej ziemi.

Było już prawie ciemno, kiedy mijali miejsce spotkania z bawołem. Mark spojrzął ku trzcinom i zauważył niewyraźne kształty sępów siedzących na drzewach i czekających na swą kolej w biesiadzie przy padlinie.

– Dlaczego zabiłeś mojego bawoła? – zapytał nie do końca pewny, czy Pungushe jest wciąż przytomny. – Wszyscy mieszkańcy znają nowe prawa. Byłem w każdej wiosce, rozmawiałem z każdym *induna*, każdym szefem – wszyscy już słyszeli o tym, wiedzą, że za polowanie w dolinie grozi kara.

– Jeżeli to był twój bawół, czemu nie miał znaku wypalonego na skórze? Przecież tak właśnie mają w zwyczaju czynić *abelungu* – biali ludzie wypalają kawałkiem żelaza swe znaki na bydle, czyż nie tak? – zapytał Pungushe z głębi noszy bez uśmiechu ani nawet śladu kpiny, ale Mark dobrze wiedział, że kpi, i poczuł przyływ złości.

– Te ziemie zostały uznane za święte jeszcze za króla Chaki.

– Nie – odpowiedział Pungushe. – Zostały uznane za królewskie tereny łowieckie – tu jego głos nabrał poważnego tonu. – Jestem Zulusem i płynie we mnie królewska krew. Poluję na mocy tego prawa, że tu się urodziłem – to męska rzecz tak czynić.

– Żaden mężczyzna nie ma prawa tutaj polować.

– Więc co powiesz o białych, którzy przyjeżdżali tu ze swymi *isibumu* – strzelbami i polowali przez dziesiątki sezonów? – zapytał Pungushe.

– Oni też czynili źle, tak jak i ty.

– Dlaczego więc nie stali się gośćmi w *kraalu* króla Jerzego, tak jak ja mam mieć ten honor?

– Będą w przyszłości – zapewnił go Mark.

– Ha! – powiedział Pungushe, tym razem jego głos był przepelniony kpina i lekceważeniem.

– Jeśli ich złapię, też tam pójdą – powtórzył Mark uparcie, ale Zulus zrobił zmęczony gest wzgardy dłonią o różowym wnętrzu, który wyrażał jasno, że istnieje wiele praw, jedno dla białych, drugie dla czarnych, inne dla biednych, a inne dla bogatych. Milczeli do chwili, gdy Mark rozbił obóz na noc i przywiązał Trojana na długiej linie, by paść się.

Gdy kucał przy ognisku, przygotowując kolację dla nich obu, Pungushe przemówił z noszy stojących poza kręgiem światła padającego od ogniska.

– Dla kogo chcesz zachować *silwane* – dziką zwierzynę z doliny? Czy król Jerzy przyjedzie tu na polowanie?

– Nikt nie będzie tu już nigdy polował. Ani król, ani zwykły śmiertelnik.

– Dla kogo więc chcesz zachować *silwane*?

– Jeśli my tego nie zrobimy, nastanie dzień, kiedy nie będzie ich już w tej dolinie. Ani bawołów, ani lwów, ani kudu, nic. Wielka pustka.

Pungushe milczał do czasu, gdy Mark nałożył na pokrywkę nieco kaszy kukurydzianej i wołowiny i zaniósł mu ją.

– Jedz – rozkazał i usiadł po turecku na wprost niego, trzymając swój talerz na kolanach.

– To, co powiedziałeś, jest prawdą – powiedział Pungushe z namysłem. – Kiedy byłem młodzieńcem w twoim wieku – Mark przemilczał jawny przytyk – w tej dolinie były słonie, wielkie samce o kłach długich jak dzidy, wiele lwów, stada bawołów liczące tyle sztuk co bydło wielkiego króla – przerwał. – Nie ma ich już, wkrótce te, które tu jeszcze są, też znikną.

– I ty uważasz, że to dobrze? – zapytał Mark.

– To nie jest ani źle, ani dobrze. – Pungushe wzruszył ramionami i zaczął jeść. – Tak już jest na tym świecie – i nie można osiągnąć wielkich korzyści nic w zamian nie tracąc.

Skończyli jeść w ciszy, po czym Mark zebrał talerze i przyniósł kawę, którą Pungushe zbył odmownym machnięciem dłoni.

– Wypij to – nakazał Mark. – To usunie krew z twojej wody.

Kiedy dał Pungushe papierosa, Zulus ostrożnie odłamał ustnik i wsadził go między wargi. Zmarszczył szeroki, płaski nos, gdy zaciągnął się niesmacznym dymem, przywykł bowiem do sznurkowego, czarnego miejscowego tytoniu, ale nie zamierzał urazić gościnności człowieka, komentując to.

– Kiedy to wszystko zniknie i nastanie Wielka Pustka, co stanie się z tobą, Szakalu? – zapytał Mark.

– Nie rozumiem twojego pytania.

– Ty jesteś człowiekiem *silwane*. Jesteś wielkim łowcą. Twoje życie jest związane z *silwane*, jak pasterz jest przywiązany do swego bydła. Co stanie się z tobą, wielkim myśliwym, kiedy nie będzie już twego stada? Mark zdał sobie sprawę, że jego słowa dotarły do Zulusa. Zauważył, że drgają mu nozdrza i coś rozpała się w jego wnętrzu, ale czekał, aż Pungushe zastanowi się nad pytaniem dokładnie.

– Pojadę do Igoldi – powiedział wreszcie – do kopalni złota i stanę się bogatym człowiekiem.

– Każą ci tam pracować pod ziemią, gdzie nie będziesz widział słońca ani czuł wiatru, tylko łupał kamienie zupełnie tak samo, jak masz robić teraz w *kraalu* króla Jerzego.

Mark zanotował grymas obrzydzenia przebiegający przez twarz Zulusa.

– Pojadę więc do Tekweni. – Pungushe zmienił zdanie. – Pojadę do Durbanu i będę szanowanym człowiekiem.

– W Tekweni będziesz wdychał w płuca dym z młynów cukrowych, a kiedy przemówi do ciebie tłusty nadzorca, odpowiesz: *Yehbo*. – Tak, panie!

Tym razem obrzydzenie na twarzy Zulusa było jeszcze bardziej widoczne. Wypalił papierosa, aż pozostał z niego tylko cieniutki pasek papieru i popiołu, który zgasił między

kciukiem i palcem wskazującym.

– Jamela – powiedział wreszcie. – Mówisz słowa, które martwią człowieka.

Mark wiedział, że Zulus nadrabiał miną i jego rany były w rzeczywistości bardzo poważne. Okazywanie bólu uchodziło tylko kobietom. Nieprędko będzie w stanie podróżować w koszu motoru po wyboistych szlakach i pagórkowatych drogach aż do posterunku policji i sądu magistrackiego w Ladyburgu.

Mark umieścił go w małej szopie na narzędzia, którą wznosił w pobliżu stajni dla mułów. Było tam sucho i chłodno, poza tym drzwi zamykały się na mocną kłódkę yale. Skorzystał z kocy ze skrzyni wyprawnej Marion i materaca, który oszczędzała do pokoju dzieciennego, nie zważając na jej protesty:

– To przecież tubylec, mój drogi!

Każdego wieczoru zanosił więźniowi posiłek w rondelku, badał ranę i zmieniał opatrunek. Oczekując, aż Pungushe zje, siadywał na szczycie schodów wiodących do szopy. Potem wypalali po papierosie i rozmawiali.

– Jeśli dolina należy teraz do króla Jerzego, to jak się stało, że wybudowałeś tutaj swój dom, zasadziłeś swe rośliny i wypasasz swe muły?

– Jestem człowiekiem króla – wyjaśnił Mark.

– Jesteś *induna*? – Pungushe zamarł z łyżką uniesioną w pół drogi do ust i popatrzył na Marka z niedowierzaniem. – Jesteś jednym z doradców króla?

– Jestem strażnikiem jego terenów łownych. – Mark użył starego zuluskiego tytułu i Pungushe pokręcił ze smutkiem głową.

– Mój ojciec był kiedyś strażnikiem królewskich terenów łownych, ale miał dwa tuziny żon, był mężczyzną, który walczył w wielu wojnach i zabił tylu wrogów, że na swojej tarczy miał równie dużo wolicz ogonów co ździebeł trawy na wzgórzu wiosną. Ogon wołu był odznaczeniem, którym król nagradzał wojownika, i przytroczył go do swej tarczy jako dowód szczególnych zasług bitwach. Kiedy Pungushe skończył posiłek, dodał wprost:

– Król Chaka był zbyt mądry, by wysłać dziecko dla wykonania roboty dobrej dla mężczyzny.

Następnego wieczoru Mark stwierdził, że rana goi się ładnie i szybko. Mężczyzna zawdzięczał to swej niesamowitej tężyznie i zdrowiu. Teraz mógł już siadać po turecku, a w sposobie trzymania głowy widać było nową żywotność. Minie mniej czasu, niż Mark zakładał, nim będzie zdolny odbyć podróż do Ladyburga, i Mark poczuł dziwne uczucie żalu.

– Król Jerzy jest bez wątpienia wielkim, mądrym i wszechwiedzącym człowiekiem – Pungushe tak rozpoczął wieczorną rozmowę. – Dlaczego więc czekał aż do zmierzchu ze zrobieniem czegoś, co można było zacząć o świcie? Gdyby chciał zapobiec nastaniu wielkiej pustki w dolinie, jego ojciec powinien był rozpocząć to dzieło.

– Król ma wiele spraw na głowie, nieraz w odległych krajach, musi polegać na swych *induna*, którzy radzą mu, a oni nie zawsze są wszechwiedzący – wyjaśnił Mark.

– *Abelungu* – biali ludzie są jak łakome dzieci, porywają garściami pożywienie, którego i tak nie zdołają zjeść. Rozmazują je tylko po twarzy.

– I wśród czarnych ludzi bywają chciwi i głupi – zauważył Mark – którzy zabijają lamparty w stalowych potrzaskach dla ich futer.

– By sprzedać je chciwym, bogatym, białym mężczyznom dla ich głupich białych kobiet – zgodził się Pungushe, wyrównując wynik potyczki.

Następnego wieczoru Pungushe zdawał się zasmucony zbliżającym się dniem wyjazdu.

– Powiedziałeś mi wiele rzeczy, które muszę rozważyć – zaczął.

– Będziesz miał dość czasu, by to zrobić – zauważył Mark. – Pungushe zignorował ten docinek.

– W twoich słowach jest dużo mądrości jak na kogoś, kto jest na tyle młody, by pasać jeszcze bydło – wyważył ostrożnie ten komplement.

– Kto ma mleko pod nosem – przetłumaczył Mark na język zulu.

Pungushe przytaknął z powagą.

Rano już go nie było. Rozsunął strzechę szopy i wyslizgnął się przez mały otwór. Zabrał swą pelerynkę, a koce Marion złożył starannie na materacu. Szukał stalowego potrzasku, lecz Mark schował go w kuchni, zrezygnował więc i ruszył w noc, kierując się na północ.

Mark był wściekły, że nie ocenił właściwie tempa, w jakim więzień odzyskuje siły, i mamrotał pod nosem, podążając za nim na Trojanie.

– Tym razem zastrzeżę sukinsyna na miejscu – obiecał i zauważył, że Pungushe podąża teraz jego własnymi śladami. Musiał zsiąść z muła, by rozwikłać poplątane dokładnie ślady.

Pół godziny później Pungushe wprowadził go wprost do rzeki i było dobrze po południu, kiedy odnalazł miejsce, w którym Zulus wyszedł z wody i stanął lekko na kłodzie.

W końcu zgubił zimny trop na skalistym podłożu daleko przy obrzeżach doliny. Było późne popołudnie, kiedy wrócił do krytej strzechą chatki. Marion podała mu kolację, a na ognisku bulgotało wesoło dziesięć litrów wody na kąpiel.

Sześć tygodni później Pungushe powrócił w dolinę. Mark siedział osłupiały i przyglądał się, jak nadchodzi.

Poruszał się długim posuwistym krokiem, wskazującym jednoznacznie na to, że całkowicie wyleczył się z odniesionych ran. Był ubrany w pamiętną przepaskę na biodra z błękitnymi koralikami, a na ramionach miał pelerynę ze skór szakala. Niośł dwie dzidy o krótkich drzewcach i szerokich stalowych ostrzach. Za nim, w przyzwoitej odległości, podążały jego żony.

Było ich cztery. Miały obnażone piersi, a na głowach wysokie gliniane nakrycia typowe dla zuluskich mężatek. Najstarsza z nich musiała być rówieśnicą męża, lecz jej piersi były już zwiotczałe i puste niczym skórzane mieszki i brakowało jej paru przednich zębów. Najmłodsza była jeszcze nastolatką, ładniutkim pulchnym stworzeniem o jędrnych, melonowatych piersiach. Niosła siedzącą jej okrakiem na biodrze tłuściutkie brązowe

małeństwo. Każda z żon dźwigała olbrzymi toból na głowie, balansując nim z łatwością bez używania rąk, tuż za nimi podążały jego dzieci, najpierw synowie, potem córki. Tak jak ich matki, każda dziewczynka dźwigała coś na głowie, ładunek proporcjonalny do swojego wzrostu i wieku. Najmniejsza, najwyżej czteroletnia, niosła tykwę na piwo wielkości grejpfruta, naśladowując wiernie wyprostowaną sylwetkę i kołyszący pośladkami chód starszych. Mark doliczył się siedmiu synów i sześciu córek.

– Widzę cię, Jamela. – Pungushe zatrzymał się przy schodach.

– Ja także widzę cię, Pungushe – powiedział ostrożnie Mark i Zulus przysiadł wygodnie na najniższym stopniu. Jego żony rozsiadły się na skraju ogródka Marion – z uprzejmości trzymając się poza zasięgiem słuchu. Najmłodsza dała niemowlęciu pierś, do której przyssało się łapczywie.

– Jutro będzie padać – powiedział Pungushe – chyba że wiatr zawróci i skieruje się na południe. W takim przypadku nie będzie deszczu aż do pełni księżyca.

– Właśnie – zgodził się Mark.

– Deszcz przyda się terenom pod wypas. Ściągnie tu *silwana* z ziemi Portugalczyków zza Pongola.

Zdziwienie Marka ustąpiło ciekawości.

– Po wioskach mówi się, ludzie powtarzają to sobie z ust do ust, aż dotarło do mnie – ciągnął Pungushe wyniośle. – Mówi się, że Jamela, nowy strażnik terenów łowieckich króla Jerzego, jest wielkim wojownikiem, który zgładził ogromne zastępy wrogów króla na wojnie za morzem. – Szakał przerwał, by zaraz dodać: – Mimo że nie ma jeszcze brody i jest zielony niczym łan pierwszej wiosennej trawy.

– Takie chodzą słuchy? – zapytał Mark uprzejmie.

– Mówi się, że król Jerzy odznaczył Jamela czarnym ogonem wołu, by przyozdobił nim swą tarczę.

Ogon czarnego wołu jest dowodem najwyższego honoru i może być porównany do orderu MM, pomyślał Mark.

– Ja sam jestem wojownikiem – zaznaczył Pungushe. – Walczyłem z Bombatą na przełęczy, a potem przyszli żołnierze i odebrali mi bydło. Dlatego stałem się człowiekiem *silwana* i wielkim łowczym.

– Jesteśmy więc towarzyszami dzidy – skonkludował Mark, ale teraz przygotuję swój motocykl, byśmy mogli udać się do Ladyburga, do tamtejszego magistratu dla przedyskutowania kwestii interesujących nas wszystkich.

– Jamela – Zulus pokiwał smutno głową niczym ojciec nad tępowym synem. – Dążysz do tego, by zapełnić wielką pustkę – dążysz do tego, by stać się człowiekiem *silwana*, a nie pomyślisz o tym, kto nauczy cię wszystkiego, kto otworzy ci oczy i odetka uszy, kiedy ja będę w *kraalu* króla Jerzego i będę łupał tam kamienie?

– Przyszedłeś, by służyć mi pomocą? – zapytał Mark. – Wraz ze swymi pięknymi

tłuściutkimi żonami, dzielnymi synami i gotowymi do zameścia córkami?

– Dokładnie tak.

– To bardzo szlachetny pomysł – przyznał Mark.

– Jestem Zulusem, w którym płynie królewska krew – powiedział Pungushe. – Poza tym skradziono mi mój doskonały stalowy potrzask, tak jak kiedyś skradziono mi bydło, jeszcze raz czyniąc mnie biednym człowiekiem.

– Rozumiem – powiedział Mark. – Wystarczy, bym zapomniał o skórach lamparta i martwym bawole?

– Tak będzie sprawiedliwie.

– Jakiej wielkości monetą mam ci płacić?

Pungushe wzruszył ramionami bez zainteresowania.

– Jestem szlachetnie urodzonym Zulusem, nie hinduskim przekupniem z bazaru. Moneta powinna być taka, by było sprawiedliwie i uczciwie – z delikatności zamilkł – nie zapominając jednocześnie, że mam mnóstwo pięknych żon, dzielnych synów i córek na wydaniu, a wszyscy oni mają nieprawdopodobne apetyty.

Mark milczał przez chwilę. Nie chciał odezwać się, nim nie zwalczy rosnącej ochoty do wybuchnięcia śmiechem. Przemówił wreszcie, poważny, ale śmiech atakował mięśnie jego brzucha.

– W jakiej formie będziesz zwracał się do mnie, Pungushe? Kiedy przemówię, czy będziesz odpowiadał: *Yehbo*. – Tak, panie?

Pungushe poruszył się niespokojnie, po jego kamiennej twarzy przebiegł gwałtowny grymas, jakby jedzący odkrył nagle w swym talerzu tłustą białą glistę.

– Będę zwracał się do ciebie Jamela – powiedział. – A kiedy ty przemówisz do mnie w formie, którą przedstawiłeś przed chwilą, powiem: – Jamela, to wielka głupota.

– W jakiej formie ja mam zwracać się do ciebie? – zapytał poważnie Mark, walcząc z wesołością.

– Będiesz nadal nazywał mnie Pungushe, szakał bowiem jest najmądrzejszym i najbardziej przebiegłym zwierzęciem wśród całej *silwana* i należy przypominać ci o tym od czasu do czasu.

Potem nastąpiło coś, co Mark widział po raz pierwszy w życiu. Pungushe uśmiechnął się. Było to jak nagle pojawienie się słońca w pochmurny szary dzień. Jego zęby były duże, równe i idealnie białe. Uśmiech tak szeroki, że zdawało się, iż twarz może się zaraz rozedrzeć. Mark nie mógł powstrzymać się już dłużej. Roześmiał się głośno, z początku wydając zduszony chichot. Usłyszawszy to Pungushe wybuchnął nie skrępowanym śmiechem.

Obaj śmiali się tak długo i głośno, że żony zamilkły i przyglądały się im zdziwione, a Marion wyszła przed dom.

– Czy coś się stało, mój drogi?

Nie mógł wykrztusić odpowiedzi, więc machnąwszy ręką odeszła, zastanawiając się nad nieobliczalnością mężczyzn.

Uspokoili się wreszcie, zmęczeni wesołością i Mark poczęstował Pungushe papierosem, który ten wziął i oderwał natychmiast ustnik. Palili chwilę w milczeniu, aż Mark nagle znów parsknął niepoohamowanie i wszystko zaczęło się od nowa.

Ściągną na szyi Pungushe napięły się jak postronki i wyglądały jak wyrzeźbione z hebanu, usta stały się ciemnoróżową jamą okoloną idealnie białymi zębami. Śmiał się, aż łzy ściekały mu po twarzy i skąpy wały po brodzie. Kiedy zabrakło mu tchu, wydał głośne gwizdzące chrapnięcie niczym samiec hipopotama wynurzający się na powierzchnię. Wytarł łzy kciukiem i powiedział: – „Ee–hee!” – Uderzał się w udo z trzaskiem podobnym do wystrzału między kolejnymi paroksyzmami śmiechu.

Mark zakończył to wreszcie, wyciągając ku niemu prawicę. Pungushe ujął dłoń w pełnym rezerwy uścisku, sapiąc wciąż i dysząc.

– Pungushe, jestem twoim człowiekiem – wykrztusił Mark.

– A ja, Jamela, jestem twoim.

Pod ścianą w holu siedziało półkolem czterech mężczyzn. Byli jednakowo ubrani, a ich odzienie przypominało rodzaj munduru. Ciemne zapinane wysoko koszule, błyszczące celuloidowe kołnierzyki i krawaty w żałobnych kolorach.

Mimo że była między nimi różnica wieku nawet i trzydziestu lat, mimo że jeden był łysiejący, z kępkami ciemnych włosów nad uszami, a drugi miał szopę rudych włosów, mimo że jeden miał pincenez na końcu cienkiego haczykowatego nosa, a inny patrzył otwartym spojrzeniem farmera, mimo tych różnic wszyscy mieli solidne, ciosane rysy Kalwinów, nieposkromionych, nieugiętych i twardych niby granit.

Dirk Courteney przemówił do nich w nowo powstającym języku, który dopiero co uzyskał prawo do niezależnego istnienia obok swego rodzica holenderskiego i został nazwany afrikaans. Przemawiał w nim z galanterią i starannością, która zmiękczyła rezerwę w ich spojrzeniach i odprężyła zwarte szczęki i sztywne karki.

– To tereny Jingo – powiedział im Dirk. – Na każdym dachu powiewa flaga Union Jack. To bogaty okręg wyborczy, posiadacze ziemscy, zawodowcy i program waszej partii nie trafi do nich – mówił o okręgu wyborczym Ladyburg. – W ostatnich wyborach nie wystawiliśmy nawet swego kandydata, nikt nie jest na tyle głupi, by stracić swe miejsce i partia Smutsa wystawiła generała Courteneya bez kontrkandydata.

Najstarszy ze słuchaczy przytaknął błyskając pincenez, zachęcając go, by kontynuował.

– Jeśli chcecie wywalczyć sobie miejsce w Ladyburgu, będziecie potrzebowali kandydata o zgola innym podejściu, mówiącego po angielsku, posiadacza ziemskiego, kogoś, z kim wyborcy mogliby się identyfikować...

To było wspaniale przedstawienie. Dirk Courteney, przystojny, jowialny, wysławiający

się płynnie w obu językach, chodził w tę i z powrotem po wyściełanym dywanem holu, przyciągając ich uwagę. Zatrzymywał się czasem, by wdzięcznym gestem opalonych ramion zaakcentować jakiś argument. Mówił przez ponad pół godziny, uważnie przyglądając się słuchaczom, notując w pamięci ich reakcje, oceniając słabości i mocne strony.

Po półgodzinie uznał, że wszyscy czterej są już zdecydowani, całkowicie poświęcą się swemu politycznemu przeznaczeniu. Obruszeni się, kiedy apelował do ich patriotycznego obowiązku, interesów narodu w nawiązaniu do dążeń jego ludu. Tak więc – pomyślał uspokoiony – uczciwych ludzi można kupić znacznie taniej. Dranie kosztują słono – uczciwych można kupić za parę pochlebstw i górnolotnych frazesów, odwołując się do ich uczuć wyższych. Dawajcie mi zawsze tylko uczciwych.

Jeden ze starszych mężczyzn nachylił się i powiedział cicho:

– Generał Courteney ma ten mandat od 1910 roku, jest członkiem gabinetu Smutsa, bohaterem wojennym i ma ogromne poparcie społeczne. Poza tym jest pańskim ojcem. Czy myśli pan, że wyborcy zdecydują się na szczeniaka, kiedy mogą mieć basiora?

Dirk odpowiedział natychmiast.

– Zaryzykuję utratę swego miejsca, jeśli uzyskam nominację Partii Narodowej, ale jestem na tyle pewien, że powie mi się, iż byłbym skłonny wyrazić pieniężną deklarację moich poważnych intencji na rzecz kampanii wyborczej tej partii. – Wymienił sumę, po usłyszeniu której wymienili szybkie zdziwione spojrzenia.

– Co w zamian za to? – zapytał najstarszy z polityków.

– Nic, co nie jest w interesie tego narodu i mojej kandydatury – powiedział Dirk poważnie i rozwinął mapę wiszącą za nim.

Znów zaczął mówić, ale tym razem z zaraźliwym entuzjazmem gorliwego zwolennika. Płomiennymi słowami roztoczył przed nimi wizję pól uprawnych rozciągających się aż po horyzont, słodkiej wody płynącej nieprzerwanym strumieniem w setkach kanałów irygacyjnych. Jego słuchacze byli ludźmi, którzy orali i obsiewali żyzną, ale i wrogą ziemię Afryki. Każdy z nich wpatrywał się nieraz w błękitne bezchmurne niebo w oczekiwaniu na deszcz, który nie nadchodził. Wyobrażenie głębokich kanałów i bulgocącej w nich wody było nie do odparcia.

– Rzecz jasna, będziemy zmuszeni znieść ustawę proklamującą obszar przy rzece Bubezi terenem pod rezerwat – powiedział Dirk bez zająknięcia, ale żaden z nich nie wydawał się zaszokowany czy przejęty tym stwierdzeniem. Widzieli już śródlądowe morze słodkiej, przejrzystej wody o powierzchni falującej lekko na wietrze.

– Jeśli wygramy wybory – zaczął najstarszy.

– Nie, Menheer – przerwał mu Dirk. – Kiedy wygramy wybory. Mężczyzna uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Kiedy wygramy wybory.

Dirk Courteney stał wysoko na mównicy z kciukami zaczepionymi o kamizelkę. Kiedy

mówił, tak wspaniały, o szlachetnej lwiej głowie błyszczącej grzywie, kobiety z widowni przepelniającej kościół zaszumiały niczym kwiaty na wietrze.

– Rzeźnik – powiedział Dirk Courteney, jego głęboki głos rezonował, przyprawiając ich wszystkich o dreszcze, kobiety i mężczyzn, młodych i starych jednakowo. – Rzeźnik z Fordsburga skalał ręce krwią swych ziomków.

Owację zaczęli ludzie Dirka Courteneya porozsadzani na widowni, ale wkrótce podjęli ją wszyscy zgromadzeni.

– Byłem u boku Seana Courteneya, kiedy jechał na Bombatę – jeden z mężczyzn w tyle sali wstał. – Ja byłem z nim we Francji – krzyknął ponad głosami tłumu. – Gdzie pan był, panie Dirku Courteney, kiedy zagrzmiały bębny wojenne?

Uśmiech nie opuszczał twarzy Dirka Courteneya, ale policzki zalały się krwawym rumieńcem.

– Aha! – Spojrzał na mężczyznę ponad głowami tłumu. – Jeden z dzielnych strzelców generała. Ile kobiet zabił pan w Fordsburgu?

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie! – odkrzyknął mężczyzna.

Kątem oka Dirk zauważył dwóch rosyłych mężczyzn wstających z miejsc i otaczających z obu stron pytającego.

– Cztery tysiące ofiar – powiedział Dirk. – Rząd chciałby zataić ten fakt przed wami, ale cztery tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci...

Dwaj mężczyźni dotarli do swej ofiary i Dirk Courteney wyrzucił ramiona w teatralnym geście, by przyciągnąć uwagę wszystkich.

– Rząd, który nie ma szacunku dla życia ludzkiego, dla własności i praw narodu... – Rozległ się odgłos krótkiej szamotaniny, okrzyk bólu i mężczyzna został wyprowadzony bocznymi drzwiami w noc.

Prasa podchwyciła temat natychmiast, te same gazety, które grzmiały przeciw „Czerwonej intrydze” i „Bandzie bolszewików” i które chwaliły Smutsa za „bezpośrednie i błyskawiczne rozwiązanie problemów”, teraz wspominały o „opartym na przemocy i brutalnym działaniu”. W całym kraju na skutek działań zainicjowanych przez Dirka Courteneya, a podchwyconych przez hertzogistów, równowaga nastrojów społecznych zawróciła niczym wahadło, czy raczej zakrzywione ostrze topora kata.

Dirk Courteney przemawiał w ratuszu w Durbanie do trzech tysięcy, w sali kościoła w Ladyburgu do trzystu. Przemawiał w każdym kościółku wiejskim w swym okręgu wyborczym, w małych sklepikach na rozstajach dróg, gdzie potencjalni wyborcy gromadzili się na wieczorne rozmowy przed udaniem się na spoczynek. Na każdym z tych wieców obecna była prasa.

Dirk Courteney podążał wolno na północ, odwiedzał każdy ze swych majątków, każdy nowo powstały młyn cukrowy. Każdego wieczora przemawiał do małych zgromadzeń. Malował przed nimi obrazek połaci ziemi pokreślonych liniami kolei i wspaniałych dróg.

Świetlane perspektywy prosperujących miast i zatłoczonych targowisk. Słuchali chciwie.

– To jest para – powiedział Pungushe. – Jeden to stary samiec. Znam go dobrze. W zeszłym roku trzymał się terenów portugalskich na północnym brzegu Usutu. Był wtedy sam, teraz znalazł sobie towarzyszkę.

– Gdzie przebyły rzekę? – zapytał Mark.

– Gdzieś poniżej Ndumu. Przyszły na południe między rzeką a moczarami.

Lew miał pięć lat, był bardzo dużym okazem, rosły w kłębie, z krótką rudą grzywą. Na czole miał paskudną łysą szramę i utykał na przednią prawą łapę, od kiedy kawałek cynгла z zamka karabinu ugrzązł mu przy łopacie. Polowano na niego niemal bez przerwy, od kiedy był szczeniakiem, a teraz był już stary i zmęczony.

Przebył rzekę po ciemku, puszczając samicę przed sobą. Uciekali przed myśliwymi, którzy zebrali się z mocnym postanowieniem przeszukania buszu nad rzeką następnego ranka. Wciąż jeszcze słyszał bębny i czuł dym z ognisk. Słyszał też ujadanie sfory psów. Zebrano dwustu czy trzystu tubylców z psami myśliwskimi i tuzin półkrwi Portugalczyków ze starymi strzelbami. Lwy zabiły dwa juczne woły na obrzeżach jednego z miasteczek leżących nad rzeką. Rano rozpocznie się polowanie, lew zabrał więc samicę na południe.

Ona także była dużym zwierzęciem, silnym i szybkim, mimo że bardzo młodym i niedoświadczonym, ale z każdym dniem uczyła się czegoś nowego od niego. Miała tułów gładki i nie poznaczony jeszcze od pazurów czy cierni. Jej umaszczenie przechodziło od ciemnooliwkowego na grzbiecie i pięknej maślanej żółci przy gardle aż po soczystą, śmietankową biel na brzuchu. Na bokach widniały gdzieniegdzie szczenięce cętki, ale tej nocy, kiedy przebyły Usutu, po raz pierwszy stała się dojrzałą do godów samicą.

Na południowym brzegu otrząsnęły się z wody energicznymi, spazmatycznymi ruchami. Lew obwąchał ją, mruczając nisko z głębi gardła, a potem uniósł łeb ku migoczącym gwiazdom i wygiął grzbiet, chłonąc kuszący zapach jej zabarwionej krwią wydzieliny.

Tu o świcie pokrył ją po raz pierwszy. Ukucnęła nisko przy ziemi, sycząc i parszkając, kiedy zbliżył się do niej i gryzł w szyję i uszy, chcąc zmusić do uległości. Potem leżała przytulona blisko do niego i lizała jego uszy i pieściła nosem gardło i brzuch. Flirtując odsuwała się nieco i kopała lekko tylnymi łapami, aż powstał. Wtedy znów przykucnęła czujnie i poddańczo, powarkując lekko i oddała mu się po raz drugi. Para lwów parzyła się dwadzieścia trzy razy tego dnia, a w nocy opuściła ciemną gęstwinę i powędrowała dalej na południe.

Pół godziny przed wzejściem księżyca dotarły do skraju pola uprawnego. Lew zatrzymał się, kiedy wyczuł zapach człowieka i bydła. Ostrożnie dotknął łapą świeżo zaoranej ziemi i szybko cofnął ją, miaucząc z niezdecydowania i zakłopotania. Lwica otarła się o niego z miłością, ale odsunął się i popędził ją wzdłuż zaoranego pola.

– Czy one w ogóle dotrą do doliny, Pungushe? – zapytał Mark. Wychylił się w siodle,

kiedy mówił do Zulusa biegnącego u boku muła.

Pungushe odpowiedział spokojnie, nie zauważył nawet, że biegł od trzech godzin.

– Muszą przebyć odległość, której przebycie zajmie człowiekowi około dnia marszu. Przez tereny, na których są ludzie, robotnicy zatrudnieni przy trzcinie cukrowej. Poza tym, Jamala, one nie znają twojej doliny i szalonego Ngaga, który czeka tu, by ich powitać.

Mark wyprostował się w siodle i nie odzywał się. Wiedział, że ta para, para będąca właśnie w okresie godowym, jest jego ostatnią szansą, by sprowadzić lwy w tę dolinę. Jednak wiedział też, że teren, który muszą przebyć, by dotrzeć do niej, jest niezwykle niebezpieczny.

Dla lwów, które wyszły z dziczy portugalskiego Mozambiku, wszystko to było nowym przeżyciem. Ziemie uprawne i pastwiska, gdzie lwy były traktowane jak szkodniki. Teren pozbawiony dzikiej zwierzyny łownej, za to aż przepelniony bydłem domowym. Był to rejon, w którym na okrzyk „Lew!” pięćdziesięciu ludzi biegło po strzelby. Pół setki mężczyzn rywalizujących zacięcie o to trofeum. Nienawidzili wielkich kotów ślepa, bezmyślną nienawiścią i cieszyli się na tę jedyną okazję, by je legalnie dostać, gdyż na terenach pastwisk nie były chronione przez prawo.

Lwy podeszły do obozowiska od strony zawietrznej i położyły się płasko w wysokiej trawie na skraju. Wsłuchiwały się w senne głosy mężczyzn siedzących przy ognisku i łowiły zapachy dziwne i nieznanne. Dymu tytoniowego, gotującej się kukurydzy i kwaśnego aromatu zuluskiego piwa. Leżały zupełnie płasko i nieruchomo przy ziemi, tylko ich okrągłe, ciemno podpalane uszy strzygły powietrze i nozdrza łapały zapachy. Woły były w *kraalu* otoczone niskim, okrągłym ogrodzeniem ze ściętych drzew ciernistych, ustawionych pniami do wewnątrz, a kłębowiskiem cierni do zewnątrz. Zapach bydła był mocny i bardzo kuszący.

W zagrodzie było siedemdziesiąt dwie sztuki bydła. Należały do kompanii cukrowniczej w Ladyburgu. Używano ich do orania nowych terenów na wschód od Bramy Chaki, po tym jak grupy robotników wykarczowały stojące tam drzewa i spaliły je ułożone w długie rzędy.

Lew czekał cierpliwie, czujny, napięty i cichy, póki księżyc nie zaszedł za drzewa, a głosy mężczyzn ucichły. Gdy ogniska wytlify się w brudne kałuże popiołu, wtedy wstał bezszelestnie. Lwica nie poruszyła się, napięła jedynie potężne mięśnie piersi i kończyn. Zesztywniała w oczekiwaniu, nadstawiając uszy lekko ku przodowi. Lew wprawnie podszedł do obozowiska pod wiatr. Od wschodu wiał lekki powiew i zwierzę wykorzystywało go umiejętnie.

Woły wyczuły lwa, gdy już wszedł w zasięg wiatru. Usłyszał, jak podrywają się do ślepego, panicznego pędu i opuszczają miejsca, w których spoczywały. Rogi uderzały o siebie, kiedy zbiły się w ciasną małą gromadkę od zawietrznej. Jedno ze zwierząt wydało ciche smętne meczenie. Zostało ono natychmiast podchwyczone i niskie głosy obudziły mężczyzn spoczywających przy ognisku. Któryś z nich podrzucił polano do ognia. Deszcz iskier wyskoczył ku suchym gałęziom mimozy i polano zajęło się ogniem, oświetlając obóz złotym tańczącym światłem. Oracze i chłopcy prowadzący bydło zebrali się trwożliwie wokół

ogniska. Mieli peleryny otulone ciasno wokół ramion i byli osowiali od snu i ze strachu.

Lew przemknął jak cień, ciemny, nisko przy ziemi, i skierował się ku *kraalowi*. Bydło zbiło się ciałniej. Ryczało dziko, czując ostry zapach dzikiego kota. Lew przykucnął przy ścianie *kraalu*, w którą uderzał wiatr, i oddał moc. Ostry gryzący zapach amoniaku przeważał szalę. Zbite w ciasną gromadę bydło rzuciło się naprzód i zaatakowało ciernistą ścianę prowizorycznego *kraalu*, w ślepych pędzie przedarło się przez nią i popędziło na wolność. Rozbiegające się woły zatraciły zwartą formację i rozproszyły się w noc.

Lwica czekała już na nie. Wpadła w sam środek skrzydła uciekającej w panice formacji. Wybrała już ofiarę, ciężkie młode zwierzę. Popędziła je naprzód niby pies pasterski zagarniający swą trzodę i zabiegając drogę w szaleńczym pędzie, wyprowadziła z dala od ognisk i oraczy. Wtedy podbiegła z boku i węzowym, wprawnym ruchem łba sięgnęła do jednej z poruszających się w pełnym biegu kończyn i wgryzła się zakrzywionymi żółtymi kłami tuż nad pięciną, aż zgrzytnęła kość. Przysiadła ostro na zadzie i pociągnęła za nogę tak, by skrzyżowała się z drugą.

Wół upadł, jak trafiony pociskiem w mózg. Przekoziółkował przez bark i sunął dalej po ziemi na grzbiecie, wierzgając czterema kopytami ku gwiazdzistemu niebu. Lwica zbliżyła się rozciągniętym biegiem oceniając trafnie po drodze zagrożenie ze strony masywnych kopyt, które były zdolne zmiażdżyć jej czerep, i szerokich prostych rogów, gotowych rozplatać jej bok i przebić ją przez żebra. Wgryzła się u nasady czaszki, wbijając ostre kły w pierwszy i drugi krąg, aż trzasnęły ostro jak orzech laskowy w uścisku dziadka do orzechów.

Kiedy lew wyłonił się z nocy, stąpając lekko, zdążyła już rozplatać podbrzusze wołu. Jej łeb był czerwony od krwi i lepki jak toffi, kiedy dobierała się do śledziony, wątroby i nerek.

Przyplaszczyła uszy i warknęła ostrzegawczo, ale samiec przycisnął bark do jej boku i odsunął ją. Warknęła raz jeszcze i wtedy skarcił ją pańską łapą, wsadziwszy swój pysk do dziury, którą zrobiła.

Łypała na niego przez chwilę, raptem uszy znów stanęły i zaczęła lizać jego łopatkę długimi lubieżnymi pociągnięciami, mrużąc niskim, miękkim grzechotem z głębi gardła i przyciskając swe smukłe ciało do niego. Lew starał się zignorować ją i pożywiał się dalej z głośnymi pomrukami i mokrymi odgłosami darcia.

Stała się śmielsza, wykorzystywała swój nowy, bardzo atrakcyjny stan ze swobodą, która przedtem spowodowałaby natychmiastowe i surowe kary dyscyplinarne.

Lew rozpaczliwie usiłował ją powstrzymać i przycisnął ku ziemi jej łeb potężną łapą z troskliwie schowanymi pazurami. Przełknął głośno, starając się zjeść całego wołu, zanim ona się przyłączy, ale lwica wyslizgnęła się spod jego łapy i polizała go w ucho. Warknął bez przekonania i zastrzygł uchem. Przysunęła się jeszcze bliżej i polizała go po oczach tak, że musiał zamknąć je ciasno i starać się jeść po omacku. W końcu poddał się nieuniknionemu i pozwolił jej zanurzyć łeb w krwawym kraterze.

Bok przy boku, mrużąc i warcząc lwy pożywiały się.

Było ich osiemnaścioro. Zgromadzili się na szerokiej, osłoniętej przed moskitami werandzie domku sztygara pod syczącymi lampami naftowymi. Butelka brandy stała na stole już od zachodu słońca i większość mężczyzn słuchających Dirka Courteneya miała poczerwieniałe twarze i błyszczące oczy.

– Będą szkoły i szpitale w odległości trzydziestu kilometrów od każdego domu – obiecał, a kobiety spojrzały znad robótek. Wiedziały dobrze, co znaczy wychowywanie tu młodej rodziny. – To dopiero początek – powiedział do mężczyzn – a ci z was, którzy przyłączyli się do nas pierwsi, pierwsi będą czerpać korzyści. Kiedy już znajdę się w parlamencie, będziecie mieli za sobą mocny głos. Zobaczycie tu postępy, o jakich nawet nie marzyliście – i to szybko.

– Jest pan bogatym człowiekiem, panie Courteney – powiedział jeden z nich. Był drobnym handlarzem, nie zatrudnianym bezpośrednio przez Ladyburg Sugar, ale wystarczająco zależnym od nich, by formułować to pytanie z szacunkiem. – Jednym z szefów. Jak to się stało, że mówi pan w imieniu ludzi pracujących?

– Jestem bogaty, bo pracowałem ciężko, ale wiem, że bez was nie byłbym dalej bogaty. Jesteśmy związani ze sobą jak jedna drużyna. – Przytaknęli i zaszemrali, a Dirk dodał szybko: – Jedno mogę wam obiecać, kiedy zatrudnię białego człowieka za godziwą zapłatę, nie zamierzam zastępować go tanią czarną lub żółtą siłą roboczą!

Zareagowali entuzjastycznie i napełnili szklanki, by wypić jego zdrowie.

– Wasz rząd, ludzie Smutsa próbowali tego w kopalniach złota. Dali dwa funty i dwa pensy czarnym i biali wyszli na ulice. Kiedy robotnicy protestowali, rząd wysłał krwawego rzeźnika z Fordsburga, człowieka, którego wstydzę się nazywać własnym ojcem...

Ktoś zapukał niecierpliwie do drzwi kuchennych i sztygar przeprosił cicho i wyszedł. Wrócił za chwileczkę i wyszeptał coś do Dirka Courteneya. Dirk uśmiechnął się i przytaknął, zwracając się do zebranych:

– Cóż, panowie, czeka nas niezły kawał polowania – lew zabił jednego z mych wołów tuż w pobliżu nowego kompleksu Buli. Chłopak przybiegł zameldować mi o tym. To stało się zaledwie godzinę temu, więc dajmy mu ucziwe, sportowe fory. Proszę pozwolić mi zamknąć to zebranie i spotkajmy się tu – przerwał i spojrzał na zegarek – o piątej jutro rano. Każdy mężczyzna niech ma ze sobą konia i strzelbę!

Mark i Pungushe spali na twardej wypalanej przez słońce ziemi, każdy pod swoim kocem. Trojan skubał nie opodal suchą trawę. Ze wschodu wiał lekki wiaterek. Obudzili się w kompletnych ciemnościach tuż przed nadejściem świtu. Siedząc przy ognisku, pijąc kawę i paląc w milczeniu, czekali, aż Pungushe będzie mógł znów podjąć trop.

Było jeszcze zbyt ciemno, by wypatrzeć cokolwiek z grzbietu Trojana, lecz Pungushe biegł naprzód, pewnie zmuszając muła do ciężkiego, kołyszącego kłusa, by nadażył za nim.

Na skraju ziemi ornej zatrzymał się, ale odnalazł ślady na nowym szlaku prawie natychmiast. Ruszyli znów, kiedy słońce obrysowało górne gałęzie drzew, malując je czarno i szpiczasto na rdzawożółtym tle. Miękkie bursztynowe promienie nie miały w sobie ciepła i rzucały długie, niewyraźne cienie muła i mężczyzn na twardą czerwoną ziemię.

Mark podziwiał raz jeszcze umiejętności Zulusa jako tropiciela śladów przy tym świetle i na takim podłożu, sam nie widząc nic, co przypominałoby odcisk lwich łap.

Rozległ się pojedynczy strzał z karabinu, tak cichy, że Mark pomyślał, iż może zdawało mu się, ale Pungushe zatrzymał się natychmiast i zasygnalizował gestem, by zsiadł z muła.

Stali i nasłuchiwali intensywnie, gdy nagle znów odezwała się odległa pukająca kanonada, dziesięć, jedenaście wystrzałów, i znów zaległa cisza. Pungushe odwrócił się i spojrzał na Marka z kamiennym wyrazem twarzy. Cisza była tak przejmująca, że nawet poranny chór ptaków umilkł na chwilę. W przedłużającej się ciszy stadko małych francolin zaczęło ćwierkać gdzieś na skraju pola.

– Idziemy dalej. – Mark kiwnął na Pungushe, starając się, by jego twarz również nie wyrażała żadnych uczuć, ale głos drżał mu z tłumionej wściekłości. Spóźnili się. Ostatnie lwy na południe od Usutu nie żyły. Mark poczuł się chory z bezsilnej złości.

nie zauważyli Marka, aż podszedł całkiem blisko. Byli bardzo podnieceni i zajęci robotą.

Było tam ośmiu białych mężczyzn uzbrojonych po zęby i ubranych w niedbale myśliwskie odzienie, a dwóch zuluskich stajennych stało, trzymając konie. Na otwartej polanie między drzewami mimozy leżały na wpół zjedzone resztki biało-czerwonego wołu. Lecz to nie to przyciągnęło uwagę Marka. Zgromadzili się ciasnym kręgiem wokół padliny. Ich głosy były buńczuczne, wznosili ochryple okrzyki i wesołe przekleństwa. Mark zsiadł z muła i podał cugle Pungushe. Szedł wolno do grupy, bojąc się tego, co może tam zastać. Stał, kiedy jeden z mężczyzn uniósł głowę i spojrzał na Marka. Poznał go natychmiast.

– Ach, nasz nadzorca! – zaśmiał się Dirk, zarzucając czupryną lśniących kędziorów. – Wykonujemy tu twoją robotę. – Jego śmiech był wredny i złośliwy, nienawiść tak widoczna, że Mark wiedział, iż myśli teraz o łapówce wykorzystanej przeciwko niemu.

– Jest tu jedna sztuka, którą możesz już wykreślić ze swego raportu. – Dirk zachichotał znów i gestem nakazał mężczyznom rozstąpić się.

Krąg otworzył się i Mark wszedł do środka. Mężczyźni otaczający go byli zaczerwienieni i podchmieleni, poczuł od nich zapach przetrwawionej whisky.

– Panowie pozwolą, że przedstawię wam nowo mianowanego strażnika terenów przy Bramie Chaki, proklamowanych jako rezerwat. – Dirk stanął naprzeciw niego, po drugiej stronie koła. Jedną rękę trzymał niedbale w kieszeni zamszowej kurtki, a w zgięciu łokcia miał wykonany przez firmę Gibbs w Londynie na jego zamówienie dwulufowy sztucer kalibru 0,450.

Lew leżał na boku z czterema łapami wyciągniętymi równo przed siebie. Był to stary,

poznaczone bliznami samiec tak chudy i żyłasty, iż żebra były wyraźnie widoczne przez krótką płową sierść. W ciele było siedem dziur od kul, rana za barkiem rozwalila by oba płuca, ale kolejny ciężki pocisk rozłupał czerep. Pysk wisiał luźno, otwarty i odrobina zabarwionej krwią śliny skapywała po wywieszonym różowym jęzorze.

– Gratuluję, panowie – przyznał Mark i tylko Dirk Courteney wyczuł w jego głosie ironię.

– Tak – zgodził się. – Im prędzej oczyścimy ten teren i przygotujemy go pod zasiedlenie, tym lepiej dla nas wszystkich.

Zebrani potwierdzili głośnymi okrzykami i jeden z nich wyjął małą brązową butelkę z tylnej kieszeni. Podawali ją sobie z rąk do rąk, kierując jej denko na chwilę ku niebu. Wykrzykiwali radośnie i mlaskali ze smakiem.

– A co z lwicą? – zapytał Mark cicho, odmawiając swej kolejki z butelki.

– Proszę się nie martwić o nią – zapewnił jeden z nich. – Już po niej. – Trafiłem ją prosto w bark. Damy jej czas, by zesztyniała, zanim dogonimy ją i wykończymy. – Wydobył z pochwy przy pasie nóż i zaczął ściągać skórę z martwego lwa, podczas gdy jego towarzysze sekundowali mu, rzucając komentarze i porady.

Mark podszedł do Pungushe przykucniętego cierpliwie przy łbie muła.

– Lwica jest ranna, ale uciekła.

– Widziałem trop – przytaknął Pungushe i wskazał oczami, nie poruszając głową.

– Jak ciężko jest ranna?

– Jeszcze nie wiem. Muszę wpierw zobaczyć, jak zebrała się do biegu, nim będę mógł powiedzieć.

– Idź za tropem – powiedział Mark. Oddalimy się cicho bez alarmowania tych wielkich myśliwych.

Odeszli prowadząc niedbale muła, Mark ze dwanaście kroków za Pungushe. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej Pungushe zatrzymał się i przemówił cicho:

– Została trafiona w prawy bark lub w nogę, ale nie wydaje mi się, by kość pękła, łapę stawia na ziemi co drugi krok. Porusza się sprawnie na trzech łapach, na początku było trochę krwi, ale szybko zasycha.

– Może to krwawienie wewnętrzne? – zapytał Mark.

– Jeśli tak, powinniśmy znaleźć ją za chwilę – martwą.

– W porządku. – Mark wskoczył na siodło. – Będziemy poruszać się szybko, by zdążyć przed tamtymi, żaden z nich nie potrafi tropić nas na tym twardym gruncie.

Niestety spóźnił się..

– Anders! – zawołał Dirk Courteney nadjeżdżający na czele swej bandy. – Co ty wyprawiasz, u licha?

– Wykonuję swoją pracę – powiedział Mark. – Idziemy tropem rannego zwierzęcia.

– Idziemy z tobą.

Mark zerknął na Pungushe i zobaczył w jego oku błysk zrozumienia. Zwrócił się ku grupie.

– Czy zdajecie sobie sprawę, że to może być niebezpieczne? Przypuszczalnie polowano na te zwierzęta już nieraz, a mój tropiciel twierdzi, że lwica jest tylko lekko ranna.

Nastąpiła chwila przetrzeźwienia i zastanowienia, ale pojechali wszyscy, tuż za Pungushe. Parł ostro naprzód, szybko pokonując dystans, zmuszając konie do lekkiego galopu. Po upływie pierwszej godziny Dirk Courteney zaklął szpetnie.

– Nie widzę tu żadnej krwi.

– Krew zaschła – wyjaśnił Mark. – Rana zasklepiła się.

Zawartość brązowej butelki wyczerpała się już dawno. Czerwone twarze pociły się niemilosiernie w narastającym upale, a oczy nabiegły krwią. Dobry humor przemienił się w ból głowy i obłożony język. Żaden z nich nie pomyślał o zabraniu butelki wody. Dwóch z nich zawróciło.

Godzinę później Dirk warknął podejrzliwie.

– Ten cholerny czarnuch wodzi nas chyba za nos. Powiedz mu, że przeciwczę go szpicrutą.

– Lwica jest zapewne bardzo...

– Nie wierzę. Nie widzę tu śladów.

Pungushe stanął raptem i gestem nakazał im zatrzymać się. Sam podszedł ostrożnie do niskiej, gęstej kępy krzewów.

– Mam tego powyżej uszu – wymamrotał markotnie jeden z myśliwych.

– Ja też.

– Czeka na mnie robota.

Trzech następnych zawróciło, pozostali siedzieli na niecierpliwych koniach równie niespokojni. Pungushe wyszedł wreszcie i przyzywał ich ruchem ręki.

W sercu gęstwiny, odbity głęboko w miękkim kopcu kreta, pokazał im niemożliwy do pomylenia odcisk łapy lwicy. Kierowała się niezmiennie na południe.

– W porządku – przyznał Dirk. – Jest wciąż na tropie. Każ mu iść dalej.

Godzinę po dwunastej lwica wyprowadziła ich na niski ścięty wzgórek z litego starego granitu i Pungushe usiadł zmęczony. Jego mięśnie lśniły od potu jak naoliwione. Spojrzał w górę na Marka siedzącego na mule i wzruszył ramionami w wyraźnym geście bezradności.

– Martwy trop – powiedział. – Uciekła.

Dirk Courteney podciągnął łeb swego konia okrutnym szarpnięciem cugli i powiedział ostro do Marka:

– Anders. Chcę porozmawiać z tobą.

Gdy oddalił się poza zasięg słuchu pozostałych, Mark udał się za nim. Stanęli twarzą w twarz. Usta Dirka skręcał grymas goryczy i złości.

– Następnym razem, gdy będziesz na tyle cwany, by chcieć zabawić się moim kosztem – zaczął sucho... – Mogłeś mieć we mnie sojusznika, ale zamiast tego sprowokowałeś ojca do wysłania pokwitowania za mój prezent. Teraz ty i ten twój dzikus próbujecie jakiejś sztuczki. Jak dotąd uchodziło ci to, gdyż chronił cię mój ojciec. Ale to się zmieni. Nikt nie stanie mi na drodze, przysięgam!

Zawrócił konia, ciął ostrogą i odjechał. Dwóch niepokieszonych myśliwych pojechało za nim.

Mark wrócił do Pungushe. Wypili po odrobinie wody z manierki i zapalili, nim Mark zapytał:

– Gdzie jest teraz lwica?

– Porzuciliśmy jej trop dwie godziny temu.

Mark spojrział pytająco. Pungushe wstał i podszedł do jeszcze jednego kretowiska na brzegu granitowej płyty. Przykucnął tam i otwartą dłonią zrobił odcisk łapy lwa, potem zwinął knykcie w pięść i potoczył nimi dla zaznaczenia odcisków palców.

W cudowny sposób pojawił się w miękkiej ziemi trop dorosłego lwa. Pungushe spojrział w górę na niedowierzający wyraz twarzy Marka i wydał z siebie jeden z tych podobnych do chrapania hipopotama wybuchów śmiechu, kołysząc się z radości na piętach.

– Przez dwie godziny tropiliśmy Tokoloshe – huknął.

– Nie widzę jej – powiedział Mark, uważnie przyglądając się płytkiej zalesionej kotlinie leżącej poniżej.

– O! Jamela, który nie widzi!

– Gdzie ona jest, Pungushe?

Widzisz to rozwidlone drzewo za trzema zaokrąglonymi skałkami? Krok po kroku kierował wzrok Marka, aż nagle wypatrzył dwa ciemne punkciki jej uszu tuż ponad krótką żółtą trawą, jakieś pół kilometra od miejsca, w którym siedzieli. Leżała nisko, schowana pod gałęziami ciernistego drzewa, i w czasie gdy ją obserwował, obniżyła łeb, a jej uszy zniknęły.

– Teraz, kiedy jest sama, chciałaby powrócić do miejsc, które zna, za Usutu. Dlatego kieruje się wciąż w tamtą stronę, kiedy tylko ból jej na to pozwala.

Zanim natknęli się na nią, odnaleźli trzy miejsca, w których odpoczywała. W jednym z nich zobaczyli smugę rozmazanej krwi i parę płowych włosów przyklejonych do niej. Pungushe przyjrzał się sierści bardzo dokładnie, po jej kolorze i grubości potrafił bowiem stwierdzić, z jakiej części ciała pochodzi.

– Wysoko na prawym barku. Gdyby krwawiła do wewnątrz, padłaby już. Cierpi bardzo, przechodzi coraz krótsze odcinki. Rana zeszywniała. Nie ujdzie daleko.

Mark skierował lornetkę na zachód i z tęsknotą spojrział poprzez nią na błękitne, wyłaniające się z mgły skały Bramy Chaki, nie dalej jak czterdzieści kilometrów od nich.

– Tak blisko – wyszeptał. – Tak blisko.

Wycieńczona z bólu kocica czołgała się, zmierzając do opuszczenia sanktuarium i wejścia znów na pola uprawne, ku bydłu, ludziom i sforom psów.

Instynktownie zwrócił się teraz w tamtym kierunku, przenosząc lornetkę długim miękkim trawersem przez południe i wschód. Z niskiej skarpy miał świetne pole widzenia, poprzez kilometry rzadkich lasów aż po otwartą czekoladową płaszczyznę ziemi ornej.

Coś mignęło w polu widzenia lornetki, więc zamrugał oczami, starając się wyostrzyć wzrok. Jeźdźcy na koniach zblizali się wolno w ich kierunku, nawet z tej odległości Mark zauważył psy biegnące przed nimi. Szybko spojrzął na jeźdźca podążającego na przedzie. Nie było najmniejszej możliwości pomylenia z kimś tej wysokiej, arogancko sztywnej postaci. Dirk Courteney nie zrezygnował z łowów. Powrócił po to tylko, by zebrać nową grupkę myśliwych i teraz psy biegły szybko tropem rannego zwierzęcia.

Mark położył dłoń na twardych mięśniach ramienia Pungushe i wskazał wolną ręką. Zulus wstał i patrzył przez okrągłą minutę na nadjeżdżających, a potem zaczął mówić szybko:

– Jamela, postaram się zawołać lwicę, zaprowadzić ją...

Mark zaczął formułować pytanie, ale Pungushe uciszył go szorstko.

– Czy możesz odciągnąć psy albo powstrzymać je?

Mark pomyślał przez chwilę, nim przytaknął.

– Daj mi swoją tabakierkę.

Pungushe zdjął róg z tabaką wiszący na rzemyku u szyi i podał Markowi bez słowa.

– Idź już – powiedział Mark. – Sprowadź mi moją lwicę. Pungushe ześlizgnął się po skarpie, a Mark pospieszył ku Trojanowi. W chlebaku zostały trzy patyki suszonego mięsa. Znalazł dwa płaskie kamienie i roztarł mięso między nimi na drobny pył, spoglądając co chwilę na szybko zbliżających się jeźdźców. Kiedy mięso było już sypkie, zgarnął proszek do manierki i dodał dwie uncje tubylczej tabaki z rogu. Biegąc w dół skarpy do miejsca, gdzie porzucili trop lwicy, mieszał proszek energicznie palcami. Dotarłszy do skraju skarpy i miejsca, w którym lwica okrążyła kamienny występ, ukląkł i usypał trzy kopczyki wymieszanego proszku dokładnie na ścieżce, po której zbliżały się psy. Nie będą mogły oprzeć się kuszącemu zapachowi mięsa, kiedy tu dotrą, i zaczną obwąchiwać kopczyki. Słyszał już ich podniecone szczekanie; biegły szybko, zmuszając jeźdźców do przejścia w galop. Kiedy Mark wracał biegiem do miejsca na skarpie, w którym zostawił Trojana, uśmiechał się radośnie. Ogar, który wciągnie do nosa zdrową dawkę tubylczej tabaki, nie będzie czuł nic przez najbliższe dwanaście godzin.

Lwica leżała na boku z otwartym pyskiem. Dyszała ciężko, jej pierś pompowała powietrze niczym miech kowalski, a oczy były mocno zamknięte.

Pocisk trafił ją w prawy bok. Była to miękka ołowiana kula z karabinu Martini Henry kalibru 0.455. Trafiła wysoko w bark, ale weszła bardzo głęboko, przedzierając się przez twarde mięśnie i naruszając duży staw ramienia. Uszkodziła ścięgna i pogruchołała tę

niezwykłą małą kostkę obecną tylko w barku lwa, szczęśliwą kostkę wysoko cenioną przez myśliwych jako talizman.

Pocisk ominął arterię, kiedy wgłębił się w kark, i ulokował się tam pod skórą, grudka wielkości górnej części męskiego kciuka.

Muchy roily się radośnie u wylotu rany, toteż podrywała łeb, polując na nie, po czym miauczała cicho w atakach bólu, który ruch ten powodował. Zaczęła wylizywać ostrożnie dziurę od kuli. Długi szorstki jęzor omiatał jej bok, uwijając się różowo i niezmordowanie przy czyszczeniu strużki wodnistej krwi wyciekającej z rany. Potem wyciągnęła się znów zmęczona i zamknęła ślepia.

Pungushe wyczuwał wiatr w ten sam sposób co sternik na wysokim okręcie, był on bowiem dla niego równie ważny co dla marynarza.

O każdej porze dnia potrafił określić jego moc i kierunek, przewidując wszystkie możliwości, zanim jeszcze zaistniały, i nie musiał nosić ze sobą torebki z popiołem ani ślinić palca, ta wiedza była instynktowna.

Teraz poruszał się ostrożnie, ustawiając się pod wiatr do rannej lwicy. Nie przeszło mu przez myśl, by podziękować opatrności za wiaterek wiejący ciągle od wschodu, który ustawił go równo między kocicą a linią graniczną Bramy Chaki.

Przybliżył się do lwicy ciszej nawet niż cień chmury sunący po ziemi, oceniając bezbłędnie granicę słyszalności jej uszu, nim przykląkł, patrząc na miejsce, w którym leżała trzysta metrów od niego.

Napełnił i opróżnił gwałtownie płuca z powietrza parę razy. Ogromna muskularna pierś nabrzmiwała i zapadała się, kiedy gromadził zapas tlenu we krwi. Potem wziął pełen wdech i wygiął szyję pod dziwnym kątem, dłonie przyłożył do uchylonych ust, by działały jako rezonator. Z głębi naprężonej piersi wydobył się niski bębniący dźwięk, który zaraz wzrósł i opadł w naturalnym rytmie, kończąc się nagłym kaszlnięciem.

Łeb lwicy uniósł się błyskawicznie, uszy stanęły, a ślepia zabłyśły żółtym błyskiem. Poprzez ból, strach i niepewność usłyszała, jak wzywa ją jej samiec tym niskim, niosącym daleko zawołaniem, którym namawiał ją nieraz na polowanie lub przyzywał do siebie, kiedy rozdzielili się w buszu.

Ból przy wstawaniu był niemal niemożliwy do pokonania, rana zeszywniała i jej szyja, bark i pierś były przyciśnięte granitową płytą agonii, ale w tej właśnie chwili usłyszała po raz pierwszy odległe, dzikie ujadanie sfory psów. Ona i stary samiec nieraz były tropione przez psy i ten dźwięk dodał jej sił.

Powstała i utrzymywała się przez chwilę na trzech łapach, oszczędzając prawą przednią kończynę i dysząc ciężko. Ruszyła wreszcie. Skomląc cicho z bólu, niosła chorą łapę uniesioną wysoko w powietrzu i zataczała się, by odzyskać równowagę po każdym kroku.

Mark stojący na skarpie zauważył żółtego kota poruszającego się znów, kuśtykającego wolno wreszcie na zachód. Daleko przed nią, znajdując się poza zasięgiem jej wzroku, biegł

wysoki Zulus. Zatrzymywał się za każdym razem, gdy zwalniała i odpoczywała, i powtarzał wezwanie dominującego samca lwa. Za każdym razem lwica odpowiadała gorliwie małymi stęknięciami i miauknięciami i kuśtykała dalej ku niemu. Na zachód coraz bliżej rozmarzonych, błękitnawych wzgórz strzegących Bramy Chaki.

Mark nieraz słyszał opowieści starych myśliwych, dziadek Anders zwykł twierdzić, że jego tragarz noszący broń, stratowany później przez słonia na rzece Sabi w osiemdziesiątym czwartym roku, potrafił przywoływać lwy. Mark nigdy nie był świadkiem czegoś takiego i skrycie włożył te opowieści między bajki z gatunku tych malowniczych, lecz apokryficznych. Teraz zobaczył to na własne oczy, ale nadal miał wątpliwości. Obserwował zafascynowany ze swego stanowiska na skarpie i dopiero zmiana tonu ujadania sfory zmusiła go do skierowania lornetki na wschód.

Psy kłębiły się bezradnie na skalistym stoku w miejscu, gdzie zastawił przynętę z biltongu i tabaki. Było ich osiem czy dziewięć, cała sfora kundlowatych terierów i burskich ogarów. Pełne determinacji ujadanie przerodziło się raptem w kakofonię skowytów i pisków. Dirk Courteney wjechał między nie uniesiony w strzemionach i zaczął okładać bezlitośnie szpicrutą.

Mark wziął Trojana za uzdę i sprowadził ze wzgórza, wykorzystując każdą dostępną osłonę, a jednocześnie licząc na to, że myśliwi będą zbyt zajęci własnymi problemami, by rozglądali się wokół i zauważyli go.

Kiedy dotarł do miejsca ukrytego w ciernistej gęstwinie, w którym ostatnio spoczywała lwica, uciął składanym nożem gałąź i używając jej jak miotły zmiotł ślady zostawione przez nią.

Śledził uważnie trasę w kierunku Bramy Chaki, zatrzymując się co parę minut i nasłuchując dudniącego wołania lwa. Obserwował ziemię, po której kroczył, zacierał trop swej lwicy, by ją uchronić. Już po zmierzchu zaprowadziła go poprzez płytkie siodło na wzgórze i dalej powolną, pełną przystanków drogą ku rzece Bubezi.

Pungushe wydał ostatnie zawołanie, kiedy było już ciemno. Pobiegł szerokim hakiem, zostawiając lwicę w odległości stu metrów od rzeki, świadom tego, że trawiona gorączką, będzie szaleńczo spragniona wody.

Odnalazł Marka, kierując się ognikiem jego papierosa.

– Wsiadaj – powiedział Mark, podając mu ramię. Pungushe nie protestował. Biegł niemal bez przerwy od świtu i teraz zmęczony wskoczył tuż za Markiem.

Jechali ku domowi, siedząc razem na kołyszącym grzbiecie muła i żaden nie odezwał się, aż zobaczyli światelko w oknie domku.

– Jamela – powiedział Pungushe. – Czuję się dokładnie tak jak wtedy, gdy urodził się mój pierwszy syn – w jego głosie zabrzmiała nuta zadumy. – Nie wierzyłem w to, że człowiek zdolny jest odczuwać coś takiego z powodu diabła, który zabija ludzi i bydło.

Leżąc już w ciemnościach na dużym podwójnym łożu z Marion u boku, powiedział jej

o wszystkim. Chciał przekazać jej niezwykłość i znaczenie tego osiągnięcia. Powtórzył jej słowa Pungushe, starając się przy okazji wyrazić najlepiej to, co sam czuł. Wreszcie zamilkł.

– To bardzo ładnie, mój drogi. Kiedy zabierzesz mnie znów do miasta? Chciałabym kupić zasłonki do kuchni. Myślę, że perkal w kratkę wyglądałby tu bardzo miło, co ty na to, mój drogi?

Lwica wydała na świat swe pierwsze szczenięta w gęstych jaśminowych zaroślach zarastających jedną z wąskich, należących do plemion dolin, tuż przy stoku skarpy.

Miot liczył sześć lwiątek, ale Mark zobaczył je dopiero, kiedy miały już trzy tygodnie. Leżeli z Pungushe płasko na brzuchu na skraju urwiska, tuż nad doliną, i patrzyli, jak prowadzi potomstwo od rzeki o świcie. Lwiątko szły za nią w niedbałym, rozciągniętym na sto metrów szyku. Ściągnę w prawej łapie lwicy zagoiło się nierówno i była ona nieco krótsza, przydając ciężkości jej krokom i lekkiego jak u marynarza kołysania.

Jedno z lwiątek bardziej natarczywe niż pozostałe próbowało przyssać się do któregoś z nabrzmiałych, poruszających się wahadłowo sutek. Ponawiał niezdarne skoki i raz wpadł nawet pod tylne kończyny matki. W końcu jednak udało mu się i zawisł uczepiony niczym brązowa tłusta pijawka. Lwica odwróciła łeb i pacnęła go łapą z lewej i prawej strony, po czym zaczęła lizać go ozorem owijającym się dokładnie wokół jego łebka i przewracającym go w końcu na grzbiet. Inny malec polował na swe rodzeństwo. Urządził zasadzkę za źdźbłami trawy i ukucnął tam z przyplaszczonymi uszkami i przymrużonymi złośliwie ślepkami. Kiedy wyskoczył znieacka na swych braci i siostry, a oni zignorowali całkowicie te manewry wojenne, ukrył swe zawstydzenie, koncentrując się na źdźble trawy, które obwąchiwał tak dokładnie, jakby to było jego pierwotnym zamiarem. Trzy inne urządziły łowy na motyle, niedawno wyklute z kokonów *colotis ione*. Unosiły się one nisko nad ziemią na biało–bordowych skrzydełkach, a lwiatka podskakiwały na tylnych łapach i boksowały motyle, wykazując więcej zapału niż skuteczności. Każdy taki atak kończył się utratą równowagi i upadkiem, płataniną nieproporcjonalnie grubych łap. Szósty szczeniak polował na ogonki łowców motyli. Za każdym razem, gdy machały małymi, zakończonymi chwaścikiem ogonkami w gorączkowym podnieceniu pogonią, skakał na nie z dzikimi pomrukami. Zmuszał je tym samym do odwrócenia się i obrony przed ostrymi jak szpilki mlecznymi zębami.

Wędrówka rodziny od rzeki do jaśminowych zarośli była ciągłym pasmem żywiołowych potyczek, którym lwica w końcu położyła kres. Odwróciła się i warknęła krótko i groźnie, obiecując nieuniknioną karę, jeśli nie zostanie natychmiast posłuchana. Lwiątko porzuciły zabawę, ustawiły się gęsiego i podreptały za matką w schronienie jaśminowej gęstwiny.

– Chciałbym wiedzieć, ile samic jest w tym miocie – szepnął Mark, uśmiechając się z czułością młodego ojca, gdy patrzył, jak oddalają się.

– Jeśli chcesz, Jamela, zejdę tam i zajrzę im pod ogonki – zaproponował poważnie

Pungushe. – A ty będziesz bardzo hojny dla mych wdów.

Mark zachichotał i poprowadził ich z powrotem w dół wzgórza. Dotarli już prawie do drzewa, przy którym Mark przywiązał Trojana, kiedy coś przyciągnęło jego uwagę. Skręcił w bok i z nadzieją zaczął rozkopywać mały kurhan z kamieni, nim zdał sobie sprawę z tego, że nie został on wzniesiony ludzką ręką, lecz wydobywającymi się na powierzchnię ziemi korzeniami drzewa. Jęknął z zawodem i odszedł. Pungushe przyglądał mu się badawczo, ale nie skomentował całego zdarzenia. Widział Marka odprawiającego ten dziwny rytuał już setki razy, zawsze kiedy zauważył dziwną skałkę lub wzgórek.

Weszło w zwyczaj, że co parę wieczorów Mark opuszczał pokryty strzechą domek w głównym obozowisku i wędrował prawie kilometr do miejsca, w którym żony Pungushe wzniosły skupisko chat, będących teraz ich domem rodzinnym. Każda z chat miała idealnie stożkowaty kształt podobny do ula. Jej konstrukcja składała się z długich drzewek wygiętych w łuk i tworzących szkielet obudowany następnie trzcina przymocowaną paskami plecionej kory.

Ziemia pomiędzy chatkami została porządnie wyrównana i zagrabiona. Rzeźbiony drewniany stołek Pungushe stał równo ustawiony przed łukowatym wejściem do jego osobistej chaty służącej jako sypialnia. Pomimo że nigdy nie zostało to wypowiedziane, było oczywiste, że cały ten ceremoniał był przygotowany wyłącznie z okazji wizyt Marka.

Kiedy Mark już siedział, jedna z żon przynosiła mu miskę, by mógł umyć ręce. Wodę przynoszono z daleka i Mark zanurzał tylko czubki palców, by jej nie marnować. Potem klękała przed nim najmłodsza z żon, uśmiechając się wstydliwie i oferowała mu w obu dłoniach garnek rozkosznie kwaskowatego *utshwala*, lekkiego zuluskiego piwa pędzonego z prosa, gęstego jak papka. Dopiero gdy Mark przełknął pierwszy łyk, Pungushe podchodził, by przywitać się z nim.

– Witam cię, Jamela.

Potem rozmawiali długo w zrelaksowany bezładny sposób mężczyzn lubiących przebywać w swym towarzystwie.

– Kiedy dziś schodziliśmy ze wzgórza, po tym jak obserwowaliśmy lwy, skręciłeś ze ścieżki i rozkopałeś jakieś kamienie. To ten twój dziwny zwyczaj sprawił, że nazwałem cię tak, te nie kończące się poszukiwania, szukanie i nieznajdowanie nigdy niczego.

Pungushe nigdy nie zadawał pytań bezpośrednio. Byłoby to oznaką kompletnego braku dobrych manier, gdyby zapytał Marka wprost, czego szukał; tylko dziecko lub *umlungu*, biały człowiek, zachowałby się podobnie grubiańsko. Wiele miesięcy minęło, nim zdecydował się zadać to pytanie, i zawarł je w formie stwierdzenia faktu.

Mark pociągnął kolejny łyk piwa i podał Pungushe papierośnicę. Zulus odmówił gestem dłoni i zaczął szykować własnego skręta z grubego, smolistego tytoniu w topornym zwoju papieru, całość wielkości cygara hawańskiego.

Obserwując jego zręczne ruchy, Mark powiedział:

– Mój ojciec i moja matka zmarli na chorobę gardła białych, dyfteryt, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, i dziadek zastąpił mi ojca i matkę – zaczął udzielać odpowiedzi w równie zawiły sposób, w jaki zostało zadane pytanie, a Pungushe słuchał przytakując i paląc w milczeniu. – Więc ten człowiek, mój dziadek, którego kochałem, jest pochowany gdzieś w tej dolinie. To właśnie jego grobu szukam – zakończył z prostotą i nagle zdał sobie sprawę, że Pungushe przygląda mu się z dziwnie posepnym wyrazem twarzy.

– O co chodzi? – zapytał Mark.

– Kiedy to miało miejsce?

– Przed sześcioma sezonami.

– Czy ten właśnie stary człowiek biwakował może pod drzewami dzikiego figowca – Pungushe wskazał w dół rzeki – tam gdzie ty wpierw rozbiłeś swój obóz?

– Tak – potwierdził Mark. – Zawsze właśnie tam rozbił swoje obozowisko. – Poczł falę ciepła rozplywającą mu się w piersi, przeświadczenie, że wydarzy się zaraz coś wyjątkowego.

– Nosił kapelusz – powiedział Pungushe – pod którym mogłaby zamieszkać impala – zatoczył dłońmi krąg, niewiele przesadzając co do średnicy runda – i brodę podobną do skrzydeł białej czapli. – Wspomnienie rozwidlonej brody dziadka, śnieżnobiałej prócz plam od tytoniu wokół ust, pojawiło się nagle przed oczami Marka. – Stary człowiek kroczył jak ptak sekretarz polujący na szarańczę ukrytą wśród traw. – Długie cienkie nogi, przygarbione artretyzmem ramiona, miarowy krok, to porównanie pasowało bezbłędnie.

– Pungushe – wybuchnął podniecony Mark – ty go znalazłeś!

– Nic nie poruszy się w dolinie; ani ptak nie przeleci, ani pawian nie szczeknie, a Szakał wszystko widzi i słyszy.

Mark gapił się na niego zaszokowany tym przeoczeniem. Oczywiście, że Pungushe wiedział wszystko. Pungushe, milczący obserwator, czemu, na miłość boską, nie wpadł na to, by zapytać go wcześniej?

– Szedł tą ścieżką – Pungushe kroczył przodem i z naturalnym talentem urodzonego aktora naśladował Johna Andersa. Wyważony krok, przygarbione plecy starego człowieka. Gdy Mark przymykał nieco oczy, mógł zobaczyć dziadka takiego, jakim widział go tyle razy. – Tu zszedł ze ścieżki – Pungushe zboczył ze szlaku i ruszył w górę wąskim wyschniętym korytem rzeki. Ich stopy chrzęściły po cukrowatym piachu. Jakies pół kilometra dalej Pungushe wskazał na jeden z wypolerowanych przez wodę głazów, czarny i błyszczący. – Tu usiadł i zapalił fajkę. Karabin oparł obok. – Pungushe odwrócił się i wdrapał po stromym brzegu koryta. – Wtedy do doliny przyszedł czwarty mężczyzna. Poruszał się jak łowca i podążał łatwym tropem starego człowieka. – Użył zuluskiego, pełnego szacunku słowa używanego w stosunku do starszyny *ixhegu*.

– Zaczekaj, Pungushe. – Mark zmarszczył czoło. – Powiedziałeś czwarty? Pogubiłem się,

wymień mi tych ludzi.

Przykucnęli na brzegu i Pungushe wydobył odrobinę tabaki. Zaoferował róg Markowi, a kiedy ten odmówił, sam wciągnął czerwony proszek z dłoni, za każdym razem zatykając jedną dziurkę kciukiem. Zacisnął mocno oczy i kichnął soczyście. Potem zaczął opowiadać dalej.

– Był tam stary człowiek, twój dziadek, *ixhegu*.

– To jeden.

– Był jeszcze jeden stary człowiek. Bez włosów na głowie i brodzie.

– To już dwóch – przytaknął Mark.

– Był jeszcze młody mężczyzna, z bardzo czarnymi włosami, który śmiał się cały czas i chodził głośno jak stado bawołów.

– Tak. Trzech.

– Tych trzech przyszło razem do doliny. Razem polowali i obozowali pod dzikimi figowcami.

Pungushe najwyraźniej opisywał Greylingów, ojca i syna. Tych samych, którzy składali zaprzysiężone zeznania w ladyburskim magistracie. Tak przypuszczał, ale zapytał jeszcze:

– A co z tym czwartym, Pungushe?

Ten czwarty śledził ich z ukrycia. *Ixhegu*, twój dziadek, nie wiedział, że on tam jest. Zachowywał się jak łowca ludzi, przyglądał im się zza krzaków i poruszał bezszelestnie. Raz, kiedy twój dziadek, *ixhegu*, opuścił obozowisko i poszedł nad rzekę zapolować na ptactwo, tajemniczy człowiek zszedł do obozowiska pod dzikimi figowcami i rozmawiali tam we trzech szeptem, ale ze stężałymi twarzami i baczny wzrokiem ludzi, którzy rozważają kwestie życia i śmierci. Potem milczący mężczyzna opuścił ich znów i ukrył się w buszu, nim powrócił *ixhegu*.

– Widziałeś to wszystko, Pungushe? – zapytał Mark.

– Czego nie widzę, wycytuję ze śladów.

– Teraz rozumiem już, kim był ten czwarty. Powiedz mi, co się stało tamtego dnia?

– *Ixhegu* siedział tam, paląc fajkę. – Pungushe wskazał w dół rzeki. – A ten milczący podszedł do niego i stał nad nim dokładnie w miejscu, w którym teraz siedzimy. Stał i patrzył na twego dziadka, swój *isibamu*, karabin, trzymał, o tak.

– I co *ixhegu* zrobił wtedy? – zapytał Mark. Czuł się chory na samo wyobrażenie potworności tego czynu.

– Spojrzał w górę i głośno zapytał o coś, tak jak człowiek, który się boi, ale ten milczący nie odpowiedział.

– I wtedy?

– Przykro mi, Jamela, bo wiem, że *ixhegu* był z tej samej krwi jak twoja, mówienie o tym sprawia mi ból.

– Mów dalej – poprosił Mark.

– Wtedy milczący wystrzelił raz ze swego karabinu i *ixhegu* upadł twarzą w piach.

– Był martwy? – zapytał Mark. Pungushe milczał przez chwilę.

– Nie, nie był martwy. Dostał postrzał tu, w brzuch. Wił się, krzyczał coś.

– Milczący wystrzelił znów? – Mark poczuł w ustach kwaśny mdlący smak.

Pungushe pokręcił głową.

– Co zrobił?

– Siedział na brzegu rzeki, tu gdzie my jesteśmy teraz, i patrzył na starego człowieka, *ixhegu*, leżącego tam na piasku, aż ten umarł.

– Ile czasu minęło, nim zmarł? – zapytał Mark stłumionym ze złości głosem.

Pungushe omiótł dłonią fragment nieba, odliczając dwie godziny z wędrówki słońca.

– Przy końcu *ixhegu* wykrzykiwał w języku zulu tak dobrze, jak w swym własnym.

– Co mówił, Pungushe?

– Prosił o wodę i wzywał Boga i kobietę, może swoją matkę albo żonę. Potem zmarł.

Mark wyobraził sobie tę scenę. Fala mdłości walczyła z przebłyskami gorzkiej nienawiści i potwornego żalu. Starał się zrozumieć, czemu zabójca pozwolił swej ofierze konać tak długo, i minęło sporo czasu, nim uzmysłowił sobie, że wersja o śmierci w wyniku wypadku na polowaniu musiała zostać przygotowana dużo wcześniej. Żaden człowiek nie postrzelił się sam dwa razy przez przypadek. Zwłoki musiały mieć tylko jedną ranę postrzałową. Ale strzał w brzuch zawsze jest najboleśniejszą z ran. Mark przypomniał sobie, jak ranni w brzuch krzyczeli w okopach, kiedy znoszono ich na noszach poza linię frontu.

– Łączę się z tobą w smutku, Jamela.

Mark zebrał się w sobie na te słowa.

– Co wydarzyło się, kiedy *ixhegu* już zmarł?

– Dwóch mężczyzn, ten stary łysy i młody głośny, przyszli tu z obozowiska. Rozmawiali we trzech, stojąc nad ciałem. Krzyczeli z poczerwieniałymi ze złości twarzami i machali rękami tak i tak – Pungushe odegrał gesty towarzyszące burzliwej dyskusji. – Jeden z nich wskazał tutaj, inny tam, ale w końcu przemówił milczący, a dwóch pozostałych słuchało.

– Dokąd go zabrali?

– Najpierw przeszukali mu kieszenie i wyjęli jakieś papiery i kapciuch. Znów się kłócili i milczący zabrał papiery i wsadził z powrotem do kieszeni starego człowieka. – Mark zrozumiał przemyślność tego posunięcia. Żaden uczciwy człowiek nie ograbiłby zwłok ofiary wypadku. – Potem przenieśli go w górę koryta i tamtędy. – Pungushe wstał i poprowadził Marka jakieś trzysta pięćdziesiąt metrów w głąb lasu, aż do pierwszego spiętrzenia skarpy. – Tutaj znaleźli jamę mrówkojada i wepchnęli do niej ciało starego człowieka.

– Tutaj? – zapytał Mark. Miejsce to było porośnięte krótką gęstą trawą, bez śladu kopca kamieni czy wybrzuszenia terenu. – Nic tu nie widzę.

– Nanieśli kamieni z tamtego wzgórza i położyli je na zwłokach, by nie zostały wykopane przez hienę. Potem przysypali kamienie ziemią i wygładzili gałęzią drzewa.

Mark opadł na kolana, by zbadać poszycie.

– Tak! – wykrzyknął. W jednym miejscu ziemia była minimalnie zapadnięta, jakby osunęła się w jakieś wgłębienie.

Mark wydobyl nóż myśliwski i oznakował korę na najbliższych czterech drzewach, by ułatwić sobie odnalezienie tego miejsca w przyszłości. Na zapadniętym miejscu wybudował małą piramidkę z kamieni. Kiedy skończył, zapytał Pungushe:

– Czemu nie powiedziałeś o tym komuś? Dlaczego nie powiadomiłeś policji w Ladyburgu?

– Jamela, szaleństwo białych ludzi to nie moja sprawa. Poza tym do Ladyburga jest bardzo daleko, długa droga do policjantów, którzy powiedzieliby: Hej, Kafrze, a co ty robiłeś w dolinie, że miałeś okazję zobaczyć takie ciekawe rzeczy? – Pungushe pokręcił głową. – Nie, Jamela. Czasem lepiej dla człowieka być ślepym i głuchym.

– Powiedz mi szczerze, Pungushe. Czy gdybyś zobaczył ich teraz, poznałbyś ich?

– Wszyscy biali ludzie mają twarze jak rozgotowane bulwy, czerwone, bryłowate i bez kształtu. – Raptem przypomniał sobie o dobrych manierach. – Oprócz ciebie, Jamela, ty nie jesteś aż tak brzydki.

– Dziękuję, Pungushe. Więc nie rozpoznałbyś ich teraz?

– Tego łysego i tego głośnego może tak. – Pungushe zmarszczył brwi w namyśle.

– A tego milczącego? – zapytał Mark.

– Ha! – czoło Pungushe rozjaśniło się. – Czy można zapomnieć tego, który zabija ludzi? Czy można zapomnieć, jak wygląda lampart? Tego milczącego poznałbym zawsze i wszędzie.

– Dobrze! – powiedział Mark. – Wracaj teraz do domu, Pungushe.

Czekał, aż wysoki Zulus zniknie między drzewami, potem ukląkł i zdjął kapelusz.

– A więc, staruszkule – powiedział – nie jestem w tym zbyt mocny. Ale wiem, że chciałbyś, by odmówiono tu modlitwę. Jego głos był tak cichy i ochryply, że musiał odchrząknąć, nim mógł mówić dalej.

Dom w Lion Kop był pozamykany, meble schowane pod białymi pokrowcami. Zwierzchnik służby przywitał Marka na kuchennym podwórzu.

– *Nkosi* wyjechał do Tekwani. Dwa tygodnie temu.

Mark zjadł śniadanie składające się ze smażonego bekonu i jajecznicy, po czym wsiadł znów na motor. Droga na wybrzeże była długa i męcząca i Mark miał mnóstwo czasu na przemyślenie wszystkiego, w czasie gdy zakurzone kilometry umykały spod kół Ariela Square Four.

Opuścił Bramę Chaki w parę godzin po odnalezieniu mogiły dziadka. Wiedziony instynktem, udawał się do jedynej osoby, który poradziłby mu i pokierował dalej.

Chciał, by Marion pojechała z nim przynajmniej do Ladyburga, ale nie dała się namówić

na opuszczenie domu i ogródka. Mark wyjeżdżał uspokojony świadomością, że Pungushe będzie nocował w szopie na narzędzia, by strzec domostwa pod jego nieobecność.

Mark przeprowił się przez rzekę i wdrapał pod wzgórze aż do początku szlaku, gdzie w krytej strzechą szopie trzymał swój motor.

Była to długa, wyboista podróż w ciemnościach. Do Lion Kop dotarł o świcie tylko po to, by dowiedzieć się, że Sean Courteney przeniósł się do Durbanu. Kiedy Mark przejeżdżał przez bramy Emoyeni późnym popołudniem, czuł się tak, jakby wracał do domu rodzinnego.

Ruth Courteney pracowała w ogrodzie różanym. Upuściła kosz ze ściętymi kwiatami i uniosła spódnicę do kolan, biegnąc, by go przywitać. Słomkowy kapelusz o szerokim rondzie zsunął się z głowy i zawisł na wstążkach przewiązanych pod brodą. Jej pełen zachwytu, radosny, spontaniczny śmiech dźwięczał dziewczęco.

– Och, Marku. Jakże nam cię brakowało. – Objęła go matczynym uściskiem i ucałowała w oba policzki. – Jaki ty jesteś opalony i silny, jak pięknie przytyłeś. Trzymała go na odległość ramion, badając bicepsy z żartobliwym zachwytem, nim przytuliła go znów. – Generał będzie zachwycony widząc cię. – Ujęła go pod ramię i poprowadziła do domu. – Sean nie czuje się najlepiej, Mark, ale spotkanie z tobą będzie jak balsam na jego duszę.

Mark zatrzymał się mimowolnie w drzwiach i poczuł, że z zaszokowania zaschło mu zupełnie w ustach.

Generał Sean Courteney był starym człowiekiem. Siedział w wykuszu okiennym pokoju sypialnianego. Miał na sobie pikowany szlafrok, a nogi otulone moherowym pledem. Na stoliku przed nim leżały teczki i raporty, białe druki parlamentarne, plik listów, dokumentacja jego życia, którą Mark znał tak dobrze. Generał zasnął i okulary w drucianych oprawkach zsunęły mu się na czubek nosa. Chrapał cicho, wargi trzepotały lekko przy każdym wydechu. Jego twarz zmizerniała tak bardzo, że kości policzków i czoła stały się ostre i wystające. Oczy zapadły się w ciemnosine oczodoły, a skóra miała matowy, martwy odcień szarości.

Najbardziej szokujący jednak był kolor jego brody i kiedyś tak gęstej czupryny. Na Seana Courteneya spadły późne śniegi. Broda przemieniła się w srebrną kaskadę, a włosy były równie siwe i tak rzadkie jak cienka, spłowiała od słońca trawa pustyni Kalahari.

Ruth podeszła do krzesła i zdjęła mu okulary z nosa. Potem łagodnie, z troskliwością kochającej żony, dotknęła jego ramienia.

– Sean, kochanie. Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Obudził się tak, jak budzi się stary człowiek. Mrugał oczami i mamrotał coś, gestykułując bezcelowo dłońmi. Raptem zauważył Marka i wyraz jego twarzy uspokoił się. W ciemnobłękitnych oczach załśniło wspomnienie dawnej iskierki, a uśmiech stał się raptem cieplejszy.

– Mój chłopcze! – powiedział wyciągając ku niemu ramiona, a Mark w najzupełniej naturalny sposób wkroczył w ich krąg. Po raz pierwszy uścisnęli się jak ojciec i syn, zaraz potem Sean Courteney uśmiechnął się do niego z czułością. – Zacząłem już podejrzewać, że

zaginałeś gdzieś w tym buszu. – Spojrzał na Ruth stojącą przy krześle. – By to uczcić, moglibyśmy przesunąć tę godzinę o trochę, moja droga. Czy mogłabyś poprosić Josepha o wniesienie tacy?

– Sean, przecież wiesz, co doktor powiedział wczoraj – ale Sean mruknął z odrazą.

– Przez pięćdziesiąt lat mego życia, jako mężczyzna i chłopiec, mój żołądek zdążył przyzwyczać się do wieczornego łyeczka z półlitrowej butelki Johna Haiga. Niedobór tego płynu zabije mnie szybciej i pewniej niż doktor Hendersen razem ze swymi pigułkami, miksturami i ustawicznym biadoleniem. – Objął ją w tali i przycisnął mocno. – No, grzeczna dziewczynka!

Kiedy Ruth wyszła, uśmiechnięta i kręcąca głową z dezaprobatą, wskazał Markowi krzesło naprzeciw siebie.

– Zdaniem doktora, co panu właściwie dolega, sir?

– Doktor – Sean prychnął. – Im się robię starszy, tym mam mniejsze zaufanie do tej całej żalostnej bandy. – Sięgnął do pudełka cygar. – Chcieli, bym zrezygnował nawet z tego. Jaki jest sens życia, jeśli trzeba wyrzec się wszystkich jego przyjemności – pytam cię? – Zapalił fantazyjnie cygaro i zaciągnął się głęboko. – Powiem ci, co mi dolega, synu. Zbyt wiele lat na pełnych obrotach, lat walki, jeżdżenia i pracy. To wszystko. Teraz odpoczywam sobie trochę, ale za tydzień czy dwa będę sprawny i gotowy jak zwykle.

Ruth przyniosła srebrną tacę i siedzieli, rozmawiając i śmiejąc się, aż się ściemniło. Mark opowiadał im o życiu u Bramy Chaki, o każdym małym tryumfie, opisał domek i prace poczynione przy drodze. Opowiedział o bawole, lwicy i lwiątkach, a Sean w zamian zrelacjonował mu postępy Towarzystwa Ochrony Przyrody Afryki.

– Jestem trochę rozczarowany, Marku. To nie jest całkiem to, na co liczyłem. Zadziwiające jest, jak mało ludzie dbają o rzeczy, które nie są związane z ich życiem codziennym.

– Nie spodziewałem się natychmiastowego sukcesu. Jak ludzi może obchodzić coś, czego nie widzieli na oczy? Kiedy już to wszystko stanie przed nimi otworem i kiedy dzięki temu nabędą nowych wspaniałych doświadczeń, takich jak na przykład możliwość zobaczenia tych lwiątek, wtedy dopiero zaczną się naprawdę.

– Tak – przyznał Sean po namyśle. – Takie właśnie są zamierzenia towarzystwa. Należy nauczyć ich...

Rozmawiali dalej, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Ruth zamknęła okiennice i zasunęła kotary. Mark czekał na stosowną sytuację, by wyjawić prawdziwy powód swej wizyty w Emoyeni, ale obawiał się, jak to może wpłynąć na człowieka, który i tak był bardzo chory.

Wreszcie nie mógł już zwlekać dłużej. Wziął głęboki oddech i modląc się o zmiłowanie, opowiedział wszystko szybko i bez żadnych ubarwień. Powtórzył relację Pungushe, dodając do tego to, co widział na własne oczy.

Kiedy skończył, spojrzął na Seana. Siedział on, milcząc i wpatrując się w swą szklanekę.

Wreszcie zebrał się w sobie i zaczął zadawać mu pytania, trafne i wnikliwe pytania. Wskazywały one jasno, że jego umysł funkcjonował równie sprawnie i klarownie co dawniej.

– Otworzyłeś grób?

Mark pokręcił przecząco głową.

– To dobrze – powiedział i dodał zaraz: – Ten Zulus, Pungushe, był jedynym świadkiem tego zdarzenia. Czy można polegać na nim?

Dyskutowali nad tym przez kolejne pół godziny, nim Sean zadał to jedno pytanie, którego najwyraźniej unikał dotąd i zwlekał z nim.

– Czy uważasz, że Dirk Courteney jest odpowiedzialny za to wszystko?

– Tak – odpowiedział Mark.

– Jakie masz na to dowody?

– Jest jedyną osobą, która miała wymierne korzyści z faktu, że mój dziadek nie żyje, a poza tym to w jego stylu.

– Pytałem o dowody, Mark.

– Nie mam dowodów – musiał przyznać Mark.

Sean zamilkł znów, rozważając wszystko, co przed chwilą usłyszał.

– Marku, rozumiem, co czujesz, i myślę, że znasz mnie na tyle dobrze, by móc się domyślić, co czuję. Jednak cokolwiek teraz zrobimy, nie osiągniemy nic prócz zaalarmowania mordercy, kimkolwiek on jest. – Nachylił się w krzesło i uściśnął ramię Marka w geście pocieszenia. – Jedyne, czym w tej chwili dysponujemy, to nie potwierdzone zeznania zuluskiego kłusownika, który na dodatek nie mówi po angielsku. Dobry adwokat zje go na śniadanie, nie wypluwając nawet kostek, a możesz być pewien, że Dirk Courteney wzięłby sobie najlepszego. Wykręciłby się nawet wtedy, gdyby udało nam się odszukać tego „milczącego” i doprowadzilibyśmy go do sądu. Potrzebujemy czegoś więcej, Marku.

– Wiem – przyznał Mark. – Pomyślałem jednak, że może uda nam się pójść tropem starego Greylinga i jego syna. Z tego, co wiem, wyjechali do Pretorii, wiem to od zawiadowcy stacji w Ladyburgu.

– Tak, rozkażę komuś zająć się tym. Moi prawnicy znajdą dobrego detektywa. – Zanotował coś na kartce, którą miał pod ręką. – Ale do tego czasu musimy uzbroić się w cierpliwość.

Dyskutowali dalej, widać jednak było wyraźnie, że rozmowa wyczerpała Seana Courteneya. Szaro-siny cień padający na niego wytrawił bruzdy i zmarszczki na jego twarzy. Rozparł się wygodnie w krzesło, broda opadła mu na pierś i zasnął. Powoli zsunął się na bok, kryształowa szklanka wysunęła mu się z dłoni na dywan, upadając z lekkim puknięciem i rozlewając parę kropel whisky. Raz chrapnął cicho.

Ruth podniosła szklankę, otuliła mu delikatnie ramiona pledem i dała Markowi znak, by wyszedł z nią. Na korytarzu gawędziła wesoło.

– Kazałam Josephowi posłać ci w błękitnym pokoju, tam też czeka na ciebie gorąca

kapiel. Kolację zjemy tylko we dwoje. Generałowi zostanie podana na tacy do pokoju.

Doszli do zamkniętych drzwi biblioteki. Mark nie mógł wytrzymać dłużej. Schwycił Ruth za ramię.

– Pani Courteney – powiedział błagalnym tonem. – Co to takiego? Co mu dolega?

Wesoły uśmiech na jej twarzy zgasł, zatoczyła się lekko ku niemu. Po raz pierwszy zauważył ciemno–stalowe skrzydła na jej skroniach, drobne zmarszczki wokół oczu i głębokie bruzdy zmartwienia na czole.

– Pękło mu serce – powiedziała po prostu i nagle zaczęła płakać. Nie był to histeryczny szloch ani żalosne łkanie. Było to powolne wezbranie się łez, bardziej bolesne i przenikliwe niż jakiegokolwiek teatralne gesty. – Złamali mu serce – powtórzyła. Znow zachwiała się na nogach i wyciągnął ręce, by złapać ją i podtrzymać.

Wtulila się w niego, przyciskając twarz do ramienia Marka.

– Wpierw to wyrzeczenie się Dirka, a potem śmierć Michaela – wyszeptala. – Nie pokazywał tego po sobie, ale obaj zniszczyli jakąś część w nim. A teraz cały świat zwrócił się przeciwko niemu. Ludzie, dla których poświęcił całe swe życie w czasie pokoju i w czasie wojny, wyrzekli się go. Gazety nazywają go Rzeźnikiem z Fordsburga, Dirk Courteney poszczuł ich na niego niczym sforę psów.

Wprowadził ją do biblioteki i posadził na niskiej sofie. Ukląkł u jej nóg i wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki.

– A do tego wszystkiego ta historia z Storm. Sposób, w jaki uciekla z domu i wyszła za mąż za tego mężczyznę. To okropny człowiek, Marku. Kiedyś nawet przyszedł tu domagać się pieniędzy i była okropna awantura. Tej właśnie nocy Sean miał pierwszy atak. A potem znow straszny wstyd i znow złamane serce, kiedy Storm wzięła rozwód. To było zbyt wiele nawet dla człowieka takiego jak Sean.

Mark wpatrywał się w nią.

– Storm się rozwiodła? – zapytał cicho.

– Tak – przytaknęła Ruth. Nagle jej twarz rozjaśniła się. – Och, Marku! Wiem, że ty i Storm byliście na najlepszej drodze, by stać się przyjaciółmi. Jestem przekonana, że lubiła cię bardzo. Czy nie mógłbyś pojechać do niej? To właśnie może być to remedium, o które tak się wszyscy modlimy.

Umhlanga Rock było jednym z małych nadmorskich miasteczek rozrzuconych wzdłuż piaszczystego wybrzeża po obu stronach portu Durban. Mark przejechał przez niski most nad rzeką Umgeni i ruszył na północ. Droga wiodła przez gęsty, podobny do dżungli busz nadmorski, rozrośnięty niby las równikowy, ze zwisającymi wszędzie lianami, na których huśtały się żywo i gaworzyły małe błękitne małpki. Droga wiodła wzdłuż białych plaż, ale przy dwunastym kamieniu milowym Mark dotarł do rozwidlenia i ruszył w dół prosto ku brzegowi morza. Miasteczko zgromadziło się wokół krytego żelaznym dachem hotelu Oyster

Box, w którym Mark i Dicky Lancome jedli kolację i tańczyli z Marion i tą drugą bezimienną dziewczyną już tak dawno temu.

Jedynymi zabudowaniami było dwadzieścia czy trzydzieści domków stojących pośród wielkich ogrodów i zarośniętych ze wszystkich stron dziką dżunglą. Wszystkie wyglądały na morze o niespokojnych spienionych falach, które wcinało się ostrymi cyplami w gładkie białe plaże.

Ruth podała mu dokładne wskazówki, jak tam trafić, i Mark zaparkował motor w wąskiej zakurzonej alejce. Ruszył dróżką wijącą się w nieznanym kierunku przez dziki ogród pełen purpurowych bugenvilli i jaskrawych poinsecji.

Domek był niewielki, bugenvilla pięła się po słupkach werandy i rozpościerała kolorową, prawie oślepiającą kompozycją na cały kryty strzechą dach.

Mark upewnił się szybko, że trafił we właściwe miejsce. Cadillac Storm stał zaparkowany pod drzewami. Auto wyglądało na zaniedbane i użytkowane bez przywiązywania wagi do jego konserwacji i napraw. Opony miały wytarte bieżniki, a na jednym z boków widniało długie zadrapanie. Poza tym boczne okno było wybite, a karoseria matowa od kurzu i pochłapana odchodami nietoperzy owocowych zwieszających się z pobliskiego drzewa.

Mark przyglądał się cadillacowi przez dłuższy czas. Storm, którą znał, tupnęła by ze złości nogą i zawołała swego ojca, gdyby kazano jej wsiąść do czegoś takiego.

Wszedł po schodkach werandy i zatrzymał się tam, by popatrzeć dokoła. Miejsce było bardzo piękne i tchnęło spokojem, właśnie takie wybrałaby sobie artystka, ale oddalenie i zaniedbanie oraz nonszalancko-bałaganiarski stan całości nie pasował zbyt do jednej z młodych eleganckich przedstawicielek elity towarzyskiej.

Mark zapukał do drzwi i usłyszał jakieś poruszenie w środku na chwilę przed tym, jak Storm otworzyła drzwi.

Była piękniejsza niż kiedykolwiek. Jej włosy były długie i spłowiałe od słońca i słonej wody. Miała bose stopy, a ramiona i nogi opalone, szczupłe i równie jędrne co dawniej. Oprócz twarzy wszystko było w niej takie, jak pamiętał.

Mimo że bez makijażu, jej skóra lśniła blaskiem młodości, podobna w kolorze do wnętrza muszli morskiej, oczy były jasne i błyszcząły zdrowiem. Zauważył w nich nowe głębie, kapryśnie zarysowane wargi stały się bardziej miękkie, jej arogancja przerodziła się w dostojność.

Gdy patrzyli tak na siebie, zrozumiał, że od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni, przemieniła się z młodej dziewczyny w kobietę. Wyczuł, że proces ten musiał być bolesny, ale dał życie nowym wartościom, nowej sile wewnętrznej. Miłość, która tkwiła w nim przez cały ten czas, rozplynęła się w tej chwili po jego duszy.

– Storm – powiedział.

– Ty! – Jej głos zabrzmiał jak okrzyk bólu i spróbowała zamknąć przed nim drzwi. Mark rzucił się naprzód, naparł na nie ramieniem, powstrzymując ją.

– Storm, muszę porozmawiać z tobą. Szarpnęła rozpaczliwie klamkę.

– Odejdź, Mark. Odejdź, proszę cię. – Cała nowo nabyta dostojałość i poza zdawały się lec w gruzach. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami jak dziecko, które obudziło się z koszmarnego snu. Gdy w końcu stwierdziła, że nie zdoła go powstrzymać, odwróciła się i weszła wolno do środka.

– Nie powinienes być tu przychodzić – powiedziała z rozpaczą w głosie. Dziecko wyczuło nagłą zmianę atmosfery i zakwiliło.

– Cicho, maleńki! – zawołała Storm półgłosem, ale sam dźwięk jej głosu wywołał nowy wybuch płaczu. Przeszła do pokoju na bosaka. Ciemna firanka włosów spływała na jej plecy.

Pokój był urządony surowo, cementowa podłoga była goła i zimna, nie przykryta nawet dywanikami, które dałyby trochę ciepła. Ściany za to były pokryte płótnami. Niektóre były jeszcze czyste, inne zaś na wpół lub całkowicie ukończone. Znajomy, budzący tyle wspomnień zapach terpentyny wisiał w powietrzu ciężki i ostry.

Dziecko leżało na błamie z małych skór rozłożonym na podłodze, Rączki i nóżki miało rozłożone niczym żabka w charakterystyczny dla dzieci sposób. Prócz pieluszki owiniętej wokół bioder było zupełnie nagie i bardzo opalone. Główkę odchyliło ze złości do tyłu, aż buzia poczerwieniała od wysiłku i intensywnego płaczu.

Mark wszedł do pokoju i patrzył zafascynowany na dziecko. Wiedział bardzo mało na temat dzieci, ale dojrzał, że to było krzepkim i emanującym żywotnością stworzonkiem. Jego kończyny były mocne, kopały i poruszały się podobnymi do pływania ruchami, a plecki szerokie i silne.

– Cicho, kochany – uspokajała go Storm. Uklękła przy nim i uniosła z ziemi. Pieluszka ześlizgnęła się z bioder aż do kolan, nie pozostawiając wątpliwości, że był to chłopiec. Jego maleńki penis sterczał jak biały palec, zakończony luźnym pomarszczonym napletkiem podobnym do fantazyjnej czapki szefa kuchni. Mark poczuł przyptyw nienawiści do dziecka, dziecka tamtego mężczyzny, nagły i oślepiający. Jednak niemal wbrew swojej woli zbliżył się do miejsca, w którym Storm siedziała z dzieckiem na kolanach.

Uspokajający dotyk matczynej dłoni ukoił krzyki złości. Teraz chłopiec mlaskał i wydawał dźwięki podobne do pochrząkiwania, wskazując jednoznacznie na to, że jest głodny. Rączkami chwycił łączywie pierś Storm.

Główka dziecka była pokryta puszką jedwabistych złotych włosów, pod którymi Mark wypatrzył idealnie uformowaną czaszkę i małe błękitne żyłki pod niemal przezroczystą skórą. Teraz kiedy purpurowa fala złości odpłynęła z jego buzi, zobaczył, jak piękne było to dziecko, równie piękne co matka – i znenawidził je za to, czując mdlący skurcz w żołądku i rdzawy smak w ustach. Podeszedł jeszcze bliżej. Storm starła kroplę śliny z brody maleństwa i owinęła je pieluszką.

Dziecko wyczuło nagle obecność kogoś trzeciego. Drgnęło i podniosło głowę, by spojrzeć na Marka. W jego twarzy było coś niepokojąco znajomego. Te oczy, które patrzyły

teraz na niego, patrzyły tak już kiedyś, znał je bardzo dobrze.

– Nie powinienes być tu przychodzić – powtórzyła Storm i zajęła się dzieckiem, nie podnosząc na Marka wzroku. – O Boże! Po coś tu przyjechał?

Mark przykląkł na jedno kolano i wpatrzył się w buzię dziecka, a ono wyciągnęło do niego małą poznaczoną dołeczkami rączkę, różową i wilgotną od śliny.

– Jak ma na imię? – zapytał Mark.

U kogo widział takie oczy? Mimowolnie wysunął palec wskazujący. Dziecko złapało go i zachichotało nisko, natychmiast próbując wpakować sobie do ust.

– John – odpowiedziała Storm, nie patrząc na niego.

– Mój dziadek miał na imię John – powiedział Mark nagle ochryłym głosem.

– Tak – wyszeptała Storm. – Mówiłeś mi.

Jej słowa jeszcze nic nie oznaczały, czuł jednak, że nienawiść, którą żywił do tego małego człowieczka, ulotniła się. Na jej miejsce wyrosło nowe, nieznane uczucie. Nagle uzmysłowił sobie, skąd zna te oczy.

– Storm? – zapytał.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Kiedy udzielała odpowiedzi, była na wpół dumna i zuchwała.

– Tak – powiedziała i skinęła głową.

Wyciągnął niezdarnie ramiona ku niej. Klęczeli na dywaniku z małpich skór, obejmując się ze wszystkich sił. Dziecko wtulone między nimi gaworzyło, czkało i zaśmiewało się radośnie, żując bezzębnymi dziąsłami palec Marka.

– O Boże, Mark. Co ja zrobiłam z naszym życiem? – wyszeptała załamującym się głosem Storm.

Kiedy mały John obudził się, ich pokój skąpany był w srebrnym świetle zbliżającego się świtu. Mark był mu wdzięczny za to, nie chciał bowiem stracić ani chwili z nadchodzącego dnia. Przyglądał się Storm, kiedy zapalała świecę i pochyliła się nad kołyską.

Przewijała dziecko, przemawiając doń cichym, kojącym głosem. Blask świecy obejmował ciepłym światłem jej słodkie, pięknie ukształtowane nagie ciało. Ciemne jedwabiste włosy spływały aż na plecy. Stwierdził, że ciąża nie zniekształciła jej figury. Talia była nadal szczupła, wykrojona wdzięcznie niczym szyjka butelki wina nad podwójnym jędrnym wzniesieniem pośladków.

W końcu odwróciła się i przyniosła dziecko do łóżka. Uśmiechnęła się, kiedy Mark odchylił zapraszająco koc.

– Pora na śniadanie – wyjaśniła. – Czy wybaczysz nam, proszę?

Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami. Wzięła jeden sutek między kciuk i palec wskazujący i skierowała do otwartej, oczekującej niecierpliwie buzi.

Mark przysunął się tak blisko, jak tylko było to możliwe, i objął Storm ramieniem.

Przyglądał się zafascynowany. Jej piersi były teraz większe i pełniejsze. Ciężkie zaokrąglone stożki. Głęboko pod skórą przebiegała płatanina bladoniebieskich żyłek, sutki były koloru dojrzałych morw i równie supelkowate i lśniące. Łapczywe ssanie dziecka wysączyło rozczulającą niebiesko-białą kropelkę mleka z koniuszka sutka drugiej piersi. Błyszczała ona w świetle świecy niczym perła.

John pożywiał się, pochrzając cichutko niczym warchlaczek, jego oczy były mocno zaciśnięte. Kiedy już zaspokoił pierwszy głód, Storm musiała trącać go lekko co jakiś czas, by nie zasypiał. Po każdym takim upomnieniu jego szczęki pracowały energicznie przez minutę czy dwie, stopniowo zwalniając coraz bardziej aż do następnego trącenia.

Storm przyłożyła go do drugiej piersi i oparła policzek z wdzięcznością o twardą muskularną pierś Marka.

– Myślę, że jestem szczęśliwa – wyszeptła. – Byłam nieszczęśliwa przez tak długi czas, że sama już nie wiem na pewno.

John leżał w głębokiej na pięć centymetrów kałuży słonej wody. Był golusieńki i brązowy na całym ciele, co wskazywało, że jego obecny negliż nie był niczym nowym. Uderzał w wodę obiema rączkami ochlapując się, a potem parskał, mrugał oczami i oblizywał słoną buzię, nie mogąc zdecydować się, czy ma złościć się, czy płakać. W końcu zdecydował się jednak powtórzyć ten eksperyment. Doszedł do dokładnie takich samych wniosków i dla odmiany zajął się wrzucaniem piasku do wody.

– Biedny maluszek – powiedziała Storm, przyglądając mu się. – Odziedziczył po Courteneyach ich upór i dumę. Raczej utopi się, niż ustąpi.

Kiedy wyjęła go z kałuży, zaprotestował natychmiast tak głośnym płaczem, że posadziła go z powrotem w tym samym miejscu.

– Gdybyś poszła do generała z Johnem... – perswadował Mark.

– Ty tak naprawdę nie rozumiesz, nas, Courteneyów. – Storm usiadła i zaczęła zaplatać warkocz na jednym ramieniu. – My nie zapominamy ani nie wybaczymy tak łatwo.

– Storm, czy nie mogłabyś choć spróbować? Proszę cię, jedź do niego.

– Wiem dobrze, jaki on jest. Lepiej niż ty, lepiej nawet niż sam tatko. Znam go tak dobrze jak siebie samą i dlatego jesteśmy jakby jedną istotą. Ja jestem nim, a on mną. Jeśli pojedę do niego teraz, po tym, co zrobiłam, Mark – po tym, jak go skrzywdziłam, uraziłam, zniszczyłam wszystkie jego marzenia, jeśli pojedę tam teraz, kiedy jestem pozbawiona czci, honoru i dumy, stanę przed nim jako żebraczka i będzie pogardzać mną do końca życia.

– Nie, Storm, mylisz się.

– W tym przypadku nie mogę mylić się, Mark. Wiem, że nie chciałby pogardzać wtedy mną, tak jak nie chce nienawidzić mnie teraz, ale nie mógłby się powstrzymać. Jest Seanem Courteneyem i jest uwięziony w stalowych szczękach swego honoru.

– To bardzo chory człowiek – musisz dać mu szansę.

– Nie, Mark. To zabiłoby go. Jestem pewna – a to z kolei zniszczyłoby mnie. Dla dobra nas obojga nie odważę się pójść tam teraz.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo zależy mu na tobie.

– Ależ mam, Marku. Wiem też, co ja czuję do niego i pewnego dnia, gdy już odzyskam swą dumę i kiedy będę wiedziała, że i on ma podstawy, by być dumny ze mnie, wtedy zaniosę mu to jak najcenniejszy dar.

– Niech szlag trafi tę waszą sztywną, bezlitosną dumę! Prawie zniszczyłaś przez nią nasze życie.

– Chodź, Mark – powiedziała wstając. – Weź Johna za drugą rączkę.

Spacerowali wzdłuż pasa ubitego przez fale mokrego piasku, prowadząc Johna pośrodku. Zawisł na ich dłoniach, pochylony do przodu, by przyjrzeć się swym znikającym i znów pojawiającym się stopkom, i zaśmiewał się radośnie ze swoich osiągnięć.

Dzień był jasny i pogodny. Mewy łapały wiatr, unosząc się na nim na szarobłękitnych skrzydłach, i odpowiadały na wołania dziecka swymi skrzekliwymi głosami.

– Miałam kiedyś tyle przepięknych ubrań i uroczych przyjaciół – powiedziała Storm, przyglądając się mewom. – Dopiero kiedy sprzedałam swe rzeczy i straciłam przyjaciół, zrozumiałam, jak niewiele to znaczyło dla mnie. Popatrz szybko na mewy! – zawołała odchylając głowę do tyłu. – Popatrz, jak słońce prześwieca przez ich rozpostarte skrzydła! Byłam tak zajęta, że nie miałam czasu zastanowić się. Nie widziałam ludzi, którzy byli wokół mnie, ani siebie samej. Teraz dopiero uczę się patrzeć.

– Wyczytałem to z twoich obrazów – powiedział Mark i podniósł Johna do piersi, zachwycając się jego gorącym niespokojnym ciałkiem. – W swym malarstwie zajmujesz się bardzo różną tematyką.

– Chcę być wielką artystką.

– Myślę, że uda ci się to osiągnąć. Znów ten upór Courteneyów.

– Nie zawsze dostaje się to, czego się chce – powiedziała. Kolejna fala wślizgnęła się na plażę i spieniła koronkowo wokół ich kostek.

Dziecko zasnęło z buzią wtuloną w futrzany błam, zmęczone słońcem, morzem, zabawą i pełnym brzuszkiem.

Storm wzięła się do pracy. Stała przed sztalugami przy oknie z przymrużonymi oczami i przechyloną lekko w bok głową.

– Jesteś moim ulubionym modelem – powiedziała.

– To pewnie dlatego, że jestem taki tani – zaśmiał się lekko.

– Wykorzystując to, czym ci płacę, mogłabym wzbogacić się bardzo szybko – odcięła się.

– Czy wiesz, jak nazywają się kobiety, które robią to za pieniądze? – zapytał Mark leniwie i znów zamilkł, oddając się w pełni przyjemności podziwiania jej. Nie odzywali się do siebie dłuższą chwilę – ale byli tak bardzo bliscy sobie duchem. Wreszcie Mark powiedział:

– Wiem, co miałaś na myśli mówiąc, że teraz widzisz pewne rzeczy inaczej. To chyba najlepszy twój obraz – wskazał na jedno z płócien stojących przy ścianie.

– Sprzedawałam go z prawdziwym żalem. Mężczyzna, który go nabył, przychodzi jutro.

– Sprzedajesz swoje obrazy? – Był zaszokowany.

– A jak myślisz, z czego ja i John żyjemy?

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Myślałem, że może twój mąż...

Wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast, twarz spochmurniała. Odrzuciła głowę do tyłu i koniec warkocza zamiótł powietrze jak kita na ogonie rozżłoszczonej lwicy.

– Nie chcę nic od niego, od jego przyjaciół, od swoich drogich przyjaciół, od wszystkich tych miłych lojalnych ludzi, którzy trzymają się z daleka ode mnie teraz, gdy jestem rozwódką. Wiele nauczyłam się od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, zwłaszcza na temat ludzi tego pokroju.

– Są bogaci – zauważył Mark. – Sama powiedziałaś mi kiedyś, jakie to istotne.

Złość ulotniła się i zostawiła ją jakby osłabłą. Ręka z pędzlem zwiśla wzdłuż ciała.

– Mark, proszę cię, nie bądź taki zgorzkniały, nie w stosunku do mnie. Nie zniosłabym jeszcze i tego.

Poczuł gwałtowny, prawie rozsadzający mu pierś przypływ uczucia. Wstał cicho i podszedł do niej. Porwał wysoko na ręce i zaniósł przez zasłonięte kotarą drzwi do małej, chłodnej sypialni.

To dziwne, ale ich kochanie nigdy nie było takie samo, wciąż były nowe zadziwienia, nowe akordy pożądania, małe rzeczy, które podniecały ich niezależnie od swego przeznaczenia.

Zaczynanie wciąż od nowa nie nużyło ich ani nie zaspokajało apetytu, który wciąż mieli na siebie. Apetyt ten nawet w chwilach całkowitego nasycenia pozwalał, by bezdenne studnia ich wzajemnego pożądania napełniła się znów.

Na początku zaczynało się niewinnym dotykiem palców, kiedy leżeli wtuleni w siebie jak śpiące szczenięta, zaraz po wielkich uniesieniach namiętności. Pot schładzał się na ich ciałach i wywoływał gęsią skórkę wokół ciemnoróżowych aureolek jej sutek.

Palec sunący lekko wzdłuż jego policzka, trzeszczący na zaroście brody, a potem wślizgujący się miękko między jego wargi, prowokował do zwrócenia ku niej twarzy i do jeszcze jednego delikatnego pocałunku, lekkiego pocierania się o siebie warg i mieszania oddechów, aż wyczuwał specyficzną, odurzającą jak pachnidło woń namiętności z jej ust. Zapach ten był podobny do zapachu świeżo wykopanych trufli, podniecający zapach ziemi.

Zauważała natychmiast ten błysk zainteresowania w jego oczach i odsuwała się od niego, chichocząc rozkosznie głębokim, zmysłowym śmiechem. Potem przejeżdżała ostrym końcem paznokcia wzdłuż jego kręgosłupa, powodując, że małe iskierki przebiegały po nerwach i plecy wyginały się.

– Mam zamiar rozdrapać cię pazurami, zasłużyłeś sobie na to, ty lubieżny stary kocurze –

warknęła ochryple i zakrzywionymi na kształt lwiej łapy palcami przejechała wzdłuż jego ramienia, a potem, tym razem już mocniej, w dół twardego brzucha, zostawiając czerwone ślady na skórze.

Przyglądała się potem czerwonym śladom z rozchylonymi wargami i czubkiem języka dotykała ostrych ząbków. W takich chwilach jej sutki twardniały i przemieniały się w małe pączki kwiatów, tak naprężone, jakby miały zaraz pęknąć. Wyczuła, na czym zawisło jego spojrzenie, więc położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła go delikatnie. Odciągnęła do tyłu ramiona, tak że duże, ciężkie piersi zostały złożone mu niczym ofiara.

Mark wyłowił kilka dorodnych raków w jednym z płytkich nadmorskich rozlewisk. Uderzały dziko ogonami, poruszały odnóżami i otwierały niemo okrągłe pyszczki. Powstał z głębokiego bajora cały ociekając wodą i podał żyjątko Storm, która stała na brzegu rozlewiska i piszcziała podniecona. Wzięła je od niego ostrożnie, używając swego słomkowego kapelusza jako rękawicy ochronnej przed ich ostrymi szczypcami i niespokojnymi nóżkami.

Mark rozpałił ognisko na piasku, w czasie gdy Storm karmiła Johna, wysunąwszy pierś przez dyskretnie rozpiętą bluzkę, jednocześnie rzucając Markowi rady i komentując rubaszenie jego poczynania.

Mark wrzucił na węgle mokre wodorosty, ułożył na nich raki, przykrył jeszcze jedną warstwą wodorostów i zasypał całość piaskiem. Kiedy czekali, aż będą gotowe i John skończy pożywiać się hałaśliwie, przyglądali się słońcu podświetlającemu malowniczo nadmorskie obłoki i popijali wino.

– Boże, natura to stary wyga. Gdybym to ja tak malowała, powiedziano by mi, że kompletnie brak mi wycucia kolorów i musiałabym zajmować się malowaniem bombonierek.

Później Storm ułożyła Johna w koszu na jabłka służącym za przenośne łóżeczko. Jedli raki, podając sobie do ust smakowite kawałki białego mięsa i popijając je cierpkim białym winem Cape. W ciemnościach gwiazdy lśniły jak skrawki oślepiającej materii, a fala nadpływała wciąż i wciąż długimi miękkimi fosforyzującymi liniami.

– Jak tu cudownie romantycznie. – Storm rozglądała się wokół, obejmując podciągnięte kolana ramionami. Potem odwróciła się ku niemu i uśmiechnęła przebiegle. – Możesz to potraktować jako aluzję, jeśli chcesz.

Kiedy leżeli już razem na kocu, zapytała:

– Czy wiesz, co robią niektórzy ludzie?

– Nie mam pojęcia, co robią niektórzy ludzie. – Mark zdawał się bardziej zainteresowany tym, co właśnie robił, niż poczynaniami jakichś bezimiennych osobników.

– Chyba nie spodziewasz się, że powiem ci to, ot tak?

– Czemu nie?

– Bo to nieprzyzwoite.

– No dobrze, wyszezcz mi to do ucha.

Wyszeptała więc, ale chichotała przy tym tak bardzo, że nie była pewna, czy ją dosłyszał. Powtórzyła jeszcze raz i teraz zrozumiał. Był naprawdę zaszokowany i poczuł, że czerwieni się w ciemnościach.

– To okropne – powiedział ochryple. – Ty byś tego nie zrobiła. – Po pierwszym wrażeniu jednak myśl ta zaintrygowała go.

– Oczywiście, że nie – i dodała po chwili milczenia – chyba że ty byś tego chciał.

Zaległa cisza i wtedy Storm przeprowadziła drobne dochodzenie.

– Jeśli jestem dobrym obserwatorem, a jestem, bo znam cię dobrze, to chcesz tego – stwierdziła bez ogródek.

Dużo później pływali razem rozebrani w ciemnościach. Woda była ciepła niczym świeżo udojone mleko. Poruszając w niej nogami, by ustać w miejscu, całowali się słonymi wargami.

Na plaży Mark znów rozpałił ognisko. Siedzieli przytuleni do siebie w żółtym blasku płomieni i pili resztę wina.

– Mark – powiedziała w końcu z takim smutkiem w głosie, jakiego dotąd nie słyszał. – Spędziłeś tu ze mną już dwa dni, o dwa dni za dużo. Chcę, byś wyjechał stąd jutro, nim ja i John obudzimy się. Nie wyobrażam sobie, byśmy mieli patrzeć, jak odjeżdżasz.

Jej słowa ugodziły go jak razy batoga i aż skulił się z bólu. Spojrzał na nią z twarzą przeraźliwie pobladłą w świetle ogniska.

– O czym ty mówisz? Ty i John należycie do mnie. We troje należymy do siebie na zawsze.

– Nie rozumiałeś ani słowa z tego, co ci powiedziałam, prawda? – wyszeptała. – Nie rozumiałeś mnie, kiedy mówiłam ci, że muszę odzyskać swą dumę i honor?

– Kocham cię, Storm. Zawsze cię kochałem.

– Ale ożeniłeś się z kimś innym, Mark.

– To nic nie ma do rzeczy – przekonywał proszącym tonem.

– Właśnie że ma – Storm pokręciła przecząco głową. – I ty wiesz, że ma.

– Odejdę od Marion.

– Rozwód, Marku?

– Tak – był zdesperowany. – Poproszę ją o rozwód.

– I wtedy będziemy oboje mieli powody, by być z siebie dumni. To będzie cudowna metoda na moje pogodzenie się z ojcem. Pomyśl sobie tylko, jaki dumny będzie z nas. Jego córka i syn, którego mu zawsze brakowało, bo tak właśnie cię traktuje – są oboje rozwiedzeni. Pomyśl o małym Johnie. Czy będzie nosił głowę uniesioną wysoko? Wreszcie pomyśl o nas. Jak szlachetne życie zbudujemy sobie na rozpaczycy dziewczyny, która była twoją żoną? – Patrzyła mu prosto w oczy. Stwierdził, że jej poczucie dumy jest ze stali, a upór z żelaza.

Mark ubrał się po cichu w ciemnościach, a kiedy był już gotów, odnalazł po omacku

drogę do kołyski i ucałował swego syna. Dziecko zakwiliło cicho przez sen, pachniało ciepło i mlecznie jak nowo narodzony kociak.

Kiedy nachylił się nad Storm, sądził, że śpi. Leżała wyciągnięta sztywno z twarzą wtuloną w poduszkę, chcąc stłumić cichy wstrząsający nią szloch. Nie odwróciła twarzy, a on ucałował jej włosy i szyję, potem wyprostował się i wyszedł w ciemność. Motor odpalił przy pierwszym kopnięciu i wytoczył go na ścieżkę.

Storm leżała w ciemnościach i wsłuchiwała się w warkot motocykla oddalającego się w nocy. Została sama z samotnym, posepnym szumem fal i rechotem drzewnych żab za oknem.

Mark siedział na rzeźbionym drewnianym stołku przed chatą Pungushe, skąpany w słońcu. Zadał pytanie, które chodziło mu po głowie od ich pierwszego spotkania.

– Pungushe, opowiedz mi o dniu, w którym wyciągnąłeś Ngaga z powodzi.

Zulus wzruszył ramionami.

– Co tu jest do opowiadania? Znalazłem cię uwięzionego między gałęziami powalonego drzewa, na brzegu rzeki – gdybym miał rozum, odszedłbym stamtąd czym prędzej, bo wyglądałeś na martwego, Ngaga. Brązowa woda opływała twoją głowę.

– Czy widziałeś, jak wpadałem do rzeki?

Chwila milczenia, Pungushe niechętnie przyznawał się do braku wiedzy na jakiś temat.

– Zdawało mi się, że oślepiła cię gorączka i wpadłeś do rzeki.

– Nie widziałeś człowieka, którego zabiłem, ani tego, który strzelał do mnie z karabinu?

Pungushe ukrył swe zdziwienie z godnością, ale musiał zaprzeczyć.

– Chwilę przed tym, nim cię znalazłem, słyszałem cztery czy pięć strzałów gdzieś w dolinie. To musiałeś być ty i ten, który na ciebie polował, ale nie widziałem nikogo, a deszcz zmył wszystkie ślady do rana. Wody powodzi zabrały ze sobą martwego człowieka i najprawdopodobniej zjadły go krokodyle.

Zamilkli i podali z rąk do rąk garnek z piwem.

– Czy widziałeś człowieka, który strzelał do ciebie? – zapytał Pungushe.

– Tak – odpowiedział Mark. – Ale mój wzrok był osłabiony przez gorączkę i jak sam wiesz, padało. Nie widziałem go wyraźnie.

Hobday stał pod ścianą w holu, poza zasięgiem kłębowiska podnieconych ciał. Trwał tak niczym skała, niezłomny i twardy. Jego głowa była mocno osadzona na tęgim karku zapaśnika. Oczy miał zamglone, jakby potrafił na wzór dużych drapieżnych ptaków przysłonić je mrugającą membraną. Poruszał jedynie szczękami jednostajnym żującym ruchem i zgrzytał dużymi kwadratowymi zębami, aż mięśnie policzka uwypukliły się.

Obserwował Dirka Courteneya przez zatłoczony hol w sposób, w jaki wierny mastiff [Stara rasa dużych dogów angielskich.] patrzy na swego pana.

Dirk Courteney, wysoki i elegancki, ścisnął dłoń wszystkim, którzy podchodzili do niego z wyrazami poparcia i życzeniami powodzenia. Jego spojrzenie, otwarte i spokojne, wciąż jednak podążało ku długim stołom, przy których liczono głosy. Były to duże, podparte na skrzyżowanych nogach stoły, które wysłużyły się podczas wielu świąt kościelnych i na równie wielu weselach.

Teraz siedzieli za nimi członkowie komisji, a przez drzwi frontowe wniesiono właśnie ostatnią urnę wyborczą, dowiezioną z jednego z odleglejszych okręgów.

Rozciągnięty kształt okręgu wyborczego Ladyburg sprawił, że niektóre z urn musiały przebyć drogę ponad stu dwudziestu kilometrów. Mimo że głosowanie zakończyło się poprzedniego wieczoru, minęło prawie południe, a nadal nie ogłoszono wyników.

Mark szedł wolno w kierunku miejsca, gdzie siedział generał Sean Courteney, przepychając się łagodnie wzdłuż lin odgradzających stoły, za którymi pracowała komisja.

Mark i Marion przyjechali z Bramy Chaki trzy dni wcześniej specjalnie po to, by wziąć udział w wyborach. Pomocników nigdy nie było zbyt wielu i Marion spędziła większość czasu w domu, przygotowując kanapki i podając kawę wraz z dwudziestoma innymi kobietami pod czujnym okiem Ruth Courteney.

Mark objeżdżał wiejski okręg wyborczy razem z innymi organizatorami z partii. Zupełnie jak dziennikarze wyszukiwali opornych wyborców i zawozili ich do wyznaczonych na tę okazję lokali. Była to ciężka praca i niewielu z nich spało tej nocy. Tańce i barbeque [Zabawa ogrodowa połączona z pieczeniem mięsa.] trwały do czwartej nad ranem – a potem już tylko napięcie towarzyszące oczekiwaniom na ogłoszenie wyników powstrzymywało ich przed zaśnięciem.

Dla Marka miało to szczególne znaczenie. Był teraz absolutnie pewien, że jeśli Dirk Courteney zostanie członkiem parlamentu z Ladyburga, jego marzenia dotyczące Bramy Chaki zostaną pogrzebane raz na zawsze.

Ich nadzieje wzrastały i opadały wraz z przybywaniem w ciągu dnia kolejnych wyborców. Chwilami wydawało im się, że strona, po której siedzieli członkowie komitetu wyborczego Dirka Courteneya tuż pod jego wielkimi plakatami, jest wręcz zatłoczona przez wyborców, podczas gdy strona zajmowana przez komitet Seana Courteneya jest wyludniona.

W którymś momencie Peter Botes, szwagier Marion, wyjął fajkę z ust i uśmiechnął się złośliwie do stojącego na drugim końcu auli Marka. Stał się entuzjastycznym zwolennikiem Dirka Courteneya i jego sytuacja materialna uległa widocznej zmianie w ciągu ostatnich paru miesięcy. Utworzył kilka własnych biur na ostatnim piętrze Banku Rolniczego Ladyburga, jeździł nowiutkim packardem i przeprowadził się z bungalowu do olbrzymiego, stojącego na trzech akrach ogrodu i sadów domu, w którym to uparł się, by gościć Marka i Marion na kolacji poprzedniego wieczoru.

– Gwiazda wieczorna zachodzi, a gwiazda poranna wschodzi, mój drogi Marku. Mądry człowiek powinien wyczuć ten moment – prawil kazanie krojąc pieczeń.

– Gwiazda generała Courteneya jeszcze nie zaszła – powtórzył Mark uparcie.

– Jeszcze nie – zgodził się Peter Botes. – Ale kiedy to nastąpi, będziesz potrzebował przyjaciół, wpływowych przyjaciół.

– Możesz zawsze liczyć na nas – powiedziała siostra Marion. – musicie przecież wciąż mieszkać w tym buszu.

– Ty nic nie rozumiesz – powiedział cicho Mark. – To, co jest tam w buszu, jest całym moim życiem.

– Nie stawiałbym na to wszystkiego. – Peter nałożył stertę plastrów wołowej pieczeni na talerz Marka. – Kiedy Dirk Courteney przejmie to wszystko, w naszym okręgu wyborczym zajdzie wiele zmian!

– Poza tym to byłoby niesprawiedliwe wobec Marion. Która kobieta chciałaby żyć tam wiecznie...

– O, ja jestem szczęśliwa wszędzie tam, dokąd zabierze mnie Mark – wyszeptała Marion.

– Nie macie się czym przejmować – zapewnił ich Peter. – Nie zapomnimy o was – poklepał Marka poufale po ramieniu.

– Pan Dirk Courteney ma bardzo dobre zdanie o Peterze – powiedziała jego żona z dumą.

Teraz, kiedy Mark zbliżał się do generała Courteneya, poczuł w żołądku niemożliwie ciężki ucisk. Nie chciałby być tym, który przekaże generałowi wieści z placu boju, ale wiedział, że lepiej, gdyby dotarły do niego przekazane łagodnie przez przyjaciela, niż miałyby zostać obwieszczone w radosnym tryumfie przez wroga.

Zatrzymał się jeszcze, by popatrzeć na Seana Courteneya, i poczuł zarówno wielki żal, jak i złość. Sean ożywił się od czasów, gdy w Emoyeni przechodził załamanie nerwowe.

Jego ramiona wyprostowały się i wzmocniły, odzyskał nieco z postawy dawnego zawadiaki, a twarz wypełniła się. Ciemne cienie pod oczami zniknęły prawie i widać było, że przebywa teraz wiele na słońcu. Opalona na ciemny brąz skóra kontrastowała ze srebrną siwizną włosów i brody.

Teraz usiadł, by odpocząć. Napięcie ostatnich paru dni zostawiło na nim wyraźne ślady. Siedział wyprostowany na krześle o sztywnym oparciu. Dłonie oparł na srebrnej ręczce trzcinowej laski. Otaczało go grono starych przyjaciół, którzy przybyli, by okazać swe poparcie. Sean wsłuchiwał się z poważną miną w słowa siedzącego tuż przy nim jego brata Garricka i co jakiś czas przytakiwał zgodnie.

Mark nie zamierzał jeszcze podejść, chciał odwlec tę chwilę, ale w drugim końcu auli nastąpiło wyraźne ożywienie. Zauważył, jak Peter Botes z twarzą poczerwieniałą z podniecenia rzuca się w kierunku Dirka Courteneya. Mówił coś szybko, gestykulując żywiołowo, a Dirk nachylił się ku niemu i słuchał z zainteresowaniem.

Mark wiedział, że nie może dłużej zwlekać. Ruszył naprzód, a Sean zauważył, jak nadchodzi.

– Chodź tu, mój chłopcze, i spocznij na chwilę. Mówiono mi, że wybory rozstrzygnęły

się już, ale z ogłoszeniem wyników trzeba poczekać do południa. – Wtedy zauważył wyraz twarzy Marka. – O co chodzi? – zapytał szorstko.

Mark nachylił się i ustami niemal dotykając jego ucha wyszeptał:

– Przed chwilą dostaliśmy wiadomość telegraficzną. Przegraliśmy w śródmieściu Johannesburga, Doorfontain i Jeppe...

Okręgi te od zawsze będące domeną Smutsa, należały do Partii Południowej Afryki od unii w 1919 roku, teraz przepadły. To była katastrofa, klęska totalna. Sean schwycił Marka za ramię, jakby chciał czerpać z niego siłę, jego dłoń lekko drżała. Na drugim końcu auli wybuchła owacja i Mark musiał się spieszyć.

– To nie wszystko, sir. Przegrał też sam generał Smuts. Naród wyrzekł się ich. Partia Pracy i Partia Narodowa pod przewodnictwem Hertzoga przejęły władzę.

– Mój Boże – wymamrotał Sean. – Stało się. Nie wierzyłem, że jest to możliwe. – Powstał, nadal trzymając się ramienia Marka. – Pomóż mi dojść do samochodu, mój chłopcze. Nie wydaje mi się, bym był zdolny złożyć gratulacje nowemu kandydatowi z okręgu Ladyburg.

Niestety spóźnili się. Ogłoszono wyniki, nim dotarli do wyjścia. Zostały wykrzyczane tenorem przez przewodniczącego komisji, który stał na podium w końcu auli.

– Pan Dirk Courteney, Narodowa Partia Pracy: 2683 głosy, generał Sean Courteney, Partia Południowej Afryki: 2441 głosów. Przedstawiam nowego posła okręgu Ladyburg... – I Dirk wskoczył lekko na podium i uniósł ręce nad głową w geście zwycięstwa niczym mistrz bokserski.

– Cóż – na twarzy Seana pojawił się nieco zgorzkniały uśmiech. – Rzeźnik z Fordsburga schodzi ze sceny.

Mark zaprowadził go do rolls-royce'a czekającego na ulicy.

Był to szampan Dom Perignon ze wspaniałego rocznika 1904 i Sean rozlewał go własnoręcznie, chodząc z lekkim utykaniem od jednego gościa do drugiego.

– Miałem nadzieję, że wypijemy nim za zwycięstwo – uśmiechnął się. – Ale równie dobrze nadaje się do topienia smutków.

W salonie Lion Kop zgromadziło się niewielu gości, parę prób błysnięcia humorem utonęło w dużym pokoju. Goście wyszli wcześniej. Do kolacji zasiadła najbliższa rodzina. Marion na dawnym miejscu Storm, a Mark pomiędzy nią a Ruth Courteney.

– No i co planujesz teraz, mój chłopcze? – zapytał nagle Sean w czasie jednej z przedłużających się chwil milczenia.

Mark spojrzał na niego ze szczerym zdziwieniem.

– Wracamy do Bramy Chaki, rzecz jasna.

– Oczywiście – Sean uśmiechnął się po raz pierwszy tego mrocznego dnia i spojrzał nań ciepło. – Jakże to głupio z mojej strony podejrzewać, że mogłoby być inaczej. Ale chyba

zdajesz sobie sprawę, jak ta – Sean zrobił nieokreślony gest ręką, niezdolny do wymówienia słowa „porażka” – co to może oznaczać dla ciebie?

– Tak, sir, ale wciąż jeszcze ma pan olbrzymie wpływy. Mamy też swoje Towarzystwo Ochrony Przyrody Afryki – będziemy walczyć. Musimy walczyć, by utrzymać Bramę Chaki.

– Tak – zgodził się Sean. W jego oczach znów pojawiła się mała iskierka. – Będziemy walczyć, ale czuję, że walka ta będzie ciężka i nie zawsze czysta.

Na początku nie było żadnych wyraźnych sygnałów, że nad błękitnym niebem Bramy Chaki gromadzą się chmury. Jedyna zmiana polegała na tym, że Mark był teraz obowiązany składać swe miesięczne raporty nie Seanowi, lecz Peterowi Groblerowi, nowemu ministrowi do spraw ziem, człowiekowi Hertzoga. Pomimo że oficjalnie przyjmowano od niego raporty i nadal otrzymywał regularną pensję z departamentu, został powiadomiony w formie krótkiego listu, że kwestia terenów proklamowanych jest aktualnie rozważana na szczęblu gabinetu i że nowe ustawodawstwo odnośnie tej kwestii zostanie wprowadzone na najbliższej sesji parlamentu. Stanowisko naczelnego strażnika należało więc traktować jako tymczasowe, nie przysługiwały mu dodatki do pensji i podlegał miesięcznemu okresowi wypowiedzenia.

Mimo że Mark pracował równie ciężko co dawniej, spędził niejedną bezsenłą noc na pisaniu, przy świetle lampy, listów do Seana Courteneya. Planowali długą kampanię mającą na celu zainteresowanie społeczeństwa Bramą Chaki. Kiedy Marion szła spać, wyciągał czystą kartkę papieru i pokrywał ją drobnymi gęstymi linijkami do Storm, przelewając na papier wszystkie swe myśli, marzenia i całą miłość.

Storm nie odpisywała na te listy, nie wiedział nawet, czy nadal mieszka w pokrytym ukwieconą strzechą domku nad plażą, ale wyobrażał ją sobie tam w małej sypialni z dzieckiem przy piersi, a wyobrażenia te były zbyt żywe i bolesne, by pozwolić mu potem zasnąć.

Wstał cicho, zostawił wiadomość dla śpiącej twardo Marion i z Pungushe biegnącym przy boku Trojana wyruszył w dolinę.

Marion obudziła się w godzinę po jego wyjeździe. Pierwszą jej myślą było, że jeśli dziś nie wydarzy się nic, może już być całkiem pewna. Dla absolutnej pewności odczekała trzy tygodnie, nim zdecydowała się powiedzieć o wszystkim Markowi. Miała dziwne obawy, że jeśli zdradzi mu swe przypuszczenia zbyt wcześnie, to sprowadzi na nich nieszczęście.

Wyślizgnęła się z łóżka i przeszła przez ciemny pokój do łazienki. Gdy wróciła parę minut później, ścisła samą siebie z tłumionej radości. Gorliwie zapaliła świecę przy łóżku, chcąc zobaczyć twarz Marka, kiedy usłyszy nowinę.

Rozczarowanie na widok pustej pomiętej pościeli i opartej o poduszkę kartki było ogromne, ale trwało tylko chwilę. Jej spokojna, łagodna natura wzięła górę nad egoizmem.

– Będę miała więcej czasu, by nacieszyć się tym sama – powiedziała na głos i dodała: – Harold – Harold Anders? Nie, to zbyt proste. Muszę wymyślić jakieś naprawdę dobre

brzmiące imię.

Nucąc wesoło, ubrała się i wyszła na kuchenne podwórze.

Ranek był spokojny i chłodny z mlecznoróżowym niebem. Od strony Bramy Chaki dobiegało szczekanie pawiana, krótkie, podobne do wystrzału dźwięki poniosło przez całą dolinę niczym salwę honorową na cześć słońca, które opromieniało niebiosa.

Jakże dobrze jest żyć w taki dzień i mieć rosnące dziecko w sobie, pomyślała Marion. Chciała zrobić coś, by uczcić ten dzień. Mark napisał na kartce, że powinni wrócić przed nocą.

Upiekę świeży chleb i... Tego dnia musiało to być coś wyjątkowego. Raptem przypomniała sobie, że padało przez pięć dni, mogły więc pojawić się pierwsze grzyby o zaokrąglonych, lepkich, brązowych kapeluszach. Mark lubił je tak bardzo. To on nauczył ją, gdzie i kiedy należy ich szukać.

Zjadła śniadanie nieco rozkojarzona z *Domowym doktorem* Marka opartym o słoik dżemu, czytając uważnie rozdział pt.: *Ciężarna matka*. Później zajęła się codziennymi obowiązkami domowymi. Z niezmienną przyjemnością przyglądała się błyszczącej, śliskiej powierzchni cementowej podłogi i podziwiała połysk, jaki udało jej się wydobyć z prostych drewnianych mebli. Chłoneła czystość i porządek, zapach politur i dzikich kwiatów w wazonach. Podśpiewywała pracując i raz nawet roześmiała się głośno bez wyraźnego powodu.

Było już prawie południe, kiedy zawiązała pod brodą kapelusz od słońca, włożyła do koszyka butelkę „Specjalnego remedium Chamberlaine’a” i ruszyła do doliny.

Zatrzymała się na chwilę przy *kraalu* Pungushe, którego najmłodsza żona, widząc ją, natychmiast przyniosła dziecko. Marion z ulgą stwierdziła, że czuje się ono dużo lepiej, a żona Pungushe zapewniła, że podaje mu dużo płynów. Marion wzięła je na kolana i napiła łyżką rozcieńczonego remedium, nie zwracając uwagi na gwałtowne protesty, potem piątka kobiet zasiadła razem na słońcu. Rozmawiały o dzieciach i mężczyznach, o chorobach i gotowaniu, o ubraniach, o wszystkim tym, z czego składa się życie kobiety.

Minęła godzina, nim pożegnała cztery kobiety i ruszyła w dół ku rzece.

Ulewa rozdrażniła i zaniepokoiła lwicę. Instynkt ostrzegał ją, że był to zwiastun nadchodzącej pory deszczów i burz.

Zarośla jaśminowe w dolinie przestawały dawać bezpieczne schronienie. Ciężkie deszcze wkrótce przemienią wąską dolinę w rwący potok. Już dwukrotnie próbowała wyprowadzić z niej swe potomstwo, ale lwiątko były teraz starsze i wyrobiły w sobie upór i agresję. Trzymały się schronienia w gąszczu jaśminowym i wszelkie ponawiane wciąż próby kończyły się niepowodzeniem. Za każdym razem po przebyciu kilometra jedno czy dwa z bardziej bojaźliwych zawracały i spieszyły z powrotem do miejsca, które uznawały za swój dom. Lwica natychmiast biegła i zatrzymywała deztertera, ale ten akt nieposłuszeństwa

powodował pozbawiony godności pęd pozostałych w tym samym kierunku i w pięć minut byli z powrotem przy jaśminach.

Lwica była rozdrażniona. Był to jej pierwszy miot, ale kierowana instynktem wiedziała, że nadszedł czas, by wyprowadzić małe daleko od pułapki doliny, by odstawić je od piersi i rozpocząć lekcje polowania. Była też zaniepokojona liczebnością swego miotu, sześć młodych stanowiło rzadkość wśród dzikich zwierząt. Jak dotąd żadne z lwiątek nie padło ofiarą nieszczęśliwego wypadku, rodzina była więc w komplecie, ale stawała się coraz bardziej nieznosna i wymykała się spod jej kontroli.

Instynkt naglił ją nieustannie i gdy któregoś chłodnego, jasnego ranka wyczuła, że zbliża się deszcz, postanowiła spróbować raz jeszcze. Lwiątka ruszyły za nią, koziołkując jeden przez drugiego i mierząc się w przyjacielskich zapasach, aż dotarli do rzeki. Jak dotąd teren był im znany i wędrowały ufnie i beztrąsko.

Kiedy lwica ruszyła ku pokrytym białym piaskiem brzegom rzeki, a potem jeszcze dalej, dał znać zwyczajowy brak zaufania we własne siły. Trzy lwiątka podążały za nią z ochotą, dwa inne usiadły niezdecydowane na brzegu i popiskiwały z przejęcia, podczas gdy szósty maluch zawrócił i popędził z powrotem ku dolinie. Lwica ruszyła za nim galopem i przewróciła go na grzbiet. Potem schwyciła zębami za skórę na karku i uniosła w powietrze. Lwiątko było już duże i pomimo że niosła go z szyją wyciągniętą na całą długość, jego zadek objął się o różne nierówności terenu. Podkulił łapy, ogonek przycisnął ciasno do boku i zacisnął ślepką, wisząc bezwładnie w pysku matki niosącej go ku brzegom rzeki Bubezi. Koryto rzeki było w tym miejscu szerokie na 450 metrów i przy końcu pory suszy prawie puste. W śnieżnobiałych brzegach stały jeszcze ciemnozielone baseny wody, łączące się wąskimi strużkami głębokiej na pięć centymetrów ciepłej przejrzystej wody. Zostawiając pięć lwiątek obserwujących ją w rozterce i niepokoju, lwica przeniosła szóste przez płyciznę, zamaczając mu przy tym wlokący się zadek, aż zaczął syczeć i kręcić się niespokojnie. Kiedy wdrapała się na drugi brzeg, wyszukała kępe młodych wiązów i wsadziła w nią kocie.

Zebrała się do powrotu po następne dziecko, a wtedy malec popędził za nią w spanikowanym popłochu. Chcąc go powstrzymać, pacnęła go łapą po uszach i warknęła groźnie, aż upadł na grzbiet. Wtedy schwyciła go za skórę na grzbiecie i zaniósła powtórnie do kępy młodych wiązów. Jak tylko zawróciła ku rzece, zauważyła, że lwiątko znów potyka się o jej tylne łapy. Tym razem uszczypnęła je na tyle mocno, by poczuło ból, i wrzuciła w trawę. Przed odejściem poprawiła jeszcze jednym bolesnym szczypnięciem, aż przywarło do ziemi. Było tak skutecznie skarcone i pokonane, że nie zebrało już w sobie dość odwagi, by ruszyć za nią. Leżało pod krzakiem popiskując cicho z bólu i niepokoju.

Marion jeszcze nigdy nie oddaliła się tak od domu, ale ranek był taki piękny i ciepły, spokojny i cichy, że wędrowała coraz dalej w nastroju oczarowania i radości, jakiej nigdy przedtem nie zaznała. Wiedziała, że nie zabłądzi, jeśli pójdzie wzdłuż rzeki. Mark nauczył ją, że afrykański busz jest miejscem dużo bezpieczniejszym niż zatłoczone ulice miasta – pod

warunkiem że przestrzega się paru prostych zasad.

Przy rozgałęzieniu rzek zatrzymała się na chwilę, by popatrzeć na orła rybołowa siedzącego na niedbale skleconym gnieździe, wybudowanym na głównej gałęzi wysokiego drzewa. Białe łebki pary ptaków odcinały się od ciemnego listowia i lśniły w słońcu. Zdawało jej się, że słyszy głosy piskląt wydobywające się z wyłożonej sianem czaszy gniazda.

Odgłosy młodości zwielokrotniły świadomość życia tkwiącego w jej własnym brzuchu i zaśmiała się, skręcając ku odnodze rzeki Bubezi.

Raz w gęstwinie rozległ się ciężki łoskot ciała i zadudniły po twardym podłożu kopytka. Zamarła na chwilę z przerażenia, ale kiedy cisza pozostała nie zmacona przez dłuższą chwilę, zebrała się w sobie, zaśmiała trochę bez tchu i poszła dalej.

W ciepłym, stojącym powietrzu wisiał słodki zapach jakby rozwiniętych róż, więc poszła kierując się nim. Dwa razy pobłądziła, ale wreszcie dotarła do suchego martwego drzewa porośniętego pnączem. Jego liście były ciemnozielone i błyszczące, a grube kiście kwiatów koloru blado-maślanego. Nigdy przedtem nie widziała tej rośliny ani stada cukrzyków rojącego się wokół niej. Były to małe, żywe ptaszki o jaskrawym, metalicznie błyszczącym upierzeniu, podobne do amerykańskiego kolibra. Zanurzały długie, zakrzywione dziobki w kielichach kwiatów. Ich ubarwienie w promieniach słońca wydawało się wprost nieprawdopodobne. Szafirowy błękit, turkusowa zieleń, czern jak mokry antracyt i czerwień jak krew królów. Wsuwały ostre dziobki głęboko w otwarte gardła żółtych kielichów i wysysały gęste, przezroczyste krople nektaru wydrążonymi rurkowatymi języczkami.

Obserwując je, Marion czuła głęboki, przenikający ją na wskroś zachwyty i ogromną radość, tak że minęło sporo czasu, nim ruszyła dalej.

Znalazła pierwsze skupisko grzybów już kawałek dalej. Uklękła, by ułamać nóżki tuż przy samej ziemi, a potem podniosła parasolkowaty, mięsisty kapelusz do twarzy i chłonęła chwilę cudowny grzybny zapach. Potem odłożyła go ostrożnie do koszyka, by kurz i piach nie uszkodziły delikatnych blaszek. Zebrała w tym miejscu aż dwa tuziny grzybów, ale wiedziała dobrze, że po ugotowaniu skurczą się do zaledwie ułamka swej pierwotnej objętości.

Poszła dalej wzdłuż stromeego brzegu.

Raptem coś zasyczało tuż obok i serce znów podskoczyło jej do gardła. Pomyślała, że może to być żmija, jeden z tych grubych cętkowanych gadów o żółtych plamkach i płaskim łbie. Dmuchały one tak głośno, że nazywano je puff-żmijami. [*Puff-adder – żmija afrykańska.*]

Zaczęła zbliżać się powoli do skupiska młodych wążów, skąd dochodził ten dźwięk. Zobaczyła tam jakieś poruszenie, ale minęły sekundy, nim zorientowała się, na co patrzy.

Lwiątko leżało płasko na brzuchu w cieniu zarośli. Cętkowane, szczeniące umaszczenie zlewało się idealnie ze ściółką suchych liści.

Młode odbyło już pierwszą lekcję kamuflażu i zgodnie z zasadami leżało w całkowitym bezruchu, prócz pary okrągłych puszystych uszu. Poruszały się one w tył i przód, sygnalizując jasno każde uczucie i zamiar. Wpatrywało się w Marion szeroko otwartymi ślepkami, które

nie stały się jeszcze wściekle żółte i były wciąż przysłonięte błękitną mgiełką. Jego nastroszone wąsy błyszcząły, a uszy nadawały dzikie sygnały ostrzegawcze. Płasko przy czaszce: „Zrobisz jeszcze jeden krok, a rozerwę cię na strzępy”. Unoszące się znów i nachylone ku przodowi: „Czym ty właściwie jesteś, u licha?” Strzygące na boki: „Jeszcze jeden krok, a umrę ze strachu”.

– Och! – wykrzyknęła Marion. – Biedne maleństwo. – Postawiła koszyk i ukucnęła, wyciągając ku niemu dłoń i przemawiając uspokajająco: – Grzeczne, kochane maleństwo. Biedny, jesteś tu zupełnie sam? – Zbliżyła się o krok bliżej, cały czas przemawiając czule: – Nikt ci nie zrobi krzywdy, maleńki.

Lwiątko było niezdecydowane, uszki uniosły się, wskazując zarówno na wahanie, jak i zaciekawienie, kiedy przyglądał się jej.

– Jesteś tu sam? Będiesz wspaiałym przyjacielem dla mojego dzidziusia, wiesz?

Przysuwała się coraz bliżej. Lwiątko ostrzegło ją nieprzekonującym, nieco przepraszającym syknięciem.

– Ależ zadziorny maluszek z ciebie. – Marion uśmiechnęła się i przykucnęła niecały metr od maleństwa. – Jak my cię zabierzemy do domu? – zapytała Marion. – Czy zmieścisz się do koszyka?

Lwica przenosiła drugie lwiątko przez rozlewisko w korycie rzeki, za nią podążało najdzielniejsze maleństwo z całego miotu, przedzierając się przez gruby biały piach. Kiedy jednak dotarło do płytkiego strumyka i zbadalo je łapą, nowo nabyta odwaga opuściła je pod mokrym zimnym dotykiem, usiadło i zapłakało gorzko.

Lwica teraz już prawie oszalała z niepokoju i niepewności, zawróciła i upuściła swój ładunek, który prawie natychmiast ruszył niezdarnym galopem ku schronieniu w jaśminach. Zamiast niego wzięła w zęby niedoszłego piszczącego bohatera, przepawiła się przez rozlewisko i z determinacją ruszyła ku drugiemu brzegowi.

Jej duże okrągłe łapy stapały bezszelestnie, kiedy wyszła na brzeg, niosąc swe małe.

Marion usłyszała ryczącą eksplozję dźwięku za swoimi plecami i zerwała się na nogi.

Lwica przykucnęła na wysuniętym cyplu nie dalej jak pięćdziesiąt metrów od niej. Ten potwornie głośny przerażający ryk był ostrzeżeniem.

Marion widziała teraz tylko jej ślepie. Błyszczące dziką żółtością, zatrwającą i paraliżującą – i krzyknęła wysokim oszalałym krzykiem rozpacz. Dźwięk ten pchnął lwicę do ataku. Ruszyła nieprawdopodobnie szybkim i płynnym skokiem niczym rozmazana smuga żółci. Posuwała się nisko przy ziemi, piach uciekał spod jej łap. Biegając wysunęła pazury na całą długość, a wargi odciągnęła w zastygły milczący grymas, odsłaniając kły, długie białe i ostre.

Marion rzuciła się do ucieczki, ale przebyła zaledwie pięć kroków, gdy lwica dopadła ją, powalając na ziemię ciosem przedniej łapy, która trafiła w sam środek pleców. Pięć

zakrzywionych żółtych pazurów wbiło się, rozdzierając na głębokość dwunastu centymetrów skórę i mięśnie. Potem otworzyły jamę brzuszną niczym cięcie szabli, zgruchotały kręgosłup i rozerwały obie nerki.

Uderzenie było tak silne, że zabiłoby na miejscu dorosłego wołu, a Marion rzuciło o siedem metrów w tył, aż upadła na plecy. Lwica znów była przy niej.

Rozwarła szeroko szczęki, długie białe kły okalające mokrą różową czeluść i gardło. Przez sekundę nieprawdopodobnie wyostrzonej percepcji Marion ujrzała garbki jędrnego ciała pokrywane łukowate sklepienie pyska lwicy równym wzorkiem i poczuła jej cuchnący padliną oddech.

Marion krzyczała jeszcze, kiedy leżała poskręcana pod wielkim żółtym kotem. Dolna połowa jej ciała była wygięta pod dziwnym kątem do zgruchotanego kręgosłupa, ale miała jeszcze dość sił, by unieść ręce i osłonić twarz.

Lwica wgryzła się w jej przedramię tuż nad łokciami i kości chrupnęły ostro, rozłupując się w drzazgi i odpryski w miążdże zakrwawionego ciała. Oba ramiona były niemal przegryzione. Kiedy lwica schwyciła Marion za bark, wgryzając się w niego tak długo, aż długie zęby przedarły się przez połamane kości, tłuszcz i tkankę – Marion wciąż krzyczała, skręcając się i próbując uwolnić spod kocicy.

Lwicy zajęło wiele czasu, by ją wreszcie zabić. Zdezorientowana własną złością i nieznanym, obcym kształtem i smakiem swej ofiary, rwała i gryzła przez ponad minutę, nim trafiła na gardło.

Kiedy wreszcie wstała, jej łeb i szyja były krwawą maską, futro miała lepkie i skapanie we krwi. Ogon uderzał o boki resztkami gniewu. Oblizła pysk długim szorstkim ozorem i poczuła słodki nieznanym smak. Wytarła ostrożnie i dokładnie pysk łapami, nim wróciła do swych lwiątek i wylizowała je pełnymi czułości ruchami.

Strzępy ciała Marion leżały tam, gdzie je zostawiła, aż trochę przed zachodem słońca przyszły tam żony Pungushe.

Mark i Pungushe przebrnęli przez rzekę w ciemnościach rozjaśnionych jedynie światłem księżyca ubarwiającego brzegi rzeki na upiorną szarość. Okrągły blady księżyc odbijał się od idealnie nieruchomej powierzchni wody basenu przy głównym obozowisku. Wiry powstałe przy przepławianiu się w bród rozbiły odbicie w setki odłamków światła, niczym kryształ rzucony na kamienną podłogę.

Wdrapując się na wysoki brzeg, usłyszeli w ciszy nocy przeraźliwe żałobne zawodzenie, lament zuluskich kobiet. Obaj zatrzymali się na chwilę. Dźwięki te przejęły ich nieznanym lękiem.

– Siadaj! – krzyknął Mark, wyrывая jedną nogę ze strzemienia. Pungushe złapał rzemienny uchwyt i wskoczył, kiedy ponaglony przez Marka muł ruszał galopem w kierunku wzgórza.

Ognisko rozpalone przez kobiety rzucało chybotliwe, groteskowe żółte światło, upiorne tańczące cienie.

Cztery kobiety siedziały skulone wokół podłużnego owiniętego w błam kształtu. Żadna z nich nie podniosła głowy nawet wtedy, gdy mężczyźni wbiegli w krąg światła.

– O co chodzi?! – krzyknął Mark. – Co się stało? Pungushe schwycił najstarszą z żon za ramiona i potrząsnął nią, chcąc przerwać histeryczną rozpacz, ale Mark już ruszył niecierpliwie naprzód i odchylił róg błamu.

Patrzył przez chwilę, nie rozumiejąc i nie poznając, potem nagle krew odpłynęła mu z twarzy, odwrócił się i pobiegł przed siebie w noc. Tam upadł na kolana i nachylił się, by zwrócić gorzką żółć przerażenia.

Mark zabrał ciało Marion do Ladyburga w przyczepie swego motoru, zawinięte w płócienną śnieżną płachtę.

Został tam ze względu na pogrzeb i by wysłuchać oskarżeń i żali jej rodziny pod jego adresem.

– Gdybyś nie zabrał jej do tego buszu...

– Gdybyś został wtedy z nią...

– Gdybyś tylko...

Trzeciego dnia wrócił do Bramy Chaki. Pungushe czekał na niego przy zakolu rzeki.

Siedzieli razem na zalanych słońcem skałach i kiedy Mark dał pungushe papierosa, ten jak zwykle odłamał starannie filtr. Palili chwilę w milczeniu, nim Mark zapytał:

– Czy odczytałeś ślady, Pungushe?

– Tak, Jamela.

– Opowiedz mi, co się wtedy wydarzyło.

– Lwica przeprowadzała swoje młode. Opuściły jaśminowy busz, potem przenosiła je po jednym przez rzekę. – Powoli, szczegółowo Pungushe ze śladów pozostawionych na ziemi, które zbadał pod nieobecność Marka, zrekonstruował tamtą tragedię. Kiedy skończył, znów siedzieli milcząc chwilę.

– Gdzie ona jest teraz?

– Prowadzi swoje małe na południe, ale poruszają się powoli, a przed trzema dniami, w dzień po – Pungushe zawahał się – w dzień po tym, jak to się stało, upolowała kozła impali i lwiątko zjadły razem z nią po trochu mięsa. Zaczyna odzwyczajając je od karmienia mlekiem.

Mark wstał. Przeprawili się przez rzekę, ramię w ramię wspięli się na brzeg i ruszyli przez las ku chacie.

Mark zostawił Pungushe na schodkach i sam wszedł do małego opuszczonego domku. Dzikie kwiaty zwiędły i obumarły w wazonach, przydając temu miejscu atmosfery smutku i porzucenia. Mark zaczął zbierać w jedno miejsce rzeczy osobiste Marion, jej ubrania, biżuterię, tanią, ale gromadzoną z miłością, jej szczotki i grzebienie, garść kosmetyków. Spakował wszystko do największej walizki z myślą o zawiezieniu tego jej siostrze. Kiedy

skończył, wyniósł walizę do szopy na narzędzia. Rzeczy te były zbyt bolesnym wspomnieniem, by trzymał je nadal w domu. Potem wrócił do chaty, przebrał się z miejskiego ubrania, wziął mannlicera ze stojaka i załadował go mosiężnymi nabojami z nowo otwartego pudełka. Łuski nabojów błyszcząły złościście, śliskie od wosku, którym były pokryte, miękkie pociski z płaskim ołowianym czubkiem, powodujące maksymalny efekt przy trafieniu.

Kiedy wyszedł z domku na schody, Pungushe wciąż czekał tam na niego.

– Pungushe – powiedział – mamy robotę do wykonania. Zulus wstał wolno i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Pungushe spuścił wzrok i przytaknął.

– Podejmij trop – rozkazał Mark cichym głosem.

Odnaleźli miejsce, w którym lwica zabiła impalę, ale padlinożerne stworzenia oczyściły teren skutecznie. Leżało tam parę pokruszonych odłamków kości, które prawdopodobnie wypadły spomiędzy szczęk hieny, kępka wyrwanej sierści, strzęp wyschniętej skóry i część czerepu z poskręcanyimi czarnymi rogami. Zupełnie nietkniętymi. Trop był zimny. Padlinożercy, hieny, szakale, sępy i bociany Marabu zmiotły skutecznie wszelkie ślady.

– Będzie nadal kierowała się na południe – powiedział Pungushe i Mark nie zapytał, skąd wie, bo Zulus nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Po prostu wiedział.

Poszli wolno w dół doliny. Pungushe biegł na przdzie, przed mułem. Wypatrując śladów, zataczał ogromne koła, nakładając nieraz drogi, ale dopiero dwa dni później trafili na trop.

– Tu zawróciła – Pungushe ukucnął przy śladach łap, okrągłych, wielkich jak dno spodka łap lwicy i mniejszych łapek jej potomstwa. – Myślę, że wraca z powrotem do Usutu. – Przykląkł nad tropem, dotykając go końcem lekkiej trzcinowej różdżki, którą nosił z sobą. – Zamierzała wyprowadzić stąd swe młode, ale widać zmieniła zdanie. Zawróciła znów na południe, musiała przechodzić całkiem blisko miejsca, w którym wczoraj obozowaliśmy. Ma zamiar
pozostać
w dolinie. To jest teraz jej dolina i nie zostawi jej.

– Nie – powiedział Mark twardo. – Nie opuści już tej doliny. Dalej, Pungushe.

Lwica poruszała się wolno i trop stawał się coraz gorętszy z każdą godziną. Znaleźli miejsce, w którym próbowała coś upolować. Pungushe wskazał punkt, gdzie przyczała się, i dalej głębokie ślady pazurów, którymi rozorała ziemię, wybijając się do skoku na grzbiet dorosłej zebry. Dwadzieścia kroków dalej upadła ciężko, zwalona z łap w zderzeniu z dzikim pędem zwierzyny.

– Uderzyła w pierw barkiem – stwierdził Pungushe – zebra wyrwała jej się, ale krwawiła od ran zadanych długimi pazurami. Lwica oddaliła się utykając, a potem leżała długo w cieniu ciemnego drzewa, nim wstała i wróciła do miejsca, w którym zostawiła lwiątką. Przy upadku musiała nadwreżyć mocno mięśnie i ścięgna.

– Kiedy możemy ją dogonić? – zapytał Mark z kamiennym wyrazem twarzy.

– Może jeszcze przed zachodem słońca.

Stracili jednak dwie godziny na skalistym stoku, Pungushe krążył szerokim łukiem i musiał wykorzystać całe swe umiejętności, nim znów odnalazł trop w miejscu, gdzie ślady łap pokrywały się i zawracały ku zachodowi, w kierunku stromego zbocza górskiego.

Pungushe i Mark rozbili obóz na jej tropie, rozpalili małe ognisko dla dodania sobie otuchy i położyli się do snu wprost na ziemi. Mark nie mógł zasnąć. Leżąc przyglądał się blademu księżycowi wschodzącemu nad wierzchołkami drzew. Dopiero gdy Pungushe przemówił cichym głosem, przekonał się, że Zulus też nie śpi.

– Lwiątko nie są odstawione od matki – powiedział. – Wiele czasu minie, nim zdechną.

– Nie – powiedział Mark. – Zastrzełę je razem z lwicą. Pungushe uniósł się i zażył odrobinę tabaki, opierając się przy tym na łokciu. Gapił się bez słów w ognisko.

– Skosztowała ludzkiej krwi – powiedział wreszcie Mark. Przez swą złość i żal wyczuwał milczącą dezaprobatę Pungushe i chciał usprawiedliwić jakoś to, co zamierzał zrobić.

– Nie pożywiała się – stwierdził Pungushe.

Mark poczuł ucisk w gardle i gorzki smak w ustach na wspomnienie okrutnie okaleczonych zwłok, ale Pungushe miał rację, lwica nie ruszyła ani kawałka biednego udreżonego ciała.

– Pungushe, ona była moją żoną!

– Tak – potwierdził Pungushe. – To prawda. Ale to były jej szczenięta.

Mark zawahał się na te słowa. Lwica zgodnie z jednym z najstarszych instynktów kierowała się koniecznością bronienia swego potomstwa – ale jakimi motywami kierował się właściwie on sam?

– Muszę ją zabić, Pungushe – powiedział sucho. W jego trzewiach zagnieździła się obrzydliwa, oślizgła rzecz. Teraz poruszyła się po raz pierwszy, choć starał się zaprzeczyć jej istnieniu. Marion nie żyje. Słodka, lojalna i obowiązkowa Marion, która była wszystkim, czego można chcieć od żony. Zginęła w okrutny sposób, ale teraz Mark był sam; czy może słowo „wolny” przyszło mu na myśl za szybko? Nagle przypomniał sobie śliczną szczupłą dziewczynę o ciemnych włosach i pięknego nagiego chłopczyka spacerujących razem po plaży w świetle zachodzącego słońca. Poczucie winy, ta oślizgła rzecz rozwinęła się w jego brzuchu i zaczęła pełzać niby żmija, której nie mógł powstrzymać.

– Ona musi zginąć. – Może czuł, że jego wyrzuty sumienia zginą także w tym akcie oczyszczenia się.

– Dobrze więc. Znajdziemy ją jutro przed południem. – Pungushe położył się i nakrył głowę futrzaną pelerynką. Jego głos był przytłumiony i niemal niesłyszalny. – Spieszmy więc ku wielkiej pustce.

Odnaleźli lwicę następnego ranka w pobliżu wzgórz. Kiedy pierwszy upał dnia uderzył, a lwiątko niecierpliwie się dreptało po jej piętach, zaczęła rozglądać się za jakimś cieniem.

Wybrała płaskie drzewo z gęstym listowiem uformowanym na kształt parasola. Położyła się pod nim na boku, oferując dzieciom miękkie śmietankowe futro podbrzusza i podwójny rząd płaskich ciemnych sutek.

Teraz lwiątko były prawie nasycone, tylko dwoje najbardziej łakomych ssało nadal, mimo wzdętych brzuszków, z trudem przelękając. Niezmordowany łowca ogonów skupił całą swą zajadłość na długim zakończonym miękkim pędzlem włosów ogonie matki, który wyciągała sprzed jego nosa dokładnie w chwili ponawianego wciąż ataku. Trzy inne walczyły z sennością gwałtownymi zrywami nie ukierunkowanej energii, poddając się z wolna opadającym powiekom i pełnym brzuszkom, aż wreszcie zległy w niechlujnej stercie puchu i futerka.

Mark był usytuowany pod wiatr jakieś 110 metrów od tego miejsca. Leżał na brzuchu schowany za niewielkim wzniesieniem mrowiska. Dotarcie do tego stanowiska zajęło im niemal godzinę. Parasolkowate drzewo stało na otwartej trawiastej równinie i był zmuszony skradać się, pomagając sobie kolanami i łokciami z karabinem trzymanym w ich zgięciu.

– Czy możemy podejść jeszcze bliżej? – zapytał ledwie słyszalnym szeptem. Sztynna, wysoka trawa zasłaniała leżącą na boku lwicę.

– Jamela, ja mogę podejść ją tak, że dotknę ją ręką. – Położył nacisk na słowo „ja”, nie kończąc myśli.

Czekali kolejne dwadzieścia minut w palącym słońcu, nim lwica uniosła łeb. Być może jakiś tkwiący głęboko instynkt ostrzegł ją o obecności myśliwych. Poderwała głowę błyskawicznym żółtym błyskiem, nieprawdopodobnie szybkim ruchem tak charakterystycznym dla wszystkich dzikich kotów, i wpatrywała się uparcie pod wiatr, obserwując strefę maksymalnego zagrożenia. Przyglądała się tak przez dłuższą chwilę, jej żółte ślepie były nieruchome i otwarte. Wyczuwszy jej zaniepokojenie, senne lwiątko usiadły i czekały na to, co zrobi.

Mark odczuł jej wzrok na sobie, ale nie złamał zasady polowań nakazującej absolutny bezruch. Gdyby spróbował unieść mannlicera, zerwałaby się jak złota smuga koloru i pędu. Mark czekał więc, a sekundy mijały. Lwica opuściła łeb i położyła się znów płasko.

– Jest niespokojna – ostrzegł Pungushe. – Nie możemy podejść bliżej.

– Z tej odległości nie trafię.

– Zaczekajmy – poradził Pungushe.

Zasnęły wszystkie lwiątko, lwica też drzemała, ale przez cały czas jej zmysły funkcjonowały. Wyczulone na niebezpieczeństwo nozdrza badały czujnie każdy powiew wiatru, duże okrągłe uszy były ciągle w ruchu, nadstawiając się przy najmniejszym dźwięku spowodowanym przez wiatr, ptaka czy zwierzę.

Mark leżał bezpośrednio na słońcu. Pot perlił się na jego ciele, plamiąc koszulę. Mucha tse-tse usadziła się tuż za uchem i wgryzła się w miękkość szyi, ale nie poruszył się nawet, by ją odgonić. Minęła kolejna godzina, nim wreszcie zauważył szansę na powodzenie akcji.

Lwica raptem podniosła się zupełnie i stała zamiatając ogonem z boku na bok. Czują, że jest zbyt niespokojnie, by pozostawać dłużej pod drzewem akacji. Lwiątko usiadły oszołomione od snu i wpatrywały się w nią zdziwionymi pyszczkami.

Stała teraz ustawiona bokiem do pozycji Marka. Łeb trzymała opuszczony nisko, dysząc cicho z gorąca. Mark był na tyle blisko, by widzieć ciemne plamki much tse–tse na jej bokach. Była nadal schowana w cieniu, ale odbijała się wyraźnie od bladej, żółtej trawy. Była idealnym, łatwym celem – czubek jej łokcia stanowił punkt odniesienia dla strzelca. Na szerokość dłoni w tył od tego miejsca pocisk rozdarłby oba płuca, na szerokość dłoni poniżej trafiłby prosto w serce. Płuca były pewnym celem, ale serce gwarantowało śmierć błyskawiczną. Mark zdecydował się na serce i uniósł karabin do ramienia. Broń była odbezpieczona już dawno.

Położył palec na spuście i lekko go nacisnął, czując lekki opór, nim mechanizm spustu zadziałał.

Pocisk miał wagę 230 grainów, [anglosaska jednostka wagi stosowana w farmacji i balistyce, 1 grain – 0,0648 grama.] miedziana koszulka była zakończona szarym czubkiem ołowiu, który spowoduje efekt grzybkowania przy trafieniu i rozległe otwarte uszkodzenia w klatce piersiowej lwicy.

Wzywała ona teraz swe małe cichym smętnym pochrząkiwaniem, a one zbierały się niezdarnie na łapy, wciąż na wpół śpiące.

Powolnym kocim krokiem wyszła na słońce. Łeb kołysał się na prawo i lewo przy każdym ruchu, długi grzbiet przechylał się lekko, a ciężar nabrzmiątych pełnych sutek zniekształcał nieco wdzięczną linię ciała.

– Nie – rozmyślił się Mark. – Strzelę w płuca. – Przesunął celownik o ułamek, zatrzymując go pewnie dziesięć centymetrów za czubkiem łokcia i przesuując sztucer w ślad za nią, kiedy przyspieszyła i ruszyła niespokojnym truchtem.

Lwiątko podreptały za nią bezładnie. Mark trzymał ją na celowniku, aż dotarła do skraju buszu, a potem nagle zniknęła jak nierzeczywisty, rozmazany cień albo smużka dymu na wietrze.

Mark opuścił sztucer i patrzył w ślad za nią długo po tym, jak już poszła. Pungushe widział, że coś w końcu załamało się w nim. Zimna pokrywa nienawiści, poczucia winy i przerażenia pękła i Mark zaczął płakać. Był to rozpaczliwy, długo tłumiony szloch, który omywał i oczyszczał.

Mężczyźnie nie było łatwo przyglądać się, jak drugi mężczyzna płacze, zwłaszcza jeśli był to przyjaciel. Pungushe cicho wstał i poszedł w miejsce, gdzie uwiązali Trojana. Usiadł w słońcu, zażył odrobinę tabaki i czekał na Marka.

MINISTER RZĄDU PRZEMAWIA W POCZUCIU OBOWIĄZKU WOBEC LUDNOŚCI

Nowo mianowany wiceminister do spraw ziem pan Dirk Courteney wyraził dziś swe zaniepokojenie faktem zmasakrowania młodej kobiety na terenie rezerwatu zachodnich ziem Zulusów. Kobieta ta, pani Marion Anders, była żoną rządowego strażnika tych ziem. Została zamęczona na śmierć przez lwicę w ubiegły piątek.

Tragiczny incydent jeszcze raz dowodzi śmiertelnego zagrożenia przez zezwalanie na to, by dzikie zwierzęta przebywały w sąsiedztwie terenów zamieszkałych przez ludzi. Dopóki problem ten nie zostanie rozwiązany, mieszkańcy tych obszarów będą ustawicznie zagrożeni atakami dzikich zwierząt, mszczeniem płonów i zarażaniem ich bydła chorobami roznoszonymi przez dziką zwierzynę.

Pan Dirk Courteney powiedział, że straty wynikłe z największej plagi pomoru bydła u schyłku wieku należy szacować na ponad dwa tysiące sztuk. Księgosusz, zaraza, która zdziesiątkowała bydło, roznoszona jest właśnie przez dzikie zwierzęta. Minister zaznaczył: „Nie możemy pozwolić sobie na sprowadzenie na siebie takiej klęski”.

Tereny proklamowane u zachodnich ziem Zulu obejmują wysoko wartościowe ziemie rolne i właściwy poziom wód uzyskany dzięki rozsądnemu gospodarowaniu zasobami naturalnymi. Jeżeli pełen potencjał naszych naturalnych skarbów narodowych zostanie kiedyś wyeksploatowany, tereny te zostaną poddane kontrolowanemu zagospodarowaniu i rozwojowi.

Minister powiedział, że rząd uznał rozwiązanie tej kwestii za sprawę pierwszoplanową i zostanie ona przedstawiona parlamentowi do rozpatrzenia na najbliższej sesji.

Mark przeczytał artykuł uważnie. Został umieszczony na tytułowej stronie gazety „Natal Witness”.

– To nie wszystko – powiedział Sean Courteney i otworzył cienką teczkę, wyjmując z niej tuzin podobnych wycinków. – Weź je ze sobą. Zobaczysz, że wszystkie są w podobnym tonie i mają ten sam cel. Dirk Courteney, obawiam się, uderza w ten bęben bardzo grubym kijem.

– Tak – przyznał Mark. – Ma teraz stanowisko i władzę. Nie przypuszczałem, że może kiedyś być wiceministrem.

– Racja – powiedział Sean. – Prze ku władzy, ale my wciąż jeszcze mamy coś do powiedzenia. Jeden z naszych radnych na bardzo solidnej pozycji ustąpił miejsca Janniemu Smutowski, nawet mnie proponowano jeden z bezpieczniejszych okręgów.

– Czy przyjmie pan, sir?

Sean potrząsnął z namysłem siwą głową.

– Spędziłem już dość czasu w służbie publicznej, mój chłopcze – wszystko, czym człowiek zajmuje się zbyt długo, zaczyna w końcu nudzić. – Przytaknął gestem głowy własnym słowom. – Jestem zmęczony. Młodszy, bardziej energiczni przejmą stery. Jannie Smutowski będzie w kontakcie, wie, że zawsze może na mnie liczyć, ale czuję się teraz jak stary

zuluski wódz. Chcę tylko siedzieć w słońcu, popijać piwo, tuczyć się i liczyć swoje bydło.

– A co z Bramą Chaki, sir? – zapytał z prośbą w głosie Mark.

– Rozmawiałem na ten temat z Janniem Smutsem i paroma jeszcze, z obu izb. Mamy też spore poparcie ze strony nowego rządu. Nie zamierzam robić z tego sprawy partyjnej, chcę, by była to sprawa sumienia każdego człowieka.

Rozmawiali dalej, do chwili gdy Ruth przerwała im:

– Minęło południe, mój drogi. Skończycie tę rozmowę jutro rano. Kiedy wyjeżdżasz, Marku?

– Zamierzam być u Bramy Chaki jutro przed nocą – skłamał Mark z nowym przypływem wyrzutów sumienia. Wiedział cholernie dobrze, że nie wraca prosto do domu.

– Ale zjesz jutro lunch z nami?

– Byłoby mi miło. Dziękuję.

Mark wstał i wziął teczkę z wycinkami prasowymi z biurka Seana.

– Zwrócę je jutro, sir.

Kiedy już znalazł się w pokoju, opadł na fotel i zaczął przeglądać gorączkowo odwrotne strony wycinków prasowych, które przyniósł ze sobą. Nie śmiał szukać i czytać fragmentu, który przyciągnął jego uwagę, w obecności generała, ale teraz odnalazł go, przeczytał najpierw szybko, a potem jeszcze raz, rozkoszując się każdym słowem. Części artykułu brakowało, został odcięty równo z przemówieniem wiceministra, ale i to wystarczyło.

CIEKAWA WYSTAWA MŁODEJ ARTYSTKI

W salach wystawowych hotelu Marina przy promenadzie prezentowanych jest obecnie trzydzieści płócien młodej artystki.

Jest to pierwsza publiczna ekspozycja panny Storm Courteney, a mimo to nawet bardziej doświadczeni artyści poczuliby się słusznie docenieni tak entuzjastycznym przyjęciem przez miłośników sztuki z naszego pięknego miasta. Po pierwszych pięciu dniach aż dwadzieścia jeden z jej obrazów znalazło szczęśliwych nabywców, i to po cenach dochodzących do 50 gwinei za płótno. Panna Courteney przedstawia klasyczną koncepcję formy, w połączeniu z ogromnym wyczuciem kolorów oraz dojrzałym, pewnym siebie spojrzeniem, tak niezwykłym dla artysty w młodym wieku.

Warte zauważenia jest zwłaszcza płótno Nr 16: „Spoczynek greckiego atlety”. Obraz ten, będący własnością artystki, nie jest przeznaczony na sprzedaż. Ta liryczna kompozycja, mogąca spowodować uniesienie brwi u osób o nieco staroświeckich poglądach, jest bezwstydnie zmysłową odą do...

Reszta została odcięta nożyczkami, zostawiając Marka z drażniącym uczuciem niedosytu. Przeczytał wycinek jeszcze raz i poczuł się ogromnie zadowolony z faktu, że Storm powróciła do panińskiego nazwiska i nim podpisywała swe prace. Starannie złożył skrawek papieru i schował do portfela. Siedział wpatrując się w ścianę przed sobą, aż zasnął w ubraniu.

Drzwi otworzyła młoda, nie mająca więcej niż szesnaście lat zuluska dziewczyna. Była ubrana w biały fartuszek, tradycyjny strój niani, a na jej biodrze siedział okrakiem mały John.

Oboje wpatrywali się w Marka ogromnymi poważnymi oczami. Dziewczyna odetchnęła wyraźnie, kiedy Mark przemówił do niej w płynnym języku zulu. Na dźwięk głosu Marka John pisnął radośnie podniecony, co mogło oznaczać, że go poznaje, ale najpewniej było to po prostu przyjacielskie przywitanie. Zaczął podskakiwać na biodrze niani z taką werwą, że była zmuszona przytrzymać go, nim odleci jak rakieta kosmiczna. Wyciągał rączki do Marka, gaworzył, krzyczał i śmiał się i Mark wziął go ciepłego, wiercącego się i pachnącego oseskiem od niani. John natychmiast złapał Marka pełną garstką za włosy i spróbował wyrwać je razem z korzeniami.

Pół godziny później po zwróceniu go niani, o buzi okrągłej jak księżyc w pełni, Mark zszedł stromymi schodkami na plażę. Dobiegały go wściekle krzyki protestu Johna, milnące stopniowo wraz z jego oddalaniem się. Mark zdjął buty i zostawił je razem z koszulą przy słupie wskazującym wysokość przyplływów. Skierował się na południe białym pasem piasku. Bose stopy zostawiały mokre wgłębienia na gładkim, twardym brzegu morza.

Przeszedł ponad kilometr nie spotkawszy nikogo. Piasek plaży był pofałdowany podmuchami wiatru i poznaczony jodełkowatymi śladami łap mew. Po prawej stronie fala wznosiła się długimi, szklistymi liniami, podwijając się zielono na końcach, a potem spadając z hukiem masą białej wody z impetem, który wstrząsał piachem pod jego stopami. Po lewej gęsty ciemnoszafirowy busz wznosił się nad plażą. Daleko za nim rozciągały się sinoniebieskie wzgórza, a nad nimi błękitne czyste niebo.

Był tam zupełnie sam – do momentu, gdy zobaczył jakieś półtora kilometra od siebie samotną postać, podobnie jak on spacerującą brzegiem morza. Małeńka, samotna figurka zbliżała się ku niemu, lecz była zbyt odległa, by mógł ocenić, czy to kobieta czy mężczyzna, przyjaciel czy nieznajomy.

Mark wyciągnął krok i postać zaczęła się przybliżać. Kiedy przyspieszył, postać zatrzymała się na chwilę w absolutnym bezruchu w pozie charakterystycznie poprzedzającej chęć zerwania się do biegu. Nagle bezruch ten eksplodował i postać ruszyła ku niemu.

Była to kobieta o długich, jedwabistych, rozwiewanych przez wiatr włosach. Kobieta z wyciągniętymi do niego ramionami i śmigającymi brązowymi stopami, białymi zębami i błękitnymi, bardzo błękitnymi oczami.

Byli sami w sypialni. Łóżeczko małego Johna zostało przeniesione do małego saloniku tuż za drzwiami, od kiedy zaczął wykazywać żywe zainteresowanie wszystkim, co wydawało się dobrą zabawą. Uwieszał się wtedy na brzegu łóżeczka, wydając głośnie okrzyki aplauzu, i natychmiast próbował sforsować drewniane szczebelki, by przyłączyć się do zabawy.

Teraz sycili się rozkosznymi chwilami między kochaniem się a zaśnięciem, rozmawiając szeptem przy świetle świecy. Leżeli pod jednym prześcieradłem na boku z twarzami

zwróconymi ku sobie, przytuleni z ustami tak blisko, że niemal stykały się, gdy mówili do siebie.

– Ależ, Marku kochany, ta chata może mieć strzechę, ale busz nadal pozostanie buszem.

– To jest duża, kryta strzechą chata – zaznaczył.

– Sama nie wiem. Trudno mi ocenić, czy aż tak się zmieniłam.

– Istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Pojedź tam ze mną.

– Ale co ludzie na to powiedzą?

– To samo, co powiedzieliby, gdyby mogli widzieć nas teraz.

Zachichotała i przysunęła się jeszcze bliżej.

– To było głupie pytanie. Przemawiała przeze mnie dawna Storm. Ludzie powiedzieli już, co mieli do powiedzenia na mój temat, i prawdę mówiąc, nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Tam nie ma zbyt wielu skłonnych cię osądzać. Jest tylko Pungushe, ale to bardzo liberalny džentelmen.

Zaśmiała się znów sennie.

– Jedyne osobę, na której zdaniu zależy mi, to tatko. On nie może się o niczym dowiedzieć. Skrzywdziłam go wystarczająco.

Wreszcie Storm przybyła do Bramy Chaki. Przyjechała zdezelowanym cadillakiem z Johnem siedzącym obok i dobytkiem upchniętym w bagażniku lub przytroczonym do dachu. Mark jechał przodem, wskazując jej drogę niczym osobista eskorta wzdłuż surowej wyboistej drogi.

W miejscu, w którym szlak urywał się, tuż nad rzeką Bubezi, wysiadła z samochodu i rozejrzała się wokół siebie.

– Cóż – orzekła po dokładnym przyjrzeniu się wysokim wieżycom skał, rzece w korycie zielonej wody, białym brzegom porośniętym przez chwiejące się na wietrze trzciny o puszystych główkach i ogromne skupisko figowców. – Przynajmniej jest tu bardzo malowniczo, trzeba przyznać.

Mark posadził sobie Johna na barana.

– Wróćmy tu z Pungushe po resztę twoich rzeczy – powiedział i poprowadził ją ścieżką w dół ku rzece.

Pungushe czekał na nich pod drzewami na drugim brzegu, wysoki, czarny, imponujący w przepasce ozdobionej błękitnymi koralikami.

– Pungushe, to jest moja pani. Nazywa się Yungu Yungu – Burza.

– Widzę cię, Yungu Yungu, widzę też, że popełniono błąd, nadając ci to imię – powiedział Pungushe cicho. – Burza jest okropną, brzydką rzeczą, która zabija i niszczy. Ty jesteś piękną panią.

– Dziękuję ci, Pungushe – uśmiechnęła się do niego. – Twoje imię też nie pasuje do

ciebie. Szakal to przecież małe i wredne stworzenie.

– Ale bardzo mądre – powiedział poważnie Mark, a John wydał okrzyk powitania i podskoczył na ramieniu Marka, wyciągając rączki do Pungushe. – A to jest mój syn.

Pungushe przyjrzał mu się. Istnieją dwie rzeczy, które Zulusi kochają najbardziej na świecie – dzieci i bydło. Z tych dwóch Pungushe wolał dzieci, najchętniej dzieci płci męskiej. Wśród nich zaś największą sympatią obdarzał tych, którzy byli krzepcy, silni i agresywni.

– Jamela, chciałbym wziąć na ręce twego syna – powiedział i Mark podał mu Johna.

– Widzę cię, Phimbo – Pungushe przywitał się z dzieckiem. – Widzę cię, mały człowieczku o wielkim głosie. – Pungushe uśmiechnął się swym szerokim, promiennym uśmiechem. John znów krzyknął radośnie i włożył rączkę do ust Pungushe, próbując złapać za błyszczący biały ząb, ale Zulus posadził go sobie na ramieniu i zaśmiewając się hipopotamowatym chrapliwym śmiechem ruszył pod wzgórze.

Wreszcie dotarli do Bramy Chaki, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Wkrótce u drzwi kuchennych rozległo się delikatne pukanie, a gdy Mark otworzył drzwi, zobaczył na schodach rząderek córek Pungushe, od najstarszej czternastoletniej po najmłodszą, która niedawno skończyła cztery.

– Przyszliśmy – powiedziała najstarsza – przywitać Phimbo.

Mark zerknął na Storm pytająco, a kiedy ta przytaknęła, najstarsza dziewczynka podsadziła Johna na plecy wprawnym, przeciwzycznym ruchem i zabezpieczyła tam pasem bawełnianego nosidła. Nianczyła wszystkie swe siostry i braci i najprawdopodobniej wiedziała o dzieciach więcej niż Storm i Mark razem wzięci. John przyjął na jej plecach wygodną, żabkową pozycję z taką swobodą, jakby urodził się Zulusem. Dziewczynka dygnęła przed Storm i odmaszerowała. W ślad za nią ruszyła procesja reszty sióstr, unosząc Johna do cudownej krainy, w której mieszkają tylko towarzysze zabaw coraz to innych i niesamowicie fascynujących.

Trzeciego dnia Storm zaczęła robić szkice i w końcu tygodnia domek był w stanie, który Mark określał jako wygodny chaos, przeradzający się na krótki okres w totalny bałagan.

Wygodny chaos miał miejsce, gdy wszyscy jedli, kiedy byli głodni, jednego dnia czekoladowe herbatniki i kawę na kolacje, a następnego mięso z rożna. Spożywali posiłki gdziekolwiek, siedząc w łóżku lub leżąc na kocu na piaszczystej plaży nad rzeką. Jedli, kiedy chcieli, o dowolnych porach – śniadanie w południe, kolację o północy, a rozmowy przed snem przeciągały się do późna.

Wygodny chaos następował, kiedy zapominano o odkurzaniu mebli i pastowaniu podłóg w pogoni za radościami życia. Kiedy ubrania wymagające naprawy wrzucano na dno szafy, a włosom Marka pozwalano rosnąć długimi kosmykami aż za kołnierzyk. Wygodny chaos kończył się nagle, bez zapowiedzenia i przeradzał w kompletne pandemonium.

Pandemonium zaczynało się stalowym błyskiem w oku Storm i kategorycznym oświadczeniem: – Tu jest jak w chlewie. – Potem następował szcęk nożyc, trzaskanie

garnków i błyskanie igły, szły w ruch wiadra gorącej wody, unosiły się tumany kurzu.

Mark był ostrzyżony i ubrany w czyste, pocerowane rzeczy, domek lśnił i błyszczał. Po zaspokojeniu na czas bliżej nie określony instynktów wzorowej gospodyni Storm następnego dnia wsiadała na Spartana z Johnem przywiązany na sposób zuluski do pleców i towarzyszyła Markowi w patrolowaniu doliny.

Kiedy po raz pierwszy zabierali Johna na taką wyprawę, Mark zapytał zaniepokojony:

– Czy uważasz, że to rozsądne zabierać go ze sobą? Jest jeszcze taki malutki.

Storm odpowiedziała:

– Jestem starsza i ważniejsza niż panicz John. To on jest częścią mojego życia, a nie ja jego.

Tak więc, John patrolował dolinę z grzbietu muła, spał w koszu na jabłka pod gwiazdami, odbywał codzienną kąpiel w zielonych wodach Bubezi, wyrabiał w sobie odporność na ukąszenia tse–tse i rozwijał się kwitnąco. Wdrapali się stromą ścieżką aż na sam szczyt Bramy Chaki, gdzie usiedli machając nogami na skraju groźnego urwiska i przyglądali się dolinie rozciągającej się u ich stóp – odległym błękitno–sinym wzgórzom, równinom, bagnom i szerokim, wijącym się rzekom.

– Kiedy poznałam cię, byłeś biedakiem – powiedziała cicho Storm, opierając głowę o ramię Marka. Jej oczy były pełne spokoju i zadziwienia. – Ale teraz jesteś najbogatszym człowiekiem na świecie. Jesteś właścicielem rajy.

– Patrzyłam, tak naprawdę nic nie widząc – powiedziała, kiedy pokazał jej gniazdko cukrzyka, zmyślnie utkane z mchu i pajęczyny, obracając nim ostrożnie, by mogła zajrzeć przez wąskie lejkowate wejście i zobaczyć maleńkie nakrapiane jajeczka. – Nie wiedziałam, co znaczy prawdziwy spokój, nim tu nie przybyłam – powiedziała, kiedy siedzieli na brzegu Bubezi w żółtym świetle mijającego dnia i obserwowali kozła kudu o długich, podobnych do korkociągu rogach i kredowobiałych pasach po bokach, prowadzącego swe długouche samice do wodopoju. – Nie zaznałam prawdziwego szczęścia – wyszeptała, gdy obudzili się kiedyś po północy bez przyczyny i sięgnęli po siebie nawzajem w ciemnościach.

Pewnego ranka usiadła nagle w pomiętej pościeli, po której John nie pilnowany buszował krusząc i rozsypując nadgryziony herbatnik, spojrzała poważnie na Marka i powiedziała:

– Kiedyś poprosiłeś mnie, bym wyszła za mąż za ciebie – powiedziała. – Czy zechciałby pan ponowić tę propozycję, sir?

Nieco później tego samego dnia usłyszeli drwali pracujących w dolinie.

Obustronne ostrze siekiery uderzające w pień stojącego twardo drzewa dźwięczy jak wystrzał. Dźwięk ten odbijał się od skał Bramy Chaki i wpadał łamiącym się echem w głąb doliny. Każdego razu zawisał na chwilę w powietrzu, a następnie uderzał w szare skały. Pracowało tam wielu drwali i ciągły huk przypominał odgłosy zaciętej bitwy.

Storm po raz pierwszy zobaczyła na twarzy Marka aż taką wściekłość. Krew odpłynęła mu z twarzy i opalenizna zmieniła się w chorobliwą żółtość, a wargi zdawały się oszronione

i sztywne z zimna, za to oczy płonęły. Musiała biec, by nadażyć za jego napędzanym złością krokiem, kiedy wdrapywali się od strony rzeki na piarg pod skałami. Dźwięk siekier wypadł na nich, każde poszczególne uderzenie równie brutalne i paraliżujące co następujące po nim.

Tuż przed nimi jedno z ogromnych drzew leadwood zachwiało się jakby w agonii i przemieściło się po niebie. Mark zatrzymał się w pół kroku, by spojrzeć z odchyłką do tyłu głową, jego twarz skręcała podobnie bolesna agonii. Drzewo odznaczało się niezwykle wprost symetrią, srebrzysty pień wznosił się ku niebu z gracją i wydawał się równie szczupły i wysmukły co talia młodej dziewczyny. Osiągnięcie tych wyżyn zajęło ponad dwieście lat. Dwadzieścia metrów nad ziemią rozpościerała się ciemnozielona czasza listowia.

Kiedy tak patrzył, drzewo zadrżało znów. Siekiery zamilkły. Wolno, majestatycznie drzewo schyliło się ku upadkowi, stopniowo nabierając rozpędu. Częściowo uszkodzony pień jęknął i trzasnął, kiedy włókna rozdarły się i puściły; szybciej i szybciej, aż wgniotło się w wierzchołki mniejszych drzewek rosnących poniżej. Skręcające się, rwane brutalnie drewno wrzeszczało jak żywe stworzenie i uderzyło o ziemię z takim impetem, że aż podskoczyły im żołądki. Cisza rozciągnęła się na chwilę, potem rozległy się głosy mężczyzn, przestraszone głosy jakby onieśmieliły ich rozmiary spustoszenia, jakie poczynili. Ale prawie natychmiast siekiery odezwały się znów, rąbiąc na kawałki ciszę doliny – i Mark ruszył biegiem, zostawiając Storm w tyle.

Natknął się na teren totalnej dewastacji – rosnący stos ściętych drzew, przy których jak mrówki uwijało się pięćdziesięciu paru mężczyzn. Na wpół nadzy i błyszczący od potu, odcinali gałęzie i układali w sterty do późniejszego spalania. Kawałki drewna wyglądały w słońcu niczym kości, a żywica sącząca się z ran zadanych siekierą miała słodkawy zapach świeżo rozlanej krwi. Na końcu długiej wąskiej przesieki stał samotnie biały człowiek pochylony nad okularem teodolitu ustawionego na trójnogu. Skierował przyrząd ku dołowi i nakierowywał ruchami dłoni ustawienie pomalowanych jaskrawo tyczek.

Uniósł wzrok znad instrumentu i spojrzał na Marka. Był to młody człowiek o spokojnej przyjaznej twarzy, grubych szklach w oprawkach z srebrnego drutu i rzadkich płowych włosach opadających na czoło.

– Witam – uśmiechnął się, lecz uśmiech zgasł, kiedy Mark syknął ze złością.

– Kto tu jest szefem?

– Przypuszczam, że ja – wyjąkał młody mierniczy.

– Jest pan aresztowany.

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste – rzucił Mark. – Wycinacie drzewa stojące na terenie chronionym. Jestem strażnikiem wyznaczonym przez rząd. Aresztuję pana.

– Proszę posłuchać – mierniczy zaczął uspokajającym tonem, rozkładając szeroko dłonie w geście przyjaznych intencji – ja tylko wykonuję swoją pracę.

Zaślepiiony furia Mark nie zauważył pojawienia się drugiego mężczyzny, ciężkiego, o szerokich barach, który wyłonił się z buszu. Kiedy jednak przemówił, Mark rozpoznał natychmiast gardłowy akcent mieszkańca południa i poczuł, że skóra na nim cierpnie.

Hobday pamiętał od dnia, kiedy powrócił do Anderslandu i odkrył, że cały jego świat został wywrócony do góry nogami.

– W porządku, koleś. Ja sam porozmawiam z panem Andersem – Hobday poklepał młodego mierniczego uspokajająco po ramieniu i uśmiechnął się do Marka, ukazując równe, kwadratowe zęby. Uśmiech ten nie miał w sobie nic z ciepła ani humoru.

– Nie mamy o czym rozmawiać – zaczął Mark, ale Hobday wyciągnął dłoń, by go powstrzymać.

– Jestem tu oficjalnie jako inspektor prowincji z ramienia Ministerstwa do Spraw Ziem, Anders. Lepiej będzie, jeśli mnie wysłuchasz.

Słowa złości ugrzęzły Markowi w gardle, kiedy zobaczył, jak Hobday spokojnie wyjmując z portfela pismo, by mu je podać. Wziął do ręki urzędowy papier podpisany przez wiceministra ds. ziem. Podpis był zamaszty – Dirk Courteney. Mark czytał powoli, z rosnącym uczuciem rozpacz. Kiedy skończył, oddał go Hobdayowi. Pismo to dawało okazicielowi nieograniczoną władzę nad doliną, władzę popartą autorytetem i powagą rządu.

– Pniesz się coraz wyżej – powiedział – ale wciąż służysz temu samemu panu.

Mężczyzna przytaknął spokojnie. Jego wzrok przeniósł się z Marka na nadchodzącą właśnie Storm. Kiedy patrzył na nią, wyraz jego twarzy uległ natychmiastowej transformacji.

Storm zaplotła włosy w dwa warkocze leżące teraz ciężko na piersiach. Ciemna, lekko czerwonawa opalenizna uwydatniała intensywny błękit jej oczu. Gdyby nie one, wyglądałaby jak księżniczka z plemienia Siuksów, prosto ze stron jakiejś romantycznej powieści.

Hobday przesunął wolno wzrokiem po jej ciele z tak bezczelną, wprost intymną bezpośredniością, że instynktownie sięgnęła po ramię Marka i przytuliła się do niego, jakby chcąc znaleźć się pod jego ochroną.

– O co chodzi, Marku? – była trochę zdyszana od spaceru pod górę, a na jej policzkach wykwitły rumieńce. – Co oni tu robią?

– To ludzie rządu – powiedział ciężko Mark. – Z Ministerstwa do Spraw Ziem.

– Nie mogą przecież wycinać naszych drzew – zaprotestowała podniesionym głosem. – Musisz powstrzymać ich, Mark.

– Oni wyznaczają odcinki miernicze – wyjaśnił Mark. – Dokonują pomiarów doliny.

– Ależ te drzewa...

– To nie ma znaczenia, psze pani – powiedział Hobday. Jego głos był teraz dużo głębszy, o chrapliwym od pożądania tonie, a oczy były nadal zajęte badaniem jej ciała. Niczym owady pełzające łakomie do zapachu miodu przesuwwały się po cienkiej, wypłowiałej od słońca bawełnie zakrywającej jej piersi. – To nie ma znaczenia – powtórzył. – One i tak znajdą się pod wodą. Ścięte czy stojące wszystko to pójdzie pod wodę. – Wreszcie oderwał od niej oczy

i omiółł dłonią część lasu. – Stąd dotąd – wskazał przestrzeń leżącą między szarymi wieżycami Bram Chaki. – Dokładnie naprzeciw miejsca, w którym stoimy, wybudujemy największą pieprzoną tamę tego świata.

Siedzieli razem w ciemnościach, przytuleni blisko, jakby dla dodania sobie otuchy. Mark nie zapalał lampy. Blask gwiazd wdarł się na werandę i pod strzechę, dając dość światła, by widzieli swe twarze.

– Wiedzieliśmy, że to w końcu kiedyś nastąpi – wyszeptała Storm. – Jednak wolałam w to nie wierzyć. Tak jakby pobożne życzenia mogły to powstrzymać.

– Pojadę jutro rano, by zobaczyć się z twoim ojcem – powiedział Mark. – Powinien dowiedzieć się o tym.

Storm przytaknęła.

– Tak, musimy być przygotowani do konfrontacji.

– Ale co zrobimy z tobą? Nie zostawię cię tu z Johnem.

– Przecież nie możesz zabrać mnie ze sobą. Nie do mojego ojca – stwierdziła. – W porządku, Mark. Zabiorę Johna do domku przy plaży. Będziemy czekać tam na ciebie.

– Przyjadę tam po was. A kiedy znów wrócimy, tu będziesz moją żoną.

Nachyliła się ku niemu.

– Jeśli będzie jeszcze do czego wracać – powiedziała cicho. – Och, Mark – Mark, oni nie mogą tego zrobić! Nie mogą przecież zatopić tego – tego... – słowa zamarły w niej i zamilkła tuląc się do niego.

Siedzieli milcząc i minęło sporo czasu, nim poderwało ich uprzejme chrząknięcie. Mark wyprostował się i zobaczył potężną sylwetkę Pungushe stojącego pod werandą w świetle gwiazd.

– Pungushe – powiedział. – Widzę cię.

– Jamela – powiedział Zulus. W jego głosie brzmiało napięcie, jakiego Mark dotąd nie słyszał. – Byłem w obozowisku obcych ścinających drzewa, ludzi z pomalowanymi kijkami i ostrymi siekierami.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na dolinę, a oni podążyli za jego wzrokiem. Rdzawe łuny wielu ognisk migotały na najniższych stopniach skał w spokojnym nocnym powietrzu, przynosząc nikłe głosy mężczyzn i ich śmiechy.

– Tak? – zapytał Mark.

– Jest tam dwóch białych mężczyzn. Jeden z nich jest młody i ślepy i się nie liczy. Ten drugi – kanciasty, gruby mężczyzna – stoi na nogach mocno jak bawół, a mimo to porusza się bezszelestnie i mówi mało i cicho.

– Tak? – znów zapytał Mark.

– Widziałem tego człowieka już kiedyś w dolinie. – Pungushe zawahał się. – Jest tym Milczącym, o którym rozmawialiśmy. Jest tym, który zastrzelił *ixhegu* – twojego dziadka –

i palił przyglądając się, jak umiera.

Hobday poruszał się cicho i pewnie wzdłuż linii wyrębu lasu. Siekiery milczały teraz, ale tylko punktualnie do ostatniej minuty przerwy obiadowej. Równo z wybiciem zegara znów wezmą się do pracy. Trzymał ich krótko, zawsze trzymał swych ludzi krótko i chełpił się tym, że potrafi wycisnąć z człowieka wysiłki znacznie przekraczające wynagrodzenie, które otrzymywał. Tę cechę właśnie Dirk Courteney w nim cenił, a także wściekłą, niezłomną lojalność. Nie było w nim krztyny wahania czy zwątpienia – kiedy Dirk Courteney rozkazywał, on nie zadawał zbędnych pytań. Jego wynagrodzenie rosło z każdym dniem, już teraz Hobday był majątnym człowiekiem, ale dopiero gdy będzie dzielona ziemia, czerwona, słodka, dobrze nawodniona ziemia, bogata i soczysta jak świeżo rozebrana wołowina, wtedy otrzyma pełną zapłatę.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie skarpa wznosiła się nagle, by opaść ostro ku korytu rzeki przepływającej poniżej, i spojrzał na ziemię leżącą u jego stóp. Mimowolnie oblizał wargi, jak łakomczuch, który poczuł aromat jedzenia.

Pracowali nad tym od tak dawna, każdy miał tu swój wkład, prowadzeni i inspirowani przez Dirka Courteneya. Pomimo że udział Hobdaya będzie tylko nikłym ułamkiem, procentem wielkiej całości, były to skarby, o których większość śmiertelników mogła tylko marzyć. Znów zwilżył wargi. Stał ukryty w cieniu, nieruchomy i milczący, i patrzył w niebo. Chmury piętrzyły się aż do samych niebios niczym srebrne, oślepiające w blasku słońca góry, monument poruszający się w lekkim wietrze. Czuł ich bliskość i drgnął zaniepokojony. Deszcz opóźni ich prace, a deszcz zbliżał się, spadające potokiem letnie ulewy. Jakieś poruszenie przyciągnęło jego wzrok, coś na dalekim końcu leśnej przecinki. Był to błysk jaskrawych kolorów podobny do trzepoczących skrzydeł cukrzyka. Jego przymrużone oczy rozszerzyły się gwałtownie. Stał nieruchomo, ale pełen napięcia.

Dziewczyna wyszła zza sterty chrustu i zatrzymała się jakieś trzydzieści kroków od niego. Nie widziała go. Zatrzymała się niepewnie i nasłuchiwała z głową przechyloną lekko na bok niczym u dzikiego leśnego zwierzątka. Stała lekko i wdzięcznie. Członki miała szczupłe i brązowe, ciało jędrne, młode i słodkie. Poczul nagły przyptyw pożądania tak jak poprzedniego dnia, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

Była ubrana w szeroką ludową spódnicę w wesołych kolorach z cienkim bawełnianym gorsetem, lekko zasznurowanym na przedzie, pod którym piersi napierały swobodnie, wrywając się na wolność. Gładka skóra przechodziła z rdzawego brązu w bladą śmietankowość. Wyglądała jak dziewczyna wybierająca się na randkę z ukochanym, była w niej rozkoszna płochość i napięcie. Czuł wzbierające w lędźwiach pożądanie i usłyszał swój chrapliwy oddech.

Dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała wprost na niego. Kiedy zauważyła go, przestraszyła się wyraźnie, zrobiła szybki krok do tyłu i zakryła usta dłonią. Wpatrywała się

w niego dłuższą chwilę, aż nagle jej cała postawa i zachowanie uległy zmianie.

Odjęła dłoń od twarzy i zaplotła ręce za plecami, wypinając piersi ku przodowi, sterczące i napierające na bawełniany materiał, aż zobaczył ciemno-różane guziki sutek. Wysunęła biodro pod prowokacyjnym kątem do przodu i uniosła wysoko podbródek. Z pełną świadomością przesunęła wzrok po jego ciele, zatrzymując się dłużej na kroczu, potem wróciła wolno z powrotem na twarz. Zaproszenie było równie czytelne, jakby zostało wyrażone słowami, i Hobday poczuł, że krew huczy mu w uszach.

Zarzuciła głową i zsunęła gruby warkocz przez ramię, potem odwróciła się i ruszyła ku linii drzew przesadnie kręcąc zwartymi, krągłymi pośladkami ukrytymi pod spódnicą.

Obejrzała się przez ramię i widząc, że Hobday ruszył w ślad za nią, roześmiała się wysokim, dźwięcznym, prowokacyjnym śmiechem. Pobiegła lekko na obutych w sandały stopach, skręcając nagle i zbiegając w dół skarpy. Hobday podążał za nią.

Przebiegła jakieś 50 metrów i straciła go z oczu. Zatrzymała się w gęstwinie, nasłuchując w obawie, że może zaprzestać pościgu. Raptem coś poruszyło się na skarpie tuż za nią. Przestraszyła się po raz pierwszy, kiedy zrozumiała, że poruszał się szybciej, niż przypuszczała, i nie pobiegł w dół za nią, lecz został na uprzywilejowanej pozycji łowieckiej na skarpie tuż nad nią.

Ruszyła znów biegiem i kątem oka zauważyła, że on wyprzedza ją, porusza się dużo szybciej, biegnąc wzdłuż skarpy. Mógł ją zaskoczyć w każdej chwili, zbaczając gwałtownie w dół wprost na nią.

Poczuła przyływ panicznego lęku i zaczęła biec tym razem już na poważnie. Sypkie poszycie zdradziło ją, wyslizgując się nagle spod jej stóp. Upadła i potoczyła się, starając się złagodzić zetknięcie z ziemią wyciągniętymi do przodu ramionami, aż w końcu wylądowała ciężko na kolanach. Ruszyła naprzód z cichym szlochem przerażenia. Mężczyzna zauważył jej upadek i ruszył w dół skarpy. Był już tak blisko, że widziała białe, kwadratowe zęby w brązowej twarzy. Uśmiechał się ostrym grymasem podniecenia, był szybki i pewny siebie. Zbiegł na dół i skierował się ku ścieżce, będącej dla niej drogą bezpiecznego odwrotu, tym samym odcinając ją od miejsca, w którym czekał Mark.

Zerwała się na nogi i zawróciła, instynktownie zwracając się w kierunku przeciwnym od swego prześladowcy – i od wszelkiej pomocy. Nagle była zupełnie sama, podążała na rozszalałych nogach w opuszczone zakątki dzikiego buszu, poza zasięg słyszenia tych, którzy mieli jej pomóc. Zrozumiała, że Mark miał rację, kiedy nie chciał zgodzić się, by służyła za przynętę. Wiedział dobrze, na jak niebezpieczną decyduje się grę, ale w charakterystyczny arogancki i uparty sposób nalegała tak długo, śmiejąc się z jego protestów, aż się zgodził. Teraz biegła naprzód gnana przerażeniem, które przyspieszało rytm jej serca i wybijało dech z piersi, aż nogi osłabły i zrobiły się miękkie niczym guma.

Raz spróbowała zawrócić, ale jak stary wyszkolony ogar tropiący zającą wyczuł jej zamiar i czekał tam, blokując jej drogę ucieczki. Ruszyła więc przed siebie w dzikim pędzie

i nagle stanęła przed nią rzeka. Pierwsze deszcze wezbrały wody Bubezi płynącej teraz w dal w pełnym zieleni majestacie. Wiedziała, że musi zawrócić i pójść wzdłuż brzegu rzeki, ale pobłądziła i znalazła się nagle w jaśminowym gąszczu. Gęste kłębowisko cierni otaczało ją ze wszystkich stron, pozostawiając tylko wąskie korytarze, labirynt ciemnych i tajemniczych zakątków. Przeszła parę kroków i prawie natychmiast stwierdziła, że pomyliła kierunki. Zatrzymała się i stała nieruchomo, starając się usłyszeć coś ponad pędem własnego oddechu i zobaczyć coś przez mgłę łez, łez strachu i bezradności. Jej włosy wymykały się małymi niesfornymi kosmykami na czoło, a policzki płonęły dziko, łzy przydały oczom rozgorączkowanego blasku.

Nie usłyszała nic, otoczona zewsząd przez brązowe ciernie. Zawróciła powoli, łkając cicho ze strachu i bezradności. Wybrała na chybił trafił jeden z wąskich korytarzy do dalszej ucieczki i ruszyła biegiem. Czekał tam na nią. Kiedy wybiegła zza pierwszego zakrętu ścieżki, niemal wpadła na jego pierś. W ostatniej chwili zauważyła wyciągnięte ramiona, grube i gładkie z palcami obu dłoni zakrzywionymi jak szpony, by ją schwycić.

Krzyknęła głośno i zawróciła z powrotem ku ścieżce, którą przyszła, ale jego palce złapały cienki bawełniany materiał bluzki, rozdierając ją. Biegła dalej, a gładkie śmietankowe ciało pleców przeświecało przez rozdarcie, błyskając perłową obietnicą i rozpalając jego pożądanie jeszcze bardziej. Kiedy zaśmiał się, był to chrapliwy, zadyszany bełkotliwy dźwięk. Storm ogarnął kolejny paroksyzm panicznego strachu.

Polował na nią w gęstwinie. Dwa razy, kiedy już prawie ją miał, świadomie pozwolił jej wymknąć się, przedłużając przyjemność, zabawiając się jak kot z myszką, zachwycony tym, jak krzyczała pod jego dotykiem i każdym nowym wybuchem przerażenia, który mobilizował ją do ucieczki przed nim.

Wreszcie nie miała już dokąd uciekać, zatrzymała się i wcisnęła w kąt ściany z cierni, przeszkody nie do pokonania. Ukucnęła tam, przyciskając do siebie strzępy podartej bluzki i drząc gwałtownie jak osoba, którą trawi wysoka gorączka. Jej twarz była mokra od potu i łez; wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

Powoli podszedł do niej. Nie opierała się, kiedy położył dużą kwadratową dłoń na jej ramieniu. Znów zarechotał. Jego oddech był nierówny, a wargi odciągnięte w grymasie pożądania i podniecenia. Przycisnął usta do jej ust i poczuła się, jak w czasie jednego z tych okrutnych sennych koszmarów, kiedy nie można zrobić ruchu ani krzyknąć. Jego zęby wbijały się boleśnie w jej wargi i poczuła smak własnej krwi, metaliczny słony smak. Zaczęła się dusić. Jego dłonie były szorstkie i twarde jak granit na miękkim jedwabiu jej piersi. Znów ocknęła się do życia i zaczęła, szarpać jego dłonie, chcąc oderwać je od swego ciała.

– Tak – wystękał cichym zduszonym głosem. – Walcz. Nie przestawaj walczyć. Nie przestawaj. Właśnie tak. Wyrrywaj się – nie przestawaj.

Jego głos wyrwał ją z hipnotycznego stanu przerażenia i krzyknęła głośno.

– Tak – powiedział. – Właśnie tak. Krzycz dalej. – Przełożył ją w poprzek swego ciała,

zmuszając do zsunęcia się w dół, aż poczuła jego kolana u nasady pleców. Jej ciało odchyliło się do tyłu niczym napięty łuk, a włosy omiotły ziemię. Przycisnął rozchylone wargi do jej białej, miękkiej i bezbronnej szyi.

Była unieruchomiona, kiedy jedną dłonią podciągnął jej prawie do pasa szeroką kolorową spódnicę.

– Krzycz! – wyszeptał sprośnie. – Krzycz dalej.

Zesztywniała z przerażenia nie dowierzając jeszcze, poczuła, jak grube brązowe palce, nieczule i świadome, okrutnie wyważają zamki jej ciała. Zaczęły rozdzierać najbardziej delikatne i tajemnicze zakątki niczym szpony orła – a ona krzyczała i krzyczała.

Mark zgubił ich w labiryncie jaśminowego buszu i przez długie chwile nie słyszał nic prócz dzwoniącej ciszy. Stał tam dysząc ciężko, z rozwianymi włosami, wsłuchując się każdym włóknem swego jestestwa w ciszę gąszczu. Jego oczy były dzikie i nienawidził sam siebie wściekłym uczuciem za to, że dał się przekonać. Przecież wiedział, jak niebezpieczny jest ten człowiek, zimny bezlitosny zabójca, a on wystawił dziewczynę, młodą delikatną dziewczynę jako przynętę.

Nagle Storm krzyknęła gdzieś zupełnie blisko. Z uczuciem dzikiej ulgi Mark znów ruszył biegiem.

Hobday usłyszał go w ostatniej chwili i upuścił na ziemię szczupłe znieważone ciało Storm, odwracając się błyskawicznie ku niemu. Przyjął pochyloną postawę boksera wagi ciężkiej, masywny i ciężki, ukryty za gardą uniesionych ramion i zgarbionych barów, tęgi i napięty.

Mark zamierzył się bronią przygotowaną poprzedniej nocy. Wziął pełen zamach, potworna złość i nienawiść nadały broni moc i ciężar. Długa kiszka z nie wyprawionej skóry, o podwójnie przesytych szwach, napelniona 900 gramami ołowianego śrutu przecięła powietrze z dźwiękiem podobnym do łopotu skrzydeł dzikiej kaczki. Hobday wyciągnął prawe ramię, by zatrzymać cios. Kość przedramienia pękła z suchym trzaskiem, ale siła uderzenia nie wyczerpała się jeszcze i napelniony ołowiem długi woreczek trafił Hobdaya prosto w twarz.

Gdyby nie przyjął głównego ciężaru na przedramię, uderzenie to zabiłoby go. Teraz jego twarz zdawała się zapaść w sobie, a głowę odrzuciło do tyłu na pełne wyciągnięcie szyi. Hobday runął na litą ścianę cierni. Zakrzywione, zakończone czerwono ciernie wczepiły się w jego odzienie i ciało. Przytrzymały go tak, że zawisł niczym bezładna lalka o wyciągniętych ramionach i nogach. Głowa opadła mu na pierś, a grube, gęste krople krwi zaczęły skapywać na koszulę i toczyć się miękko w kierunku brzucha, zostawiając mokre szkarłatne kreski na koszuli w kolorze khaki.

Kiedy dźwigali Hobdaya w górę szlaku do miejsca, gdzie pod osłoną Bramy Chaki stały oba samochody, zaczął padać deszcz, rozpryskując się ciepłymi grubymi kroplami, które

żądliły gołą skórę swym ciężarem. Padało mocno i coraz mocniej, a ulewa przemieniała powierzchnię drogi w grząską masę podobną do czekolady, po której ślizgali się z ciężarem.

Hobday miał nogi skute kajdankami, używanymi przez Marka przy aresztowaniu kłusowników. Zdrowe ramię było przywiązane do paska od spodni, a drugie, topornie opatrzone w łupki, przypięte do tego samego paska. Mark próbował zmusić go, by szedł, ale poczucie wstydu albo rzeczywiste osłabienie nie pozwalały mu na to. Jego twarz była groteskowo zniekształcona ze spuchniętym, skrzywionym w jedną stronę nosem i niemal identycznymi podbitymi na niebiesko oczami. Obrzmiałe, pokryte strupami zaschniętej krwi usta odsłaniały ciemne szczyrby po pięciu kwadratowych zębach, wybitych lub ułamanych uderzeniem morderczej broni Marka.

Pungushe i Mark dźwigali go między sobą, wspinając się z trudem po stromej ścieżce w potokach deszczu. Tuż za nimi dreptała Storm niosąca na rękach Johna. Jej długie włosy zdawały się roztopiać podłużnymi czarnymi smugami na mokrej twarzy. Rozdygotana, nie mogła powstrzymać nagłych spazmów z zimna i od przebytego szoku. Dziecko siedzące na jej biodrze szlochało marudnie; przykryła je połą płaszcz przeciwdeszczowego, uspokajając rozkojarzonym głosem.

Dotarli do samochodów stojących w skleconej, pokrytej strzechą szopie, którą Pungushe wznosił, by chronić ją przed żywiołami natury. Włożyli Hobdaya do przyczepy motoru i Mark zapiął brezentowy ekran, by uchronić pasażera przed deszczem i wypadkiem w czasie jazdy. Leżał nieruchomo jak nieżywy. Potem podszedł do cadillaca, gdzie za kierownicą siedziała Storm, trzęsąca się, przemoczona i żałosna.

– Wysyłam Pungushe z tobą – powiedział. Wziął ją w ramiona i przytulił na chwilę. Nie miała siły ani woli, by protestować. Oparła się ciężko o pierś Marka dla dodania sobie otuchy.

– Jedź do domu i zostań tam – poinstruował ją. – Nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie przyjadę po ciebie.

– Tak, Mark – wyszeptała i znów zadrżała.

– Czy czujesz się na siłach, by prowadzić samochód? – zapytał z nagłą łagodnością.

Zebrała się w sobie i przytaknęła dzielnie.

– Kocham cię – powiedział – bardziej niż kogokolwiek czy cokolwiek na tym świecie.

Mark doprowadził motocykl do śliskiego błotnistej szlaku. Było już prawie ciemno, kiedy dotarł do drogi będącej w niewiele lepszym stanie niż cały szlak. W padającym nieustannie deszczu grząskie błoto poznaczone było podwójnymi głębokimi koleinami od kół. Przy skrzyżowaniu dróg Mark zatrzymał motocykl i pobiegł, by porozmawiać ze Storm przez otwarte okno cadillaca.

– Droga do Umlaga Rocks po tej błotnistej drodze zajmie ci jakieś sześć godzin. Nie próbuj przyspieszać – powiedział i nachylił się ku oknu. Objęli się na krótko, ale namiętnie. Zamknęła okno i cadillac ruszył, zarzucając w błocie.

Mark obserwował go przez chwilę, jak pokonywał wzniesienie terenu, a gdy światła

wsteczne mrugnęły nad krawędzią wzgórza, wrócił do motoru i uruchomił go kopnięciem.

Mężczyzna w przyczepie poruszył się. Głos dobiegający spomiędzy rozbitych warg był zniekształcony i niewyraźny.

– Zabiję cię za to – powiedział.

– Tak jak zabiłeś mojego dziadka? – zapytał Mark cicho i wytoczył motocykl na drogę. Skierował się na Ladyburg oddalony o pięć kilometrów drogi przez ciemność, błoto i deszcz.

Nienawiść i złość rozgrzewały go niczym ogromne ognisko gdzieś w głębi brzucha. Zdziwił się nad swym opanowaniem, kiedy oparł się pokusie zabicia Hobdaya pałką, mając ku temu okazję.

Człowiek, który torturował i zamordował starego człowieka, który znieważył i pohańbił Storm, był teraz w jego rękach – i pokusa, by zemścić się na nim za wszystko, była wciąż silna. Mark odepchnął ją jednak czym prędzej i pojechał dalej w ciemną noc.

Motocykl ślizgał się i zataczał od brzegu drogi do brzegu, kiedy prowadził go pod górę stromymi wzgórzami Ladyburga. Widział leżące poniżej światła miasta, zamglone od spadającej białej masy wody.

Mark nie był pewien, czy zastanie generała w Lion Kop, ale kiedy wjechał motorem na podwórze od kuchni, zobaczył światła w oknach. Nagle sfora psów myśliwskich generała wypadła na niego z ciemności, a w ślad za nimi pojawiło się trzech zuluskich służących z latarniami. Mark zawołał do nich:

– Czy Nkosi jest w domu?

Odpowiedź była zbyteczna, kiedy bowiem zsiadł z motoru i uniósł głowę ku górze, zauważył zarys barczystej postaci generała w oknie gabinetu. Mark wpadł do domu, zrzucając po drodze ociekający wodą płaszcz gumowy, i wbiegł do gabinetu.

– Mój chłopcze! – generał ruszył pospiesznie przez pokój ku niemu. – Co się stało?

Całe jestestwo Marka wprost emanowało tryumfującym napięciem.

– Mam człowieka, który zabił mego dziadka! – wyrzucił z siebie.

Sean stanął jak wryty pośrodku pokoju i wpatrywał się w niego.

– Czy to jest... – przerwał, a na jego twarzy malowało się przerażenie. – Czy to Dirk Courteney, czy to jest mój syn?

Służba wniosła ciężkie, bezwładne ciało Hobdaya do gabinetu. Położyli go na skórzanej pikowanej kanapie przy kominku.

– Kto go tak zakuł? – warknął Sean i dodał zaraz, nie czekając na odpowiedź: – Zdejmijcie to z niego. Mój Boże, co się stało z jego twarzą?

Do pokoju weszła, obudzona hałasami i podnieceniem, Ruth Courteney. Miała na sobie długi szlafrok, a nocny czepek był wciąż przewiązany pod brodą.

– Dobry Boże! – wpatrywała się w Hobdaya. – Ma złamane ramię, a może też i szczękę.

– Jak się to stało? – zażądał wyjaśnień Sean Courteney.

– Uderzyłem go – powiedział Mark.

Sean milczał dłuższą chwilę, przyglądając mu się, nim znów przemówił.

– Lepiej będzie, jak opowiesz mi wszystko. Od samego początku.

Podczas gdy Ruth Courteney opatrywała w milczeniu twarz Hobdaya, Mark zaczął tłumaczyć się przed generałem.

– Nazywa się Hobday, pracuje dla Dirka Courteneya od lat. Jest jego prawą ręką.

– Rzeczywiście – kiwnął głową Sean Courteney. – Powinienem był go poznać. To ta spuchnięta twarz. Widziałem go już przedtem.

Cichym głosem, szybko, Mark powiedział wszystko, co było mu wiadome na temat tego człowieka, poczynając od pierwszego spotkania z Hobdayem w opuszczonym domostwie w Anderslandzie.

– Powiedział wtedy, że pracuje dla Dirka Courteneya? – zapytał Sean.

– Dla Ladyburg Sugar – uściślił Mark i Sean oparł siwą brodę o pierś.

– Mów dalej.

Mark powtórzył opowieść Pungushe o śmierci starego człowieka, o tym, jak trzech mężczyzn przyszło w ślad za nim do doliny, o tym, jak ten „milczący” zastrzelił go i siedział czekając, aż umrze, i jak pochowano go w nie oznakowanym grobie.

Sean jednak wciąż kręcił głową jakby w niedowierzaniu i zmarszczył czoło, a Hobday poruszył się na sofie i spróbował wstać. Spuchnięta wykrzywiona szczeka poruszyła się, kiedy wybełkotał:

– To jakieś cholerne murzyńskie kłamstwa – powiedział. – Do Bramy Chaki przyjechałem pierwszy raz przed trzema dniami.

Kiedy Sean przemówił do Marka, po jego stężonych rysach twarzy wyraźnie było widać, że jest czymś bardzo zatroskany.

– Przyznajesz, że uderzyłeś tego człowieka, że to ty jesteś odpowiedzialny za jego okrutne rany. Jak mogło do tego dojść?

– Kiedy przybył do doliny, Pungushe rozpoznał w nim człowieka, który zabił Johna Andersa. Wywabiliśmy go podstępem z obozowiska, z pomocą Pungushe schwytaliśmy go i przywiozłem tutaj.

– Ale przedtem omal go nie zabiłeś, tak? – zapytał i nie czekając na odpowiedź Marka dorzucił: – Mój chłopcze, mam wrażenie, że wpakowałeś się w niezłą kabałę. Nie widzę ani śladu dowodów, którymi mógłbyś poprzeć swe słowa, dowodów, które pozwoliłyby skazać go zgodnie z przepisami prawa – natomiast ty napadłeś na niego, mamy więc do czynienia z ciężkim uszkodzeniem ciała i uprowadzeniem, w najlepszym przypadku...

– Ależ ja mam dowody! – wtrącił Mark szybko.

– Jakie? – zapytał mrukliwie Sean.

Mężczyzna zwrócił pokiereszowaną twarz ku Seanowi i powiedział tonem wskazującym na to, że odzyskuje pewność siebie.

– To cholerny łgarz. To wszystko kłamstwa...

– Cisza – Sean uciszył go gestem dłoni i znów zwrócił się do Marka. – Dowody! – zażądał.

– Moim dowodem będzie fakt, że Dirk Courteney zabije tego człowieka lub każe zabić, jak tylko puścimy go wolno.

Wszyscy gapili się na niego zaszokowani i oniemiaли, a Mark wyjaśnił poważnym tonem.

– Dobrze znamy metody Dirka Courteneya. Niszczy wszystko, co staje mu na drodze lub co zagraża, mu w jakiś sposób.

Hobday przyglądał mu się uważnie. Po raz pierwszy jego oczy przestały być nieprzeniknione i zimne. Rozbite wargi drżały i chwyciły łąpczywie powietrze, ukazując ciemne szczyby po zębach.

– Nie ma potrzeby, by ten człowiek składał nam jakiegokolwiek zeznania. Sam fakt, że był tu, w tym domu, w obozie wrogim Dirkowi Courteneyowi i widział się z generałem i ze mną, fakt, że jego twarz nosi ślady ciężkiej perswazji – to wystarczy Dirkowi Courteneyowi. Potem tylko jeden telefon – Mark zrobił krótką przerwę – a następnie zawieziemy Hobdaya do miasteczka i zostawimy go tam. Dirk Courteney zabije go, ale tym razem będziemy na to przygotowani. Wszystkie ślady będą prowadziły do niego i udowodnimy mu wreszcie udział w morderstwie.

– Niech cię szlag – powiedział Hobday, gramoląc się do pozycji siedzącej. – To kłamstwo. Nic nie zeznałem.

– Powiesz to Dirkowi Courteneyowi. Może gotów ci nawet uwierzyć – powiedział cicho Mark. – Z drugiej jednak strony gdybyś przyznał się do winy i wydał swych współników, byłbyś chroniony przez pana generała i przez prawo – i nie wyrzucilibyśmy cię stąd.

Hobday wpatrywał się w niego dzikim, błędnym wzrokiem, jakby oczekiwał, że otworzy się nagle przed nim jakaś droga ucieczki, ale Mark ciągnął dalej bez litości:

– Znasz Dirka Courteneya lepiej niż którykolwiek z nas, nie prawdaż, Hobday? Wiesz, jak pracuje jego umysł. Czy naprawdę uważasz, że zaryzykuje licząc na to, iż nie przyznałeś się? Poza tym na co właściwie przydasz mu się w przyszłości? Czy będzie mógł wierzyć w twą lojalność teraz, kiedy leży na niej cień wątpliwości? Wiesz dobrze, co robi, prawda? Zastanów się nad tym dokładnie, a zrozumiesz, że masz jedyną szansę, by przeżyć, gdy Dirk Courteney znajdzie się za kratkami lub gdy będzie tańczył na końcu liny.

Hobday łypał na niego nienawistnie spode łba.

– Ty bękarcie – wysyczał przez zmasakrowane wargi i nagle jakby wyjęto mu knebel; z ust popłynął strumień plugastwa, nienawistnych brudów, obrzydliwych obelg powtarzanych wciąż i wciąż. Podbite sino oczy błyszczały bezsilną złością.

Mark wstał, podszedł do biurka Seana i popukał w widelki stojącego przy nim telefonu.

– Centrala? – powiedział do tubki. – Proszę połączyć mnie z rezydencją Dirka Courteneya.

– Nie! – wykrztusił z siebie Hobday. – Proszę nie robić tego! – Nienawiść ustąpiła

miejsca przerażeniu. Twarz zdawała zapaść się wokół rozbitych ust i nosa.

Mark nie zwracał na niego uwagi i wszyscy obecni w pokoju usłyszeli trzask uzyskiwanego połączenia, a potem zniekształcony przez druty i odległość skrzek głosu.

– Rezydencja wiceministra do spraw ziemi, pana Dirka Courteneya...

Hobday zczołgał się z sofy i pokuśtykał do biurka, wyrwał słuchawkę z dłoni Marka i z trzaskiem odwiesił.

– Nie – wystękał w strachu i bólu. – Proszę tego nie robić.

Oparł się ciężko na rogu biurka, zgarbiony z bólu i przycisnął ramię do piersi. Zniekształcone rysy twarzy pracowały w gorączkowym skupieniu. Mark, Ruth i Sean czekali w milczeniu na jego ostateczną decyzję.

Hobday wyprostował się, powlókł ku sofie i opadł na nią. Jego zwieszona głowa dotykała prawie kolan, a oddech zdawał się łkać i syczeć w ciszy pokoju.

– W porządku – powiedział chrapliwym głosem. – Co chcecie wiedzieć?

Generał Sean Courteney otrząsnął się, jakby właśnie obudził się z koszmarne snu. Jego głos był zdecydowany i ostry.

– Marku, weź rollsa. Pojedziesz do miasta i sprowadzisz tu prawnika. Wciąż jeszcze jestem sędzią pokoju i zaprzysiężonym członkiem komisji. Chcę, by te zeznania były zawarte we właściwej formie. Poświadczę ten dokument.

Mark zaparkował rolls-royce'a na zwirowanym podjeździe dużego nowego domu Petera Botesa, wybudowanego na przedmieściach. Dom był ciemny i cichy, ale gdy Mark zastukał do ciężkich lękowych, rzeźbionych bogato drzwi, gdzieś wewnątrz domu rozległo się szczekanie psa i po pewnym czasie w jednym z okien na piętrze rozbłysły światła. Okiennice rozsunały się z piskiem.

– Kto tam? Czego tu chcesz? – wyrwany ze snu Peter zapytał zrzędliwie i niewyraźnie.

– To ja, Mark! – krzyknął w kierunku okna. – Musisz natychmiast pójść ze mną.

– Mój Boże, Mark, jest jedenasta w nocy! Czy to nie może poczekać do rana?

– Generał Courteney wzywa cię, natychmiast.

Nazwisko to dało pożądany efekt. Usłyszał stłumione głosy w głębi sypialni, siostra Marion protestowała zaspanym głosem, potem Peter zawołał znów.

– No dobrze, daj mi chwilę na ubranie się, Mark.

Czekał siedząc za kierownicą rollsa. Deszcz bębnił o dach i spływał falami po przedniej szybie. Mark zastanowił się przez chwilę, czemu wybrał właśnie Petera Botesa. Przecież nie tylko dlatego, że wiedział, gdzie można go znaleźć o tak późnej porze. Musiał przyznać, że chciał, by Peter był obecny przy tym, jak zwalają z cokołu jego idola. Chciał utrzeć mu nosa, udowadniając naocznie, że Dirk Courteney jest złodziejem i mordercą. Ta satysfakcja była mu potrzebna i uśmiechnął się gorzko siedząc w ciemnym rollsie.

– To przynajmniej mi się należy – wyszeptał sam do siebie.

Drzwi frontowe otworzyły się i wybiegł Peter, pochylając głowę w strugach deszczu.

– O co chodzi? – krzyknął przez okno rollsa. – Lepiej, żeby to było coś ważnego – wyciągać mnie tak w środku nocy.

– Jest wystarczająco ważne – oświadczył Mark i zapalił silnik. – Wsiadaj.

– Pojadę za tobą w packardzie – powiedział Peter i pobiegł w deszcz ku garażowi.

Peter Botes siedział za dużym biurkiem generała Courteneya. Ubierał się w pośpiechu i był bez krawata, a mały brzuszek, którego dorobił się niedawno, sterczał pod białą koszulą, wyciągając ją zza paska spodni. Jego płowe włosy były rzadkie i potargane, toteż gdy nachylał się nad dużą czystą kartką papieru, przeświecała przez nie różowa czaszka.

Pisał szybko, ale schludnie i starannie. Rysy twarzy zdradzały szok, jaki spowodowały i powodowały wciąż słowa, które spisywał. Jego policzki pobrały, a usta były zimną zwartą kreską. Co parę minut przerywał pisanie, jakby nie dowierzając własnym uszom, i wpatrywał się w Hobdaya siedzącego w drugim końcu pokoju. Wzdychał ciężko przy każdym nowym i przerażającym wyznaniu.

– Zapisał pan? – zapytał generał i Peter przytaknął gorliwie, biorąc się z powrotem do pracy.

Wszyscy słuchali w napięciu. Generał osunął się w fotel przy kominku. Oczy miał zamknięte, jakby spał, ale pytania, które wyrzucał z siebie co jakiś czas, były trafne i godzące niczym ostrze rapiera.

Mark stał za jego krzesłem milczący i skupiony, z obojętną na pozór twarzą, ale złość i nienawiść targały jego trzewiami.

Hobday siedział pochylony do przodu na sofie. Jego wymowa była zniekształcona akcentem typowym dla mieszkańca południa, jednak teraz prawie niezauważalnym na tle okropności, które wyjawiał.

Nie chodziło tylko o zamordowanie Johna Andersa, było ich więcej, dużo więcej. Fałszowanie dokumentów wagi państwowej, przekupstwo wysokich urzędników, bezpośrednia obraza urzędu publicznego. Mark drgnął i w szoku nachylił się do przodu, kiedy Hobday relacjonował swe dwukrotne próby zamordowania go z rozkazu Dirka Courteneya.

Mark nie podejrzewał niczego ani nie rozpoznał go, ale teraz ciężka przysadzista sylwetka Hobdaya wyłoniła się z zakamarków jego pamięci jako ukryty w cieniu łowca bez twarzy, tej nocy na skarpie – jako postać widziana przez strugi zacinającego deszczu i mgłę gorączki. Hobday nie uniósł głowy, kiedy opowiadał o tym, ale Mark nie potrzebował pytać. Wyglądało, że Hobday, skoro raz już zaczął mówić, chciał jak najszybciej oczyścić się z plugastwa, jakby czerpał jakąś perwersyjną satysfakcję z przerażenia, jakie jego słowa budziły w słuchaczach.

Wszyscy byli przygnieceni rozmiarami tych potworności, co chwilę Ruth wydawała mimowolny okrzyk, a Sean otwierał oczy, by spojrzeć na nią, po czym zamykał je znów i zasłaniał dłonią.

W końcu Hobday doszedł do morderstwa Johna Andersa, każdy szczegół pasował dokładnie do opowiadania Pungushe. Mark poczuł, że skręca go i niemal mdli od tego, co właśnie usłyszał, ale zaryzykował pytanie.

– Dlaczego pozwoliłeś, by umierał tak długo – czemu go nie dobiłeś?

– To miało wyglądać na wypadek. – Hobday nadal trzymał głowę nisko. – Tylko jeden nabój. Człowiek nie postrzelił się dwa razy przez przypadek. Musiałem pozwolić mu umrzeć, kiedy nadejdzie jego czas.

Wściekłość i nienawiść Marka nie znała miar ni granic. Ruth wciągnęła powietrze z dźwiękiem podobnym do szlochu i Sean Courteney znów otworzył oczy.

– Dobrze się czujesz, moja droga?

Przytaknęła głową w milczeniu i Sean zwrócił się do Hobdaya.

– Mów dalej – powiedział.

Na koniec Peter Botes przeczytał całe oświadczenie. Głos łamał mu się i rwał przy bardziej wstrząsających opisach wydarzeń, aż Sean ofuknął go ze złością.

– Czytajże głośniejsze, człowieku.

Zrobił dwie kopie dokumentu i Hobday podpisał każdą z nich niewyraźnym gryzmołem. Potem po kolei złożyli swe podpisy i Sean odcisnął woskową pieczęć urzędową na ostatniej stronie każdego kompletu.

– W porządku – powiedział i zaniósł kopię leżącą na wierzchu do żelaznego sejfu wbudowanego w ścianę za jego biurkiem. – Chcę, by zatrzymał pan i wciągnął do akt drugą kopię. Dziękuję za pomoc, panie Botes.

Zamknął sejf i zwrócił się ku zebrany w pokoju.

– Marku, czy mógłbyś zadzwonić teraz do doktora Achesona? Przypuszczam, że jednak powinien zająć się naszym świadkiem. Chociaż jeśli o mnie chodzi, pozwoliłbym mu cierpieć.

Kiedy doktor Acheson dotarł do Lion Kop, była już druga nad ranem i Ruth zaprowadziła go do pokoju gościnnego, w którym ulokowano Hobdaya.

Sean Courteney i Mark zostali w gabinecie, gdzie siedzieli milcząc na wprost kominka, w którym płonął wesoło rozpalony przez służącego ogień. Deszcz bębnił, a wiatr napierał na okna. Sean popijał whisky, której Mark dolewał mu dwa razy w ciągu minionej godziny. Siedział teraz wygodnie rozparty w swym ulubionym fotelu, stary, zmęczony i przybity żalem, trzymając szklanekę w obu dłoniach.

– Gdybym miał dość odwagi, sam posłałbym mu kulkę – jak wściekłemu psu. Ale wciąż jeszcze jest moim synem, bez względu na to, jak często temu zaprzeczam. Jest krwią z mojej krwi, z moich łędźwi.

Mark milczał do chwili, gdy do pokoju weszła Ruth.

– Doktor Acheson nastawia teraz ramię temu mężczyźnie – powiedziała. – Będzie zajęty tym przez najbliższą godzinę, ale myślę, że ty powinieneś się już położyć, mój drogi. –

Podeszła do fotela Seana i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. – Wszyscy mamy dość wrażeń jak na jeden dzień.

Nagle zadzwonił stojący na biurku telefon. Był to wysoki irytujący ton, który przestraszył ich wszystkich. Gapili się nań przez parę sekund, nim zadzwonił znów ponagląco. Ruth podeszła i podniosła słuchawkę.

– Ruth Courteney – powiedziała cicho, niemal bojaźliwie.

– Pani Courteney, czy jest pani matką pani Storm Courteney?

– Tak, zgadza się.

– Obawiam się, że mam bardzo złe wieści. Mówi superintendent szpitala Addington w Durbanie. Pani córka uległa wypadkowi samochodowemu. Ten deszcz i błoto, obawiam się. Jej syn, pani wnuk, poniósł śmierć na miejscu. Dzięki Bogu nie cierpiał, ale pani córka jest w krytycznym stanie. Czy mogłaby pani przyjechać tu tak szybko, jak to jest możliwe? Mamy poważne obawy, czy przeżyje tę noc.

Słuchawka wypadła z ręki Ruth. Zachwiała się na nogach, a krew odpłynęła z jej twarzy, pozostawiając śnieżną, upiorną biel.

– O Boże! – wyszeptała i zaczęła osuwać się na ziemię. Mark złapał ją w ramiona i położył na sofie.

Sean podszedł do wiszącej bezwładnie słuchawki i podniósł ją.

– Tu generał Courteney. Kto mówi? – warknął ze złością.

Mark prowadził dużego rollsa w dół pochyłego wirażu skręcającego w kierunku mostu z dużą szybkością. Kobieta, którą kochał, matka jego nieżyjącego dziecka była umierająca – i serce Marka krwawiło. Droga była pokryta grubą warstwą czekoladowego błota, rozjeżdżonego przez samochody i pobrużdżonego tak, że przemieniły się w paskudne, mętne bajoro. Rolls zarzucał i ślizgał się na zakrętach, jednak Mark walczył dzielnie z kierownicą.

Most nad Baboon Stroom leżał 450 metrów przed nimi, ale był nadal niewidoczny w potokach zacinającego nieustannie deszczu. Reflektory oświetlały nie więcej niż półtora metra drogi przed nimi, oślepione strumieniami białych kropel grubych jak pociski.

Na tylnym siedzeniu trwała w milczeniu, patrząc przed siebie nie widzącymi oczami, Ruth Courteney. Postawiła wysoko kołnierz futrzanego płaszcza, tak że ukryła w nim prawie całą twarz. Zdawała się mała, drobna i bezbronna jak dziecko.

Generał Sean Courteney siedział obok Marka i przemawiał cicho jakby sam do siebie.

– Czekałem z tym zbyt długo. Byłem starym upartym głupcem. Żądałem zbyt wiele od niej – chciałem, by była czymś lepszym, niemal nadludzkim. Potem oceniłem ją surowo, kiedy nie dorosła do standardów, które wymyśliłem dla niej. Powinienem był pojechać po nią dawno temu, a teraz może być za późno.

– Nie, nie jest za późno! – zaprzeczył Mark. – Będzie żyła. Ona musi żyć.

– Jest za późno dla mego wnuka – wyszeptał Sean. – Nigdy go nie widziałem. Dopiero

teraz rozumiałem, jak bardzo chciałem...

Na wspomnienie małego Johna Mark znów poczuł niemal ból w trzewiach i chciał krzyknąć: Był moim synem! Moim pierworodnym! Siedzący przy nim Sean przemówił znów.

– Byłem złośliwym, nie potrafiącym wybaczać starym człowiekiem. Niech Bóg zlituje się nade mną, ale posunąłem się nawet do tego, że wykreśliłem rodzoną córkę ze swej ostatniej woli. Wydziedziczyłem ją, a teraz nienawidzę się za to. Gdyby tylko dane mi było zdążyć do niej na czas, gdybym mógł porozmawiać z nią jeszcze jeden raz. Proszę cię, Boże, nie odmawiaj mi tego.

Tuż przed nimi stalowe barierki mostu wyłoniły się z mroku, gdy błyskawica odbiła się od brzucha chmury. Przez chwilę Mark widział pajęczynowatą stalową konstrukcję mostu kolejowego spinającego oddalone od siebie o dwadzieścia metrów brzegi. Skaliste ściany rozpadliny opadały prawie pionowo na pięć metrów w dół ku wezbranym, pędzącym wodom Baboon Stroom.

Mark nacisnął hamulec i zredukował bieg, starając się nie utracić kontroli nad rollsem, kiedy wjeżdżał na most. Nagle oślepiające światło rozświetliło mrok po prawej stronie drogi i Mark poderwał dłoń, by osłonić oczy. Z ciemności wypadł na nich ogromny ciemny kształt, dwa błyszczące reflektory łypały na nich niczym złowieszcze ślepie, kiedy pojazd zbliżał się.

Z nagłą jasnością umysłu zrozumiał, że rolls jest zamknięty w pułapce na rampie wjazdowej na most i że z lewej strony tylko słaba poręcz ze stalowych rurek chroni ich przed spadkiem w dół. Widział już, że ogromny pojazd zbliżający się z prawej uderzy w nich i zepchnie rollsa przez barierkę w przepaść, jakby był dziecinną zabawką.

– Trzymajcie się! – krzyknął i obrócił kierownicę, by spotkać się z ryczącym stalowym potworem. Oślepiające białe światło cięło go po oczach.

Peter Botes zjechał z drogi pomiędzy sosny i wyłączył silnik packarda. Było tak cicho, że słyszał gałęzie drzew szumiące na wietrze i niespokojne krople deszczu bębniące o dach.

Peter zapalił papierosa, przyglądając się, jak zapałka tańczy w jego skulonych dłoniach. Zaciągnął się głęboko i czekając, aż zacznie czuć uspokajające działanie dymu tytoniowego, gapił się na prosty podjazd prowadzący do Great Longwood, posiadłości Dirka Courteneya. Wiedział, że decyzja, którą jest zmuszony teraz podjąć, jest najważniejsza w całym jego życiu, i że cokolwiek zdecyduje, jego życie się zmieni.

Kiedy nastąpi upadek Dirka Courteneya, pociągnie za sobą tych, którzy byli najbliżej niego, nawet tych niewinnych, równie niewinnych co on sam. Skandal i wina splamią go, i to, na co tak ciężko pracował. Jego prestiż, kariera i związane z tym rozkosze życia, którymi nauczył się cieszyć. A teraz miałyby to zniknąć i musiałby zaczynać wszystko od początku, być może w innym mieście, nawet prowincji. Ta myśl wydała mu się odstręczająca, przyzwyczał się do bycia człowiekiem ważnym i wpływowym. Nie wiedział nawet, czy podolałbym nowemu startowi.

Z drugiej zaś strony, jeśli upadek Dirka Courteneya nie nastąpi, jeśli zostanie uratowany od niechybnej śmierci – jak wdzięczny może być człowiek za swe zbawienie? Znał rozmiary fortuny i władzy Dirka Courteneya, a właśnie nadarzała się okazja, by część tego, może nawet niemała, przypadła jemu, Peterowi Botesowi, który ocali Dirka Courteneya, jednocześnie zachowując rzecz, która go może zniszczyć.

Była to jedna z tych rzadkich chwil stworzonych przez przeznaczenie, pomyślał Peter, chwil, które trafiają się tylko czasami paru wybrańcom. Z jednej strony dyshonor i hańba – z drugiej zaś władza i bogactwo, dziesiątki tysięcy, a może nawet miliony.

Zapalił silnik packarda. Tylne koła ślizgały się w błocie, kiedy wytaczał samochód na drogę, kierując się ku wzgórzu.

Dirk Courteney siedział na brzegu biurka, machając leniwie nogą. Był ubrany w szlafrok z wzorzystego jedwabiu, tak połyskliwego, że łąpał światło lampy przy każdym ruchu. Pod brodą miał przewiązaną białą jedwabną apaszkę. Oczy w przystojnej twarzy były przejrzyste i czujne, jakby nie został właśnie obudzony z głębokiego snu.

Przysłuchiwał się uważnie, zabawiając się starym, używanym kiedyś w pojedynkach pistoletem, którym kręcił, zaczepiwszy go na palcu wskazującym. Peter Botes przycupnął nerwowo na brzegu krzesła. Mimo że w kominku płonął ogień, który Dirk właśnie rozniecił, podrzucając parę suchych drzazg, wstrząsały nim dreszcze, a dłonie wciąż pocierał o siebie. To zimno tkwiło głęboko w jego duszy, zrozumiał to i ciągnął dalej nieco podniesionym, dla dodania sobie otuchy, głosem.

Dirk Courteney nie odzywał się, nie komentował ani nie wybuchał okrzykami zdziwienia, nie zadawał żadnych pytań, nim Peter nie zamilkł. Robił pistoletem dwa pełne obroty i rękojeść uderzała w wewnętrzną stronę dłoni. Dwa obroty i trzask.

Kiedy Peter Botes skończył mówić, odciągnął kurek pistoletu. Chrzęst mechanizmu broni zabrzmiał zaskakująco głośno w ciszy pokoju.

– Hobday, mój ojciec, jego żona, młody Anders – i ty. Jesteście jedynymi, którzy wiedzą o tym.

– Jest jeszcze ten Zulus.

– I ten Zulus – zgodził się Dirk. Kurek znów uderzył w panewkę. – W ilu kopiach sporządzono to oświadczenie?

– W jednej – skłamał Peter. – Jest w żelaznym sejfie w gabinecie generała.

Dirk skinął głową i znów odwiódł kurek pistoletu.

– W porządku. Jeśli jest jeszcze jedna kopia, to ty ją masz – powiedział. – Ale przecież my nie mamy w zwyczaju okłamywać się, prawda, Peter?

Po raz pierwszy zwrócił się doń po imieniu, co zabrzmiało poufale, ale i groźnie. Peter mógł zdobyć się tylko na kiwnięcie głową. Czuł nieznośną suchość w gardle.

Dirk szczęknął kurkiem i uśmiechnął się. Był to ciepły, uroczy uśmiech, szczerzy

i przyjacielski. Peter znał go dobrze.

– Za bardzo kochamy się, by robić coś takiego, nieprawdaż? Dlatego przyszedłeś z tym właśnie do mnie, tak? Dlatego, że się kochamy?

Peter nie odezwał się i Dirk ciągnął dalej wciąż uśmiechnięty.

– Rzecz jasna, to uczyni cię bogatym człowiekiem, Peter, jeśli zrobisz to, o co cię poproszę. Czy zrobisz to, o co cię poproszę, Peter?

Peter znów przytaknął.

– Tak, oczywiście – wymamrotał.

– Chcę, byś zadzwonił gdzieś dla mnie – powiedział Dirk. – Jeśli będziesz mówił przez chusteczkę, będzie to wyglądało na rozmowę zamiejscową i dostatecznie zniekształci twój głos. Nikt cię nie pozna. Czy zrobisz to, o co proszę?

– Oczywiście – powiedział Peter.

– Zadzwonisz do domu mego ojca i będziesz rozmawiał tylko z nim albo z jego żoną. Chcę, byś przedstawił się jako superintendent szpitala w Addington. Oto, co masz im powiedzieć...

Dirk Courteney siedział w zaciemnionej kabinie ciężarówki i wsłuchiwał się w deszcz. Porządkował swój plan i obmyślał taktykę punkt po punkcie. Nie lubił być zmuszany do działania w pośpiechu, bez czasu na szczegółowe zaplanowanie wszystkiego. Łatwo było wtedy przeoczyć jakiś ważny szczegół. Nie lubił też wykonywać tego typu roboty osobiście. Zawsze lepiej było wysłać kogoś innego. Nie lubił podejmować ryzyka, już nie, chyba że nie było innego wyjścia.

Wszelkie żale i obawy były tu nie na miejscu i absorbowwały tylko czas przed podjęciem konkretnego działania. Skupił się więc na planowaniu.

Wezmą rollsa i będzie ich troje, generał ze swoją żydowską kurwą i ten arogancki intrygant Anders.

Dirk obrał miejsce ze szczególną rozważą. Ciężarówka rolnicza była załadowana wysoko pięćdziesięcioma tonami karmy dla koni. Trzy tony litej wagi. To powinno dać siłę rozpędu wprost niemożliwą do zatrzymania.

Kiedy już będzie po wszystkim, będzie musiał zadbać o dwie rzeczy, ale na razie musi sprawić, by stały się możliwe. Miał ze sobą długą ołowianą rurkę owiniętą w hessian. *[gruba tkanina jutowa używana do opakowań i jako materiał izolacyjny.]* Rozłupie czaszkę, nie uszkadzając przy tym skóry.

Potem musi pamiętać o zabraniu generałowi kluczy. Klucz do sejfu powinien być na kółku przy dewizce zegarka. Myśl o ograbieniu martwego ciała ojca nie przyprawiła go o najmniejszy dreszcz. W tej chwili przejmował się tylko tym, czy zdoła odnaleźć te klucze. Musiał więc zadbać o to, by rolls nie stanął w płomieniach ani też nie stoczył się w ryczące odmęty Baboon Stroom.

Gdyby jednak do tego doszło, musiałby liczyć na to, że generał nie zmienił swych nawyków od dwudziestu lat. Wtedy chował zapasowy klucz do sejfu w piwnicy z winami, za półką, na której trzymano szampana. Dirk odkrył skrytkę jeszcze jako chłopiec, bawiąc się kiedyś w piwnicy. Dwa razy wykorzystał klucz do własnych potrzeb, ale za każdym razem odkładał go na miejsce. Generał był jak stary kocur, nie zmieniał swoich przyzwyczajzeń. Klucz pewnie chowa tam gdzie dawniej.

Dobrze więc, potem sejf. Dwa klucze. Jeśli nie uda mu się zdobyć żadnego z nich, sejf jest w końcu bardzo stary, jednak wolałby nie otwierać go siłą. Musiał liczyć na te klucze, był zadowolony z faktu, że przynajmniej są dwie możliwości.

Oświadczenie praktycznie już należało do niego, trzeba było je tylko spalić, a wtedy zostawał sam Hobday. Umieścili go pewnie w jednym z pokoi gościnnych. Uśpiony i bezbronny. Znów posłuży się ołowianą rurką, a potem przewróconą lampą parafinową. To był bardzo stary dom o suchym szkielecie. Będzie płonął jak stos ofiarny z Hobdayem leżącym niby wódz wikingów.

No i Peter Botes. Dirk zerknął na niego kątem oka. Tak, tę sytuację miał całkowicie pod kontrolą. Nie była w niczym gorsza od pięćdziesięciu podobnych, które przeżył. Wymagała tylko błyskawicznego, bezpośredniego działania. Przemówił, by podtrzymać Petera na duchu.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Po dzisiejszej nocy czeka cię nowe życie. Zabiorę cię ze sobą w podróż do bogactwa i władzy, Peter. Nigdy nie będziesz musiał żałować dzisiejszej decyzji, przysięgam ci to.

Ścisnął ramię Petera w ciemnościach. Oczywiście, że to on ma drugą kopię oświadczenia, pomyślał Dirk, ale będzie na to mnóstwo czasu później – dość czasu, by sprawdzić wszystko i pozbyć się tego pompatycznego, drobnego zarozumialca. Za jakiś rok, kiedy podniecenie tą sprawą opadnie, ulegnie małemu wypadkowi i będzie po wszystkim.

– Masz rewolwer? – zapytał.

Peter przełknął nerwowo ślinę. W dłoniach ściśniętych między kolanami trzymał obły wojskowy model rewolweru Smith & Wesson.

– Staraj się go nie używać – ostrzegł Dirk po raz kolejny. – Chyba że w ostateczności. Nie chcemy, by znaleźli potem rany postrzałowe. Zrozumiałeś?

– Tak, rozumiem.

– Ty jesteś polisą ubezpieczeniową. Tylko tyle. Moim ubezpieczeniem.

W ciemnościach za oknem, poprzez skośnie zacinające strzały deszczu, pojawił się błysk światła i zaraz zniknął, by pojawić się znów wyżej na zboczu.

– Jada – powiedział Dirk i włączył motor ciężarówki.

Mark skręcił gwałtownie kierownicą w prawo, naciskając jednocześnie gaz do deski. Próbował uniknąć kolizji i skierować pojazd na skraj mostu.

Siedząca tuż za nim Ruth Courteney krzyknęła przejmująco. Markowi zdawało się, że

manewr udał się, przez ułamek sekundy myślał, że nagłe przyspieszenie pchnęło rollsa naprzód, ale ciężarówka uderzyła w nich mocno, zataczając się wściekle, i poczuł impet każdym ścięgnem ciała.

Ciężarówka trafiła rollsa na wysokości tylnych kół i duży ciężki samochód zarzuciło bokiem, odrywając dłonie Marka od kierownicy i rzucając nim o drzwi. Poczuł, że kości w klatce piersiowej pękają jak suche gałązki, a potem świat zawirował, kiedy rolls okręcił się wokół własnej osi. Pióropusz jasnych białych iskier rozbłysł niczym ogon meteoru w ciemnościach, kiedy stal tarła morderczo o stal. Nastąpiło kolejne szarpnięcie – rolls wyłamał barierkę mostu i stoczył się beładnie w czarną otchłań.

Na tylnym siedzeniu Ruth znów krzyczała, ale rolls ponownie uderzył z przeraźliwym, wstrząsającym zgrzytem o skalną ścianę rozpadliny i odbijając się od niej potoczył się dalej w przepaść.

Mark był wciśnięty w boczne drzwi siłą przyspieszenia spadającej masy, ale przy kolejnym uderzeniu drzwi zostały wyrwane i wyrzuciło go niczym kamień z procy prosto w bezdenną ciemność.

Zobaczył zapalone reflektory rollsa spadające w oślepiającym wirze daleko pod nim. Przepaść dźwięczała żelaznym echem stali uderzającej o skały i szaleńczym rykiem silnika rolls-royce'a zablokowanego na najwyższych obrotach.

Mark zdawał się spadać bez końca, przecinając ciemność, a potem nagle uderzył z siłą, która wytrąciła mu dech z piersi. Przez chwilę był pewien, że jego ciało na skalnym progu jest zmiażdżone na krwawą masę, ale zaraz zalały go lodowate strumienie pędzącej wody. Został wyrzucony tak daleko, że wpadł do rzeki.

W przeblyskach świadomości walczył o haust powietrza, o utrzymanie głowy nad powierzchnią wody, kiedy znów zalała go zimna bezwzględna fala. Błyszczące, czarne otoczaki wyłoniły się z ciemności jak banda rozbójników, chwytając go za nogi, waląc w bolącą klatkę piersiową, wpadając na niego z ogłuszającą, rażącą siłą nawałnicy. Lodowata woda wlewała się strumieniem do jego ściśniętego gardła, paląc mu płuca i zmuszając do krztuszenia się i walki o każdy oddech.

Ześlizgując się w głębiny pędzących białych odmętów, poczuł, że zetknięcie z szorstką skałą zdiera mu skórę z biodra i ramienia. Wreszcie odbił się od dna i wypływając zaklinował między dwoma ogromnymi głazami. Tkwiły nad nim w ciemnościach jak ponure kamienie nagrobne. Ich szczęki przytrzymały go, a woda targała nim w przeciwną stronę, jakby nie chcąc pogodzić się ze stratą łatwej zdobyczy i próbując go odzyskać.

Było tam trochę światła, akurat tyle, by mógł rozróżnić kształty i ocenić odległość. Mark zdziwił się, wysilając umysł galaretowaty od uderzeń i z niedotlenienia. Spojrzał załzawionymi oczami w górę i stwierdził, że ciężarówka stoi zaparkowana przy wjeździe na most wysoko nad przepaścią. Jej reflektory omiały stalową konstrukcję, światło załamywało się i rozpraszało w strugach deszczu. Odbijało się rozmazaną niepewną poświatą o dół

otchłani.

Prócz tego było jeszcze jedno, znacznie bliższe, źródło silnego światła. Zmiażdżona karoseria leżała u stóp urwiska, na wpół zanurzona w wodzie. Tkwiła na dachu z wszystkimi czterema kołami kręcącymi się leniwie, ale reflektory wciąż płonęły dziko, godząc w nierówne skalne ściany i przydając im teatralnego, dramatycznego oświetlenia.

Mark rozejrzał się wokół i stwierdził, że prąd zaniósł go aż pod urwisko. Tuż nad głową miał ostry występ skalny z błyszczącego kamienia. Wyciągnął ku niemu prawą rękę i krzyknął, kiedy palce dotknęły występu. Porażający błysk bólu przeszył jego nadgarstek. Coś tam było złamane, zrozumiał przytulając się rozpaczliwie do śliskich otoczków, jednocześnie starając się zmusić palce prawej dłoni do rozwarcia się lub zaciśnięcia.

Nurt wody był zbyt silny, by przeciwstawiać mu się dłużej. Poczuł, że ześlizguje się po otoczkach i grozi mu ponowne zanurzenie się w brunatnych odmętach. Był świadom, że nie dalej jak dziesięć kilometrów w dół nurtu rzeka opada wodospadem, grzmiąc i pieniając się po stromej skarpie.

Rozluźnił uchwyt lewej ręki i rzucił się naprzód całym ciężarem ciała. Jego palce zaczepiły się o ostrą krawędź występu nad głową, a ciało zawisło niczym wahadło. Żarłoczne wody łapały go za kolana, testując siłę tego chwytu i starając się oderwać go. Spróbował rozewrzeć zakrzywione palce, aż zdarł paznokcie, wyciskając spod nich krople krwi. Wolno, w paralizującym bólu zgiął zaczepione ramię w łokciu i podciągnął ku górze kolana, wrywając je z morderczego ssania.

Wisiał tak dłuższą chwilę, zbierając w sobie resztki sił i zdecydowania. Ostatnim konwulsyjnym ruchem wyrzucił prawe ramię w górę i zahaczył łokciem o występ, dołączając do niego zaraz lewy łokieć.

Znów chwila odpoczynku. Uniósł głowę. Grzmot wody w rzece zagłuszał wszelkie inne dźwięki, więc nie usłyszał chrzęstu luźnych kamieni pod butami Dirka, który zszedł w dół po prawie pionowej ścieżce. Mark nie zdziwił się nawet, widząc go – wydawało mu się czymś zupełnie naturalnym, że Dirk powinien być tam, na miejscu katastrofy.

Był ubrany w bryczesy myśliwskie, buty sięgające połowy łydki, grubą marynarską kurtkę i wełnianą czapkę nasuniętą nisko na oczy.

Ześlizgnął się po ostatnich trzech metrach skały, nie tracąc jednak równowagi. Stąpił lekko jak tancerz. Zatrzymał się na półce skalnej tuż przy rozbitym rollsie. Uważnie rozejrzał się wokół, oświetlając latarnią cienie i załomy skał.

Mark przylgnął do podłoża, ale na razie znajdował się poza zasięgiem lampy.

Dirk skierował strumień światła na rollsa i Mark aż jęknął, porażony widokiem, który wyłonił się z nocy.

Generał Courteney leżał na wpół wyrzucony przez ramę po wybitej przedniej szybie samochodu. Maszyna całym swym ciężarem przetoczyła się po górnej części jego tułowia, odcinając niemal głowę. Gęsta siwa broda była przesiąknięta jasną krwią, która lśniła

w świetle lampy jak rubiny.

Dirk Courteney nachylił się nad nim i wymacał aortę, szukając pulsu. Mimo okrutnych ran musiał wyczuć słabe tętno uparcie tłące się życia. Dirk poruszył głową, oczy miał szeroko otwarte ze zdziwienia. Uniósł w górę krótką, grubą pałkę, owiniętą w chropowaty brązowy hessian. Sposób, w jaki ją trzymał, jednoznacznie wskazywał na jego zamiary.

Mark chciał krzyknąć, ale chrapliwy jęk został zagłuszony przez huk wody. Dirk uderzył ojca w skroń tuż nad prawym uchem, gdzie mokre siwe loki przylegały do czaszki, i Markowi zdawało się, że czuje to uderzenie w swej duszy. Następnie Dirk nagnął palcem skroń, badając spustoszenie, które poczyniła pałka, nierówne krawędzie pogruchotanych kości czaszki zgrzytały ostro.

Twarz Dirka nie wyrażała żadnych uczuć, była zimna i beznamiętna. Potem zrobił coś, co wydało się Markowi nawet bardziej szokujące niż brutalne, śmiertelne uderzenie. Lekkim dotknięciem opuszków palców zamknął powieki na martwych oczach Seana Courteneya. Przykląkł na jedno kolano i pocałował mocno zaciśnięte usta ojca, mając twarz zimną niczym maska. Było to działanie wypaczonego umysłu i w tej właśnie chwili Mark zrozumiał, że Dirk Courteney jest szalony.

Wtem zachowanie Dirka uległo całkowitej przemianie. Ręce zatraciły lekkość dotyku, stając się znów precyzyjne i profesjonalne.

Przetoczył ciało Seana, rozpiął płaszcz z wielbłądziej wełny i wprawnie przeszukał kieszenie. Wyciągnął złotą dewizkę zegarka wraz z kluczami i złotym brelokiem. Obejrzał je pobieżnie i wsunął do swej kieszeni. Następnie wstał i podszedł do tylnych drzwi rollsa. Szarpał chwilę za klamkę, nim drzwi ustąpiły i bezwładne ciało Ruth Courteney rozciągnęło się u jego stóp. Chwycił garść gęstych ciemnych włosów i odchylił głowę do tyłu, znów uderzył pałką w skroń i znów zbadał czaszkę jak lekarz stawiający diagnozę. Usatysfakcjonowany, wziął bezwładne, jakby dziecinne ciało Ruth Courteney na ręce, zaniósł na brzeg rzeki i rzucił ją w odmęty. Zniknęła w tej samej chwili, porwana ciemnym nurtem w dół ku wodospadom, które potoczą jej ciało ku dolinie Ladyburga i wyrzucą tak okrutnie skatowane na brzeg, że w umyśle koronera nie pojawi się nawet cień wątpliwości co do przyczyny jej śmierci.

Mark był osłabły od odniesionych ran i z wyczerpania, ciało miał obolałe i nadwężone ponad wszelkie granice. Nie mógł zdradzić swej obecności, widząc, jak Dirk pochyla się i chwytając ojca za kostki u nóg. Powłókł ciężkie ciało generała ku brzegowi, odchylając się w tył pod oporem martwej materii. Mark ukrył twarz w dłoniach i załkał szlochem, który wnikał głęboko w rany jego piersi.

Kiedy uniósł głowę, ciała Seana Courteneya już nie było, a Dirk zbliżał się do miejsca, w którym leżał. Podążając ostrożnie wzdłuż wąskiej półki skalnej, przeczesywał ciemności światłem lampy. Omiótł ciemne, skłębione wody, obejrzał każdą piędź skalnego tarasu, szukając jego – szukając Marka. Musiał wiedzieć, że był w rollsie. Reflektory ciężarów

zaświeciły mu przecież prosto w twarz w chwili tragicznej kolizji. Dirk wiedział, że musi on gdzieś tam być. Mark przeturlał się na bok, próbując rozpiąć guziki kurtki, ale odruchowo chciał to zrobić prawą dłonią i niemal załkał z bólu. Teraz już lewą dłonią oddzierał guziki i wysuwał się z mokrego odzienia. Nasiąknięty materiał opierał się każdemu jego ruchowi i kiedy wreszcie uwolnił się, Dirk był niecałe piętnaście metrów od niego, zbliżał się szybko, stąpając czujnie po wąskiej skalnej półce z lampą w jednej ręce, a ołowianą pałką wiszącą u drugiej.

Leżąc na brzegu rzeki, Mark próbował zepchnąć kurtkę, tak by spadła po skałach w nurty przepływające poniżej, ale nie miał czasu upewnić się, czy mu się to udało. Dirk Courteney był już zbyt blisko.

Mark przetoczył się aż do stóp urwiska, powstrzymując okrzyk bólu, kiedy połamane żebra i nadgarstek starły się gwałtownie ze skalną ścianą. Na skraju skarpy wystawał płytki ciemny komin skalny osłonięty od światła lampy i reflektorów, i tam Mark powstał na nogi. Dirka Courteneya nie było widać zza załomu skały, ale krąg światła lampy bujał się, podskakując przy każdym kroku.

Mark zwrócił się twarzą do skalnej ściany i zebrał w sobie resztki sił. Złość wciąż tłąca się małym płomykiem w jego piersi spowodowała przyływ energii. Nie potrafił ocenić, czy da sobie radę, ale zaczął wspinać się powoli i niezdarnie ku górze. Przywieriał na chwilę do mokrych zimnych skał podobny do pełzającego owada, po czym brnął dalej.

Przebył niecałe dziesięć metrów, kiedy zauważył, że Dirk Courteney zatrzymał się na progu skalnym dokładnie pod nim. Zamarł znieruchomiały, resztkami instynktu bezbronnego zwierzęcia. Wiedział, że jeśli Dirk uniesie lampę nieco w górę, zostanie odkryty. Czekał na ten moment z tępą rezygnacją wołu w rzeźni.

Dirk znów sprawdził okolice uważnie. Zataczał lampą szerokie łuki, oświetlając oba brzegi, i właśnie miał unieść ją ku skale, na której wisiał bezradnie Mark, kiedy coś przykuło jego uwagę. Kurtka Marka zaczepiła się o jeden z kamiennych otoczków i Dirk ukląkł na jedno kolano i wyciągnął ramię, by ją schwycić.

To był moment zwłoki tak potrzebny Markowi. Cała uwaga Dirka była teraz skupiona na porzuconej kurtce, a huk i pęd wody zagłuszały hałaśliwe postępy nóg Marka prącego uparcie ku górze.

Nie spojrzął w dół, aż nie podciągnął się kolejne piętnaście metrów w górę. Wtedy dopiero zobaczył, że kurtka spełniła swe zadanie jako przynęta. Dirk Courteney zszedł trzydzieści metrów w dół rzeki i stał na brzegu stromego wodospadu, wpatrując się w bezlitosny okrutny spadek wody. W ręku trzymał przemoczoną ciężką kurtkę Marka. W świetle lampy woda była ciemna i gładka jak olej. Przelewając się przez brzeg i spadając w głębinę, przemieniała się stopniowo w gęstą białą pianę.

Dirk wrzucił kurtkę do wody i odszedł o krok od brzegu urwiska. Przysiadł wygodnie na piętach i zupełnie spokojnie wyjął z kieszeni i przypalił cygaro. Wyglądał jak robotnik

wykorzystujący przerwę po wykonaniu ciężkiej, sprawiającej mu satysfakcję pracy.

Ta banalna prosta czynność, błysk siarki zapalki i pełne zadowolenia pykanie błękitnego dymu w świetle lampy, najprawdopodobniej uratowała życie Markowi. Rozpaliła jego nienawiść do tego stopnia, że zagłuszyła ból i wycieńczenie ciała. Napędziła go wolą, by iść naprzód, i znów ruszył.

Momentami poczucie rzeczywistości opuszczało udręczony umysł Marka. W pewnej chwili jego ciało zaczęło ogarniać wszechobecne uczucie ciepła i wygody, cudowne uczucie, jak pływanie na samym pograniczu snu. Zebrał się w sobie, nim odpadł od ściany i z pełną świadomością uderzył prawą dłoń w grań. Krzyknął z bólu, ale wraz z nim przyszła nowa determinacja.

Nie trwała jednak długo, rozplynęła się w zimnie i bólu i znów zaczął majaczyć. Wyobrażał sobie teraz, że jest jednym z wybrańców króla Chaki i że podąża w ślad za starym władcą w górę po okrutnej ścieżce, aż na sam szczyt Bramy Chaki. Raptem usłyszał, jak mamrocze coś w łamanym zulu. W głowie zabrzmiał mu głęboki rezonujący głos króla wzywający go, dodający mu otuchy i wiedział już, że jeśli podwoi wysiłki i będzie się wspinał szybciej, zobaczy królewskie oblicze. Niecierpliwość sprawiła, że stracił uchwyt i ześlizgnął się, nabierając siły rozpędu na przechyle, aż wreszcie runął na jedno z karłowatych i rozłożystych drzewek wyrastających ze zbocza. Zatrzymało jego upadek, ale znów krzyknął z bólu płynącego z połamanych żeber.

Zaczął wdrapywać się od nowa i wtedy usłyszał głos Storm. Zdawał się tak blisko i słyszał go tak wyraźnie, że zatrzymał się i unióśł twarz ku deszczowi i ciemności. Stała tam, unosząc się ponad jego głową tak piękna, blada i wdzięczna.

– Chodź do mnie, Marku – powiedziała. Jej głos dźwięczał niby srebrny dzwoneczek w jego głowie. – Chodź, mój kochany.

Wtedy już wiedział, że ona żyje, że wcale nie umiera w łóżku szpitalnym, że była przy nim, przyszła, by ukoić jego ból i zmęczenie.

– Storm! – znów rzucił się naprzód i upadł twarzą w krótką mokrą trawę na szczycie skały. Chciał zostać tam na zawsze. Nie był pewien, czy dotarł już na sam szczyt, nie był pewien, czy to nie jest kolejny majak. Być może nie żył już i wszystko się wreszcie skończyło.

Powoli zaczynał uświadamiać sobie krople deszczu na policzkach i kumkanie drzewnych żab w ulewie, zimno oddechu wiatru i z żalem stwierdził, że jednak wciąż żyje. Wtedy zaczął powracać ból. Wpierw odezwał się w nadgarstku i zaczął się wolno rozprzestrzeniać, ale Mark nie zastanawiał się nawet, czy ma jeszcze dość sił, by z nim walczyć i pokonać go.

Potem nagle w jego wyobraźni uformował się zupełnie jasno obraz Dirka Courteneya stojącego nad ciałem dziadka Johna z pałąk uniesioną w górę – i po raz drugi złość uratowała Marka.

Zwłóknął się na kolana i popatrzył wokół siebie. Trzydzieści metrów dalej zaparkowana

przy podjeździe na most stała ciężarówka. W świetle jej gorejących reflektorów zobaczył postać mężczyzny. Z potwornym, wyczerpującym do cna wysiłkiem Mark zdołał powstać na nogi i chwiejąc się, długo musiał zbierać się w sobie, nim zrobił kolejny krok.

Peter Botes stał w deszczu. W opuszczonej wzdłuż ciała dłoni trzymał rewolwer. Ulewa zmoczyła jego rzadkie płowe włosy i ściekała po policzkach i czole, zmuszając go do wycierania twarzy wciąż lewą dłonią. Deszcz przemoczył też jego płaszcz, tak że dygotał gwałtownie w równej mierze ze strachu, co z zimna.

Znalazł się nagle w samym centrum wielkich wydarzeń, na które nie miał najmniejszego wpływu, otaczała go pajęczyna, z której nie było drogi odwrotu, mimo że jego umysł jurysty wyteżał się, chcąc ją znaleźć.

Współdział w morderstwie – przed i po fakcie.

Nie chciał wiedzieć, co dzieje się tam na dole u stóp skały, a mimo to czuł wprost chorobliwą fascynację wypadkami.

Nie tak to sobie wyobrażał, decydując się pójść do Dirka Courteneya. Spodziewał się wymiany paru zdań, po której będzie mógł odejść, udając, że to nigdy nie miało miejsca, wdrapując się do ciepłego łóżka obok żony i naciągając koc na głowę. Nie był przygotowany na potworności i przemoc, na rewolwer w dłoni i paskudne krwawe porachunki na dole.

Kara śmierci – pomyślał i znów zadrżał. Chciał uciec, ale teraz nie miał już dokąd.

– O Boże, dlaczego ja to zrobiłem? – wyszeptał na głos. – Tak bym chciał, Boże, chciałbym, Boże, chciałbym... – odwieczne skamlenie słabeusza, nie dopowiedział jednak życzenia. Tuż za nim rozległ się jakiś hałas i zaczął zwracać się w jego kierunku, unosząc broń i mierząc z niej z obiema rękami wyciągniętymi wprost przed siebie.

Z ciemności zbliżała się ku niemu postać i Peter otworzył usta do krzyku. Postać ta była zlepkiem krwi i błota, o pobladłej zniekształconej twarzy. Nadeszła tak szybko, że nie zdążył krzyknąć, krzyk nie zdążył dotrzeć do ust.

Peter Botes był człowiekiem słów i planów, miękkim małym człowieczkiem ze świata biurek i sutyh obiadków, a człowiek, który wyszedł na niego, był żołnierzem.

Mark ukląkł na nim w błocie, sapiąc i trzymając się za zębra, czekał, aż ból spowodowany nagłym ruchem uspokoi się, a rozgwieżdżony obraz przed oczami rozplynie się.

Spojrzał na mężczyznę leżącego pod nim. Jego twarz była ukryta w błocie, więc chwycił za włosy i przekręcił głowę na chudych ramionach, nie chcąc pozwolić, by się utopił. Dopiero wtedy go poznał.

– Peter! – wyszeptał ochryple. Poczuł, że zmysły znów płatają mu figla, nie do końca pewien, czy to nie kolejny omam.

Dotknął warg nieprzytomnego mężczyzny. Były ciepłe i miękkie jak u dziewczyny.

– Peter – powtórzył bezmyślnie i nagle wiedział już wszystko. Nie wymagało to wcale analizowania krok po kroku. Zrozumiał teraz, skąd Dirk wiedział, gdzie ma zastawić pułapkę.

To Peter był zdrajcą, a Storm i dziecko posłużyli jako przynęta. Wiadomość o wypadku była kłamstwem. Był pewien, że Storm i maleństwo śpią bezpiecznie w przytulnej sypialni domku przy plaży – i ta świadomość uskrzydliła go.

Wyciągnął rewolwer Smith & Wesson z błota i wytarł go dokładnie o brzeg koszuli.

Dirk Courteney zatrzymał się u wylotu ścieżki. Był tylko trochę zdyszany od wspinaczki, ale buty miał oblepione błotem, a deszcz przemoczył ramiona kurtki, tak że lśniła w świetle reflektorów. Oślepiiony światłami samochodu, widział przed sobą tylko nieprzeniknioną strefę ciemności.

– Peter?! – zawołał i uniósł ramię, by osłonić oczy. Zobaczył niewyraźną postać mężczyzny opartego o kabinę ciężarówki i ruszył naprzód. – Załatwione – powiedział. – Nie masz się już czym przejmować. Mam klucz do sejfu, teraz zostały nam tylko drobne porządki...

Zatrzymał się raptem i spojrzał uważnie na oczekującą go postać. Mężczyzna nie poruszył się.

– Peter – jego głos załamał się. – No dalej, człowieku. Weźże się w garść. Mamy jeszcze sporo do zrobienia. – Ruszył naprzód, wychodząc z kręgu reflektorów. – Która to już godzina? – zapytał. – Zrobiło się chyba dość późno.

– Tak – głos Marka był niski i niewyraźny. – Dla ciebie jest już za późno.

Dirk stanął, wpatrując się w niego. Milczenie zdawało się rozciągać w nieskończoność, ale Dirkowi zajęło tylko sekundę, by zauważyć rewolwer i poznać bladą pomazaną błotem twarz. Wiedział, że zaraz nastąpi strzał, i chciał opóźnić ten moment choćby o krótką chwilę.

– Wysłuchaj mnie – powiedział szybko. – Zaczekaj.

Jego głos był przekonujący i spokojny, wystarczyło to, by palec zatrzymał się na spuście. Zmienił uchwyt na rączce lampy, którą trzymał w prawej dłoni.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. – Dirk zrobił bezradny gest ramionami i zamachnął się lampą w tył. Potem szerokim łukiem potężnego ramienia cisnął nią w Marka i jednocześnie runął naprzód. Lampa musnęła ramię Marka wystarczająco mocno, by wybić mu broń z dłoni w momencie strzału. Pocisk jednak trafił, pacnął stłumiony odgłos ołowiu miękko wbijającego się w ciało i usłyszał wydech powietrza wytłoczonego z płuc Dirka Courteneya impetem uderzenia.

Duże masywne ciało mężczyzny wpadło na Marka i zatoczyli się razem na kabinę ciężarówki. Poczul, że muskularne ramię obejmuje jego pierś, a twarde palce wbijają się w dłonie, w której trzymał rewolwer.

Już w tym pierwszym starciu Mark zorientował się, że Dirk przewyższa go znacznie siłą i wagą. Gdyby nie był ranny, Mark nie miałby najmniejszych szans. Czuł, jakby dostał się w tryby potężnej maszyny. Zdawało się, że ciało Dirka Courteneya nie składa się z mięśni, ale z twardego brutalnego żelaza.

Połamane żebra Marka poruszyły się w silnym uścisku i wykrzyknął, kiedy ostre brzości

pękniętych kości wbiły się w ciało. Poczul, że ręka, w której trzyma broń, jest wykręcana, a wylot lufy zmierza ku jego twarzy. Dirk uniósł go z ziemi i kręcili się chwilę jak para tańcząca walca. Nagle wprost nadludzkim wysiłkiem i szczęśliwym przeniesieniem ciężaru ciała Markowi udało się postawić nogi z powrotem na ziemi. Wiedział jednak, że teraz nie może wesprzeć się o karoserię ciężarówki i przy następnym tak wielkim wysiłku upadnie twarzą w błoto.

Czul, że Dirk Courteney zbiera się w sobie do kolejnego ataku, balansując lekko ciałem dzięki twardym mięśniom atlety. Mark zrobił desperacką próbę starcia się z nim, ale tamten runął z siłą równie trudną do powstrzymania co nawałnica potężnych fal morskich, pędzących ku plaży.

Potem, kiedy już padał na ziemię, wydarzyło się coś, co graniczyło niemal z cudem. Poczul, że potężne ciało obala się z hukiem, i usłyszał łkający wydech powietrza z piersi Dirka Courteneya. W tej samej chwili brzuch zalała mu obfita fala cieplej, lepkiej cieczy.

Wyczul, że siły opuszczają Dirka Courteneya i że traci on równowagę, a uchwyt na dłoni trzymającej broń zelżał. Widocznie pocisk poczynił jednak znaczne szkody, a wysiłek włożony w walkę rozerwał coś wewnątrz piersi Dirka. Życiodajna krew była wyrzucana z rany grubymi syczącymi fontannami potężnych skurczów serca. Wkładając w to maksymalny wysiłek, Mark odwrócił kierunek wylotu lufy tak, że wycelował prosto w twarz przeciwnika.

Nie mógł uwierzyć, że znalazł w sobie dość sił, by nacisnąć spust. Broń zdawała się wystrzelić samoistnie, a błysk wystrzału oślepił go na chwilę. Impet odrzucił głowę Dirka Courteneya w tył, zupełnie jakby został trafiony w twarz pełnym zamachem kija baseballowego. Upadł do tyłu poza zasięg światła reflektorów i potoczył się w dół po stromym urwisku.

Broń wypadła mu z ręki i osunął się wpierw na kolana, a potem ciężar ciała zwyciężył i padł twarzą w błoto.

To jest ostatnia wola i testament Seana Courteneya pozostającego w małżeńskiej wspólnocie majątkowej z Ruth Courteney (primo voto Friedman, z domu Cohen), obecnie zamieszkałego w posiadłości Lion Kop, dystrykt Ladyburg.

...zapisuję w spadku i pozostawiam wszelkie swe włości i dobra, ruchome i nieruchome, będące w moim władaniu, te które do mnie powróciły, te które nabędę w przyszłości lub wejdę w ich posiadanie przypadkiem, w każdej sytuacji i bez wyjątków swojej żonie Ruth Courteney.

O pierwszym brzasku następnego dnia Mark poprowadził grupę poszukiwawczą w dół stromych brzegów rzeki. Prawe ramię miał na temblaku, a żebra ściśle obwiązane schowanym pod koszulą bandażem. Utykał boleśnie. Znaleźli ciało Seana Courteneya osiemset metrów za ostatnią kataraktą, w miejscu gdzie Baboon Sroom wpadała do doliny.

Leżał na wznak, nie było tam krwi, wody zmyły każdą jej kroplę. Nawet rany były czyste

i odcinały się swoim błękitem od bladości skóry. Prócz wgłębienia na skroni rysy jego twarzy były nietknięte. Biała broda wyschła w słońcu poranka i wiała się dumnie leżąc na piersi. Wyglądał jak wizerunek średniowiecznego rycerza w zbroi i z mieczem przy boku wykuty z kamienia na wieku sarkofagu leżącego w mrocznych katakumbach antycznej katedry.

W przypadku gdy moja żona nie przeżyje mnie lub gdy umrzemy jednocześnie, w odstępie krótszym niż sześć miesięcy...

Rzeka okazała się łaskawa i wyrzuciła ją na ten sam piaszczysty brzeg. Leżała twarzą do ziemi, na wpół zagrzebana w sybkim białym piachu. Jedno ze szczupłych nagich ramion było wyciągnięte do przodu, a na serdecznym palcu połyskiwała wąska złota obrączka. Jej palce prawie dotykały ramienia męża.

Pochowano ich razem, obok siebie, w jednym grobie na stoku wzgórza, nieco poniżej wielkiego domostwa Lion Kop.

...zaznaczam, że poniższe odnosi się do reszty mojego majątku.

Tu następowało ponad pięćset zapisów zajmujących pięćdziesiąt stron testamentu i rozdysponowujących kwotę prawie pięciu milionów funtów szterlingów. Sean Courteney pamiętał o wszystkich. Poczynając od stajennych i domowej służby, dla których przeznaczył kwoty wystarczające, by zakupić kawałek ziemi, małe stado bydła – ekwiwalent dorobków całego życia. Dla tych, którzy poświęcili mu życie służąc lojalnie, zapis był proporcjonalnie większy. Na tych z kolei, którzy przyczynili się do rozbudowy i rozkwitu jego rozlicznych kompanii i przedsięwzięć, czekały duże udziały w nich.

Nie zapomniał o żadnym z przyjaciół czy krewnych.

Potwierdzam niniejszym, że mam jednego legalnego potomka płci męskiej, waham się przed użyciem słowa „syn” – Dirka Courteneya, obecnie rezydującego w posiadłości Great Longwood w dystrykcie Ladyburg. Jednakże Bóg albo diabeł zaopatrzył go tak sownie, że cokolwiek mógłbym dodać, byłoby nadmiarem. Przeto nie zostawiam mu nic, nawet mego błogosławieństwa.

Dirka Courteneya pochowano w lesie sosnowym tuż przy psim ringu. Nie znalazł się bowiem ksiądz, który zgodziłby się odprawić ostatnią posługę, i grabarz zamknął wieko trumny przed ciekawskimi spojrzzeniami paru dziennikarzy i małej garstki łowców sensacji. Mimo że było ich paru, żaden nie uronił łzy.

Mojej córce Storm Hunt (z domu Courteney), która traktowała swe obowiązki córki lekko, w zamian wyczerpuję swe obowiązki ojcowskie, zapisując jej jedną gwineę.

– On tak nie myślał – Mark wyszeptał jej do ucha. – Mówił o tobie tamtej nocy, wspominał cię właśnie, kiedy to się wydarzyło.

– Wiem, że mnie kochał – odpowiedziała cicho. – To mi wystarczy. Mimo że u schyłku życia starał się temu zaprzeczyć – będę o tym wiedziała zawsze. Nie potrzebuję jego pieniędzy.

Markowi Andersowi, którego darzyłem uczuciem zazwyczaj zarezerwowanym dla syna, nie zostawiam pieniędzy, jestem bowiem świadom pogardy, jaką do nich żywi. Zapisuję mu więc zamiast pieniędzy wszystkie swe książki, obrazy, broń, pistolety, karabiny, biżuterię, a także zwierzęta domowe, włączając w to konie i bydło.

Same obrazy stanowiły niebagatelną fortunę, a wiele książek było unikatami w świetnym stanie.

Mark sprzedał bydło i konie, było ich zbyt wiele i zainfekowana przez muchę tse-tse dolina Bubezi nie była odpowiednim miejscem dla nich.

Resztę swego majątku zapisuję rzeczonemu Markowi Andersowi do dysponowania i zarządzania nim jako kuratorowi Towarzystwa Ochrony Przyrody Afryki. Zapis ten winien być wykorzystany w przyszłości na cele tego towarzystwa, a zwłaszcza na rozwój i powiększenie terenów znanych jako Brama Chaki i stworzenie tam rezerwatu dzikiej przyrody.

– Nikt nie zechce tknąć projektu ustawy złożonego i pilotowanego przez poprzedniego ministra do spraw ziem – prorokował generał Jannie Smuts, kiedy stali rozmawiając półgłosem po pogrzebie. – Imię tego człowieka zostawiło cuchnący odór na wszystkim, czego tknął. Reputacja polityczna jest zbyt kruchą i delikatną rzeczą, by narażać ją na takie ryzyko – przewiduję, że nowy rząd bardzo szybko zechce odciąć się od pamięci o nim. Możemy spokojnie czekać na złożenie nowego projektu ustawy, potwierdzającej i rozszerzającej status prawny terenów proklamowanych przy Bramie Chaki, zaręczam ci to, mój chłopcze, i zapewniam cię, że ustawa ta spotka się z pełnym poparciem mojej partii.

Tak jak powiedział generał Smuts, ustawa ta została uchwalona w czasie najbliższej sesji parlamentu i weszła w życie 30 maja 1926 roku jako akt Nr 56 z 1926 roku Parlamentu Republiki Południowej Afryki.

W pięć dni później dotarł do Ladyburga telegram podpisany przez ministra do spraw ziem potwierdzający nominację Marka na stanowisko pierwszego naczelnego strażnika Parku Narodowego Brama Chaki.

Inaczej potoczył się proces, na którym Hobday miał wydać swych współników i być tym samym uwolniony od zarzutu morderstwa. Tak więc na procesie Hobdaya oskarżyciel publiczny zażądał kary śmierci. W uzasadnieniu prezes sądu położył nacisk na znaczenie zeznań złożonych przez Sithole Zama, alias Pungushe, i stwierdził: „Zrobił on doskonałe wrażenie na składzie sędziowskim. Jego odpowiedzi były jasne i precyzyjne. Obronie ani razu nie udało się podważyć jego ewidentnej uczciwości czy zachwiać jego pamięcią”.

W wieczór wigilijny, w pobielonej celi więzienia centralnego w Pretorii, z rękami i nogami spętanymi przez skórzane pasy i twarzą zasłoniętą czarnym workiem, Hobday spadł w wieczność i niebyt przez drewnianą zapadnię.

Peter Botes został oczyszczony z oskarżenia o morderstwo i usiłowanie zabójstwa na podstawie zeznań złożonych przez Marka Andersa i nie stanął przed sądem.

– Jego zbrodniami są słabość i chciwość – Mark starał się wytłumaczyć go przed Storm. – Gdyby istniała kara za to, każdego z nas czekałaby szubienica. Poza tym, dość już mściwości i śmierci.

Peter Botes opuścił Ladyburg natychmiast po przesłuchaniu. Mark nigdy nie dowiedział się o jego dalszych losach.

Obecnie, kiedy przekroczysz rzekę Bubezi niskim betonowym mostem w miejscu, gdzie miała stanąć tama i hydroelektrownia Dirka Courteneya, dojedziesz do barierki na drugim brzegu. Przywita cię zuluski strażnik ubrany w zgrabny uniform i kapelusz z szerokim rondem, obdarzając cię szerokim uśmiechem pełnym białych zębów błyszczących jak odznaka zarządu parku wpięta w przód jego kapelusza.

Kiedy wysiądziesz z samochodu i wkroczysz do budynku z surowego kamienia krytego schludną strzechą, w którym mieści się biuro, by wpisać się do księgi, spójrz na lewą ścianę znajdującą się za kontuarem recepcji. W szklanej gablocie jest tam stała ekspozycja zdjęć i pamiątek z pierwszych dni parku. W centralnym miejscu tych zbiorów wisi duża fotografia. Uwieczniono na niej prężnego starszego dżentelmena, szczupłego, opalonego i wysportowanego, z gęstą czupryną szokująco białych włosów i imponującym sumiastym wąsem. Jego bawełniana bluza jest trochę pomięta i leży na nim, jakby była ze starszego brata, węzeł krawata jest nieco przekrzywiony, a róg koszuli zwichrowany. Pomimo że uśmiecha się zawadiacko, jego szczeka wskazuje na stanowczość i determinację. Ale to właśnie jego oczy przyciągają całą uwagę. Patrzą poważnie wprost przed siebie, oczy wizjonera lub proroka.

Pod zdjęciem widnieje napis: „Pułkownik Mark Anders, pierwszy naczelnik Parku Bramy Chaki”, a poniżej mniejszymi literkami: „Dzięki energii i dalekowzroczości tego człowieka nasz park rozkwitł w Narodowy Park Bramy Chaki. Pułkownik Anders zasiadał w Zarządzie Rady Parku Narodowego od jego założenia w 1926 roku. W 1935 został wybrany na jej przewodniczącego. Walczył i został odznaczony w dwóch wojnach światowych, odniósł poważne rany w pierwszej i dowodził batalionem podczas walk w Afryce Północnej i we Włoszech. Jest autorem wielu książek o tematyce przyrodniczej, między innymi *Sanktuarium* i *Ginąca Afryka*. Przemierzył świat, prowadząc wykłady i starając się uzyskać poparcie w swej walce o zachowanie i ratowanie dzikiej przyrody. Był uhonorowany przez wielu monarchów, rządy i uniwersytety”.

Na zdjęciu przy pułkowniku stoi wysoka, szczupła kobieta. Jej włosy ściągnięte schludnie do tyłu przebiegają liczne siwe pasma. Pomimo zmarszczek w kącikach oczu i głębokich bruzd biegnących wzdłuż ust jej twarz zdradza ślady wielkiej urody. Nachyla się na wpół opiekuńczo, a na wpół ochronnie ku ramieniu pułkownika, a podpis umieszczony poniżej głosi: „Jego żona i towarzyszką życia i pracy, znana na całym świecie malarka, autorka pięknych pejzaży Afryki i studiów dzikiej przyrody, tworząca pod panińskim nazwiskiem Storm Courteney”.

W 1973 roku pułkownik Mark Anders przeszedł na emeryturę ze stanowiska przewodniczącego Rady Parków i zamieszkał na stałe ze swoją panią w domku stojącym nad samym morzem, w Umhlanga Rocks na wybrzeżu Natalu.

Kiedy przeczytasz legendę, możesz wrócić do swego samochodu. Zuluski strażnik zaszalutuje ci na pożegnanie i uniesie szlaban. Wtedy już i ty możesz na krótki czas wjechać do raju.